

Pamiętnik Pieńkowskiego Aleksandra z Drozdowa  
Zeszyt Nr 1

Gdy wróciłem z wojny w 1921 r. ożeniłem się z Władysławą z domu Darmetko i założyłem sklep spożywczo-kolonialny w 1922 roku 7-go lipca w swoim domu własnym w Drozdowie pod Łomżą i dodatkowo prowadziłem również kilkuhektarowe gospodarstwo rolne, które pozostało mi po śmierci Rodziców, po spłacie brata Emila i siostry Józefy Zabielskiej. Druga siostra Władysława Wykowska będąca w USA spłatę swojej części przekazała na brata Emila i siostrę Józefę i ja im wypłaciłem, potem dałem jej w poślugu 4.000 złotych.

Zajęcie moje polegało przeważnie na handlu, który bardzo lubiłem i dawał mi poważny zysk. Stan mojej rodziny składał się z żony i z ośmiorga dzieci. Starsze już mnie wyręczały czasowo w moim zawodzie. Do 1930 roku handlowałem w starym domu, po Rodzicach. Był lichej i słomą kryty. Jednej nocy przy pomocy kolegów i innych chłopów ze wsi rozebraliśmy go cały, została jeszcze podłoga, to na niej wypiliśmy z 10 butelek wódki a na zakąski była kielbasa, salceson i chleb swojej roboty i to chcieli, to była cała zapłata za rozbiórkę tego domu starego. Było to w 1924 roku i tego roku zacząłem przygotowywać materiał na budowę nowego domu, który pobudowałem 1930 roku.

Na nowy dom miałem już zlasowane wapno i połowę cegły i wszystkie belki wytarli mech Nierwieński Wł. i Sielawa Z., futryny na okna miałem już robić, okna i drzwi Wądołowskie z Rakowa, potem dorabiał resztę Nitkiewicz F.

Do budowy domu zgodziłem majstra z Łomży Kozłowskiego K. za 4100 zł z jego murarzami, których było aż ośmiu, pomoc była moja trzech chłopów, którym płaciłem po 5 zł. dziennie.

Zwir woził mi Włodkawski ze swojej góry, za który płaciłem mu 10 zł dziennie z przywiezieniem. Dwa balkony robił mi kowal w Drozdowie Jarota Cz., resztę cegły dowozili mi z cegielni Sokołowski J. i Jagodziński J., płaciłem im po pół metra żyta za przywiezienie 1000 cegły. Dom cały był wybudowany w przeciągu jednego miesiąca, pokrył mi go blachą Kosakowski z Łomży, za rok go otynkowałem, kosztowała mnie całość 30.000 zł. Zadłużyłem się na 18.000 zł w Łomży Żydom, kupcom za pobrane towary na kredyt i na weksle 11.000 zł i rolnikom w Drozdowie, Rakowie i w Kosakach 7.000 zł.

Przez czas budowy handlowałem w spichrzu, potem handlowałem w nowym domu aż zastała mnie wojna 1.9 1939 r.

Niewola i więzienie w Rosji  
Rok 1939 1-go września

Ten rok pełen łez i krwi zapoczątkowany w życiu Polski i jej Narodu. Nie będzie takiego obywatela w kraju na tej ziemi, który nie będzie opowiadał o zniszczeniu całego kraju i torturach tego Narodu. Wielka liczba ich została już wykreślona z pomiędzy żyjących, a któż powie ile jeszcze nie powróci na popioły i zgliszcza

Wspomnienie powyższe postaram się odświeżyć i zebrać ze swojej pamięci na pustyni Iraku 160 km od Bagdadu, a z drugiej strony 24 km od granicy perskiej, w płóciennym namiocie, przy świetle latarki naftowej ja i mój przyjaciel Alojzy Raksimowicz z okolic Wilna, dnia 4-go stycznia 1943 roku.

Ja handel prowadziłem do września 1939 roku gdy lotnictwo niemieckie zaczęło bombardować obiekty wojskowe i prawie wszystkie miasta w Polsce, w tym i Łomżę. Ja swój sklep zamknąłem na sztabę zostawiając żonę i 8-ro dzieci, żona była dwa tygodnie po porodzie. Wyprowadziłem swój rower a przed moim sklepem naschodziło się ze 30-tu młodych chłopów i pytają mnie, co będziemy robić. Zdażyłem jeszcze zameldować w Selsowicie, że żona porodziła syna. Był tam Waniewski przewodniczącym i pyta się mnie jak ma się nazywać. Ja mówię Henryk i Sebastian, on mówi u nas nie dwa imiona, tylko jedno.

Ja mając radio słyszałem co się działo w tym czasie w Polsce. Hitler nie wydając wojny Polsce rozkazał najprzód bombardować Polskę i jednocześnie rzucił 70% swoich sił militarnych uzbrojonych w najnowocześniejsze narzędzia mordercze na Polskę.

Nasza armia polska nie była tak uzbrojona jak niemiecka i ilościowo też była o wiele mniejsza ale staczała zacięte boje na całym froncie, odpierając wroga ale musiała cofać się przed przeważającą siłą Niemców.

Gdy się mnie zapytali zebrani przed moim sklepem co będziemy robić powiedziałem jedziem do Krzewa i tam przejedziemy promem do Pniewskiej Olszyny i gdy się będzie cofać nasze wojsko z Łomży, to wstąpimy do nich na ochotnika, kto zechce i wszyscy ruszyliśmy do Krzewa. Przejechaliśmy promem i w olszynie przenocowaliśmy i potem olszyną poszliśmy na wschód. Po prawej stronie mieliśmy wieś Pniewo ale nie zachodziliśmy do wsi, idziemy dalej tą olszyną, rosły w niej jesiony, brzozy i dęby grube do dwóch metrów a nawet były i grubsze. Tu znowu się zatrzymaliśmy ale dwóch z naszych ludzi Ciuchnicki H. i Łepkowski St. mówią my się wrócimy do Drozdowa, zobaczymy co tam słyhać i zaraz poszli przed wieczorem w kierunku Krzewa. Tam była łódka, to nią przejechali na drugą stronę rzeki i już na godzinę 9-tą wieczorem byli w Drozdowie, w

swoich domach. Na drugi dzień rano przyszli z powrotem i powiedzieli, że patrol niemiecka była w Drozdowie. Mój sklep był zamknięty, nakazali mojej żonie otworzyć i ryż z worka wysypali na posadzkę betonową a do worków zabrali cukierki, czekoladę, papierosy i tytonie i co było zabrali na plecy i poszli w kierunku Łomży. Łepkowski mówił, że w Piątnicy, jak ludzie wyszli z kościoła, to Niemcy wszystkich młodych chłopów zabrali i na samochodach powieźli do Prus na robotę i słyszał, że w przyszłą niedzielę przyjadą do Drozdowa łapać chłopów na roboty do Niemiec.

Po wysłuchaniu tych wieści, we trzech przed wsią Gac poszliśmy do szosy, która idzie przez Zambrów do Białegostoku, a jakieś dwie godziny temu jechały tą szosą furmanki, wieźli Żydów z Łomży też do Białegostoku. Żydzi płacili chłopom ile tylko oni chcieli. Ja pomyślałem, że mam konia i wóz w domu a tu taki dobry zarobek, to bym i ja mógł zarobić żeby mieć tutaj tego konia i wóz swój. Wróciłem do olszyny i opowiadam o tym zarobku a Żebrowski St. mówi ja dziś wieczorem idę do Drozdowa, to niech mi da Aleksander kartkę do żony, to ja przyjadę wozem, bo muszę tam iść, wziąć coś do jedzenia i jakąś grubszą kapotę żeby chociaż było się na czymś położyć i tak było, napisałem kartkę do żony, podpisałem i dałem mu. Poszli znowu we dwóch i raniutko pojechali. Mam też konia, wóz i rower. Był razem z nami Kowalewski Antoni, kierownik szkoły w Drozdowie. On u mnie mieszkał i też miał rower ze sobą. Przenocowaliśmy trzecią noc i jedziemy dalej bocznymi drogami. Rowery pokładliśmy na wóz ale coraz to nas było mniej. Zatrzymaliśmy się w młodym sosnowym lesie, odpoczęliśmy sobie. Po południu była jakaś 2-ga godzina, ja zdjąłem swój rower i mówię do pana Kowalewskiego niech pan uważa na konia a ja pojedę do wioski, to może coś się dowiem i może co kupię do jedzenia. Wsiadłem na rower i pojechałem sam, do tej wsi było około 3 km, tak trochę pod górkę a tu nie tak daleko słyszę wystrzał i kula koło mnie tylko gwizdnęła i jeszcze dwa wystrzały, kule gwizdnęły. Ja z roweru już zląłem, strzelano do mnie ze wschodu a potem zaczęli znowu do mnie strzelać z zachodu. Obok tej drogi co nią jechałem rosły kartofle, jeszcze miały dużo zielonej macine. Ja rower rzuciłem a sam cofam się niżej przy kartoflach i na leżącego strzelają do mnie, chociaż może nie widzą i z tej strony i z drugiej, tylko kule gwizdzą. Leżę i myślę, że chyba od wschodu to strzelają Polacy a od zachodu to na pewno Niemcy.

Zacząłem w stronę wschodu wołać nie strzelajcie, ja jestem Polak, chyba byli nie tak daleko, bo przestali strzelać ale z zachodu strzelają dalej. Ja już nie zważając na rower podciągam go bliżej kartofli i sam czołgam, czołgam się na brzuchu do tyłu. Czołgam się może więcej jak godzinę, tam był już teren niższy, strzały ucichły ale wstać bałem się. Szedłem na kolanach i rękach aby bliżej do lasu i tak na wieczór byłem już przy swoich. Kowalewski się pyta a gdzie rower. Opowiedziałem o swojej przygodzie i że rower tam zostawiłem.

Ten las cośmy się zatrzymali, był nieduży ale jakieś 2 km może więcej widać było duży las, postanowiliśmy nad ranem przeprowadzić się do tego dużego lasu. Jesteśmy już w nim Baranowski Wł., Wykowski Al. i ja, mieliśmy swoje furmanki, reszta była na piechotę. Od szosy byliśmy jakieś 2 km, było to około wsi Gać ale słyszymy na szosie jakiś szczeł, jęk i warkot motorów, podeszliśmy na skraj lasu a tu czołgi niemieckie, co parę metrów, jeden za drugim, przewalało ich się chyba z 15 na Rutki, w kierunku Białegostoku.

Jedni mówią gdzie my dalej będziemy jechać kiedy już Niemcy są na przodzie, wracajmy do domu, naszego wojska nigdzie nie spotkaliśmy i nie widzieliśmy nawet a drudzy mówią pojedziem do domu i Niemcy nas zabiorą i wywiozą na roboty do Niemiec i tak źle i tak niedobrze. Przenocowaliśmy w tym lesie ale dobrze rano w tym lesie szum, jakby wozy jechały, skradamy się tam zobaczyć, co tam się dzieje, patrzymy polska kawaleria, cały pułk i mają ze sobą lekką artylerię. Ile tego mieli, to nie wiem, bo kazali się nam nie wólczyć ale oglądam się na wszystkie strony, patrzę porucznik Bognar Lutostawski z Wikrzyń, Porzowik dziedzic. On mnie się pyta, co wy tu robicie? mu mówię uciekamy przed Niemcami, bo łapią chłopów i do Niemiec na roboty wywożą, on mnie się pyta co słychać więcej w Drozdowie i może pan słyszał o mojej żonie cośkolwiek, ja mu mówię, że nic nie wiem, bo zaraz 1-go września wyjechalim, szkoda. Ja radzę się jego, niech pan mi poradzi co lepiej, czy wracać do domu, czy uciekać dalej. On odpowiada żadnej rady nie dam, bo nie wiem co lepiej, my tu wojsko też nie wiemy jak co nam wypadnie a ja jemu mówię, że czołgi niemieckie poszły już a on mówi my widzieliśmy, to gdzie teraz wysłicie jechać, dziś w nocy przedrzemy się do Czerwonego Boru a później tak od lasu do lasu, w stronę Warszawy.

Ja mówię a jak te czołgi mogą się wrócić albo drugie nadjadą, to co będzie, a on mówi, że to nic, oni nas nie widzą a my tu ich będziemy widzieć jak na dłoni, to jak damy z artylerii to 3 albo 4 czołgi rozwalim, reszta ucieknie i zanim sformują się do boju, to już będziemy w tamtym lesie a w lesie to oni czołgami nic nam nie zrobią. Na tym się rozstaliśmy, do widzenia powiedzieliśmy sobie i ja poszedłem do swoich uciekinierów. Jeszcze mi mówił Lutostawski, że już takie spotkanie z czołgami niemieckimi mieli, to im kilka rozwalim, reszta zwiąta a my 3 km pojechali bez żadnej przeszkody do lasu, no chyba pojechali bez żadnej potyczki z tego lasu, bo żadnych strzałów nie słyszeliśmy i kawalerii rano już nie było.



My również dojechaliśmy do drugiego lasu, który się ciągnął aż do wsi, wieś była nieduża a za nią szła szos. Zatrzymaliśmy się, że tu będziemy nocować. Ja z Bronowiczakiem W. wyszliśmy na szos a tu pędzi na koniu galopa co tylko sił a my stojmy, zatrzymał konia i pyta się czy tu byli Niemcy, mówimy, że Niemców nie widzieliśmy, tylko wczoraj pojechały tą szosą czołgi niemieckie. Gdy mu to powiedzieliśmy on wyjął szablę i trącił konia ostrogami po bokach i krzyknął wio, znowu z miejsca galopem, co tylko mógł koń uskoczyć. Pojechał w kierunku za czołgami. Był w zielonym ubraniu w stopniu plutonowego. Koń ładny, kasztan w siodle i bardzo spotniały. Wracamy do swoich furmanek i mówię do Wicka - nie wiadomo czy to z tej kawalerii coś my z nią nocowali, czy może jakiś Niemiec przebrany w polski mundur, bo gdzież by jeden żołnierz pojechał za czołgami i to w takim pośpiechu z gołą szablą w ręku.

To była ostatnia noc żeśmy przenocowali razem, te trzy furmanki i kilkunastu chłopów. Baranowski W. mówi, to gdzie dalej będziemy jechać Niemcy już poszli naprzód, bo huk armii było słychać gdzieś na Czerwonym Borze i pod Zambrowem. Ja mówi Baranowski rano wracam do domu, on był furmanką.

Obejrzeliliśmy miejsce odpowiednie o jakieś 100 metrów od szosy las był bardzo gęsty, położyliśmy się do spania ale gdzie tam spać nie można, huk armat i błyski ognia artyleryjskiego, gdzieś daleko na prawo od nas. Mówimy do siebie tam zginie żołnierz w tym boju.

Nie śpimy a tu słychać na tej szosie jakiś warkot i co raz bliżej nas, już widzimy czołgi niemieckie, co jakieś 5 może 6 metrów jeden za drugim, przy światłach małych czerwonych aż ziemia jęczy jak, okiem sięgnąć klucz ich jedzie bardzo wolno, tylko motocykle to jadą szybko, to raz do przodu, to znowu do tyłu. Tych czołgów mogło być około 50-ciu.

Gdy się rozwidniło Baranowski W. powiedział - ja wracam do domu, na szosie nic nie było widać, pojechał i razem z nim kilku Drozdowiaków a kilku poszło pieszo inną drogą. Za nimi pojechał furmanką Wykowski H., pozostałem tylko ja i kierownik szkoły Kowalewski A. i moja furmanka.

Pytam się p. Kowalewskiego co my teraz będziemy robić, bo na pewno Białystok już padł. On mówi jechać już dalej nie ma po co, wracajmy i my do domu, ja też tak samo myślę, tylko najprzód pojedziemy do tej wsi, co naprzeciw niej zostawiłem rower, tam na pewno ktoś go znalazł i zabrał do domu, to może odda.

Najprzód jedziemy szosą, żadnych wojsk nie widać, tak przejechaliśmy jakieś 10 km ale potem jadą samochodami Niemcy, szos była szeroka, ja kobyłę wstrzymałem, na wozie leży rower Kowalewskiego. Myślałem, że może nas będą o coś pytać, ale nie, my przed 1-szym samochodem czapki zdjelim, ukłoniliśmy się, jechali nie bardzo ostro prawą stroną, lasu jest dużo, ja kobyłę lejcem pogałęm i pomału jadę bokiem, już samochody przejechały, jedziemy dalej jakąś godzinę spokojnie. Mówię do Kowalewskiego, że się nam dobrze udało, wcale nas nie zatrzymywali, może pomału dojedziemy do Drozdowa. Otucha w nas wstąpiła, jedziemy dalej a tu nagle jedzie dwóch na motocyklach Niemców, zatrzymali nas, jeden krzyknął halt, jeden umiał słabo po polsku mówić. Pyta się gdzie jedziemy, my mówimy do domu a skąd wy, ja mówię z Drozdowa a gdzieście jeździli - uciekali przed frontem a teraz wracamy do domu i do swoich rodzin, a skąd rower macie, ja mówię, że ten rower jest Kowalewskiego, dowód macie na ten rower, całe szczęście, że Kowalewski miał. Obejrzał i wszystko przetłumaczył temu drugiemu Niemcowi, ten wysłuchał i kazali jechać, tylko usłyszeliśmy na haus. Jedziemy dalej wolno, bo już kawał drogi przejechaliśmy, ja tylko patrzę w prawo wciąż na lasy, to olchowe, to brzożowe i mieszane, potem sosnowe i nareszcie dojeżdżamy do wsi, którą poznaję, że ja do niej wypuściłem się rowerem jechać aby się czegoś dowiedzieć i coś kupić do jedzenia i w połowie drogi od lasu do wsi zaczęli do mnie strzelać z ręcznych karabinów z dwóch stron i ja rower zostawiłem i sam się wyczołgałem na brzuchu, potem na kolanach i rękach do lasu.

Wjeżdżamy do tej wioski, p.. Kowalewski mówi ja tę wioskę znam, tu są mojej żony dalsi kuzyni, my z żoną do nich raz przyjeżdżali w goście, Śleszyńscy nazywają się. Ja się pytam, czy on czasami nie był członkiem Rady Powiatowej, a tak należał do rady, no to i mój znajomy, bo ja też byłem członkiem Rady Pow. i nieraz rozmawialiśmy ze sobą, to się dobrze składa. Kowalewski mówi, że ta wioska należy do parafii Puchały, u nich na podwórzu jest studnia z żurawiem i kluczka uczeptioną. Już z daleka widzimy ten żuraw ale na całym podwórzu pełno koni w siodłach i Niemcy się przy nich kręcą

Było ich około stu, dojeżdżamy naprzeciw, nie zupełnie żeby oni mogli wyjechać swobodnie, bo widać jak siodła poprawiają na koniach. Jedni jeszcze poją konie, taki ruch tam, rozmowa tak żywa.

Ja mówię do Kowalewskiego niech pan tam idzie i przywita się i poprosi o wiadro, napoim kobyłę, tylko śmiało, nic się nie bać, żeby oni nie zauważyli strachu na panu. Zlązł z wozu i poszedł śmiało do domu. Była tam stara matka, córka i synowa, przywitał się z nimi i poprosił o wiadro aby napoić kobyłę. W mieszkaniu było trzech oficerów, jeden umiał po polsku mówić. Kowalewski dostał wiadro, wyszedł i zaczerpnął wody, przyniósł ją, kobyłę, wykielznał i poił, wypita jedno wiadro i chce jeszcze

ale, że była spocona to mówię potem jej damy się napić. Poszedł, nabrał jeszcze wody ze studni i poniósł do domu. Oficerowie jeszcze siedzieli przy stole i stała dziezka mleka i trzy szklanki z których oni pili to mleko, widać było po szklankach.

Ten co umiał po polsku pyta się skąd wy jedziecie, Kowalewski mówi uciekaliśmy przed frontem a teraz wracamy do domu a po coście się tu zatrzymali, chcieliśmy napić kobyłę i odwiedzić kuzynów; tu wtrąciła się synowa do rozmowy, że jej ojciec a tego matka to są rodzone dzieci.

On przetłumaczył temu drugiemu, ten widać najstarszy powiedział jawol i wyszli z mieszkania. Dał rozkaz i wszyscy wsiedli na konie i odjechali w tym kierunku, co my przyjechali. My wjechaliśmy na podwórze, kobyłę wyłożyłem, dałem jej koniczyny, bo była u nich i poszedłem do mieszkania i im mówię, że 5 dni temu ja jechałem rowerem i zaczęli do mnie strzelać z dwóch stron i ja rower rzuciłem a sam na brzuchu wycofałem się aż do lasu, do swoich ludzi, bo nas tam było dużo i ten rower tam został i myślę, że go ktoś znalazł i ma i może by go oddał.

Jedna z tych kobiet mówi, że tu dwóch jeździ rowerami a oni rowerów nie mieli przedtem. Jeden chłopak, to jest syn pastucha, to jest Niemca. Oni tu się sprowadzili do naszej wsi już z 15-cie lat temu i on u nas całej wsi pasie krowy. Z nim strach zadzierać, bo może się poskarżyć do Niemców i w ten czas będzie bieda i powiedzieli jak oni się nazywają i że mieszkają w tym kierunku. Jak pójdę sam, tak sobie myślę, to nic z tego nie będzie, mówię do Kowalewskiego - pójdzie pan ze mną albo oni nam oddadzą. Kowalewski mówi, ja mówię pójdziem najprzód do sołtysa i z sołtysem pójdziem. No dobrze idziemy, wstał z krzesła, zapytałm się gdzie sołtys mieszka i idziemy, przychodzimy do sołtysa, dzień dobry państwu powiedzielim, odpowiedzieli dzień dobry, proszę siadajcie panowie. I siedlim na krzesłach, sołtys się pyta, co panów do nas przyгнаło, skąd panowie jesteście. My mówimy, że my jesteśmy z Drozdowa a przyszlismy w takiej sprawie i opowiedzialem jak było z tym rowerem. Mówilem, że mnie tu powiedzieli, że syn pastucha nie miał roweru a teraz jeździ na rowerze a sołtys na to mówi, albo on odda, no zobaczymy, mówię spróbujemy, sołtys się podrapał w głowę, widać było, że wołał by nie iść alem go poprosił i powiedział, że jego jest obowiązkiem iść w takiej sprawie. Wziął czapkę na głowę i mówi, no to pójdziemy.

Przychodzimy do nich i zastalimy obydwóch w domu, dzień dobry panowie, odpowiedzieli dzień dobry. Ten pastuch miał około 45 a jego syn około 16 lat. Pyta się pastuch za czem panowie przyszli do nas, ja mówię, że my przyszli za rowerem a on na to, za jakim rowerem i skąd wy jesteście i to tak hardo do nas, ja jemu mówię, my jesteście z Drozdowa, uciekalimy przed frontem i zatrzymalimy się w tym lesie. Ja chcialem kupić coś do jedzenia i na rowerze jechałem do tej wioski i zaczęli do mnie strzelać, kule nade mną gwizdały i ja czym prędzej bryknąłem z roweru i rower z drogi odciągnąłem na bok i się wyczołgałem do lasu a rower został, a kiedy to było, ja mówię 4 dni temu a on to czemu pan na drugi dzień nie przyszedł po rower, tylko dopiero dzisiaj, bo ja myślałem, że tu jest front i kiedy strzelają to uciekliśmy dalej lasem a on kto wam powiedział, że my mamy ten rower, bo ja się pytałem kilku ludzi jak tylko przyszlismy do wioski, to mi powiedzieli, że pana syn nie miał roweru a teraz jeździ na rowerze. Ojciec obejrzał się na syna a syn zaczyna się pytać a jaki ten rower był. Ja mówię miał czerwone opony, ster wygięty do góry, na nim naciągnięta zielona guma i na ramie pisze Duglas. W ten czas ojciec mówi idź, go przyprowadź, poszedł do chlewa i przyprowadził, wszystko się zgadza, jak mówiłem, ojciec mówi no tak zgadza się, to zabierajcie, powiedzieliśmy do widzenia.

Ja zaraz rower za rączki i wracamy a sołtys mówi ale im szkoda było oddać ten rower, tak niechętnie powiedział, to zabierajcie go. Podziękowałem sołtysowi i do widzenia poszlim do p. Śleszyńskich, przychodzimy, ja zaraz kładę rower na wóz, przychodzimy do mieszkania, p. Śleszyńska zaraz ukroiła słoniny na patelnię i parę jajek wbiła, podjedlismy dobre śniadanie i mówię rower mi oddali nie bardzo chętnie, byliśmy u nich z sołtysem. Gospodyni mówi dobrze, że sołtys chciał iść, mówię, że też niechętnie ale poszedł z nami i wszystko się na razie dobrze skończyło.

Ale teraz z tymi dwoma rowerami nie możemy szosą jechać, bo jak Niemcy zobaczą dwa rowery na wozie, to mogą pomyśleć, że my te rowery gdzieś ukradli i nas mogą zatrzymać. To tak wygląda podejrzliwie - furmanka i na niej dwa rowery. Więc ja mówię musimy przed Rutkami skrócić w prawo i skierować się w stronę wsi Bronowo a przez rzekę jakoś się tam przedostaniemy. Podziękowalim za gościnę i kobyłę napoilem. Jeszcze szosą jechalimy jakiś kilometr drogi i szła droga w prawo, w stronę lasu, skręciłem i wić kłusa pogałem kobyłę. Rutki minęliśmy z lewej strony jakieś 5 km, jedziemy boczną drogą obok lasu, rosły w nim sosny, jałowiec, brzoźki a niżej olszyna. Tam spotkalimy dwóch chłopów, zatrzymałem kobyłę i pytam się ich czy można tu gdzieś przedostać się przez rzekę, my jesteście z Drozdowa i jedziemy do domu. Oni mówią, że drogą dojedziemy do Pniewa a z Pniewa droga jest prosto do Krzewa i tam jest prom, to tam ktoś was przewiezie i pojedziecie prosto do Drozdowa. Ja im mówię, że nie chciałbym jechać do Krzewa, bo tam mogą być Niemcy, to mogliby nas zatrzymać, to byłoby niedobrze a czy tu w Bronowie nie ma czasami promu? Oni mówią, że promu nie ma ale jakieś 60 metrów od rzeki mieszka rybak, ma dużą łódź, to może



was jakoś przewiezie. Mówią, że jeszcze będziecie jechać prosto jakieś półtora km, potem będzie droga w prawo przez olszynę na łąki i już tam zobaczycie jego budynki - dom, stodoła i chlewy, to jak dojdziecie do rzeki, to wołajcie głośno, to on przyjdzie a może go spotkacie przy rzece i na tym rozmowa nasza skończyła się - dziękujemy i do widzenia.

Jedziemy,, dojechaliśmy do tej drogi w prawo i nią jedziemy, skończył się las sosnowy, rośnie tylko olszyna i gdzieś grube jesiony i brzozy. Dojeżdżamy do łąk, droga prowadzi do rzeki, budynki tego rybaka już widzimy ale droga nie idzie na wprost do niego, tylko trochę skręca w lewo ale łąki w tym roku były suche i ja jadę przez łąki na wprost, przyjechalim do rzeki, widzimy jedna łódź duża stoi, przywiązana do pala a druga stoi w krzakach parę metrów od tej dużej, ale rybaka nie widać. Zaczęlim wołać, wyszedł, popatrzył, idzie, przyszedł i pyta się co chcecie ode mnie, ja mówię - my chcemy żeby pan nas jakoś przewiózł przez rzekę. On mówi jedźcie do Krzewa, tam jest prom, to was przewiozą. Ja mówię, że my boimy się jechać na Krzewo, bo tam mogą być Niemcy, to nas mogą zatrzymać a słyszeliśmy, że Niemcy łapali wszystkich w Piątnicy jak wyszli z kościoła, podobno i w Drozdowie łapali. To którądy chcecie jechać, ja mówię pomiędzy Krzewem a Kolakami, do drogi, która idzie z Pruszk do Drozdowa, tamtędy chyba się z Niemcami nie spotkamy i mówię mu, że zapłacę za przewiezienie.

Poszedł do tamtej łódki w krzakach, wszedł do niej i podjechał do tej większej, związał obie łańcuchami i przyjechał do nas i powiada wypręgać konia i z woza wszystko zdjąć, wóz rozebrać, bo musimy dwa razy przewozić, bo na raz jest za dużo. My zaraz zdjęliśmy rowery, gnojówki pokładliśmy w poprzek łódek i najpierw wciągnęliśmy przód woza i jeden rower i ja z nim przejechałem na drugą stronę rzeki a kobyłę trzymał p. Kowalewski. My ściągnęliśmy przód woza i rower i przyjechaliśmy po zad wozu i drugi rower i półszorek a kobyłę ja trzymałem na lejcu i przepłynęliśmy w porządku. Zaraz ja złożyłem wóz, zaprzęgnąłem kobyłę, p. Kowalewski pokładł oba rowery, pytam się ile mam panu zapłacić za przewóz a on mówi jedźta z Bogiem, nie chcę nic, podziękowaliśmy i jedziem.

Wróciłim do domu

Dojechaliśmy do drogi, którą się jedzie do Krzewa, najprzód była droga przez olszynę, a potem z lewej strony rosła olszyna a z prawej las sosnowy, dojechalim, gdzie droga idzie do Kosak, jedziemy w kierunku Kosaki, las się skończył, widzimy te Kosaki ale tam nie jedziemy, tylko przy lesie. Kosaki zostały w prawo, a Krzewo na lewo, dojechalim do drogi, która idzie z Krzewa do Trusk. Tą drogą dojechalim do lasu, przy tym lesie do jechalim do drogi, która z Trusk idzie do Drozdowa, do domu.

Przed wieczorem wjechaliśmy na podwórze, kobyłę wyłożyłem, dałem siana i rowery z woza do szopy postawiliśmy. Idziemy do domu. Żona moja ze łzami w oczach powiada - już myślałam, że cię Niemcy złapali, co dzień wyglądałam a tu nie ma i nie ma. 10 dni jeździliśmy w tamte strony i z powrotem ale szczęśliwie, choć z przygodami wróciłim.

Żona mi opowiada, że się ludzie rzucili do sklepu, jak pojechałem a w przód Niemcy we dwóch kazali sklep otworzyć, wysypali ryż z worka na posadzkę cementową a do tego worka zabrali cukierki, czekoladę, papierosy i tytonie, tylko została zwykła machorka. To znowu wykupili ludzic tę machorkę i naftę, aż z Piąticy przylecieli po naftę, sól, zapalki i co lepsze wszystkie towary wykupili.

Ale dużo jeszcze towaru zostało, takiego co go nikt nie chciał kupić. Z 15 par rękawiczek, które leżały już może z 10 lat, to krawaty, sweterki i inna drobnica ale w mieście można było jeszcze niektóre rzeczy kupić. Wziąłem kobyłę założyłem do woza i biorę małego Zbyszka 3 lata miał i jedziemy do Łomży, może da się cokolwiek kupić.

Most żelazny Polacy zminowali, więc dojeżdżamy do mostu drewnianego a tu idą żołnierze niemieccy, szedł ich chyba cały pułk piechoty, posterunek mnie zatrzymał aż się wszystko przewaliło. Szli w nogę a spoglądali na mnie z taką zjadłością w oczach jak wilki. Przy posterunku znalazł się drugi jakiś żołnierz a ja miałem na nogach buty w których chodziłem tylko w niedzielę, cholewy wysokie, chromowe i bardzo ładne, Podchodzi ten Niemiec do mnie, ja jedną ręką trzymam lejce a drugą małego syna a on patrzy się na moje buty i bierze jedną ręką w połowie cholewy, szczypie, potem bierze za przyszwę i mówi taka dobra buta aż głową pokręcił, później popatrzył na Zbyszka. On też był ubrany ładnie w pantofelkach. Potem podszedł ten posterunkowy, poszczupał na wozie, w słomie, nic tam nie było. machnął ręką, żeby jechać.

Przyjechałem do Łomży, no i zachodzę do tych starych swoich kupców. U jednego kupiłem osiem wiader ocynkowanych i 10 arkuszy ocynkowanej blachy. U drugiego kupiłem po trochu towarów kolonialnych jak pieprz, ziele, listki herbaty, u trzeciego kupiłem trochę galanterii i to wszystko. No i jedziem do domu, przed mostem stoi posterunek, rękę podniósł i mówi halt. Ustałem, on zaczął rewidować i wszystko oglądać co było na wozie i machnął ręką - kazał jechać. Jeszcze jeździłem parę razy ale już w starych butach ale już się nie opłacało jechać, bo nie było po co.

Wracam teraz do spraw organizacji. Niemcy przed uderzeniem na Polskę zawarli pakt do rozbioru Polski po połowie. Niemiecki minister spraw zagranicznych Ribentrop i rosyjski minister spraw zagranicznych Mołotow za wiedzą Stalina i innych dygnitarzy całego rządu w Rosji, wytyczyli granice,

dokąd który ma zająć ziemię Polski. Ale do okręgu Łomży Niemcy jeszcze nie ustąpili sowietom, dopiero sowieckie wojsko wkroczyło 20 października.

W Polsce zapanowało straszne przygnębienie. Tylko z Francji przemawiał generał Sikorski do Polaków: żeby się organizowali do tajnej organizacji wojskowej pod nazwą Polska Organizacja Podziemna. I mówił, że niedługo Francja i Anglia wypowiedzą wojnę Niemcom i sowietom. Więc w Polsce zaczął się ruch. Prawie wszystkie wioski i miasta organizowały tajną organizację POP.

Ja w Drozdowie zacząłem już 10 października organizować młodych i pewnych ludzi, dobrych Polaków, a znałem wszystkich w całej wsi. Potem byłem komendantem Drozdowa i Niewodowa. Ale gdy weszły wojska sowieckie, to nasza organizacja żadnej działalności nie objawiała. Każdy pracował spokojnie na swojej gospodarce i czekał na rozkaz, gdyby przyszło powstanie. Ale nie nadeszło powstanie, tylko mnie w maju 1940 r. aresztowały władze sowieckie.

Gdy niemiecki minister spraw zagranicznych Ribentrop i radziecki minister spraw zagranicznych Mołotow zawarli pakt o nieagresji i umówili się uderzyć z dwóch stron na Polskę, ją zawojować i podzielić się w połowie, ja spać nie mogłem całymi nocami, jak to znowu mamy iść w niewolę i może znowu na 123 lata jak dawniej, chyba nie.

Generał Sikorski wydał odezwę do Narodu Polskiego, że niedługo Francja i Anglia uderzą na Niemców i na bolszewików i na pewno ich pobiją przy naszej pomocy. Wszyscy Polacy do lat 45 mieli się organizować w polskie organizacje podziemne i gdy przyjdzie czas, żeby nikogo nie zabrakło, żebyśmy znowu nie stali się niewolnikami.

Gdy wojska radzieckie wkroczyły do Polski z artylerią ciężką i lekką z czterema lufami, tak zwane Katiusze, na czołgach gąsienicowych karabiny maszynowe ciężkie i lekkie, granaty ręczne i inna broń i lotnictwo. No nie tak liczne jak miał Hitler, który Czechom zabrał przeszło 3000 samolotów bez boju a swoich miał około 4000.

I tak nasi obydwa sąsiedzi, po zawojowaniu Polski zaczęli każdy w swoim zaborze segregować Polaków. Niemcy łapali i aresztowali komunistów i najlepszych Polaków - Ślązaków, którzy dawniej głosowali i bili się o przyłączenie Śląska do Polski, tych Niemcy rozstrzelali. Potem, żeby zniszczyć kulturę polską aresztowali profesorów i księży i w komorach gazowych uśmiercali a najwięcej Żydów, gdy tych wszystkich zabrakło łapali rolników i robotników i wywozili ich na roboty do Niemiec, również wywozili kobiety i dziewczyny na roboty.

Sąsiad drugi zaczął od panów - obszarników, leśników i niektórych co w wojsku za cara służyli. Potem byłych policjantów polskich, dyrektorów, inżynierów, doktorów i wszystkich innych podejrzanych, że są niezadowoleni z władzy sowieckiej.

W dodatku prawie w każdej wsi i w miastach znaleźli się miejscowi, swoi komuniści, którzy donosili do władzy sowieckiej, że ten tam coś powiedział na władzę sowiecką a drugi nie jest zadowolony, to takich całymi rodzinami wywozili do raju a tam przydzielali jednych do kolchozów a innych do lasów archangielskich i gdzie popadło. A ilu było w więzieniach tego nikt nie zdoła doliczyć się.

Wojsko radzieckie lokalizowało się przeważnie w miastach i po dworach, z których dziedzice puciekali a chociaż który nie uciekł, to go zaraz wywieźli do Rosji.

Do Drozdowa przyjechał sztab pułku kawalerii, który został podzielony na cztery części, jeden szwadron został w Drozdowie, drugi w Kalinowie, trzeci w Krzewie a czwarty na Wiktorzynie. To były dwory, trzech właścicieli już nie było, czwartego dziedzica właściciela Pieńkowskiego W. majątku na Krzewie zaraz wywieźli, syn jego został, to potem uciekł na zachód.

Pułkownik i jego zastępca, gruby jakiś starszy politruk, pewnie też w stopniu pułkownika, bo sam właściwy pułkownik nie mógł nic zdecydować bez wiedzy tego politruka. Zakwaterowali się we dworze, oficerowie zakwaterowali się we wsi u gospodarzy, również ich konie były po przywiązywane po stodołach, w mojej stodole stało ich chyba z 15-ście.

W moim domu kwaterowało aż 4 oficerów, jeden kapitan miał przedpokój mały i drugi duży pokój z oddzielnym wejściem, a tych trzech przechodziło przez moją kuchnię i przez pokój w którym my wszyscy spali - siedmioro dzieci i ja z żoną, razem 9 osób. Wszyscy trzej oficerowie byli w stopniu poruczników.

Jeden był bardzo nauczony, nazywał się Misza Łowianin i był jako tłumacz. Sam mi powiedział, że umie mówić po angielsku, po francusku i po niemiecku. Był bardzo inteligentny, lubił tańczyć trzapaćka i inne też umiał. Był wesoły i bardzo grzecznie z nami się obchodził. Drugi był płatnikiem pułkowym, nazywał się Łopucha a trzeci był oficerem gospodarczym, jak nazywał się - nie mówił, ale wszyscy trzej byli dobrymi ludźmi.

Ten kapitan sprowadził z Rosji swoją żonę i dwoje dzieci, z nim żadnych rozmów nie miałem. Potem najechało się tych żon dużo z dziećmi i same nie bardzo były poubierane.

Pamiętam w naszym kościele nieszpory, gdy wyszła procesja z kościoła dziewczynki nasze były poubierane w białe sukienki, sypały kwiatki przed księdzem, który niósł Monstrancję w rękach, starsze



już prawie panny niosły obrazy też w białych sukniach. Wszyscy ludzie ubrani byli odświętnie, ładnie. Na ten ostatni nieszpór przyszły te wszystkie żony z dziećmi oficerów i mówią jedne do drugich - smotryj kak wsio krasowo /patrzcie jak wszystko ładnie, nie tak jak u nas/.

Jak one poszły do domów i opowiadały swoim mężom jak to było ładnie, jak wszyscy byli ładnie ubrani, doszło to do tego politruka, zastępcy pułkownika. Ten nakazał oficerom żeby wszystkie przyszły tu przed sztab. Poprzychodziły, to jak dał im za to szkołę i powiedział jak jeszcze chociaż jeden raz która pójdzie do kościoła, czy nawet przed kościół, to zaraz musi wyjechać do Rosji, no i żadna więcej przed kościołem nie pokazała się.

Gdy oficerowie, którzy u mnie kwaterowali wychodzili na jakieś zajęcia, to przychodziło do mnie dwóch politruków; wchodziłem razem z nimi do tego pokoju co kwaterowali oficerowie, zawsze drzwi za sobą zamykali i na temat polityki zaczynali rozmowę ze mną. Ja tam na polityce nie znałem się i nigdy nią sobie głowy nie zwracałem, potem jak ja się do ich władzy ustosunkowałem, łąłem jak mogłem, potem pytają się - ty na wojnie 20-go roku był, byłem mówię, strzelał do naszych, ja mówię, że strzelałem, bo oni też strzelali do nas. To oni się pytają skolko ty naszych ubił, ja mówię, że ja nie wiem, strzelałem, strzelałem ale czy zabiłem, to nie znaju. Tak to przychodzili cały tydzień i to samo w kółko dokoła Macieju, potem pytają się, czy ja coś wiem o podpulnej organizacji, czy nie słyszałem o niej. Mówię, że nic nie wiem i nic nie słyszałem o takiej, no i po tygodniu przestali do mnie przychodzić.

Był już rok 1940, mróz był 40 stopni a tu nakazują podwozy i jadę do lasu, na leśniczówkę, tam mieszkało 3-ch leśników - Głowacki, Tatarowski z rodzinami i trzeci dopiero nastał, nieznajomy. Saniami podjechały 4-y podwozy i Głowackiego i Tatarowskiego z rodzinami zabrali. Przyjechali do Drozdowa i tu zabrali Sokalskiego J. z rodziną, bo on służył w wojsku za cara i był zawodowym plutonowym, po polsku.

On mieszkał obok mojego domu, zrobił się krzyk, płacz a tu bojce z karabinami poganiają, krzyczą skorej, to znaczy prędko siadać na sanie. Każdy z nich złapał coś do ręki a nic do podróży nie przygotowali, nawet kawałek chleba nie mieli. Moja żona wyniosła im bochenek chleba, parę puszek kawy i jeszcze co miała pod ręką, bo nie było chwili czasu, bo zaraz pojechali w taki straszny mróz 40 stopni poniżej zera, do Łomży.

Żona moja i dzieci płaczą, widzieli jak bojce z karabinami powiadali na sanie, jeden z przodu, drugi z tyłu. Straszne to było wrażenie patrząc na to. Żona moja mówi do mnie - wiesz oni i nas powiozą, ja mówię, może być, piec chleb i suchary susz. Drugiego dnia żona już upiekła chleb, jeden bochenek kroi na takie cienkie skibki, układa na blachy, w tym czasie wchodzi dwóch oficerów, ten tłumacz Łowianin i płatnik Łopucha, zatrzymali się i Łowianin się pyta chazajka czto ty dziełasz a żona im mówi wywozicie ludzi, nawet bez kawałka chleba, to i nas wywieziecie, to ja szykuję na drogę.

A on powiedział - nie, kto będzie wywieziony, to będzie ale wy nie będziecie wywiezieni. My rozmawiałem w sztabie, był sam pułkownik i zastępca i oni tak powiedzieli. Na drugi dzień przychodzą we dwóch, patrzę pułkownik i jego anioł stróż zastępca. Pułkownik powiedział zdraswujcie, ten drugi też powiedział. Ja siedziałem jak oni weszli, wstałem odpowiedziałem zdraswujcie. Pułkownik się pyta gdzie oficerów kwatery, ich nie było. Ja mówię pażaujsta i idę naprzód a oni jeden za drugim, weszliśmy do drugiego pokoju, gdzie oni kwatery a u nich wisi na ścianach widok w ramach bitwa pod Grunwaldem. Pułkownik się pyta czto eto za wojna, ja jemu mówię, że to Polacy, Rusini i Litwini pobili Gemańców, Niemców pod Grunwaldem, na drugiej ścianie wisi portret prezydenta Mościckiego, pytają się kto eto jeść, ja mówię to prezydent nasz a on mówi uże jego niet, udraksa /uciekł/ ale na jednej ścianie obok wisi portret marszałka Piłsudskiego na swojej kobyle - kasztance. On na niej siedzi a na ziemi pod kasztanką leży słup graniczny i ona stoi przodem z jednej strony a zadem z drugiej strony, słup był pomalowany na biało i czerwony szeroki pas, był okręcony od dołu do góry farbą. Pułkownik się pyta a kto eto jest, ja mówię marszałek Piłsudski ale on już nie żyje. Przyglądają się obydwaj, dość długo, nareszcie pułkownik się pyta a na czyjej granicy on ten słup przewrócił, ja mówię na granicy gemańca. Popatrzyli jeszcze na wojnę pod Grunwaldem i poszli. Za parę dni moi oficerowie przynieśli portret Stalina i powiesili go między moimi portretami na ścianie.

Ja pojechałem do Łomży. Niemcy mocno zbombardowali Łomżę, przeważnie dzielnice żydowskie, ulice Rządową, Długą, Senatorską i inne, Żydzi poszli mieszkać jeden do drugiego, ciasnota, w dodatku głód, nie było gdzie co kupić do jedzenia. Jeden Żyd, mój dobry znajomy kupiec miał hurt i detal. Ja u niego niektóre towary kupowałem. Jego dom trafiła bomba, rozwalila całkowicie. Nic nie uratował ani mebli ani ubrania i resztki towaru.

Wziąłem pół metra kartofli, żelazne łóżko, trochę fasoli i dałem mu to. On mieszkał przy starym rynku ale dokoła starego rynku też były kamienice, zbombardowany został tylko Magistrat i jedna kamienica, co kupił ją Karpiński ale nie wiem od kogo.

Przyjeżdżam do domu, jakaś godzina druga po południu, kobyłę wyłożyłem, wchodzę do domu.

Zaraz za mną przyszli oficerowie, poszli do swojego pokoju. Wyskakuje jeden taki w oczach dziki i mówi chadzij suda i to tak hardo, idę, zanim tylko wszedłem, oni do mnie kuda Stalin, patrzę na ścianie on wisi, nie ma go. Oni znowu kuda jeść Stalin, ja im mówię, że ja byłem w mieście i ja nic nie wiem, jak na mnie jeden wrzasnie, znimaj swoje portrety, skarej, skarej. Ja czym prędzej zdjąłem, żeby nie połamali ich, zabrałem i wyniosłem na strych. Owinąłem w gruby papier a kto ich ze strychu zabrał, to nie wiem. A portret Stalina nikomu nic nie mówiąc moja Zosia ze ściany zdjęła i zaniósła do kooperatywy, którą sowiecka władza założyła w moim domu na parterze. Nakrzyczeli na córkę ile tylko włożyła i ona poszła i go przyniosła i zaraz go powiesili. I oni mówią do mnie - nasz Stalin jest a twoich już tu nie będzie.

Po tym wypadku już do nich nie zachodziłem i oni mnie nie wołali. Zresztą nie lubiłem rozmawiać z Łopucho, który zawsze wychwalał Stalina i cały swój rząd i swoje bohaterkie wojsko, jak bez broni naszych żołnierzy zabierali do niewoli.

Ja na drugi dzień a był to zapust poszedłem z Nitkiewiczem F. do Robaczewskiego i tam sobie dobrze popiliśmy, że się upiłem, przyszedłem do domu i zaczynam przeklinać na tego Łopuchę, moja żona jeszcze nie spała a dzieci już spały a ja wciąż krzyczę, że ja temu gierojowi dziś wleję i chcę do nich drzwi otworzyć a żona złapała mnie za ręce i trzyma, nie puszcza, krzyczy uspokój się, dzieci też zerwały się z łóżek, złapały mnie, przewróciły na łóżko i trzymali aż po wymiotach usnąłem.

Na drugi dzień rano oficerowie powstawali, ja też, podchodzi do mnie Łopucho i pyta się, co ja na niego wczoraj przeklinał i groził ja jemu dam, ja tobie, ja nic nie wiem, bo ja byłem pijany a on mi mówi, żebym ja wieczorem nigdzie nie wychodził, bo będzie z tobą płoch /to znaczy źle/ i poszedł.

Na drugi dzień żona mówi ty spałeś ale oficerowie całą noc nie spali, tylko rozmawiali, jak tak jeszcze raz zrobisz i takie głupstwa będziesz po pijanemu wygadywał, to ty nasz wyjazd do Rosji przyspieszysz. Łopucha pytał się mnie co ty od niego chciał, że tak krzyczał - ja jemu dam, żona mówiła, że ja byłem pijany i takie głupstwa gadałem, on głową pokiwał i poszedł.

W niedzielę poszedłem do swego sąsiada Mariana T. na pogawędkę, za jakiś czas przychodzi mój syn Zbigniew i mówi, że jakiś pan mnie prosi, żebym przyszedł, koniecznie chce się ze mną zobaczyć i przysunął się do mnie i do ucha mi mówi po cichu, że ten pan nazywa się Malinowski Franciszek ale mamusia powiedziała, żeby tata nie przychodził, coś przeczuwała. Ja powiedziałem Zbyszkowi idź i powiedz temu panu, że ja przyjść nie mogę ale do niego przyjadę w tym tygodniu.

Ten jegomość pochodził z Rakowa Boginie, znałem go bardzo dobrze, skończył szkołę podchorążych w Zambrowie a w rezerwie pracował gdzieś na kresach w Urzędzie Skarbowym i często przyjeżdżał do Rakowa do matki i brata i bywał u mnie w sklepie. Znaliśmy się bardzo dobrze.

Dwudziestego października początek organizacji, która już była zorganizowana 10 października 1939 r. Jak sowieci zaczęli coraz więcej ludzi wywozić do Rosji a już i pełne więzienia - nałapali chłopów i robotników, nauczycieli i inteligencję to zaczęła się tworzyć partyzantka pod nazwą Polska Organizacja Podziemna.

Pewnego dnia z początku stycznia pojechałem do Łomży, gdy wróciłem żona mi mówi, że przyszło do mieszkania dwóch młodych ludzi i zapytali się żony czy jest pan Pieńkowski. Żona odpowiedziała, że pojechał do miasta, bardzo żalowali i mówili, że w ważnej sprawie chcieliby się ze mną rozmówić, żona mówi, żeby poczekał, mąż powinien niedługo wrócić. Oni odpowiedzieli, że czekać nie mogą ale innym razem przyjdą i poszli. Przed odejściem powiedzieli, że mnie dobrze znają i że ja ich też znam.

Więcej oni do mnie nie przyszli, bo wiedzieli, że w moim domu kwaterują sowieccy oficerowie a sztab pułku w Nowym Dworze, inni oficerowie w starym dworze i na wsi też w niektórych domach kwaterowali.

W tygodniu pojechałem do Rakowa, zajechałem do Mietka Godlewskiego i mówię mu, że był u mnie Malinowski a potem przyszło aż dwóch i chcieli ze mną porozmawiać w ważnej sprawie. Ja już miarkowałem jaka to sprawa, mówię do Mietka idź i go zwołaj, on się uśmiechnął i poszedł.

Za jakieś 10 minut przychodzą obydwoj, dzień dobry, dzień dobry odpowiadam. Pytam się w jakiej pan sprawie do mnie przychodził. On powiada w bardzo ważnej sprawie, ale pójdziemy do mego szwagra Samluka i tam pogadamy. Na odezwę generała Wład. Sikorskiego z Francji do Narodu Polskiego, żeby wstępowali wszyscy Polacy do tajnych organizacji wojskowych i będziemy walczyć z obydwoj wrogami naszymi aż do zwycięstwa. No i mówi, są już zorganizowane wsie Kossaki, Krzewo, Rakowo Boginie i Rakowo Czachachy, w Niewodowie mamy dopiero 8 ludzi, później będzie więcej, na pewno Olszyny, Truszki, Zelechy i prawie w każdej wsi naszej gminy Drozdowo są już zorganizowane a do samego Drozdowa nie mamy wstępu, chociaż są ochotnicy. Ale nie mamy komendanta, niech pan przyjmie tę funkcję, ja odmówiłem, powiedziałem do organizacji wstąpię ale komendantem być nie chcę. Mam już 43 lata, 7-ro dzieci i żonę w poważnym stanie w ciąży, toć to nie tylko poświęcić siebie ale muszę poświęcić całą swoją rodzinę. Mówię ja kocham swoją Ojczyznę kochaną Polskę ale i kocham swoją rodzinę, ale co się nie robi dla Ojczyzny, której wojsko zostało



rozbite, chociaż walczyli do ostatka. Setki tysięcy zostało zabitych i rannych, reszta poszła do niewoli, do Niemiec a drudzy do niewoli, do Rosji, na swobodę.

Samłuk był też moim dobrym znajomym, mieszkał obok Mietka Godlewskiego, przywitalim się i zaraz poszlim do oddzielnego pokoiku i zaczęła się rozmowa przy drzwiach zamkniętych.

Malinowski powiada - ja jestem tu przysłany przez władze wyższe na komendanta całej gminy Drozdowo. Wszędzie mi poszło dobrze, pomagali mi nauczyciele i znajomi a w Drozdowie, że tam jest dużo wojska i sztab pułku nie mogę znaleźć pewnego człowieka na komendanta, niech pan mi pomoże, najlepiej by było żeby pan tę funkcję objął. Powiedziałem, że muszę nad tym mocno się zastanowić i dam później odpowiedź. Na tym się nasza rozmowa zakończyła.

Za parę dni znowu przyszedł Malinowski z Wiśniewskim Aleksandrem w tej samej sprawie, odpowiedziałem, że jeszcze się nie namyśliłem ale tu w Drozdowie jest podchorąży Józef Kędziorek i on powinien tę funkcję objąć. Jest młody i jeszcze kawaler, zwróćcie się do niego.

Malinowski mówi, że w tej sprawie chodził do niego Wiśniewski Al. ale on powiedział, że do organizacji nie wstąpi i tej funkcji nie przyjmie ale może służyć radą, więc go Wiśniewski ostrzegł, że za wydanie tej tajemnicy wrogowi, grozi mu kara śmierci, żeby o tym wiedział i wrócił z tą wiadomością.

To ja mówię, że jest tu zawodowy plutonowy Pisarski Antoni, to on może się zgodzi. Malinowski mówi, że też przysyłał do niego ale on odmówił, pozostał nam tylko pan, niech się pan zajmie do tej pracy dla ratowania Ojczyzny naszej kochanej. Odpowiedziałem, że za tydzień dam odpowiedź konkretną i na tym się rozstaliśmy.

Za parę dni Malinowski przysyła do mnie mego siostrzanka Godlewskiego Mietka, który mieszka w tej samej wsi Rakowo Boginie. Mietek mówi, że on już należy do Polskiej Organizacji Podziemnej i namawia mnie żeby też wstąpił i przejął funkcję komendanta w Drozdowie i żeby się zajął organizowaniem Drozdowiaków. Odpowiedziałem, że szkoda mi rodziny i jeszcze się nie namyśliłem. Mietek odjechał a ja namyśliłem się jechać do Łomży i tam dowiem się co w mieście się dzieje. Mam tam bardzo dużo dobrych znajomych, zajdę naprzód do doktora Rogowskiego Jana, jest on moim współnikiem do browaru w Drozdowie, bardzo porządny człowiek i dobry Polak porucznik rezerwy i pracuje w szpitalu Św. Ducha w Łomży za sowietów i pojechałem.

Doktor Rogowski mieszkał na ulicy Dwornej, była godzina około 11-ej zaszedłem do mieszkania, mówię dzień dobry, pani Rogowska odpowiedziała dzień dobry, pytam czy jest pan doktor w domu, mówi nie ma ale niedługo przyjdzie na obiad. Poczekalem, gdy przyszedł pan Rogowski mówię dzień dobry, odpowiedział dzień dobry, przywitaliśmy się. Doktor pyta się mnie co słyhać w Drozdowie, ja zaczynam mówić o browarze, że sowieci szykują się już do uruchomienia browaru, już przywieźli ślodu i kocioł parowy, któreśmy kupili i przywieźli aż z Częstochowy i obmurowują.

Mówię doktorowi, że przychodzili do mnie temu z miesiąc czasu we dwóch - jeden to był dyrektor a drugi to też jakiś ważny i pytają się czy ja mam jakąś część w browarze, ja mówię, że mam 15%, to ten dyrektor dlaczego my nie uruchomiamy browaru, ja mówię, że nie mamy pieniędzy a on mówi to wy wprzód to mieliście dzieńgi a teraz nie macie. Ja mówię - jest nas 5-ciu współników, doktor miał pieniądze w banku a teraz nie ma nic.P. Kalisz też pieniądze miał w banku a teraz nie ma a ty masz dzieńgi, ja mówię, że ja pożyczalem pieniądze u ludzi na wsi, no to i teraz pożyczaj, ja im mówię, że teraz nikt pieniędzy nie pożyczycy, to dyrektor mówi, to my wam damy pieniądze ile będzie potrzeba, tylko bierzcie się do roboty. Doktor posłuchał i powiada - oni nam dadzą pieniądze i wyjdzie coś źle, to od razu powiedzą, że to sabotaż i od razu nas wsadzą do więzienia. Powiedz im pan, nich oni uruchamiają, sami zabierają browar i niech go uruchomią i tak im powiedziałem.

Doktor znowu się pyta co więcej słyhać w Drozdowie, czy tam się coś robi w podziemnej a ja się pytam czy w Łomży coś się robi, mówi tak. Ja już należę do Polskiej Organizacji Podziemnej. W ten czas ja opowiedziałem o sobie i radzę się go czy przyjąć tego komendanta w Drozdowie.

Doktor mówi - tak, musimy się z naszymi obydwojma wrogami rozprawić i uwolnić naszą kochaną Ojczyznę a ja się pytam, czy my damy radę tym dwom kolosom a doktor mówi, jeśli chodzi o sowietów to ich już 45% będzie razem z nami, razem oficerów i żołnierzy i wspólnie będziemy rozbrajać resztę, to pójdzie łatwo a ja mówię ale z Niemcami tak nie pójdzie a doktor mówi na Niemców lada dzień uderzy Francja, Anglia, to też ich rozbiją i to w niedługim czasie.

Nareszcie doktor mówi - choć pan ze mną, wyszliśmy i idziemy krótko ulicą, minęliśmy ul.. Długą do ul. Nowogrodzkiej i nią podeszliśmy jak się zaczyna park na drugiej stronie, na rogu stał dom drewniany, oszalowany deskami i pomalowany brązową farbą. Doktor mówi tu zajdziemy.

Wchodzimy tam, po zapukaniu we drzwi za chwilę ktoś się pyta kto tam, doktor odezwał się - swój, otwieraj, zaraz się drzwi otwały, wchodzimy. Patrę stoi porucznik rezerwy Kosakowski Henryk, mój dobry znajomy, miał przed wojną z p. Rodem i podporucznikiem inwalidą Dąbrowskim hurtownię tytoniową. Kupowałem u nich papierosy i tytonie. Na krześle siedzi Doda Franciszek, rzeźnik razem z nim kupowałem świnie dla kupca z Warszawy, który dawał nam pieniądze naprzód, na końcu ten

Warszawiak nabrał nas, mnie na 1500 zł a Dodę na 3000 zł.

Po przywitaniu porucznik Kosakowski wprowadził nas do pokoiku, tam przykryty na stole stał aparat radiowy 4-ro lampowy, nastawił go na Londyn i słuchamy dziennika, tak jak zawsze dużo nagadali a mało co robili. Po dzienniku porucznik Kosakowski wygrzebał gdzieś taką kartkę odbitą na powielaczu. Była to odezwa generała Władysława Sikorskiego do Narodu Polskiego, ażeby się cały Naród organizował do tajnych organizacji podziemnych, zdobywać i ukrywać broń i czekać aż przyjdzie chwila na rozkaz powstania.

Pożegnałem się z nimi i przyszedłem do domu. Na drugi dzień przychodzi rano, godzina była około 8-mej jakiś mężczyzna i daje mi list i mówi od pana Kozłowskiego Bieńka. Wziąłem ten list do ręki, otwieram a ten człowiek od razu się ulotnił.

Kozłowski Beniek był właścicielem młyna w Drozdowie i gdy przyszedli tu sowieci, to go wypędzili z tego młyna. Zamieszkał u brata na Zambrowskiej w Łomży i on mnie prosił żebym przyjechał do niego znowu w bardzo ważnej sprawie. Tego dnia jeszcze nie pojechałem, na drugi dzień jest piątek, dzień targowy. Przychodzę do mieszkania i pytam się czy jest Kozłowski, żony jego nie ma, tylko jakaś kobieta powiada nie ma go w domu. Ja jej mówię, że wczoraj mnie prosił, to chyba jest, ja nazywam się Pieńkowski, proszę iść do niego i to mu powiedzieć. Wyszła do drugiego pokoju i za parę minut wyszli oboje.

Po przywitaniu się, znalazła się butelka samogony na stole zaprawionej sokiem wiśniowym, no i zagrycha, pierwszorzędna szynka wędzona i chleb. Po wypiciu paru kieliszków zaczęliśmy rozmawiać o tym i o tym, wreszcie on mi po cichu mówi, że organizuje się cała Polska, tak pod Niemcem jak i pod Moskalami. Organizują się tak zwane trójki, że jeden tylko mógł wiedzieć tylko o dwóch członkach, więcej nic i czekać na dalsze rozkazy.

Kozłowski znał mnie dobrze i powiada ja już należę do tej organizacji a co ty na to? a ja mówię a co ja gorszy Polak od ciebie, w tych dniach i ja wstąpię do tej organizacji, podał mi rękę i na stole znalazła się druga butelka samogonu zaprawionego i świeża zagrycha. Wszedł też jakiś trzeci towarzysz, którego przestawił mi Kozłowski jako swego kuzyna ale nazwiska nie pamiętam

Po wypróżnieniu drugiej butelki, Kozłowski wyjmuje notes i pisze na kartce słowa przysięgi, którą należy przyjąć od każdego zwerbowanego członka. Przysięgę wydaje się przy jednym świadku, słowa przysięgi brzmią -

Przysięgam w obliczu Boga i daję najuroczystsze słowo honoru, że będę wiernie służył idei Niepodległości Ojczyzny i powierzonej mi tajemnicy nie zdradzę nikomu. Przełożonym swoim będę bezwzględnie posłusznym i rozkazy zwierzchnictwa aż do zwycięstwa wykonywać będę. A w sprawie Niepodległości Państwa Polskiego poświęcę krew, życie i mienie, tak mi dopomóż Bóg i niewinna męka Syna jego, amen.

Gdy powtórzyłem słowa wydanej mi przysięgi, przy kuzynie, który był jako świadek, kartkę schowałem do swego notesu i pożegnałem się i powiedziałem, że niedługo dam znać o swojej pracy. Kuzyn Kozłowski jeszcze pozostał u p. Kozłowskiego.

Pojechałem jeszcze na rynek, kupiłem co potrzeba do domu i przyjechałem, nie mówiąc nic ani żonie ani dzieciom.

Muszę nadmienić, że mieszkał u mnie p. Kowalewski Antoni, był kierownikiem szkoły w Drozdowie, bardzo sympatyczny i uczciwy gość z którym nieraz już ubolewaliśmy nad upadkiem naszej kochanej Ojczyzny i mówiliśmy, że tak nie może być, jeszcze wszystko da się zrobić.

Tego wieczory przyszedł p. Kowalewski do mnie i znowu rozmawiamy i on mi mówi, że słyszał, że Bronowo bardzo duża wieś jest już cała zorganizowana i inne wioski tak samo się organizują. Ja odpowiedziałem, że wiem o tym i ja od dziś też jestem w organizacji i będę organizował w Drozdowie ochotników i w Niewodowie do tak zwanej Polskiej Organizacji Podziemnej. Kowalewski A. oświadczył mi, że chce też wstąpić do organizacji i chce wstąpić też Gembarzewski Bronisław, też nauczyciel, mówię dobrze, może już w niedzielę przyjmę od was przysięgę u pana w mieszkaniu. Odpowiedział dobrze, dobranoc, dobranoc i już byliśmy pokrzepieni trochę na duchu, poszedł do swego mieszkania, ja potem poszedłem w podwórze, oporządziłem dobytek, posłałem w chlewie i przyszedłem do domu. Zjadłem kolację i położyłem się spać Ale usnąć nie mogłem, byłem bardzo zamyślony tą tak odpowiedzialną pracą. Miałem tu dobrych kolegów i znajomych w ogóle w całym Drozdowie, wiedziałem co kto wart i z kim można na konto organizacji porozmawiać.

Była to sobota, mieszkał niedaleko przed mostem Jan Szymanek a za mostem Antoni Pisarski zawodowy plutonowy. Pogadałem najprzód z Jankiem Szymankiem na konto organizacji. Od razu powiada ja wstąpię i mój brat Michał. Ja mówię dobrze, przejdź do Pisarskiego Antka i powiedz mu, żeby on jutro po sumie, jak wyjdą ludzie z kościoła i razem z tobą przyjdzie do mieszkania kierownika szkoły p. Kowalewskiego, tam porozmawiamy i ja zapoznam was z sytuacją jaka teraz jest.

Od niego wyszedłem i po drodze spotkałem Karwowskiego Adama, jemu powiedziałem tylko,



żeby po nabożeństwie przyszedł do p. Kowalewskiego i znowu pogadałem z bocznym sąsiadem Bolesławem Bargielskim, ażeby on i brat jego żony Stefan Kędziorek, który przed Niemcami uciekł z Warszawy do Drozdowa, do swoich rodziców, żeby obydwaj jutro po kościele przyszli do p. Kowalewskiego. Powiedział dobrze przyjdziemy.

Nad wieczorem, w podwórzu oporządziłem, drzewa urąbałem i poszedłem do domu. Było to w końcu lutego, w niedzielę wstałem raniej, trochę ogoliłem się, umyłem, poszedłem do gumna, dałem żreć kobyłę, krowie i posłałem w chlewach i poszedłem do domu, buty oczyściłem, wyglansowałem, ubrałem się jak zwykle do kościoła, po nabożeństwie, jak ludzie wyszli z kościoła, nieznacznie do kilku skuknąłem zczyszonym głosem - do Kowalewskiego i sam wracam to niby domu a za parę metrów z tyłu szedł p. Kowalewski z Gembarzewskim. Weszliśmy do mieszkania p. Kowalewskiego.

P. Kowalewski wystąpił swoją żonę i córkę do mojej żony, żeby tam posiedziały. Za parę minut weszli Kędziorek St. i Bargielski i jeszcze wszedł sam Karwowski Adam. Prawie wszyscy wiedzieli o co chodzi. Ja im powiedziałem, że ja dostałem polecenie z Łomży ażeby zorganizować w Drozdowie ochotników do Polskiej Organizacji Podziemnej, ludzi pewnych, którzy kochają Ojczyznę i chcą za nią walczyć aż do zwycięstwa.

Ja już do tej organizacji należę, czy wy wszyscy chcecie do tej organizacji należeć. Odpowiedzieli, że chcą należeć. W ten czas ja wyjąłem notes i z każdym spisałem ich personalia, datę urodzenia, dzień, rok, imię ojca, zawód i stan. Gdy wszystkich spisałem, postawiłem krzyż pasyjkę na stole i wyjąłem kartkę na której mi B. Kozłowski wypisał słowa przysięgi i mówię proszę wstać, chcę od Was przyjąć przysięgę, proszę podnieść prawą rękę, ja czytam słowa przysięgi i proszę powtarzać za mną każde słowo -

Przysięgam w obliczu Boga i daję najuroczystsze słowo honoru, że będę wiernie służył idei Niepodległości i powierzonej mi tajemnicy nie zdradzę nikomu. Przełożonym swoim będę bezwzględnie posłusznym i rozkazy zwierzchnictwa aż do zwycięstwa wykonywać będę. A w sprawie Niepodległości Państwa Polskiego poświęcę krew, życie i mienie, tak mi dopomóż Bóg i niewinna syna jego męka. Amen.

Było to dnia 16 października 39 r. Po zaprzysiężeniu każdy sobie wybrał nowe nazwisko czyli pseudonim i się nim będzie posługiwał aż do końca. Poza tym powiedziałem, że każdy z was ma zwerbować po jednym członku do organizacji i zaraz go zaprzysięć. Słowa przysięgi każdy sobie przepisał i po jednym zaczęli wychodzić, aż się wszyscy rozeszli. Pani Kowalewska wróciła do swego mieszkania. Mój pseudonim był Pięta. Ja też przyszedłem do mieszkania, bo już zaczęło się ściemniać a jak kiedy posiedzę dłużej, to moi lokatorzy zaraz się żony pytają kuda Aleks poszoł, czto on tak dołgo dziełajet, żona moja zawsze odpowiada, że ja poszedłem na wieś do brata, bo miał jakiś interes.

Ten Łopucha przeważnie się pytał, on mówi - widno czto on ma za mnogo interesów. Raz do mnie mówi - znajesz Aleks ja by radził czto ty mniej za interesami chodził a łutszej w pieczke drzewo podkładał, to by było ci łutszej, ja bym na twoim mieście tak dziełajet. Zauważyłem, że on mnie podejrzewa, powiedziałem, że tak będę robił. Powiem jeszcze, żeby ja najdłużej gdzieś siedział, to oni się spać nie położyli, tylko jak ja się położyłem, to dopiero i oni rozbierali się do spania.

O istnieniu tajnej organizacji już wiedzieli, tylko wykryć jej nie mogli. Ja jak się w tygodniu zakręciłem i ci co w niedzielę u p. Kowalewskiego byli też po jednym członku się postarali. Miałem już razem 20-tu członków. I ten spis ewidencyjny zaraz zawiozłem do Łomży, do B. Kozłowskiego. On go zaraz oddał swojej żonie i ona z nim gdzieś poszła i około jednej godziny wróciła i powiedziała, że już nadano szyfrem i wszystko w porządku.

Ja zaraz wróciłem do domu, przed wieczorem spotkałem się z Pisarskim Ant., on mnie się pyta co słyhać, mówię nic nowego, a on się pyta kto właściwie jest komendantem w tej naszej organizacji. Ja oficjalnie nie powiedziałem, że ja nim jestem. Wiedział tylko o tym p. Kowalewski ale powiedziałem, żeby nikomu nic nie mówił. Pisarskiemu powiedziałem, że ma być, czy nawet już jest jakiś sierżant z Łomży z 33 p. piech. a ty będziesz jego zastępcą, zgadzasz się, odpowiedział, że się zgadza, no to dobrze, do widzenia.

Nadszedł miesiąc marzec, słonko ładnie grzało parę dni, myślę sobie trzeba zobaczyć czy już wszędzie śnieg zniknął na polu na Niewodowie, może by można już rozsiał nawozy. Gdy już skręciłem na swoją polną drogę, na przeciwko Dąbrowskiego Józwy ktoś krzyknął panie Pieńkowski, niech pan zaczeka, oglądam się a to Rogiński H. on rodak z Niewodowa, a mieszkał w Łomży, był sierżantem.

Przywitaliśmy się i on wyjmując kartkę z podspodniej kieszeni i mi mówi, że on w Niewodowie zwerbował 8-miu ochotników do organizacji POP i oni będą należeli do pana a ja się pytam, czy oni wiedzą o tym, że będą pod moją komendą, on mówi, że wiedzą ale nie wszyscy. Wziąłem tę kartkę i patrzę którzy to są i czy z nimi będzie można pracować i powiem im jakie nasze hasło.

Rogiński pochodził z Niewodowa a mieszkał w Łomży i bardzo dobrze żył z B. Kozłowskim i on

go do mnie przysłał z tą kartką ochotników z Niewodowa. Każdy członek tej organizacji musiał znać hasło i odzew, więc gdy usłyszał hasło zaraz musiał powiedzieć odzew. Wtedy mogli do siebie mówić różne wieści o naszej organizacji, bo obaj do niej należeli.

A byli to - Zaręba Zygmunt, brat jego Zaręba Stanisław, Targoński An. i jego brat Targoński, Gościowski, Staniorski An., Dąbrowski Cz., Dębnicki B. razem ośmiu dobrych chłopów i dobrych Polaków. Przez tego Rogińskiego posłałem im nasze hasło, które brzmiało - to przyjacielu może masz metr olszyny, jest mi potrzebna, to kupiłbym i to hasło wymawiało się, gdy chciało się porozmawiać o naszej organizacji.

W pierwszą niedzielę marca 1940 r po nabożeństwie w kościele przychodzi do mnie Godlewski M i powiada, że ten spis ochotników co ja podałem w Łomży Kozłowskiemu został odesłany do Malinowskiego i więcej żeby się wujek nie kontaktował z Łomżą, tylko z Malinowskim w Rakowie, a on dopiero jako komendant całej gminy Drozdowo będzie sprawozdanie zdawał swojej władzy wyższej w Łomży. W ten sposób nie będzie się stwarzać różnych trudności bieżących.

Od tego dnia w każdej sprawie porozumiewaliśmy się wspólnie z komendantem Malinowskim, co mi było to na rękę, bo nie potrzebowałem jeździć, czy chodzić do Łomży. Przez Mietka Godlewskiego załatwiałem wszystkie wiadomości i odwrotnie przez niego otrzymywałem wiadomości od komendanta.

Na drugą niedzielę przychodzi Mietek i mówi, że kupili jeden karabin maszynowy ciężki a na drugi dali zadatek, które mają być przewiezione z Czerwonego Boru do rzeki a potem będą przewiezione łódką rzeką Narwią do pierwszego Rakowa Czachy.

No i Mietek mówi, że ja je muszę przyjąć i zachować u siebie w Drozdowie, bo tu one będą użyte, gdy nadejdzie odpowiednia chwila na to.

Potem mówi mi, że już mają 100 granatów ręcznych i cztery karabiny maszynowe lekkie i dużo karabinów ręcznych i naboji do nich. A ponieważ drugi karabin maszynowy ciężki był tylko zadatkowany, więc ja powiedziałem o tym p. Kowalewskiemu i się złożyłem i dalim Mietkowi kilkadziesiąt rubli na wykupienie tego karabinu maszynowego.

Kozłowski B. z Łomży przysłał mi kartkę, że na ogół idzie w całym powiecie dobrze i że 45% sowieckiego wojska i oficerów będzie po naszej stronie, gdy będzie powstanie. Ja zacząłem zbierać dokładne wiadomości gdzie i w którym budynku i ilu jest zakwaterowanych żołnierzy sowieckich i ile mają karabinów maszynowych. Donosili mi o tym wszystkim Karwowski Adam murarz, który częściowo reperował im mieszkania i bielił prawie w każdym budynku browarnym, więc mi powiedział, że nad fermentacją, gdzie miał być kantor był duży pokój z czterema oknami, z których było widać całe podwórze browarne i co na nim się dzieje. W tym pokoju były dwa długie stoły zbite z desek. Na pierwszym stole od wejścia stał ciężki karabin maszynowy z taśmą z nabojami i skierowaną lufą w kierunku drzwi, potem na stołach stały cztery karabiny maszynowe lekkie z taśmami z nabojami, każdy był skierowany w swoje okno na podwórze. Potem pomogłem Karwowskiemu nieść glinę, gdzie był kantor, tam on postawił piec do ogrzewania a tam jak pomszczół w ulu pełno żołnierzy, było ich około 100. W przybudówce do kantoru stały skrzynki z nabojami i z granatami ręcznymi, żadnego tam posterunku nie było za to na każdej drodze, czy dróżce do Drozdowa, gdy się ściemniało już stały posterunki.

Razu jednego już się trochę ściemniło szedłem z ulicy Górnej od Ciuchnickiego. Trafiam na posterunek, który stał na przeciw domu Pisarskich, rosła tam gruba topola, tam co noc stał posterunek, bo to było blisko sztabu. Śnieg był do kolan, mróz duży, ten posterunkowy schował się za topolę, gdy byłem od topoli jakieś 12-cie metrów wyskoczył i krzyknął stój. Ustałem on krzyczy łóżyś na ziemi, każe mi się kłaść na ziemi w śnieg, na szczęście, że umiałem po rosyjsku mówić i mówię do niego, że ja jestem ławocznik to znaczy skiepikarz a ja jeszcze od czasu do czasu kupowałem wieprze i robiłem kielbasę. Oni u mnie ją kupowali, do spółki z Mariakiem T. handlowałem.

Więc ja jemu mówię żeby przyszedł jutro do sklepu to mu dam kielbasy, no i chwilę namyślał się i mówi idzi. Przyszedłem do domu, opowiadam żonie o tym a żona mówi, że kielbasy już nie ma, tylko zostawiła dla siebie kawalek. Ja mówię, że już ten kawalek to zostawię dla niego. Rano przychodzi do sklepu i mówi nu dawaj kielbasu, było jej może ćwierć kilo, daję mu a on mówi, że to mało, ja mu mówię, że żona sprzedała i więcej nie mam ale jak będę miał to mu dodam jeszcze i poszedł.

Jeszcze jeżeli chodzi o informacje, to donosił mi Nawrocki Bd. był on stróżem przy bramie i wiedział co się dzieje w całym browarze. Mówił mi, że kocioł parowy już omurowali na miejscu gdzie miał stać, mają już stód, pasów przywieźli cały samochód i olszynę do gotowania piwa, nagrzewania kotła parowego, który poruszał wszystkie maszyny i windę.

Powiedział mi to co już wiedziałem o tych karabinach maszynowych, co stoją na stołach z gotowymi taśmami wycelowanymi w okna i drzwi. Poza tym przyszedł do mnie Jan Szymanek i powiada, że zwerbował Pisarskiego Hen. i dwóch braci Sobieszczyów Jana i Leona i przyjął od nich przysięgę i powiedział im hasło i odzew.



Hasło nasze było tej treści - przyjacielu może masz metr olszyny, to sprzedaj, bo jest mi potrzebna. odzew - mam mogę ci sprzedać nie jeden metr ale ile zechcesz. Po wypowiedzeniu hasła i odpowiedzi odzewie było już wiadomo, że obydwaj rozmówcy należą do tej samej organizacji Polska Organizacja Podziemna.

W ten czas można było prowadzić rozmowę o tej organizacji i udzielać sobie informacji. Ja wszystkie informacje notowałem sobie w głowie i zawiadaniałem o wszystkim przez M. Godlewskiego komendanta Fr. Malinowskiego. Swoją kancelarię miał sztab pułku po panu Lubczańskim, który gdzieś wyjechał z Drozdowa. Zostawił dom, zabudowania gospodarskie, ogród duży i ziemię najlepszą z całego Drozdowa.

Na tym podwórzu było osiem samochodów z karabinami maszynowymi przeciw lotniczymi, razem było około 600-set kawalerzystów w Drozdowie i potem, nie wiem czy przyszli piechotą, czy ich przywieźli około 200-stu piechurów nędźnie ubranych i obutych. Kilku miało zamiast kamasy czy jakichś butów kawały opon sznurkami poprzywiązany do nóg.

Gdy ludzie się zbiegli i zaczęli się im przyglądać co to za panowie przyjechali z rajy przyszedł jakiś kapitan i kazał rozejść się wszystkim ciekawym a tych przyszłych żołnierzy zaraz umieścili w browarnych budynkach, żeby ich nie oglądali Drozdowiaki.

W kwietniu chcąc wykryć naszą organizację pułkownik kazał oficerom zrobić alarm i szykować się wszystkim do udawanej ucieczki. Wszyscy się rzucili do swoich koni, samochody powyjeżdżały na drogę z karabinami maszynowymi, wszystko latało biegiem.

Ja w tym czasie byłem w domu, wpadł do mnie Dzieżkoński Janek i mówi Olek masz granaty sowieci uciekają, z górnego dworu wyrzucają oknami różne skrzynki, dwa motocykle wyprowadzili na drogę i lada chwila będą uciekać, to my byśmy ich przyspieszyli do ucieczki, żeby oni nie zdążyli wszystkiego zabrać z magazynów.

Ja mówię Janek idź do domu i ani się waż cośkolwiek robić, bo to jest udana ucieczka a żeby w ten sposób wykryć tajną organizację, on pokręcił głową i mówi może być i poszedł. Kawaleria powyjeżdżała galopem ze wsi i za godzinę wszystko wróciło na swoje miejsce.

Za parę dni szedłem do kowala Jaroty poklepać siekiere, bo była gruba w ostrzu, idę z powrotem i spotykam Janka Szymanka. On do mnie mówi, że tu jest w tej kawalerii kowal Rosjanin. To on do niego mówił, że jego ojciec miał ziemi 40-ści dziesięcin, to mu zabrali do kołchozu tę ziemię a jemu kazali przychodzić do roboty w tym kołchozie. On nie chciał iść do tej roboty, to go zabrali i nie wiadomo co się z nim stało, bo my nic nie wiemy o nim.

I ten kowal mówił do Szymanka, że on wie, że tu jest podpólna organizacja i że on by chciał do niej należeć i pomścić się za swojego ojca i mówił, że gdyby nadszedł czas powstania, to on od razu poprzecinałby telefony, które dochodzą do sztabu i pułkownik nie mógłby nigdzie żadnych rozkazów wydać, zrobiłby się od razu popłoch i bałagan, w czasie którego można by rozbijać sowietów.

No i nagadał mu, że tu jest dużo takich żołnierzy jak on pokrzywdzonych przez rządy sowietów i oni by też chcieli należeć do naszej organizacji i przynieśliby parę skrzynek granatów ręcznych. Ja na to Janek ani się waż jemu co mówić z nim cokolwiek o organizacji. Owszem rozmawiaj z nim jak najlepiej, grzecznie ale nie mów do niego o organizacji, bo ty nie wiesz. Gdyby on wiedział i powiedział jeszcze drugiemu, to mogło by się wydać i bylibyśmy zgubieni wszyscy i ogromną krzywdę wyrządzilibyśmy naszej kochanej Ojczyźnie i naszym rodzinom. Trzeba czekać aż nadejdzie czas i rozkaz z góry, pamiętaj o tym, co ci dziś powiedziałem. Powiedział dobrze, i o organizacji ani piknie do niego.

W połowie maja sołtys kazał mi furmanką żeby jechać do pniewskiej olszyny i przywieźć jeden metr drzewa do browaru, do gotowania piwa, codziennie jeździły ze wsi furmanki szarkowe po tę olszynę, bo już browar był czynny i codziennie gotowali piwo.

Pojechałem rano, miałem kwit od sołtysa na jeden metr drzewa olchowego, leśnik kwit przyjął i wydał mi to drzewo, które przywiozłem na plac browarny. Drzewa tego już było na placu chyba więcej jak sto metrów. Przyjmował je mój dobry znajomy kolega z Piątnicy Wł. Ch., razem nieraz popijaliśmy, przyjeżdżał do mnie do Drozdowa prawie na każdy odpust, bo przed wojną miałem w swoim sklepie wódkę, piwo, wino i różne zakąski dobre, jednym słowem było co wypić i zakąsić.

Żyłem z nim ładnie, parę lat jak brat z bratem. Ja drzewo zdejmuję z wozu i układam, on z zeszytem takim grubym zapisał to drzewo i pyta się mnie Olek co słyhać w Drozdowie, jak tam ci idzie robota. Ja wierząc jak bratu myślałem, że on mnie się pyta o organizację, nie powiedziałem mu hasła, tylko mówię Drozdowo jest w porządku zorganizowane. Gdy mu to powiedziałem wyszedł dyrektor browaru i idzie wprost na nas, na szczęście, że już nic więcej nie mówiłem do niego. Wsiadłem na wóz i pojechałem do domu.

W niedzielę przyszedł do mnie M. Godlewski, opowiedziałem mu o tym co mi mówił Szymanek J. i o tym żołnierzu sowieckim kowalu i co ja potem poleciłem Szymankowi. Godlewski poszedł i powiedział, że powie o tym komendantowi Malinowskiemu.

Nad wieczorem sołtys nakazuje mi furmankę do lasu i będzie tam więcej furmanek i każdy ma zawieźć kloca z lasu na stację kolejową do Łomży. Trudno, nie powiesz, że nie pojedę, przygotowałem się do tego lasu, przy łóżku postawiłem takie codzienne buty, mundurek pod szyją zapinany i spodnie codzienne z naszytymi brezentowymi łęgami na tyłku, to był tybiór tylko do lasu.

Położyłem się wcześniej żeby rano wstać i jechać do tego lasu ale usnąć jakoś nie mogę, wcale mnie sen nie bierze, przedstawiają mi się jakieś obce strony, jakieś nieznanne wysokie góry, czego nigdy przed tym nie było.

Ale jak zwykle drzwi skrzypnęły w kuchni i słyszę rozmowę ale krótko, potem otwierają się drzwi do naszej sypialni, przez którą przechodzą łączniki prawie co noc do pokoju w którym kwaterują oficerowie.

Ja oczy przymrużyłem tak jak bym spał ale niezupełnie, chcę widzieć kto będzie przechodził. Patrząc idzie adiutant pułku Łagutkin, otworzył drzwi do oficerów, za sobą zamknął, jak tam im coś powie, jak tam się wszyscy zerwali z łóżek, była chwila ciszy, widać się ubierali, potem zaczęli rozmawiać. Ja chciałem usłyszeć o czym oni rozmawiają ale była to rozmowa zciszona i nic nie słyszałem. Godzina mogła być 22 w nocy. Około jednej godziny rozmawiali, nareszcie otwierają się drzwi, podchodzi adiutant do mego łóżka, bierze mnie za ramię i mówi chazaj wstawaj, ja się podniosłem, oczy przecieram i pytam się ciewo choczecie od mienia, myślę, że może chcą wina, bo ja tym swoim oficerom przynosiłem z Łomży nieraz ale on ostrzej do mnie mówi wstawaj skorej i ubierajsa. Wstałem, ubieram się w te codzienne ubranie jak do lasu, gdy tam jadę. On mówi pojdziom w sztabu, ja się pytam po co, on mówi tam pogawarym i potem wiemosc damoj.

Moja żona jeszcze nie spała, w końcu kwietnia urodziła syna, źle się czuła, dzieci starsze wszystkie spały. Obejrzałem się na oficerów, którzy mnie kwaterowali, dwóch stało przy drzwiach, jeden oparł się o futrynę plecami, drugi o drugą futrynę oparł się plecami, ten Łowianin spuścił głowę patrzył na dół, Łopucha miał prawą rękę z tyłu na prawym boku, jakby trzymał rewolwer, trzeci stał z tyłu a tu Łagutkin krzyczy idziom, skorej nie dołgo wiemosz damoj.

Wychodzimy do kuchni a tu stoi zwodny po polsku plutonowy i trzyma rewolwer skierowany do mnie. Wychodzimy do sieni i po dwóch schodach mamy zejść na piwnicę zawołbową cementem. W tej chwili patrząc Łagutkin też otwiera kaburę i rękę kładzie na rękojeści rewolweru ale go nie wyjął. Ja do niego mówię nie bójcie się ja wam uciekać nie będę. A on powiedział idziom idziom.

Podchodzimy przed duży budynek po Lutostawskich i była przy nim dość długa przybudówka, drzwi były na wprost i do nich dwa schody kamienne. Zatrzymaliśmy się przed schodami o jakieś trzy metry.

Łagutkin podszedł do drzwi i puknął w nie trzy razy rewolwerem, drzwi się otwały i z nich wyskoczyło dwóch bojców z karabinami i na karabinach były nasadzone bagnety i od razu obskoczyli mnie, jeden z jednej strony jakieś półtora metra a drugi z drugiej strony w tej samej odległości i trzymają te karabiny jak do ataku z bagnetami do mnie. Oczy powytrzeszczali jak wilki na owce, gdybym się tylko ruszył to bym miał dwa bagnety w brzuchu a plutonowy stał z tyłu mnie, z rewolwerem w ręku.

Łagutkin po wyskoczeniu bojców zaraz poszedł do sztabu, nie było go może z godzinę, gdy przyszedł powiedział pajdziom i od razu poszliśmy drogą w kierunku browaru, tam stała stajnia na konie a za nią był równy plac, na tym placu stał samochód ciężarowy. Po drodze pytał się mnie Łagutkin czy może tu jest drugi Aleks. Pieńkowski, mówię, że nie ma, to on się pyta ty imiejesz wintowku, mówię - nie mam, to on a może ty imiejesz kulomiotczyk, ja mówię to idźcie i szukajcie. Kazali wleźć na samochód, wlałem i usiadłem na boku. Jak jeden bojec wrzaśnie na środku siadaj i ręce na kolana tożyj.

Gdy już usiadłem na środku samochodu Łagutkin z plutonowym zaraz poszli z powrotem w kierunku sztabu. Był to miesiąc maj ale poranek taki był zimny, że drżałem z zimna. Ludzie gnali krowy na pastwiska, patrzyli na mnie, jedni kiwali głowami, inni bali się kiwnąć, bali się, żeby razem i ich nie zabrali.

Była już godzina około siódmej rano, zaczęli się schodzić robotnicy browarni, przed bramą wszyscy się patrzą w moją stronę, pracowali w browarze, który był nieczynny dwa lata i Żydzi do spółki z kilkoma Polakami chcieli go kupić na rozbiórkę od banku w Warszawie, który przejął browar za długi od 2 właścicieli Lutostawskich. Ja chcąc nie dopuścić do zniszczenia tego browaru z którego piwo na całym świecie było znane z dobroci i smaku. 18-ście złotych medali na wystawach światowych otrzymali właściciele za dobroć piwa. Było w nim produkowane marcowe, kuracyjne, złote, simpleks, porter, jasne i ciemne, siedem gatunków razem.

Piwowarem był Gronowski z Poznania a potem Zeman z Czech a na końcu przed bankrutem był piwowar Soszyński. Bank w Warszawie głosił, że chce sprzedać browar w Drozdowie na uruchomienie za cenę 85.000 złotych a jak na rozbiórkę 120.000 złotych. Żydzi chcieli go zniszczyć żeby nie mieć konkurencji, chcieli dać tę sumę 120.000 zł. i dawali mnie 5.000 złotych żebym ja tu na



miejscu dopilnował tej rozbiórki całego browaru.

Gdy mnie zaproponował jeden z Polaków w Łomży to aż mi się w głowie zakręciło i jakby mnie kto nożem pchnął tak mnie serce zabiło. Powiedziałem mu, że się namyślę i zacząłem szukać kupców. Zgadałem się o tym z właścicielem apteki p. Kaliszem i potem obaj namówiliśmy doktora J. Rogowskiego. Zgłosił się do nas piwowar p. Soszyński i kupiliśmy, ja tylko 15% całości nabyłem, bo i więcej nie miałem pieniędzy a rozchodziło mi się nie o zysk, tylko o nie dopuszczenie do zniszczenia browaru i dania ludziom pracę. Pół roku szukałem kupców ale dopiąłem swego.

To też gdy stali przed bramą browarną wszyscy zwróceni byli twarzami w moją stronę gdym siedział na samochodzie i gdy dzwonek zadzwonił brama się otworzyła, prawie wszyscy kiwnęli mi rękoma i na pewno żalowali mnie, bo ja im dałem tę pracę.

Siedzę na tym samochodzie i drżę z zimna, goni krowy Dybicz. A on nieraz robił u mnie, więc krzyknąłem do niego Dybicz zasiejcie mi grykę na Niewodowie, powiedział dobrze, jak bojec krzyknie na mnie, że nie wolno mi z nikim rozmawiać. Potem patrzę jedzie samochód ciężarowy, z mojej strony mijają mnie, patrzę na tym samochodzie siedzi mój komendant Malinowski z Rakowa i razem sołtys Nowacki i dwóch bojców z tyłu z bagnietami na karabinach, machnęli tylko ręką w moją stronę i pojechali w stronę Łomży,

Nareszcie idą lejtnant Łagutkin i ten plutonowy i Zbyszek z nimi, mój najstarszy syn zapłakany i przyniósł mi nowe buty, chleba i wędzonego boczku z półtora kilo i kawałek słoniny. Ja czym prędzej zdjąłem stare buty i obułem nowe z długimi cholewami, ucałowałem swego kochanego syna nie mogąc z żalu ani słowa do niego przemówić, tylko łzy mi się z oczu posypały, bez słowa żadnej pociechy dla swojej kochanej rodziny. Lepiej by było żeby zamiast butów przyniósł mi jakiś sukmanek, bo byłem strasznie zmarznięty. Gdy Zbyszek przyszedł, torbę bojec wziął od niego i zrewidował co tam jest i dopiero podał mi, tak i buty zrewidował.

Wreszcie motor samochodu zadudnił i wyjechalim na drogę w kierunku Łomży. Jedziemy przez drozdowski las. Będąc jeszcze młodym chłopakiem dużo w nim przyjemnych chwil spędziłem, prawie co niedziela byłem w nim. Na samym szczycie stała tu altana, tu w niej młodzież się bawiła, tańczyła i śpiewała razem, byłem i ja. Stały mi znowu w pamięci ludzie stojący przy browarnej bramie i moja cała rodzina, czy oni sobie dadzą radę beze mnie, czy ja ich jeszcze kiedy zobaczę?

Żona była dwa tygodnie po urodzeniu 4-go syna, 3-go dnia musowo było zgłosić się do sielsowietu, my chcieliśmy dać dwa imiona Sebastian i Henryk, był sekretarzem z Drozdowa Waniewiak. Przychodzę mówię dzień dobry, nie odpowiedział, tam coś pisał. Mówię mu urodził mi się syn on pyta się jakie będzie miał imię, mówię Sebastian, Henryk. On powiada u nas nie ma Sebastian, Henryk, tylko albo Henryk albo Sebastian i to tak hardo. Myślę sobie niech będzie Sebastian, bo tak się mojej żonie przedstawiło jeszcze przed porodem. Spisał taki akt i przyszedłem do żony i mówię, że tylko jedno imię zapisał, bo to już tak jest w Rosji.

Tak rozmyślając dojechalim do Łomży na ulicę Drożnej. Wjechalim przez bramę przy wysokim budynku na przeciw sądu wojskowego, po przeciwnej stronie. W tym budynku cośmy zajechali w podwórzu mieścił się sztab NKWD. Gdy tylko się samochód zatrzymał, już zlął bojec i kapitan ze sztabu Łagutkin wyskoczył z kabiny, przywitani się i każe mi zsiadać z samochodu, tylko zeszedłem on i kapitan poszli wprzód a ja idę za nimi, obraca się ten kapitan łomżyński do bojca i mówi kopaj skatline nogami eto prakiatjy bandyt, kopaj nogami. Ten bojec podskoczył do mnie blisko i chciał mnie kopnąć nogą ale ja odskoczyłem, potem drugi raz chciał kopnąć, ja znowu odskoczyłem i trzeci raz to samo, nie dałem się kopnąć. Weszlim do budynku i po schodach weszlim na górę, przechodzimy przez dużą salę, patrzę a tu leży kapucyn na posadzce na brzuchu, ręce ma pod swoją twarzą, obrócony w kąt głową, na przeciw leży drugi kapucyn w ten sam sposób twarzą w kąt obrócony a w trzecim kącie stał człowiek obrócony w kąt twarzą.

Mnie poprowadzili dalej do mniejszego pokoju, tam stał stół i taborek, za tym stołem siedzieli dwóch oficerów - kapitan i porucznik. Jeden wskazał palcem na taborek i mówi siadaj i ruki na kolana położyć. Łagutkin wyjął jakieś papiery ze swojej teczki i podał je kapitanowi, który siedział za stołem, ten przyjął i odwitali się i poszli.

Porucznik przysunął papiery, które zostawił mu Łagutkin i zaczął je przeglądać. Gdy je przejrzał, odsunął je i wyjął z szuflady czysty arkusz papieru i pyta się mnie jak ja się nazywam, mówię, że Pieńkowski Aleksander a imię ojca - Mateusz, rok urodzenia mówię 1897, gdzie się urodził - w Drozdowie rejon Łomża, obłast białostocka. Potem się pyta czy ja mam braci, odpowiedziałem mam jednego, jakie imię, odpowiedziałem, że nazywa się Emil a gdzie mieszka, mówię w Drozdowie a ile siostr masz, mówię dwie a gdzie one mieszkają, odpowiedziałem, że jedna mieszka w Krzewie Władysława a on za kim jest, kak go zwać, odpowiedziałem Wykowski Bronisław a druga siostra odpowiedziałem, że nazywa się Józefa i mieszka w Drozdowie a mąż jej nazywa się Zabielski Józef.

Potem pyła się, których ty masz w Drozdowie najlepszych kolegów, ja jemu mówię, że ja mam bardzo dużo kolegów dobrych, to on mówi podaj 5-ciu takich najlepszych, zaraz pomyślałem, że będą

ich ciągać. I podaję takich, co wiem, że ich ciągać nie będą - 1-szy Sielawa Zygmunt, 2-gi Sielawa Jerzy, 3-ci Waniewski S. sekretarz selsowietu, 4-ty jego brat Waniewski Stan. 5-ty Święckowski Cz. a on wszystkich zapisywał i mówię to najlepsi moje drużja. On wykręcił ten papier co na nim pisał i mówi podpiszj, podał mi pióro do ręki i ja podpisałem, on odłożył go na bok i sam podpisał.

Potem wziął arkusz papieru już zapisany i powiada to jest protokół rewizji w twoim domu i w całym chadziajstwie, niczego tam nie znaleźli, tylko zabrali książeczkę wojskową i miniaturkę brązowego krzyża zasługi, którą otrzymałem za zorganizowanie Ochot. Straży Pożarnej i za pracę społeczną w Drozdowie i powiada, że przy rewizji było dwóch świadków i daje mi do podpisania ten protokół, podał obsadkę i odkręcił papier do mnie. Patrzę a tu jest podpis mojej kochanej żony i dwóch świadków - Zabielski Józef mój szwagier i Jagodziński Jan mój bliski sąsiad.

Potem już na trzecim papierze musiałem podpisać order aresztowania, podpisałem, schował wszystkie papiery i wyszedł ten porucznik co pisał i z nim wyszedł kapitan, który tylko siedział i obserwował mnie cały czas. Drzwi za sobą nie zamknęli, bo zaraz wszedł bojec z krótkim karabinem i stał przy drzwiach i przyglądał mi się.

Za jakieś 20 minut wszedł starszy lejtnant i powiedział poszli i sam idąc naprzód przez ten pokój, co leżeli kapucyni i jeden mężczyzna ale już ich nie było. Po schodach wyszlim na podwórko a tam stała już taksówka i kazał mi do niej wsiadać, wsiadłem, obok szofera kapitan i bojec z tyłu. Gdy wsiadłem kapitan powiedział krasnyj dom od razu skapowałem, że to więzienie. Pierwszy wyskoczył bojec z karabinem w rękę gotowym do strzału, że gdybym chciał uciekać, to zaraz by strzelał, potem wyszedł kapitan, zaraz puknął w bramę i klucz zgrzytnął, brama otworzyła się, podszedł jakiś enkawudzista, kapitan oddał mu protokół aresztowania i sam poszedł do taksówki i odjechał. A tam była jeszcze jedna brama przy biurze, w tak zwanym czerwoniaku. Tam był cały urząd więzienny.

Enkawudzista puknął w tę bramę, która zaraz otworzyła się i wprowadził mnie do czerwoniaka i skierowali to takiej poczekalni. Bojec z karabinem zaraz odszedł a przyszedł jakiś drugi enkawudzista i każe mi zdejmować buty i wszystkie ubranie z siebie. Staję goły jak święty turecki i patrzę na nich jak oni, jeden złapał spodnie a drugi mundurek i rewidują, nie tylko po kieszeniach ale każdy szef, miałem haftki mundurka pod szyją, zaraz je scyzorykiem wypruli, po zrewidowaniu ubrania, bielizny, oglądali buty na wszystkie strony, postawili buty, podchodzą do mnie, każą otworzyć usta, otworzyłem, każą wypiąć tyłek, wypiąłem, przyglądają się, to jeden, to potem drugi zagląda, nareszcie u nóg pomiędzy palcami, czy czego nie ma, skarpety były takie grubsze, to je najprzód szczyпали a potem jeszcze odwracali. No i nic nie znaleźli ale jeszcze miałem boczek wędzony i chleb w torbie, wyjęli, obejrzel i torbę też i zdjęli papier z boczku a boczek i chleb oddali. Wreszcie kazali mi się ubrać skarej, to znaczy prędzej, ubrałem się, wyprowadzili mnie na podwórze.

Przy murowanym ogrodzeniu wysokim stała jakaś przybudówka, otwierają drzwi, popchnęli mnie do niej, zamknęli i poszli. Była to jakaś czopa, czy może garaż samochodowy, posadzka była w nim cementowa, mokra. Żadnych gratów w nim nie było, zaczynam chodzić ale za jakieś pół godziny słyszę gwar, krzyki enkawudzystów, ruganie wy sukinsyny bradziagi idzicie skarej i zbliżają się do tej szopy, w której ja siedzę sam, już dochodzą i słyszę komendę stój w dwoich stawaj skarej.

Za chwilę klucz zgrzytnął we drzwiach i drzwi się otwały i zaczęli wchodzić do środka ludzie obdarci, głodni, widać było straszne przygnębienie na nich. Przywieźli ich z Grajewa z więzienia, było mężczyzn 42 i 3 kobiety. Ja poczułem głód, wyjąłem chleb i boczek ale nie mam noża, chleba to sobie ułamałem a boczek zaczynam zębami gryźć, po małym kawałeczku. Jak to zobaczyli, jak rzucą się do mnie, ręce wyciągają i proszą daj bracie choć skosztować kawałek, bo już smaku zapomniałem, niech sobie przypomnę, bo jeszcze dzisiaj nic jeść nie dali.

Któryś miał scyzoryk, podał mi i ukroiłem temu pierwszemu i temu ci mi dał scyzoryk, dałem kawałek ale potem obstąpili mnie dokoła i każdy prosi. Ja dzielę po kawałku i tak rozdzieliłem dwie trzecie a tu wciąż cisną się i proszą jeszcze mnie, jeszcze mnie i byłbym wszystko rozdał i mało by było ale Żyd już stary mógł mieć lat około 50 krawiec z zawodu przysunął się do mnie i mówi schowaj pan resztę, bo i tak wszystkich nie obdzielisz a za chwilę i sam nic już nie będziesz miał i na drugi dzień będziesz pan głodny jak i oni. Ukroiłem sobie jeszcze kawałek, resztę schowałem, pozostało mi może 1/4. Ledwie zjadłem zgrzytnął klucz w zamku, drzwi się otwały i wszedł bojec przy rewolwerze a z nim dwóch więziennych fryzjerów. Zaczęli wszystkich po kolei strzyc maszynkami, włosy na kolano, maszynki były tępe, to też aż się zęby z bólu zaciskało, bo może 1/5 włosów to jak nie uciał, to wprost je wyrwał.

Po ostrzyżeniu wszystkich ustawili nas dwójkami i poprowadzili nas do łaźni, po wymyciu, poprowadzili nas do szczepionki. Każdy dostał zastrzyk przeciw tyfusowi, po zaszczepieniu dwóch zemdłało, byli strasznie osłabieni. Później przyprowadzili nas z powrotem do tej samej poczekalni. Jak już wszyscy weszli, zaczęli krzyczeć dajcie nam jeść, my jesteśmy głodni, godzina mogła być około 3-ciej po południu. Za jakąś godzinę przynieśli kocioł rzadkiej kaszy owsianej i ze dwadzieścia misek i każdy dostał pół litra tej kasianej zupy.



Gdy już wszyscy podjedli, przyszli we dwóch, jeden z listą w ręku i bojec. Ten z listy zaczął wyczytywać po dwóch i po trzech i zaraz odprowadzali do więzienia, do cel. Gdy już wszystkich wyprowadzili, ja zostałem sam, po paru minutach drzwi otworzył bojec i mnie do czerwoniaka zaprowadził, w którym mieścił się cały zarząd więzienny.

Wszedłem na korytarz, gdzie nigdy jeszcze nie byłem, był dość czysty, ładne schody metalowe i gdy już byłem przy schodach, to bojec kluczem uderzył 3 razy w poręcz a mnie za rękę przytrzymał. Tym uderzeniem klucza dawał znać na wyższe piętra, żeby czasami w tej samej chwili drugi bojec nie prowadził z wyższego piętra aresztowanego na parter do śledztwa, tak żeby aresztowany nie mógł mnie zobaczyć i ja jego. Zawsze tak było i gdy tamten z góry odpukał 3 razy kluczem w poręcz, w ten czas kazał ręce wziąć do tyłu, założyć jedną na drugą i tak iść po schodach na górę.

Przeszliśmy pierwsze piętro, idziemy na drugie, na drugim skręciliśmy w lewo i zatrzymaliśmy się przy ostatnich drzwiach od strony Łomżycy, bojec kluczem otworzył drzwi i ja tam wszedłem popchnięty przez bojca, po tym znów drzwi zamknął na klucz.

W tej samej chwili jakiś człowiek zerwał się z łóżka w matrowskim ubraniu, spojrzałem na niego a on na mnie patrzy. Nie znałem ja jego i on mnie nie znał. Wyciągnąłem rękę do niego i przedstawiłem się jemu - Pieńkowski jestem z Drozdowa. Złapał mnie za rękę i uściśnął i mówi Wyszyński jestem z Piątnicy i mówi dziś tydzień jak mnie aresztowali. Sam jeden tu siedzę, myślałem, że zwariuję ale teraz już będzie mi lżej we dwóch siedzieć. Gdyśmy zamienili te kilka słów spojrzałem na drzwi a tam na każdych drzwiach była klapka odsuwana na bok a w tej klapce małe okrągłe było szkiełko, tak, że bojec przez nie mógł obserwować i podsłuchiwać co się dzieje w celi i o czym rozmawiają aresztowani.

Gdy spojrzałem we drzwi widzę jedno oko w tym małym szkiełku, ktoś nas obserwował. Przeszliśmy rozmawiać. Ja przyglądałem się mojemu nowemu mieszkaniu. Cella była długa 5 metrów a szeroka 2 metry, jedno łóżko żelazne, pół metrowej szerokości i kibel do załatwiania się a śmierdział jak cholera.

Do ustępu prowadzili tylko raz na cały dzień, rano żeby się umyć i załatwić na 24 godziny. Usiadłem obok Wyszyńskiego, bo łóżko było tylko jedno, zaczęliśmy rozmawiać. Znowu się pokazało oko w okienku, przestaliśmy rozmawiać. Wyjąłem z woreczka resztę chleba i miałem ukrojone dwa plasterki boczk. Dałem taki sam kawałek chleba swojemu towarzyszowi jak i sobie i po plasterku boczk. Zjedliśmy z apetytem. Słuchamy pod drzwiami zczyszoną rozmowę, potem oko w klapce i tak cały dzień nas podsłuchiwali i obserwowali.

Przed wieczorem już się zaczęło ściemniać drzwi kluczem otwarli i bojec z kucharzem przynieśli kocioł zupy z kaszą owsianą, ja jeszcze nie miałem swojej łyżki i miski, to wlał do miski towarzysza 1 1/2 chochli, bo całe dwie nie weszły i powiedział, że to na dwóch, drzwi zamknął na klucz i poszli do innej celi. Wyszyński zjadł połowę a ja resztę zjadłem taki kieik owsiany z czystym postem, jak dieta dla chorego.

Po kolacji pytam się za co pana aresztowali ale tak zczyszonym głosem, żeby za drzwiami nie mógł nikt mnie usłyszeć. On mówi, że należał do POP a wydał go S.W. i on się przyznał do tego, bo mu udowodnili jego pseudonim i kto jego werbował i kto mu przysięgę wydawał. Z nim razem w Piątnicy aresztowali coś z 6 osób, w tym nauczyciela Krawczyka.

Ja jemu mówię, że mnie też aresztowali jakoby ja należał do organizacji ale zupełnie nic o organizacji nie słyszałem i nic nie wiem. W tem lekko ktoś puknął w ścianę w bocznej celi, nadstawił uszy, słuchamy a przez wentylator ktoś mówi halo, czy jest ktoś z Łomży? Wyszyński przysunął się do wentylatora i najprzód się pyta, kto to mówi i skąd jest, on mówi, że jest z Łomży z 33 pułku p.p. nazywa się Bobrów zawodowy plutonowy. Wyszyński nic nie odpowiedział i odszedł od wentylatora i mówi do mnie, że on jakoby w Łomży wydał kilku z organizacji i że jego tak z celi do celi przerzucają i rzekomo on jest na usługach NKWD jako ich szpieg, co usłyszy to im donosi, lepiej z nim nie rozmawiać. Jeszcze pukał trzy razy ale my się wcale nie odezwaliśmy.

Na drugi dzień przed godziną ósmą przynieśli nam chleb i dwa kawałki cukru a za jakąś godzinę przynieśli herbatę. Ja do nich mówię, żeby mi przynieśli miskę i łyżkę, bo ja nie mam w co wziąć herbaty a on mówi, że miski i łyżki nie tu a jak będzie to damy a teraz to z jednej jedźcie i poszli. My herbatę wypiliśmy, usta ocieramy a tu klapka na bok się odsuwa i bojec mówi na bukwu W., to znaczy na literę W.

Mój towarzysz wstaje i mówi Wyszyński a imię - odpowiedział a po ojcu imię ojca odpowiedział, rok urodzenia odpowiedział. Zbieraj się skorej, to prędko. On złapał marynarkę i czym prędeziej ubiera się a klucz już zgrzytnął, drzwi otwarły się, bojec mówi wychodź, prędko wyszedł, drzwi się zamknęły kluczem. Poszli słyhać było jak schodzi po schodach na dół. Ja znowu zostałem sam, zacząłem rozmyślać nad swoją rodziną.

Gdy pisali protokół opisali wszystkich, żonę, dzieci, braci, siostry, gdzie wszyscy mieszkają i teraz przedstawiają mi się przed oczyma. Była u nich rewizja a może i ich aresztują a może wywozają ich do Rosji.

Straszny żal mnie ogamął, chociaż serce moje czuło, że oni nie będą spokojni. Westchnąłem całą piersią do Boga - Boże mój Boże ratuj ich, nie daj im marnie zginąć, co ze mną się stanie, to trudno, ja musiałem tak zrobić, ja miałem swój obowiązek względem Ojczyzny spełnić, ja chciałem swoją kochaną Ojczyznę ratować jak imi, o sobie nie myślałem, że może przyjdzie mi nawet zginąć, trudno, poświęciłem siebie i całą kochaną swoją rodzinę, dla i za Wolną, Kochaną Ojczyznę Polskę Rzeczpospolitą Ludową.

Siedząc sam zamyślony, żal mnie ogamął mojej kochanej rodziny, najmłodszy mój synek miał dopiero trzy tygodnie, co moja żona da za radę sobie z tymi ośmiorga dziećmi, będąc sama jeszcze chora po położeniu. Ale mam nadzieję, że im tam ktoś pomoże, przecież tam zostało dwóch braci moich i dwie siostry a i państwo Kowalewscy, też uczciwi i porządni ludzie, którzy u mnie mieszkają a i inni też im pomogą.

Trochę się uspokoiłem o nich i zacząłem myśleć o sobie. Wiedziałem już z góry, że będą mnie męczyć i będą bić, żebym wydał kto mnie zwerbował, kto mnie przysięgę wydawał i kogo ja zwerbowałem do Polskiej Org. Podziemnej i kto mi dał polecenie na to. Ale postanowiłem, że sam się nie przyznam i nikogo nie wydam, bo jakby to wyglądało być komendantem, zwerbować a potem ich wszystkich wydać i powsadzać do więzienia, co oni by o mnie powiedzieli a ich rodziny naraziłbym na tak straszne nieszczęście. Nie tego nie zrobię, niech mnie nawet zabiją, niech to się wszystko skończy na mnie i na mojej rodzinie.

A może Bóg Wszechmocny da, że ja jeszcze kiedyś wrócę do kochanego Drozdowa i zastanę swoją rodzinę i wszystkich moich znajomych i tych, których zwerbowałem. Nie zawstydzę się i śmiało będę mógł im spojrzeć w oczy i nikt mi nic nie zarzuci i tak sam sobie przyrzekłem.

Okolo godziny 12-ej bojec przyprowadził Wyszyńskiego, widać było na jego twarzy przygnębienie i zmęczenie, chociaż mówił, że go nie bili, bo się przyznał. Opowiedział mi co jemu zarzucali i o innych się wypytywali i o czym my obydwaj rozmawiali. Ja to pilnie wysłuchałem i zaczynam się w myślach przygotowywać do odpierania zadawanych mi oskarżeń przy śledztwie, gdy mnie zawołają.

Po obiedzie bardzo rzadkim, bo w zupie były tylko jakieś dwa małe kartofelki Wyszyńskiego znowu wywołali na śledztwo i wrócił dopiero w nocy, okolo godziny 12-ej. Ja już spałem, on zjadł kolację swoją a była to kasza owsiana i kładzie się do mnie, do łóżka spać na 45 centymetrowej szerokości.

Ja położyłem się spać wprzód, to spałem od ściany a on kładł się później, to musiał spać na krawędzi żelaznego łóżka, bo łóżko było tylko jedno. Na drugą noc położyliśmy się spać, ja znowu położyłem się pierwszy od ściany, światło elektryczne się świeci a po korytarzu przechadza się dyżurny i zagląda do każdej kamery i patrzy przez otworek we drzwiach, czy wszyscy śpią.

Gdy zajrzał do nas, kiucz zgrzytnął, drzwi się otworzyły i weszło dwóch, podchodzą do nas, my spaliśmy znowu głowami w jedną stronę. Jeden był jakiś starszy, wziął Wyszyńskiego za rękę i każe mu się położyć głową w przeciwną stronę i mówi tak będzie wam lepiej spać i faktycznie było luźniej ale Wyszyński zabrał mi poduszkę, bo on był już jej tygodniowym właścicielem.

Ja położyłem sobie pod głowę spodnie i czapkę a marynarką przykryłem się ale okazało się, że zimno w nogi, więc przykryliśmy się obydwaj moją marynarką do połowy a jego marynarką niżej drugą połowę ciała, tak było cieplej spać.

Noce były zimne, chociaż był maj, w sienniku było trochę zmielonej słomy i tak przesiadziałem 4 dni bez żadnego śledztwa. Na 5-ty dzień a było 28 maja przez otworek dyżurny z kartką w ręku mówi na bukwę P, ja się odezwałem Pieńkowski a po ojcu Mateuszewicz, drzwi otworzył i mówi wychadzij, wyszedłem, on kluczem uderzył w poręcz a na dole uderzył kluczem w poręcz dyżurny, więc droga jest wolna. W ten czas on mnie wziął za rękę z tyłu i idziemy na dół, po schodach, później korytarzem do drzwi. Klucznik nam zaraz otworzył drzwi, wyszliśmy na podwórze i idziemy do bramy wyjściowej. Tam za bramą stała kryta taksówka a przy niej stał oficer i bojec z krótkim karabinem. Gdy wartownik bramę otworzył, ten co mnie przyprowadził oddał kartkę oficerowi. Ten wziął, drzwiczki były już otwarte w taksie, oficer powiada siadaj do samochodu, ja wsiadłem pierwszy na tylne siedzenie, bojec wsiadł zaraz za mną z krótkim karabinem w dłoniach a potem obok kierowcy wsiadł oficer i rewolwer trzymał w otwartej kaburze.

Jedziemy do miasta, potem na ulicę połową do sztabu NKWD, tam od razu wzięli mnie na badania. Było ich dwóch, jeden młody porucznik a drugi trochę starszy a może tylko starzej wyglądał kapitan. Najprzód spisał personalia, jak się nazywam, jakie ojciec miał imię, żonaty ile dzieci i td. rok urodzenia. gdy wszystko spisał, zrobił miły wygląd twarzy, uśmiechnął się i mówi do mnie słysz Pieńkowski ty popadł w oszybku ale to niczego, u nas jest tak w naszym Gosudarstwie, że chociaż kto zbłądzi ale się przyzna, powie prawdę może wrócić do domu. Ty należysz do podpułnej, tajnej organizacji wojskowej, to skażysz kto cię wydał namówił do tego, kto ci wydawał przysięgę, jak on się nazywa i kakają twoja kliczka, to znaczy pseudonim. Ty bądź mądry człowiek, powiedz prawdę, to cię wypuszczą i pójdziesz do domu, żony i dzieci.



No gaworyj kto ciebia zorganizował, ja mówię nikt mnie nie organizował, ja nie wiem o żadnej organizacji i ja nic nie wiem w ogóle.

On miał teczkę na biurku obok siebie, wziął i ją otworzył, wyjął z niej jakiś arkusz papieru zapisany i pokazuje mi na dole tego papieru podpis i pyta się mnie - znasz ty ten podpis, patrzę to jest podpis tego mego dobrego kolegi, co przyjmował ode mnie drzewo, szczapy przy browarze w Drozdowie. Mówię, że znam, no to ja ci przeczytam, coś ty do niego mówił; jak przywiozłeś drzewo do browaru. Ja jemu bez podania hasła powiedziałem, że Drozdowo jest w porządku zorganizowane i na tym rozmowa się skończyła, bo wyszedł dyrektor browaru i szedł prosto do nas:

W tym protokóle było napisane, że ja na polecenie jakiegoś majora z Łomży organizował Drozdowo. No widzisz nie powiedziałeś prawdy, sam sobie robisz gorzej, mów prawdę, należałeś do POP. Mówię nie należałem, przecież sam mówiłeś do niego, że zorganizowałeś Drozdowo, mówię to nieprawda, ja do niego nie mówiłem. On jest mój wróg, on powiedział nieprawdę. Ja już siedziałem dwa lata więzienia przed wojną za polskich czasów, on mnie niesłusznie oskarżył, że ja mówiłem źle o polskim rządzie.

Badał mnie ten młody porucznik a lejtnant cały czas tylko się na mnie patrzył i słuchał. Wreszcie wstał i podszedł do mnie i wziął mnie za ucho i ciągnie mówiąc kakoje on ma balszoje uszy, kak osioł no i uparty kak osioł, taki nie taki syn i on mówi czy ty będziesz mówił prawdę, czy nie, ja mówię prawdę ale wy nie wierzycie i takie było to badanie od pół do ósmej godziny rano do pierwszej po południu, bez żadnego jedzenia.

Śledowaciele poszli na obiad a mnie bojec wyprowadził na czas obiadu do drugiego, większego pokoju. Tam już był Wojewoda z Piątnicy w kącie, twarzą do ściany, a w drugim kącie siedział braciszek od Kapucynów a raczej leżał i stękał, bardzo był pobity.

Tak czekaliśmy aż przyszedli śledowaciele z obiadu. Potem bojec odprowadził nas, każdego do swojego śledowaciela i znowu zaczęło się badanie, tłumaczenie aż do godziny czwartej rano, całą noc. Zaczęło się już rozwidniać, przyszedł bojec i zabrał mnie i poprowadził do taksówki i odwieźli mnie do więzienia głodnego jak psa. Ledwie wlałem po schodach i doszedłem do celi, bojec widząc mnie bardzo zmęczonego wcale mnie za rękę nie trzymał, drzwi otworzył, wszedłem, w głowie mi się kręciło, szum, pisk w uszach, nie wyspany i głodny ustatem przy łóżku i trzymałem się go jak pijany.

Wyszyński przebudził się jak mnie bojec wprowadził, patrzy na mnie i mówi jedz pan, stoi obiad, chleb na oknie leży, bo pan jest głodny. Ja wiem, bo i mnie tak długo już trzymali na śledztwie. Wziąłem łyżkę drewnianą zjadłem trochę i położyłem się spać. Przespałem się trochę i poczułem głód a tu przez kłapkę w drzwiach dyżurny woła podnimajsa stalim, ja miałem jeszcze kawałek wędzonego boczku, wziąłem go do ręki i chleba do drugiej i trochę podjadłem, śniadania - kawy i chleba nie podali.

Całe szczęście, że podjadłem, bo już bojec przez kłapkę we drzwiach woła na bukwu P, odzywam się a on mówi ubieraj skorej, ubrałem się, otworzył drzwi i woła wychadzij, ruki z zada. Wziął mnie za rękę i idziemy po schodach na dół, później korytarzem do wyjścia i znów taksówka już stała, wsiedlim i jedziemy do miasta, do siedziby NKWD. Tam zaraz bojec wprowadził mnie do pokoju śledowaciela, tam stał taboret kanciasty, śledowaciel każe mi na nim usiąść i ręce położyć na kolanach, położyłem.

No kak Pieńkowski, ty podumał uże czto by było dla ciebie haraszo, ja mu mówię, że podumał, no to gaworyj kto ciebie zwerbował, ni kto mienia nie werbował i ja niciewo nie znaju odpowiedziałem. Jak on się nie zerwie ze swojego fotela i ach ty swołocz dla siebie i dla swojej rodziny, wyjął z szuflady rewolwer, nabił go przy mnie, cały magazynek z nabojami wsadził do rewolweru, położył go na biurku przed siebie i patrzy się na mnie a ja na niego. Nareszcie on mówi Pieńkowski ja do ciebie mówię po dobroci a ty jak nie powiesz prawdy to będzie z tobą źle i pyta się mnie - chcesz iść do domu, ja mówię, że chcę, no to powiedz kto ciebie zwerbował, kto ci przysięgę wydawał, gdzie to było i kogo ty zwerbował - no gaworyj tylko prawdę a pójdiesz do domu. Ja mu mówię, że już powiedziałem, że nic nie wiem, to co będę mówił. Jak on na mnie wrzaśnie - kłamiesz, ja wiem dobrze, że ty należysz do Organizacji podpólniej i pyta się mnie kakoj twój pseudonim, ja mówię, że nie mam żadnego pseudonimu, patrzy się na mnie chyba z 5-6 minut prosto w oczy a ja w jego oczy patrzę też ani mrugnę powiekami.

On powiada ja 19 lat uczyłsa, ja widzę wszystko w tobie, a ty chcesz mienia omamić. Spojrzał na zegarek, rewolwer wsadził do kabury i wyszedł na obiad i zaraz nadszedł bojec i wyprowadził mnie do poczekalni a w niej już trzech każdy w swoim kacie stał do ściany twarzą, mnie postawił do czwartego kąta twarzą.

Na korytarzu też stali, bo słyhać było, że jeden do drugiego coś mówił ale zaraz bojec na niego krzyknął, że nie wolno gaworyć. Za jakieś 20 minut weszło 3-ch bojców z rewolwerami przy boku. Był na poczekalni stół i krzesła, usiedli przy stole i zaczęli jeść kielbasę i bułki i chwalili sobie, że wkusna kielbasa, to znaczy smaczna a my aresztowani wszyscy głodni, prawie nic nie jedli bo przed śniadaniem wszystkich wyprowadzili na śledztwo do gabinetów śledowacieli.

Ja zjadłem przed śniadaniem zjeść kawałek chleba z boczkiem i to było moje szczęście ale jeść się chciało a tu nic nie dają na obiad i tak na sucho głodni siedzieli aż znowu nas rozprowadzili, każdego do swego ślebowaciela.

Gdy wszedłem od razu mnie się pyta czy dobrze podumał i dalej znowu te same pytania i te same odpowiedzi aż do godziny 3-ciej po północy. Później odwieźli mnie taksówką do więzienia.

Czułem się tak zmęczony, że ledwie szedłem po schodach na ostatnie piętro. Gdy bojec otworzył drzwi i wszedłem do celi zjadłem tylko kawałek chleba, popiłem czarną kawą i położyłem się spać. Śniło mi się, że siedziałem w głębokiej piwnicy, rozwalonej i nie mogłem z niej wyleźć a za ścianą znów jakiś człowiek łązi też w piwnicy i mówi do mnie, że nie długo on mnie z tej piwnicy wydostanie a ja jemu mówię jak ty mnie możesz wydostać i wtem się obudziłem. Pamiętam dokładnie ten sen i tę rozmowę z tym nieznanym człowiekiem i wziąłem ją za zły znak.

Zasnąłem na nowo i spałem twardo aż stuknął kluczykami we drzwi bojec i krzyknął ponimajsa, wstaliśmy i pozamiataliśmy swój pokój, śmiecie do kibla wrzuciliśmy, później dyżurny otworzył drzwi i poprowadził nas do ustępu. Tam się umyliśmy i załatwiliśmy swoją potrzebę, gdy wróciliśmy do celi przynieśli nam chleb, dwie kostki cukru i potem przynieśli nam czarną kawę. Gdy zjedliśmy, za parę minut wysłał Wyszyńskiego, ja pozostałem sam. Tego dnia mnie do śledowaciela nie wzywali. Na obiad przyprowadzili Wyszyńskiego, przynieśli obiad i jedliśmy a ja jego się pytam o co oni się pytają, kiedy on się przyznał. Wyszyński mówi, że najprzód pytali się o czym myśmy obydwoj rozmawiali. Potem czy on zna Wróblewskiego Staśka z Łomży i o innych z Piątnicy. Po obiedzie znowu na bukwu W przemówił przez otworek bojec. Mój towarzysz wstał i odpowiedział Wyszyński - wychadzij, gdy Wyszyński wyszedł zaraz drzwi zamknął i poszli po schodach na dół do śledowaciela na badanie. Ja usiadłem na łóżku, potem się położyłem i zasnąłem, nie wiem jak długo spałem, tylko usłyszałem pukanie kluczem we drzwi. Spojrzałem w stronę drzwi, otworek był odkryty a w nim oko bojca, patrzył się chwilę na mnie i poszedł.

Przed wieczorem przynieśli zupę na kolację, wlał do miski i powiedział na dwóch, ja zaraz zjadłem połowę a drugą połowę zostawiłem dla Wyszyńskiego. Przyprowadzili go o godzinie 10 w nocy, ja już spałem.

Światło zawsze w każdej celi się paliło całą noc i dyżurny chodził po korytarzu i co jakiś czas zaglądał przez otworek w drzwiach, czy wszyscy śpią, aby broń Boże ktoś czego nie robił, ale kto tam mógł coś robić.

Na drugi dzień klucz w drzwiach zgrzytnął, drzwi się otworzyły i wszedł wysoki mężczyzna. Był w ubraniu cywilnym, w eleganckim garniturze, przedstawił się nam jako inżynier gómiczy z Katowic, nazywał się Bielicki. Powiedział, że uciekał razem z żoną, bo go Niemcy chcieli wywieźć na robotę do Niemiec, bo co dzień robili łapanki i wywozili do Niemiec na roboty. A on nie chciał u wrogów pracować, więc uciekali z żoną do oswobodzicieli, na stronę bolszewicką. Ci ich przyłapali na granicy w Nowych czy Starych Zarębach Kościelnych. Cały tydzień siedzieli w piwnicy w tych Zarębach. Siedziało ich tam razem przechodzących przez granicę ze 40-tu, jeden na drugim, jeść im nie dawali, byli głodni i brudni. Stamtąd przywieźli wszystkich do Łomży i gdy ich w więzieniu rozprowadzali do cel, to z żoną musiał się rozstać.

Przy rewizji zabrali im - jemu złoty zegarek Omega ze złotą bransoletką, jej też złoty zegarek ze złotą bransoletką, złote obrączki ślubne i złote pierścionki jej 2 a jemu jeden. Poza tym srebrną papierośnicę, zapalniczkę i inne drobne rzeczy.

Opowiadał nam - tam pod Niemcami ukrywałem się dłuższy czas, groziła mi śmierć, bo za byle opór rozstrzelawali Polaków a tu znowu wszystko zabrali i do więzienia wsadzili, taka to jest Polaków dola. Dawniej podzielili się Polską we trzech sąsiadów - Austria, Niemcy, Rosja a teraz we dwóch sąsiadów podzielili się i tak cały dzień zszedł nam na rozmowach i rozmyślaniach ale miałem nadzieję, że to jeszcze się zmieni, gdy Francja i Anglia przystąpi do wojny z Hitlerem. Niemców pobiją a z sowietami może się dogadają i sowietci z Polski ustąpią i my wrócimy wolni do swych rodzin i do swych domów.

Następnego dnia przyprowadzili jeszcze jednego 5-go do naszej celi, gościa w wojskowym ubraniu. Był w niewoli w Niemczech i pracował tam u gospodarza, było mu tam dobrze, miał oddzielny pokój do spania, łóżko, stół, krzesło i po pracy mógł chodzić do świetlicy na radio, otrzymywał listy z domu, od rodziny.

W ostatnim liście prosiła go siostra żeby przyjechał na wesele, ona wychodzi za mąż. Po przeczytaniu tego listu, zaraz wieczorem uciekł i spieszył się na jej wesele. Przyłapali go sowietci w Zarębach Kościelnych na granicy i 2 tygodnie siedział w czarnej piwnicy, brudnej i tak ciasno było, że jeden drugiemu siedział między nogami. Siedziały matki z dziećmi małymi, dziewczyny w różnym wieku i razem mężczyźni. Żałował bardzo, że uciekł od gospodarza, bo było mu tam dobrze ale nie spodziewał się, że go złapią na granicy i do więzienia wsadzą.

Na drugi dzień, po zwykłym śniadaniu chleb i czarna kawa we drzwiach kłapka się odsunęła i



bojec z kartką woła na bukwę P, odzywa się Pieńkowski - wychadzij, otworzył drzwi, wyszedłem, kazał ręce do tyłu i założyć jedną na drugą, założyłem, stuknął kluczem w poręcz, tam mu odstuknęli, to znaczy przechód wolny, schodzimy z 3-go piętra na parter, tam skręcamy na korytarz w prawo i otworzył drzwi do śledowaciela. Wszedłem i mówię zdrasfujcie grażdanin, śledowacieli odpowiedział zdrastwuj, taborek stał jak zwykle na przeciw biurka za którym siedział na fotelu śledowacieli. Siadaj powiedział, usiadłem na taboreczku czterokanciastym, ręce położyłem na kolana i patrzę się na niego a on mnie pyta czy ja już się namyśliłem powiedzieć prawdę. Ja mu mówię, że do organizacji żadnej nie należę i nic o niej nie wiem. On mówi kłamiesz, ja chciałbym ci pomóc a tyś się uparł i robisz sam sobie gorzej, że nie chcesz się przyznać a ja mam protokół. Otwiera szufladę i wyjmuję kilka papierów już zapisanych, bierze jeden do ręki i czyta - 25 marca powiedział mi Pieńkowski Aleksander w Drozdowie, przy browarze, jak przywiózł drzewo szczapy do gotowania piwa, że zorganizował do Polskiej Organizacji Podziemnej wszystkich młodych Drozdowiaków i wszystko jest w porządku. Była to prawda ale siedzę obojętnie, żeby nie dać po sobie poznać zdenerwowania jakie te słowa na mnie wywarły, patrzę na niego. On powiedział, no powiedz jak to było, kto ciebie do tego namówił. Ja mówię - ja nic nie wiem, on mówi kłamstwo, ty wystąpił przeciw nam i złapał za rewolwer, który wprzód nabił i położył przed siebie na biurku, przyskoczył do mnie i tym rewolwerem lufą jak mnie zajedzie po boku, po żebrach, ja się zerwałem z taborka, on odstał ode mnie z tym rewolwerem w rękę i krzyknął siadaj na taborek. Usiadłem, on poszedł za biurko i też usiadł i powiada ty musisz się przyznać czym prędzej się przyznasz to będzie ci lepiej, powiedz, kto ciebie namówił do tej podpólnej organizacji, kto ci wydawał przysięgę i gdzie to było, powiedz jaka twoja kliczka, czyli pseudonim i kogo ty zorganizował i budziet wsio.

Rewolwer położył na stole, napił się wody, która stała w karafce na stole i obok niej szklanka do picia. Po napiciu splunął na podłogę i patrzy się na mnie i nic nie mówi, po chwili wsadził rękę do kieszeni i wyjął kopertę, wyjął z niej list i wodził po nim oczami, pewnie go czytał, nie wiem.

Jakoś się udobruchał i tylko namawiał mnie żebym się przyznał i opowiedział kto mnie do tego namówił i kogo ja zwerbował, bo jak się nie przyznam, to będzie ze mną źle. Zadzwoił do bojca, który zaprowadził mnie do celi.

30 maja tylko zdążyłem zjeść śniadanie, jak zwykle kawa czarna i chleb, już przyszedł bojec i zaprowadził mnie do śledowaciela, do samego południa zadawał mi te same pytania a ja dawałem te same odpowiedzi. Wściekał się ze złości i groził mi, że dosyć już tak gładko się ze mną będzie obchodził. O godzinie 12-iej dzwonił do bojca, który odprowadził mnie do celi. Po godzinie 3-iej bojec przyszedł po mnie i zaprowadził do innej celi. Śledowacieli już tam siedział i coś pisał na biurku. Ja usiadłem na taborku, oglądam się w prawą stronę, na ścianie wisi deska przymocowana do ściany a na niej jest oprawiona z włącznikiem duża żarówka, jak do ogrzewania kurczaków małych.

Śledowacieli skończył pisanie, podchodzi do tej żarówki, bierze za kontakt, jak ją włączył błysnął duży blask i on mówi tu ty wszystko powiesz i zgasił ją. Potem znowu włączył i znowu mówi, że ty tu wszystko powiesz. Ja przed wojną to tylko widziałem wieczorem jak w Łomży się żarówki świeciły po ulicach i domach a z bliska przy żarówkach w ogóle nie byłem.

Myślę sobie, że on mnie będzie przystawiał do tej żarówki i będzie mnie elektryzować, dreszcze po mnie przeszły, bo ja nic nie wiem, co się ze mną może stać, gdy on mnie przystawi do tej żarówki, ale on poszedł z powrotem za biurko i znowu zaczął coś pisać.

Nareszcie przerwał pisanie, podniósł głowę i patrzy się na mnie. Po chwili znowu pisze a ja myślę jaki to będzie ból, jak ja to długo wytrzymam, jak on mnie przystawi do tej żarówki, ale postanowiłem nie dać się przystawić do tej deski, będę krzyczał na całe gardło ale co mi ten krzyk pomoże, chyba tylko tyle co umarłem kadzidło.

Przestałem na chwilę myśleć bo drzwi się otworzyły i wszedł drugi śledowacieli, przywitali się, coś rozmawiali ścisłym głosem i wyszli obydwoj. Ja myślałem, że pewnie oni obydwoj będą mnie elektryzować. Siedzę na taborku, poszczupałem go za nogę i będę czekał jak mnie przyjdą brać do elektryzowania, to złapię taborek za nogę i prosto w łeb będę walił obydwoich aż mnie zastrzelą. Wszystko mnie już jedno bo czy prędzej czy później to mnie to czeka jak mi udowodnią moją robotę ale się sam nie przyznam do niczego.

Nareszcie przyszedł śledowacieli ale sam, znowu usiadł za biurkiem i znowu coś pisze. Nareszcie skończył, położył obsadkę na biurku i patrzy się na mnie ale tak uporczywie, prosto w moje oczy, powiekami ani mrugnie. Ja też patrzę w jego oczy i też ani razu nie mrugnąłem powiekami. Nareszcie zerwał się z fotela i pyta się czy ty powiesz prawdę, ja mówię, że już powiedziałem, że nic nie wiem i nic nie robiłem. Podszedł do deski wziął za rączkę kontakt i opuścił do dołu, światło błysnęło, obrócił się do mnie i mówi - nie chcesz po dobroci, to tu powiesz wszystko dosyć z tobą bałowatsia /to znaczy żartować/ tu skażesz wsie i tak kilka razy zaświecił i zgasił i przy każdym zaświeceniu mówił, że tu powiesz wsie ale do deski mnie ani razu nie przystawił. Poszedł za biurko, usiadł i schylił lekko głowę a ja ciężko westchnąłem. On podniósł swoją głowę i mówi, że już ostatni raz pytam się ciebie

po dobroci należałeś do podpólnej organizacji, nie należałem, iluś ludzi ty zorganizowałeś, odpowiadam nikogo nie organizowałem i nic nie wiem o organizacji, a on jak będziesz tak mówił to zobaczysz czto ja z tobą zrobię... Wyszedł szybko za drzwi i woła dyżurnego - chodź tutaj, pogadali tam coś i dyżurny poszedł po schodach na dół, za parę minut słyszę idzie po schodach kilku, myślę, że będą mnie albo do tej żarówki przystawiać albo będą mnie torturować.

Weszli od razu śledowaciel, dyżurny i dwóch wysokich ludzi. Śledowaciel krzyknął brać go skatine, dopadli do mnie tych dwóch wysokich, złapali mnie pod pachy, podnieśli do góry i śledowaciel idzie przodem po schodach na dół a ci za nim niosą mnie ale byli tacy wysocy, że ja do schodów nie mogłem dostać swymi nogami.

Wyprowadzają mnie z więzienia na plac, idziemy przez plac do budynku w którym mieści się cały urząd więzienny, przez plac też co mnie nieśli po schodach pewnie zmęczyli się, bo już nogami szedłem swoimi a oni tylko trzymali mnie za ręce.

Gdy weszliśmy do tego czerwonego budynku na korytarz już był wieczór. Śledowaciel wyjął baterijkę i przed sobą świeci ale tylko małą żarówką, bez powiększającego szkła, doszliśmy do końca korytarza i skręcamy w lewo i po schodach prowadzą mnie do piwnicy, doszliśmy do drzwi, śledowaciel wyjął z kieszeni klucze, otworzył drzwi, nic nie widziałem, było ciemno, chciałem się przeżegnać ale nie mogłem, bo trzymali mnie za ręce, tylko westchnąłem do Boga i w myśli powiedziałem Jezus, Maria, Józef bądźcie przy duszy mojej.

W tym czasie śledowaciel zaświecił elektryczność, spojrzałem na salę, była dość długa, może z 10-ść metrów i z osiem szeroka, nic w niej nie zdążyłem zobaczyć, bo zaraz na lewo stał długi stół, przed nim taborek na który zaraz kazał mi siadać, na przeciw za stołem usiadł na fotelu śledowaciel.

A ci co mnie nieśli stali z tyłu mnie. Śledowaciel wyjął z teczki papier, rozłożył, wziął obsadkę do ręki, patrzy się na mnie i powiada tak - jeżeli tu nie powiesz prawdy, to już stąd nie wyjdiesz żywy. Na lewo od stołu stała szkolna tablica, na krawie u dołu leżała kreda i kawałek szmaty. Śledowaciel podszedł do tej tablicy, była trochę zagrędzana kredą, wziął szmatę do ręki i wytarł ją dobrze i na środku tej tablicy narysował kredą kółko, od tego kółka pociągnął kredą na wskroś do góry, drugą kresę z drugiej strony na wskroś pociągnął na dół i powiada ty tu jesteś w tym kółku i tylko masz dwie drogi, jeżeli powiesz od początku kto ciebie zwerbował do podpólnej organizacji i kto ci wydał przysięgę i gdzie to było i jaki jest twój pseudonim, potem kogo ty zwerbował i trzyma kredę na tej kresce, która idzie do góry i mówi, jeżeli ty, to znaczy, że pójdziesz tą drogą, która prowadzi do domu, na wolność ale, bo ta do dołu to jak nie skażesz prawdy to ubijasz.

Ja wszystko spiszę ilu ludzi ochotników, wszystkich podaj imię i nazwiska i jutro pójdziesz do domu, do żony i dzieci, bo twoja żona jest bardzo chora, ty powinien być przy niej. No mów kto ciebie zwerbował, ja mówię mnie nikt nie werbował i ja nikogo, bo ja nic o organizacji nie wiem. Ach ty swołocz bradziaga, ty taki ojciec, zostawić ośmioro dzieci i chorą żonę i poszedł do podpólnej organizacji i krzyczy na całe gardło ty postąpił przeciw nam, ja się odezwałem niet, ja z wami, no to gaworyj, kiedy z nami, tylko prawdę, ja mówię prawdę ale wy nie wierzycie, to co ja zrobię, mam na siebie nieprawdę mówić.

A on na to, my już mamy twoich dziewięciu ludzi w więzieniu a twoją żonę sparaliżowało, nie może się na łóżku przewrócić i nie włada jedną nogą i jedną ręką. Jak to usłyszał łzy mi jedna za drugą po policzkach płyną. A on mówi dalej jutro rano przywieziem twoją żonę i dzieci tu na plac więzienny, wyprowadzimy z więzienia tych 9-ciu partyzantów twoich i na oczach rozstrzelamy cię pod ścianą a ja mówię to rozstrzelajcie ale ja nic nie jestem winien, bo nic o organizacji nie wiem. Ten co to na mnie mówił to jest nieprawda, on jest mój wróg. Przy wejściu był stojak do karabinów, których było ze 30-ści.

A łzy mi bez przerwy płyną, taki straszny żal mnie ogamął, gdy usłyszałem, że moją kochaną żonę sparaliżowało, była dwa tygodnie po urodzeniu Sebastiana, co ona teraz pocznie chora z ośmiorgiem dzieci, czworo większych a czworo małych.

Śledowaciel widząc jak mi te łzy jedna za drugą płyną, kiwnął na tych co stali za mną i oni odeszli a on spojrzał na mnie i położył ręce przed siebie na stole, potem położył głowę i zasnął aż chrapał. W tym czasie ja się dokładnie przyglądam po całej sali, czy tu jakich narzędzi do tortur nie ma ale nie ma nic takiego, tylko po całej sali w rzędzie prawie dokoła wiszą portrety wszystkich sowieckich dygnitarzy i generałów a w środku na ścianie szczytowej wisi Stalin.

Nareszcie obudził się śledowaciel, przeciera oczy ręką i potem mówi do mnie czy ty będziesz mówił prawdę a ja jego się pytam grażdanin śledowaciel czy wy żonaty, on mówi tak żonaty jestem a ja się pytam a dzieci macie, on mówi mam dwoje, jak potem krzyknie co tobie do mojej żony i do moich dzieci, ty odpowiadaj, co ja się ciebie pytam, była już może godzina może 3-cia po północy a wciąż napiera mnie żebym się przyznał i powiedział prawdę od początku, bo jak nie powiesz prawdę to cię ubijem. Ja jak zwykle odpieram te zarzuty i znowu swoje myśli chwilowo skierowałem na swoją kochaną żonę i dzieci nieszczęśliwe.



Zaczęły mi znowu łzy z oczu lecieć i obracam głowę gdzie wisiał Stalin i wskazuję ręką i ze łzami w oczach mówię, żeby ten Stalin wiedział, że wy mnie tak męczycie, to chyba by was do więzienia wsadził. Myślałem, że się za to rozgniewa ale nie, mówi do mnie wot, wot, ty patrz na naszego baćkę Stalina i mów prawdę, to do domu wrócisz. Więc ja odwracam się głową do portretu Stalina i mówię, że ja nic nie wiem o organizacji, nikogo nie organizowałem i jestem nic nie winien. A on krzyczy kłamiesz, ja wiem dobrze, że ty do podpólnej bandy należał, nie ujdiesz nam.

Podparł się ręką pod brodę, coś podumał i mówi wot polskie kaprale, kurwa ich mać, oni chcieli krasnaju armie rozbić ale jej nie rozbili, jej nic nie zrobicie, my was wszystkich rozstrzelamy jak psów. Po tych słowach zaczął pisać protokół, jak zwykle po każdym badaniu, potem mi odczytał i kazał podpisać, nic nie wiedząc czy wszystko prawdę odczytał, podpisałem.

Schował go do teczki i wyprowadził mnie na korytarz, już tam czekał dyżurny, wyszlim po schodach na górę i przez plac do celi, znowu po schodach na 3-cie piętro. Która mogła być godzina, nie wiem ale było nad ranem, jeszcze ciemno. Gdy weszłem do celi wszyscy spali, trzech na betonie, bo wpuścili jeszcze jednego cywila do naszej celi, gdy byłem na śledztwie, Wyszyński na łożku, położyłem się przy nim i zaraz zasnąłem.

Śniło mi się, że jechałem na furze siana w parę koni przez rzekę, ja mój brat Emil i Stefan Kędziorek. Brat jechał w konie w kierunku żelaznego mostu i coraz głębiej, tak że już konie płyną, ja patrzę ze wszystkich stron jest woda mętna ale my już jesteśmy na środku rzeki, ja krzyczę na brata po coś tu wjechał ale on nic nie odpowiada tylko pogania konie i przepłynęliśmy tę rzekę Narew pod Łomżą i teraz trzeba nam było wjechać pod górę na szos i pomału wjechaliśmy.

W tym czasie obudzili mnie koledzy, otwieram oczy, jestem cały spocony a oni się mnie pytają co mi się śniło, że przez sen krzyczałem i że jakieś ruchy robiłem, twarz krzywiłem aż mnie obudzili.

Opowiedziałem im dokładnie wszystko, co mi się śniło. Inżynier mówił, że to jest sen dobry, oni pana wypuszczą do domu i mówi dalej jak pan wyjdzie to z daleka na przeciw naszego okna niech pan machnie chusteczką, my będziemy wyglądać, jak zobaczymy będziemy widzieli, że pan wyszedł na wolność ale niech pan nam przyśle z parę paczek machorki, bo widzi pan jak u nas krucho z paleniem.

Mówię dobrze, tylko ja czuję, że prędzej będę w archangielskich lasach niż w domu. Byłem bardzo zmęczony i zamyślony, czy naprawdę dziewięciu Drozdowiaków już mają w więzieniu i oni mają powiedzieć, że ja jestem ich komendantem i ich zwerbowałem, to byłby ze mną koniec.

Ale czy to jest prawda, na badanie tego dnia mnie nie brali cały dzień, tylko myślałem o tych dziewięciu, co mają i co powiedzą o mnie. Ostatni raz jeszcze ujrzę moją kochaną żonę i moje kochane dzieci ale woła Boska co będzie, to będzie, robiłem to dla ratowania mojej kochanej Ojczyzny. Ale robiło mi się jakoś dziwno, że mieli dziś przywieźć moją rodzinę i wyprowadzić 9-ciu Drozdowiaków należących do organizacji i na ich oczach rozstrzelać mnie pod ścianą.

Był 3-ci dzień czerwca 1940 roku, ale dzięki Bogu nie przywieźli mojej rodziny ani nie wyprowadzili tych z cel, tych 9-ciu partyzantów moich i zrobiło mi się lżej na sercu. Poczułem, że to co mówił śledowaciel to nie jest prawda, bo gdyby naprawdę ich mieli, to już by mnie choć jednego na oczną stawkę na badaniu postawili. I tak na rozmyślaniach cały dzień mi zeszedł spokojnie.

4-go czerwca po śniadaniu znowu się kłapka w drzwiach odchyliła i odezwał się głos na bukwu P, odezwałam się, klucz zazgrzytał w zamku, drzwi się otworzyły i bojec krzyknął wychadzij, skarej ręce do tyłu i poprowadził mnie na pierwsze piętro znowu do innego pokoju, bo co każde badanie to prawie w innym pokoju się odbywało.

Już tam czekał na mnie śledowaciel, ten sam, powiedziałem zdrastwujcie grażdanin, śledowaciel odpowiedział zdrastwujcie i patrzy się na mnie a ja na niego. Po chwili otwierają się drzwi i wszedł drugi śledowaciel i po cichu coś sobie pogadali. Myślę sobie, że znowu coś dla mnie planują. Gdy skończyli szeptać, z dała z tyłu biurka, potem były przy biurku dwa krzesła, posiadali, ten mój śledowaciel był średniego wzrostu a ten drugi był wyższy i chudszy i on zaczyna mnie badać bardzo spokojnie i mówi słysz Pieńkowski jeszcze wremia, jeszcze możesz się spasatsia, zeznajsa bo kak niet, pochybnios kak sobaka, masz osiem rebiatek, żenu bolnoju tobie nada żyć, mnie tiebia żałko, ja gdybym był w twoim położeniu skazałbym prawdę i poszoł damoj. Ja byłem w twoim domu i wsio smotrył, mnie twoich rebiatek żałko a ty atiec nie chcesz do nich wrócić i do bolnej żeny. A twoi partyzany uże wsio skazali tut, tolko ty komendant nie chcesz ale my uże wsio znajemy. No ja spraszujaja ciebie poślednij raz, kto ciebie zwerbował, kuda eto było, kto ci przysięgę wydawał i kakajaja twoja kliczka. Ja mu mówię, że nie znaju co jest kliczka, w ten czas on już groźniej mówi pseudonim twój jaki jest, odpowiadam mu jak zwykle nic o organizacji nie wiem, nikt mnie nie werbował i nikogo ja też nie werbowałem. Gdy to powiedziałem jak on się zerwie na nogi i krzyknął ach ty bradziago nie chcesz skazać prawdę, nie żal ci ani dzieci ani żony, wot kakaj ociec swołocz tak zgnijesz w ciurnie, kak sobaka, gołowu urezac takiemu ojcu.

Potem znowu rozmawiali, odwrócili się do mnie plecami i coś po cichu, tylko usłyszałem jak mówił

ten wysoki piszyc jak chcesz, chuj z nim ale ten mój śledowaciel odpowiedział, niet tak nie mogu, to ten mówi jak chcesz i wstał z krzesła i wyszedł a ten zaczął pisać, gdy skończył pisanie mówi do mnie, że on skończył ze mną badanie i wyjeżdża do Białegostoku a co z tobą będzie to ja nie znaju, eto uze prokurator osudit.

Przeczytał mi to co napisał i kazał podpisać, podpisałem. Schował do teczki, zawołał dyżurnego i kazał odprowadzić mnie do celi.

5-go czerwca przyszedł do naszej celi doktor z jakąś młodą dziewczyną, badał dokłanie każdego z nas i ta urzędniczka pisała na papierze przy badaniu personalia i co jej doktor powiedział przy badaniu. Po opisaniu wszystkich poszli:

Na drugi dzień było to 6-go czerwca zaraz po śniadaniu przyprowadził dyżurny dwie siostry szpitalne, były w białych fartuchach, dały nam po 3 pastylki żółte i powiedział nam, żeby przed jedzeniem je połknąć.

7-go czerwca poszedł na badanie Wyszyński, mnie jakoś zrobiło się lżej na sercu, 3-y dni minęło jakim był na ostatnim śledztwie. Mieli przywieźć moją żonę i moje dzieci i wyprowadzić moich 9-ciu ludzi należących do organizacji i na ich oczach mieli mnie rozstrzelać pod ścianą.

Wstąpiła we mnie jakaś otucha, że to co mi śledowaxiel mówił, to chyba nie jest prawda, bo gdyby była to prawda, to już bym nie żył, a tu doktor mnie badał i pastylki mi dali, to chyba nie na śmierć wygląda a i śledztwo miało już być ostatnie.

H.Wyszyński ze śledztwa jeszcze nie wrócił, więc zaczelim rozmawiać z żołnierzami, gdzie który był na froncie, jak się bili i jak się cofali i jak popadli do niewoli itd. Ja opowiedziałem, że widziałem jak we wsi nasze dziewczyny niektóre chodzą na zabawę i tańczą z żołnierzami radzieckimi. Jedna już wyszła za mąż za sowieta i zeszło do wieczora. Wieczorem wrócił Wyszyński ze śledztwa bardzo bład i widać było na nim zmęczenie.

8-go czerwca po południu przyszedł bojec odsunął kłapkę i zawołał na bukwu P, odezwałem się, krzyknął wychadzij, wyszedłem, ruki z zada, wziętem ręce z tyłu i idzim, powiedział i zaprowadził mnie do śledowaciela, patrzę ten sam, co mówił, że wyjeżdża do Białegostoku. Mówię zdrastwuj grażdanan, śledowaciel odpowiedział zdrastwuj Pieńkowski, jeścio my się wstrecilis, jeścio ja ciebia spraszu i pyta mnie czy ten /iks/ co mnie wydał czy on należał do organizacji. Ja mu odpowiedziałem, że ja nie wiem, męczył mnie ze dwie godziny, że on należał a ja odpowiadam, ja nie wiem, może i należał ale ja nic nie wiem.

W ten czas śledowaciel uniesionym głosem krzyknął ty jemu sam powiedziales, że w Drozdowie przy piwnym zawodzie, że należysz do organizacji, to i on należy. Ja od razu mówię to nieprawda, ja tego nie mówiłem, bo ja nie należę do żadnej organizacji. W ten czas zaczął mnie rugać - ach ty bradziago, swołocz u party. Wyjął arkusz papieru i zaczął na nim pisać, nie wiem co pisał, bo i dumał i znowu pisał. Nareszcie skończył i mi przeczytał, nie wiem czy prawda to była co mi przeczytał, powiedział żebym podpisał, podpisałem, uśmiechnął się, czego nigdy nie było, zadzwonił do dyżurnego, który odprowadził mnie do celi.

9-go czerwca byłem spokojny do południa, ale zaraz tylko zjadłem obiad kłapka we drzwiach się odchyliła i dyżurny zawołał na bukwę P, odezwałem się, bo innego na tę literę nie było. Było ich dwóch, ten drugi mnie się pyta kak zwać, powiedziałem Pieńkowski Aleksander a po baćku, to znaczy imię mojego ojca powiedziałem Mateuszewicz, to on się pyta kakoj god roźdzeńja 1897, to zabieraj swoje wieszczy i wychadzij skarej. Czym prędzej odwitałem się ze swoimi towarzyszami niedoli. Inżynier mówi do domu pan pójdzie, niech pan nie zapomni coś my się umówili o machnięciu chusteczką a potem o machorce. Odpowiedziałem dobrze ale chyba na Syberii i wyszedłem, bo już zaczął wrzeszczeć i sztorcować dyżurny.

Gdy mnie sprowadził na dół, już tam na korytarzu czekało pięciu na mnie wykreconych twarzami do ściany, nowi towarzysze. Razem nas pognali do jakiegoś pokoju, który wyglądał jakby jakaś poczekalnia, ustawili nas w rzędzie przy ścianie, potem weszło sześciu bojców i kazali nam się rozbierać do naga a poganiiali jakby się paliło - skorej i skorej.

Gdy się rozbierali z ubrania i z butów, kazali odnieść do drugiej ściany, naprzeciw siebie i zaczęła się rewizja, najpierw nas golasów. Otwieralim usta, wypinalim tyłki i potem patrzyli w szpary u nóg. Gdy skończyli golasów, wzięli się za ubrania i buty. U jednego znaleźli złoty medalik ze złotym łańcuszkiem w tylnym szwie kapoty. Gdy go wypruł, obejrzał i rzucił w kąt pokoju, była to Matka Boska z Panem Jezusem. Znaleźli jeszcze różnych rzeczy więcej, jak machorka, zapałki, wszystkie grubsze szwy pruli, haftki i guziki blaszane odrzynali scyzorykiem. Grubsze daszki u czapek też pruli.

Po skończonej rewizji kazali ubrać się, gdy ubralim nasi prosili, żeby im oddali machorkę, zapałki, ten prosił o medalik ze łzami w oczach, drugi tłumaczył im, że dopiero przedwczoraj kupił machorkę i zapałki na wypiskę ale te prośby nic nie pomogły. Wyprowadzili nas przed kancelarię, zatrzymali się po dwóch wchodziliśmy do tej kancelarii. Był to duży pokój, w nim kilka stołów i krzesel i siedzielo na krzesłach 4-ch lejtnantów i na stole leżały nasze dokumenty.



Pierwszego wywołał mnie, przystąpiłem bliżej do stołu, jeden lejtnant pyta się jak ja się nazywam, powiedziałem Pieńkowski Aleksander a on się pyta a po bałku - Mateuszewicz. Już on miał tam wszystko opisane, bo tylko się pytał i patrzył, sprawdzał, czy wszystko się zgadza co powiem - data urodzenia i miejscowość, wszystko się zgadzało. Pokazał mi kwit na 10 rubli, które mi przysłała żona z domu i włożył go do dokumentów i wsadził do koperty i zapieczętował lakiem. Potem kopertę tę położył przed starszym gradowatym lejtnantem, ten wziął kopertę i schował ją do dużej teczki.

Przy drugim stole, tak samo sprawdzali drugiego, który razem ze mną wszedł do kancelarii. Potem bojec dyżurny wyprowadził mnie na korytarz a za chwilę wyprowadził tego drugiego a zaprowadził następnych dwóch, potem znów następnych dwóch i cała ceremonia się skończyła. Dwóch bojców innych z bagnietami na karabinach wyprowadziło nas na podwórze, zobaczyłem Władka Kowalewskiego z Drozdowa, który siedział za jakąś kradzież w więzieniu, trzymał miednicę z kaszą i wcinał. Muszę nadmienić, że taką porcję kaszy dawali nam do celi na 10-ciu ludzi, on mnie też zobaczył i się uśmiechnął do mnie i wcinał dalej.

Takim różnym złodziejom jeść nie żalowali, mieli swobodę, rąbali drzewo i inne roboty robili, Władek był przy drzewie. Przez podwórze pognali nas i wsadzili do tego samego garażu, co siedziałem 1-go dnia w podwórzu więziennym. Wieczorem przynieśli na kolację, była kasza i po porcji chleba jaki na cały dzień dawali. Gdyśmy podjedli, zaczęliśmy kłaść się do spania na zimnym betonie ale prawie wszyscy spaliliśmy na siedząco i na kucajkach, bo beton był bardzo zimny.

O godzinie 12-iej, może trochę później zbudził nas zgrzyt klucza we drzwiach, potem wszedł bojec i krzyknął ponimajsa skarej. Był to wysoki drab i naglim żebyśmy prędko wychodzili. Gdy wyszlim podprowadził nas bliżej domu urzędniczego gdzie urzędowało naczalstwo więzienia. Tam już siedziało kilkudziesięciu ludzi, w czwórkach, nas podprowadził z tyłu i krzyknął siad w czwórkach, usiedlim, jeszcze raz odczytali wszystkich, każdy się odezwał. Bojców już było chyba ze 12-stu, tak siedzielim jeszcze z pół godziny i z boku w jednego konia 1 bojec podjechał bryczką na dwóch kołach a w tej bryczce siedział jakiś staruszek z gołą głową już siwą i dwie młode dziewczyny, jedna z jednego boku pod pachę trzymała tego starego a druga z drugiej strony tak samo pod pachę trzymała a on tylko siedział i patrzył się w naszą stronę. Widać było, że był strasznie przygnębiony i chory. Gdyby go nie trzymały te dziewczyny na pewno by spadł z bryczki. Minęli nas i zatrzymali się z tyłu nas.

W ten czas jakiś starszy krzyknął podnimajsa, wszyscy wstali w czwórkach, obróceni twarzami do bryczki, bojcy nas otoczyli w koło i dał się słyszeć rozkaz - ruszaj w pierod. Zaraz bramę wartownik otworzył i bryczka ruszyła na przód a my w czwórkach za nią. Zaraz za bramą skęcili na szos w prawo i szosą gnali nas aż do drogi, która znowu skręcała w prawo, do stacji kolejowej.

Ale zapomniałem przed więzieniem, jak tylko ustawili się czwórkami, bojce karabiny naładowali, trzasnęły zamki i ten starszy powiedział, że gdyby któryś z nas chciał uciekać będzie zastrzelony. Tak podegnali nas, gdzie stały towarowe wagony, po czterech włąziliśmy do tych wagonów a w tych wagonach były pogrodzone takie kojce, nas wpychali po 12-tu ludzi, było strasznie ciasno ale na to nic poradzić nie było można. W naszej przegrodzie był mały otworek pod samym sufitem wagonu, chyba dla powietrza.

Jechaliśmy na wschód, wiedzieliśmy, że wiozą nas do Rosji. Jechał ze mną w tym samym kojcu dyrektor Banku Polskiego w Łomży Cybulski. Miał w torebce cebulę, jedną zjadł. Okazało się, że pomimo ścisłej rewizji niektórzy mieli machorkę i bibułkę, tylko nie mieli zapalek, to nie mogli popalić sobie. Jechał również ze mną Nowacki z Rakowa sołtys, potem był były prezydent miasta Łomży Świdorski. Reszta była mi nieznanych. Gdy tylko lokomotywa gwizdnęła, zdawało się, że żałośnie, każdy się przeżegnał, jedni płakali, inni się modlili, innym tylko łzy z oczu spływały po policzkach.

Tego dnia było jakieś święto, bo gdy przed jakimś miastem pociąg się zatrzymał słysząc było rozmowę ludzi, którzy szli do kościoła. Nowacki wstał i przygarbił się, ja na niego wlażłem i przysunąłem się do okienka i przyglądałem się jak ludzie poubierani, spieszyli się do kościoła a w kościele w tym czasie dzwony dzwoniły. Przechodzący bojec zauważył mnie i zdjął karabin z pleców, na nim miał nasadzony bagnet ale ja najpierw zauważyłem i w porę się odsunąłem a on dziuch bagnetem w to okienko, tak kilka razy szturchał. Potem poszedł dalej i znowu przy drugim wagonie szturchał bagnetem w okienko.

Po pół godziny postoju pociąg ruszył dalej. Tak rozmawialim między sobą o wypadkach jakie spotkały Polskę i wszystkich Polaków. Pan Cybulski odezwał się pocieszająco - nie martwcie się dziś jedziemy do Rosji pod konwojem a za dwa, może trzy miesiące możemy wracać z powrotem do Polski. Przecież Francja już walczy i pewnie już i Anglia walczy, bo jak pobiją Niemców to i na Rosję przyjdzie kolej.

Tak jechaliśmy dalej, 11 czerwca podał nam gazetę bojec w której napisano, że Francja skapitulowała, Paryż rozbity i inne miasta, wojsko się poddało a inne poszło w rozsypkę, a teraz kolej będzie na Anglię. Śmieli się bojcy, że Francja i Anglia mieli nam pomóc i mieli was odbić. Tak oni

pomogli Czechosłowacji się odbić i wszystkim mieli pomagać aż German ich rozbił.

Zasmuciliśmy się tą informacją ale ja mówię, że jeszcze może się karta odwrócić, ja mam nadzieję, że Ameryka wyda wojnę Niemcom, no i chyba ich wszystkich nie zawojują, zawsze się coś stanie.

Na każdej większej stacji doczepiali to po jednym wagonie, to po dwa takich samych wagonów i z takim samym nieszczęśliwym towarem jak i my byliśmy. Gdy w jednym miejscu krzywił się tor, to widać było, że tych wagonów głuchych było przeszło 20-ścia. Na każdej stacji kazali nam się cicho zachowywać aby przechodni ludzie nie słyszeli co się w tych wagonach wiezie.

Gdy dojechalim do granicy Białej Rusi, tam musieliśmy przesiadać się na pociąg radziecki, bo już tam był szerszy tor od polskiego. Dwa wagony w których byli ludzie z więzienia łomżyńskiego przesiadło się do osobowego dużego wagonu razem. W ten czas widzę naszego komendanta gm. Drozdowo Franciszka Malinowskiego i wielu innych znajomych - prezydenta miasta Łomży Świderskiego, dyrektora Kasy Komunalnej pana Bielickiego, inspektora powiatowego p. Marszałka, on był już na emeryturze, potem urzędnika z poczty łomżyńskiej Jastrzembskiego i dyrektora Banku Polskiego Cybulskiego, który mówił, że dziś jedziemy do Rosji a za parę miesięcy będziemy wracać z powrotem do Polski i biedny nie wrócił, już nigdy. Mówił, że Francja i Anglia pobiją Niemców, to potem pobiją Rosję i my wrócimy.

Spotkałem innych wielu z powiatu łomżyńskiego, no i tego chorego, co go te dwie panie całą drogę podtrzymywały. Był to senator hrabia Bisping z białostockiego woj. już siwy i schorowany bardzo. Słyszałem tylko później o nim, że siedział w więzieniu w Mińsku 9 miesięcy a potem umarł w lasach archangielskich, w mieście Koźwie, 600 kilometrów od Workuty.

Gdy dojechalim do Mińska, na stacji kolejowej wysiedliśmy wszyscy, chorego zaraz zabrali i te dwie kobiety a nas trzymali w jakimś starym budynku do godziny jakiejś 3-ciej rano, potem przyszło bojców więcej i gnali nas przez tory kolejowe do ulicy i przez miasto do bramy więzienia jakiegoś bardzo wielkiego. Więzienie to było w jakimś bardzo starym klasztorze ale tylko bramę otworzyli i wegnali nas na jakiś duży korytarz pod budynkami. Tam nas zatrzymali i kazali nam się rozbierać do naga i zdejmować buty i kamasze. Ja miałem buty z długimi cholewami eleganckie, obuwałem się w nich tylko w niedzielę, gdy szedłem do kościoła albo gdy miałem jechać do Łomży po towary do swego sklepu.

Gdy zrewidował moje ubranie, wziął się za moje buty. One miały z tyłu na szwie naszyty pasem skóry żeby się cholewy nie gięły. Obszczupał ich i wyjął szczyryk z kieszeni i chce ten naszyty pasek odpruć. Ja jego złapałem za rękę i proszę go, że tam nic nie ma, żeby mi nie psuł butów. Spojrzał na mnie, potem na te buty, jeszcze raz je obszczupał i kazał mi je obuć.

Tak samo zrewidowali nas jak przed odjazdem z Łomży. Rewidowali nas po czterech od razu, potem całą czwórkę wprowadzili do sali, nie bardzo dużej i co jakiś czas znowu czterech wpuszczali. Gdy ostatnią czwórkę zrewidowali, wypuścili nas i razem wszystkich przegnali do dość dużej sali, tak zasranej, że nie było gdzie nogą stąpnąć, żeby nie było kału grubości jakiejś 15-cie do 20 centymetrów.

Po środku sali stał okrągły, gruby słup, podtrzymywał sufit, chyba żeby się nie zawalił. Na tym słupie dokoła, dokąd tylko można było ręką sięgnąć były napisy polskie - nazwiska i imiona tych, co tu byli przetrzymywani przed nami, na każdej rewizji nie wiadomo jaka ilość, bo i na ścianach też były podpisy bardzo dużo - wszystkie polskie.

Za jakieś dwie godziny przynieśli nam jeść, jakąś zupę i gdzie niegdzie trafiał się mały kartofelek ale prawie nikt nie miał żadnej miski, ni jakiegoś naczynia, więc przynieśli kilkanaście misek, łyżek i dla dwóch do miski nalewali dwie porcje tej zupy, to tak każdy się zwijał, żeby mógł zdążyć z tym drugim aby tyleż zjeść, co i on.

Tego dnia przed wieczorem, po tym obiedzie z zapachami z podłogi, smród był z ust, gdy się oddychało, tak jakby w tej zupie było łajno.

W tej zasranej sali dwa okienka małe otwarte prawie pod sufitem okratowane, było zimno, tak, że niektórzy zaczęli chodzić, zrobił się na sali jeszcze gorszy smród. Ja z Malinowskim i Nowackim, bo byliśmy jeszcze razem i umawialiśmy się, że jak będziemy brani na śledztwo to żeby się nie przyznawać, że należymy do organizacji i że w ogóle nic o niej nie wiemy. Podaliśmy sobie ręce i więcej z Franciszkiem Malinowskim już się nie widziałem nigdy w życiu.

Po tej ostatniej rozmowie zaraz weszło dwóch bojców i 6-ściu z naszej sali zabrali i poprowadzili przez podwórze do prawdziwego więzienia, do cel ponumerowanych nad drzwiami w piwnicach pod więzieniem, korytarz był bardzo długi i szeroki około 3-ch metrów.

W następnej 6-stce byłem wzięty i ja, na dworze było jeszcze widno ale gdy się znaleźlim na korytarzu, tu było już ciemno. Przed drzwiami jeden bojec był z karabinem, zawsze szedł z tyłu a 2-gi tylko z kluczami, zatrzymaliśmy się przed jednymi drzwiami i od razu 2-ch wpuścili do celi. Podeszliśmy do drugich drzwi, wpuścili tylko jednego, do następnych drzwi - wpuścili znowu jednego. Idziemy



dalej, westchnąłem żeby Bóg dał żeby nas obojgu do jednej celi wpuścili, zawsze to byłoby raźniej we dwóch Polaków, bo nie wiem czy ja będę sam w tej celi, czy może z ruskimi więźniami, to oni mogą mi dokuczać. W następnej celi jednego zostawiają a mnie prowadzą dalej, gdy bojec otworzył drzwi w sali było ciemno, gdy pomału nogę przełożyłem przez próg dostałem kolbą od karabinu w plecy, małom się nie przewrócił.

Zatrzymałem się jakieś 2 metry od drzwi, które bojec zaraz zamknął i rozglądałem się po celi żeby się rozpatrzeć trochę. Przy drzwiach z lewej strony stało łóżko w kącie, wzdłuż celi, reszta łóżek stała w poprzek celi, siedzieli na nich ludzie.

Przy pierwszym łóżku stał wysoki człowiek i zapytał mnie od kuda wy, gdy się trochę rozpatrzyłem, oglądałem się na niego i odpowiedziałem Łomżyńskiej guberni, gdy te słowa powiedziałem dwóch ludzi podniosło się szybko na nogi i jeden wołał mnie - panie chodź pan tutaj, pan od Łomży - mówię tak z Drozdowa Pieńkowski jestem a on na to a ja z Suchych Baczów, nazywam się Baczewski i mieszkam niedaleko Czerwonego Boru. Potem podszedł jeszcze jeden mężczyzna, trochę młodszy od Baczewskiego, też Polak i pyta się mnie, czy pan z tego Drozdowa co umarł Roman Dmowski - mówię tak, z tego a to tam był dwór i browar, mówię tak - był.

Ten co pytał się mnie czy z tego Drozdowa, co umarł Roman Dmowski, to był z Grajewa, nazwiska swego nie powiedział, tylko pytał się co słyhać, czy już Francja i Anglia wydali wojnę Niemcom. Gdy im powiedziałem, że Niemcy już Francję zawojowali i połowę zajęli pod swoje panowanie a drugą połowę mieli rządzić Francuzi ale pod nadzorem niemieckim. A Anglia jeszcze wojny Niemcom nie wydała i siedzi cicho na razie.

Wszyscy posmutnieli, gdy to im powiedziałem, bo siedzieli już po parę miesięcy i nic nie wiedzieli, co się robi na świecie. Nadzieja się oddała, nie wiadomo na jak długo. Wszyscy posiadali też na łóżku obok Baczewskiego ale ten ruski co się pierwszy zapytał od kuda wy, stał i pilnie słuchał i patrzył w stronę nas. Ja już się dobrze rozpatrzyłem i przyglądałem się jemu. Coś podobnego w swoim życiu nie widziałem jeszcze. Wysoki, łysy, włosy tylko po bokach rosną na głowie, cały obrosnięty jak baran aż do kolan z pokręconymi włosami. Odwróciłem się do Baczewskiego i znowu rozmawiamy, pytam się jego za co go aresztowali. On mówi - ja mieszkałem trochę z dala od wsi, zaraz przy lesie i przyszli do mnie enkawudziści powiedzieli, że ja mam łączność z oficerami polskimi i za to mnie aresztowali i zabrali. Zawieźli do więzienia w Łomży, tam siedział dwa miesiące i mówił, że go straszili, bili i kopali co dziennie w czasie śledztwa, raz w dzień a drugi raz w nocy. Potem przewieźli do Mińska i tu już siedzi dwa miesiące. Ale ja znowu obejrzałem się w stronę tego Ruskiego, on w dalszym ciągu stał przy swym łóżku, lewą ręką trzymał się i patrzył na mnie. Ja zaraz się odwróciłem ale po chwili znowu patrzę na niego po raz trzeci. On się roześmiał ha ha ha, to ja się jego pytam grażdanin czto wam jest, czto wy takoj i pokazuję mu swoimi rękami do swoich kolan, że on ma takie kołtuny od brody bez żadnej przerwy aż do kolan.

Na te moje zapytania on mi mówi znajęz ja w tej celi siedzę 19 lat, bo byłem synem generała carskiego a sam byłem w stopniu majora, dowodziłem szwadronem kawalerii i mnie wzięli do niewoli, przywieźli tu do Mińska, do więzienia, do tej celi wsadzili bez żadnego śledztwa, siedzę już 19 lat. Byłem tłusty i gruby i z tego brzucha skóra się opuściła i dlatego ja tak wyglądam i pewnie będę tu siedział aż do śmierci. Nazwisko swoje potem powiedział, że nazywa się Ardamakow.

W tej celi siedział jeszcze jeden Litwin, nazywał się A. Pieczukiewicz i jeszcze jeden Białorusin kapuś, który co usłyszał albo sam zaczął rozmawiać i narzekać na Stalina i na rząd sowiecki, to kto mu coś źle powiedział na sowietów, to on zaraz szedł do drzwi i pukał, że chce iść do kancelarii a bojec dyżurny już wiedział o co chodzi, otwierał drzwi i go wypuszczał. On tam opowiadał co Polacy na sowietów gadali źle. W ten czas, gdy on wrócił, to zaraz kogoś bojec zabierał do kancelarii prowadził, tam zaraz go badali i bili, gdy się wypierał, że on tego nie mówił a na drugi dzień, to już śledowaciel badał i też bez bicia się nie obeszło.

I tego kapusia tak z celi do celi przeprowadzali i on o wszystkim donosił. Trzeciego dnia wpuścili do naszej celi Dojlida Franka z Białegostoku. Ten zaczął opowiadać co sowieci robią, ludzi aresztują i do więzienia wsadzają, nawet nic niewinnych. Ten kapuś słyszał to i zaraz puknął w drzwi i dyżurny mu otworzył i on w kancelarii to wszystko powiedział, co mówił Dojlida. Zaraz gdy kapuś wrócił, zaraz bojec zabrał Dojlida do kancelarii. Gdy wrócił był zaczerwieniony na twarzy i mocno zdenerwowany ale już wiedział, że ten Białorusin doniósł to co Dojlida na sali mówił. Kapuś usiadł na swoim łóżku z bręga od korytarza a Dojlida przeszedł dwa razy wzdłuż korytarza a za trzecim razem szybko się odwrócił do siedzącego kapusia i jak nie rąbnie go w twarz a ten fajt z łóżka na podłogę a Dojlida zaczął go kopać nogami, jak kapuś zrobił krzyk, przyskoczył do drzwi, bębni obydwojma rękami i krzyczy, że go zabić chce Dojlida, dyżurny drzwi otworzył, to kapuś zaraz wyskoczył na korytarz i krzyczy, że go zabić chcą. Dyżurny zamknął drzwi i poszli gdzieś obydwaj. Za jakieś 10 minut przychodzą do celi aż we trzech, ten trzeci był dość gruby i wysoki ubrany po wojskowemu, pyta się kapusia, który go bił, on pokazuje na Dojlida i mówi ten. Dojlida siedział na swoim łóżku, ten to jakiś

był starszy politruk i zwraca się do Dojlidy - pajdziom do kancelarii, Dojlida wcale się nie podnosi, to ten krzyczy głośno wychadź skarej, Dojlida nie wstaje wcale. Wtedy ten grubas wpada pomiędzy łóżka, łapie Dojlidę za rękę i ciągnie, ale obydwie łóżka się rozsunęły a Dojlidę siedzi na swoim, to grubas krzyknął na dyżurnego chadziaj, pomagaj, dyżurny skoczył złapał Dojlidę za drugą rękę i za kilka minut szamotania wyciągnęli Dojlidę na korytarz i dociągnęli go do drzwi ale tu Dojlida oparł się jedną nogą i obydwoma rękami o futrynę i nie mogą go wyciągnąć na korytarz. Na grubasa pot na łysinie wystąpił, nareszcie krzyknął czort z nim, potem się z nim rozprawim. Dyżurny drzwi zamknął ale za jakieś trzy minuty znowu otworzył i wszedł kapuś, zabrał ze swego łóżka jakąś torbę i czym prędzej wyszedł z celi i już do nas nigdy nie wrócił.

Wszyscy czekamy co z tego wyjdzie, czy przyjdzie ich więcej po Dojlidę, czy może zaniechają, bo Dojlida nie przyznał się do tego co mówił do nas a Dojlida za to uderzył go co on na niego nieprawdę zeznał w kancelarii, tak we drzwiach Dojlida mówił temu grubemu, gdy chcieli wyciągnąć go na korytarz.

Za parę dni do naszej celi przyprowadzili starszego człowieka zarosniętego włosami na brodzie, chociaż wszyscy byli zarosnięci włosami na brodach, jak Żydzi. W celi było gorąco i strasznie śmierdziało stęchlizną, cela miała 4 metry szerokości i 6 m długości i małe okratowane okienki pod samym sufitem.

Obok mojego łóżka stało łóżko wolne, ten nowo przybyły usiadł na nim i zaczął mocno stękać. Pytam się co pana boli, że pan tak mocno stęka a on mówi to ostatnie moje śledztwo, badali mnie we trzech na przemian i bili a gdy się przewróciłem z taborkiem, to jeden złapał taborek za nogę i rąbnął mnie kantem tego taborka aż taborek się rozwalił, tylko jedna noga została w ręku tego co mnie uderzył. Bili mnie leżącego na podłodze i kopali nogami aż straciłem przytomność. Gdy odzyskałem przytomność, leżałem skulony na mokrym cemencie w kwadratowej celi, jeden metr szerokości, tyleż długości i wysokości. Na drugi dzień rano przyniósł mi bojec dyżurny śniadanie czarną kawę i 200 gram chleba i powiedział, że na obiad przyniesie tylko dzbanek wody i na wieczór znowu kawa bez cukru, bo to jest karcer, to więcej nic nie dadzą, bo nie przysługuje.

Po tym opowiadaniu znowu mocno stęknął i odpiął swoje kalessony, które miał krótkie, sięgały do kolan, zsunął je niżej i powiada patrz pan co mnie tak boli, zobaczyłem na jego prawym udzie taką głęboką i szeroką ranę, że gdy bym swoją pięść złożył, to mógłbym mu do tej rany włożyć. Rana była już trochę obstarzała, bo siedział w tym karcu całe 10 dni bez żadnego opatrunku, tylko sobie swoim moczem ją przemywał i mówił, że całe moje szczęście, że drugiego dnia była zmiana dyżurnych, ten drugi dyżurny był bardzo dobry człowiek. Gdy mnie rano prowadził do ubikacji i patrzył się jak ja swoją ranę obmywam, to aż swoje oczy ocierał chusteczką.

Zaprowadził mnie do karca i przyniósł śniadanie 200 gr chleba i czarną kawę bez cukru i dzbanek wody. Ale może za dwie godziny przyniósł mi znowu chleba jakieś 300 gr i prędko kiapką we drzwiach podał mi i czym prędzej odszedł żeby go nikt nie zobaczył.

Gdy roznosili obiad po celach, ja też zacząłem jeść ten chleb co mi dał i wodą popijałem. Na korytarzu już ucichło ale słyszę jakieś szybkie kroki, zatrzymują się przy moich drzwiach, otwiera i podaje mi pełną menażkę zupy kapuścianej, były w niej trzy małe kartofelki i powiada kuszaj skarej czto by nikt nie uwiidział a to byłoby mnie płocho.

Zjadłem, rozgrzałem sobie żołądek, bo jak mnie bojec rano zaprowadził na śledztwo, to trzymali mnie do wieczora i wczoraj dali tylko 200 gr. chleba i kawę i dzbanek wody. Byłem bardzo głodny i myślę, że chyba go Pan Bóg zrządził, bo całe 9 dni on mnie obiady przynosił i chleba nieraz całą pajkę, to znaczy 600 gr., bo chyba bym nie przeżył tych 10 dni o 200 gr. chleba i wodzie. Gdy to powiedział stęknął mocno aż syknął i przestał mówić.

Po paru minutach ja jego zapytuję skąd pan jest, on powiada z Bieniakoń spod Wilna, nazywam się Mickiewicz Ludwik, za cara byłem w wojsku rosyjskim, na wojnie z Niemcami. Po wojnie byłem kolejjarzem, pomocnikiem maszynisty na parowozie a po roku czasu, ja byłem maszynistą dwa lata. Potem pojechałem do Ameryki Północnej, tam pracowałem w kopalni, zarabiałem 8 dolarów dziennie. Gdy już zarobiłem sporo dolarów wróciłem do Polski, ożeniłem się i pracowałem na 15 hektarowej gospodarce rolnej. Ziemia była dobra, druga i trzecia klasa. Ogrodu miałem około dwóch hektarów, były jabłonie, grusze, śliwy i porzeczki i do tego miałem 20 uli pszczół.

Budynki zaraz po ożenieniu pobudowałem nowe. Dobrze nam się powodziło, byłem 10 lat wójtrem aż do tej wojny. Mam już 67 lat, przez parę miesięcy w więzieniu odebrali mi zdrowie i zrobili mnie kaleką a co będzie dalej to chyba tylko Bóg raczy wiedzieć. Na śledztwie to grozili, że będę rozstrzelany, jak nie powiem gdzie mam dużo broni ukrytej.

Ja mówię, że chyba pana ktoś oskarżył o tę broń, a on, to oskarżył mnie jeden nauczyciel z naszej gminy, gdy był na śledztwie, powiedział, że ja na pewno wiem, gdzie jest ta broń ukryta, a ja nic o tej broni nie wiem.

Po tej rozmowie on znowu zaczął stękać. A po mnie ciarki przeszły i myślę czy ja tu będę na



nowo badany, czy będzie na tym koniec co na badaniu w Łomży zeznał, przecież mam prawie taki sam zarzut co miał Mickiewicz. O Boże daj żeby mnie tu już nie badali, bo bym takiego bicia nie wytrzymał.

Na drugi dzień bojec przyprowadził znowu też wysokiego mężczyznę, ładnie był ubrany, starszy pan, może lat około 50-dziesiąt. Gdy już trochę odpoczął zaczęliśmy go się pytać skąd on jest, powiedział, że jest z Białegostoku ale ukrywał się w okolicach Grodna u znajomych aż jakiś gość zobaczył go i doniósł do NKWD. Przyjechali w kilka samochodów, otoczyli prawie całą wieś i go znaleźli w kryjówce, w zasieku. Zaraz kajdanki założyli mu na ręce i nogi i na samochodzie przewieźli go do Grodna. A on był oficerem w wojsku polskim w stopniu majora, nazywał się Marchewka. Tam go rozkuli z kajdanków i wprowadzili do dużej sali, stał tam duży stół a w koło niego na fotelach siedziało aż 12-tu oficerów i to wszyscy od majora wzwyż.

Powiedziałem i wszystko prawdę, że się ukrywałem, bo wiedziałem, że mnie wsadzicie do więzienia albo zabijecie, bo widziałem co wy z Polakami robicie. Sledziłem też na fotelu ale wstałem i im powiedziałem, że źle robicie, powinniście obchodzić się dobrze z Polakami, bo prędzej czy później to na was Niemcy uderzą, to z Polakami wspólnie byśmy uderzyli na Niemców ale jak tak postępujecie z Polakami, pełne więzienia Polaków a ile już wy zabili, to nie macie się czego dobrego od nas spodziewać.

Wszyscy pilnie moich słów słuchali. Potem najstarszy rangą wstał i powiedział, może wiesz gdzie więcej ukrywa się oficerów polskich, to powiedz, niech oni się do nas zameldują, to potem pogaworym. Na drugi dzień przyszedł dyżurny i zabrał majora Marchewkę, jeszcze przed śniadaniem i on więcej do naszej celi nie wrócił. Nie wiadomo co się z nim stało.

Za parę dni przyprowadzili do naszej celi dwóch młodych chłopaków, jeden nazywał się Kryński syn kolejarza, drugi nazywał się Zakościelny Stefan z Berezy Kartuskiej syn murarza i mieli z ojcem 12 ha ziemi omej, dobrze im się powodziło, ojciec dobrze zarabiał na budowach a on prowadził bibliotekę i jednocześnie świetlicę. Był bardzo odczytany i nadzwyczajną miał pamięć.

Na jaki temat go się o co pytałeś umiał odpowiedzieć i szeroko omówić o różnych krajach a najwięcej miał wiedzy o Rosji i jej republikach i całej gospodarce władz, jednym słowem brak dobrego gospodarza.

Mówił patrzcie po tych miskach i łyżkach jaki u nich porządek, prawda, że ani jednej nie było podobnej do dobrej, prawie wszystkie pogięte, po wrębach zardzewiałe i były i dziurawe łyżki, wszystkie były drewniane. Teraz jeżeli chodzi o przynoszenie jedzenia, nie było na to żadnej pory. Całe więzienie było przepełnione aresztowanymi, mówili, że w tym więzieniu w Mińsku siedziało od 12 do 13 tysięcy Polaków.

To też gdy dzisiaj dostalim obiad na godzinę 12-tą, to jutro już był na godz. 13-tą i tak co dzień, to o godzinę później, to było i o północy i aż rano, a potem znowu tak samo było dawane. Utrzymywał nas tylko chleb, dostawałem go 600 gram, najlepsza to była skrajka pierwsza z brzoza albo ostatnia z końca bochenka, bo ze środka bywał zawsze nie dopieczony.

Każdy dawał kawałek na warcaby albo na szachy, ze środka, bo można go było gnieść i robić z tego figurki. Jeżeli chodzi o kolor figurek czy warcab, to do białych skrobało się delikatnie ścianę a do czarnych paliło kawałek szmaty na popiół, mogła to być czy podszewka, czy jakaś zakładka z rękawa albo naskubana z koca, jakaś czarna materia. Ale do tej roboty trzeba było bardzo ostrożnie się brać, bo dyżurny chodząc wciąż po korytarzu, to nieraz uchylał klapkę we drzwiach i przyglądał się co się w sali robi. Gdy coś zauważył otwierał drzwi i zabierał co popadło czy warcaby czy szachy, tylko dykty na której były namalowane kwadraty czarne i białe do grania w szachy czy warcaby, nie zabierał. Nieraz zabrał i już szedł do drzwi ale jak się go poprosiło, to oddał. Stefan Zakościelny lubił śpiewać i dużo umiał pieśni ruskich a głos ładny, wysoki tenor. Ale gdy śpiewał ruskie piosenki to dyżurny tylko ciszej mówił a to jak usłyszył śledowaciela, to budiet mnie rugał, nie nada gromko śpiewać. Nie dali nam śpiewać.

Kiedy wstają ranne zorze i wszystkie nasze dzienne sprawy - ja też śpiewałem pieśni pobożne i ludowe ale tylko w myślach a tak dużo ich umiałem, to jak było nas mniej w celi, to chodziłem korytarzem pomiędzy łózkami tam i z powrotem i znowu tam i z powrotem aż dużo tych swoich piosenek w myślach wyśpiewałem.

Razu jednego Stefan zaczął śpiewać piosenki ruskie, dyżurny uchylił w drzwiach klapkę i mówi pociszej śpiewaj a to może kto usłyszy, Stefan zciszył głos a dyżurny cały czas przy drzwiach stał i słuchał, gdy Stefan skończył śpiewać dyżurny powiedział, że w obiad przyniesie nam repety, bo nieraz w kuchni coś zostanie z obiadu, to potem dyżurny do której celi chce, to przyniesie i rozda po trochu. Stefanowi dał raz papierosa i powiedział, żeby on ruskie piosenki śpiewał ale po cichu, bo on lubi słuchać.

Stefan nie palił, oddał tym co palą, to zaraz wszyscy posiadali w kolejkę i każdy raz pociągnął dymka i drugiemu podał i tak po jednym dymku, jak starczyło to wszyscy pociągnęli. Ja papierosów

ani machorki nie paliłem i nie wiedziałem co to jest nałóg palenia.

Otóż opiszę co tam w tej celi zobaczyłem, jak palące pruli szwy w swych marynarkach i śmieci wydłubywali z piaskiem i sierścią, różne prochy zwijali w tutki od papierosów i to palili, śmierdziało to w całej celi, ale co można było zrobić.

Gdy się skończyły te śmieci z marynarek i z sukmanów, to skubali koce, którymi się okrywali a dość łatwo dały się skubać, bo to były bardzo stare, może miały po 40 lat a może i więcej. Ale gdy to skubanie szło, to jeden musiał śtać przy drzwiach plecami, że gdyby dyżurny klapki podniósł to nie zobaczył co się w celi robi, bo gdyby zobaczył to byłaby bieda. No i potem znowu zwijanie w tutki i palenie, co to był za smród, ja aż nos ścisnąłem, żeby się jak najmniej tego nie nawąchać.

No ale to jeszcze nie wszystko. Do ubikacji zawsze prowadzali nas rano i wieczorem a mieliśmy stale taki kibel do sikania, który stał całe dni i noce w celi. Siki to jeszcze były znośne ale często się zdarzało, że jakiś chory na żołądek miał rozwolnienie, to siadał na kibel i się załatwiał, to można się było nawąchać przez cały dzień albo przez całą noc, bo tylko się wynosiło rano albo aż wieczorem, jak prowadził do ustępu.

Tam gdy się wszyscy załatwili, to potem kibel wypróżniali i wody nabierali i miotłą go szorowali w kilku wodach. Codziennie dwóch innych tę czynność robili, kolejka obowiązywała wszystkich po kolei, chyba, że ktoś był chory, to omijano go. Ja tej nocy mało spałem, zaraz z wieczora jeden nawalił do kibla, spałem trzeci od okienka, wstałem i pomału przysunąłem się do tego okienka, taki ostry wiatr wiał prosto w okienko i na mnie, poczułem ból w szyi i w całym karku. Wróciłem na swoje łóżko, nakryłem się kocem ale usnąć już nie mogłem. Gdy rano przyszedł dyżurny i jakiś urzędnik z kancelarii na powierkę policzyć, czy wszyscy są, codziennie rano zawsze sprawdzali. Gdy wszedł do celi wszyscy musieli z łóżek wstać, każdy naprzeciw swego łóżka. Zawsze przychodzili z grubszym zeszytem i z ołówkiem w rękę.

Gdy sprawdził i miał wychodzić ja podeszłem do niego i proszę żeby mnie zapisał do lekarza, popatrzył na mnie, głowę mi skrzył w prawo, że broda aż prawie była nad ramieniem, zapisał i powiedział, że o godzinie 10-ej przyjdzie po mnie. Ja już głowy nie mogłem skrzyć na wprost siebie, gdy próbowałem, to zaraz poczułem straszny ból w karku i szyi. Myślę sobie mój Boże całe swoje życie byłem prosty a tu zrobiłem się garbaty, gdy da Bóg, że wrócę do Polski, to będzie nas dwóch w Drozdowie garbatych - Wiśniewski Adam i ja drugi.

Ba, ale czy ja wrócę, to jest wątpliwe, nic nie wiadomo. Na śledztwo jeszcze mnie tu nie wzywali, dał Bóg żeby już więcej nie badali. O 10-ej przyszedł dyżurny i ten z zeszytem, co mnie zapisał i patrzy w zeszyt i wyczytał głośno Pieńkowski, odezwałem się jest Aleksander mówię, da chadź do lekarza.

Poprowadził mnie po schodach na parter i tam podeszlim kawałek korytarzem, zatrzymaliśmy się przy drzwiach na których było nadrukowane - wracz. Zapukał do drzwi, jakaś kobieta powiedziała cienkim głosem - wejść. Gdy weszlim naprzeciw stało biurko za tym biurkiem stała kobieta lat może około 30-tu, włosy miała widny blond a na twarzy była piegowata.

Z prawej strony, ze szczytu biurka siedział w mundurze wojskowym oficer z dwiema gwiazdkami na pagonach. Ja, gdy tylko weszlim powiedziałem jak zwykle zdradzujcie. Potem pyta się czy to boli, ja jej odpowiedziałem, że mnie dziś w nocy przeciąg głowę skrzył, że nie mogę naprostować, gdy to próbuję, to mnie strasznie boli i proszę ją żeby mi przeznaczyła jakąś maść do smarowania, to może nie będzie boleć.

Ona patrzy się na mnie i mówi nie nada niczego, eto samo prejdziot. I dyżurny mówi pajdziom. Przyprowadził mnie do celi, zamknął i poszedł. A przedwczoraj wprowadzili do naszej celi Ludwika Mickiewicza z Lidy aptekarza i razem jakiegoś stolarza starszego już człowieka, pewnie po 60-ce.

Aptekarz się pyta co panu powiedzieli, bo wiedział już, że żadnego lekarstwa nie dostanę, bo mówi wszystkie lekarstwa przygotowują na front, do szpitali, a tu oni nic nie mają, oni coś przeczuwają.

Opowiadał, że miał w Lidzie swój własny dom i swoją aptekę i że żona jego i córka pozostały w domu. Opowiadał jak razu jednego dali mu do pomocy jakąś swoją Rosjankę, która miała jemu pomagać przygotowywać lekarstwa. Sama mu opowiedziała, że ukończyła trzymiesięczny kurs magisterski i że wie wszystko z dziedziny aptekarskiej. Pokiwałem głową i mówię jej, jak to u was prędko nauka się rozwija, u nas trzeba najmniej trzy lata się uczyć na aptekarza a u was aż dziw, naprawdę. Ale co od razu się pokazało, przychodzi do apteki jakaś kobieta z receptą po jakieś lekarstwo a ona wzięła receptę do ręki, patrzy się dłuższy czas i podchodzi do mnie i mówi, że ona tego nie może przeczytać. Ja widząc jej te wysokie wykształcenie i zaawansowanie, wzięłem receptę do ręki i musiałem jej mówić i pokazać gdzie co stoi, czy leży i ile tego wsypać i innego znowu tyle i to wszystko na wagę w gramach a jak jakieś krople to też ona w ogóle recepty przeczytać nie mogła. Za parę dni przydzielili do apteki kasjera z kasetką żelazną, cały utarg na wieczór zabierał i kasetkę ze sobą.



Nareszcie aptekę zabrali i dali pensję jako kierownikowi - 600 rubli na miesiąc a po miesiącu przyszło NKWD, zabrali mnie i tu do Mińska, do więzienia wsadzili, za to, że ja dawniej mieszkałem w Wilnie a teraz w Łidzie ale to taka pretensja żeby zabrać aptekę.

Teraz wróćę do swojego garbu. Rano przyszedł dyżurny, poprowadził do ustępu, po załatwieniu się wszystkich i wymyciu kibla wróciłem do celli, położyłem się na łóżku, nakryłem się kocem na głowę, boli mnie bez przerwy cały kark i szyja, nawet nie mogę się przewrócić na drugi bok, stękam z bólu a Sienkiewicz tylko stęka, gdy się przewraca a tak to nie stęknie, widać, że jemu jest lepiej trochę. Rano przynieśli nam chleb, kawę i cukru każdemu pudełeczko od zapalek, bo prawie nam cukier codziennie dawali, rzadko kiedy nie dali, powiedzieli, że siewodnia nie chwaciło. Na obiad przynieśli jakąś zupę trochę zaczerwienioną i w niej znajdowały się plasterki jakby suszonej brukwi i jakoś na szczęście wpadł mi kawałek śledzony, ale była śmierdząca ale się zjadło. Zapytałem się Sienkiewicza z jakiego to stworzenia może ona być a on mówi pana szczęście spotkało a pan jeszcze się pyta z jakiego to stworzenia. Nam tak to jest potrzebne - kawałek mięsa a to się trafia raz na parę miesięcy. Okazało się, że jeden kawałek dostał tylko Zakościelny i ja.

Gdy trzeciego dnia ból mi nie ustępuje a głową ani ruszyć nie mogę, Mickiewicz popatrzył na mnie i mówi po śniadaniu ja panu zrobię masarz, to powinno panu pomóc. Po śniadaniu, które z biedą pomału zjadłem Sienkiewicz każe mi się położyć na brzuchu, zdjąłem z siebie koszulę i położyłem się na brzuchu a on mówi choć pana i będzie boleć, niech pan zęby zaciśnie i nic nie mówi a ja będę panu robił masarz. Czuję jak on bierze za skórę kciukiem i dwoma palcami unosi do góry lewą ręką a prawą ręką kantem uderza mnie pod palce po odciągniętej skórze, zabolalo mnie to ale nic nie mówię a on jak tak zaczął od krzyża tak prosto jedzie do góry, do samego karku, potem zaczyna znowu obok tamtego pasa i robi to samo aż do góry. Sykałem z bólu ale czekałem co to będzie dalej. A on zmęczony usiadł obok mnie troszkę odpocznie mówi - zaraz będę robił drugi masarz, pytam się czy taki sam, on mówi nie, zacisnął swoje obie ręce w pięści i powiada będę teraz gniótł pana tymi kłykami po całych plecach, tak jak tamten masarz. No i teraz wstał i zaczyna naciskać, to strasznie boli a on mówi to nic, za parę minut nie będzie boleć, już nic nie mówiłem aż skończył.

A on znowu usiadł i mówi - trochę odpoczne i jeszcze raz zrobię to łokciem. Patrzę na niego a on cały jest spocony i dyszy ze zmęczenia. Ja jemu mówię - pana noga boli aby to panu nie zaszkodziło a on mówi ja stoję na tej zdrowej nodze a tą chorą to tylko lekko się podpieram palcami, to ta tylko trochę boli. Wstał i mówi - niech pan tylko będzie cierpliwy i dalej zaczął mnie tym łokciem naciskać aż pot z niego kapał na mnie. Nareszcie skończył i mówi na dzisiaj dosyć a jutro znowu to samo trzeba robić, bo raz to nic, trzeba kilka dni robić aż panu się głowa nawróci, niech pan sam sobie palcami masuje szyję chociaż i boli, po trochu ale nieraz, czym więcej razy, to lepiej będzie.

Robiłem sobie pomału sam ale tylko dwa razy do wieczora, bo bolało. Ale już na drugi dzień tak mi się wydawało, że może jest trochę lepiej. Drugiego dnia po takim samym masarzu jaki mi zrobił pan Mickiewicz i potem ja sam sobie zrobiłem przewaźnie po tej stronie, w którą miałem brodę skreconą, to już trzeciego dnia mogłem trochę głową ruszyć i nadzieja we mnie wstąpiła, że może Bóg da, że ja jeszcze dojdę do siebie i głowa mi się naprostuje.

Pod koniec czerwca jeszcze mnie nie brali na śledztwo coraz to dobawiali do naszej celi nowych aresztowanych ludzi. Przyprawdzili szofera z Baranowicz, nazywał się Michałowski Kostek. Na śledztwo go nie brali na razie. Mnie po tygodniu czasu już pan Mickiewicz wyleczył tymi masarzami. Głowa się naprostowała a szyja to jeszcze trochę bolała ale ręką rozcierałem i też już nie boli.

Prawie co dziennie dziękowałem panu Mickiewiczowi za te bolące masarze, polubiłem się obydwaj, ja jemu się zwierzyłem, że byłem w organizacji podziemnej i za to mnie aresztowali ale ja się nie przyznałem do tego. Miałem śledztwo w Łomży, w więzieniu badali mnie osiem dni i potem przewieźli razem z innymi, około 60 ludzi do Mińska a czy tu będą jeszcze mnie badać, tego nie wiem.

On powiedział mi, że wiedział gdzie była broń ukryta ale też nie powiedział i to tak go za to bili, bili. Powiedział też, że syna aresztowali i wywieźli gdzieś, że nic o nim nie wie, została w domu żona i córka, nie wiem czy ich nie wywozają. W jednym z uli z pszczołami miałem tam ukryte 2 tysiące rubli w złocie, jeszcze dawne carskie, nie wiadomo czy ich kiedy jeszcze zobaczę.

W więzieniu pocieszał wszystkich, on był dla mnie jak rodzony ojciec. Wszystkim mówił zobaczycie jeszcze się wszystko zmieni. Ja byłem na wojnie za cara, wojna też była z Niemcami i wróciłem, prawda, że byłem młody ale aby tylko Bóg dał zdrowie, to mam nadzieję, że jeszcze wróćę do swego domu. Śledztwo zakończyłem raną na udzie, pomału się goi, już i bólu mam tylko połowę, w Bogu nadzieja, trzymajcie się wszyscy i nie martwcie się, jeszcze będzie dobrze, zobaczycie.

Ja tylko chciałem wrócić do swojej kochanej Ojczyzny Polski i zastać swoją żonę i córkę, o majątek mi się nie rozchodzi. Trudna to jest era, okres dwutysięcznego po Narodzeniu Chrystusa Pana, to taki kataklizm musi przejść po całym świecie i każdy prawie to odczuje. Będzie szukać ojciec syna, córki, żony a one będą szukać znowu ojca a będą takie dzieci co nie znajdą ani swego ojca ani

swej matki - sieroty. Ale każdy musi wierzyć, że wróci, bo wiarą i nadzieją człowiek się podtrzymuje i żyje. I tak zawsze wszystkich pocieszał.

Pod koniec czerwca znowu do naszej celi wpuścili dwóch mężczyzn, jeden od razu powiedział, że jest z Rakowa, niedaleko od granicy bolszewickiej. Nazywał się Piekarski Władysław. Wieś była duża i w niej był Urząd Gminy, przed wojną był sekretarzem w tej gminie. A w 1940 roku już za bolszewików pracował na poczcie w Mołodecznie. Wszedł w binoklach, wyglądał jak jakiś dygnitarz.

Drugi był gajowym, mieszkał w tej samej wsi co i Mickiewicz, mówił, że był na ten czas w domu, jak zabierali żonę i córkę z zięciem i wywieźli ich do stacji kolejowej. Po wywiezieniu ich rzucili się Białorusini na rabunek wszystkiego - meble, zboże, siano i kartofle a potem i ule z pszczołami.

Ja obserwowałem Mickiewicza jak ten gajowy mu opowiadał, jakie na nim wrażenie ta tak bolesna wiadomość wywrze. Mickiewicz posmutniał na chwilę ale ani łza ni pokazała mu się w oczach. Trudno nie tylko ja padłem ofiarą ale setki tysięcy rodzin polskich takie wielkie nieszczęście spotkało. Ja zdaję się na wolę Boga ze wszystkim, jak Bóg da to wszystko się wróci i żona i córka i syn i może się wszyscy spotkamy. To jest tylko w Bogu nadzieja. Uważam po swoim życiu i czynach i wierzę mocno, że Bóg miłosierny tak zrządzi, że ja wrócę do swojej kochanej Ojczyzny, którą tak kocham, jak dawniej swoją rodzoną Matkę.

Poznałem w nim silną wolę i postanowiłem wziąć przykład z niego a on usiadł na łóżku i nic więcej nie mówił. Ja też się zamyśliłem i po paru minutach westchnąłem i w myślach mówię Boże ja też zdaję się na Twoją wolę i wierzę mocno, że Ty Panie Boże dopomożesz mi wrócić do mojej kochanej Ojczyzny, do kochanej żony mojej i do dzieci i do wszystkich moich kuzynów i znajomych i do kochanego Drozdowa w którym się urodziłem i dużo społecznie pracowałem, przy pomocy innych zorganizowałem Ochotniczą Straż Pożarną w Drozdowie w roku 1928 w lecie.

Wspominałem swojego śp. Ojca Mateusza i swoją śp. Matkę Julianę, którzy są pochowani na cmentarzu drozdowskim. Ojciec zmarł w roku 1915 a Matka w r. 1916. Wszystko myślałem tego dnia i w nocy tylko o Drozdowie.

Nad ranem spałem twardo, przyszedł dyżurny, drzwi otworzył na oścież i woła a nuka idziom do ubomy /ustępu/, gdy wróciłem dali pajkie chleba 600 gram, pudełko kryształ od zapalek i zaraz przynieśli czarną kawę, którą cierpał kucharz takim cierpakiem trzy czwarte litra. Po śniadaniu znowu myślę, że ja tych takich lat nie dożyję co mój Ojciec, miał 86 lat ale w więzieniu nie siedział i na wojnie nie był a ja byłem w roku 1919 na wojnie z Ukraińcami a w roku 1920 z bolszewikami w okolicach Lwowa, Złoczowa, Tamopola aż przy granicy dawnej Polski, miasteczko Skalał i Osiatycz i inne. Mam dopiero lat 43, połowę jak raz co miał mój Ojciec,

Siedzę w więzieniu w Mińsku a w więzieniu w Łomży grozili mi, że mnie rozstrzelają jak się nie przyznam, że należałem do podpólnej organizacji i byłem komendantem we wsiach Drozdowo i Niedowa. Ja się tłumaczyłem, że ja nic nie wiem o żadnej organizacji i nie byłem żadnym komendantem.

Badali mnie 8 dni i przywieźli do Mińska i siedzę już prawie dwa miesiące spokojnie, na śledztwo mnie jakoś nie wołają i nie wiem co w ogóle ze mną będzie. Na korytarzu słychać straszne krzyki, bo przy badaniu biją, kopią nogami aż ciarki po plecach chodzą gdy to się słyszy, bo przecież wiemy co robili z Mickiewiczem. Najgorzej się odczuwałem pod koniec lipca 40 roku. Przywozili i rozprowadzali po celach w całym więzieniu. Ja nie wiedząc co się ze mną stanie, przygotowywałem się choćby na śmierć.

Modliłem się, pacierze odmawiałem w myślach i rano i wieczorem i tak samo pieśni pobożne w myślach śpiewałem. Czasem budzę się w nocy i ja klęczę na kolanach i odmawiam pacierz, czasem dopiero zacząłem Ojcie Nasz, któryś jest w niebie, to już go do końca, mówiłem Zdrowaś Maryja a czasem już mówiłem Wierzę w Boga Ojca i to zawsze klęczałem ale też i zawsze dokończyłem Ojcie Nasz, Zdrowaś Maryja i Wierzę w Boga Ojca.

Tak się przygotowywałem do pojednania z Bogiem, bo nie wiem co może być jutro, może mnie rozstrzelają i bez księdza, bez spowiedzi i komunii świętej. Ale nie tylko ja się modliłem i inni też się modlili i wzdychali do Pana Boga prosząc o szczęśliwy powrót do swojej Ojczyzny i do swoich rodzin. A tu nic nie wiadomo o powrocie.

Klapka we drzwiach się odchyliła i dyżurny woła na bukwu K - odezwał się Kryński i na bukwu Z - odezwał się Zakościelny - wychodzicie z wieszczami. Z Zakościelnym się pocałowałem, potem Sienkiewicz się z nim pocałował i więcej by się z nim całowali ale dyżurny drzwi już otworzył i krzyknął wychadzajcie skarej. Widziałem tzy w oczach Zakościelnego, to był dobroci chłopak, nazywałem go swoim zięciem. O swoim ojcu też nic nie wiedział, jak go aresztowali i wywieźli, nie dawał żadnego znaku o sobie. Pozostała w domu tylko matka i siostra ale też nic o nich nie wie, może ich wywieźli. Często sobie podśpiewywał. Nie dbam jaka spadnie na mnie kara, więzień, Sybir czy kajdany, zawsze pracować będę na cara. Polak tułacz i wygnany.

A jak już wpadł w gniew to jedno kończył a drugą zaczynał i znał także alfabet Morsa co się puka



w ścianę i porozumiewa. Ta nasza Polska, kraina gdzie kwitnie tak pięknie maj, o której serce wspomina. To nasz kochany kraj itd.

— Nieraz za jego śplew dyżurny przyniósł repetę dla wszystkich. Odszedł od nas, miał już śledztwo zakończone, nie wiadomo jak go osądzą za to tylko, że prowadził w Berezie Kartuskiej bibliotekę.

Zaraz po tych dwóch co odeszli, na drugi dzień zrobił się ruch na korytarzu, słyszelim jak drzwi otwierali i aresztowanych wpychali i zamykali i szli po drugich i po kolei do każdej celi świeżych zamykali. A mnie się śniło tej nocy, że byłem we młynie i tam dużo stało worków z mąką i tego dnia do naszej celi wprowadzili aż ośmiu ludzi, przywieźli ich z więzień, z Polski bardzo duży transport. W każdym mieście doczepiali wagony pełne a najwięcej z Białegostoku, mówili ci co do nas przyszli, że chyba 3 wagony.

Pierwszy wszedł do naszej celi Juliusz Grzędzielski, zabrali go wprost ze szpitala psycholacyjnego w Choroszczy z gołą głową, w ładnym garniturze i w koszulce siatkowej koloru ciemnogramatowego. Był doktorem i lotnikiem w stopniu porucznika a urodził się we Lwowie, w Choroszczy pracował jako doktor. Był młody lat około 34, przystojny, energiczny a wyglądał na sportowca. Miał ogromną pamięć jak Zakościelny, opowiadał nam jak ratował człowieka w różnych nagłych wypadkach i gdy nie było blisko doktora.

Dużo skorzystałem z tych lekcji ale mnie później wybili i wykopali nogami prawie całą moją pamięć i to czego się nauczył. Potem opowiadał nam dokładnie Trylogię Sienkiewicza, od początku rozdział pierwszy i wszystkie rozdziały po kolei aż do końca. Najpierw Ogniem i Mieczem, potem Potop od początku aż do końca, potem Pan Wołodyjowski i Krzyżacy też od początku aż do końca. Wszyscy się dziwowali żeby tak można zapamiętać i to wszystko, rozdział po rozdziale opowiedzieć.

Drugi z nowoprzybyłych był nauczycielem z powiatu łomżyńskiego, uczył dzieci w szkole w Przytułach. Nazywał się Kozioł L. zarzut partyzantka. Trzeci był rolnikiem, nazywał się Fr. Lupiński, miał większe gospodarstwo w bok Zambrowa. Był na wojnie z Niemcami, dostał się do niewoli z której uciekł, wstąpił do Polskiej Organizacji Podziemnej, ja też do tej samej należałem. Jakiś go oskarżył szpicel, ścigali go kilka miesięcy ale zawsze udało mu się zwać. Ale ten szpicel go pilnował, jak on poszedł do stodoły spać, on dał znać, gdzie jest, przyjechali w kilka samochodów i z dała samochody zostawili, otoczyli stodołę i zaczęli go szukać, a on zakopał się w sianie. Oni po tym sianie chodzili i raz przy razie bagnetami dziubali w to siano. Obok mnie jeden dziubnął w siano ale blisko mnie, potem szedł z powrotem i wlaź na niego nogami i krzyknął jest. Ja się zerwałem, głową mu rąbnąłem w brzuch, on się przewrócił i ja bryknąłem z zasieka na klepisko ale rzucili się na mnie od razu z 10-ciu, kajdanki mi nałożyli, na samochód złożyli i za 2 dni odwieźli mnie do Białegostoku a potem do Mińska.

Potem było dwóch braci stryjecznych, nazywali się Rzędziany. Przypomniało mi się z książki Ogniem i Mieczem, że to ich mógł być prapradziadek, który u Jana Skrzetuskiego był pachółkiem a po wojnie był grubym urzędnikiem na Mazowszu.

Ale wróćmy do tematu, kto jeszcze w tej ósemce wczoraj przyszedł do celi 140, do nas. Przybyło jeszcze trzech razem z Rzędzianami, doktorem i innymi. Byli to młodzi rolnicy, też z okolic Białegostoku a siedzieli w więzieniu w Białymstoku, ich nazwisk nie pamiętam, zarzut mieli - partyzantkę.

W naszej celi robiło się ciasno, łóżka pozsuwali jedno do drugiego i spalim jeden przy drugim, jak śledzie, inni na podłodze. Obok mnie spał z prawej strony aptekarz Mickiewicz a z lewej strony spał Piekarski Wład. a Sienkiewicz spał za aptekarzem. Spaliśmy bez koszul, tylko w kalesonach jakie kto miał, jeden w długich w inni w krótkich, było strasznie gorąco pod koniec lipca 1940 r. Ciała się stykały i z prawej strony i z lewej strony. Ja byłem strasznie gorący. Mickiewicz mówił pan ma niezdrową krew w sobie i odgradzał się ode mnie swoją koszulą a Piekarski jakoś wytrzymał tą moją gorączkę.

Razu jednego w nocy śni mi się, że idę z łąk z jedną młodą kobietą ładną, często nam przed wojną pomagała obrzynać mięso na kielbasy i mamy przechodzić przez Narwicę, woda była nie bardzo głęboka, ja zagełem nogawki, ona uniosła spódnice z koszulą i przeszliśmy, ja odgełem nogawki, ona opuściła spódnice z koszulą. Przy Narwicy była murawa, ja jej mówię to może tu na tej murawie zrobimy czynnek miłosny, ona usiadła i mówi możemy, mój mąż jest teraz w wojsku. Co dalej było nie wiem, tylko słyszę głos obocznika Piekarskiego - panie Pieńkowski co tu pan ze mną wyprawia. śtura pan mnie po krzyżu i po plecach i czuje na krzyżu wilgoć.

Pobudzili się inni, śmieją się ze mnie a ja Piekarskiego przeprosiłem za przerwanie snu i nakryłem się koszulą na głowę i twarz i spałem aż do rana. Trochę mi było nieprzyjemnie ale co ja byłem winien. Rano pobudka do ustępu i mycia się. Dyżurny drzwi otworzył, dwóch wzięło kibel i miotłę i idziemy, jedni sikają, inni na stolec się załatwiają i znowu z tym panem Piekarskim nowy karambol mam. On usiadł na stolec załatwić się a ja sikał obok, po wysikaniu wzięłem we dwa palce i trząchnąłem nim i znowu panu Piekarskiemu padło na okulary ze dwie krople, a on na to mówi panie

Pieńkowski to już za dużo tego, pokarał się pan na mnie, czy co. Ja jemu mówię p. Piekarski ani w nocy ani tu ja nie zrobiłem tego umyślnie, tylko niechzący, to musi mi pan wybaczyć.

—Doktor Grzędzielski mówi, żeby tu był kawałek kamienia, to ja bym popukał w ścianę, to bym się dowiedział może coś ciekawego, ale kamienia w celi nie było ale było domino. On wziął jedną kostkę, spróbował puknąć w ścianę i powiada popukam. Jeden poszedł pod drzwi, ustał na przeciw klapki plecami ażeby zastąpić otworek a jak dyżurny usłyszy i będzie wsadzał klucz, w ten czas odskoczy i będzie udawał, że spał i będzie oczy przecierał. I tak się stało. Doktor zaczął pukać i dyżurny usłyszał, otworzył drzwi i pyta się kto pukał w ścianę ale wszyscy mówią, że u nas nikt nie pukał w ścianę. Przed przejściem tam i z powrotem zamknął drzwi i poszedł ale za chwile przychodzą we dwóch dyżurny i ten co rano przychodzi i liczy i zapisuje do zeszytu aby zdać raport w kancelarii.

Pyta się od razu kto pukał w ścianę, my mówimy, że u nas nikt nie pukał, zaczęli rewidować po kolei, szukać kamienia czy czego takiego, żeby można było pukać w ścianę. Domino było ułożone na desce obok leżały szachy i warcaby w torebkach. Przetrzyli całą celę i nic nie znaleźli. Zabrali nam szachy i warcaby i domino ale zanim wzięli je, zaczęliśmy prosić, to domino zostawili.

Ten urzędnik darł się jak wściekły na nas ale każdy z nas siedział albo stał spokojnie i nic sobie z tego nie robił. Na drugi dzień, po umyciu i po śniadaniu przyszedli aż we trzech i dopytywali się po kolei kto i czym pukał w ścianę ale każdy odpowiadał, że to nie w naszej celi pukali. Gdy nic się nie dowiedzieli grozili nam i straszili, że wszystkich nas wsadzą do ciemnej celi i wody napuszczą i co trzeci dzień tylko obiad dostaniem, bo za pukanie w ścianę będzie zastosowany ścisły izolator.

Po tym dniu nastąpiła zmiana dyżurnego na korytarzu i tego co rano obliczał i do zeszytu zanotował a to dlatego, żeby czasami się dyżurni nie zwąchali z przestępcami.

Następnego dnia przyszedł jakiś starszy urzędnik i mówi do nas może kto chce jakieś zażalenie pisać to niech mówi o co i on napisze i poda naczelnikowi więzienia, to on wszystko rozpatrzy.

My jego wzięliśmy prosić żeby nam oddali szachy i warcaby, on powiedział, że zobaczy. Na tym się na razie zakończyło. Czekaliśmy 2 dni ale ani szachów, ani warcabów nie oddali ale w celi byli spece i zrobili nowe i znowu grali. Dyżurny zobaczył przez kłapkę w drzwiach, że dwóch grało, otworzył drzwi, przyszedł do tych co grali i mówi pokażcie szachy, nie było rady pokazali, obejrzał, głową pokiwał i mówi ach wy Polaczki czto wam zdziałać, wtedy ja mówię niczewo grażdanin wy charoszy czelowiek, uśmiechnął się i poszedł.

Doktor Grzędzielski powiada popukałbym dominem w ścianę, może bym się coś dowiedział, alem mu odradzali, po co mamy się narażać jeszcze na gorsze. A on mówi, że zna dobrze alfabet Morsa, jest to umiejętność pukania zamiast liter z których układają się słowa.

Następnego dnia do naszej celi wprowadzili trzech z powiatu łomżyńskiego - kierownika szkoły w średnim wieku, rolnika takiego bogatego gospodarza i młodego 19 lat Mściwojewskiego, tych dwóch od Jedwabnego niedaleko.

Mściwojewski powiedział mi, że był w Drozdowie na początku sierpnia w 40 r. On był wysłany ażeby się dowiedzieć co słychać w Drozdowie, bo w Jedwabnem wykryli tajną organizację P.Or.Podziemną i dużo naaresztowali młodych ludzi, czy on był w organizacji - nie był. Także u jednego znaleźli spis całej organizacji do której należał i ten kierownik szkoły i ten rolnik. Gdy im pokazali listę i ich pseudonimy to kierownik się przyznał, że rok się przyznawał.

Kierownik szkoły był tylko w koszuli i nawet bez czapki, ten rolnik był też bez marynarki ale miał trzy koszule, dwie cienkie i jedną lnianą ale była pocięta w pasy gumowymi pałkami policyjnymi, bo nie chciał się przyznać, że należał do P.O.P. a był na liście zapisany, to tak go zbili.

Ja nie miałem ręcznika do otarcia się po myciu i mówię mu żeby tę koszulę podał i dał mi kawałek tej koszuli do ucierania, to dam mu 15 gram chleba. On to zrobił, więc musiałem sobie ująć z 600 15 dgr., to zostało mi 45 dkg na cały dzień. Poczulem głód tego dnia ale miałem cały rękaw do ucierania, po umyciu twarzy.

Po tej transakcji z ręcznikiem przywołałem do siebie Mściwojewskiego czy on co wie o mojej rodzinie, on mówi, że moja rodzina mieszkała na miejscu w swoim domu. A wojsko bolszewickie już dwa razy uciekało z Drozdowa w popłochu udanym, bo wiedzieli, że jest w Drozdowie tajna organizacja ale nie mogli wpaść na żaden trop. Ale tam byli nie frajerzy w mózg kopani i spokojnie się przyglądali jak ci, jak pszczoły w ulu się kręcili i biegiem z Drozdowa wyjechali, a za jakąś godzinę wracali z powrotem.

W tych czasach w każdej wsi znaleźli się donosiciele i byli powiadomieni, że ta ucieczka to jest udana a oni mieli uważać co się we wsi będzie robić, bo mieli w magazynach na zapas siodła, skóry podeszwowe, waciaki tak zwane fufajki, w skrzynkach amunicję i granaty. Na szczęście nikt na rabunek się nie rzucił, bo wiedzieli, że to się nie ukryje i zaraz pójda do NKWD i o wszystkim donosą, w ten czas kto by coś wziął, to by całą rodzinę wywieźli do Rosji na przymusowe roboty w lasach Archangielska aby zrzynać kloce i przyrzynać w metry 4 1/2 metra, to była norma.

W 100% donosicielami byli w Drozdowie - młody Waniewiak, który zaraz został sekretarzem



selsowietu, było i dużo innych stronników, którzy się tak bardzo nie angażowali, bo się bali, że ich też będą obserwować. Nie będę ich całymi nazwiskami wymieniał ale chociaż literami S.Z.S.J.K.J.P.Z. i dużo innych w Piątnicy byli już otwartymi bo tak się mawiali - sami komunistami - trzech braei Wyrwasów i też jeszcze dużo innych.

Ale znowu wrócę do celi Nr 140. Ucieszyłem się bardzo wiadomością od Mściwojewskiego, że moja rodzina jest na miejscu i mieszka w swoim domu i tam w moim domu jest kooperatywa w której była sklepowa jakaś młoda dziewczyna z Drozdowa.

Ucieszyłem się również, że Drozdowiaki się nie wsypali, że umieli panować nad swoimi nerwami, to była ważna rzecz. Za kilka dni wprowadzili znowu dwóch. Na zapytanie skąd są taki z gołą głową młody lat około 30-stu powiedział z Łomży jesteśmy, nazywam się Ciborowski Zbyszek a to mój szwagier Czerniewski i mówi dalej ja jestem marynarzem, pływałem na statku 5 lat, na statku dobrze nie pamiętam, zdaje się Dar Pomorza. Pytam go się czy pana ojciec był muzykaniem, powiada tak był a ja jemu mówię ja jestem z Drozdowa i pana ojca dobrze znałem, bo często grał u nas na zabawach a siostrę też znałem, pracowała jako ekspedientka w księgarni p. Marczewskiego na ul. Długiej.

Opowiedziałem mu o swoim śledztwie w Łomży i mówię, że tu na śledztwo mnie nie wzywają, zdaje się, że już zakończyłem. On mówi ja też w Łomży zakończyłem ale tu będą badać na nowo i powiada, że w Łomży bardzo dużo naaresztowali

Przy końcu czerwca i w lipcu przeszło tysiąc osób, zwęszyli, że prawie cała Łomża jest zorganizowana i dlatego tak aresztują. Doktor Rogowski też aresztowany. Ja wiedziałem, że doktor był w organizacji a gdy jeździł do chorych po wsiach to też organizował chłopów i przysięgę od razu od nich przyjmował.

Poza tym gdy ja jeszcze byłem w domu to my się często spotykaliśmy, to sam do mnie mówił, że on i inni porozumiewają się z oficerami sowieckimi i powiedział, że 40 procent oficerów sowieckich chce należeć do naszej organizacji i będą razem rozbrajać swoje wojsko jak nadejdzie ten czas.

Szkoda mi go było ale pomyślałem każdy kto się czuje Polakiem, i poświęca siebie i nie tylko siebie bo i całą rodzinę aby walczyć o wolność kochanej Ojczyzny Polski, to jak nie zginie to będzie siedział w więzieniu i będzie sądzony za to, że kochał swoją Ojczyznę i szedł za nią walczyć.

Trudno, trzeba teraz cierpieć i czekać i czekać dalej co będzie a może się coś zmieni na świecie. Na śledztwo wywołali Łupińskiego. Za jakieś 4 godziny dyżurny drzwi otworzył i wszedł do celi ze śledztwa Łupiński, na twarzy siniaki, oczy popodbijane.

#### Zeszyt nr 2

Łupiński gdy przyszedł do celi po śledztwie zaraz się położył na łóżko, nic do nikogo nie mówił i nikt go o nic nie pytał widząc go tak strasznie pobitego.

Gdy odpoczął zaczął opowiadać, że gdy śledowaciel zaczął badać w organizacji a on mu odpowiedział, że o niej nie wie nic, w ten czas śledowaciel uderzył go w twarz a on zerwał się z taborka i jak mu oddał to żeby nie biurko to by się przewalił ale znowu skoczył i chciał uderzyć mnie, to ja lewą ręką się zasloniłem a prawą znowu mu przyfasowałem, w ten czas on wypadł na korytarz a ja usiadłem na taborek i siedzę, a za jakieś 3 minuty wchodzi aż trzech i od razu zaczęli mnie bić, ja z razu też się nie dawałem i nie jeden jeszcze dostał ode mnie ale otoczyli i bili mnie a ja już nie miałem siły się bronić a oni z taborkiem mnie przewrócili i kopali nogami, aż chyba pomdleli i wyszli wszyscy trzej a ja pomału się podniosłem i usiadłem znowu na taborku i ścieram krew, która sączy mi się z nosa i gdzie dotknę się na twarzy czuję ból ale i po całym ciele mnie bolało. Przyszedł dyżurny i odprowadził mnie do celi.

Jeszcze w lipcu znowu dwóch wpuścili do naszej celi, młodych chłopaków, obydwaj już po zakończeniu śledztwa. Jeden był z Grodna, uczeń gimnazjum, nazywał się Batowski a drugi nazywał się Polkowski syn rolnika z okolic Grajewa. Obydwaj byli już po wyroku, osądzeni na karę śmierci.

Batowski rzucił butelkę z benzyną pod czołg gdy sowieckie wojsko przejeżdżało przez miasto Grodno, czołg się zapalił i jego zaraz złapali a Polkowski przynosił jakieś papiery, złapali go przy granicy jako szpiega. Obydwaj nie przejmowali się tymi wyrokami, byli nawet w niezłym humorze.

Na drugi dzień, gdy przyszli do celi jak co dnia obliczyć obecnych, dyżurny stał przy drzwiach a urzędnik z kancelarii z grubym zeszytem i ołówkiem w rękę wszystkich obliczył i zanotował w zeszytcie. Wyczytuje Batowskiego i Polkowskiego i powiada im - jesteście osądzeni na karę śmierci, już są na was wyroki ale, że jesteście młodzi, nawet nie macie po dwadzieścia lat, chodźcie ze mną do kancelarii i tam napiszcie prośbę ażeby wam zamienili wyroki na dożywotnie więzienie.

A oni obydwaj mówią, że do kancelarii nie pójdą i pisać o zamianę wyroku nie będą i mówią kiedy osądzili, to niech nas rozstrzelają. Ten urzędnik namawiał ich i tłumaczył - jesteście tacy młodzi, wam jeszcze trzeba żyć ale to nic nie pomogło, to namawianie, iść nie chcieli. Urzędnik poszedł sam. Na drugi dzień gdy przyszedł znowu na powierkę, znowu ich namawiał ale nie poszli, na odchodnym powiedział, żeby się jeszcze dobrze namyślili, bo jeszcze można to zrobić i poszedł.

Za jakieś dwa tygodnie, gdy przyszedł na powierkę, ten z kancelarii urzędnik powiedział tym co

nie chcieli pisać podań o ulaskawienie, że Sąd zmienił wyrok z kary śmierci na dożywotnie więzienie dlatego, że jesteście jeszcze młodzi.

Jakiś czas było spokojnie w naszej celi. Ciborowski Zbyszek powiada niech każdy coś opowiada, prędzej będzie nam czas schodził. Wszyscy się zgodzili ale nikt pierwszy nie chce opowiadać i zwróciłem się do tego obrońniętego Ardamakowa. On mówi ja wam opowiem o z kazku o hrabim Dubrowskim i jego córce, no i opowiedział ale z jego opowieści nic nie pamiętam.

Na drugi dzień opowiadał Ciborowski o swoich podróżach na okręcie Dar Pomorza, 5 lat pływał do różnych portów, w różnych krajach. Mówił, że prawie cały świat objeździł.

Następnego dnia opowiadał Mickiewicz, też nie pamiętam o czym. Następnego dnia mówił Sienkiewicz. Na czwarty dzień przyczepili się do mnie, żebym ja im coś ciekawego powiedział. Myślę sobie co tu im opowiedzieć, bo mam dużo do opowiedzenia. Byłem na wojnie w roku 1919 w okolicach Lwowa, Tarnopola, Złoczowa i dużo w innych miastach i okolicach ale pracowałem prawie dwa lata w browarze drozdowskim i mówię opowiem panom jak się piwo gotuje i co najprzód się robi. Że piwo robi się z jęczmienia to prawie każdy wie. Otóż najsamprzód jęczmień się wysypuje na takie tak zwane pola 5 metrów szerokie, 20 m długie, spód jest ze specjalnej cegły kwadratowej wypalanej, równo się wysypuje i grabiami go się równa, takich pól w browarze drozdowskim było 20-cia. Jak już jęczmień się wyrównało, zalewa się go wodą szlauchem z sitkiem, tak zlany wodą leży dwa tygodnie a czasem i więcej aż wypuści kielki od pięciu do 10-ciu centymetrów. Później go się przewraca kilka razy a potem on trochę obziębnie i sypie go się do specjalnych wózków żelaznych i podjeżdża się do windy. Windą on jedzie aż na czwarte piętro, tam były dwa piętra obok windy, tak blisko, że tylko się wózek przechylało i jęczmień już był na tak zwanych lasach, lasy były na bantajzach, przymocowanych na nich były poprzykręcane stalowe, cienkie druty, tak żeby pomiędzy nich jęczmień nie przeleciał. Pod lasami był duży piec, na dole opalany drzewem albo torfem. Jęczmień na lasach trzeba było kilka razy przemieszczać i po wysuszeniu tymi wózkami przewozić do specjalnych młynków. Na jednym obleciał sam kwiat czyli te wyrosnięte kielki a na drugim się go grubo przemielilo i to był tak zwany sól z którego się gotowało piwo w dużym kwadratowym kotle, złote, jasne i ciemne a w kotle miedzianym gotowało się piwo marcowe, kuracyjne i sympleks. Piwowarem był Poznaniak Gronowski a potem Czech Zeman i Soszyński, na ostatku. W roku 1932 browar zbankrutował.

Ten pamiętnik zacząłem pisać w Pahlawi w Persji obecnie nazywają go Iran.

Podszedł do mnie Ciborowski Zbyszek, zaczęliśmy sobie rozmawiać. Uchyła kłapkę bojec, który prowadził do śledowaciela na badanie i woła na bukwu P. Ja się nie odzywam, bo jest nas czterech na literę P, jest Piekarski, Przeniak i Pieczukiewicz. Oni się kolejno odezwali a on odpowiada niet, gdy on im odpowiedział niet, ja się odzywam Pieńkowski, on zawołał wychadzij. Wyszedłem na korytarz, on mówi ruku z zada, wziąłem ręce do tyłu, on podszedł do mnie i założył mi jedną rękę na drugą, potem lewą ręką wziął mnie pod pachę i mówi idziom. Doszliśmy do końca korytarza, po schodach wyszlim na plac i idziemy do 3 piętrowego dużego więzienia, gdy weszlim na korytarz, tam jak raz wyprowadził od śledowaciela jednego ze śledztwa. Korytarz był długi i szeroki i idą w kierunku do nas, mój bojec złapał mnie za obie ręce z tyłu i obrócił mnie twarzą do ściany ażebym nie zobaczył tego co prowadził bojec.

Potem wprowadził mnie do śledowaciela pod nr 42 na drugim piętrze. Gdy wszedłem skłoniłem mu się trochę i powiedziałem zdrastwujcie grażdaniin, śledowaciel odpowiedział zdrastwuj. Na przeciw biurka stał kwadratowy taboret, pokazał i mówi siadaj, usiadłem, on mówi ruki na kolana położyłem. On wyjął z biurka z szuflady arkusz papieru i pyta mnie się kak zwać - jak ja się nazywam, powiedziałem Aleksander Pieńkowski a oczestwo, to znaczy imię ojca, powiedziałem Mateusz. On wszystko pisał, a god roždzeńja - kiedy się urodziłem, mówię 11 października 1987 roku, pyta się dalej gdzie się urodziłem, mówię w Drozdowie powiat Łomża, gubernia warszawska, bo przed wojną, na parę lat przemienili z guberni łomżyńskiej na guber. warszawską.

No to teraz skażyj kto ciebia namówił do organizacji, ja mówię, że ja nic nie wiem o żadnej organizacji i nikt mnie nie namawiał. A on mówi ty gawaryj prawdu, kak skażesz prawdu damoj pajdziesz, bo ja znaju toczno czto ty należał i sam organizował, ja mówię to nieprawda. Z razu dopytuje się grzecznie, wychodził z za biurka, przechadzał się po tym swoim gabinecie, był elegancko ubrany, miał na nogach buty z długimi cholewami, był to wysoki brunet ale podobny był do Żyda. Włosy miał czarne, kędziory. Zatrzymał się koło mnie i pyta się jak tam u was w celi haraszto i czy dają dobrze jeść. Ja mówię, że płocho, chleba za mało, kawa czasem bywa bez cukru i lichej obiad, rzadka zupa. A on mówi wy jesteście zakluczone, to znaczy zaaresztowani, siedzicie w tiurnie, to bolsze nie dajut eto dla was chwatit. Na swobodu to u nas żyjot haraszto a ja się pytam a kiedy ja wyjdę na to swobode. On mówi, że to ode mnie zależy, jak powiem wszystką prawdę od początku, kto ciebie do organizacji namówił, kto ci przysięgę wydawał, no i kogo ty do organizacji namówił. Powiesz wszystko jak to było, pajdziesz na swobodu, no nie sowsiem, pajdziesz na rabotu do Grodna, do Polszy. Zmiarkowałem, że chce mnie wziąć na lep i wiedziałem, że to tylko taka obietnica. I mówię grażdaniin



śledowaciel już ja w Łomży co wiedziałem to powiedziałem na badaniu, a on mówi co było w Łomży to mnie nie obchodzi, ja się ciebie pytam co było w Drozdowie, ja mówię, że ja nic nie wiem. A on mówi słysz Pieńkowski, lepiej powiedz prawdę po dobroci, bo jak nie powiesz będzie z tobą płochy.

Teraz pójdziesz do celi i podumaj haroszo. Potem się jeszcze pyta a kto z tobą ze znajomych siedzi w kamerze, mówię, że z moich nikogo nie ma, tylko dalsze, ja wszystkich nie znam a kto z dalszych, powiedziałem mu kilku i gdy wymówiłem Mickiewicz, to on się pyta czy on jest zdrow, ja mówię, że jeszcze nie ze wszystkim a on mówi eto dumny staryk wojt, już on śledztwo ukończył, wstał zadzwonił na dyżurnego i kazał odprowadzić mnie do celi.

Gdy wróciłem do celi Sienkiewicz się pyta jak panu tam poszło, mówię na razie to tylko takie pouczenie żebym się przynał, to będzie dla mnie lepiej a Ciborowski mówi powiedział pan, że już w Łomży zakończył śledztwo na czysto, teraz będzie pan miał drugie. Ale zaraz i jego wywołali, poszedł ale za jakąś godzinę wrócił i to z papierosem w ręku. Co to się bardzo rzadko trafiało. Pytają go się jak to było, że śledowaciel dał papierosa a on mówi poprosiłem go, otworzył papierošnicę i dał, powiedziałem dziękuję.

Wszyscy palacze ustawili się w kolejce, Ciborowski zapalił, jednego dymka pociągnął i oddał drugiemu, drugi trzeciemu i tak wszyscy po jednym dymku popalili i umawiają się, że teraz każdy będzie prosił śledowaciela o papierosa.

Następnie wywołali nauczyciela, wrócił też z papierosem i bardzo zadowolony z przebiegu śledztwa i mówi tu są inni śledowaciele, nie biją i obchodzą się po ludzku.

O godzinie ósmej wieczorem bojec uchylił klapki i woła na bukwu P, ja od razu się odezwałem, wychadzi powiada. Zaprowadził mnie do tego samego śledowaciela, co już u niego byłem. Gdy tylko wszedłem pokazuje palcem taborek, każe siadać i ręce na kolana położyłem. Z początku delikatnie pyta się mnie, no kak podumał ty charaszo mów że, da, ładno powiada jeszcze z ciebie będzie charoszy czelowiek, charoszy graždanin sowieckiego sojuza, da powiedziałem. No ta gawaryj tylko prawdę od początku, pytam się o czym a on już mówi grožno - ty nie igraj z ogniem, ty chcesz mnie omamić, nie tak ci nie pójdzie, będziem bić aż powiesz wszystko. Ja mówię - ja nie wiem to co będę mówić, znajesz, tylko nie chcesz wydać i zza biurka wychodzi i idzie do mnie i pyta kto ciebie werbował, ja mówię nikt nie werbował a on a skolko ty ludzi werbował, ja mówię nikogo nie werbowałem a on - werbował, ja mówię niet. Jak on mnie rąbnie kantem dłoni w szyję aż mi w uszach zaszumiało o małym się nie zwałi z taborka a on krzyczy wot ciebie raz, jak nie powiesz będziem bić bolsze, bolsze, zęby ścisnąłem i nic nie mówię. Kopnął mnie szpicem buta w palce u nóg, syknąłem z bólu ale nic nie mówię. Wyprowadziło go to z cierpliwości, kopnął mnie drugi raz i pyta się będiesz mówił prawdę, ja mówię nic nie wiem, on mówi wiesz, a ja mówię nie wiem. Zaczął mnie szturać całej dłoni palcami w klatkę piersiową. Gdy chyba go te palce zabolaly, zaczął mnie kopać po łydach i znowu mnie dziuba palcami w klatkę piersiową. Potem zaczął mnie bić pięściami po ramionach a ręce to miał ciężkie jak kowal albo jak bokser. Podobno, że to był Gruzin. Tak mnie bił i kopał do godziny 12-iej w nocy, potem zadzwonił na bojca i ten mnie przyprowadził do celi.

W celi wszyscy spali, kolacja na mnie czekała, jakaś zupa zasypana kaszą manną czy mąką. Jem a jeden podniósł głowę i pyta czy masz papierosa, mówię dostałem nie jednego, spojrział na mnie i zmiarkował, położył się spać. Ja też położyłem się, wszystko mnie bolało, od razu usnąć nie mogłem ale potem spałem aż mnie obudzili do ustępu, umyć się i załatwić na cały dzień.

Jeden dzień na śledztwo nie wołali mnie. W celi jak mnie zobaczyli tak pobitego, żalowali mnie prawie wszyscy a ja tylko zęby ścisnąłem ze złości, że nic zrobić nie mogłem.

Trzeciego dnia znowu przyszedł po mnie bojec i zaprowadził do tego samego śledowaciela. Gdy powiedziałem mu zdrastwujcie graždanin, śledowaciel nic nie odpowiedział. Usiadłem na taborek, ręce złożyłem na kolana i czekam, a on nic nie mówi. Wytrzeszczył na mnie oczy i uporczywie patrzy się na mnie a ja na niego, ani mrugnę powiekami, nareszcie on mówi, czy ty już się namyślił powiedzieć prawdę, mówię nic nie wiem. W tej chwili drzwi się otwierają i wchodzi drugi czarny łeb, krępy, bystry, patrzy się na mnie i mówi, to ten mój odpowiada. Od razu skoczył do mnie ze złożonymi pięściami, już tylko mnie okładać. Ale w bocznym gabinecie zrobił się krzyk, tak że obydwaj śledowaciele wybiegli, drzwi nie zamknęli dobrze, tylko słyszałem jak się tam bili. To jeden z aresztowanych, gdy go śledowaciel uderzył w twarz, złapał taborek spod siebie i dalej tego śledowaciela okładać taborkiem. Gdy ci dwaj wpadli on się jeszcze walnie długo bronił i nie jeden jeszcze od niego taborkiem dostał ale w końcu go obezwładnili i tylko uderzenia było słycać, tak go skatowali, że już chyba się nie ruszał, bo jeden krzyk na dyżurnego - przynieś wiadro wody i tam go wodą zleli aż przytomność odzyskał i bojec odprowadził go do celi.

Dosyć długo tam jeszcze rozmawiali, oto swołocz, taka nie taka mać, sukinsyn, Pólaciok, więcej on się nie porwie na śledowaciela. Potem wszyscy trzej poszli a bojcowi powiedział, żeby mnie odprowadził do celi. Dali mi tego dnia spokój, obeszło się bez baniek. Na drugi dzień ledwiem zdążył zjeść śniadanie już bojec mnie wywołał i zaprowadził do tego samego śledowaciela. Gdy mnie zapytał

o organizację a ja odpowiedziałem, że nic nie wiem, przyszedł do mnie, kopnął mnie w nogę i zaczął mnie po ramionach pięścią walić. Wziąłem go prosić, grażdanin śledowaciel wy mnie zdrowia nie dali to po co mnie chcecie go odebrać, ja mam ośmioro dzieci i chorą żonę, jak ja wróce to muszę na nich pracować, one są małe, jeden ma 1 rok a najstarszy ma dopiero 16. Oni sobie sami rady nie dadzą.

A on mówi, że jak ja się nie przyznam to już nie zobaczę ani żony ani dzieci, znów mówię, że nic nie wiem. Przeszedł mnie bić i kopać ale dał się na całe gardło - ja z ciebie dzisiaj duszę wygonię jak nie powiesz prawdy. Na tym całym długim korytarzu to śledowaciele mieli swoje gabinety śledcze do badania. Więc on tak krzyczał głośno żeby go inni słyszeli, że on mnie wciąż bije, tak chyba sam kapowałem.

Ale gdy usłyszał, że ktoś po korytarzu idzie i zatrzymywał się przy naszych drzwiach i otworzył je, to on mnie znowu po ramieniu uderzył raz. Wszedł drugi śledowaciel średniego wzrostu i on do niego mówi, że już 3 godziny mnie bije i nie chce się przyznać. Ten co przyszedł podchodzi do mnie i mówi dlaczego ja się nie chcę przyznać, my dobrze wiemy, że ty jesteś komendantem i ty w Drozdowie werbowałeś do podpólfnej organizacji młodych ludzi i powiada ja był 10 dni w Drozdowie i byłem w twoim domu, twoja żona jest balnaja, my już mamy twoich ludzi w więzieniu, no nie wsiech. Ty powiedz prawdę, kto ciebie zwerbował i wszystkich co ty zwerbowałeś, trzeba ich wszystkich posadzić do ciurnu. Ja znowu mówię, że nikt mnie nie werbował i ja też nie werbowałem nikogo i nic nie wiem o żadnej organizacji. A my wiemy, że organizowałeś i jak się nie przyznasz co dzień będziemy bić aż się przyznasz. Mówię nie mam do czego, bo nic nie wiem. A on ot swolocz uparta nada bić a ten mój powiada ja biję i kopię nogą i nic nie chce mówić. Ten pokręcił głową i powiada oni wszyscy takije Polaczki i poszedł a mój jeszcze się dał na mnie ale nie bił mnie. Tak zeszło do południa, wyszedł na korytarz zawołał dyżurnego i powiada odprowadź do kamery. O godzinie 4-ej znowu zaprowadził mnie bojec do śledowaciela, poszedłem każe siadać, usiadłem. Pyta mnie się, ty miałeś sklep, mówię, że tak, miałem 18 lat do wojny, to ty stary spekulant odpowiedział, nic nie mówię. Wypytywał się o wszystko ile ja zarabiał, jaki procent 25% czy 50%, ja mówię, że od 5-ciu do 10% zarabiałem, bo taki procent u nas był dozwolony. Pisał to wszystko, nareszcie wyjmuję z szuflady moją książeczkę wojskową i przeczytał kapral i mówi ty był na wojnie w 19 roku, mówię byłem i biłem radzieckich żołdatów. Mówię my tam się bili z Ukraińcami a on a Ukraińcy to czto, toże bolszewiki sowieckiego sojuza a gdzie to było, mówię w okolicach Złoczowa, Tamopola, Trembowli a w jakim ty pułku był, mówię 38 p. piechoty. Patrzy w książeczkę a 20-tym roku byłeś na froncie, byłem mówię a kogo ty tam bił, mówię biliśmy się z bolszewikami. On zerwał się z fotela na nogi i krzyknął ilu ubiłeś naszych żołdatów, ja mówię nie wiem, strzelałem ale zabiłem czy nie zabiłem tego nie wiem, bo wy wiecie co naczałstwo każe, to żołnierz musi wykonać a za co ty krzyż otrzymał. Ja mówię, że ten krzyż ja otrzymał za to, że zorganizował Ochotniczą Straż Pożarną w Drozdowie.

Chodziłem do niego jeszcze 9 dni ale co drugi dzień bił mnie ale już nie tak jak na początku. Skończył ze mną śledztwo i powiedział, że teraz prokurator to wszystko zbada i zadecyduje co z tobą zrobić.

Dał mi do podpisania co tam napisał, chociaż nie wiedziałem co napisał ale podpisałem. Lżej na duszy mi się zrobiło, że już nareszcie śledztwo zakończyłem. Ale za tydzień znowu mnie wywołują, wyszedłem prowadzi mnie bojec do tego samego budynku, na ten sam korytarz ale omineliśmy ten gabinet, co cały miesiąc z przerwami do niego chodziłem i prowadzi mnie do ostatnich drzwi, postawił mnie w kącie twarzą, bo tam był jeszcze jeden na śledztwie ale zaraz wyszedł i drugi bojec go poprowadził a śledowaciel głośno krzyknął dawaj jęgo.

Wszedłem mówię zdrastwuj grażdanin, śledowaciel powiada zdrastwuj i każe siadać na taborku. Wyjął z biurka arkusz papieru, wziął do ręki ołówek i przygląda się mi a ja jemu się przyglądam. Wygląda na niedobrego, czamy łeb, włosy kędzierzawe, czarne, twarz nie biała, tylko trochę brązowa, jakby opalona i nie omyliłem się, że to kawał drania. Chociaż z początku jak zwykle na nowo zapytuje kak zwać, odpowiedziałem, spisał całe personalia, żony, dzieci ile, odpowiedziałem. On mówi słysz Pieńkowski czas żebyś zakończył śledztwo w zesłym tygodniu a on mówi ty tam nie powiedziałaś prawdy, a musisz powiedzieć od początku kto ciebie zwerbował do podpólfnej organizacji i kogo ty zorganizował, bo ty jest komendant, ilu ludzi i dopiero zakończym śledztwo i lepiej ci będzie jak powiesz prawdę. teraz pójdziesz do swojej kamery i podumaj dobrze.

Bojec czekał już pod drzwiami i odprowadził mnie do celi. Gdy wróciłem i mówię, że już innego śledowaciela mam, który od początku znowu wszczął śledztwo. Gdy mu powiedziałem, że już tydzień czasu jak zakończyłem śledztwo a on powiedział, że ja tam prawdy nie powiedziałem, to śledztwo nie jest skończone.

Do naszej celi znowu dwóch wprowadzili. Już jest 32 a ta cela dawniej, to tylko była na 5 osób. Większa połowa spała na kuczajkach i pod łaskami a zaduch nie do wytrzymania. Brak powietrza, 2 razy dziennie wentylatory po pół godziny powietrze wpychały. A najgorzej się czuł Mickiewicz co przy mnie spał. Co poleżał trochę, to już się przewracał na drugi bok, bo nie mógł przy mnie wytrzymać tak



swoim ciałem paliłem i zawsze gadał, że coś podobnego nigdy nie spotykał żeby człowiek był taki gorący. A palacze papierosów to przeważnie miotłę jak obeschła to kawałkiem szkiełka skrobali i to też w kolejce palili ale nie wszyscy.

Czasem jak był dobry dyżurny to jak go poprosili to dał machorkę na jednego papierosa i zapalki przypalił a jak inny swolocz to nawet upalka nie dał podnieść, gdy szlim do ustępu, to jak kto schylił i podniósł to musiał rzucić a on nogami podeptał. Ale za to w ustępie na ścianie rysowali i pisali a on potem musiał to wszystko ścierać bo i nazwiska pisali i różne wiadomości, przeważnie udumane ale nikt się nie przyznawał do tej roboty, to mało go diabły brali taki był zły. A gdy nieraz upominaliśmy się żeby nam jeść więcej dawali, bo każdy był głodny chociaż i ten obiad zjadł, to on zawsze odpowiadał prokurator wam dobawit.

Jeden dzień miałem spokojny, na śledztwo mnie nie wywoływali. Z naszej celi już dużo ludzi śledztwo zakończyło, bo nie mieli takich zarzutów jak ja, jednego bili a innego wcale nie bili.

Z tych dwóch ostatnich co do nas przysli jeden był bogaty rolnik z Radziłowa powiatu łomżyńskiego. Miał też ciężkie śledztwo, bili go a za trzecim razem gdy go zaczęli bić upadł na podłogę i udawał nieżywego, to przestawali go bić, tylko wodą go cucili i odprowadzali do celi i potem to on na każdym śledztwie tak robił.

Jednego razu wraca ze śledztwa taki zapłakany, pytają się jego czy cię tak dzisiaj strasznie zbili, że tak płaczesz, a on mówi - nie wcale mnie dziś nie bili, to czego płaczesz, bo mówili mi, że zabili mu brata jak uciekał gdy chcieli go aresztować.

Mickiewicz mówi, że to nieprawda, oni tak umyślnie mówili, żeby się pan załamał no i on tam się coś wygadał a potem się zapierał i jego za to bili. Chodziło o proboszcza z Radziłowa, że miał wydawać przysięgę partyzantom.

I gdy go stawili na oczną stawkę razem z księdzem, że to on znowu mówił, że nie mógł bicia wytrzymać i tak powiedział co oni chcieli a on o księdzu nic nie wie ani o partyzantach też nic nie wie. Dwa razy dziennie tłukli i on tylko się ratował tym, że upadał na podłogę, to wodą zleli i tak zakończył śledztwo.

Tylko ja nie mogłem zakończyć. Po powierce rano i po spacerze do ustępu, przyniósł chleb, cukier i kawę. Zjadłem i czuję, że zaraz mnie wywołają na śledztwo. Nie upłynęło 10 minut, już klapkę uchylił i woła na bukwu P. Zaraz się zerwałem i odzywam się Pieńkowski - wychadź, wyszedłem, powiedział ruki z zada, wzięłem ręce do tyłu i idziemy przez plac do dużego więzienia. Zaprowadził do tego samego śledowaciela. Gdy powiedział zdrastwujcie grażdanan, śledowaciel nic nie odpowiedział, tylko krzyknął siadaj, usiadłem a on patrzy się na mnie i pyta się czyś się już namyślił powiedzieć prawdę, ja mówię to co wiem a tego co nie wiem to mówić nie będę. On zaczyna na honor wjeżdzać, powiada ja znam Polaków, których badałem, gdy się zapytał - ty należał do organizacji, tak odpowiadali - należałem. Oni się nie bojeli tak jak ty, to ja rozumiem to gieroj Polak a ty śmierdzący swolocz tchórz jesteś, bo naprawdę od każdego śmierdziało potem i stęchlizną. Ja jemu odpowiedziałem, że ja śmierdę to wy winniście, bo macie takie więzienie i za dużo ludzi wsadzacie do cel, milcz odkrzyknął, obrugał i naurągał mi co tylko mu na myśl wlało. Potem uderzył mnie w twarz i kazał odprowadzić do celi a na odchodnym powiedział wieczorem to ty powiesz wszystko. Gdy wszedłem do celi pytają się mnie może już zakończył pan śledztwo, mówię nie, tylko powiedział, że po południu powiem wszystko.

Było to już 5-go sierpnia. Obiad zjadłem i czułem, że czeka mnie jeszcze dzisiaj łaźnia niezwykła. Mickiewicz widział, że ja siedzę na swoim łóżku taki zdenerwowany aż się wprost trzęsę, bo myślę wciąż co on myśli ze mną zrobić. Podchodzi do mnie i mówi panie Pieńkowski niech pan się tak nie przejmuje, pan się przyzwyczai do bicia tak jak ja, nie czułem już jak mnie bili i nie przyznałem się i śledztwo zakończyli. Niech i pan się nie przyzna, bo będzie gorzej dla pana, musi pan potem wszystkich ludzi wydać a oni potem zechcą się ratować, to będą mówić, że pan ich namówił do tej organizacji. Ja jemu mówię, że choćby mnie zabili to nie przyznam się i nie wydam nikogo.

O godzinie 3-ciej po obiedzie przyszedł bojec po mnie, zaprowadził mnie do śledowaciela. Ja usiadłem na taborek a śledowaciel powiedział bojcowi żeby poszedł i powiedział, że ja już jestem. Przychodzi ten sam Gruzin co przy tamtym śledowacielu bił mnie. Od razu podchodzi do mnie i pyta się mnie czy się przyznam, mówię, że nie mam do czego się przyznać. W ten czas on się najeżył, jak tygrys złapał mnie za gardło i przystawił do ściany, jak mnie stuknął głową o ścianę i znowu odciąga mi głowę od ściany i chce stuknąć drugi raz ale ja głowę przycisnąłem w ramiona i oparłem się mocno nogami i całym sobą o ścianę, tak, że on nie mógł mnie od ściany odciągnąć. Tak kilka razy turbował się ze mną przy ścianie i nie mógł mnie mocniej stuknąć głową o ścianę. Puścił mnie i poleciał do biurka i z szuflady złapał szyld taki mosiężny od drzwi co się klucz wsadza i przyskakuje do mnie z tym szyldem w ręku. Podniósł go do góry i chciał mnie uderzyć w głowę ale mój śledowaciel, który tylko stał i obserwował złapał go za rękę i szyld mu odebrał. To ten Gruzin potem pięścią mnie okładał.

Bojec stał za drzwiami; mój śledowaciel otworzył drzwi i wychodząc do bojca mówi dawaj go za nami i idą w przód a my za nimi. Przeszliśmy z tego korytarza do drugiego, który prowadził w prawo, tam podeszliśmy może jakieś 10 metrów, zatrzymujemy się przy drzwiach, mój śledowaciel wyjął klucz z kieszeni, wsadza w zamek i otwiera drzwi, wchodzimy do środka. Był to duży jakiś pokój z jednym okienkiem małym a duże okno z drugiej strony było zamknięte i przez szyby było widać wojłok na całym oknie. Drzwi też od środka były obite wojłokiem. Mój śledowaciel powiedział bojcowi, żeby przyniósł mi teczkę a mnie każe zdejmować buty z nóg a sam włączył motor, który zaczął robić huk, szum i śledowaciel mówi do mnie, tu choćby nie wiem jak krzyczał to cię nikt nie będzie słyszał, co będziemy z tobą robili.

Ja buty już zdjąłem z nogi, postawiłem obok i stoję boso. Buty miałem z długimi cholewami, które obuwałem tylko do kościoła albo gdy jechałem do Łomży po towar, prawie były nowe.

Bojec przyniósł teczkę a ja się modłę po cichu Jezus, Maria, Józefie Święty bądźcie przy duszy mojej. Matko Najświętsza polecam się Twojej opiece jak również swoją całą rodzinę, nie opuszczaj ich.

Mój śledowaciel teczkę otworzył, wyjął z niej pałkę taką jak przed wojną nasza policja nosiła - gumowa i podał ją Gruzinowi. Ten nią trząchnął i mówi do mnie kładź się na brzuchu, tą pałką wasza policja biła chłopów i robotników. Okraczył mnie twarzą do nóg i zaczął bić to w jedną, to w drugą, zaczęło mnie szumieć w uszach niesamowicie a ból od bicia w pięty szedł prawie po mnie całym aż od głowy i głowa również.

Ten bije aż stęka. A ja mam pseudonim Pięta. Myślę sobie czy może oni wiedzą, że ja mam pseudonim Pięta i tak mnie tłuką w pięty.

Wreszcie to, pałkę gumowa rąbnął o podłogę i złapał mój but za cholewę i z obydwóch rąk bił mnie w pięty raz w jedną a drugi raz w drugą. Ile mnie tych uderzeń wrębał, to nie wiem, w każdym razie było ich kilkadziesiąt. W końcu już i sam się zmęczył, oddał gumę mojemu śledowacielowi i krzyknął wstawaj. Wziąłem się podnosić, najprzód na kolana ale gdy chciałem wstać tylko jedną nogą, przewróciłem się, krzyknął jeszcze głośniej wstawaj bandyt z podpólnej organizacji i znowu chcę wstać, przewróciłem się na drugi bok i już się nie podnoszę. Mój śledowaciel wyszedł, zawołał bojca i kazał jeszcze 1-go zawołać, weszli we dwóch. Jeden wziął za jedną rękę a drugi za drugą rękę i po jednym bucie wzięli i pociągnęli mnie korytarzem i przez plac i do mojej celi. Gdy drzwi otworzył dyżurni, pociągnęli mnie za próg i rzucili jak mokry worek.

W celi złapali mnie moi towarzysze i położyli na łóżko. Nogi od razu mnie popuchły, posiniały, boli mnie wszystko a najgorzej nogi, głowa i szumi bez przerwy. Gdy odpocząłem trochę, opowiedziałem co ja miałem po południu. Doktor Grędzelski mówi ach Boże co pan ucierpiał, żeby tylko to cierpienie nie poszło na marne. Mickiewicz mówi to już ostanie sposoby jakich się chwytają, niedługo pan śledztwo zakończy.

Gdy trochę się uspokoiłem, położyłem się spać, z razu usnąć nie mogłem ale potem usnąłem. Nie wiem jak długo spałem ale gdy się obudziłem miałem sen już drugi raz taki sam, że chodziłem pod ziemią na drozdowskim cmentarzu, przy kaplicy, po grobach i nie mogłem wyjść z tych podziemi i tak we śnie myślę czy ja wyjdę z tych grobów i wtem się obudziłem, dziękując Bogu, że to był tylko sen.

Wziąłem ten sen za złą wróżbę. Chciałem jeszcze usnąć ale nie mogłem, nogi strasznie bolały i wciąż tak jakby coś mi przeszkadzało. Rano do ustępu dwóch wzięło mnie pod pachy i zaprowadzili i przyprowadzili. Po śniadaniu we drzwiach klapka się odsunęła i bojec zawołał na bukwu P, odezwałem się, powiedział wychadzij. Ja poprosiłem p. Fudorowicza żeby mi pożyczył swoich pantofli, bo butów nie dam rady obuć, bo nogi obrzmiały, chętnie powiedział niech p. weźmie, tam stoją. Tu bojec krzyczy skarej, obułem te pantofle i idziemy. Przychodzimy do tego samego śledowaciela a on spojrzał na mnie i pyta gdzie masz buty, ja mówię, że nie mogłem obuć, bo mi nogi popuchły.

A on takim ostrym głosem mówi - idzi do kamery, obuj buty i przychodź prędzej. Bojec od razu złapał mnie za rękę, wyciąga na korytarz i idziemy do mojej celi. Zdjąłem pantofle, wziąłem za but ale gdzie tam, obuć nie mogę. Pomogli mi wciągnąć siłą towarzysze, mój Boże co miałem za ból, zęby ścisnąłem i poszedłem z powrotem do śledowaciela. On miał walną kupę papierów i przeglądał je. Odsunął papiery i mówi do mnie, czy przyznam się i powiem prawdę, mówię nic nie wiem, bo nic nie zrobiłem. Wydarł kartkę z notesu i wyszedł, zawołał bojca i pisał coś na tej kartce, potem dał dyżurnemu, tam do śledowaciela a on ci skazet, dyżurny z tą kartką poszedł.

Ja prosiłem śledowaciela żeby przyprowadził tu tego co ja do niego mówiłem, że w Drozdowie jest już zorganizowane. Za parę minut przyprowadził bojec tego, który w Łomży u śledowaciela zeznał, że ja do niego mówiłem, że Drozdowo jest zorganizowane i że ja jestem komendantem.

Gdy na niego spojrzałem drgnąłem, włosy na brodzie już mijały brodę, chociaż ja też taki sam byłem zarośnięty. Śledowaciel pyta się jego i wskazuje palcem na mnie czy ty jego poznajesz, on powiada poznaję a później mnie się pyta a ty jego poznajesz, odpowiedziałem poznaję. Potem



zwraca się do niego a co on do ciebie mówił przy browarze w Drozdowie a ten drań, dawny kolega mój mówi - powiedział do mnie, że Drozdowo jest zorganizowane. Śledowaciel wziął czysty arkusz papieru i zaraz zapisał do protokołu, to co on powiedział, potem pyta się jego, to on był komendantem, tego mi nie mówił ale chyba tak, no to podpisuj, on podpisał i śledowaciel zawołał bojca i kazał go odprowadzić, wychodząc głowę schylił i nawet nie obejrzał się na mnie.

Teraz śledowaciel zwraca się do mnie i mówi, że już teraz się nie wykrecisz, powiedz wszystko od początku jak to było, kto cię namówił do tego, kto ci przysięgę wydawał, kakaja twoja kliczka. Ja mówię, że ja nie wiem co to jest kliczka a on pseudonim jaki jest twój. Ja mówię, że ja nie miałem żadnego pseudonimu, bo ja nic nie wiem. A on mówi jak się nie przyznasz kto ciebie zwerbował i kogo ty zwerbowałeś, to cię rozstrzelamy, ja mówię to rozstrzelajcie ale ja nic nie jestem winien i nic nie wiem o żadnej organizacji a wy chcecie żebym ja powiedział nieprawdę, no nie powiem więcej nic.

Przystąpił do mnie i zaczął mnie palcami dziubać z całej siły w klatkę piersiową. Co się zapyta to ja już nie odpowiadam, to on znowu dziubie palcami, to znowu kopnął mnie nogą po tydkach i po palcach aż mu się sprzykrzyło i tak całe dni i noce aż nareszcie zakończył ze mną śledztwo. Podpisałem i westchnąłem, że to może już koniec z tym badaniem.

Przyszedłem do celi i mówię chyba już zakończyłem śledztwo, bo tak mi powiedział śledowaciel. Wszyscy się ucieszyli, że to już nareszcie ja zakończyłem badania. Pokazałem swoją klatkę piersiową, cała była sina i nogi od kopania posiniaczone i po ośmykane ale choć wszystko bolało mnie nie zważałem na to, bo już myślę, że to już będzie koniec.

Tak siedziałem spokojnie parę dni ale piątego dnia znowu klapka we drzwiach się unosi i słyszę na bukwu P, odzywam się, wychadzij skarej, wychodzę ruki z zada, wziąłem ręce do tyłu. Prowadzi mnie nie do dużego bloku, tylko tym korytarzem co mnie bili w pięty gumową policyjną pałką.

Dochodzimy do tych drzwi, drgnąłem znowu pewnie będą bić w pięty a tu jeszcze po tamtym biciu nogi bolą ale na szczęście omijamy te drzwi a do następnych drzwi mnie bojec wprowadza. Jak tylko wszedłem zaraz powiedziałem zdrastwujcie grażdanin śledowaciel, odpowiedział zdrastwuj. Wyjmuje papiery z szuflady, wystawia kałamarz z atramentem, bierze obsadkę i pyta się kak zwać, mówię Pieńkowski, pyta się żonaty, dzieci macie, mam osiem, uśmieł się i powiedz dlaczego tak dużo, u nas tak dużo dzieci nie mają. Potem pyta się za co was aresztowali, mówię, że za nic, on wszystko pisze, tak wygląda na uczciwego człowieka młody, wygląda na lat około 30, blondyn, powiada jak to mogli aresztować za nic.

Mówię, że jeden mój wróg oskarżył mnie, że ja należał do partyzantki a ja nic nie wiem o żadnej partyzantce. Jak to ty nic o niej nie wiesz i tak patrzmy na siebie, ja ani mrugnę swymi powiekami, on też nie mruga. Gdy tak patrzmy na siebie drzwi się otwierają wchodzi bojec, trzyma kartkę w ręku, podchodzi i daje ją śledowacielowi, ten przeczytał i mówi bierj go.

Wychodzimy z tego mniejszego budynku i idziemy przez plac do dużego trzypiętrowego więzienia. Gdy wszedłem od razu mówię zdrastwujcie grażdanin, śledowaciel odpowiedział zdrastwuj, taborek stoi ale nie każe siadać, tylko mnie się pyta czy ja będę się upierał przy swoim, będę odpowiedziałem, bo ja nie mogę nieprawdy zeznać i podpisać jak wy to chcecie.

Zgrzytnął zębami i powiada dosyć już igrać. Jutro dostaniesz łopatę i pojedziesz samochodem i wykopiesz sobie jamę i tam otrzymasz to co się tobie należy. U nas takich swołoczy bandytów wszystkich rozstrzelamy, bo co z nimi robić, z wrogami naroda, ty jeszcze możesz się uratować, zależy to tylko od ciebie, jak chcesz, tylko musisz powiedzieć prawdę od początku do końca. Ja mówię trudno, ja nie mogę powiedzieć, bo nic nie wiem, nic nie pisał, kazał mi się odwrócić do ściany i wyszedł, drzwi dobrze nie zamknął, dyżurny przechodził po korytarzu a śledowaciel poszedł do bocznego gabinetu.

Słyszałem zeznania jednej kobiety w bocznym pokoju, którą złapali na granicy, jeszcze w grudniu 1939 roku. Miała ze sobą jakieś gazety i szyfrowaną jakąś tajną pisaninę, którą oni nie mogli odczytać, bo to trzeba mieć pewne znaki, czyli klucz do odczytania takiego szyfru. Oni na to nie mogli się zdobyć ażeby się coś dowiedzieć z tego szyfru.

Pytają kto jej to dał, ona mówi, że jakiś przebrany oficer polski w Warszawie a oni się jej pytają w jakiej randze ten oficer - był majorem a ty byś go poznała bo u nas w więzieniu jest dużo majorów. Ona mówiła, że by go nie poznała, bo go tylko jeden raz widziała. Oni się jej pytają komu ty miałaś to doręczyć, ona mówiła - ja szłam do swojej siostry, ona mieszka we wsi ale nie usłyszałem jak ta wieś się nazywa, tam przez tą wieś krzyżowały się drogi i na tym skrzyżowaniu miał przyjść jakiś człowiek, który miał to zabrać. Płakała i prosiła ich ażeby siostrę jej zwolnili z więzienia, że ona nic niewinna, odpowiedzieli, że zobaczą. Więcej nic nie słyszałem, bo słyhać było jakieś kroki kilku mężczyzn, po mnie pomyślałem.

Westchnąłem do Boga, wszystko mi stanęło przed oczyma, moje uczynki i złe i dobre z całego życia mojego. Boże polecam duszę moją, bądź sędzią łaskawym dla niej.

Drzwi się otworzyły, weszło dwóch, mój nowy śledowaciel a za nim wszedł drugi, trochę mniejszy,

średniego wzrostu ale krępy, tylko na niego spojrzałem, podobny był do Żyda. Ja się prawie nigdy nie myliłem w rozpoznaniu Żydów.

Mój śledowacieli powiedział dając ci termin do jutra, pomyśl nad sobą, masz dwie drogi, jak się przyznasz będziesz żył a jak się nie przyznasz ubijem. On miał jedno oko mniejsze, tylko jak go pierwszy raz zobaczyłem, pomyślałem, że Pan Bóg go nazaczył, on musi być niedobry.

Na drugi dzień, po wejściu do ubikacji umyłem się i załatwiłem, gdy wróciłem zaraz podali nam chleb 600 gr. i cukru pudełko od zapalek, potem przynieśli kawę. Zdażyłem zjeść już bojec przyszedł, uchylił kłapkę we drzwiach i zawołał na bukwu P, odezwałem się - wychadzij powiedział, wyszedłem, ręce z tyłu, gdy założyłem ręce jedną na drugą, wziął mnie za lewą rękę i idziemy do tego samego śledowacieli z jednym mniejszym okiem. Siedział już za biurkiem. Powiedziałem zdraswujcie grażdanin, śledowacieli odpowiedział zdrastwuj i pyta się czy się już namyśliłem powiedzieć prawdę, mówię, że zawsze mówię prawdę ale wy nie wierzycie, to co ja muszę powiedzieć nieprawdę. Jak on się zerwie i wyskoczył zza biurka i szybkim krokiem przyskoczył do mnie, jak rąbnie mnie pięścią w żołądek, ja się wywróciłem razem z taborkiem na podłogę i złapałem się ręką za pachwinę prawą a on krzyknął - siadaj na taborek. Lewą ręką postawiłem taborek a prawą trzymam się za pachwinę, skrzywiłem usta z bólu i usiadłem na taborku ale tylko lewą rękę położyłem na kolano a prawą trzymam na pachwinie. On krzyknął drugą rękę na kolano, jeszcze gorzej się skrzywiłem i położyłem drugą rękę na drugie kolano. A teraz gawaryj kto ciebie zwerbował i kogo ty zwerbował. Ja mówię ni kto mnie nie zwerbował i nikogo ja nie zwerbowałem, ty znowu to samo mówisz, budziet z tobą płochu, ubijem ciebie, ja mówię to ubijcie ale ja nic nie jestem winien. A on mówi jak to nie mówieś do X-ego, że masz Drozdowo zorganizowane. Ja jego proszę grażdanin śledowacieli dajcie mnie jeszcze tego co on na mnie to powiedział a śledowacieli mówi toć już raz przyprowadzili, to on powiedział, co ty do niego mówił, to co chcesz więcej żeby powiedział. Ja mówię niech on powie kto mnie zwerbował i kogo ja zwerbował. A on mówi to już wystarczy coś ty do niego mówił. Ja złapałem się ręką za pachwinę i syknąłem znowu z bólu i zaraz znowu położyłem rękę na kolano z powrotem. On to zauważył, że mnie to strasznie boli a ja znowu go proszę żeby on jeszcze raz to powiedział, charaszo ja ci go jeszcze raz postawię.

Potem pyta się mnie co w celi ludzie mówią, ja mu mówię, że ludzie mówią, że jest życie liche, no ciasno ogromnie a co więcej mówią, ja mówię, że więcej nic nie mówią.

Wstał i zadzwonił na bojca i kazał mnie odprowadzić do celi. Przeszedłem skrzywiony i trzymam się prawą ręką za pachwinę. Pytają się mnie czy znowu mnie bili, powiedziałem jak było i patrzę sobie w tę pachwinę a miałem w niej taką narośl, jakby jajko wzdłuż przekroił i tam przyłożył, przychodzą i patrzą się na tę narośl i mówią, że to jest przepuklina, a ja mówię, że śledowacieli w to miejsce mnie uderzył kulakiem i mówię, że jeszcze raz postawi mi na oczną stawkę tego co na mnie powiedział, że ja mam zorganizowane Drozdowo.

Już trzeci miesiąc mnie już biją i chcą żebym ja się do tego przyznał a ja nie chcę się przyznać, bo to nie jest prawda a śledowacieli mówi jak się do tego nie przyznam to mnie zabiją a ja mówię to zabijcie ale ja nic nie jestem winien.

Po południu już na śledztwo mnie nie wołali. Podeszedł do mnie Mickiewicz i po cichu mi mówi panie Pieńkowski niech się pan nie przyzna, broń Boże, bo by pan sobie narobił gorzej, bo i mnie straszili, że mnie zabiją i śledztwo zakończyłem i pana jeszcze pomęczą ale śledztwo zakończą i będą nas sądzić, a może jeszcze coś się zmieni na świecie, zobaczymy i może wrócimy jeszcze do swego domu i do kochanej Ojczyzny Polski. Odpowiedziałem, że ani myślę się przyznać.

Na drugi dzień po ubikacji i po śniadaniu przyszedł bojec z karabinem i dyżurny drzwi otworzył i mówi wszyscy wychodzić na tegołku, to znaczy na spacer. Przechodzimy obok więzienia, przy dwóch ostatnich okienkach piwnicznych w celach siedziały radzieckie młode dziewczynki. Szyby były pobite i jak my przechodzili to one krzycały smotryjcie idut polskie pany. Tak rząd bolszewicki wychowywał w piwnicach więziennych na ludzi, przyszłych może dygnitarzy. Nie do opisanego tam usłyszeli za wyrazy. Kilka z tych dziewcząt podnosiły sukienki i wykrzykiwały Polaczki czadzijcie do nas a śmiały się jakby im najlepiej na świecie się powodziło, zadowolone ze swojego losu. Krzyczeli na nich dyżurni, to one ich wyzywały, jakie tylko wyrazy mogły się znaleźć w rosyjskim, tak ich ubierali. Takie to były wychowawcze zakłady. Te dziewczęta włosy nie uczesane na głowach, to wyglądało jak straszydła na wróble.

Jedna wyrzuciła kawałek chleba, z naszych jeden złapał ten chleb ale zobaczył to bojec i przyskoczył z karabinem do niego i broń krzyknął, jak on się nie spieszył rzucić, zamierzył się karabinem na niego i ten rada nie rada rzucił ten chleb, chociaż mu szkoda było rzucić ten kawałek chleba, bo tam każdy był zawsze głodny.

Rano, gdy rano przynieśli chleb pająkę 600 gram to zanim kawę przynieśli, to już niektórzy pozjadali chleb a kawę to tylko popijali. Ja rano zawsze czekałem aż przyniosą kawę i zjadałem pół pałki tego chleba a przy obiedzie znowu dzieliłem tę połowę znowu na połowę i zostawiałem te



ćwiartki 150 gram na kolację i tak robiłem co dziennie.

Na taką pregułkę wyprowadzali nas raz na miesiąc, przewietrzyć się. Wracam do tych dziewczyn a nad nimi wyżej siedzieli znowu chłopcy. Łóżka mieli takie same jak i my żelazne i na nich trzy deski, bez żadnego pościelenia i po jednym kocu do odziewania. To te dziewczyny tymi deskami z łóżka bez przerwy biły we drzwi aż drzwi dość grube poszczypały. To im wodę tam do celi leli a były tam chyba i starsze, bo jedna krzyczała Wołodia ty zechciał byś pojebatsa ale nie możesz i śmiały się tam na cały głos ale za jakiś tydzień ich gdzieś wywieźli, bo było już cicho.

Teraz opiszę tam gdzie nas prowadzili na tę pregułkę. Około 60 metrów od więzienia był ogrodzony plac 5-cio metrowymi deskami a w środku takiej samej wysokości deskami poprzegradzane były takie kliny jak u nas na wsi kobiety robiły sery. To takie same tylko duże, takie, że mogło się pomieścić około 60 a może i więcej ludzi i tam każdy spacerował, jeden w tę stronę a drugi w przeciwną stronę ale wszyscy chodzili, bo każdy chciał na świeżym powietrzu się rozruszać i nalykać się tego powietrza.

Bojec jak tylko przyprowadził, to zamykał i sobie poszedł, ile tych kójców poprzegradzanych było, to nie wiem ale plac był bardzo duży i słychać było rozmowy i spacery a bojce obserwowali z trzeciego piętra więzienia co się robi w kojcach. Były popisane wszystkie deski nazwiskami i różne wiadomości prawdziwe i nieprawdziwe, bo kto mógł wiedzieć co się dzieje na świecie, kiedy siedział stale zamknięty w więzieniu.

Był to już październik a ja jeszcze nie skończyłem tego swojego śledztwa. Znowu rano po śniadaniu klapka w drzwiach uchyliła się i usłyszałem na bukwę P, odezwał się dyżurny, wsadził klucz we drzwi, otworzył i krzyknął wychadź skarej. Obułem się i marynarkę założyłem na siebie i wychodzę, ręce wziętem do tyłu, on wziął mnie za rękę i prowadzi do tego samego śledowaciela. Powiedziałem zdradajcie grażdanin śledowaciel, nic nie odpowiedział, tylko podał kartkę bojcowi i ten z tą kartką poszedł a śledowaciel wyjął arkusz papieru z szuflady biurka i pyta mnie czy ja się namyśliłem powiedzieć prawdę. Ja odpowiedziałem, że ja zawsze mówię prawdę. Wtem wchodzi bojec i prowadzi za rękę tego co mnie zaprzepaścił, co za niego cierpię, spojrzelim na siebie, on spuścił głowę, śledowaciel zapytał się jak zwać, on odpowiedział Ch.W.. Ja zacząłem drzeć, śledowaciel wziął obsadkę do ręki, przysunął bliżej papier i pyta się jego co Pieńkowski mówił do ciebie przy piwnym zawodzie w Drozdowie a on mówi powiedział, że ma Drozdowo zorganizowane, śledowaciel woła go no to podpisuj, on podszedł i podpisał, już go kazał bojcowi odprowadzić a na mnie poty wystąpiły i pytam się śledowaciela - grażdanin śledowaciel czy ja jego mogę się zapytać choć jedno słowo, a on mówi no to sprosij jego. Ja od razu do niego, kiedy mówisz, że ja Drozdowo zorganizował to powiedz kogo ja tam zorganizował i kto mnie zorganizował. On nic nie mówi, więc śledowaciel go się pyta no gaworyj kogo on zorganizował, on powiada ja nie znaju a ja się pytam a kto mnie zorganizował, on znowu milczy, śledowaciel znowu mówi - no skażyj kto jego zorganizował, on mówi ja nie znaju, a ja mówię uniesionym głosem - ty cholero draniu, mnie zdrowie odbierają i życie mi chcą odebrać a ty na mnie niestłusznie mówisz. Śledowaciel patrzy się to raz na mnie, to drugi raz na niego a jeszcze mówię kto mnie dał polecenie do organizowania, śledowaciel znowu się go pyta kto jemu dał polecenie żeby on organizował ludzi, on mówi ja nie znaju, jak śledowaciel krzyknie to po czto bełtał na niego, kiedy niczewo nie znajesz, on głowę spuścił i nic nie mówi. Bojec stał na korytarzu, za drzwiami, śledowaciel zawołał go i mówi odprowadzaj jego do kamery i poszli.

Śledowaciel zaczął znowu coś pisać, skończył i patrzy się na mnie i mówi, żebyś ty nie organizował to byś do niego nie mówił, ja tu już nie mam innego wykrętu mówić jemu. Grażdanin śledowaciel ja powiem prawdę, że do niego się tylko tak pochwaliłem ale nic nie robiłem i nikogo nie organizowałem a on mówi nie nada było bełtacza.

Po tym śledztwie zrobiło mi się lżej na duszy, może choć mnie nie zabiją. Powiedziałem śledowacielowi, że ja będę ich dobrym grażdaninem, będę im haroszo rabotać. On coś tam pisał, potem dał mnie do podpisu i ja podpisałem, zadzwonił po bojca i kazał odprowadzić do celi. Gdy wszedłem do celi od razu byłem jakiś inny, weselszy. Mickiewicz mówi chyba pan śledztwo zakończył, mówię nie zakończyłem ale miałem dziś oczną stawkę i śledowaciel powiedział na niego bo po czto ty bełtał na niego, kiedy nic nie znajesz i dziś nie bił mnie wcale.

Wszyscy się ucieszyli gdym powiedział o dzisiejszym śledztwie. Nogi to mnie jeszcze bolały ale nadzieja we mnie wstąpiła, bo śledowaciel po tym uderzeniu w żołądek zrobił się łagodniejszy a ja jak tylko wszedłem do niego, to się ręką trzymałem za pachwinę a dopiero gdym usiadł na taborku to obie ręce położyłem na kolana a nie coraz to usta krzywiłem, że mnie strasznie boli. Chodziłem jeszcze do niego kilka razy na śledztwo ale to tylko się to samo powtarzało, te same pytania i te same odpowiedzi - nic nie wiem o organizacji i nic sam nie robiłem.

Pod koniec października z rana mnie na śledztwo nie wołali i aż przed wieczorem przyszedł bojec po mnie, dyżurny drzwi otworzył, wyszedłem, on krzyknął ruki z zadu, wziętem ręce do tyłu, on jedną ręką wziął mnie za rękę i powiada idziorn. Zaprowadził mnie do tego samego śledowaciela. Jak tylko

wszedłem, jak zwykle powiedziałem zdrastwujcie grażdanin, śledowaciel odpowiedział zdrastwuj siadaj na taborek, usiadłem i syknąłem, usta wykrzywiłem, że mnie strasznie boli.

A on powiada znajesz chto Pieńkowski, odpowiedziałem niczewo nie znaju, tu przyjdzie cię badać sam naczelnik więzienia, ty się lepiej przyznaj, bo on strasznie bije, ile cię tu wszyscy bili, to nie tyle co on cię dziś tutaj nabije, wszystko jedno będą cię sądzić i na wolność już nie wrócisz, po co się upierasz, lepiej przyznaj się, jak wszystko powiesz od początku kto cię do tej organizacji namówił i kto przysięgę wydał no i kogo ty zwerbował i kakaja twoja kliczka.

Ja jemu odpowiedziałem - ja nic nie wiem o żadnej organizacji i nie mam do czego przyznawać a kakaja moja kliczka to ja nie rozumiem co to jest - to jest jakiś twój pseudonim, odpowiadam nie mam żadnego pseudonimu i do niczego się nie przyznam.

On powiedział ja ci radzę dobrze, po co cię w dalszym ciągu mają bić i wyrok byś mniejszy dostał a może by do domu puścili, tylko powiedz prawdę, bo nam nie chodzi tylko o ciebie, tylko o tych co tam zostali bandytów z podpólnej organizacji.

Wtem drzwi się otwierają i wchodzi taki średniego wzrostu, w zielonym mundurze, w kamaszach i nad nimi sztylpy żółte zapinane na sprzączki i pod pachą żółta teczka i od razu krzyknął to ten, śledowaciel odpowiedział - da, to znaczy tak. Od razu przyskoczył do mnie i krzyknął do mnie kak zwać, odpowiedziałem Pieńkowski Aleksander - poczemu ty nie zeznał i nie skazał prawdy, czterech śledowacieli cię badało a ty prawdy ani jednego słowa nie powiedział, odpowiedziałem, bo ja niczewo nie znaju. On odpowiedział to siejczas poznajesz,

Teczkę jak wszedł to położył ją na biurko, złapał ją otworzył i wyjął z niej dawną polską pałkę policyjną, ręka mu się trzęsie z tą pałką, jak na mnie oczy wytrzeszczy, to te białka w oczach zrobiły mu się dwa razy takie duże i krzyknął znimaj kindziak, to był taki mundurek, zdjąłem i trzymam w ręku, broś powiedział, puściłem go obok siebie, on kopnął go nogą aż do ściany poleciał i krzyknął znimaj stany, to znaczy portki, to były takie codzienne spodnie do roboty. Na tyłku były naszyte leje brezentowe.

Jak on przestawił taborek na środek tego gabinetu i ręka z tą gumą mu się trzęsie a mnie łyż z oczu jedna za drugą płyną, ręce mi się trzęsą, bo myślę, że poprzecina mi skórę na tyłku jak zdejmę te portki i już ich miałem na kolanach a on powiedział stany wdziej. Ja czym prędzej te portki do góry i zapiąłem a on jakby maligny dostał tak mu się ta ręka z tą gumą trzęsie. Krzyknął łoży się na taborek, położyłem się jak mnie rąbnie z całej siły tą pałką gumową po tyłku a mnie chyba łyż jak iskry z oczu trysnęły. Po tym uderzeniu krzyknął - siadaj na taborek, usiadłem, on wziął krzesło, postawił na przeciw mnie i pyta się mnie kto cię zwerbował do podpólnej organizacji, ja - nikt mnie nie werbował. Jak on mnie weźmie po udach bić, to po jednym, to po drugim rąbnął mnie 3 razy po jednym i 3 razy po drugim udzie, potem się pyta a kogo ty zwerbował, mówię nikogo, on znowu krzyknął łoży na taborek. Położyłem się, jak mnie przywali drugi raz i znowu krzyczo siadaj na taborek, usiadłem, znowu rąbnie mnie po udach, raz po jednym, to drugi raz po drugim udzie.

Tym razem wrębał mi po 5 gum na każde udo. Nie krzyczałem ani płakałem ale łyż z oczu leciały prawie ciurkiem. On widział jak mnie te łyż spływały po twarzy ale to był człowiek bez żadnego sumienia. Mój śledowaciel poszedł za biurko, usiadł i przyglądał się, potem wyjął jakiś papier, zaczął coś pisać, bo nie chciał patrzeć jak ten naczelnik mnie tą gumą rąbał.

Po raz 3-ci krzyknął łoży na taborek, ja mówię grażdanin naczelnik ubijcie mnie od razu a nie bijcie. A on powiada nie nada cię ubić, ty i sam podachniesz i znowu krzyknął głośniej łoży na taborek, położyłem się, jak mnie rąbnie z całej siły, tylko całe moje szczęście, że miałem na sobie te spodnie grube, wełniane i na nich naszyte leje brezentowe, to tylko od nich łoskot się jak od deski odbijał i krzyknął siadaj na taborek i znowu bije mnie po udach, raz po tym a raz po drugim, już nie wiem ile razy mnie uderzył, bo sam się zmęczył, wstał i rąbnął tą pałką o podłogę, że aż o sufit się odbiła. Mój śledowaciel zerwał się zza biurka, złapał tę pałkę gumową i do teczki wsadził i podał ją naczelnikowi, ten wsadził ją pod pachę i powiedział - niczewo nie wybijesz, zgnijet w tiumie bandyt.

Była może godzina pierwsza w nocy, naczelnik wyszedł. Śledowaciel mówi powiedziałem ci, że lepiej się przyznaj, po co się mają tak bić i tak i tak na wolność nie pójdiesz. Zawołał dyżumego i ten mnie przyprowadził do celi.

Nie mogłem się położyć, bolały mnie wszystkie członki, nie było takiego miejsca, żeby mnie nie bolało. Chciałem się położyć, tyłek mnie piekł jak ogniem, próbowałem się przewrócić na brzuch, uda zbite tak samo mnie ogromnie bolały, to tylko delikatnie na boku chciałem trochę zasnąć ale gdzie tam, nie mogłem usnąć.

Przyszły mi na pamięć te ślepie naczelnika, jak wytrzeszczył to białka robiły się duże, jak u byka, to za chwilę znowu robiły się normalne i tak cały czas. Mój śledowaciel siedział za biurkiem i tylko nieraz się obejrzał w stronę nas.

Nad ranem trochę zasnąłem ale zaraz pobudka do ustępu. Gdy pokazałem swój goły tyłek i uda były sine jak wątroba, taki sam był tyłek siny. Poczułem po tym biciu jakby mnie ubyło połowa, siły



mnie opuściły, nogi w stopach też bolały, ledwie się zwlokłem do ustępu i z powrotem.

Wszyscy mi współczuli. Mickiewicz się zbliżył do mnie i powiada, że to już chyba będzie koniec śledztwa, bo oni jak się nie da zmusić do przyznania to wprost szaleją i tak biją. I ja myślę, że już niedługo zakończą z panem śledztwo.

Następnego dnia nie wzywali mnie na badania ale nie mogłem ani siedzieć ani leżeć ani chodzić. To posiedzę trochę na boku na samym kancie łóżka, to później odwracam się i na drugim boku na kancie łóżka siedzę.

W celi oprócz tego obrośniętego Rusina co siedział już 19 lat modlili się wszyscy a była to niedziela. Nauczyciel odmawiał różaniec i potem śpiewali półgłosem godzinki, które umiał ten nauczyciel i nawet za mnie się modlili żebym jak najprędzej śledztwo zakończył. Na drugi dzień też nie wywoływali mnie na badanie, trzeciego dnia też nie wołali.

W końcu października przyszedł bojec po mnie, idziemy i ja myślę w drodze co oni znowu obmyślili ze mną zrobić. Przyprowadził mnie do tego samego śledowaciela, ja tylko wszedłem mówię zdrastwuj grażdanin, śledowacieli powiedział zdrastwuj, uśmiechnął się i podał mi rękę, przywitałem się jak stare znajome. Usiadł za biurkiem a obok ma dość wysoką kupę papierów i powiada - znajesz czo Pieńkowski, ja odpowiadam ja niczego nie znam, ty siewodnia zakończysz śledztwo, ja ci będę czytał od początku o co ciebie się pytali śledowaciele i twoje odpowiedzi. Ty słuchaj uważnie, czy wszystko było poprawnie pisane a przeważnie twoją odpowiedź. Jak zauważysz, że coś będzie źle napisane to zaraz protestuj.

I bierze pierwszy arkusz z wierzchu papieru i czyta mi a ja uważnie słucham, tak było mówię, tak poprawnie. To on wykręca ten arkusz papieru i mówi to podpisuj, podpisałem i on podpisał i odłożył na bok. Potem bierze drugi arkusz i znowu czyta, potem się mnie pyta, tak było mówię tak, no to podpisuj, podpisałem i on podpisał i odłożył na tamten arkusz. I tak po kolei wszystkie czytał i ja i on wszystkie podpisywałem i na drugą kupę przekładał.

Gdy skończył to na nowym, czystym coś pisał i znowu podpisałem chociaż nie wiedziałem co on tam napisał. Potem powiedział, że podpisałeś, że podczas śledztwa cię nie bili. Teraz to wszystko pójdzie do prokuratora, on to wszystko rozpatrzy, potem to pójdzie do sądu. Nie dumaj, że tam mało otrzymasz. Tam tacy będą sądzić cię jak ja, oni dadzą ci dowolną chwałę tobie. A jak tu oni nie będą mogli cię osądzić to pójdzie do Moskwy, to tam cię osądzą może nawet na 15 lat - wsio adno 15 ili 20 a on się patrzy na mnie i mówi ty może myślisz, że siedzieć w więzieniu nie będziesz, o tym zapomnij, ty już Polski nie zobaczysz. A ja mówię, że ja myślę, że zobaczę i do niej wrócę, a on co ty myślisz, że Anglia wam pomoże, już ją niedługo Niemcy zbombardują.

Skloniłem mu się, podał mi rękę i powiedział więcej my się nie zobaczymy. On nie był dla mnie takim draniem jak pierwszy i drugi a trzeci wcale był dobry, ani razu mnie nie uderzył, ani razu, bo byłem u niego tylko parę dni a najgorszy był naczelnik, tylko całe moje szczęście, że to jednego dnia się skończyło.

Gdy bojec mnie przyprowadził a dyżurny drzwi otworzył wszedłem do celi, pomimo bólu miałem twarz uśmiechniętą i prawie wszyscy poznali że śledztwo zakończył i musiałem podpisać, że podczas śledztwa wcale mnie nie bili, byli z tego wszyscy zadowoleni.

Zakończyli śledztwo również doktor Grędzielski, wcale go nie bili i nauczyciel Kozieł tylko kilka razy w twarz dostał. Również zakończył śledztwo marynarz Ciborowski z Łomży ale miał stracha, żeby jego papierów nie znaleźli. Należał do organizacji i miał całą listę, schował ją do ustępu, pod deski. I tak jednych zabierali po zakończonym śledztwie z celi a drugich przyprowadzali. Mnie już na śledztwo nie wzywali, byłem spokojny, pomału bóle mi ustępowały, opuchlizna też z pięć zesza, tylko jeszcze tyłek i uda, to mnie jeszcze długo bolały. Klatka piersiowa jeszcze była podobna do ciężkiej wątroby od szturgania palcami przez dwóch pierwszych śledowacieli.

Najgorzej czuli się palacze papierosów, miotła z którą dwa razy na dzień chodziliśmy do ustępu, to nią myliłmy kibel od sikania, gdy obeschła to ją skrobali na machorkę do palenia, zrobiła się biała tak ją zeskrobywali, śmierdziało w celi ale nałogowcy palili i zaciągali się aż do końca, ile starczyło.

W listopadzie znowu do naszej celi dwóch wpuścili, jeden był starszym człowiekiem, był stolarzem, nazwiska jego zapomniałem. On różnych rzeczy powiedział choć ile tam w nich prawdy było nie wiadomo. Drugim towarzyszem jego był Żyd, nazywał się Cybulkin, dzierżawca browaru w Dojidach, gruby, tłusty, tylko dyszał. Pieniądze otrzymywał często po 50 rubli. Przyniósł ze sobą sporo papierosów, kto palił to każdemu dał po jednym papierosie. Na śledztwo go wcale nie brali, tylko go aresztowali aby obwodzić z browaru.

Nadszedł już grudzień, z naszej celi już zabrali Sienkiewicza aptekarza i razem Mickiewicza. Nie wiadomo czy na wyrok, czy do drugich cel przeprowadzili.

Przynieśli do naszej celi chorego, pod pachy go ciągnęli a nogi z tyłu ciągnęły się po podłodze. Gdy go zostawili nie wstawał, tylko leżał i stękał. Wzięliśmy go na łóżko, leżał spokojnie, potem obejrzał się na drzwi czy klapka nie jest uchylona, czy dyżurny nie patrzy w nią i czy nie słucha, co

często tak bywało. Jak kogoś wpuszczają to się przyglądają co będzie robił i co będzie mówił.

Powiedział, że siedział w ciemnej piwnicy i zaczął głodówkę żeby go wypuścili i uśmiechnięty powiedział, że jak go tylko przyprowadzili do śledowaciela to on zaraz padał na podłogę i trząsał się całym i nogami rzucał i nie odpowiadał na pytanie, to tylko parę kopów po bokach dostał i go bojec podnosił i odprowadzał do celi i tym się ratował od ciężkiego bicia.

A jak do ustępu to my go prowadziliśmy pod pachy tam i z powrotem, bo był strasznie osłabiony i ciągnął nogi za sobą a dyżurny go obserwował i tam donosił ale gdy już wróciłem z ustępu to się uśmiechał i powiada będę tak do końca się bronił, co będzie to będzie.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, mróz był około 30 stopni. Ja szykowałem się w ustępie umyć bo od 20 maja cały się nie myłem i wieczorem, gdyśmy poszli do ustępu odradzali mi żebym się nie rozbierał i nie mył, bo duży mróz, w dodatku w okienku szyby pobite i śnieg wiał prosto w to okienko. Ale co już postanowiłem, to mało kiedy nie wykonałem.

Były tam 3 krany, raz dwa rozebrałem się i pod środkowy kran podsunąłem głowę i dalej zacząłem się myć i to bardzo energicznie. Już głowę umyłem, myję szyję ale zimno mnie strząchnęło, drgnąłem ale myję się cały i nogi też umyłem. Jeszcze się tam wszyscy nie załatwili, ja już się ubrałem i dla rozgrzewki skakać zacząłem ile mogłem do góry podbryknąć.

Korytarz był dość długi i całą drogę brykałem bo gdybym tego nie robił to na pewno miałbym zapalenie płuc. Gdy przyszedłem do celi, wszyscy posiadali a ja chodzę jak tylko mogę prędko i nie mogę się rozgrzać ale nie ustaję, już prawie wszyscy się poutulali do spania a ja jeszcze z godzinę chodziłem aż nareszcie robi mi się ciepło i poczułem się trochę zmęczony. Ale zasnąć od razu nie mogłem, nogami się ćwiczyłem, zginałem i wyprostowywałem i tarłem nogą o nogę i potem usnąłem.

Na Wigilię Bożego Narodzenia Cybulkin poszedł do łarka i kupił 2 kg kiełbasy i dwa placki po jakies też 2 kilogramy. Dał temu stolarzowi, który porznął na kawałki dla każdego kawałek, placki też tak samo, kupił i papierosów 40 sztuk. Cybulkin kiełbasy nie jadł, powiedział, że za tłusta dla niego a tłuszcz mu szkodzi.

Podziękowaliśmy jemu za ten tłusty opłatek a sobie życzyliśmy żeby Bóg dał doczekać, żebyśmy wrócili do swych domów i podzielili się prawdziwym opłatkiem ze swymi rodzinami, tak nam Panie Boże dopomóż. Prawie wszystkim łyzy z oczu poleciały i każdy wspomniął o swojej rodzinie i swoim domu. Zaczęliśmy śpiewać Bóg się rodzi moc truchleje ale zaraz dyżurny klapkę uchylił we drzwiach i krzyknął, że nie wolno śpiewać ale my po cichu śpiewaliśmy.

Przeszły święta, przeszedł Nowy Rok. 15 stycznia dyżurny zaprowadził nas do ustępu, przynieśli chleb i kawę i po pudełku od zapalek cukru kryształu, tę porcję prawie codziennie otrzymywaliśmy, czasem cukru nie starczyło, to nie dali. Po śniadaniu klapka się odchyliła i woła na bukwu P, odezwałem się wychadzij z wieszczami a ja tych wieszczów to miałem tylko kawałek ręcznika z rękawa od koszuli. Wziąłem się odwitywać ale krzyknął wychadzij skarej, powiedziałem wszystkim do widzenia, zostańcie z Bogiem i wyszedłem z 140 celi. Przeprowadził mnie do celi 25 nr. Było tam ludzi około 50-ciu.

Powiedziałem dzień dobry panom, odpowiedzieli dzień dobry. Pytają skąd jestem, z Drozdowa pod Łomżą. Dwóch podchodzi do mnie i pyta się jak się pan nazywa, ja mówię Pieńkowski Aleksander a czy dawno pan był aresztowany, mówię w maju 40 roku a ja się nazywam Zalewski Zygmunt z Bronak spod Jedwabnego a to mój brat Władysław i wołają jeszcze jednego - Beczek nazywam się też z Jedwabnego krawiec, przychodzi czwarty też z Jedwabnego Tarnacki Antoni. Ucieszyłem się, że aż 4-ch ziomeków mam ze swoich stron, będzie mi trochę różniej ze swojakami.

Oni jeszcze śledztwa nie zakończyli, tylko Zalewski Wład., to był żołnierz, to tylko jeden raz go badali, bo był po wojskowemu ubrany.

Zygmunt mi mówi, że w przód siedzieli w innej celi i razem z nimi siedział doktor Rogowski Jan z Łomży. On był lekarzem w szpitalu i od razu go ze szpitala zabrali w czerwcu 40 r. Miał lekkie, cienkie ubranie na sobie, drżał z zimna i ten Wład. Zalewski oddał mu swój płaszcz wojskowy, bo nastąpiło chłodno.

No i powiedzieli mi, że doktor Rogowski jeździł do chorych, po wsiach i jednocześnie organizował partyzantkę i tam jeden komuniściak wydał go. W parę dni potem jeszcze przyprowadzili ze znanych stron Łade rolnika, był gdzieś od Kolna.

Doktor Rogowski nie tylko był dobrym doktorem ale był dobrym człowiekiem i dobrym patriotą. I był moim współnikiem do browaru w Drozdowie. Kupiliśmy go na licytacji w 1939 roku w maju od banku Spółek Spółdzielczych w Warszawie. W tej celi było kilku majstrów, robili igły przeważnie z drutu z siatki albo z gwoźdźcia. Sala w tej celi była z podłogą cementową, to na tej podłodze trzeba było drzeć ze dwa dni aż ten gwoździec do cienkości igły prawdziwej, potem dziurkę do nitki. Jakoś robili szkłem z szyby. Za taką igłą płacili 3 papierosy albo porcję cukru, za 1 guzik 2 papierosy, palacze to oddawali swój cukier za 1/4 chleba, potem zamieniali go na 3 papierosy i tak dokoła. Inni znowu na tutkach od papierosów malowali do gry w karty.



Upalił z czarnej szmaty popiołu, rozrabiał wodą i nią malował. Z chleba robili różańce, to już taki różaniec kosztował 5 papierosów albo warcaby i szachy. Też malowali czarne, to smalili szmaty a do białych, to skrobali wapno ze ścian ale w niewidocznym miejscu delikatnie, żeby nie było znać i taki był tam handel.

Po paru tygodniach znowu mnie przeprowadzili do celi 98 nr na piętrze trzecim. Cella była kwadratowa 8 na 8, posadzka cementowa i 2 małe okienka, prawie pod sufitem. Było tam ludzi 112 osób. Nie mogłem od drzwi nawet jednego metra się posunąć tak było ciasno.

Gdy powiedziałem dzień dobry panom, kilku co byli blisko drzwi odpowiedzieli dzień dobry. Pytam się kto tu jest komendantem tej sali. Mówią mi, że tu nie ma komendanta, tylko jest starosta. Mówię, że ja chciałbym się z nim rozmówić. Jeden wstał i mówi jest trudno go znaleźć, bo on gdzieś dalej a pan widzi jaka tu ciasnota, leżą jedni, drudzy siedzą nacajkach, tam dalej znów leżą a dwaj, rozmawiają jedni zcziszonym głosem a inni głosują jak Żydzi na jarmarku.

Ale ten co wstał, ja pomału pójde, może go znajdę i go zawołam. Po jakiś 20-tu minutach przyszedł, ja przywitałem się z nim i mówię gdzie mnie pan starosta umieści a on mówi tu gdzie pan stoi, ja mówię tu śmierdzi od tego kibla, to nie będzie można i usnąć, a on mówi ja panu nic nie poradzę. Tu jest taka reguła - kto ostatni przyjdzie to przy drzwiach musi spać. Ale może wywołają kogoś na wyrok i on tu nie wróci to pan po nim to miejsce zajmie. Tu, w tej celi to są wszyscy, którzy już zakończyli śledztwo, to tylko czekają na wyroki i potem już nie wracają.

W tej celi czekałem na wyrok przeszło miesiąc czasu. Za tydzień przyszedł w nocy z listą i wyczytał 5-ciu na wyrok, więc czym prędzej przeniosłem się na jednego z nich a cały tydzień musiałem wachać ten straszny smród z tego kibla. Ale okazało się, że w tej celi są znajomi. Był tam Orłowski Żyd z Łomży, miał fabrykę maszyn rolniczych - młockarnie, wialnie, młynki do mielenia ospy, siewczkarnie i inne narzędzia rolnicze do pracy w polu jak kieraty.

Znaliśmy się dobrze, bo kupowałem u niego wialnie, siewczkarnie, brony sprężynówki i inne narzędzia rolnicze. Pytam się jego za co go wywieźli, on mówi za nic, tylko żeby zabrać fabrykę. Bardzo byliśmy ucieszeni, że obydwaj się spotkaliśmy. Ja jemu powiedziałem prawdę, że należałem do organizacji podziemnej i nie przyznałem się, to nie wiem jak mnie osądzą. Naczelnik więzienia w Mińsku powiedział, że ja zgniję w więzieniu. Orłowski powiada niech pan nie martwi się, jeszcze my wrócimy do Polski, jeszcze wojna się nie skończyła a jaki koniec będzie, to nie wiadomo, może ich diabli wezmą. Tak co dziennie rozmawialiśmy aby dzień prędzej zeszedł. On miał dwóch synów. Jeden był porucznikiem w wojsku polskim. Jak Niemcy wydali wojnę Polsce to on był na fortach w Piątnicy przy artylerii przeciwlotniczej i zestrzelił jeden samolot niemiecki gdy bombardowali Łomżę. Ale nic o nim nie wiedział tak samo i o drugim nic nie wiedział i w ogóle o swojej rodzinie, tak jak ja nie wiedziałem co się stało z moją rodziną po moim aresztowaniu.

Orłowski był nałogowym palaczem papierosów, jak tam któryś zapalił papierosa, to on go prosił żeby mu dał choć jednego dymka raz pociągnąć ale nie zawsze dostał, czasem tylko dał mu któryś pociągnąć.

Potem poznałem jednego dziedzica bardzo bogatego, nazywał się Jeśmian Mieczysław, syn wojewody poleskiego, porucznik rezerwy wojsk polskich. Pochodził ze Słonimia. Powiedział, że całe miasto Słonim jest pobudowane na ich majątku. Bardzo był uczciwy i dobry człowiek. Potem do naszej trójki przyłączył się profesor gimnazjalny, też ze Słonimia, nazwiska już zapomniałem. W tej celi 98 było przeciętnie przeszło stu ludzi do stu dwudziestu pięciu. Jednych wywoływali na wyroki a świeżych znowu przyprowadzali na ich miejsce, gdy już zakończyli śledztwo.

Po wyroku nikt już do tej celi nie wracał. P. Jeśmian miał dużo bielizny - koszul, kalesonów i kilka ręczników i mówił mi samemu jest wstyd sprzedawać może pan zechce to niech sprzeda je. Sprzedaż odbywała się tylko za papierosy albo za cukier. Sprzedałem jego dwie koszule, jeden ręcznik.

W tym czasie był to miesiąc styczeń, mróz był około 30 stopni. Ja już nazbierałem tutków od papierosów i je rozwijałem. Ułożyłem na betonie pod siebie gdzie spałem i na spód kładłem tylko spodnie, buty z cholewami kładłem pod głowę, na nich kładłem czapkę, to była moja poduszka. Naodziewałem się tylko marynarką, starczyło to tylko na okrycie korpusu, całe nogi były tylko w krótkich kalesonkach. Drżałem cały od zimna ale trzeci ode mnie leżał ogrodnik, który miał koc. Więc przysunął się, czyli zmienił się na miejsce i ten ogrodnik położył się obok mnie i nakrywał kocem siebie i mnie razem. Było mi cieplej ale się okazało, że on miał świerzb i trzeba było się drapać po całym ciele delikatnie, żeby nie do krwi. Ale ratowałem się dwa razy dziennie. Gdy chodziliśmy do ubikacji sikaliśmy sobie na dłoń i nacierałem po całym ciele. Po takim natarciu nie swędziało mnie cały dzień, przed wieczorem też się smarowałem cały. On też się zaczął smarować, tak jak i ja.

W tej celi było ośmiu adwokatów, czterech sędziów, kilku geometrów i dwóch doktorów, czterech inżynierów i dużo różnych urzędników, 14-tu Białorusinów z którymi prawie codziennie awantury. Urągali na Polaków a przeważnie na urzędników, tylko do rolników nie czepiali się a było nas też ze

30-stu. Niektórego dnia to o mało do bójki nie doszło, bo tak narzekali na Polaków, jak psy na złodziei,

- A co usłyszą, że się mówi o Polsce to zaraz idą do drzwi i bębnią, dyżurny im otwiera drzwi i oni idą do kancelarii i opowiadają, że Polacy rozmawiają o Polsce i dokładają jeszcze różne rzeczy, których nawet Polacy nie mówili.

Kilku Polaków zabierali do karceru na parę dni ale potem przeprowadzili ich na zad do celi i powiedzieli, że jak będą mówić o Polsce to zaraz będą sadzać na parę dni do karceru /bo Polszy użę niet/, że Polski już nie ma i nie będzie.

W połowie stycznia, po ubikacji i po śniadaniu przychodzi z kancelarii urzędnik i wyczytuje moje nazwisko. Trochę się zląkłem czy może mnie weźmie do karceru ale on mówi, że przyszedł dla ciebie pieniądze, to pójdziesz do łarka i tam sobie kupisz co zechcesz. Poszliśmy o piętro niżej, tam był ten łarok, to znaczy sklepik więzienny. Ale najprzód poszliśmy do kancelarii, tam dali na 30 rubli kwit i dopiero do łarka. Co tam było do kupienia. Najważniejsze to były papierosy, zapalki, pasta do butów, mydło do prania. którego wzięłem całą kilogramową sztabę i bochenek chleba sitkowego i pół kilo cukru w kostkach, no i 50 papierosów i słupek zapalek i już po pieniądzach, bo to kosztowało całe 30 rubli.

Tylko wróciłem do celi na razie bogaty, obstąpili mnie i proszą o papierosa, to ten to inny. Dałem im 5 sztuk dla wszystkich, żeby po dymku każdy pociągnął. Potem dałem Orłowskiemu 10 papierosów i jedną czwartą mydła i pudełko zapalek. On powiada panie Pieńkowski - ja co dać panu, ja mówię, że ja nic od pana nie chcę tylko tak dałem panu w prezencie. A on na to mówi panie Pieńkowski jak wrócim do Polski, to za ten kawałek mydła i za te 10 papierosów to jak pan zechce maszynę czy młockarnię, czy wialnię, czy kierat, czy młynek do mielenia ja panu dam bez pieniędzy, to będzie taki prezent jak pan mnie tutaj zrobił. Ja jemu mówię - panie Orłowski albo my wrócim, a on mówi wrócim, zobaczy pan, że wrócim a ja jemu mówię, że ja mam słabą nadzieję. Naczelnik mówił, że ja zgniję w więzieniu i już Polski nie zobaczę, a on mówi niech się pan nie przejmuje tym co mówił naczelnik, on sam nie wie jak się sprawy potoczą dalej na świecie.

U pana Jeśmana kupiłem za papierosy i mydło ładną koszulę jedwabną białą w zielone paski i ręcznik, bo do tej pory ucierałem się rękawem od koszuli lnianej. Resztę papierosów wymieniłem tylko za ćwiartkę chleba dziennie za 3 papierosy.

Co dwa tygodnie wyprowadzali nas do okólnika na spacer. Przed wyprowadzeniem na korytarz musielim ustawić się w trójki i rozprowadzający policzył nas, zapisał sobie ilu wyszło, bo niektórzy nie wychodzili - byli chorzy albo mieli buty dziurawe to zostawali w celi. Spacerowaliśmy po śniegu, w tym kliniastym okólniku a rozprowadzający zawsze nas zamykał i chodził na trzecie piętro i przyglądał się z góry czy który z nas nie pisał nazwiska i skąd pochodził a nawet wieści ze świata, nie wiadomo czy prawdziwe czy nieprawdziwe.

Po 1/2 godzinnym spacerze, gdy nas przyprowadził na korytarz to znowu liczył czy czasami z jeden nie uciekł. Jak już sprawdził, że wszyscy są otwierali cele i dopiero wchodziliśmy do celi. Przy potocznej rozmowie dowiedziałem się od tego profesora ze Słonimia, że w tej celi siedział razem z nim mój siostrzanek Henryk Nowacki, który był też profesorem w gimnazjum w Radomsku a teraz za bolszewików przeniósł się do gimnazjum w Słoniemiu i razem uczyli i tu go aresztowali i razem siedzieli w tej celi ale on odszedł już na wyrok i więcej się nie widzieli.

Mówił mi, że Heniek otrzymywał paczki i nie wiedział od kogo. Raz otrzymał pieniądze oraz słoik miodu i mówił, że ja nie wiem kto to wszystko mi przysłał a był aresztowany przed świętami Wielkiej Nocy 1940 r.

Słyszałem również, że siedział z Łomży J. Janicki zastępca przewodniczącego Rady Powiatowej ale ja się z nim nie widziałem, potem był prezydentem miasta Łomży. Był komendantem policji Maniak, był z nami sędzią z Wilna i ten drań nazwisko miał niemieckie. Był polskim sędzią, na pewno miał dobrą pensję a mówił ja nie jestem obywatelem polskim, tylko litewskim, bo Wilno to jest miasto litewskie i urągał na Polaków. Było nas dużo, których mało krew ze złości nie zalała ale nic mu zrobić nie było można.

Był też doktor Niemiec z Polski, stary trząsł się ale mało mówił, tylko powiedział zobaczycie co to jeszcze będzie i z Rosją Niemcy cały świat zawojują. Nazwiska jego nie pamiętam. Było kilku Litwinów ale ci mówili toć chyba nas całe życie nie będą trzymać w więzieniu, zobaczymy co to będzie dalej. Siedział z nami poseł nazywał się Szymanowski, już był stary i chory, krwią płuł, zjadał tylko zupę a swój chleb zamieniał na cukier, pieniądze też otrzymywał od swojej rodziny. Pytam się jego panie pośle co będzie z nami i co będzie z Polską a on mówi Polska, że czy my w niej będziemy, to nie wiadomo, bo sowioci połowę Polaków wymordują a dużo naszych braci w tych warunkach nie wytrzyma, życie dają liche, ubrania cieplejszego nie mamy, jak przyjdzie zima, duże mrozy długo nie wytrzymaemy, wprost poumieramy.

Pomyślałem, że faktycznie tak jest co on mówi ale ja wierzę w przeznaczenie, co komu jest



przeznaczone, to tyle będzie żył, wszystko jest w rękę Boga. Ja mam nadzieję, że Bóg mi pomoże, że wrócę do Polski i do mojej kochanej Rodziny, do Drozdowa.

— Ale wrócę się jeszcze do tej naszej celi. Ludzi nigdy nie było mniej jak sto a czasem nawet 125 a misiek 30; tak, że na zmianę mieliśmy czekać aż do nas wrócą nie myte a byli ludzie i chorzy ale na to nikt nie uważał, bo każdy był głodny. Tak samo było z łyżkami. A jak się zatkały rury w ustępie, to nie można było się dostać do dziury a choć i doszedł to one były pełne, to się sikało i załatwiało po całej ubikacji i nieraz kilka dni tak było zanim tam przetkali.

Razu jednego przyprowadził dyżurny dwóch też zakluczonych i przyszedł jeden urzędnik z kancelarii. Ten urzędnik z zeszytem i ołówkiem w rękę mówi kto ma brudną bieliznę to niech da do prania, to tam w pralni wypiorą. Kto oddał i ile, to urzędnik zapisywał do zeszytu. Po trzech dniach przynieśli z powrotem już wypraną bieliznę ale tylko jedną trzecią tej co zabrali. Powiedzieli, że po wypraniu dali ją do dezynfekcji i tam się spaliła i poszli. Tak wyszło porównanie kto miał 3 czy 2 koszule to został w jednej.

Co noc przychodził z listą bojec i wyczytywał nazwiska i wyprowadzał na wyrok. Pamiętam, gdy wyczytali nazwisko tego Mieczysława Jeśmana, taki to był dobry Polak oficer polski, gdyśmy się rozstawali płakał. Żal nam go było ale tu wszyscy na to samo czekali. Potem wprowadzili nowych gości.

Byli - Chrzanowski z Białegostoku komisarz ziemski, Tubielewicz kapitan rezerwy, p. Kowalski porucznik wdowiec, Skibiński młody uczony chłopak spod Wilna, Olszewski z Białegostoku i pan Mickiewicz z celi nr 140, ten co mi masaż robił cały tydzień gdy przeciąg mnie podwiał i głowę mi skręcił. On też czekał na wyrok.

Obiady były bardzo liche, rzadkie, zupy czasami mały kartofelek się trafił w chochli, którą się czerpało albo czwarta część buraka, komu nic nie popadło tylko sama zupa. Kłócili się przeważnie Białorusini. Jeden taki był gruby, najgrubszy drań, to jeszcze groził, że jak mu nic nie wpadnie to zaraz miską rąbnie w głowę tego co nalewał.

A całym starostą tej celi był Olszewski z Białegostoku. To on odpowiedział, że jak on to uczyni to my obojętnie patrzeć na to nie będziemy, przyjmij to do wiadomości. Często zmieniali tych, co rozlewali obiady, bo wszystkim nie dogodzisz i mnie też obrali do tej funkcji rozdawania obiadów. Ale to funkcja niech Pan Bóg broni i zachowa. Najgorzej się obawiałem jak temu Białorusinowi czerpałem, tak to chochlą po całym kotle pojechałem żeby coś złapać, żeby mnie nie uderzył tą miską jak nic mu nie wpadnie grubszego. Po dwóch tygodniach zrzekłem się tej funkcji ale w tej celi to co dzień rano śpiewaliśmy kiedy ranne wstają zorze a wieczorem śpiewaliśmy wszystkie nasze dzienne sprawy przyjm litośnie Boże prawy. Stawaliśmy wszyscy w czwórkach i głośno śpiewaliśmy, to dyżurny krzychał żeby nie śpiewać. Starosta Olszewski mówił, że my tak modlimy się i będziemy śpiewać i nie zważalim w celi na dyżurnego i śpiewalim co dzień rano i wieczorem.

Co dzień jednych zabierali na wyroki, drugich wprowadzali coraz nowych gości. Po panu Jeśmanie wprowadzili już w starszym wieku majora Fiedorowicza i kilku innych, wszyscy z okolic Wilna. Z panem Fiedorowiczem widziałem się w Iraku, odnalazł mnie i przyszedł do mnie z medalami na piersiach, po amnestii jak go zwolnili, oddali mu wszystkie medale, które mu przy aresztowaniu zabrali. Bardzo się obydwaj ucieszyli, że już bylim w wojsku polskim i na wolności.

W połowie lutego wieczorem o godzinie 10-iej przyszedł z listą w mundurze wojskowym i wyczytuje moje nazwisko i jeszcze 6-ciu innych nieznanym. Już wiemy, że to na wyroki. Podchodzi do mnie major, całujemy się, to był bardzo miły i dobry Polak. Później podszedł do mnie ksiądz, pochodził z Grodna, znowu całujemy się, nie martw wyrokiem jaki mnie spotka. Mówię temu księdzu, że mam większe zmartwienie jak swój wyrok, to jest los mojej kochanej Ojczyzny i mojej kochanej rodziny. Ksiądz mówi wszystko jest jak Pan Bóg zrządzi, niech się pan nie załamuje, ani myślę o tym - odpowiedziałem. A już za księdzem stał p. Orłowski z Łomży znowu on mnie całuje i ja jego. To był chociaż Żyd ale bardzo dobry człowiek i on mówi niech się pan nie boi wyroku a tu bojec z listą w rękę stoi i krzyczy dowolna całowacsa, wychadzij skarej.

Wyprowadził nas z tego więziennego budynku i przez plac do drugiego budynku, po schodach na parterze wprowadza nas do dużej poczekalni. Gdy tylko drzwi otworzył ja wszedłem pierwszy a tu słyszę znajomy głos Olek, jak tam piwo drozdowskie, choć tu do nas, siadaj, usiadłem i mówię oni tu nam piwa nagotują, zobaczysz. Przy drzwiach stał bojec z karabinem na ramieniu a ten co nas przyprowadził poszedł oddać listę sędziemu i zameldować, że już nas przyprowadził.

Sala była kwadratowa, dokoła siedzieli kilkadziesiąt ludzi oczekujących na wyrok. Na pierwszej ścianie od wejścia w prawo były drzwi do gabinetu sędziego i ni coraz jeden człowiek już wychodził osądzony, którego zaraz zabrał ten co nas przyprowadził i gdzieś poprowadził.

Z Ciborowskim siedział jego szwagier i jeszcze dwóch Łomżyniaków, razem czterech z Łomży - Romański i Strykowski obaj elektrotechnicy. Rozmawiamy kto z kim siedział i w jakiej celi. Bardzo dużo siedzieli z samej Łomży i z powiatu łomżyńskiego.

Gdy tak rozmawiamy przyszedł ten co odprowadził tego już osądzonego, poszedł do gabinetu sędziego. Wychodzi z kartką i czyta głośno Pieńkowski Aleksander, zerwałem się i odzywam - jest a po-batku mówię: Mateuszewicz - chadzij, idę drzwi otworzył, wszedłem, jak mnie buchnie zapach kolońskiej wody, chyba cały ten gabinet zlał tą wodą kolońską. Najprzód jak każdego wyższego urzędnika trzeba pozdrowić, powiedziałem zdrastwujcie grażdanin sędzia, odpowiedział strastwuj. Siedział na fotelu wysokim z oparciem miękkim, za takim większym biurkiem, przed biurkiem stało krzesło, powiedział siadaj.

Usiadłem patrzę a na biurku leży dość duża paczka szpagatem na krzyż przewiązana i po rogach duże lakowe pieczęcie i jedna była na środku a pod nią jest złożona kartka wielkości naszego dowodu osobistego koloru ciemnoróżowego. Pyta się mnie jak zwać, odpowiadam Pieńkowski Aleksander syn Mateusza a pseudonim, na biurku leży kartka papieru, on na nią spojrzął i mówi poczem ty nie zeznała a ja odpowiadam bo ja niczego nie znaju i niczego nie działał, to co mogłem powiedzieć. A on mówi niet czterech śledowaceli cię badało a ty ani jednego słowa nie powiedział prawdy, ty dumał, że ci tak lekko pójdzie i prawą rękę unioś do góry i zakręcił nią i mówi - no nie pójdzie ci tak lekko jak ty dumał i czyta mi głośno, że zaocznym wyrokiem w Moskwie sowieswężejnaja trójka osudziła ciebia na osiem lat łagrów w archangielskich lasach.

Mnie straszili, że ubiją tylko sobie dół wykopię a w więzieniu w Mińsku naczelnik więzienia powiedział, że ja zgniję w więzieniu. Gdy usłyszałem, że tylko 8 lat będę pracował w archangielskich lasach lekko się uśmiechnąłem a on mnie się pyta czewo ty się śmiejesz a ja jemu mówię - grażdanin sędzia ja dumaję, że ja u was 8 lat nie budu siedzieć a on tak się bystro na mnie patrzy i pyta się mnie a skolko ty dumajesz u nas siedzieć, ja mu mówię dwa goda bolsze niet.

Jak on się zerwie na nogi, jak grzmotnie pięścią w biurko z całej siły i krzyknął ty bandyt z podpólnej organizacji, ty udumał sobie dwa goda i macha ręką nie dwa i nie 8 a jak budziesz żyć to apiać 8 i apiać 8 i twoja mogiła to będzie w archangielskich lasach pod jodku, pomnisz moje słowa.

I złapał arkusz papieru, rozdarł na połowę i pisze tam coś, gdy napisał złożył dwa razy i wsadził pod środkową pieczęć moich zeznań ze śledztwa. I mówi uniesionym głosem - ot te Polaki, kakaj to naród, pouczył 8 let i śmiejętsa, drugiej pouczy 15 let i toże śmiejętsa a jeszcze inny dostanie 25 let i toże śmiejętsa, czto to za naród., to ja jeszcze nie widział takich. Pyta się mnie czy podpiszę wyrok, mówię podpiszę. Na tej drugiej połowie papieru co udarł zaczął pisać, nie wiem co. Na tym biurku stała karafka z wodą i szklanka, jak gruchnął pięścią w stół, to ta szklanka brzęknęła, myślałam, że pospadają ale nie pospadały tylko brzęknęły.

On pisze a mnie ciarki po plecach chodzą, po co ja to powiedziałem ale już przepadło, już się nie wróci, przepadło. Napisał przekręcił do mnie i mówi podpisuj, podpisałem. Popatrzył na mnie i jeszcze raz powiedział ot bandyt 2 goda sobie udumał. Potem zadzwonił, wszedł bojec, wyprowadził mnie na poczekalnię i zatrzymał mnie a poprowadził Ciborowskiego. Nie długo tam był, wychodzi, śmieje się i mówi 8-m lat dostałem, ja mówię i ja 8 lat dostałem a Ciborowski mówi niczewo, może tyle nie będziemy siedzieć i nic sobie z tego nie robi, jakby się nic nie stało.

Na poczekalni było już po wyrokach kilkunastu, ten co przyprowadził wyczytał znowu jednego i zaprowadził do sędziego. Ustawił nas w dwójki i poprowadził nas do celi nr 43.

Cela była pusta ale znać było, że dopiero wczoraj tę celę lokatorzy opuścili. Pewnie ich już na roboty do łagrów wywieźli. Ale już w tej celi dostalim rano chleba sto gramów więcej, to znaczy, że otrzymywać będziemy 700 gram a dotychczas dawali tylko 600 gr. obiady też trochę gęściejsze, widać, że chcą nas trochę odżywić i wywieźć do łagrów na robotę.

2-go marca przeprowadzili nas do tej samej poczekalni, w której nocowaliśmy jak nas przywieźli do Mińska. Była tak samo zasrana aż grubo jak 10 miesięcy temu. Tu już było ze 30 w tej celi i znowu kilku znajomych. Był zięć Michałowski Fr. Kucharski i braciszek od kapucynów Małachowski i szwagier Ciborowskiego Czarnowski.

Widząc, że z tej celi już nas wywiozą, jedni niektórzy zaczęli się upominać o kożuchy, to o palta, które im pozabierali jak posadzili ich do więzienia. Ale za to, że się upominali i głośno się kłócili wybrali ich i musieli tę salę wyczyścić z tego łajna i potem wymyć, przy tym myciu kilku wymiotowało a że był mróz to kto był najliczej ubrany to dostał jakiś mundurek, chyba jeszcze z carskich urzędników, najgorsze łachy i porwane.

Przed wieczorem ustawili nas w czwórki, wyliczyli, każdy się odezwał i dokładnie po kolei nas zrewidowali. Po rewizji przyjechały dwa samochody, kryte ciężarówkami i do nich nas wegnali i przywieźli na stację kolejową. Tu wegnali nas do wagonów towarowych a już takich wagonów stało 3, też z ludźmi.

W wagonach było ciemno i zimno, każdy drżał, potem nas dołączyli do innych wagonów, bo słyhać było zderzenie wagonu o drugi wagon. A potem znowu było zderzenie i słyhać było gwizd lokomotywy i podjechał parę minut i pociąg się zatrzymał i znowu było zderzenie wagonów z tyłu, a tych bojców było chyba ze 30. Było słyhać rozmowy, rozkazy i za jakąś godzinę znowu lokomotywa



gwizdnęła i pojechalim nie wiadomo gdzie.

W nocy pociąg się zatrzymał w jakimś dużym mieście. Po jednym wagonie rozgruzoli nas i gnali przez miasto, dopatryliśmy na tablicy napis Moskwa. Gnali nas może z godzinę. Zatrzymali nas przed bramą koło jakiegoś gmachu omurowanego chyba 4-ro metrowym murem. Przy bramie stał bojec z karabinem na warcie. Z naszych stróżów jakiś starszy pewnie komendant konwoju zagadał do niego, ten zadzwonił i zaraz przyszło dwóch z więzienia. Nasz komendant dał mu papiery, ten popatrzył w nie i bramę otworzyli i dwójkami wchodzili a ten z papierem w rękę liczył.

Po przeliczeniu podeszlim do ogromnego więzienia, drzwi otwarli i wprowadzili na korytarz bardzo widny, światło elektryczne aż w oczy raziło. Korytarz był długi i szeroki, tam kazali siadać. Gdyśmy usiedli, po dwóch wstawali i ich rewidowali, po zrewidowaniu odprowadzali na przód i znowu musieli siadać a następnych dwóch znowu rewidowali aż wszystkich już zrewidowali.

Kto tam miał jeszcze haftki albo guzy blaszane, to wszystko co było metalowe to nożem obrzynali a potem wprowadzili wszystkich do jednej dużej celi. Rano przynieśli chleb po 700 gram i kawę i cukier po pudełku od zapalek, na cały dzień.

Na sali były prycze piętrowe, jedni pokładli się niżej a drudzy nad nimi wyżej. Była tam różna zbieranina. Dużo było ruskich złodziei, bandytów i politycznych ale najwięcej było Polaków.

Kucharski przed odjazdem też musiał myć podłogę jeszcze w Mińsku. Od smrodu zemdłał i czuł się niezdrowo, na wymioty go zrywało, jadł mało, co zjadł to go mdliło, zupy wcale nie jadł, tylko pił herbatę i chleb.

Na obiad dali nam dość dobrze - makaron z oliwą dobrze okraszony aż po wierzchu był żółty. Po śniadaniu drugiego dnia wszystkich pognali do łaźni, tam najprzód fryzjerzy obcięli nam włosy i tymi samymi maszynkami nas ogolili, potem poszlim pod prysznic. Po wymyciu gdy się ubralim rewizja znowu, gdzie tylko się rusz to rewizja i rewizja. W Łomży 3 razy mnie rewidowali, w Mińsku też 3 razy a teraz w Moskwie raz to już 7 razy.

Gdy wróciłem z łaźni zaraz dali obiad. Była kasza kukurydziana, w niej małe rybki, dawniej to nazywali je stynki. Dość dobry był ten obiad bo walenie gęsty, nad wieczorem znowu wpuścili około 20 aresztowanych, byli to Kazachy, Uzbegy i 2 Tatarów. Wszyscy zaczęli rozmawiać, zrobił się harmider, istne piekło. Po kolacji powierka, ustawiać się w dwójki, potem z listy wyczytywał i każdy się odzywał a potem liczył czy wszyscy są w celi. Już było po wszystkim, kładlim się na gołe deski do spania, światło świeciło całą noc, tak jak w Mińsku.

Czwartego dnia gonią wszystkich na prególkę, na spacer w okólniku. Po półgodzinnym spacerze, po śniegu powrót do celi. Dziesiątego dnia w Moskwie znowu gonią nas do łaźni, zimno, mróz około 30 stopni ale nie ma gadania, musowo iść. Tylko weszlim zaraz rewizja. Jakiś kapitan rewiduje i porucznik i jeszcze jakiś bojec. Ja miałem jeszcze różaniec z chleba i szczoteczkę do zębów i to ten kapitan mi zabrał. Prosiłem go żeby mi oddał różaniec ale wcale mi nie odpowiedział i poszedł drugiego rewidować. Tak mi żal tego różańca, taki śliczny był, zrobiony przez jednego rzeźbiarza z Wilna. Miałem jeszcze 20 papierosów, to mu oddałem i swój cukier - jedną porcję pudełko od zapalek i ten drań mi go zabrał.

Na drugi dzień rano jak zwykle przynieśli chleb, kawę i cukier, w południe przynieśli obiad, wieczorem kolację a po kolacji drzwi dyżurny otworzył i powiada stawać wszyscy w trójrzędzie. Gdy się ustawilim powiedział pajdziom za mną. Na korytarzu stał bojec z karabinem na ramieniu i szedł za nami.

Poprowadzili nas na inny korytarz, tam w trójkach zatrzymali nas. Przy końcu tego korytarza stał stolik przy którym siedziało 3-ch urzędników a na ziemi leżała gromada łachów - stare buszłaki dłuższe od fufajek i watowane portki. Po kolei z listy wyczytywali nazwiska i ten podchodził do stolika i oni oglądali jak jest ubrany. Jak miał tylko na sobie ubranie letnie to mu dawali fufajkę albo buszłak trochę dłuższy i tak po kolei, temu fufajkę, drugiemu portki. Gdy mnie wyczytali podchodzę, skłoniłem się. Ja miałem ubranie tylko letnie, jeden powiada nada mu dać buszłak, ja zaraz go ubrałem, wróciłem na swoje miejsce, chcę się pozapinać ale był tylko jeden guz u góry pod brodą. Zapiąłem się i patrzę więcej guzów nie ma ale kieszenie są. Wsadzam do nich ręce, jedna jest pusta a w drugiej jest sznurek taki trochę grubszy. Zaraz się domyśliłem, że to do opasania zamiast guzów, zaraz się nim opasałem i myślę żeby mi dali i portki, to by dobrze było, ciepło po nogach.

Zwierzam się z tym zamiarem do obocznika, że ja chcę iść, żeby mi dali waciaki a jeden powiada idź to dostaniesz kolbę w plecy a nie portki i drugi też nie radzi iść, bo o parę metrów stoi bojec z karabinem. Ale myślę sobie pójdę może mnie nie uderzy, bo będę szedł prędko i wychodzę szybkim krokiem, idę do stolika a bojec krzyczy wróć, wróć i karabin złapał w obie ręce i chciał mnie uderzyć.

Ale jeden z tych urzędników krzyknął na niego nie troguj jego a już był ode mnie tylko może trzy metry, zaraz się zatrzymał i karabin opuścił do jednej ręki a ja dopadam do nich i mówię grażdaniny dajcie mi bruki, bo ja zmarznę a ja budu wam charaszo rabotać. Uśmiechnęli się i jeden sięgnął z tyłu za portki i dał mi je.

Przychodzę na swoje miejsce z portkami w rękę i powiedziałem spasiba wam a jeden mówi aleś pan odważny, ja bym tam do nich nie poszedł a ja mówię ja tak zaryzykowałem i dobrze mi to wyszło.

Gdy już wszystkich obejrzel, temu dali, temu nie dali i z powrotem przyprowadzili nas do celi. Ja teraz oglądam swoje ubranie com dostał. Na plecach był inny materiał, na przodzie był znowu inny materiał i już łatany, łaty znowu były inne, widniejsze, wyglądałem jak dzieciół a zapomniałem, że każdy co otrzymał, to musiał podpisać a ja aż dwa razy podpisywałem.

Portki były niezłe, tylko u jednej nogawki na kolanie była dziura ale kawałek jeszcze wisiał, tak, że łatwo go przyszyłem i było względnie ciepło. Przypomniał mi się z Krzewa Kalski, on miał podobne ubranie, jak dzieciół pstre i zawsze w nim chodził. Ale potem okazało się, że to było wartościowe ubranie.

W celi leżałem na górnej pryczy pomiędzy dwoma ruskimi. Jeden był ślusarzem. Wypytywał się mnie ile w Polsce taki ślusarz zarabiał i ile inni rzemieślnicy zarabiali i ile zwykły robotnik. Ja mu powiedziałem, to on znowu się wypytywał co on mógł za to kupić. Nie chciał w to wierzyć. Wypytywał się innych ale mu to samo mówili. I on powiada to u was było charoszo żyć.

Z boku słuchał tej rozmowy jeden Białorusin, podchodzi do mnie i mówi, że nie prawda, wszystkim nie było dobrze, tylko jednostkom to było dobrze. Słyszac co ten Białorusin mówi, że robotnik ledwie na chleb mógł zarobić w Polsce podchodzi do niego ślusarz i jemu mówi - ty jesteś swołocz niezadowolony, ja pytałem się tu kilku i wszyscy mówią to samo, że było dobrze, każdy mógł kupić i kielbasy i sała i chleba wsio. Ty zobaczysz jak u nas jest charoszo, będziesz rabotać ale sała to nawet nie zobaczysz. Potem ten Białorusin w łagrach zmarł z tej sowieckiej dobroci jaką go obdarzyli.

Po umundurowaniu na drugi dzień już późnym wieczorem zbiórka z wieszczami na korytarzu w trójkach. Tu nam objaśnili, że gdyby który próbował uciec to zaraz go zabiją ale my to sami wiedzieli, że ucieczka jest niemożliwa.

Odczytał z listy wszystkich, zesłaliśmy po schodach na dół i na plac przed więzieniem stało bojców może z 10-ciu. Otoczyli nas i idziemy, nie wiemy gdzie. Przegnali nas na stację kolejową, tu znowu wyczytują i po 50-ciu przydzielają do towarowych wagonów okratowanych małymi oknami z jedną małą szybką z jednego boku. Na środku wagonu stał żelazny piecyk a po obu bokach były podwójne nary. Prowiant nam dali na 3 dni, chleba po 700 gram, cukru trzy pudełka i drobne słone rybki. Było jedno wiadro do wody i jeden blaszany kibel do załatwiania się i dwa kubki gliniane do picia wody.

12 marca ruszyliśmy koleją na północ, w wagonie było ciasno i zimno, bo chociaż był piecyk ale nie dalim drzewa to nie palim. A mróz był przeszło 30 stopni. W nocy gdzie pociąg zatrzymywał się to takimi bosakami stukali w wagony i z boków i od spodu i z wierzchu, to nie wiem dlaczego, czy żeby nam spać nie dać, czy może obawiali się, że wrogowie narodu nie zrobiły jakiejś dziury do ucieczki. W nocy przychodzili we trzech od wagonu do wagonu i jeden z psem stał przy drzwiach a we dwóch przeganił nas z jednej połowy do drugiej i liczyli i kilka razy się mylili tak, że 4 razy przeganił ale chyba żeby się rozgrzać, żeby który nie zamarł. Tak dojechalim do miasta Kottłasu. Tam też było wielkie więzienie. Doczepili parę wagonów do naszego pociągu i przygnali jeszcze część i do każdego wagonu dosadzali po kilkunastu, do naszego wagonu wsadzili 20 samych Łotyszy. Zrobiło się jeszcze ciaśniej w wagonie.

Łotysze trzymali się kupy razem. Byli ubrani ciepło w paltach, w futrach, w burkach, swetrach, bielizna też ciepła. Na tydzień przed wyjazdem z więzień łotewskich dali im widzenie z rodzinami, to przeważnie poprzyjeżdżały ich żony i przywoziły każda swojemu ciepłe ubranie, no i wałówkę - masło, sery, słoninę wędzoną, chleb palenie tytoniu papierosów, jednym słowem wszystkiego co potrzeba było.

Była to sama inteligencja - inżynierowie, urzędnicy, trzech doktorów i inni. Odnosili się do nas a my do nich przychylnie. Oddawali nam chleb, który otrzymali, bo mieli jeszcze swój. Ale na drugą noc jeden z nich mówi, że mu masło zginęło ale nie wiadomo kto mu wziął. Było w tym wagonie 15 Polaków, no i 20 Łotyszów a reszta to wszystko Ruskie ze wszystkich republik, przeważnie złodzieje i chuligani, mało co uczciwych ludzi. Drugiej nocy znowu innemu zginęło masło i tytoń ale znowu nie wiadomo kto wziął.

Po drodze do Kottłasu były miasta i sowchozy, bo co parę godzin to się pociąg zatrzymywał. Podawali nam wodę do picia i po tych rybkach słonych to strasznie się pić chciało. Nieraz to trzeba było ładne parę godzin czekać i bębnić do drzwi. Ale od Kottłasu to już rzadko się pociąg zatrzymywał, ciągnął się tylko las tundry błotnistej, bagna i większe mrozy. Na jednej stacji gdy pociąg się zatrzymał odsunęli jedną połowę drzwi i bojec krzyknął jeden z wiadrem po wodę, drugi bojec stał przy drzwiach i trzymał psa wilka na smyczy. Była to stacja w lesie. Patrzymy kobiety w fufajkach i w spódnicach watowych po cięższych kłocach grube kłocę kulają na wagony, krzyk, gwar jedna drugą pogania żeby mocno razem pchać. Była może 12 godzina w nocy. Patrę na to i myślę mój Boże żeby to nasze kobiety zobaczyły bo żeby im o tym powiedzieć nie uwierzyłyby, żeby w nocy w taki mróz i zawieję kobiety mogły pracować.



U nas o 12-iej w nocy, to kobiety przewracają się na łóżku na drugi bok do spania. Od nich w prawo, jakieś 15-cie metrów na dwóch żelaznych słupkach złożony był żelazny drążek a na nim wisiało chyba 7 czy 8 kotłów i coś się tam w nich gotowało. Pod nimi duży ogień się palił aż pękało co chwilę i dym i popiół unosił się do góry. Popiół poleciał do góry, ten żar opadał z powrotem do dołu i duża jego część wpadała do kotła co w nich gotowano a czarna smuga dymu unosiła się i ginęła w powietrzu nad lasem.

Już drugą noc zaczęli bojce dwa razy w nocy, robili chyba dla rozgrzewki, przeganiali nas na jeden bok a później z powrotem na drugą stronę i jeden liczył a dwóch przeganiało i bili kijami kto się opóźniał i kopali nogami i myślę, że to dla rozruszenia i dla rozgrzania, nieraz 3 i 4 razy tego przeganiaania było.

Zaczeliśmy ich prosić żeby nam pozwolili przynieść drzewa, którego pełno było na każdej stacji a żeby my mogli sobie wody zagotować do picia. Jakoś się zgodzili ale po drzewo tylko jeden mógł wyjść z wagonu. Poszedł jeden z naszych, zwinął się, sporo podał tego drzewa. Łotysze mieli zapalki, rozpalili ogień, postawili na piecyku kubki z wodą, nie czekając aż się zagotuje tylko aby była gorąca, żeby się rozgrzać. Jedni już się trochę napili a już drudzy stoją i zabierają kubki i sobie grzeją i tak na zmianę ale dla wszystkich nie starczyło. Przekinali ale już kubki wzięli i na drugą stację przyjadą, to wody przyniosą sobie i grzeją.

Pociąg ruszył, jedziem dalej na północ. Po paru godzinach jazdy pociąg się zatrzymał, zaczęliśmy bębnić o wodę, odsunęli trochę aby jeden człowiek mógł wyjść z wiadrem i przynieść wody. Gdy przyniósł zaraz ci co trzymali kubki ponabierali, ogień się palił, postawili na piecyk, grzeją i piją. Gdy tylko wypili zaraz następna kolejka kubki zabierała i znowu sobie grzali i pili. Pociąg stał parę godzin, przynieśli drugie wiadro wody i drzewa przynieśli, palimy żeby było cieplej, bo czym dalej na północ to większe mrozy.

Lokomotywę odpięli i dołączyli jeden wagon, który stał na innym torze. Jak go dołączyli do naszego transportu, jak stuknął w wagony to ile kubków było na piecyku to wszystkie spadły i kilka się potłukło a my jedziem dalej. Drzelim z zimna żeby nas nie ganiłi dwa razy w nocy po parę razy z jednej strony na drugą i co tylko tchu, bo bili i kopali nogami, ci którzy się spóźniali to zawsze dostali.

Przejechaliśmy szerokie pasmo gór Uralu i jakieś 500-set kilometrów za Kottasem dojechaliśmy do rzeki Peczory, była bardzo szeroka i głęboka jak nasza Wisła pod Warszawą. Statki parowe po niej pływały, kolej już dalej nie szła bo nie było mostu. Tu wysiedlim i ze 140-tu nas odłączyli i szlim w górę rzeki Peczory. Śnieg był do pasa ale dróżka była przeddeptana. Ta stacja co na niej wysiedlim nazywała się Kożwa miasto nowobudowane, powiatowe.

Widać już prowadzali innych tą dróżką. Szliśmy lasem, gdy doszlim do polany nie zalesionej stały 2 domy i jakaś szopa. Przed domem stała gromadka ludzi - mężczyźni, kobiety i dzieci, przyglądali się nam a bojec szedł jeden z przodu a drugi z tyłu. Jak ten krzyknie na nich - uchadzicie damoj, nie nada smotryć, to oni jeszcze stali, to bojec zdjął karabin z ramienia i do nich z karabinem obrócił, w ten czas oni wszyscy poszli do domu ale nie bardzo się spieszyli. Mężczyźni byli z przodu a kobiety i dzieci z boku i z tyłu, to nie mogłem się dobrze im przyjrzeć. Tylko pamiętam, że mężczyźni mieli nosy cienkie, różowe jak u nas 15-letnie chłopaki i byli wysocy ale szczupli, kobietom nie miałem czasu się przyjrzeć. Mówili nasi, że to są Eskimosi.

Szlim do samego wieczora, nogi bolały, bo w wagonach nikt butów nie zdejmował a teraz cały dzień pieszo i to sporo, bo bojcy poganiłi skarej i skarej a niektórzy już wcale pomdleli, ledwie nogi stawiali.

Już zaczęło się ściemniać, doszliśmy do jakiegoś kołchozu i tu mamy przenocować a jutro mamy iść dalej. Było tu dużo Polaków i był z Rakowa Boginie sołtys Nowacki St. On był tego samego dnia aresztowany co i ja i nasz gminny komendant z Polskiej Org. Podziemnej porucznik rezerwy Malinowski Fran. też z Rakowa Bog.. Razem jechaliśmy z więzienia z Łomży do więzienia w Mińsku ale tam nas rozłączyli i on nic o Malinowskim nie wiedział co się z nim stało.

Nowacki podał się jako cieśla, chodził przy budowie z calówką i mierzył gdzie trzeba było urzynał toporkiem, znaczył i tylko z okrągłaków stawiali stolec a potem zamiast dachu dużą plandeką okrywali i na boki osypywali go śniegiem. Była to robota na prędkiego, w środku zamiast desek to prycze były z cienkich okrągłaków jeszcze z sękami a pod tymi pryczami było zdeptanego śniegu ze 30 cm, żadnego piecyka do ogrzewania też nie było.

Położyłem się do spania obok z Nowackim na tych okrągłakach, to z tej strony cię sęk prze to trochę przesunę się to znowu z drugiego okrągłaka drugi sęk cię prze a zimno niech Pan Bóg broni.

Nowacki powiada mi ja pogadam z brygadierem to pan tu ze mną zostanie w tym kołchozie. Ucieszyłem się zawsze to ze znajomym też partyzantem będzie raźniej nam. Rano pobudka, wstawać. Tylko wstalim już oba bojce co nas prowadzą stoją i jeden trzyma listę i wyczytuje i znowu stawiają się w dwójki. Wyczytali i mnie i musiałem razem dołączyć. Nowacki stoi i patrzy się, że już razem stoję do marszu. Nowacki mówi ja będę się starał żeby pana tu przydzielili, mówię dobrze

staraj się i z daleka tylko sobie powiedzieli do widzenia, zostań z Bogiem.

Bez żadnego posiłku gonią nas lasem tą samą ścieżką. Po 5-ciu godzinach marszu znowu zbliżamy się do rzeki Peczory. Rzekę mamy na lewo a państwowy sowchoz na prawo. Ogródzony był 5-cio metrowymi drągami i wyżej jeszcze z 15 kolczastych drutów a po rogach tego ogrodzenia pobudowane budki dla strzelców. Te budki były bardzo wysokie tak, że wartownik widział co się dzieje z jego strony. Przeważnie czy jakiś wariat nie ucieka z tego sowchozu, bo ucieczka była niemożliwa.

Przy bramie był pobudowany budynek wartownia. Tu mieści się z 50-ciu bojców i komendant starszy jakiś oficer. Było aż trzech komendantów. Głównym komendantem całego sowchozu był Łotysz kapitan, drugim to był naczelnik cywilny - dziedzic zabrali mu majątek jego własny a tu był całym gospodarzem. Potem porucznik NKWD. Agronomem była Żydówka nazywała się Gitka Ropenberg, tak samo miała 10 lat zasądzenia a tu prowadziła ogrodnictwo, inspekta, które były w dołach. Dół był długi 10 m a szeroki 1 1/2 metra a głęboki 1.60 cent. Już w marcu zaczęli siać, chociaż był mróz przeszło 30 stopni. Na dno kładli cały metr końskiego nawozu, który już w długich kopcach się grzał i był aż gorący. Potem też z kopców krytych zabezpieczonych sypali ziemię kompostową i pod koniec marca siali sałatę, ogórki, cebulę i inne warzywa. Po bokach rowów były kładzione grube kłocze z felcem do okien. Na okna kładli po kilka grubych mat słomianych tak, że mróz tam nie mógł się dostać.

W tym sowchozie mieli przeszło 3 tysiące krów, około 200 sztuk koni. Dla bydła siali wykę z owsem na kiszonkę i na polach rosła trawa do pasa. to też z niej robili kiszonkę w takich długich dołach jak na inspektach, tylko były szersze, bo po dwa konie mogły się minąć gdy końmi jeździli po tej trawie czy wyce, żeby ją ugnieść i trochę co warstwa to ją solili. Była tak dobrze zakiszona, że jak ją wozili do obór dla bydła a upadło troszkę, to taki zapach był jak od dobrze zakiszonych ogórków, że człowiek by jadł, żeby tylko ją miał.

Nas zaraz umieścili w baraku drewnianym z grubych okraglaków zbudowanym. W środku były po obu stronach podwójne prycze. Ja układałem się na wyższej pryczy, potem położył się obok mnie Iwanowski Józef z Kresów. Mieszkał niedaleko ruskiej granicy, w okolicach miasta Baranowicze. Był bardzo dobrym towarzyszem. Razem chodziliśmy do lasu drzewo ścinać i metry stawiać. Ja ścinałem kilka kłocy, poobcinałem gałęzie potem poprzecinałem na długość 2 metrów, poukładałem z dłuższymi sękami a śnieg był do pasa. Do frontu układałem wszystkie grubszymi odziemkami a od tyłu podkładałem w poprzek grubsze gałęzie, żeby się cienkie brzegi nie zapadły, żeby było równo jak z przodu tak i z tyłu, 4 1/2 metra, to była norma.

Postawiłem takich 4-ry metr. kupek co wynosiło 8 metrów kwadratowych, co wynosiło 3 1/2 metra ponad plan. Naszym brygadierem był Gruzin, chodził z laską, zaprowadzi nas do lasu, pokaże nam kierunek, objaśni jaka jest norma i zabiera się i idzie a przychodzi już nad wieczorem i zapisuje ile kto metrów postawił i przyprowadzi nas do baraków ale na wieczór każdego dnia siekiery odnosimy do stolarni. Tam nam wytoczą na taczalniku, że zawsze są ostre a drzewo było jakieś miększe od sosny. Oni nazywali kiedra i od tej nazwy nazywał się ten sowchoz Kedrowy Szor.

W tym sowchozie były różne warsztaty - stolarski, ciesielski, ślusarsko-mechaniczny, cegielnia, piekarnia, mleczarnia i razem wyrabiali różne sery i masła.

Przed mleczarnią stały beczki takie jak do śledzi. Budynek był dość duży, to oprócz drzwi wejściowych dokoła był obstawiony beczkami. Do tych beczek wylewali serwatkę, którą poiili konie rano i wieczorem.

Na drugi dzień z brygadierem poszliśmy po siekiery i potem do lasu i znowu nas zaprowadził i poszedł. Przed wieczorem przyszedł wcześniej, zaczęliśmy obaj rozmawiać. On mnie się pyta skąd ja jestem, ja jemu mówię, że z Polski. To on mówi to ty jesteś Polak, mówię, że tak jestem Polakiem. A on mówi, że on czytał i słyszał o naszych sławnych pisarzach i zaczyna mówić nazwiska - Mickiewicz, Sienkiewicz, Prus, Żeromski, Kochanowski, Słowacki i jeszcze mi kilku nazwał i powiada, że ja takim samym pisarzem, tylko za dużo prawdy napisałem i za to osądzili mnie na 10 lat łagrów.

Na trzeci dzień przyniósł mi paczkę machorki, dał mi ją. Ja nie paliłem ale przyjąłem bo tam o palenie papierosów czy machorki to było trudno. Rozdałem ją palącym Polakom, bo okazało się, że tam po różnych barakach w tym sowchozie było aż 320 Polaków i dużo znajomych.

W tym sowchozie razem wszystkich aż 3320 i wszyscy najprzód siedzieli w więzieniach a potem sąd i wysłani do obozów pracy, tylko za liche wyżywienie. Kto wyrabiał jakiś % ponad normę to mu płacili po parę rubli na miesiąc.

Ja pytałem się tego Gruzina czy on mi zapisuje co ja wyrabiam ponad normę a on mówi ja zapisuję dobrze ale to co ty mówisz prawie dwie normy żeby ci zapisał, to zarząd by wszystkim podniósł normę i ciebie by wszyscy przeklinali ale ci napiszę dobrze. Robię w dalszym ciągu prawie te same normy aż do 1-go i wypłacili mi 20 rubli. Liczyłem, że dostanę chociaż 30 rubli. Pytam się ile tu brygadier podał jaki procent a kasjer mówi 110 procent.

Po wypłacie mówię brygadierowi, że za mało % tu mi zapisał i podał do kancelarii a on mówi ja



nie mogłem podać więcej, bo tu nikt więcej nie wyrabia. Po tej rozmowie zacząłem i ja tylko robić 110%. Każdy sobie obok palił ogień i się grzał tak samo i ja więcej się kręciłem przy ogniu niż robiłem. Rękawice dali każdemu brezentowe, zimno w nich było strasznie, to się tylko biło o siebie i grzało przy ogniu ręce.

Naprawdę to mogłem wyrobić całe dwie normy, czułem się w tych mrozach dobrze, byłem silny i odporny na te mrozy. Na mojej wyznaczonej działce był dość gruby kłoc a na nim duże gniazdo. Gdy go ściałem, poobcinałem gałęzie i to gniazdo zostawiłem tak z wiatrem a od niego z boku jakieś 3 metry rozpałem ogień. To gniazdo takie było duże, że ja się w niego kładłem. Nogi były pośrodku a głowa jeszcze na skraju gniazda. Ptaka tego nigdy nie widziałem, widać się przeniósł z daleka od ludzi, od kłoców zrzynanych i huku.

Nadszedł marzec, zaczęła się robota przy inspektach. Dwa dni wyrzucaliśmy śnieg z rowów szerokości 1 1/2 metra a długości 10 metr. Tych rowów było bardzo dużo, głębokie 1 1/2 m śniegu, razem było 1 metr normalnie na wierzchu a 1 1/2 w rowie. To trzeba było cały ten rów wyczyścić, to była norma.

Ja zacząłem wyrzucać ten śnieg do dna wszystkich. Wyrzuciłem połowę i już się spociłem i byłbym nie dał rady go wyczyścić, zemdlałem i odpoczywam stojąc a że tam było może z 60-siąt osób, mężczyzn i kobiet już niektórzy kończą czyszczenie a ja dopiero jestem na połowie. Podeszła jedna kobieta i patrzy się na moją robotę. Rów do połowy jest czysty a druga połowa pełna śniegu. Ona nazywała się Jadwiga Jurkowska i mówi do mnie po polsku, tylko zaciąga akcentem ruskim - niech pan tak czysto do dna nie wyrzuca śniegu, bo pan nie da rady tego rowu wyczyścić, niech zobaczy jak to Ruskie czyszczą. Poszedłem i patrzę a oni może metr 20 wyrzucili a resztę zdeptali nogami i koniec. Wziąłem i ja tak robić i sporo mi tu poszło, bo mniej się wyrzuciło i już było dużo niżej wyrzucać.

Pytam się jej czy ona jest Polka, powiada tak a mieszkałam w Mińsku a za co panią tu wysłali. Ona mówi, że ją inni oskarżyli, że ona źle tam jakąś pracę wykonywała i zasądzi ją na 5 lat w archangielskich lasach pracować i mówiła, że już 3 lata tu odpracowała a jeszcze dwa musi odpracować.

Ja jej powiedziałem, że w Polsce kobiety w lasach nie rąbią i pytam się jej czy ona chciałaby do Polski wyjechać a ona mówi, że chciałaby ale rząd ich nie wypuści, nikogo. W tym sowchozie jak już wspominałem było 300 kobiet, przeważnie wywoziły drzewo do stacji kolejowej końmi.

Gdy już wszystkie rowy zostały odśnieżone około stu samych mężczyzn do roboty przy inspektach. Mieli tam koński gnój w takich długich kopcach 1 1/2 metry wysokich. Ten nawóz na drewnianych wózkach i po drewnianych szynach wozili do tych rowów. Kładli ten koński nawóz około 1 metra wysoko, potem wozili ziemię próchniczną i jak już się ziemia zagrzała to sieli sałatę, rzodkiewkę, ogórki, buraki i inne frukta.

Po rozwiezieniu nawozu rozpałem ogniska Ruscy oddzielnie a my Polacy oddzielnie ale przy naszym ognisku to grzali się Łotysze, Litwaki, Żydzi i Polacy. Najprzód paliłem drzewem cienkim a potem widzieliśmy jak Ruskie połamali jedno przesło szyn drewnianych i palą to i my to samo zrobiłem. gdy się ostatnie drewno dopalało i leżała jeszcze jedna szyna z daleka, ja zwróciłem się do grubego Żyda z Łotwy, podobno był osądzony za handel walutą. Ja do niego mówię idź przynieś tę szynę na ogień bo już się dopala a on tak ostro odpowiedział to idź ty i przynieś co ty mnie nakazujesz, po rusku umiał czysto mówić. Mnie to trochę zgrywało, bo do ognia to pchał się jak najbliżej, odepchnąłem go od ognia i mówię won przeklęty grubasie.

Jak on do mnie wykręci się z zębami - co ty myślisz, że tak jak w Polsce, co Żydom przewracali stragany, bili Żydów w tej przeklętej Polsce, dokuczali Żydom i szczeka na całe gardło na Polaków i na Polskę. Ja drzę ze złości ale o jakieś 15 metrów od nas stoi bojec z karabinem, obejrzałem się na niego, bo on słuchał i patrzył się na nas i on mi pokazał ręką pięść złożoną i dwa razy od siebie i do siebie. Ja już tylko na to czekałem. Jak złapię go obiema rękami za gardziel, powaliłem go na ziemię i skoczyłem mu na brzuch, okraczyłem nogami i od razu walę go po mordzie, uwijam się. On też rękami zaczął mnie zwalać z siebie a ja walę, nareszcie on krzyczy przeraźliwym głosem stręlok ratuj mnie, bo on mnie zabije a przy drugim ognisku stali wszyscy Ruscy co razem robili, śmieją się i krzyczą - bij jećcio, dawaj mu charaszo ale słyszę głos stręłka - dawolna, dawolna, więc dowalim mu jeszcze dwa razy i wstałem z niego.

On też wstał, chusteczką się ociera i dyszy mocno, nareszcie mówi, że on mnie z boku złapał i przewrócił, bo z przodu to ja bym się nie dał przewrócić. A był tam jeszcze jeden Żyd, taki bezwyznaniowy, nazywał się Zonenszajn, więc on do niego mówi ty zamknij gębę, bo on ci jeszcze z przodu poprawi. A ci wszyscy Ruscy mówią - wot Polaczok jak on temu grubasowi dawał i śmieli się wszyscy zadowoleni z tego mojego wyczynu. Ja jeszcze drżałem zdenerwowany i zmęczony, bo się uwijałem i z całej siły biłem a on na szczęście głowę przekręcił na bok i ja go nie pokrwałem, bo to byłoby gorzej dla mnie a nawet dla stręłka, że on do tego dopuścił.

Potem podszedł do mnie zakluczony kapitan NKWD, za co on był sądzony nie powiedział a ja go się nie pytałem. On zaczął się mnie pytać ile w Polsce zarabiał robotnik, ja jemu mówię, że zależy od jakiej roboty - od dwóch złotych do pięciu, co on mógł za to kupić. Ja jak temu ślusarzowi opowiadałem tak i temu kapitanowi mówię - pół kilo kielbasy, 1 kg chleba, pół kg cukru, 20 papierosów, to go razem kosztowało 2 złote a jak zarobił 5 zł, to mógł sobie jeszcze 1/4 litra wódki i drugie tyle wszystkiego co powiedziałem wprzód.

On podumał i powiedział wrosz to znaczy kłamiesz, to nie może być. To jemu mówię, że powiedziałem prawdę, to on się pyta jaką on robotę robił za 5 zł., to ja mówię - za koszenie trawy albo zboża.

To on się znowu pyta a ile zarabiał rzemieślnik, to jemu mówię, że od 5-ciu do 7-miu złotych, to on a ile zarabiał urzędnik miesięcznie - od stu do 200 zł a oficer taki jak ja kapitan, ja mówię 400 zł a czy u was można było kupić tyle ile chciał, ja mówię, że kielbasy, chleba i wszystkiego ile chciał tyle kupił, to on znowu mówi to nie może być, ty kłamiesz, ja jemu mówię żeby się zapytał innych. Pytał się kilku i każdy mu to samo mówił.

Od tego dnia abym wyszli z baraków na jakąkolwiek robotę, to ten kapitan nazywał się Iwan Bykow zawsze mnie wołał - Pieńkowski chadzij somnoj budziem rabotać razem. On do roboty też był dobry a robotą dopasował się do mnie. Każda robota szła nam dobrze a roboty były różne. Rzeką Peczorą statki parowe przywoziły mąkę, sól, kaszę i inne materiały do budowy, do warsztatów różne narzędzia. To my chodziliśmy z tych statków wygruzać, obok były magazyny, takie szopy i my do tych magazynów wszystko znosiłem. Czasem się rozdarł worek z mąką, to się tej mąki z garstką zjadło na sucho i to po kryjomu, żeby nie widział brygadier.

Po takiej robocie, gdy już zbiórka, po dwóch w szeregach mielim odchodzić, to zawsze była rewizja czy czasami któryś z robotników czegoś nie niesie w kieszeni. Za byle co zaraz wsadzali do izolatora. Na przykład za dwa kartofle kto jak sadził i wziął do kieszeni to dostał miesiąc izolatora. Izolator był trochę oddalony i ogrodzony jeszcze raz 5-cio metrowymi drągami i na wierzchu druty kolczaste i tylko bramka do wejścia szerokości około 1-go metra. Budynek to był postawiony tylko sztolec na słupach, po bokach i w środku były słupy wyższe żeby był spad, do niego wchodziło się po 5-ciu schodach w dół, pokryty był tylko plandeką, boki były obwalone śniegiem, tak samo i na wierzchu było śniegu ponad 1 metr. Na środku stała beczka od nafty z wyciętą dziurą i dorobionymi drzwiczkami ale palić tam nie było pozwolenia.

Siedziałem tam, w tym izolatorze dwa miesiące ale opiszę później za co. Mróz był coraz większy, przeszło 40 stopni. Do 38 stopni to jeszcze wszystkich gnali do pracy ale gdy już był mróz 39 to już do pracy nie chodzili.

Jednego dnia zarządzili zbiórkę na placu przed niedużym barakiem stalim w długiej kolejce i po kolei oglądali jak kto miał tylko letnie ubranie to mu dawali waciaki, takie fufajki albo buszłaki trochę dłuższe i bruki, czyli portki watowe. Ja dowiedziałem się o tym, że będą nam dawać takie ubranie. Wyszedłem bez swojego buszłaka, tylko w swojej letniej marynarce i w cienkich spodniach a kolejka była jeszcze długa. Drżałem cały, mróz był przeszło 40 stopni ale nie stałem tylko wciąż brykałem bez przerwy, bo inaczej bym był zmarł na dobre, może nawet na śmierć.

Gdy już przyszedłem do stolika zgarbiłem się, ramionami ruszam, głową kręcę. Oni popatrzyli na mnie i dali mi nowy buszłak i nowe portki watowe. Gdy tylko podpisałem na liście co otrzymałem, zaraz co tchu biegiem pobiegłem do swego baraku, ubrałem się w nowe ubranie, jedno na drugie i znowu zacząłem brykać, może ze dwie godziny aż się rozgrzałem.

Po namyśle poszedłem jeszcze raz do tych co wydawali i proszę ich żeby mi dali czapkę z odginanymi klapami na uszy i kamasze, bo buty, które mam na nogach są za małe. Czapkę dali od razu a buty mówią masz dobre, to chodź w nich. Ja mówię, że one są za małe i w nich mnie jest zimno i bolą mnie nogi. Podszedł jeden obszczupał i powiedział da małe są nada mu dać i dali. Moje szczęście, że kolejka się już kończyła a jeszcze im trochę zostało. Zadowolony byłem ogromnie, chociaż się wymarzałem ale ubrałem się we wszystko nowe.

Gdy kładłem się spać stary buszłak sobie podściewałem pod siebie, buty z cholewami wsadzałem w nogawki starych waciaków i kładłem je pod głowę. Po dziesięciu miesiącach spałem już nie na gołych deskach jak w więzieniu i tu na gołych drągach jeszcze i z sękami.. Nogi okrywałem zagiętymi połami od buszłaka co na nim spałem i jeszcze kładłem na nich marynarkę swoją z nowym buszłakiem i drugą marynarką okrywałem siebie i spałem jak pan hrabia bardzo dobrze.

Na drugi dzień po umundurowaniu barakami dyżurny prowadzi na komisję lekarską, która składa się z trzech lekarzy i każdego dokładnie badają. Z Ruskich jeden mówi po cichu, że wybierają na transport, który pójdzie pieszo około 400 km na Workutę, do kopalni węgla. Za rzeką Peczorą to już kolej tam nie idzie, tylko tam zaopatrzenie dostarczają po lodzie. Mrozy tam są jeszcze większe niż tu, nic tam nie rośnie tylko brzoźki skręcone w takie kółka i najwyższe urosnie półtora metra.

A w kopalni są straszne warunki, pokład węgla ma grubości niecały metr, trzeba go na kolanach



wykuwać i wybierać stamtąd, mało kto wraca. Pod kolanami jest woda, straszne są tam warunki, nie do wytrzymania.

Ten sam Ruski po cichu powiedział, tylko żeby go nie wydać, że on to mówił, że jak gnali na Workutę 1000 ludzi a wypadł mróz około 50 stopni i jednocześnie straszny huragan, co tam rzadko się zdarza, to było już w połowie drogi, to z tych 1000 osób doszła ledwie połowa a ze stu 50-ciu strzelków też zmarzło 80-ciu, co oni mieli kozuchy.

Gdy to usłyszałem ciarki mnie przeszły, trzeba się jakoś ratować żeby nie iść. A jak już pierwej wspominałem, że mam w prawej pasze nie narośl, jakby na połowę większe jajko rozkroił i połowę jedną przyłożył, takiej wielkości była ta narośl. U nas doktorzy powiedzieli, że jest to tak zwany tłuszczak, to po uderzeniu taki tłuszczak lubi urosnąć w tym miejscu.

Każdego na tej komisji badali i kto był zdrow całkowicie to go na listę zapisywali oddzielnie a kto był chory to też zapisywali na drugiej liście i kazali iść do baraku.

Gdy przyszła kolej na mnie do badania, to ja się krzywiłem i mówię, że to jest gryza, po naszymu przepuklina. Gdy lekarz ręką szczupną za tę narośl to ja syknąłem głośno i mówię, że to strasznie boli, jak ja ciężko robię. On powiedział eto gryza, więc się nie nadawałem jechać na Workutę. A to mnie wcale nie bolało, ale gdym odchodził to prawą ręką trzymałem się na pachwinie i nawet trochę naliwałem aż przyszedłem do swego baraku. Tak mnie dwa razy ta narośl uratowała od wysyłki.

Kucharski, zięć Franciszka Michałowskiego, który był policjantem zachorował na płuca, miał tylko fufajkę a portki jeszcze swoje, drżał z zimna. Oddałem mu swoje stare waciaki, dużo kaszał ale na robotę gnali takich. Mnie dali z powrotem na inspekta rozwozić nawóz koński do rowów na późniejsze warzywa i Iwanowskiego Józefa i trzeciego Ruskiego. Nazywali go wszyscy Sasza i ja go też tak nazywałem. On był kolejjarzem i stracił swój dowód osobisty, za to osądzili go na 3 lata do obozu pracy w archangielskie lasy.

To aż 3 lata za zgubienie dowodu osobistego się ukarali, on mówi tak i to najmniejszy wyrok, bo nawet za to i 5 lat ukarzą. Ja mówię to dlaczego u nas, gdy ktoś zgubi dowód to tylko zamelduje posterunek milicji i milicja poda do gazet takie zawiadomienie i po kilku miesiącach dają drugi dowód i bez żadnej kary. A on na to mówi - u nas sąd nie wie czy ja zgubił i myśli, że ja może ten dowód sprzedał jakiemuś szpiegowi, to lepiej go ukarać i będzie darmo robił, tylko za liche życie.

Ja w lesie robiłem ponad normę, to mnie płacili po 20-cia parę rubli na miesiąc, więc kupiłem sobie od jednego Ruskiego miedziany kociołek, dwulitrowy i posyłałem tego Saszę po serwatkę, która stała przed mleczarnią w beczkach i tam prowadzili konie rano i wieczorem do pojenia, zamiast wody. Od inspektorów do mleczarni było jakieś 150 metrów, to ja tam iść nie mogłem a ten Sasza to się tam nikogo nie bał. Na niego nieraz krzyczeli ale on na to wcale nie zważał. Poszedł nacierpnął pełen kociołek tej serwatki i ja ją na ogniu zawsze przegotowałem i co dziennie wypijałem jeden i pół litra tej serwatki a pół litra dawałem Iwanowskiemu Józefowi.

A dostawałem chleba na dzień 900 gram a 450 gram dokupowałem u chorych kobiet, które na robotę nie chodziły to i chleba nie zjadały. To co dzień zjadałem kilo i 350 gram chleba i wypijałem 1 1/2 litra serwatki gorącej, oprócz tego obiad z dwóch dań, to znaczy jakaś tam zupa i na drugie spory kawałek ryby, nazywali ją treska, na wieczór też była jakaś kasza rzadka.

Czułem się niegodny i zdrowie mi jakoś dopisywało. Za przyniesienie serwatki robiłem za Saszę, jak on poszedł po serwatkę. Codziennie teraz po otrzymaniu nowych kamaszy ze sznurówkami surowcowymi stale na każdą robotę chodziłem w kamaszach a swoje buty z cholewami nosiłem ze sobą w worku, który kupiłem za dwa ruble od jednego Ruskiego. Przy pracy zawsze kładłem obok siebie tak żeby mi kto nie ukradł.

Do naszego baraku zawsze rano wchodził ruski szofer, czyli kierowca. On co dziennie rano przywoził z bazy prowiant do kuchni i kupował od Polaków co który miał na zbycie - marynarki, spodnie, buty, koszule. Podchodzi do mnie jeden Polak z naszych, który widział, że ja noszę swoje buty w worku i powiada, że ten kierowca chce kupić te moje buty, więc ja je wyjąłem z worka. Buty były nowe, ładne, ja w nich chodziłem tylko w niedzielę do kościoła albo gdym jechał do Łomży po towar. Gdy on je zobaczył aż mu się oczy rozjaśniły. Pyta się ile ja za nie chcę. Ja jeszcze się nie zdecydowałem je sprzedać ale ten kierowca powiada sprzedaj, bo ci je ukradną. Ja je zawsze w worku kładłem na noc pod głowę. Spałem na narach, wyżej na drugim piętrze. Z jednej strony mnie spał Franciszek Fryc z Augustowa, z drugiej strony spał Kowalewski z Warszawy. Mówił, że on był korespondentem gazety Kurier Czerwony, więc nie tak łatwo było je ukraść.

Ale jak ten kierowca uparł się, żeby mu sprzedać, powiada, że jestem Polak, to co masz sprzedawać jakiemuś Ruskiemu, to lepiej sprzedaj mnie Polakowi, bo czy prędzej czy później to ci je ukradną, zobaczysz. Ten Polak co z nim przyszedł też mnie namawiał żebym sprzedał.

Naprawdę to już mi się sprzykrzyło je pilnować w dzień a w nocy czuwać a już kilka razy to i nowe kamasze zabierze a na to miejsce postawi lepsze. i przypadnie. No i namówili mnie do sprzedania. Ten kierowca powiedział mi swoje nazwisko Żurawski i powiada mój ojciec to w pierwszą wojnę

światową był ewakuowany do Rosji, ja miałem dopiero 10 lat i siostra miała 5 lat. Nas wywieźli całą rodziną i dużo innych Polaków z rodzinami i my w Rosji zostaliśmy.

Po polsku mówić nie umiał, tylko mówił po rusku. Ojciec i matka już nie żyli a siostra wyszła za mąż za ruskiego i nic o niej nie wie, bo on też był zakluczony, na zsyłce ale nie wie za co.

No dobrze sprzedam co ale dasz mi 80 rubli i 3 bochenki chleba, 10 paczek machorki i 1 kg cukru. On dał 20 rubli zadatku ale ja mu butów nie dał aż przyniesie resztę, on mówi jutro rano przyniesie, mówię dobrze. Ale rano przyszedł i w moją stronę się nie patrzył tylko poszedł dalej, kupił jakąś marynarkę wraca z powrotem. Ja jego się pytam co miałeś mi dopłacić i przynieść chleb, cukier i machorkę, to czemuś nie przyniósł, a on mówi, że nie mógł nic kupić i może jutro to on się postara i ureguluje wszystko i buty zabierze.

Już chciał wyjść ale się wrócił i mówi - ty daj mi buty a ja je sprzedam i kupię to wszystko com się zgodzili i dopłacę pieniądze. Ale ja mówię, że buty dopiero oddam jak mi wszystko ureguluje. Powiedział, że jutro ureguluje i poszedł. Na drugi dzień to samo, nie patrzy się w tę stronę gdzie siedzę na łóżku, tylko idzie dalej a zaraz za nim złapałem go za rękę i mówię miałeś przynieść resztę i nic nie masz, to masz swój zatek 20 rubli i nie zwracaj mi głowy. To on powiada, że chce zapłacić pieniędzmi, bo kupić tego nie może, to ja mówię dawaj 120 rubli i kg cukru, to on się targuje, że to za drogo, że on kupuje po 100 rubli jeszcze lepsze jak moje. Ja mówię, że mnie nic nie obchodzi po ile ty kupujesz nawet lepsze ale ja taniej nie sprzedam, to on mówi dobrze dziś wieczorem zapłacę i buty zabiorę, mówię dobrze przychodź.

Wieczorem przyszedł, zapłacił 120 rubli a cukier jutro rano przyniesie, mówię dobrze, tylko przynieś na pewno, powiedział dobrze - przyniosę.

Ale rano przyszedł i wcale nie obejrzał się w moją stronę, nic nie mówiłem, poszedł w sam koniec baraku, tam coś kupił i wyszedł nie patrząc w moją stronę.

Na drugi dzień wcale nie przyszedł aż na trzeci wszedł i prędko poszedł dalej a ja za nim i mówię gdzie mój cukier a on powiedział, że nie może kupić ale ja ci za buty za drogo zapłaciłem to i tak masz dość. A ja jemu mówię, żeś się tak zgodził to dawaj i mówię mu u nas w Polsce jak kto się zgodzi to ureguluje wszystko a ty jesteś Polak, to oddaj coś się zgodził.

A on mi mówi, że to tylko ojciec był Polakiem a ja to już nie jestem Polakiem a Rusinem. Pomyślałem niech cię diabli wezmą kiedy ty już jesteś Rusinem i takim się rozstaliśmy.

Za parę dni znowu przyszedł i dał mi dwa kawałki cukru, może było z 10 deka w obydwóch kawałkach i poszedł dalej, tam coś kupił u jednego Polaka i poszedł. Za nim szedł ten Polak przychodzi do mnie i mówi, że ten kierowca kupił u niego koszulę i powiedział, że on zostawił u mnie cukier, to niech pan mi go odda. Ja mówię, że on mi winien całe kilo cukru za buty, to powiedz mu pan niech mi resztę odda a ja tego nie oddam, posłuchał pokręcił głową i poszedł. Widać, że u niego też coś kupił i miał dodać mu cukru.

Przed samą Wielkanocą przyszedł nowy transport ludzi - Polaków, nad wieczorem. Byli z powiatu łomżyńskiego i innych powiatów. Było paru moich znajomych. Był z Jedwabnego Chodnicki Piotr, był dłuższy czas burmistrzem miasta Jedwabnego. Potem miał swój sklep a potem restaurację. Znalismy się, bo razem kupowaliśmy u tych samych kupców towary do swoich sklepów, potem był Bosawski Jan podchorąży z Łomży, podporucznik inżynier Podczasiak - nie wiem skąd.

Potem znowu przyszedł transport Polaków ze Stanisławowa i Lwowa. Był tam inżynier Dębski, był inspektor poczty ze Stanisławowa Witkowski, był Radecki z Wilna, był sierżant Konieczny, był Fidelis prezes Polaków na Łotwie. Antek Koncewicz umiał grać na gitarze i mandolinie - policjant, tylko tego nie powiedział, bo Rusini policjantów nie lubili a nawet zdarzało się, że dokuczali im. Razem wszystkich Polaków już było 320-stu w tym sowchozie, rozmieszczonych prawie po wszystkich barakach razem z Rusinami i innymi różnej narodowości.

Byli tam Ukraińcy, przeważnie inteligencja, jeden był redaktorem gazety bolszewickiej w Kijowie do 1937 roku a potem był aresztowany i osadzony na 10 lat w archangielskich lasach Żyd nazywał się Papentreger. On mówił, że nie wie co teraz się w Rosji dzieje, od 1937 r aresztują i aresztują bez końca. Drugi Żyd był komisarzem, też aresztowany i osadzony na 8 lat. Był jeden stary, lat około 70 prokurator. Jemu strasznie dokuczali te tak zwane żuliki, złodzieje i chuligani. Zawsze na niego gadali ty swolocz prokurator ilu ty osądził ludzi i na ile lat ale on nigdy nie odpowiedział i w ogóle z nikim nie rozmawiał, chodził jak niemy. Byli tam z różnych republik Związku Radzieckiego a nawet było dwóch Chińczyków i jeden Pers z Iranu.

W święta Wielkiej Nocy na roboty nas nie wyprowadzili a nawet trochę lepsze życie dali, tylko śledzi zamiast dać w sobotę, to dali na obiad w święta. Po obiedzie z 10-ciu Polaków poszło do świetlicy, tam mieli instrumenta muzyczne, Kancewicz poprosił o mandolinę, chętnie mu podali, ładnie umiał grać a pełna była świetlica przeważnie samych zakluczonych obywateli radzieckich. Ładnie śpiewali na głosy, różne piosenki ludowe przy orkiestrze, która też dość ładnie grała.

Podporucznik ze Stanisławowa Witkowski mówi zaśpiewamy i my jakąś piosenkę na głosy.



Mówimy dobrze ale jaką - najprzód Góralu czy ci nie żal a i Polaków przybyło więcej. Jakiśmy zaśpiewali przy akompaniamencie mandoliny to echo poszło nie tylko po świetlicy ale i poza świetlicę, to jak się wzięli garnąć do środka i Ruskie i Polacy, że drzwi już nie mogli zamknąć i tylko cały czas otwarte a my później zaczęliśmy śpiewać tango Nokturno, tango brazylijskie i inne.

Wszystkim tam się bardzo podobało i chwalili nas - wot Polaki także ładnie śpiewają. Potem każdy z Polaków wrócił do swego baraku. Franek Fryc był w 39 roku na froncie w 10-tym pułku ułanów. Opowiadał jak się cofali, bywało nieraz, że pułk był w lesie a Niemcy już szosą czołgami minęli ich i pojechali naprzód a oni dopiero w nocy przedzierali się naprzód i to często tak się zdarzało tylko noc ich ratowała.

Mówił jednego razu dobrze rano rotmistrz kawalerii wysłał na zwiady do jednego miasta 12 kawalerzystów z plutonowym na czele. Mieli krótkie karabinki i po 2 granaty, powiedział w jakim to było mieście ale ja zapomniałem. Franek był w tym zwiadzie, wojska niemieckiego widać nie było. Gdy się pytali czy są tu Niemcy powiedział im jeden Polak, że są ale mało, tylko sztab dywizji i około 50-ciu żołnierzy piechoty. Plutonowy wypytał się dokładnie gdzie ten sztab się zakwaterował, na której ulicy i w jakim budynku. Ten Polak powiedział nazwę ulicy i że obok banku stoi mniejszy budynek i w tym mniejszym budynku jest sztab i tam są żołnierze a cała armia to już wczoraj poszła naprzód szosą i czołgi przed nią.

Plutonowy obejrzał się na żołnierzy i krzyknął za mną i gdy ostrożnie dojechali do tej ulicy na której był bank i przy nim ten mniejszy budynek podjechali spokojnie, posterunek drzemał na schodkach, konie czterech żołnierzy trzymało a ośmiu wartowników rozbroili i od razu rzucili 8 granatów oknami do środka budynku. Żołnierzom niemieckim nie dali się podnieść z postania i ani się ruszyli a do generała jak tylko weszli to on zaraz podniósł ręce do góry i tam u niego były skrzynki z polskimi złotówkami i w jednej były marki niemieckie i biżuteria - złote zegarki, pierścienie i dużo złotych zębów. On złapał przeszło sto tysięcy złotych polskich i 23 tysiące marek niemieckich i parę zegarków złotych i dużo złotych zębów.

Inni też, co kto popadł to złapał i zaraz dopadli koni i w nogi co koń wyskoczy galopem uciekli do swojego pułku, nikt ich nie gonił. Mówił, że rozdawał po parę tysięcy złotych żołnierzom w pułku.

Potem pułk nie mógł już przedostać się do swoich wojsk, które cofały się do granicy sowieckiej i poszedł w rozsypkę, gdzie kto mógł i powiedział, że on przebrał się w ubranie cywilne i szczęśliwie wrócił do Augustowa i do domu.

Przyniósł ze sobą jeszcze 18 tysięcy złotych polskich i parę tysięcy marek niemieckich, dwa złote zegarki i z 50-siąt złotych zębów i powiada do mnie, że jak wrócim do Polski to dam ci dwa zęby na pamiątkę. On miał już około lat 30-tu, był żonaty i mieli jedną córkę 8 lat. Jego w 40 roku NKWD aresztowało, bo należał do Polskiej Org. Podziemnej a żona i córka zastały w domu.

Po tym opowiadaniu Fr. Fryca położyłem się spać ale było to spanie z przerwami, bo nie dały nam usnąć pluskwy, których było po kilkadziesiąt pod każdym śpiącym człowiekiem.

Rano przyszedł brygadier, magazynier i trzeci jakiś z zeszytem w rękę i mówi trzech ludzi potrzeba do pracy na trzy godziny, może kto chce na ochotnika do magazynu. Dwóch Ruskich od razu się zgłosiło i ja trzeci. Poprowadzili nas do magazynu, co miesiąc to oni tam sprawdzają ile jest worków mąki, ile jęczmienia na gromadzie leży, ile owsa. To wszystko przeważają i ten z zeszytem zapisuje ile czego jest i my to wszystko wysypywaliśmy do worków, po 60 kg do worka i kładliśmy na przymie po 5 worków jeden na drugi. Po przeważeniu owsa i jęczmienia była już godzina około drugiej, po 12-ej już było po obiedzie a my dopiero gdy nas brygadier zwolnił poszliśmy do kuchni po swój obiad i o dziwo dali nam porcję z dobawką, prawie podwójna porcja i jedliśmy i już do wieczora na inną pracę nas nie prowadzili, więc pokładaliśmy się na pryczy i leżeliśmy do wieczora.

Już po kolacji przyszedł do mnie brygadier i mówi jutro masz ze swoim towarzyszem iść na inspekta do pracy, tam jeszcze jedna przyma nawozu końskiego została wcale nie zaczęta i dwa rowy jeszcze nie były zasiane. Więc rano powiedziałem Iwanowskiemu Józefowi idziem do pracy na inspekta. I jak wszyscy wychodzili do pracy rano i my też wyszliśmy. Już tam była agronomka i nas zabrała i zaprowadziła na inspekta i kazała ten nawóz z przymy wozić taczkami do tego rowu i na pół metra grubości kłaść.

Z tego nawozu szedł opar gorący i nosił się jak para z gotującego się gamka. Do wieczora my jedną trzecią wywieźlim tej przymy. Agronomka przyszła zobaczyła i była zadowolona z naszej roboty i powiedziała, że jak tak będziecie robić to wam tu bieda nie będzie. Na drugi dzień przyszła z zastępcą naczelnika, my się uwijaliśmy, jak oni się popatrzyli. Ona do niego mówiła, że my tak bardzo dobrze całe dni robimy, a że to po pierwszym dali nam wypiskę po 40 rubli i brygadier zaprowadził nas do łarka. Tam kupiliśmy chleba, cukru 1/2 kg, śledzi i papierosów. Ja zaprosiłem nowoprzybyłego Chodnickiego Piotra z Jedwabnego i Bosowskiego Jana z Łomży, zjedliśmy po jednym śledziu, napiliśmy się słodkiej herbaty i chleba mieliśmy pod dostatkiem. Chodnicki dziwował się, że ja tak dobrze wyglądam a ja powiada jestem chory, boli mnie serce i wątroba, robić nie mogę, chodziłem do

lekarza, prosiłem o zwolnienie ale nie dał i pędzą codziennie do pracy a ja ledwie chodzę i długo nie pociągnę jak tak dalej będzie. Ja go pocieszałem, że on się tu zaklimatyzuje i będzie zdrowy ale on tylko głową kręcił na to.

Był to koniec kwietnia 41 roku, mroz zelzał ale za to śnieg z deszczem zaczął padać takimi dużymi płatami. Mnie rano wywołali i dali konia i sanki i mamy jechać jakieś 40 km do bazy po olej, po naftę i inne produkta. Jechało nas 45-ciu saniami jednokonnymi. Śnieg leżał jeszcze do pasa, droga tylko jednośladowa i jakby koń skręcił nawet pół metra to zaraz zawadzi za pień, bo drzewa zrzynają wyżej śniegu a sanie były drewniane i nie kute.

Wszyscy formalnie byli Ruscy a ja jeden Polak, więc gdy dojechaliśmy do tej bazy to oni po dwóch jeden pomógł drugiemu włożyć i zaraz jechali z powrotem. Ja przyjechałem ostatni i miałem wziąć 200 litrową beczkę nafty i nie było już nikogo do pomocy a sam nie dam rady tej beczki włożyć, więc ten co wydawał pomógł mi włożyć, podpisałem i jadę z powrotem ale śnieg zasypał już ślad, to tylko szczęście, że koń czuł tę drogę. Widać, że już nieraz tą drogą jechał.

Jechało się biegiem, jak w tę stronę tak i z powrotem. Zaczęło się ściemniać a śnieg bez przerwy z deszczem i to dużymi płatami pada. Czuję go już na plecach jestem cały mokry. Przejechałem tak mi się zdaje, że już może 25 km a jeszcze mam jechać 15 km. Drzę z zimna, już lejce wcale trzymam luźno, koń też się zmęczył, idzie wolno i skręcił trochę w bok i zawadził za pień i ustał. Ja zszedłem z sanek i go lejcem uderzyłem. Jak on targnie naprzód, sanie się rozdarły, beczka wpadła w śnieg. Tu noc, myślę co tu robić ale to tylko chwila była myślenia. Siadam na konia i jadę naprzód a sanie i beczka zostały w śniegu, w lesie.

Po drodze miałem jeszcze inny sowchoz, zajeżdżam pod bramę, stoi przy niej wartownik. Ja jemu mówię, żeby tu zawołał preśdaciela sowchozu i mówię mu co się stało. On poszedł i przyszedł jakiś z nim. Ja powiedział, że sanie się rozdarły, beczka leży w śniegu i pytam go się co ja mam robić. On powiada żebym zaczekał i poszedł, za parę minut przyciągnęli sanie i mego konia założyli i ten co ciągnął sanie siada ze mną i jedziem znowu z powrotem po naftę. Włożyli mi i wracamy a rozerwane sanie zostały tam gdzie się rozdarły.

Gdy przyjechalim do tego sowchozu, co dali mi sanie, on zeszedł i powiedział, że jeszcze mam 10 km do swego kołchozu. Przyjechałem, cały drzę od zimna, zajechałem pod magazyn, konia zaprowadziłem do stajni i przyszedłem do baraku. Wszystko na mnie jest mokre, ni mnie się rozebrać, ni położyć w mokrym ubraniu z którego woda skapuje ze wszystkich stron.

Na środku baraku stał piec z beczki od nafty, tylko był wycięty otwór do kładzenia drzewa a zamiast drzwiczek zastawiało się blachą ale był już zimny. Położyłem się we wszystkim i usnąłem. Rano pobudka na śniadanie i do pracy i w mokrym ubraniu ale wszystko mnie boli i głowa i boki i nogi, jednym słowem wszystko mnie boli. Całe szczęście, że idę na inspekta z Iwanowskim.

Bierzemy się znowu do rozwożenia końskiego nawozu. Ale gdy zacząłem brać widłami to ten ciepły opar poszedł na mnie więc ja mówię Józef ja się zakopię w ten nawóz, może się obsuszę i rozgrzeję, ten nawóz jest taki gorący ale ty uważaj jak agronomka będzie szła do nas to ty zaraz mi powiedz, to ja szybko wstanę. On powiada dobrze kładź się.

Ja zaraz położyłem się na boku ale za 10 minut już muszę się przewrócić na drugi bok bo nie mogę wytrzymać tak mnie pali, to znowu przekręcam się z powrotem na drugi bok, znowu pali, to ja kładę się na plecy, to potem na brzuchu się grzeję. I chyba Pan Bóg tak zrządził, że agronomka przyszła aż nad wieczorem ale ja już byłem suchy i nic mnie nie bołało, do samego południa, bez żadnej przerwy tylko się przewracałem, wysuszyłem się i ozdrowiałem.

Nigdy a nigdy tego cudu nie zapomnę, żeby w jednej dobie tyle przeżyć. Ale ja zawsze miałem w Bogu nadzieję, że jeszcze ja wrócę do swojej Kochanej Ojczyzny Polski i do swojej kochanej Rodziny i do Drozdowa i do wszystkich znajomych.

W naszym baraku było radio wielkości jak pięść i tak cicho było słycać, że prawie nikt nie usłyszał ale Fidelis ten prezes Polaków na Łotwie chociaż całe swoje ucho wciskał w ten mały głośnik, słyszał wszystko co radio radzieckie w Moskwie nadawało i potem nam opowiedział, przeważnie wiadomości radzieckie ale i kilka wieści było ze świata.

W 1941 roku Niemcy całą swoją siłą uderzyli na Związek Radziecki. Po rozbiciu i zdobyciu pierwszych umocnień radzieckich w Polsce parli na całym froncie na wschód. Wojska cofały się w rozsypce do swego kraju. W pierwszym dniu tej wojny w naszych barakach odłączyli wszystkie głośniki, tylko zostały same druty ale już trzeciego dnia z powrotem głośniki przyłączyli i już głośniej zaczęli nadawać, że Niemcy napadły na Związek Radziecki i nacierają na całym froncie, setki tysięcy czołgów nowoczesnych na gąsienicach i parę tysięcy samolotów. Zajęli Litwę, Łotwę, Rumunię i już zdobywają miasta radzieckie. Z naszego sowchozu sporo młodych ludzi zabrali do wojska, na wojnę. Mnie zabrali z inspektów i przeznaczili wozic glinę do cegielni i dowozic wodę z rzeki Peczory ile będzie trzeba do rozrabiania gliny, z której robili cegłę i w piecach ją wypalali drzewem i potem barką przewozili ją do nowobudowanego powiatowego miasta Koźwy przy rzece Peczora do której



dochodził tor kolejowy i przychodził pociąg.

Przez rzekę mostu nie było i dalej na północ tylko przez lasy i często bagna była droga do samej Workuty gdzie gnali przeważnie politycznych i różnych przestępców jak bandytów, złodziei i takich co im się nie podobał ustrój sowiecki.

Mówili rusczy ludzie, że stamtąd już się nie wraca, bo wyroki mieli dożywotnie - pracę w kopalniach węgla, którego pokład był 40-ci centymetrów a pod kolanami była już woda, takie tam były warunki pracy. To też tam długo ludzie nie żyli, już po paru latach umierali ale zaraz innych tam przyganiiali, bo mieli przeciwników bardzo dużo. Nic im tam nie płacili, tylko musieli robić za liche życie. Chleba dawali jak wyrobił normę, to dostał 900 gram a jak wyrobił tylko pół normy to chleba dostał tylko 450 gr., bo u nich tam wszystko na normę w całym Związku Radzieckim.

Był z Polski już stary sędzia. Ja z nim nie pracowałem, nie wiem ile on tam wyrabiał tych procentów ale chodził po śmietnikach i zbierał główki od śledzi i ułaki od papierosów. Widząc to inżynier Podczasiak wziął go wstydić, powiada panie sędzio, gdzie pańska powaga sędziowska, wstydz się pan, jeszcze pan z głodu nie umiera, kacapy śmieją się z pana ale on nic nie odpowiedział, tak jakby nie słyszał i zbierał dalej. Na pewno był głodny i to bardzo, bo co można się najść jak parę tych łebków znalazł ale głód go zmusił do tego.

Ale wróć się do swojej nowej pracy. Brygadier się mnie zapytał czy umiem w konia jeździć, mówię, że umiem, no to chodź, pójdziesz do stajni, dostaniesz tam konia i wóz i będziesz woził glinę i wodę do cegielni. Gdy przyszedłem do tej stajni koni już tam było tylko kilka starych i jakieś 20-cia młodych dwulatków i jednorocznych koło 20-tu a reszta koni, których było może około 200-stu już była na robocie. Kobiety drzewo szczapowe wozily z lasu do Koźwy jako budulec i na opał. I tam na stacji kolejowej ładowali na wagony i wieźli gdzieś w głąb Rosji.

Stajnia była bardzo duża i gospodarzem tej stajni był Polak, nazywał się Sokołowski. On się znowu pyta mnie czy ja umiem w konie jeździć, mówię umiem, bo już ze 30-ci lat jeździłem w jednego konia i we dwa, no to dobrze, to jakiego chcesz starego czy młodą dwulatka.

Obejrzałem najprzód stare a potem młode konie i podobała mi się jedna dereszka dwulatka. Ale ona nie była jeszcze brana do pracy. Pytam się czy ona jest spokojna, Sokołowski mówi - tak, ona jest spokojna ale jak ją się założy do woza to nie wiem jaka ona się pokaże. Pogłaskałem ją, kantar miała założony na łbie i na postronku była uwiązana. Odwiązałem ją i wyprowadziłem ze stajni na podwórze. Tu ją poprowadzałem, okazała się spokojna. Mówię do Sokołowskiego niech pan da uprząż i założymy ją od razu. Zaraz przy zakładaniu pólserka zaczęła się cofać do tyłu i tańcować ze mną ale pomału we dwóch udobruchaliśmy ją i prowadzimy do woza ale gdzie tam nie chce wejść do olobli a jak już wejdzie przodem to zadem się nie chce przestąpić ale może po jakimś 15 razy wprowadziliśmy ją i pomału ja ją trzymałem a Sokołowski paski zapiął do olobli, potem zapiął postronki do orczyka, lejc był surowcowy, nowy, mocny zakiełznali ją i we dwóch trzymają a ja wsiadłem na wóz i zaczynamy jechać tak pod górkę. Ja trzymam za lejc a oni z boku przy łbie trzymają i jedziem. Zrazu targnęła ale potem tak we trzech jedziem ze sto metrów stępa i potem ja mówię puście ją, ja już sam pojedę. Gdy ją puścili ona od razu ruszyła galopa, Sokołowski krzyczy trzymaj ją mocno, ja ją targnąłem, droga była prosta, wyjeżdżona, bo tą drogą wozili drzewo do Koźwy. Lejce trzymam mocno a że ona prosto drogą leci myślę sobie leć jak się umęczysz to sfolgujesz sama i tak było. Ile ja tam kilometrów jechał to nie wiem ale piana na niej się pokazała, więc pomału zawróciłem i przyjechałem.

Czekał i wyglądał i jeszcze kilku innych z nim gospodarz stajni Sokołowski uśmiechnięty i bardzo zadowolony, że ja przyjechałem i bez żadnych przykrych przygód.. Podszedł do kobyły, głaskał ja i gadał do niej - no pójdziesz do pracy ale będziesz miała dobrego furmana i krzywdy ci nie zrobi.

Potem mówi do mnie trzeba ją wyłożyć, niech odpocznie a ja mówię panie Sokołowski ja bym wolał jechać po glinę bo ona jest trochę przemęczona to będzie spokojniejsza. Ja tam dużo nie nakładę, tylko zobaczę gdzie glina jest i niech ona dłużej tak będzie zaprzężona, niech się przyzwyczai. Sokołowski mówi dobrze, to ja z tobą pojedę i pokażę ci gdzie ta glina jest i którą się po nią jedzie.

Jechalim lasem może jakieś 3 km. trochę pod górę ale nie dużą, na tej górce już była duża polana po wybranej glinie. Jechało się po prawej stronie, potem się zawróciło i po lewej stronie wybierało się tę glinę. Zima tam była długa i mroźna a lato krótkie ale dosyć ciepłe. Rosły tam czarne jagody jak i u nas, tylko trochę mniejsze i dopiero w lipcu. Po tym całym placu wybranej gliny leżały młode dąbki zjeżdżone wozami. Ziemia tam zamarzała do 2 1/2 metra a odmrażała 1 1/2 metra a metr a nawet więcej nigdy nie odmrażała.

Najprzód trzeba było z wierzchu odmarniętą ziemię zrzucić a potem kopać glinę około 1-go metra, bo dalej była zamarnięta a jak z wierzchu była jeszcze nie odmarnięta to kopało się taką jamę i z tej jamy się wybierało przeważnie z jesieni.

Zajechałem gdzie można było brać, nałożyłem pół fury, Sokołowski mówi dość, bo nie zechce

ciągnąć, więc przestałem kłaść. Sokołowski mówi czy ty wiesz, że jest wojna z Niemcami i Niemcy pobijają Rosję, bo kto tu będzie wojował - 45 milionów jest na przymusowych robotach w łagrach i więzieniach, gdy i tych co siedzą w więzieniach osądzą to też do łagrów przywiezą na roboty a politycznych to zaraz rozstrzelają.

Ja miałem 40 dziesięcin pola, osadzili mnie o sabotaż na 12 lat łagrów, dwóch synów służy w wojsku - jeden jest pilotem kapitan, drugi też oficer lejtnant. To oni będą się bić za Rosję, za komunę, co ja już 9 lat jak mnie zabrali z domu. Najprzód rok siedziałem w więzieniu a 8 lat już tu w tych lasach. Żona i córka zostały w domu i nic o nich nie wiem jak one tam żyją. Ja już mam 70 lat a żona moja już też po sześćdziesiątce i ja myślę, że długo ta wojna trwać nie będzie to może się wróci po wojnie do domu.

Żeby Pan Bóg, to może i ja wrócę do domu, chociaż po wyroku to mi sędzia powiedział, że moja mogiła to będzie w archangielskich lasach, pod jodku, to nie wiadomo, bo dom mój to jest bardzo daleko około Łomży woj. warszawskie. A pan Sokołowski pochodzi skąd a on mówi ja jestem z Wołynia, niedaleko od polskiej granicy.

Ale tylko jak Niemcy Moskwę zdobędą to długo nie będzie trwać, oni pójdą i zawojują całą Rosję i w ten czas każdy kto będzie żył to wróci do domu swojego i pan też wróci. Po tych słowach aż westchnąłem z ulgą na sercu. No i zabieramy się do jazdy. Ja wziąłem za lejce a on stoi i się patrzy co to będzie, czy ta kobyłka młoda zechce ciągnąć, ja postraszyłem batem i pociągnęła od razu, odjechałem kawałek i zatrzymałem ją. On przyszedł, najprzód podszedł i ją pogłaskał i mówi nawet nie spodziewałem się, że tak od razu pociągnęła bez żadnych turbacji. Wsiadł na wóz obydwa a że to było trochę z górki tylko na nią cmoknąłem od razu poszła i glinę przywoziłem do cegielni.

Przywoziłem jeszcze dwa razy ale niedużo kładłem bo się obawiałem, że jak będzie za ciężko to może nie zechce ciągnąć, ale dobrze ciągnęła trzy razy. Nareszcie wyszedł kierownik tej cegielni i mówi teraz przywieziesz beczkę wody z rzeki Peczory, tylko uważaj żeby się ta kobyłka nie utopiła. Beczka była na dwóch kołach ołoble były grube, wyłożyłem kobyłę od woza i prowadzę ją do tej beczki, zaczęła chrochać i nie chce się dać wprowadzić w ołoble, może 15 razy ją wprowadzałem już przednimi nogami wejdzie to ja chcę i zadnimi wprowadzić, to ona wyjdzie z ołobli. Może więcej jak godzinę z nią tańczyłem i nic nie mogę zrobić.

Przyszedł Sokołowski z pomocnikiem i jakoś ją wprowadzili w te ołoble i założyli. Ale na ołoble nie ustałem tylko obok szedłem, jakim tylko ruszył z miejsca beczka gruchnęła, to ona dała naprzód i chciała uciekać, ledwie ją dał radę utrzymać ale przy mordzie trzymali Sokołowski z jednej strony a pomocnik z drugiej strony i tak parę razy we trzech ją prowadziliśmy i jakoś się opstrachała.

20 czerwca przywdzielił jeszcze jedną podwodę do wożenia gliny, bo ja woziłem po pół woza a zapas się już kończył. Za woźnika był Kowalewski Leon z Warszawy redaktor. Uciekł przed Niemcami do Lwowa z żoną i tam ich aresztowało NKWD. Zarzucali im szpiegostwo, potem żonę jego zabrali oddzielnie. Przy rewizji zabrali im złote zegarki i ślubne obrączki i pierścionki. Jego osadzili na 10 lat w archangielskie lasy do tego sowchozu. Żona go odnalazła i napisała do niego list, że pracuje w szpitalu jako sanitariuszka. Jemu dali kobyłę stara ale mądrzejszą od niego. Jak za dużo nakładł gliny to nie chciała ciągnąć, tylko spróbowała i jak było za ciężko to zakręciła ogonem i kopytami wierzgała aż on musiał usypać, to dopiero pociągnęła.

Do tej jamy co się wybierało glinę to tylko się podjeżdżało jedną furmanką, tak, że jak on zajechał to ja jemu pomagałem nałożyć, to on odjechał a ja zajechałem to on mnie pomagał nałożyć i dopiero obydwoj pojechalim z gliną do cegielni.

Glinę zwaliliśmy i jedziemy znowu po drugą, przyjechaliśmy i on pierwszy zajechał do tej jamy i zaczynamy rozmawiać. Ja jego się pytam dlaczego pan uciekał z Warszawy do Lwowa, przecież Warszawę zajęli Niemcy, to chyba lepiej by było zostać na miejscu, a on na to mi odpowiada - moja żona miała we Lwowie kuzynów, to tu mieliśmy się osiedlić ale gdy tylko przyjechalim zaraz na stacji nas aresztowali.

Na pierwszym śledztwie zapytali się po co my z Warszawy przyjechali do Lwowa. Ja im mówię żona ma tu kuzynów a ja chciałbym u was pracować, bo ja jestem komunista, ja dla was pracowałem do samej wojny a oni się zapytali to co ty dla nas zrobił pokaż jakieś dowody pracy dla nas. On żadnych dowodów nie miał, więc mówi, że dowodów nie ma, bo obawiał się wziąć. A oni mówią ty tylko nasze dziengi skradał i nic dla nas nie robił, ty na pewno jesteś szpiegiem. On się tłumaczył, że ja jestem wasz człowiek ale to nic nie pomogło, wsadzili we Lwowie do więzienia, żonę oddzielnie i mnie oddzielnie. Siedziałem dwa miesiące i zostałem osadzony na 10 lat w archangielskie lasy i tu przeznaczony wozić glinę do cegielni.

Ja jego się pytam czy wprawdzie, że on przed wojną był komunistą a on mówi, że prawda i powiada ja byłem taki czerwony komunista bo ja czytałem ich konstytucję kilkanaście razy a tam tak pisało, że wszystka ziemia będzie oddana chłopom za darmo a wszyscy robotnicy wezmą w posiadanie fabryki i kopalnie, koleje i różne zakłady pracy będą własnością robotników też za darmo



będą mogli w nich pracować, będą mieli swoje domy. Rząd Radziecki wszystko im pobuduje i odda bez żadnej zapłaty.

To ja myślałem, że chyba w żadnym kraju, na całym świecie takiej dobroci chłopom i robotnikom jak w Związku Sowieckim nie ma. Ja byłem tak otumfiony, że z tej drogi nikt by mnie nie zawrócił, ani ojciec ani matka ani ksiądz ani żaden lekarz by mnie nie uleczył, aż tu mnie uleczyli.

Najprzód pierwsze lekarstwa otrzymałem od NKWD. W czasie śledztwa dwa razy na dobę, raz w dzień a drugi raz w nocy, bo mieli mnie za szpiega i bili i kopali mnie nogami, żeby się przyznać do wszystkiego i kto mnie tu do Lwowa przysłał. A ja nie byłem żadnym szpiegiem i im mówiłem, że nie jestem szpiegiem a oni codziennie mnie badali, dwa miesiące całe a ja codziennie im to samo odpowiadałem, bo nic innego nie miałem do powiedzenia.

Po skończeniu tego śledztwa osadzili na 10 lat w archangielskie lasy pracować za to, że Rząd Sowiecki chwaliłem, że tu w sowieckim raju jest bardzo dobrze, no i tej dobroci do końca życia nie zapomnę.

Potem ja jemu powiedziałem swoje przejścia ale mu nie mówiłem za co mnie osadzili na 8 lat w archangielskie lasy. Po tej rozmowie zaczęli nakładać glinę na wozy. Najprzód jemu kładziemy ale mnie taka zła myśl naszła żeby temu komuniście dokuczyć trochę i uwijam się jemu nakłaść tej gliny więcej, żeby mu ta kobyła ciągnąć nie chciała. Ale Kowalewski się obejrzał, gdy już było za późno. Gliny nakładlim za dużo, mówię do niego niech pan odjedzie, to ja zajadę. Kowalewski wziął za lejce i mówi wio, kobyła spróbowała pociągnąć, było dla niej za ciężko, jak drugi raz powtórzył głośniej wio to jak ona wierzgnęła kopytami i wcale nie próbowała pociągnąć, tylko kręciła się i wierzgała kopytami. A na tym wyjeżdżonym całym placu po wybranej glinie leżały młode dąbki, korzenie miały spłaszczone kołami.

Mówię do niego panie Kowalewski weź pan tego dębczaka i przywal kilka to ona pociągnie, zobaczysz pan. On patrzy na mnie i mówi co pan chce żeby ja drugie 10 lat jeszcze dostał i mówi trzeba urzucić gliny, bo inaczej nie pojadę. Zgniewało mnie to, mówię mu trzymaj pan lejce a ja poszedłem zgrabnego dąbka, ułamałem połowę, on patrzy że z tym dąbkiem idę wprost krzyczy jak pan uderzy to ja powiem, że to pan uderzył a nie ja, bo tu za uderzenie konia to najmniej ukarzą dwa lata siedzieć.

Tan dąbek miał korzenie jeżdżone kołami, wyglądał jak grzebień. Podszedłem z boku, od przodu żeby mnie nie uderzyła kopytami, jak jej przywałem pod ołobel, po brzuchu raz z całej siły, ona wierzgnęła kopytami a ją drugi raz i trzeci raz. Kowalewski krzyczy panie Pieńkowski co pan robi a ja nie uważam na niego, chciałem uderzyć czwarty raz ale już nie zdążyłem, bo kobyła poszła z wozem, już na samej górcie ją zatrzymał i uwiązał i pomagał mnie nałożyć gliny i mówię do mnie - panie co to teraz będzie jak zobaczą te uderzenia a ja mówię nie bój się pan tam pod brzuch nikt nie będzie zglądał a z wierzchu nie ma żadnego znaku, niech pan będzie spokojny.

Podjechałem do jego wozu i idę ją obejrzeć, jak ona zobaczyła, że ja do niej idę, to z miejsca ruszyła galopem, ledwie ją utrzymał i całą drogę szła aż się chciało popatrzeć. Gdy on zwał glinę a ja chciałem podejść do niej to drżała i chciała uciekać ale nie zdążył za lejce złapać i zatrzymać. Od tej pory ile gliny się wiożyło tyle pociągnęła i kopytami nie wierzgała.

Pojechalim drugi raz po glinę, nałożylim wprzód jemu a potem nałożylim mnie ale gdy on miał odjeżdżać to ja stałem z dąbkiem w ręku trochę z dała, to ta kobyła tylko się na mnie popatrzyła. Jak tylko Kowalewski wziął za lejc to nawet nie powiedział wio, już kobyła pociągnęła. Zatrzymał ją na górcie i przyszedł mnie pomagać nałożyć. Zaczeliśmy rozmawiać i do niego mówię, czy pan wierzy, że będzie siedział te 10 lat u nich, w tych lasach, a on mówi a co pan nie wierzy, że te osiem lat co ma pan zasądzone, że nie będzie pan siedział. Ja odpowiedziałem, że nie wierzę, że będę u nich tak długo siedział a on mówi, jeżeli pan tak myśli to pan jest w błędzie. Pan będzie siedział te osiem lat a ja będę siedział swoje 10 lat, bo Związek Radziecki to jest potęga straszna, jego nikt nie zawojuje. On ma wielkie lotnictwo, kilkanaście tysięcy samolotów, kilkanaście tysięcy czołgów a armat i karabinów maszynowych to bez liku. Nikt ich nie zawojuje i my będziemy tu w tych lasach pracować, chyba by jakaś była amnestia, ale w to też wątpię, bo oni mają bezpłatnych robotników, pracujemy i całe miliony ludzi pracuje za mame, liche życie i dlatego nas nie wypuszczą.

Ja jemu odpowiedziałem, że słaby z pana Polak i w dodatku beznadziejny. Ja myślę inaczej i mam nadzieję, że jeszcze będę wolny, że może jeszcze i do Polski wrócę a da Bóg, że i swoją Rodzinę zobaczę i z nią się połączę. Bo ja w tę potęgę radziecką nie wierzę. A on znowu odpowiedział, że jestem w błędzie, przekona się pan.

Ja wozilem beczkowitzem wodę z rzeki Peczory. Dwustulitrowa beczka przymocowana była do woza na dwóch kołach obręczami żelaznymi. Najgorzej było gdy parowy statek nadjeżdżał rzeką, trzeba było zaraz wyjeżdżać z rzeki i trzymać ją za mordę giezlem a ona cała drżała, dużo musiałem się namęczyć zanim znowu wjechałem do rzeki i cały czas tylko patrzyłem na nią a wodę latem do beczki na wycucie aż przez wierzch zaczęła lecieć, to dopiero deska w środku beczki wyszła pod

samą dziurę, nakryłem jeszcze tę dziurę mokrym workiem żeby się dużo nie wychłbało, gdy będę jechał.

Przez to radio nic nie można było usłyszeć, tak po cichu to coś mówili ale po tygodniu czasu zakopali słup ze 4-y metry wysokości, przymocowali na nim głośnik wielkości jak wiadro 10-cio litrowe no i wszystko poszło do swojej roboty to w ten czas go nastawiali i dosyć głośno nadawali wiadomości z frontu, że radzieckie wojska cofają się przed naporem wojsk hitlerowskich już pod Moskwą.

Ja pojechałem jak zwykle po wodę, nabrałem i wracam do cegielni. Już jestem w połowie drogi a do mnie leci jakiś człowiek biegiem. Już jest blisko, patrzę to Kowalewski mocno zziębnięty, zatrzymał się i krzyczy do mnie panie Pieńkowski Niemcy już pod Moskwą, teraz już i ja mam nadzieję, że te 10 lat nie będę w tych archangielskich lasach glinę woził. My wrócimy do naszej kochanej Polski. Zobacz pan, jak Niemcy zdobędą Moskwę to potem łatwo przejdą przez całą Rosję i ta ich potęga co oni głosili, że jest niezwyciężona to się może oprze aż tu w archangielskich lasach, na naszych miejscach.

Tak rozmawiając dojechałem do cegielni, było już pod wieczór, kobyłę wyłożyłem pokrzepiony na duchu, zaprowadziłem ją do stajni, przyszedłem do swojego baraku a tu nasi Polacy zaczynają się naradzać co my mamy w tym wypadku robić. Porucznik Witkowski i inni mówią, że za parę miesięcy będziemy wracać do Polski, tylko jak my się wydostaniemy z tych lasów. Posterunek przy bramie dość duży około 50-ciu bojców i wszędzie tu szła praca normalnie jakby wojny wcale nie było. Ja w dalszym ciągu wożę glinę i wodę do cegielni. Kowalewski też wozi glinę a Franek Fryc pracuje w lesie i on miał jakieś szczęście, że otrzymywał listy od żony przed wojną i przed wojną w maju 41 r. przyszła dla niego paczka żywnościowa. Gdy poszedł na pocztę po tę paczkę to ta kierowniczką poczty mówi ty tej podaczy nie nieść do baraku, bo ci te nasze żuliki zabiorą i zjedzą od razu a jak będziesz bronić, to jeszcze cię i nabiją, ty zanieś to podaczu do kapciora, który rano wydaje chleb, on sam nic ci nie weźmie, ty dasz jemu kawałek co tu będziesz miał z tej podaczy i co dzień pójdziesz i sobie weźmiesz kawałek i dłużej pociągniesz sobie.. A ja ci gwarantuję, że on nic ci nie weźmie.

Więc on pokwitował, że paczkę otrzymał i poszedł z nią do tego kapciura. Tam tę paczkę rozsiorkował i patrzy co w niej jest. Było w niej około 1 kg kielbasy takiej obsuszzonej, potem z kilo słoniny, też obsuszzonej, sporo sucharów kwadratowych, cukru w kostkach z pół kilo i machorki samosiejki torebka.

Zaraz ukroił tej kielbasy spory kawałek i dał temu kapsiorowi. A on spał obok mnie na górnej pryczy a Kowalewski z drugiej strony. To my się tak we trzech trzymaliśmy. Więc Fryc chciał nas poczęstować, ukroił dla nas po grubszym krążku kielbasy po kawałku słoniny i po 2 kostki cukru. Zaraz zaczęliśmy jeść tę kielbasę, która była mocno naczostkowana, tak, że zapach czosnku rozszedł się po baraku. A w każdym baraku był w środku korytarz, za tym korytarzem na przeciw, na dalszej przyzbie siedział ten kapitan Iwan Bykow z drugim swoim sąsiadem. Jak kapitan poczuł zapach czosnku i zaraz łokciem trącił w bok tego swojego sąsiada i mówi do niego smotryj Polaki kielbasu kuszajut. Było to rano przed wyjściem na pracę. Kowalewski po zjedzeniu tego krążka kielbasy dostał boleści, przewraca się z boku na bok, trzyma się rękami za brzuch i jęczy. Dali znać dyżurnemu i przyszedł dyżurny z lekarzem i zabierają go na izbę chorych. On się zwraca do mnie i mówi ja tu mam mąkę pod głową, niech się pan zaopiekuje nią, ja się pytam zcisłym głosem skąd pan tę mąkę ma a on mówi kupiłem od złodzieja. Ja jemu mówię pan wie, że co dzień idzie na pracę a tu są tacy co na pracę nie idą i co znajdą to zabiorą i pan potem będzie miał do mnie pretensje jak mąka zginie. On mówi, że nie będzie miał do mnie żadnej pretensji i jeszcze mówi jak pan będzie głodny to niech sobie weźmie i klusek ugotuje. Sanitariusz na boku rozmawiał z innym zakluczonym, nareszcie zawołał - no chadzij na bolnicę i poszli.

A kapitan Bykow z tym swoim sąsiadem poszli do kancelarii i zapisali się do lekarza, że są mocno chorzy. Ja mąkę Kowalewskiego podsunąłem pod swoją głowę i po za nimi poszli wszyscy każdy do swojej pracy.

Ja poszedłem po kobyłę i zaprząłem ją i jadę po glinę. Przywiozłem 3 fury i raz wody. Odprowadziłem kobyłę do stajni i przychodzę do baraku a przy moim legowisku stoi bojec z karabinem i obok niego stoi naczelnik cywilny i pyta się kto tu śpi, mówię ja a on mnie się pyta a od kuda tej mąki wziął, ja to mąka nie moja a czyja, mówię tak jak prawda Kowalewskiego, który poszedł na izbę chorych. Oni bojec i naczelnik poszli obydwa, jeden poszedł do izby chorych z karabinem, zapytał się gdzie leży Kowalewski, zaprowadzili go, on się pyta czy to twoja mąka była na pryczy, Kowalewski się zląkł, że to nie jego, ja nie miałem mąki a naczelnik poszedł do kancelarii obejrzeć moje papiery, dokumenta, Gdy wyjęli z szafy grubą pakę moich zeznań na śledztwie a było ich przeszło 200 arkuszy oszpagowanych na krzyż i opieczętowanych brązowym lakiem, po 4-ch rogach i na środku też i pod środkową pieczęcią była podsadzona różowa kartka wielkości naszego dowodu osobistego, która oznacza szpieg albo partyzant.

Inni z różnymi zarzutami po skończonym śledztwie mieli ze zwykłego papieru grubszego takie



złożone podwójne karty, tak samo różowe były podwójne jak i białe. Gdy przyniósł jeden kancelista to niby moją pakę i położył na biurku już do środka nie zaglądali, ta różowa kartka sama im oznajmiła. Naczelnik powiedział tylko eto charoszyj element. Nadszedł bojec i powiedział, że Kowalewski nie przyznał się do młaki. Weszli do baraku, podeszli do mnie i naczelnik powiedział zabieraj swoje wieszczy to znaczy rzeczy.

Kapitan Bykow siedział w swoim legowisku, podeszedł do niego naczelnik i mówi no kapitan zabieraj swoje wieszczy i chadzij. Obydwóch nas razem poprowadzili przed bramkę ogrodzonego izolatora. Był to izolator w ziemi, miał 1-ną piwnicę głęboką i 1/2 metra jeszcze nad ziemią. Postawiony był tylko na słupkach z opaską, pokryty ogromną plandeką, tak że tej plandeki starczyło i na dach i na obydwie ściany. Okienko było tylko jedno w szczycie. Wchodziło się tam po pięciu schodkach. Kapitan szedł pierwszy a ja za nim, jeszcze nie zeszłem ze schodów to już miałem we wszystkich kieszeniach ręce tamtejszych mieszkańców, obskoczyli mnie jak wilki, jeden drugiego odpychał. Nie wiem co by to było dalej ze mną tylko jak kapitan zobaczył, że mnie tak obskoczyli jak na nich wrzaśnie - job waszu mać nie trowajcie jego, eto jest muzyk, to znaczy chłop i jeszcze raz powiedział nie nada go targać.

Momentalnie jak skoczyli do mnie, tak potem odskoczyli ode mnie, bo ten kapitan Bykow to był tam częstym bywalcem i wszyscy go się tam bali. Chłop był wysoki i tęgi w barach, żeby tak kogo uderzył to nie prędko by się podniósł. i nikogo się nie bojał. Poszedł do mleczarni, masła wziął to go zaraz do izolatora sadzali, to obrugał nieraz nawet samego naczelnika albo jakiegoś urzędnika, co mu uwagę zwrócił to nic innego nie mogli mu zrobić tylko do izolatora sadzali, tak że on nawet więcej siedział w izolatorze niż na wolności w baraku.

Wszystko jedno na pracę musieli wszyscy iść z izolatora, tylko z tą różnicą, że z baraku do lasu czy innych robót to prowadził brygadier a z izolatora to już prowadzili strełki. Jeden szedł z przodu, miał karabin na ramieniu i rewolwer u pasa i dużego psa wilka a drugi strełek szedł z tyłu, tak samo uzbrojony i też miał dużego psa wilka. Wszyscy zakluczeni z izolatora musieli iść w dwójkach.

Gdyby ktoś próbował uciec to najprzód by go pies poturbował i gdyby pies nie dał rady zatrzymać to dopiero strełek użyłby broni. Gdy tam byłem 2 miesiące to z ruskich żaden nie próbował uciec ale jeden Czech z Morawskiej Ostrawy uciekł z siekierą w rękę, gdy pies skoczył na niego to on z siekierą do niego, chciał go uderzyć ale pies odskoczył i on gdy pies chce do niego skoczyć to on tą siekierą już nie zamierzał się, tylko zawsze ją trzymał naprzeciw psa i tak uciekał z tym goniącym psem ze dwie godziny. Strełek parę razy strzelił ale bojał się gnać go, żeby więcej się nie rozleciało. Pies wrócił dopiero po przeszło godzinie czasu ale sam a Czech uciekł.

Na drugi dzień specjalnie dwóch strełków z psami go poszukiwali ale go znaleźć nie mogli. Po dwóch miesiącach przygnali go wraz z innym transportem zakluczonych. Byli to przeważnie Łotyże, Litwini i Ruscy. Pytaliśmy się jego jak on mógł przebyć te prawie 2000 kilometrów i to 2000 km. to były lasy, błota i co on jadł jak uciekał, przecież ze sobą nie miał nic do jedzenia.

On opowiadał nam, że pies go chciał zatrzymać, zawsze atakował go z przodu ale nie dopuścił go do siebie, on bojał się siekiery. Po jakiejś godzinie czasu zawrócił i poleciał. Ale wiedziałem, że mnie będą gnać z psami, szedłem na południe do Moskwy. Po paru godzinach napotkałem rzekę, nie była bardzo głęboka, wlałem do niej i szedłem jakieś sto metrów wodą a żeby jak mnie będą gonić z psami to psy węchem będą prowadzić moimi śladami a ja szedłem wodą, to psy już dojdą tylko do rzeki i ślad tracą i tak na pewno było.

No dobrze ale co ty jadł. On mówi usłyszałem, że daleko na prawo szedł pociąg na północ więc skierowałem się aby iść do toru kolejowego i potem szedłem na południe wzdłuż toru w odległości mniej więcej 12 metrów od niego i doszedłem gdzie przy torze stała budka dla kolejarza. położyłem się na przeciw tej budki i patrzę się w nią czy kto z niej wyjdzie czy przyjdzie do niej. Było to pierwszego dnia mojej ucieczki przed wieczorem.

Pociąg się zatrzymał, z budki wyszedł kolejarz i stoi, przyszedł drugi kolejarz do niego i dał temu z budki torbę, zmiarkowałem, że to prowiant. On z tą torbą poszedł do swojej budki a pociąg gwizdnął i poszedł a ja leżę i czekam, może on pójdzie. Zaczęło się już ściemniać, kolejarz wyszedł i na szczęście poszedł nie w tę stronę co ja mam iść. Poczekalem aż on poszedł torem, już ze sto metrów to ja w ten czas wchodziłem do budki, torba wisi na ścianie, ja ją zdjąłem, patrzę co w niej jest, bochenek chleba i z kilogram obsuszonej słoniny. To torbę zabieram z tym prowiantem odszedłem z 10 metrów, podjadłem dobrze i potem idę dalej. Po paru godzinach znów była budka kolejarza, to ja miejsce upatrzyłem żeby było dobrze obserwować czy ten wyjdzie, czy przyjdzie. Jak wyjdzie, to ja pójdę i zawsze tam coś będzie do jedzenia i podjem i pójdę dalej. Gorzej gdyby dopiero przyszedł to musiałbym czekać aż on pójdzie z powrotem i dopiero będę mógł wejść do tej budki. Na moje szczęście wyszedł i poszedł znowu na północ. Po jakiejś pół godziny wszedłem, torba wisała na gwoździu, ją zdjąłem i wyjmuję chleb, słoninę i cebulę, na stoliku leżała machorka jeszcze w liściach. Zostawiłem mu tylko 3 cebule i trochę tej samosiejki. I zaraz ruszyłem w drogę i doszedłem aż do

Moskwy. Miałem tylko około 200 km. Już po drodze były częste kolchozy, we trzech byłem ale tu ludzie jeden drugiego się boi i niechętnie wpuszcza do domu, da chleba i jajko, czasem 2 i każe iść z domu dalej, bo jak kto zobaczy i oskarży to już będa.

Gdy te opowiadania usłyszełi Ruskie i tak sobie mówią, języka nie umiał i tak daleko zaszedł a my tu wszyscy boimy się, że nas zaraz złapią i na drugi dzień zaraz dwóch uciekło ale już zaraz po miesiącu czasu złapali i przywieźli i do izolatora wsadzili na 3 miesiące.

Ale wróć się teraz do izolatora, już tam siedzieli 5-ciu Polaków. Siedzieli - inżynier Demski ze Stanisławowa, kapitan z armii polskiej adiutant Śmigłego Rydza Eustachewicz kapitan legionista, bez wyznaniowy Zonenszajm, potem siedział Żyd inżynier Szaski bardzo bogaty mówił, że uniwersytet kończył w Paryżu. Miał duży majątek rolny i 3 tysiące lasu i cukrownie, tylko niedomagał w mowie, trochę seplenił, no i 5-ty młody chłopak 19 lat ze Lwowa nazwiska zapomniałem.

Jak już ode mnie odskoczyli te złodziejaszki zobaczył mnie inżynier Demski i woła mnie panie Pieńkowski, chodź pan tu do nas. Przyszedłem, powitaliśmy się i pytam go za co on tu siedzi a mówi sadzilim kartofle i ja 2 kartofle wzięłem do kieszeni, że jutro w lesie sobie upiekę ale po robocie wszystkich rewidowali i te 2 kartofle znaleźli w kieszeni tak samo i u Zonejszajma też 2 znaleźli i po miesiącu dostalim izolatora.

Wszystkich w tym izolatorze było 86 mężczyzn, chyba ze wszystkich republik radzieckich, najgorszy element ludzki. Pytam się jednego Tataru za co siedzisz, on mówi ubiłem popa, to znaczy księdza i mówi jakim pałką topnął w głowę to mózg aż na ścianę bryznął, pytam się to ileś lat dostał za to. On mówi, że już go postawili pod ścianę do rozstrzału, już myślałem, że mnie zabiją ale potem zabrali mnie do więzienia i osadzili na 25 lat łagrów w tych archangielskich lasach.

Pobocznik z lewej strony spał, była mała przerwa pomiędzy naszymi łózkami chudy z zawodu krawiec. Pytam się jego za co siedzisz, on mówi wiesz mało zarabiałem, że ledwie mnie na liche życie starczyło. Miałem ukryty karabin, urznąłem lufę żeby spod marynarki nie było widać, niedaleko ode mnie był las i droga traktowa. Poszedłem do tego lasu, że może będzie ktoś jechał to mu zabiorę pieniądze i co będzie więcej.

Stoję z godzinę, nikt nie jedzie, zmarłem ale jeszcze wyglądam, patrzę jedzie taksa, wyskoczyłem na środek drogi, ręką macham, ustali, jechało 3 w futrach i 4-ty kierowca. Ja rozkazałem żeby zdejmowali futra a sam stoję przy otwartych drzwiczkach głową w środku. Oni sięgnęli rękami niby zdejmować futra i każdy z nich wyjął rewolwer a ten pierwszy od razu złapał go za łeb i wciągnął go do samochodu i zawieźli mnie do NKWD i mnie zaraz wsadzili do więzienia i osadzili na 25 lat do obozów pracy w archangielskich lasach.

Było w tym izolatorze istne piekło, był starosta i dwóch ławników co sądzili jedni drugich. Kara była za co nie bądź, bicie kijem i to dość grubym a bił nim chłopak około 20 lat mógł mieć. Jak kogo sądzili to on już za tę pałkę trzymał i aż drżał do bicia. Jedną nogę miał krótszą, na robotę nie chodził, kamasze miał podarte, spał na pryczy na podartym buszłaku i okrywał się tylko kocem.

Było tam kilku co do roboty ich nie brali, siedzieli tam i uważali czy by komuś coś mogli ukraść. Niektórzy wypracowywali ponad plan normę za to im płacili po 20 i kilka rubli, zależy ile kto wypracował. A ci co na robotę nie chodzili dostawali dziennie 300 gram chleba i obiady, tylko rzadkiej zupy chochlę, cukru do kawy nie dawali nikomu, tylko ci co zarabiali to mogli sobie kupić 1/2 kg cukru w kostkach, no i chleba nawet i 2 kilogramy, czasem i śledzi, jak były. Zawsze raz na miesiąc przychodził bojec i prowadził do sklepu tych co wyrabiali normy i ponad normę to mieli pieniądze w kasie kancelaryjnej a najwięcej to było pasty do butów, ale jej nikt z robotników nie kupił, chyba tylko urzędnicy.

Razu jednego ci co do pracy nie chodzili ukradli i zjedli cały bochenek dwukilowy chleba ale zauważył ich ten kuternoga i jak wszyscy już przyszli z pracy ten co jego był zjedzony chleb zrobił alarm i poszedł do starosty na skargę i ten z krótką nogą wydał tych co ten chleb zjedli. Starosta zasądził im po 10 pałek każdemu. Jak się nie chciał położyć to w ten czas go inni kładli siłą i trzymali i 2 pałki dostał więcej ponad plan. Pałką zawsze bił ten sam kuternoga i to z całej siły, bił bez miłosierdzia. Inny to za każdym uderzeniem tylko jęknął a inny krzyczał w niebogłosość, to ten coraz mocniej bił. Nikt bitego nie bronił, to była zwykła rzecz.

Gdy pierwszy dzień z izolatora poszlim do lasu i działki nam wyznaczył bojec, inżynier Demski pilnował się mnie i obok swoje działki zaczęli zrywać grube drzewo a potem co 2 metry przecinać całego kłosa i stawiać metry 4 1/2 metra to jest norma powiedział strełk i poszedł do tego drugiego strełka i tam sobie rozmawiali. Ja już zrywałem jednego i poprzecinałem, gałęzie odciąłem i na kupę złożyłem a Demski co 2 razy siekierą rąbnął to coś ręką koło ucha okulary oprawia. Ja już drugiego kłosa rąbał, gałęzie obciął, na gromadę złożył, potem kłosa poprzecinał a on jeszcze pierwszego nie zrywał. Ja jemu mówię, żeby się uwijał, bo normy nie wyrobi a on mówi żeby ja choć 1/2 normy zrobił to tak byłoby dobrze a ja jemu mówię, że trzeba się uwijać, to robi. On jakoś mocniej siekierą uderzył, ja już ostawiłem a on przy tym pierwszym kłocu stoi i krzyczy panie Pieńkowski ratuj pan



mnie, myślałem, że on się skaleczył siekierą, lecę do niego i pytam co się pan skaleczył, on powiada nie tylko okulary mi spadły a tam w tym lesie to tego drzewa leżało od wieków, niektóre to całe spróchniałe, że tylko cienki rdzeń został. i takie próchniałe leżą, jedne w tę stronę a drugie na nich w poprzek leżą i to gęsto a jak na które nadepniesz to noga przez nie przeleci do dna, bo to już tak spróchniałe i różnych gałęzi pełno pod nogami. On stoi z siekierą w ręku i wcale się nie rusza z miejsca, mówię to czemu pan nie szuka tylko stoi a on mówi ja się boję stąpić żeby nie nadepnąć bo to byłoby już po mnie, ja bez okularów prawie nic nie widzę.

Wziąłem sam ostrożnie szukać, żeby ich nie nadepnąć no i znalazłem i patrzę się na nich, na jedno ucho jest to zagięcie a na drugie ucho jest tylko ten kawałek prosty a ten co się zakłada za ucho, to samo zagięcie odłamane a on miał krótki wzrok i bez nich mało co widział.

Dałem te okulary, on ich zakłada za jedno ucho, założył dobrze tym zagiętym brzegiem a u drugiego boku było kawałek przywiązanej nitki, to on tą nitkę sobie zakręcał za ucho ale ta nitka nie była długa, to żeby on nic nie robił to te okulary by siedziały ale przy ścinaniu drzewa, to zaraz po kilku razach machnięcia siekierą od razu spadały. Trzy razy mu szukałem tych okularów i on je zakładał i patrzę się, że jeszcze ja swojej normy nie mam a on już 4-ty raz woła panie Pieńkowski ratuj pan mnie.

Znalazłem mu 4 razy i mówię, że więcej nie mogę mu tych okularów szukać, bo swojej normy nie wyrobię a jego pierwsza sosna stoi.

Szkoda mi jego się zrobiło, mówię panie Dembski niech pan okulary schowa do kieszeni, ja będę kloce ścinał a pan będzie obcinał gałęzie i kładł na kupę i przecinał na dwa metry długie bo inaczej to nic z tego nie będzie. Dałem mu kij dwumetrowy i mówię według tej miary niech pan przerąbuje, ja je później poukładam po swojemu.

Dembski to był kawał chłopca, dobrze zbudowany, bo ta robota mu jakoś szła, zresztą to go poganiałem a sam tylko zrąbywałem. Siekierę miałem ostrą i dobre sosny kładły się co jakieś 15 do 20 minut, to łomot na ziemię.

Gdy zmiarkowałem, że może będzie 9-ć metrów wziąłem się za układanie. Sęki nie były obcinane przy samym kłocu, tylko jak popadło i 5-ć centymetrów od kłoca a nawet i 10 cm, na co przy odbiorze nic nie zważali. To ja przy układaniu wieszałem ich na sękach z przodu a z tyłu podkładałem w poprzek żeby się czuby nie zapadały głęboko, tak, że z tych dwóch metrów gdyby ich dobrze ułożyć to by był tylko jeden metr. Musiałem kombinować a żeby nadrobić i na Dembskiego na odbiórkę było razem 9 metrów - dwie normy.

Na drugi dzień rano dostaje Dembski 900 gram chleba i na obiad dostaje zupę i porcję ryby na drugie, czego nigdy nie dostawał i odtąd ze mną obok robił i zawsze to otrzymywał. Zadowolony codziennie mówił panie Pieńkowski nieszczęście jest moim wielkim szczęściem, ja teraz czuję się dobrze najedzony a w przód byłem zawsze głodny, bo co to 450 gr. chleba i tylko rzadka zupa, bez żadnego kawałka ryby, nic więcej nie dostawałem.

Za Dembskim obok pracował Zomensztejn bezwyznaniowiec. Opowiedział, że na Kresach miał nie tak duży majątek, był bardzo uczony, umiał mówić po niemiecku, po francusku i po angielsku. W 18-tym roku wstąpił do legionów Piłsudskiego, potem gdy na Śląsku była komisja z przedstawicielami rządów Ameryki, Anglii, Francji i ze strony Niemiec i Polski, po trzy osoby każda i tam miało się odbyć głosowanie obywateli polskich i niemieckich, której narodowości na danym terenie było więcej, to miało być przyłączone do tego kraju.

To on tam jeździł po miastach i agitował, przemawiał do tych Ślązaków a żeby głosowali za Polską. Cała ta komisja mieszana chodziła na obiady razem, specjalny kelner ich obsługiwał Polak, ze strony niemieckiej był przewodniczący. Jakiś mówca tak przekonywał tę komisję, że Anglicy i Amerykanie w niektórych punktach skłaniali się na jego stronę. Polacy postanowili w jakikolwiek sposób pozbyć się jego. Mieli główną pieczęć niemiecką i podrobili taką niby instrukcję od rządu z Bon jak komisja z ich strony ma postępować w różnych punktach. Umówili się z kelnerem żeby on z futra przewodniczącego polskiej delegacji wyjął przygotowane pismo opieczętowane i wsadził je do podspólnej kieszeni futra przewodniczącego delegacji niemieckiej. Kelner tak zrobił.

Gdy po spożytym obiedzie każdy przewodniczący swoją teczkę otworzył, powymagali plany i inne papiery i zaczęli omawiać sprawy do których mieli pełnomocnictwa. Pierwszy zaczął przewodniczący delegacji niemieckiej. Zaczął przedstawiać protokoły głosowania i na planie pokazywać i wyjaśniać, aż przewodniczący delegacji amerykańskiej przerwał mu, że teraz niech przemawia przewodniczący delegacji polskiej.

Przewodniczący delegacji polskiej mówi, że Niemiec kręci i nie wszystką prawdę tu wyjaśnia, proszę zobaczyć jaką on ma instrukcję od swojego rządu. Wstali wszyscy i idą do swoich futer i Amerykanin rewiduje kieszenie przewodniczącego delegacji niemieckiej i z podspólnej kieszeni futra wyjmuje paczkę papierów w kopercie opieczętowanej, otwiera i czyta takie pouczenie jak w pewnych sprawach ma delegacja postępować i być nieugiętą i nie ustępować.

Przewodniczący delegacji polskiej żąda zmiany delegacji niemieckiej a szczególnie przewodniczącego, bo w tym składzie niemożliwe jest przeprowadzić głosowania rzetelnego.

Przewodniczący delegacji amerykańskiej wystosował pismo do rządu w Bonn o zmianę delegacji w innymi składzie a tę delegację zwolnił z udziału i powiedział, że komisje muszą same sprawy głosowania załatwiać bez żadnych instrukcji.

Na trzeci dzień stawiała się inna delegacja niemiecka już nie taka przekonująca tylko więcej umiarkowana. Przewodniczący delegacji niemieckiej chciał ażeby tu mu te pismo oddać, które było w jego futrze ale go mu nie oddali i powiedzieli, że to jest dowód na zmianę innej delegacji.

Zonenszejn w dalszym ciągu jeździł po miastach i wsiach gdzie było większe skupisko Polaków i nakłaniał wszystkich ażeby głosowali za przyłączeniem Śląska do Polski a za nim śledził go ten przewodniczący del. niemieckiej zwolniony. Chciał się pomścić, bo miarkował, że to on się tak przyczynił do jego zwolnienia. W jednym mieście Zonenszejna aresztowali i osadzili na śmierć, potem wyrok zmienili na dożywotnie więzienie. Dawali mu książki niemieckie do czytania i gazety też niemieckie. Odwiedzał go raz w roku polski ambasador Lipski, siedział całe 10 lat. W roku 1932 Piłsudski zawarł pakt nieagresji z Hitlerem i w tym roku zrobili wymianę. W Polsce siedział w więzieniu jakiś pułkownik niemiecki, wypuścili tego pułkownika za Zonenszejna. Powiada gdy wróciłem do Polski Marszałek Piłsudski zwolnił go od płacenia wszelkich podatków. W czasie wojny w 1939 r. ukrywałem się ale ludzie go wydali i zaresztowało go NKWD. Już wiedzieli, że ja byłem szpiegiem i proponowali jemu tę robotę nadal ale odmówiłem, to osadzili mnie na 12 lat w archangielskich lasach do pracy ale nie mógł wyrobić normy to i jemu pomagałem, no był dobrym Polakiem, wycierpiał dużo za wolność Polski, za to mu pomagałem.

Następnym był inżynier Szacki, bardzo był bogaty i uczony. Uniwersytet ukończył w Paryżu, miał duży majątek rolny i las, parę tysięcy ha i cukrownie. Aresztowali go tylko żeby zabrać majątek burżujowi. Miał trochę usta krzywe i jak mówił to seplenił, nie bardzo wyraźnie.

Miał na nogach żółte kamasze, nigdy ich z nóg nie zdejmował, cholewki były trochę wyższe, sznurowane, mówił, że one kosztowały 80 złotych przed wojną. Były bardzo ładne. Te ruskie żuliki patrzyły na nie i mało im oczy nie wyskoczyły. Namawiali go żeby się zamienił nawet na nowe kamasze. Obiecali mu dużo przydać ale on i słuchać nie chciał. A był straszny palacz papierosów, czy machorki ale nie miał ani pieniędzy nic, ubranie to miał liche i tylko kto upałka rzucił to szedł i brał go do ust żeby choć raz pociągnąć jednego dymka.

Ale dwóch Ruskich się namówiło i zaczęli mu dawać z machorki papierosy, tak po połowie i to codziennie. Jak się do nich znarowił to tylko jak oni zapalili sobie to już tylko się na nich patrzył i oni podchodzili i zaraz mu dawali popalić. Jeden z nich miał dosyć dobre kamasze, więc namawiają go na handel i dają mu ale dopiero godzą się 10 paczek machorki, 2 kg cukru, 4 kg chleba i 20 rubli. Było to dosyć dużo, więc godzą się, że już jutro się zamienią a oni w ciągu dwóch dni wszystko uregulują. Rano dają mu 3 paczki machorki, kilo chleba i około 1/2 kg cukru, resztę dadzą na wieczór albo jutro rano - dobrze, Cygan tak jednego nazywali już daje mu swoje kamasze a Szacki oddał mu swoje. Ten Cygan obuł ich na swoje nogi i chodzi tam i z powrotem po izolatorze i tylko się na kamasze patrzy i wszyscy się też z zazdrością patrzą. Szacki z paczką machorki podszedł do inżyniera Dembskiego i Zonenszejna i powiada - proszę niech panowie sobie skręcą i zapalą papierosa ale nie mieli w co zakręcić. Szacki poszedł do tego co zrobił z nim handel, ten z kieszeni swojej wyjął kawałek gazety i dał Szackiemu i on przyniósł i dał Dembskiemu, zaraz Dembski uderzył sobie i podał Zonenszejnowi, on też uderzył kawałek i skręcili sobie po papierosku, bardzo byli zadowoleni, bo już dawno nie popalali a nikt im nie dał i nie poczęstował.

Podziękowali Szackiemu i już po śniadaniu wyszlim na zbiórkę do pracy w lesie. Bojce działki pokazali i potem obydwa rozmawiali sobie. Ja kloce zrąbywałem a oni obydwa gałęzie obcinali i kładli na kupy a potem przecinali na dwumetrowe szczapy i trzy normy zrobiłim.

Od Szackiego te Ruskie niby pożyczali machorki na skręty, z niechęcią niektórym dawał, bo czuł, że mu nie oddadzą, tak że jedna paczka machorki prawie cała poszła. No ale miał jeszcze dwie a już jutro mu oddadzą jeszcze siedem, to będzie miał na kawał czasu do palenia. Na drugi dzień rano machorki nie dali, bo miał im jeden jakiś gość podać ale nie podał. Szacki poszedł do nich żeby mu dali wszystkiego na razie choć połowę ale oni mu przetłumaczyli, toć mówią do jutra to nie jest tak daleko, jak nam poda, ci wszystko od razu oddamy.

Na drugi dzień też nie dają, bo im tamten nie podał a to on żąda żeby mu dali te 20 rubli co się zgodzili, to oni mówią, że oni pieniędzy nie mają przy sobie ale jak tamten poda to mu oddadzą, 4-go dnia nic nie dają bo tamten nie podał, to Szacki krzyczy dawajcie coście się zgodzili a nie to oddajcie buty, to oni mówią dobrze oddaj nam 3 paczki machorki, oddaj chleb i cukier i oddamy ci te twoje buty a on już z trzeciej paczki ma tylko trochę. Zaczął ich prosić żeby mu oddali choć połowę tego na co się zgodzili ale oni mówią, że pieniędzy nie mają, ani machorki, ani cukru ani chleba, to najlepiej żeby on im zwrócił to co jemu dali i oni mu oddadzą kamasze. On tego nie ma i dopiero się zorientował, że



popadł w pułapkę.

Ale co 10 dni prowadzali wszystkich do bani, czyli łaźni. On sobie umyślił plan, wszyscy się porozdzielali Szacki też się rozebrał ale tylko ręce zamoczył i zaraz poszedł, odszukał gdzie te swoje żółte kamasze, obuł je na nogi i te czarne postawił tam gdzie stały dawne jego żółte, Gdy już wszyscy się umyli bojec krzyknął ubierać się, każdy poszedł do swego ubrania, ubrał się i obuł. A ten Cygan, co się zamienił z Szackim przychodzi się ubrać i patrzy żółtych kamaszy nie ma, tylko stoją w tym miejscu czarne. Od razu skapował, że to Szacki zamienił, odszukał go na poczekaniu i mówi pan Szacki oddaj bucinki a on mówi dajcie to coście zgodzili, to oddam a inaczej nie oddam. A Cygan mówi oddasz, tylko przyjdziem do izolatora.

Gdy już wszyscy weszli Cygan z tym swoim kolegą idą prosto do Szackiego, on leżał na swoim miejscu, na narach obok inżyniera Dembskiego a ja z drugiej strony Dembskiego spałem, ale siedzieliśmy na swoim legowisku. Za naszymi plecami zagotowało się, Cygan skoczył na nary i od razu wlaź na leżącego Szackiego, opasał go swoimi nogami i zaczął go boksować prawą ręką po boku, Szacki zaczął krzyżeć w niebo głosy, ile tylko miał siły, Cygan lewą ręką zatykał mu usta a prawą bił bez przerwy a Cygana kolega rozsznurował kamasze na nogach Szackiego. Pomimo, że Cygan zatykał usta Szackiemu, krzyki dały się słyszeć poza izolatorem, na zewnątrz a ponieważ izolator stał w rogu sowchozu a w każdym rogu na zewnątrz była postawiona wysoko ponad ogrodzeniem budka na której dzień i noc stał wartownik i usłyszał te krzyki Szackiego.

Nie wiem w jaki sposób on powiadomił posterunek i zaraz przyszedł bojec z naczelnikiem do izolatora. Ale kamaszy z nóg Szackiego nie zdjęli. Wierzgał nogami i poomykał palce temu co chciał rozsznurować i nie mógł. Gdy tylko wszedł bojec z naczelnikiem Cygan czym prędzej nakrył Szackiego kocem i powiedział jak będziesz mnie skarżył to cię zabiję, pamiętaj o tym.

Naczelnik od razu doniosłym głosem pyta się czto tu dziełajetsa, przeszli tam i z powrotem, nikt nic nie mówi, zapanowała cisza, tylko Szacki jęczał i to zciszonym głosem. Naczelnik z bojcem zabrali się i poszli. Co to byli za ludzie w tym izolatorze, 86 chłopów, żaden uwagi nie zwracał jak ten Cygan bił Szackiego bez miłosierdzia. I do naczelnika nikt ani słowa nie powiedział, tak jakby nic się tu nie stało.

Był tam jeszcze jeden, nazywał się Osiełkow, dość wysoki a nawet i walnie gruby, na twarzy był piegowały i to dużo. Przeszedł się po korytarzu i popatrzył na Szachta i znowu skoczył na nary i mówi pan Szacki oddaj kamasze. Szacki nic nie odpowiedział, nakrył się lepiej jeszcze kocem na twarz.. Osiełkow wykręcił się do nogi Szachta i chciał rozsznurować kamasze, jak Szacht znacznie wierzgać nogami po palcach Osiełkowa, musiał go boleśnie uderzyć kilka razy, bo on się wykręcił do Szachta, usiadł okrakiem na nogi Szachta i znowu zaczął go z obydwu rąk boksować po bokach i dotąd go bił aż już się Szacht nie ruszał. W ten czas on mu buty rozsznurował, swoje kamasze postawił Szachtowi, tam gdzie on leży i obuł te żółte kamasze Szachta i znowu spaceruje po korytarzu i nigdzie się nie ogląda, tylko patrzy na te kamasze na swoich nogach.

Ja zrazu myślałem, że on od da te kamasze Cyganowi, bo tamten dał Szachtowi 3 paczki machorki, parę kawałków cukru i kilo chleba ale gdzie tam. Oni nic nie mówili i wszystko przepadło. Osiełkow ani myślał o oddaniu. Przeszedł jeszcze do Szachta i powiedział pamiętaj jak byś się poskarżył na mnie, to cię zabije i już ci twoje kamasze nie będą potrzebne. Szacht tylko jęknął i nic nie powiedział.

Ja w dalszym ciągu robiłem ponad plan, po sto dziesięć procent wyrabiałem i pomagałem jeszcze Dembskiemu i Zonenszejnowi. W poniedziałek gdy przyszłim z lasu z pracy przyszedł bojec z kartką w rękę i czyta Pieńkowski, odezwałem się, że jestem a on dalej się pyta Aleksander, mówię tak a on powiada pójdziesz do kancelarii, tam połuczysz dziengi i pajdziom do łarka i sobie pokupajesz czto tam budziet.

No i poszlim, pieniądze 20 rubli mi wypłacili i poszlim do łarka, czyli sklepu. Kupiłem najprzód dwa bochenki chleba, potem 1/2 kg śledzi, 1 paczkę machorki dla gości, bo sam nie paliłem i za resztę cukru w kostkach. Bojec mnie odprowadził i sam poszedł.

Gdy ja z tym chlebem na rękę wszedłem do izolatora wszyscy się na ten chleb - dwa bochenki, tam tyle chleba nikt nie dostawał, położyłem go obok głowy, przynieśli kawę na wieczór, jadłem ile tylko wlaźło do żołądka. Dałem kawałek Dembskiemu i Zonenszejnowi, podchodzą i Ruskie żeby im pożyczyć, dałem po kawałku dwom ale już myślę, że więcej nie pożyczę, bo prawie jeden bochenek poszedł. Ale przychodzi jeszcze do mnie Wasia, miał jedną nogę krótszą a on jak kogoś osądzili to pałką on uderzał i to z całej siły. Już kogo sądzili, to on już pałkę trzymał zadowolony, że zaraz będzie kogoś okładał. aż drżał do bicia, no i on mówi pożycz mi kawałek chleba a ja ci jutro oddam. Miałem już nikomu nie pożyczać ale jemu muszę, bo aby i mnie za co nie sądzili to mnie będzie mocno walić i pożyczyłem kawałek ze 20 deko.

Chleb i 40 kostek cukru położyłem, cukier pod pachą a chleb obok głowy i nie śpię, czuвам, bo wiem, że jak usnę to mi zabiorą. W tym czasie to tam słońce zachodzi tylko na godzinę a 23 godziny

świeci. Czuwałem, nie wiem ile czasu, zasnąłem, jak długo spałem też nie wiedziałem ale patrzę całego chleba nie ma. Podniosłem głowę i patrzę czy tego chleba nie je. Nikt nie jadł ale jeden młody chłopak patrzy się w stronę moją i nakrył całą głowę kocem. Wstałem i idę do niego i biorę za koc. Odkrywam go prawie całego - tyś mój chleb ukradł, on powiada, że nie brał mojego chleba a ja widzę kruszyny z chleba przy nim leżą.

Miał pod głową buszłak, ja podnoszę ten buszłak, leży jeszcze połowa tego chleba. Ja biorę za ten chleb a on złapał moją rękę z chlebem i miłosiernie prosi - daj jeszcze choć kawałek, ja na robotę nie chodzę, bo nie mam kamaszy, to dostaję tylko 200 gram na cały dzień i ja jestem zawsze głodny. Ułamałem kawałek i dałem mu jeszcze.

### Zeszyt nr 3

Gdy przyszedłem z resztą nie zjedzonego chleba, szczupam gdzie leżał mój cukier - jest ale go tak mało, było wieczorem 36 kostek, przeliczam jest tylko 18, resztę to znaczy połowę ktoś ukradł ale kto. Budzę tego obocznika i mówię cukier mi ktoś ukradł. Usiadł na swoich narach i drze się na całe gardło - job waszu mać, kto zawarował Pieńkowskiemu sachar, on zarabiał dziennie i pokupiał sobie a jakaś swolocz zawarował, wot bradziagi, takie nie takie syny.

Ale był ten sam, co z urzędnym karabinem zatrzymał takse i rozkazał futra zdejmować a oni już sięgnęli niby futra odpinać i od razu 3 rewolwery skierowali do niego. Potem złapali go za łeb i wciągnęli do samochodu, zawieźli go do NKWD, siedział w więzieniu i potem osadzili na 25 lat.

Była już amnestia dla Polaków ale jeszcze tu nikogo nie zwalniali tylko tyle, że do lasu na roboty Polaków nie prowadzali. Jak kto chciał iść na ochotnika to szedł i robił, dużo szło, przeważnie jak statek parowy przywiózł jakiś towar - mąkę, sól, cukier, kaszę, to Polacy go rozgruzowali, za to lepszy obiad dostawali.

Dembski pożyczył ode mnie 3 ruble, miał mi oddać jak wyjdziem z izolatora ale mnie zaraz rano w dwójkach z bandziorami do lasu pognali. Ale Dembskiego, Zonenszejna, Szachta i tego młodego ze Lwowa, jak również i tego chorego co krwią sikał i krwią kał oddawał to oni zostawili w baraku.

Gdy wróciłem na wieczór z pracy już z Polaków nikogo nie było. Mówili mi ci co na roboty ich nie gnali, że po tego chorego Eustachewicza przyszedł lekarz i 2-ch sanitariuszy z noszami. Położyli go ostrożnie i ponieśli na izbę chorych. Ale zanim gdy go wprowadzili do izolatora, nawet nie wiem za co, to on leżał w kącie obrócony twarzą a ką i z nikim nie chciał rozmawiać, tylko nieraz jęknął.

Dowiedziałem się od Demskiego, że jak wszedł to się nie spodziewał takich ludzi spotkać. Najprzód go zrewidowali do wzięcia, nie miał nic. Potem go wzięli na badania, kim on jest, on powiedział, że kapitanem i był adiutantem Śmigłego Rydza. Jak on to powiedział tam, jeden krzyknął to jest Śmigły Rydz, bić go, on naszych bił. Tylko te dranie na to czekali, im kogoś bić to przyjemność. Najprzód go powalili na glinianą posadzkę, potem kopali nogami i to tak niemiłosiernie, że na nim nie było zdrowego ciała, tylko cały był siny jakby go atramentem pomalował.

W kącie było wolne żelazne łóżko, tam go na nim położyli. Od tej pory czy kał, czy sik to krew czarna przez niego szła. Nikt tam o tym nie meldował. Nie jadł wcale, tylko kawę czarną pił i to w małych ilościach. W takim stanie zabrali go na izbę chorych. Czy on wyżył i czy się wyleczył tego nikt nie wiedział.

Jeden transport Polaków już statkiem parowym odjechał do Koźwy, miasta powiatowego, tam otrzymają dokumenty gdzie kto zechce jechać. Pojechał w tym transporcie i inżynier Demski, który dwa dni temu pożyczył ode mnie trzy ruble. Pomyślałem sobie, że już nie wiadomo czy ja się z nim zabiorę, bo nie wiem czy oni mnie w ogóle wypuszczą, przecież już jest tydzień po amnestii i wszystkich Polaków już wypuścili, z tego widać, że dla takich jak ja jestem amnestia nie przysługuje.

Przyszedł mi na pamięć wyrok, gdy mi w Mińsku sędzia odczytał, że Sowiestwienaja Trójka w Moskwie osądziła mnie zaocznie wyrokiem na 8 lat w archangielskie lasy. Gdy ja to usłyszałem, ucieszyłem się, bo mnie naczelnik więzienia w Mińsku powiedział, że ja jak się nie przyznam to zgniję w więzieniu a tu osadzili mnie na 8 lat. Gdy sędzia zauważył uśmiech na mojej twarzy zapytał mnie dlaczego ja się śmieje. Ja jemu odpowiedziałem - grażdanin sudzia ja dumaju czto ja u was 8 lat nie budu siedzieć a on się pyta skolko ty dumajesz u nas siedzieć, ja jemu odpowiedziałem 2 goda, bolsze niet.

Jak on się zerwie z fotela, jak wyrznie pięścią w biurko, stała na tym biurku karafka z wodą i szklanka, brzęknęły, myślałem, że się pobily ale nie, tylko tak brzęknęły. A on wstał i krzyknął ach ty bandyt z podpólnej organizacji, ty udumał sobie dwa goda, macha ręką i krzyczy, nie dwa i nie 8 a kak budziesz żyć to apiać 8 i apiać 8 i twoja mogiła to będzie w archangielskich lasach pod jodku, pomnisz moje słowa.. I patrzy się na mnie i mówi wot Polaki kakoj to naród, połuczyl 8 lat i śmiejojsa, drugoj połuczyl 15 let, toże śmiejojsa a 3 połuczyl 25 i toże śmiejojsa, czto wy za naród, to ja jeszcze nie widział takiego naroda.

Później pyta się mnie czy podpiszę srok to znaczy wyrok, mówię, że podpiszę i podpisałem a moje wszystkie protokoły obok leżały na biurku. On wyjął arkusz papieru, coś tam pisał i go złożył i



wsadził pod przewiązaniem szpagatem i opieczętowanym po rogach i na środku.

Ale najgorszy świadek był na mnie - złożona kartka koloru różowego, wielkości naszego dowodu osobistego. Ta kartka oznaczała szpiega albo partyzanta. Była podsadzona pod środkową pieczęć. Taki błąd popełniłem przy odczytaniu wyroku i już trzeci tydzień po ogłoszonej amnestii dla Polaków a ja siedzę w izolatorze z bandytami ruskimi. Prowadzą nas codziennie bojce, jeden z przodu idzie uzbrojony i z psem wilkiem na smyczy a drugi taki sam idzie z tyłu też z wilkiem. A my w środku idziemy dwójkami do lasu zrąbywać kłocce i potem je przerażbywać na dwumetrowe kawały a potem układać w metry 4 i 1/2 metra, to była norma stuprocentowa. Ja co mogłem łatwo zrobić dwie normy, już tylko jedną stawiam. Nie daje mi więcej wyrobić ten głośny tego sędziego wykrzyknik twoja mogiła będzie w archangielskich lasach pod jodku, pomnisz moje słowa. Teraz nie schodzi mi z pamięci ta groźba, ani na chwilę, gdy się położę spać to usnąć nie mogę. Straciłem apetyty do jedzenia, zjem na przymus, siły mnie opuszczają ale na szczęście i stawiam jeszcze te 4 1/2 m normy, chleba dokupywałem a teraz już starcza swojego.

W czwartym tygodniu po amnestii już myślę, że chyba mnie już nie wypuszczą, że pewnie ta moja mogiła tu będzie pod jodku. Zacząłem się gorąco modlić do boga, do Matki Boskiej i prosiłem o opiekę nad sobą. Pomyślałem, że już teraz to mi nikt nie pomoże. A ja tu długo nie pociągnę ale wojna się nie skończyła jeszcze a może i dla mnie jeszcze coś lepszego się okroi.

Ale wróć jeszcze do chleba i cukru. Chleba to jeszcze odebrałem kawałek ale szczupam torebkę z cukrem. Jest coś za mało, było jeszcze wieczorem 16 kostek, przeliczyłem jest tylko 8 kostek, to znaczy, że złodziej znowu podzielił się ze mną, po połowie. Pomyślałem i poszedłem do kapitana Iwana Bykowa poskarżyć się, wiem, że on tu ma głos, bo najlepiej się przekonałem jak nas obydwoh wprowadzili do izolatora, jak skoczyli do mnie i zaczęli rewidować, to jak krzyknął nie trowajcie jego, on jest muzyk, to znaczy chłop ze wsi i wszyscy odskoczyli ode mnie.

Poszedłem do niego i mówię zdrastujcie grażdanin kapitan, odpowiedział zdrastuj Pieńkowski i pyta się czto u ciebia słysz, no ja jemu mówię, że wczorajszej nocy ukradł mi chleb a dzisiejszej nocy już drugi raz ukradł mi sachar. On się pyta kto, mówię, że chleb mi ukradł ten co nie ma butów i na roboty nie chodzi a on mówi on dostaje tylko 200 gr. chleba, on jest zawsze głodny, to nic dziwnego, że on ci chleba ukradł. Pyta się a kto ci ukradł sachar, mówię, że nie wiem a gdzie go miałeś schowany, mówię przy sobie, pod pachą. A on mówi ty tak chowaj jak tu wszyscy chowają to ci nikt, niciewo nie ukradnie, to ja się pytam, to jak ja mam chować żeby mi nie ukradli, to on mówi od razu co masz to skuszaj ani kto ci nie ukradnie.

Uśmiechnąłem się z tej rady, to jest prawda, co on mi powiedział, tu nic nie można odkładać na jutro. Dałem mu za tę radę dwie kostki cukru i wróciłem na swoje miejsce i wszystkie sześć kostek cukru od razu zjadłem. Potem poszedłem upomnieć się o chleb com pożyczył temu z krótszą nogą, co jak kogo osądzili to on pałką bił. Nie pytam się go czy ma chleb dla mnie, co pożyczył temu dwa dni a on mówi, że nie ma i mówi więcej nie przychodź do mnie po ten chleb, bo ja co dostanę, to zaraz zjem a zjadłbym i więcej gdybym miał.

Piątego tygodnia po amnestii dla Polaków przychodzi dwóch urzędników z kancelarii z jakimiś papierami i wyczytują do 45 lat wszystkich na wyjazd do miasta Koźwy, na komisję i na ostatku wyczytał i moje nazwisko. Wyprowadzili nas z izolatora i mnie każą iść do swoich towarzyszy Polaków.

Przychodzę do dawnego swojego baraku. Nie ma już Franciszka Fryca, co obok mnie spał, nie ma Kowalewskiego ale do izby chorych nie wpuszczają nikogo. Nic o nim się nie dowiedziałem, tak samo i o Eustachewiczu adiutancie Śmigłego Rydza, nikt nic nie wiedział. Zastałem tylko ze znajomych Józefa Iwanowskiego co razem pracowaliśmy na inspektach, Bosowskiego podporucznika z Łomży, Witkowskiego porucznika ze Stanisławowa, Kuncewicza, który nam grywał na mandolinie od czasu do czasu w świetlicy i sierżanta Koniecznego i dużo jeszcze Polaków było ale nieznanymych mnie. Razem jeszcze było około 150 samych Polaków.

Witkowski opowiedział mi jak zmarł Chodnicki Piotr z Jedwabnego, mój dobry znajomy sprzed wojny. Razem kupowaliśmy towary do swoich sklepów. On miał duży sklep spożywczo-kolonialny w Jedwabnem a ja tak samo duży sklep spożywczo-kolonialny i galanteryjny oraz wszystkie przybory krawieckie i szewskie i drobniejsze różne żelastwo, jak gwoździe, łańcuchy, hacele i inne różne nadające się dla rolnictwa w Drozdowie. Chodnickiemu zrobił stolarz, jeden z Polaków trumnę z desek, co tam się tego nie praktykowało. Głębokiego dołu wykopać nie było można, bo już po jednym metrze głębokości dołu wykopać nie było można, bo już po jednym metrze głębokości dalej jest ziemia zmarznięta wiecznie i nigdy nie odmarza.

Obok Chodnickiego spał Bosowski, powiedział, że na dwa dni przed śmiercią Chodnicki jeszcze pomału poszedł do lekarza i prosił żeby mu dali chociaż 2 dni zwolnienia od pracy, bo już iść nie może ale zwolnienia nie dostał, poszedł położył się i na trzeci dzień zmarł.

Do roboty już z Polaków mało kto chodził, zebraliśmy się u porucznika Witkowskiego -

podporucznik Bosowski, sierżant Konieczny, Józef Iwanowski i paru innych i ja. Naradzamy się co dalej nam wypada robić. Nie odsyłają nas do Koźwy, tam podobno dadzą nam dokumenty ale my tu nic nie wiemy. Ja mówię najprzód pójdziem na cmentarz, obszykujem mogiłę Chodnickiego i zrobimy z brzożowych drążków ogrodzenie i postawimy z grubej brzoży krzyż. Do cmentarza było nie tak daleko, około jednego kilometra. Ale co to był za cmentarz ani jednej mogiły nie było widać a zamiast mogiły to tylko był dołek pomiędzy krzakami i ziemia nawet niepełna w tym dołku i z niektórego to wychodził swąd, bo był mało zasypany. Zgoda, na razie idziemy na cmentarz, wzięliśmy dwie siekiery i idziemy. Witkowski idzie pierwszy a my za nim. Po półgodzinnym marszu jesteśmy już na miejscu, przy mogile Chodnickiego.

Najprzód tośmy się pomodlili za świętej pamięci dusze Piotra Chodnickiego. Mogiła była obłożona darnią po bokach i nawet dość szeroko, tylko jeszcze trzeba było poprawić to ułożenie tej darniny i w wyższej połowie też z darniny ułożyć krzyż. Ja mówię, że ja z Iwanowskim się tym zajmę a wy idźcie w dwóch grupach szukać 1-nej brzoży na 6 słupków i cieńszych brzożek na ogrodzenie mogiły. Zeszło nam ze dwie godziny, już było 6 słupków i na ogrodzenie brzożki cieńsze. My z Iwanowskim też kończyliśmy, znaleźliśmy dość ładną murawę z której zrobiliśmy ładny krzyż na mogile. teraz umawiamy się na jutro, jeden pójdzie do stolarza co zrobił trumnę, niech on ohebluje kawałek deski a ołówek to na pewno on tam ma. Niech na desce napisze św. p. Piotr Chodnicki z Jedwabnego, zmarł 20 V 1941 r. - cześć jego pamięci.

Drugi zmarł Polak z Ostrołęki, młody podchorąży lat około 25, nazwiska jego nie wiedziałem i mogiły jego nie znalazłem. Na drugi dzień zebrałiśmy się rano, jeden poszedł do stolarza za deską i gwoździami. Stolarz jeszcze pracował, chociaż już dawno było po amnestii. Zaraz znalazł kawałek deski oheblował i wypisał tak jak miał napisane na kartce, gwoździ też dał. Gdy już mieliśmy wszystko, poszliśmy na cmentarz, ale zeszło nam długo zanim znaleźliśmy grubą brzożę na krzyż, bo trzeba było znaleźć taką żeby była gruba i prosta, no i znaleźliśmy taką. Pożyczyliśmy piłę od stolarza to już zrobiliśmy ładnie wszystko. Najprzód postawiliśmy krzyż dwa metry wysoki z przybitą deską i na niej było napisane imię, nazwisko skąd i data śmierci i cześć jego pamięci.

Ogrodzenie zrobiliśmy 4 słupki grubsze po rogach i 2 słupki cieńsze pośrodku i potem przybiliśmy po 4 zgrabne brzożowe drążki po bokach i już nic tu nie mieliśmy do zrobienia, jeszcze raz pomodliliśmy się za dusze św.p. Piotra Chodnickiego i św. p. podchorążego, nazwiska jego nie znam, tylko wiedzieliśmy, że on był z Ostrołęki.

Gdy wróciłem porucznik Witkowski mówi w moim baraku jeszcze nie ma nikogo, chodźcie do mnie, to porozmawiamy, już zeszła cała tydzień a oni nas nie odsyłają do Koźwy a tam mamy otrzymać dokumenta wolności i podobnie gdzie kto zechce jechać to oni nam dadzą tam skierowanie. Teraz nic nie wiemy co się dzieje na froncie, czy Niemcy już zdobyli Moskwę, czy idą dalej, to jest dla nas bardzo ważne. Gdyby się tak stało to my tu siedzieć nie będziemy, ja myślę mówi dalej Witkowski, że jak Moskwa jest już zdobyta to moim zdaniem my rozbroimy posterunek bojców i z magazynu nabierzem żywności, karabiny i naboje i pójdziem do Koźwy, tam naszych Polaków będzie dużo a bojców będzie mało, bo tam ich dużo nie potrzeba.

Na razie cicho sza, nikt więcej nie może wiedzieć, o czym my tu dziś rozmawiali; zobaczymy co będzie dalej i rozeszliśmy się, każdy do swego baraku.

Na drugi dzień przyszedł statek parowy, przywiózł różne towary i dali nam znać, że dziś tym statkiem odjedziemy do Koźwy. No i prosili nas żebyśmy pomogli go wyładować, to wcześniej pojedziemy, na co my się chętnie zgodziłem i w dwie godziny później już jechaliśmy wszyscy Polacy do Koźwy po dokumenta wolności.

Przyjechaliśmy nad wieczorem, zakwaterowali w barakach i powiedzieli, że będą nas zawiadamiać kiedy przychodzić do kancelarii po dokumenta. W Koźwie już było tam parę tysięcy ludzi, dużo było całych rodzin z dziećmi a mężczyzn i starych i młodych w różnym wieku było bardzo dużo.

Ale z tymi dokumentami też nie było łatwo, wywoływali na dzień 10-ciu, czasem 15-stu a nieraz tylko 5 czy 8, różnie to było. Trzeba czekać nieraz kilkanaście dni. Ja chodziłem bardzo zamyślony, nie wiedziałem czy oni tu będą badać, czy tylko jakieś zapytania będą. I tak całe dnie myślałem żeby tu znowu jakiegoś słowa głupiego nie powiedzieć jak w Mińsku przy ogłoszeniu mi wyroku przez sędziego. Powiedziałem mu, że ja myślę u nich siedzieć tylko dwa lata. Musiałem za te słowa dużo odcierpieć, szczególnie już po ogłoszeniu amnestii dla Polaków w izolatorze.

Po paru dniach oczekiwania przyszła kolej na mnie. Przyszedł urzędnik z kancelarii i odczytał moje nazwisko i powiedział pójdzim po dokument wot tam i pokazał nieduży budynek palcem. Ja już byłem zdecydowany dostać się do wojska polskiego, tylko nie jestem pewny, czy mnie skierują.

Do tego budynku wchodzi, drzwi były otwarte, stało tam biurko, przed biurkiem stało krzesło i za biurkiem na krześle siedział starszy już łysy, tylko po bokach głowy miał włosy i porządnie był ubrany w krawacie, mało tam się takiego spotykało. Gdy szło się na śledztwo zawsze musowo było



powiedzieć zdrastwujcie grażdanan śledowaciel, mało kiedy odmówił zdrastwuj, przeważnie obrugał i nawyzywał i dopiero kazał siadać na taborku i ręce kłaść na kolana a jak się szło do naczelnika to samo się mówiło. a jak do sędziego to tak samo się mówiło.

Spojrzałem, że on był tak ładnie ubrany, to trzeba go nazwać sędzią i mówię zdrastwujcie grażdanan sędzia. On się uśmiechnął i mówi proszu siadajcie. Usiadłem, patrzę na biurku leżą moje protokoły ze śledztwa, tak jak były dawniej szpagatem obwiązane i opieczutowane po rogach i na środku a pod tą pieczęcią jest podsadzona różowa kartka, która oznacza szpieg, albo partyzant.

Urzędnik pyta się mnie jak zwać, mówię Pieńkowski Aleksander Mateuszewicz. A kuda ty chcesz jechać, może masz tu familie, to daj adres, to ja wydam dokument i pojedziesz do familii a jak nie masz familii, to może masz gdzie znajomych a może chcesz po zawodzie pracować, to ja cię tam skieruje i będziesz pracować po zawodzie. A ja jemu mówię grażdanan sędzia ja chcę jechać do polskiej armii. A on się pyta a kogo ty chcesz bić, a ja jemu mówię to czo wy nie znajecie kogo - germańca to jest nasz wróg. A on się pyta a czo my dla ciebie. No zadał mi takie pytanie, że ja nic nie odpowiedziałem, bo mnie nic nie pasuje, powiedzieć przyjaciel to będzie, że ja go chce oszukać, bo on obejrzał się w stronę moich papierów i ta różowa legitymacja oznacza czym oni dla mnie są. Powiedzieć oni są wrogowie to on może się rozgniewać i nie da mi papierów do wojska.

Gdy on się pyta drugi raz no to czo my dla ciebie gawaryj. Jak błyskawica w głowie mi się przewraca i mówię, wy tożecie wróg ale nie taki jak germaniec a on się pyta a dlaczego nie taki jak germaniec, a ja jemu mówię znajecie czo aby nie germaniec, to ja bym tu u was nie był. On chwilę pomyślał i mówi ty prawdziwie gawarysz charaszo połuczysz dokument w armii i bij job ich mać germańców.

I zaraz wziął papier drukowany, wypełnił go i powiedział jedzcie do polskiej armii bić germańca, ja odpowiedziałem charaszo, dziękuję wam. Za parę dni do wojska zapisało się ochotników 42-ch. Obraliśmy sobie komendanta wagonu, bo dali nam wagon oddzielny i piecyk żelazny i toporek do cięcia drzewa, którego dużo nacielim do wagonu. Komendantem obraliśmy Paśkiewicza z okolic Wilna a całego transportu był porucznik Podczasiak. Tych 42-ch co się zapisałem do wojska przyszedł urzędnik z kancelarii, wyczytał wszystkich i poprowadził nas do banku, tam wypłacili nam po 150 rubli na każdego, miało tego starczyć na 10 dni do Buzułuku i mieliśmy tam już zajechać. Bilety kosztowały 65 rubli od osoby. Ja przed wyjazdem z Kedrowego Szoru też odebrałem 28 rubli, które miałem zarobione ponad plan. W ostatniej chwili upomniałem się i mnie wypłacili. Pozatem zaprowiantowali nas też na 10 dni. Ten sam co nas zaprowadził po pieniądze, potem zaprowadził nas do łarka w którym kupiliśmy po 2 1/2 kg chleba, po 2 1/2 kg sucharów, po 2 kg śledzi, po 25 deko masła i margaryny i 5 pudełek papierosów, po 20 sztuk w każdym. Był to specjalny łarek dla odjeżdżających do wojska. Po zakupieniu wszystkiego na 5 dni od razu poszliśmy na stację kolejową do której było 3 kilometry, wchodzimy tam a tu ludzi pełno, jedni siedzą, inni leżą i śpią na podłodze glinianej i na ławkach i jest nawet trudno się ruszyć. Tak pomału przeszliśmy całą stację, że może gdzieś będzie luźniej się zatrzymać, czy chociaż gdzieś się oprzeć o ścianę ale gdzie tam, wszędzie jest pełno. Drapią się a inni tylko ramionami ruszają w podartych łachmanach przeważnie, może jedna trzecia była możliwie ubrana. W Koźwie mówili nam, że tam dadzą nam wszystko nowe ale nikomu nic nie dali. Prawda, że ja dostałem nowy buszłak ale zamieniłem go za chleb i dostałem stary, za 2 bochenki chleba ale i ten nie był łatany, tylko zabrudzony ale mnie było wszystko jedno aby się najęść, bo najgorszy był głód. Ja na stacji zamieniłem dwie paczki papierosów za chleb dwa bochenki.

Dopiero trzeciego dnia przyszedł pociąg do Koźwy i na wieczór nim odjechalim na południe w stronę Kirowa. Pociąg był bardzo długi, chyba było ze 40 wagonów. Jechali Polacy, jechali Ukraińcy a najwięcej Żydów z rodzinami, chociaż i Polaków z rodzinami było bardzo dużo.

W Kirowie doczepili parę wagonów, też przeważnie z Polakami i Żydami. Na drugim torze stał pociąg, który szedł w przeciwną stronę do Koźwy z rodzinami ruskimi, oficerowie z żonami i niektórzy z dziećmi. Pewnie dopełniali miejsca, które my opuścili.

Było to 21 10 41 r. Z Kirowa jedziemy do Świerdłowska, w tym mieście w czasie rewolucji zamordowali cara i całą jego rodzinę bolszewicy. Ładne to było miasto i dosyć czyste i duże. Komendantem wagonu był Paszkiewicz z Wilna, za cara mieszkał w Rosji i był na pociągu towarowym maszynistą, mówił po rosyjsku bardzo dobrze tak jak i po polsku. W czasie rewolucji przeprowadził się do Wilna, potem został aresztowany i osądzony na 10 lat łagrów w archangielskich lasach.

Mniej więcej przed miastem Świerdłowskim w połowie drogi zatrzymuje się nasz pociąg w małym mieście, nasz komendant wyszedł i niedługo wrócił do wagonu i mówi dawajcie dokumenty, bo tu mamy dostać chleb i mówi, że tu to pewnie będziemy stać dłużej, wziął dwóch ludzi i worek i poszli po chleb. Ja też wyszedłem z wagonu i za mną wyszedł młody chłopak z za Jedwabnego. Dopytałem się, że tu można kupić na bazarze mięsa 2 kg podgardla. Była tam duża kolejka ale poszedłem wprost do wagi. Krzyczały na mnie kobiety - oczereć, oczereć ale rzeźnik złapał od razu podgardle

zważył, zapłaciłem ile chciał. Gdy wróciłem i szukam swego pociągu ale już odszedł. Tego chłopaka zostawiłem, gdy poszedłem na bazar żeby tu czekał aż ja wrócę ale chłopaka też nie było, gdzie go zostawiłem. Myślę sobie może poszedł do naszego pociągu i wsiadł do swego wagonu i pojechał. Ale dla pewności podszedłem ulicą w jedną stronę jakieś sto metrów. Ludzi idzie pełno, jedni w tę stronę, drudzy w przeciwną ale najwięcej to tych ludzi z łagrów.

Przyglądam się czy jakiegoś znajomego nie zobaczę ale nie widziałem, wracam z powrotem i znowu idę i szukam tego chłopaka. Doszedłem do tunelu. Przeszedłem tym tunelem na drugą ulicę ale się przyglądam bo w tym tunelu to ludzie jedni w tę stronę, drudzy w przeciwną, jak pszczoł w ulu ale znajomych nie spotkałem. Idę tą ulicą a przy słupie stoi ten chłopak i płacze, łzy ociera i mówi już myślałem, że i pana więcej nie zobaczę.

Za miastem idziemy obydwa w stronę Świerdłowska, stoi jakiś pociąg, jakieś dwa kilometry od tego miasta. Mówię pójdziem do tego pociągu, może to nasz pociąg i idziemy torem kolejowym, nie wiedząc, że torem nie wolno chodzić. A od tego pociągu idzie dwóch streków z karabinami na ramionach. Jeden był jakiś starszy i stoją, krzyknął - ustalim on mówi pokazać dokumenty, ja mówię my swoje dokumenty oddalim komendantowi wagonu, on poszedł po chleb dla całego pobrać. A gdzie wasz pociąg stoi, ja mówię, że już odszedł, może to ten co tam stoi, my do niego szlim zobaczyć. On mówi, że w tym pociągu nie ma ludzi, bo to pociąg towarowy.

A co wy za jedni, skąd przyjechaliście, ja mówię, że my jesteśmy Polacy i jedziemy do polskiej armii. No to pójdziem do miasta i tam sprawdzim i potem mówi a wiecie, że po torze kolejowym nie wolno chodzić. Ja mówię, że my nie wiedzielim, no to się zaraz dowiecie.

Już jesteśmy z powrotem w mieście idziemy ulicą naprzeciw nam idzie znowu dwóch enkawudzystów z psem i zatrzymują nas i ci co nas zawrócili mówią im, że szlim torem kolejowym i oni nas prowadzą do swego zarządu, bo oni nie mają udostowierenyj /dokumentów/. Ci znowu nas się pytają cośmy za jedni, ja powiadam jesteśmy Polacy zwolnieni z łagrów, pociąg nasz odszedł, gdyżmy poszli do miasta coś kupić i ja kupiłem mięsa a my jedziemy do polskiej armii, bić gemańca.

Jeden z tych enkawudzystów powiedział im żeby nas zaprowadzili na ulicę jakąś i że tam jest dom dla przejeżdżających Polaków z łagrów, to tam się nimi zaopiekują. Gdyśmy już weszli do tego domu, ci co nas przyprowadzili zaraz odeszli. Ja zaraz się zameldowałem, dostaliśmy zaraz kartki na obiad bezpłatny, zjedliśmy i myślę - no dobrze ale co z dokumentami, bez nich nie dadzą chleba ani jakiegoś obiadu a nawet mogą nas zatrzymać gdzieś na stacji. Więc radzę się tam co ja mam robić.

Przez ulicę był jakiś urząd, więc mówią mi żeby tam poszedł to może nam dadzą jakieś dokumenty do miasta Świerdłowska, bo tam nasz pociąg odszedł. Weszliśmy do tego urzędu, powiedziałem zdrastwujcie, odpowiedzieli i ja znowu powiedziałem jak było i proszę o jakiś dokument.

Wysłuchał mnie sam naczelnik i powiada - tak, wam nic nie trzeba żadnych dokumentów, tylko idźcie na stację i jak będzie pierwszy pociąg szedł na Świerdłowsk to siadać do niego i jechać szukać swój pociąg. Poszlim na stację i czekamy. Do wieczora żaden pociąg nie szedł. Wieczorem przyszedł pociąg na drugi tor, wagony kryte, pozamykane na plomby i był tam doczepiony jeden pociąg sanitarny ale nim nie wolno jechać cywilom. Chodzimy i czekamy kiedy on będzie odchodził to my na schodki wskoczym i pojedziemy i tak zrobiłim i jechalim całą noc, on na jednym schodku a ja na drugim. Tak dojechalim do Świerdłowska, gdy tylko pociąg się zatrzymał zaraz wyszedł z niego sanitariusz a my też tylko ze schodków zeszlim. On zobaczył i dalej nas rugać, że nie wolno tym było jechać i mówi uciekajcie żeby komendant nie zobaczył bo by was mógł zaaresztować.

My nie zwlekając poszlim szukać swego pociągu a jeść się chce aż coś w środku ścisza. Na stacji nic kupić nie można, pociągów jest kilkanaście ale naszego nie ma. Idziemy do dyżurnego ruchu, pytamy się czy taki pociąg był już z Koźwy i mówię taki numer tego pociągu. On mówi, że nie wie czy taki był, to ja się pytam a kto wie, on mówi ten będzie wiedział co chorągiewką macha na odjazd pociągu. Z godzinę go szukamy i nie widać takiego z chorągiewką. Stoimy i patrzymy czy gdzie się nie pokaże i jak raz pokazał się, idziemy do niego i pytamy się czy był taki pociąg z Koźwy, on mówi, że były z Koźwy pociągi ale ja na numery nie patrzę i nie wiem czy już taki poszedł.

Pytam się jego gdzie tu by można coś kupić do jedzenia, powiada, że tu blisko stacji to już wszystko wykupili ale idźcie tą ulicą jakieś 200 metrów, tam jest hotel Kołchoźnika, tam sobie kupicie. Poszlim i znaleźlim ten dom Kołchoźnika. Zachodzimy sala dość duża, stolików ze 20, przy nim taborki do siedzenia zaraz przy wejściu na prawo stoi bufet a za nim stoi bufetowy w białym fartuchu ale na tym bufecie nic nie widać do jedzenia. Przy niektórych stolikach siedzą ludzie ale nic nie jedzą, tylko próżne kubki przy nich na stole stoją. Podchodzę do bufetu i pytam się można kupić coś do jedzenia. On powiada, że do jedzenia to już nie ma nic, tylko jest kipiatak, bolsze niciewo niet, bo uże prodali. Mówię 4 kubki tego kipiatku mówię, choć się rozgrzejem tym kipiatkiem. Miał bloczek napisał 4 kubki kipiatki - 2 ruble zapłaciłem, obok bufetu były drzwi, dał ten kawałek kartki i pokazuje te drzwi i mówi żeby tam iść, idziemy była dość duża kuchnia i w niej 3 kobiety w białych fartuchach ale już dość brudnych. Na kuchni gotował się w trzech kociołkach ten kipiatak. Jedna kobieta złapała za



czerpak i nalała 4 kubki, 2 sarna wzięła a nam każe te drugie dwa brać i otwiera drzwi i wychodzimy na salę, do stolika, postawiła i odchodzi a ja jej mówię a gdzie cukier, ona nie zrozumiała bo po rusku to sachar, mówię dajcie sachar, ona ramionami ruszyła i mówi, że nie ma sacharu i poszła.

Rozgrzać to my się dobrze rozgrzali ale jeść się chce. Idziemy z powrotem do stacji, przyszlismy do tego tunelu i po schodach wyszlim na ulicę przy stacji. Idziemy tą ulicą w stronę gdzie na przeciw stoi duży pociąg, może podeszlim jakieś 40 metrów a na przeciw nas idzie 3-ch z naszego wagonu. Ja ich pytam czy i oni się zostali, tak jak my a pociąg poszedł a oni mówią, że my dopiero przyjechali i nasz pociąg stoi 4-ty od stacji. my się bardzo ucieszyli, może tam jest chleb dla nas a na przeciw idzie znowu nasz komendant porucznik Podczasiak. Ja pytam się czy jest chleb dla nas i czy są nasze dokumenty. On powiada, że do wagonu naszego oddali chleb i razem dokumenty. Przychodzimy do swego wagonu, ja zaraz wody do kociołka nalałem, kawałek podgardla urznąłem a on już swój chleb wtrącał aż mu się uszy trzęsy. Ja też wzięłem się za wtrącanie chleba, trochę podjadłem i ogień rozpalilem i podgardle gotuję. Wszyscy się patrzą, ja jeszcze połowę chleba miałem. Jak już było trochę podgardle miękkie, wyjąłem i dalej się równa dwa dni głodówki. Mały kawałek dałem temu co ze mną chodził podgardla. Ale on już chleb zjadł to tylko zakąsił i palce oblizywał. Ukroilem kawałek i dałem Paszkiewiczowi, naszemu komendantowi wagonu, podziękował mi i powiedział - ja panu oddam jak będę miał. Tego dnia nie odjechalim, na obiad dostalim po czerpaku makaronu okraszonego olejem.

Na wieczór mamy dostać chleb po 900 gram, we trzech poszli z workami w kolejkę, która już była bardzo długa. Chleb przynieśli i w nocy odjechalim. Do chleba prawie wszyscy gotowali sobie wodę. Ja miałem dwulitrowy kociołek miedziany to kto nie miał żadnego naczynia to gotował w moim kociołku. Inni mieli kubki, to w nich gotowali sobie, inni zagrzali aby ciepła woda była, to taką pili. Ja jeszcze miałem do chleba podgardle, gotowaną wodą popilem i położyłem się spać.

Przyjechalim do jakiegoś większego miasta, komendant Paszkiewicz poszedł się dowiedzieć czy dostaniemy chleb ale wrócił i powiedział, że tu nie dostaniemy, tylko w następnym mieście dostaniemy i obiad, jak będzie, bo dużo długich pociągów przejeżdża więc może i zabraknąć. No jest nadzieja może i natrafimy i my na obiad i chleb, to się najemy.

Czekamy z niecierpliwością żeby jak najprędzej jechać a tu jak na złość nie jedziemy. O godzinie dopiero 12-tej w południe jedziemy dalej, po 3-ch godzinach przyjechalim do jakiegoś miasta. Komendant całego transportu porucznik Podczasiak zaraz poinformował się gdzie dostaniemy obiad i chleb, no i dostalim chleb i poszlim na obiad do jadłodajni. Podali nam do stolików kaszę z kukurydzy, dość dobra była, bo się jeść bardzo chciało. Na wieczór poszlim do tej samej sali na kipiatok, dostalim po czerpaku czystej gotowanej wody i wrócilim do swego wagonu. Zapasy żywnościowe wszystkim się wyczerpały, w wagonie prócz mnie byli wszyscy głodni, mnie podtrzymywało to podgardle ale też już się kończyło.

Rano pociąg nasz ruszył i dojechalismy do Uzbekistanu. Zatrzymalismy się przed Taszkientem w małym mieście i tu nam nic nie dają ni chleba, ni obiadu, powiedzieli, że dostaniecie w Taszkencie. Cały dzień pociąg stał na stacji. Prawie z wszystkich wagonów powychodzili ludzie i kobiety i dzieci i mężczyźni oglądają się czy by gdzie można było coś ukraść, bo kupić nie było za co i zresztą i do kupienia też nic nie było. Pociągów na każdej stacji stoi po kilka, to z rana kto miał pieniądze to coś kupił.

Nad ranem lokomotywa gwizdnęła i jedziem, już mówią, że do Taszkientu a tam w nim mamy dostać wszystko - obiad, chleb i dla tych co jadą do wojska zasiłek pieniężny. Przyjechalim przed południem. Komendant całego pociągu Podczasiak zaraz poszedł po urzędach dowiedzieć się gdzie mamy co dostać, wrócił dopiero po pół godziny czasu, najprzód otrzymalismy chleb po 900 gram, potem zaprowadził nas do stołowej na obiad. Był bardzo dobry makaron, dość gęsty i od oliwy aż żółty po wierzchu. Każdy zjadł ze smakiem, tylko, że wczoraj obiadu nie jedlim, to dziś tylko zjedlim i zaraz znowu byśmy drugi taki zjedli, bo jeść się chce.

Za godzinę przyniósł do naszego wagonu zasiłek po 10 rubli dla całego transportu a całe rodziny po 20 rubli ale za te 10 rubli to można było kupić kg chleba i to od złodziei handlarzy.

Każdy Polak po amnestii dostał dokument nazywany Udostowierenia, za tym udostowiereniem gdzie zastał chleb w tak zwanych łarkach i pokazaniu tego mógł kupić 1 kg chleba, to też trzeba było być bardzo ostrożnym żeby go nie stracić albo żeby jakiś złodziej nie ukradł. A i trafiali się kupcy co chcieli kupić od Polaków takie papiery a byli znowu tacy co chcieli sprzedać swoje udostowierenia, bo w każdym dużym mieście były takie polskie placówki.

To jak się tam do nich kto zgłosił i powiedział, że mu ukradli to wydawali albo kto zgubił to też wydawali i nieraz po parę rubli zapomogi dawali. W Taszkencie były takie pogłoski, że już do polskiego wojska nie przyjmują na razie i okazało się, że jest to prawda, bo zamiast jechać do Buzuluku, tam gdzie nasze wojsko polskie się organizowało cały transport skierowali do Kakantu.

Po paru dniach podróży wszyscy byliśmy bez pieniędzy i bez żywności. Przed Kakantem

zatrzymał się pociąg na stacji. Zaczynało się już ściemniać, zaczął popadywać śnieg. Siedzą wszyscy głodni i smutni a był między nami Edward Ryk z Łodzi, chudy miał lat 19, bierze i wysiada na tej stacji i poszedł wzdłuż wagonów, za jakieś pół godziny wrócił, włożył do wagonu, wziął toporek od rąbania drzewa i powiada panowie ja jestem za młody żebym miał umrzeć z głodu, idziem kraść, kto pójdzie ze mną. Pierwszy wstał ten młody chłopak Antek z za Jedwabnego, ten cośmy zostali się a pociąg nasz odszedł, nazwiska jego nie pamiętam.

Wyskoczyli z wagonu i od razu poszli przez tor na którym stał pociąg towarowy. Jak oni wyszli to my drzwi zasunęliśmy, bo zimny wiatr ze śniegiem padał ale ja co jakiś czas to odsuwam tę połowę drzwi i wyglądam czy nie idą i czy co nie niosą na plecach ale już kilka razy wyjrzałem i nic nie widać, tylko śnieg pada. Za parę minut znowu wyglądam ale patrzę idą i na plecach niosą jakieś worki. Mówię idą i niosą na plecach worki.

Wszyscy posiadali a ja mówię jeden do mnie, odsunęlim więcej tę połowę drzwi. Ja stoję z jednej strony a ten stoi z drugiej strony. Jak tylko oni podeszli do wagonu ja złapałem za worek i wciągnąłem do wagonu, drugi to samo zrobił i zaraz zasunęlim drzwi i się patrzę worki papierowe obydwu. U nas w Polsce to w papierowych workach to tylko był cement. Myślę sobie pewnie cementu przynieśli ale zaraz jeden worek poszczupałem - twardy, mówię to będzie cement ale odpruwają z wierzchu jeden worek, patrzę rodzynki, tak były skawalone jak cement. Ryk mówi kto ma taki większy kubek to niech da. Jeden podał blaszany kubek 3/4 litra. Antek te rodzynki rozdłubywał a Ryk kubkiem dzielił, każdemu po jednym kubku. Obdzielił wszystkich tylko jednym workiem a drugi cały nie naruszony został.

W trzecim wagonie z tyłu od nas jechali sami Żydzi przeważnie bogaci, mieli pieniądze ale Ryk chociaż był młody chłopak był cwaniakiem, wziął w kubek tych rodzynek i poszedł do tych Żydów sprzedawać a te Żydki to były całe rodziny i z dziećmi, jak zobaczyli to zaraz jeden kupił od niego te rodzynki. Ale wszyscy chcieli kupić tych rodzyneków, to on im powiedział, że jeszcze przyniesie, przyszedł otworzyli drugi worek i z tym Antkiem co z nim razem ukradli zaczęli rozdrabiać i sypać do tego już próżnego worka. Gdy nasypali pół worka Ryk kubek też do worka włożył i worek z rodzynekami pod pachę i poszedł do wagonu Żydów. Za pół godziny wrócił, miał na sobie taką lichą bluzę z 4-ma kieszeniami, to w jednej górnej kieszeni miał rubli papierowych aż mu ta kieszeń odstawała.

W nocy mogła być godzina 11-ta, nasz pociąg gwizdnął i zaraz jechalim gdzieś w stronę, do miasta Kakantu. Zajechalim aż na godzinę 10-tą w dzień. Każdy jest głodny a tu nic nie dają, bo już 3 pociągi stoją drugą dobę, to już oni chleb dostali i więcej nie ma a obiad to może dostaniem ale jak oni dostaną wprzód a my jak starczy.

Ryk znowu po kubku rodzynek dał każdemu z nas. Ale to głodu nie zaspokoilo, tylko smak pozostał w ustach i wspomnienie, że już minęło 2 lata jak przed wojną na każde święta miał w domu placki z rodzynekami.

Rano dojechalim do jakiegoś mniejszego miasta, chleb otrzymalim, wody wiadro przynieśli, chleb każdy zjadł i popijał czystą zimną wodą, bo nie było drzewa i już jedziem dalej. Przed wieczorem dojechalim do dużego miasta. Na stacji był ruch, tłumy ludzi, jedni idą w tę stronę, inni w przeciwną

Na stacji stało kilkanaście pociągów osobowych i towarowych. Ryk poszedł się przejść po stacji, powęszyć i obejrzeć co by się dało wieczorem albo w nocy ukraść. Gdy wrócił to podszedł do Antka i coś mu powiedział, Antek kiwnął mu głową i Ryk odszedł od niego. Pociąg stał i stał do wieczora, gdy się już dobrze ściemniło Ryk toporek wziął do ręki, Antek już podszedł do niego ale już i trzeci młody chłopak podszedł do Ryka i mówi i ja pójde z wami, Ryk powiada no to chodź.

Wyskoczyli z wagonu, Ryk toporek schował pod bluzę i poszli. Wszyscy czekamy co oni przyniosą, czy im się coś uda ukraść, przecież wagony jak się w nich coś wiezie, to są zamknięte i plomby wiszą, to nie jest taka łatwa sprawa.

Czekamy już chyba z godzinę, nic nie widać ani ich, ani nikogo, ciemno a u nas drzwi uchylone, tylko ni co raz to wyglądasz, my czy nie idą. Jeszcze zeszło około godziny, ja wyjrzałem i widzę idą i przy uchylone głowy widać worki na plecach. Ja zawołałem jeden do mnie, bo idą i niosą jakieś worki na plecach. Jeden się zerwał, drzwi odsunęlim szerzej i gdy oni tylko podeszli do wagonu ja złapałem jeden worek, wciągnąłem go do wagonu, tamten wciągnął drugi worek, potem trzeci i drzwi zsunęliśmy.

Każdemu się lżej na duszy zrobiło, zawsze się coś dostanie. Ale na razie wszyscy się uciszylim, bo może będą szukać, to jak usłyszą mowę, to zaraz każą otwierać drzwi ale jakoś do rana jest normalnie. Ludzie chodzą, rozmawiają a my drzwi trochę uchylili aby trochę światła było. Ryk pyta się kto ma miskę, niech da. Jeden podał miskę, mogło w nią więcej wejść jak kilogram. Worek już rozwiązali i Ryka każdemu zaczerpnął pełna miskę tej mąki i z tego jednego worka obdzielił wszystkich, 42 nas jechało w tym wagonie.

Każdy miał jakąś torbę z rękawa, czy jeszcze z domu. Ja miałem z doniu, co mi przyniósł do



samochodu, gdy byłem już aresztowany mój syn Zbyszek, w niej wędzone podgardle i chleb. Mogło w nią wejść i z 10 kg. Ale co z mąką robić, jest woda też ale nie ma drzewa, bo się nie postaraliśmy. Ale pomału, to po kawałku, to ten przyniósł, to drugi w kieszeni kawałek węgla, na dużej stacji to można było coś znaleźć.

Ryki poszedł do wagonu Żydów i jeden worek mąki im sprzedał a 3-ci worek jeszcze podzielił nam. Drzewa się nasi postarali, już się w piecyku pali. Ja w kociołku już gotuję kluchy, inni dokoła kociołka pieką sobie kołaczki i tak cały dzień gotowaliśmy i piekaliśmy i jeszcze na drugi dzień zostało po trochu mąki. Każdemu się trochę na duszy lżej zrobiło.

Przed wieczorem lokomotywa gwizdnęła raz i drugi, znowu jedziemy dalej. Pociąg skierowali do Farabu, tam mamy dostać chleb i obiad. Przyjechalim do tego Farabu na godzinę 9-tą rano. Komendant pociągu Podczasiak poszedł się dowiedzieć o chleb i obiad. Gdy wrócił zaraz poszedł po wagonach i powiedział, żeby z każdego wagonu dwóch ludzi zebrało dokumenty i poszło po chleb z workami zająć kolejkę i ja tam też będę, obiad mamy tu dostać w stołowej. Zaraz od nas poszło dwóch po chleb z dokumentami do piekarni i po 900-gram chleba dostali i przynieśli, rozdali i poszli prawie wszyscy z naczyniami, jakie kto miał po obiad ale wszędzie za kolejką i to nieraz bardzo długa.

Ryk poszedł wzdłuż wagonów obejrzeć z myślą, że jak będziemy stać do wieczora to może w nocy da coś się zwędzić. Dokument i menażkę na obiad dał Antkowi, żeby mu przyniósł. Pociągów na stacji stało 3 z ludźmi i jeden towarowy, który był pozamykany na kłódki i na kilku wisiały plomby.

Obiad dostaliśmy aż nad wieczorem. Po kolacji Ryk poszedł do Antka i coś walnie długo rozmawiali, pewnie na rajkę w nocy się umawiali. Wieczorem dwa pociągi z ludźmi odeszły, towarowy jeden został. W nocy Ryk obudził Antka i bierze toporek do ręki i odsuwają połowę drzwi i wyskakują a za nimi wyskoczył ten młody trzeci, co już worek mąki przyniósł, poszli we trzech. Za jakąś godzinę ja wyglądam idą i coś niosą, traciłem jednego nogą co spał blisko drzwi, mówię wstawaj bo coś niosą. On się zerwał, drzwi więcej odsuneli, oni jak raz przyszli z workami na plecach, my w mig każdy worek z pleców do wagonu i oni wleźli. My zaraz drzwi zasunęliśmy, przy świetle z piecyka otwieramy jeden worek, jest w nim kasza jaglana. Ryk zaraz tą samą miską zagarnia pełną i daje każdemu, rozdał nam 2 worki a 3-ci oddał rodzinom co z dziećmi jechali tym samym pociągiem, w tylnych wagonach.

W nocy, może już była 2-ga godzina, z tej stacji pociąg gwizdnął i odjechaliśmy, mówili, że prawdopodobnie jedziemy do Taszkientu. Nie wiem przed jakim miastem się pociąg zatrzymał, parowóz odczepili, pojechał na stację, chyba po wodę ale nikt nie wie jak my długo tu będziemy stać.

Jeden z naszego wagonu wziął wiadro i poszedł też po wodę, inni też poszli za drzewem. Zeszło już ze dwie godziny, parowóz nie przychodzi. Przynieśli trochę drzewa, przyniósł wodę i zaczęliśmy sobie gotować na piecyku kaszę jaglaną. W moim kociołku gotujemy we dwóch z komendantem Paškiewiczem. Ale to się kasza aby tylko rozparzyła, już się jadło, bo kociołek był potrzebny dla innych, którzy czekali. Inni w kubkach sobie parzyli aby tylko rozgrzać tę kaszę.

Parowóz przyszedł, doczepili i jedziem, na stacji wcale się nie zatrzymał, nawet nie wiadomo przez jakie miasto przejechaliśmy.

Na drugi dzień około godziny 11-ej zajechaliśmy do miasta Czkałowa. Duże to było miasto i dość ładne kamienice 3 i 4-ro piętrowe, stacja bardzo duża była i pociągów i osobowych i towarowych i dwa towarowe pełne ludzi, przeważnie Polaków i Żydów z Polski z całymi rodzinami. To wszystko jechało z Syberii i archangielskich lasów na południe, tam będzie cieplej, tam gdzie się polskie wojsko organizuje, może tam prędzej jeść nam dadzą. Z taką nadzieją wszyscy jechali na południe i prawie wszyscy głodni.

Przy torze, z prawej strony był tam wolny plac. Tam paliło się kilka małych ognisk. Kobiety tam gotowały dla swoich dzieci kartofle, czy kaszę, co kto miał to gotował aby dzieci nakarmić i samej też choć trochę zjeść. A z niektórych wagonów i ojciec poszedł na miasto, może co kupić dla dzieci i siebie, więc dzieci zostały same w wagonie a tu parowóz gwizdnął i odchodzi. Dzieci krzyczą mamó wracaj do nas, bo pociąg już jedzie, kartofle jeszcze się nie ugotowały, matka łapie za gamek i leci ale gamek gorący, nie wie co robić, rzucić szkoda, bo tam czekają dzieci głodne a tu ręce pali a dzieci bez przerwy wołają - mamó wracaj szybko, bo my same zostaniemy, taty też nie ma.

Niektóre z tych matek zdążyły wsiąść ale nie wszystkie, bo chociaż pociąg z miejsca pomału ruszył ale później pojechał normalnie i strasznie bolesny krzyk tylko było słychać aż za serce łapało, dzieci w obcym kraju bez matki i bez ojca. Straszne rzeczy się działy i to nie tylko w tym jednym pociągu ale bardzo dużo. Takich dzieci bez matki i ojca oddawali do ochronki i gdy później widziałem je, które były bliżej wojska polskiego.

Generał Anders opiekował się nimi, jak również i wszystkimi rodzinami cywilnymi, które były bliżej wojska polskiego. Gdy wyjechalim do Iranu to wojska było 110.000, cywilów 30.000 a dzieci z tych ochronek paręset, dokładnie nie wiem ile było. Ale powtarzam, że widziałem ich gołych do pasa, fotografowali ich Anglicy, Amerykanie i Polacy, przez skórę widać było każde żeberko, nogi i ręce były

jak patyki. Nie udało się ich wszystkie uratować, bo umierały, bo były strasznie zamrożone. Widziałem z nich 8-miu chłopców w Anglii i razem byliśmy w jednym namiocie dwa miesiące. Ja wyjechałem do Polski, oni pozostali w Anglii.

Wróćę do podróży swojej do wojska polskiego. Teraz mówią, że jedziem do Turkiestanu. Przyjechalim stacja bardzo duża, była poczekalnia, też była duża a ludzi było, że przejść było trudno a brudu i śmieci, o jej chyba wcale jej nie zamiętali, chyba tylko dlatego, że nie było tam miejsca wolnego.

Ryk wyszedł z wagonu i poszedł na zwiady pomiędzy tory, przyglądał się wagonom towarowym pozamykanym na kłódki i niektóre były plombowane. W Taszkencie dostalim obiad i chleb. Po obiedzie prawie wszyscy ludzie powyłazili z wagonów, żeby się trochę rozruszać no i na ciekawość a może się spotka jakiegoś znajomego czy z więzienia a może z Polski. A ludzie wciąż idą, jedni w tę stronę, drudzy w przeciwną, bez przerwy. I jak bym czuł, patrzę idzie Bronowicz z Łomży, Modest miał na imię, który potem miał piekarnię w Jedwabnem, a ojciec jego miał piekarnię w Łomży na ulicy Rządowej i ja u niego kupowałem chleb i bułki dwa razy w tygodniu.

Przywitalim się, pytam się jego czy on gdzieś jedzie, czy w tym mieście gdzieś pracuje, on mówi, że w tym mieście pracuje jako ślusarz z drugim Polakiem,. Już powiada mielim zarobionych paręset rubli i on ten kolega poszedł na bazar coś kupić do życia i na tym bazarze wszystkie pieniądze mu wyciągnęli z kieszeni i teraz na nowo musim tu znowu pracować żeby zarobić aby żyć i na podróż zarobić, bo chcą wstąpić do wojska polskiego.

Spieszył się, rękę mi podaje i mówi do widzenia, ja mówię, że też, jak do wojska, to może się zobaczymy tam. I tak się rozstalam, ja wróciłem do swego wagonu, bo się zbliżał wieczór. Wlazłem do wagonu, patrzę Ryk z Antkiem rozmawiają i ten trzeci młody chłopak przy nich stoi i słucha o czym oni tam rozmawiają. Myślę pewnie coś upatrzyli i w nocy pójda aby co pociągnąć.

Ale nie było to tak trudne, bo ci wartownicy byli starymi ludźmi, nawet i po 60 lat niektórzy mieli, bo młodych do 45 lat wszystkich zabrali do wojska, na wojnę a stary to się skulił z dubeltówką i stał albo gdzieś poszedł się gapić. A ten Ryk to był specjalista, że tym toporkiem to każdą kłódkę otworzył a nawet i zamek. Jednego razu otworzył wagon zamknięty na zamek lodówkę i przynieśli z niego ryb mrożonych w rogozie.

Gdy już się dobrze ściemniło, to we trzech, już razem siedzieli i toporek blisko Ryka leżał. Mogła być godzina 10-ta. Ryk wstał, toporek do ręki wziął, drzwi odsunęli i poszli we trzech, ludzie już prawie wszyscy w wagonach spali, drobny deszcz zaczął padać a ja stoję przy drzwiach i ni coraz wyglądam czy nie idą, czy przyniosą coś do jedzenia. W tej chwili tylko o tym myślę, bo chociaż dziś dostalim chleb i obiad ale jeść się chce, bo wczoraj nie dostalim, tylko kawę gotowałem. Już chyba piąty raz drzwi odsuwam i wyglądam ale nic nie widać, tylko drobny deszcz pada.

Zasunąłem drzwi z powrotem, tak mi się zdaje, że to tak bardzo długo ich nie ma a może ich tam przytąpali, ale trzech od razu nie mogli złapać, chociaż jeden to by uciekł i przyleciał. Usuwam znowu drzwi, wyglądam, idą już są blisko, widać worki na plecach niosą. Ja drzwi odsunąłem tak żeby było łatwiej złapać worek i wciągnąć go do środka, wszystkie trzy worki już w mig są w wagonie, drzwi zasunięte. Wszyscy się obudzili a tu 3 worki mąki stoi.

Zaraz po cichu ogień w piecyku rozpalili i jeden worek rozpruli i ten co miał tę miskę już stoi przy worku. Ryk wziął od niego miskę i po pełnej dał każdemu. W worku mogło być 60 kg a nas było 53-ch, bo w drodze się dołączyło do naszego wagonu 11-tu, bo ich pociąg odszedł a oni zostali, no trzeba było ich zabrać. Oni mówili, że jak dogonimy ich pociąg to oni się przesiadą. Ryk rozdzielił jeden worek. Każę rozpruwać drugi i znowu daje po pełnej misce drugi raz.

Mieliśmy dojechać za 10 dni do armii polskiej, gdzie się organizowała - miasto Buzułuk i miasto Guzar i inne. Już jechaliśmy cały miesiąc i jeszcze mamy setki kilometrów jechać. Gdyby nie Ryk, to byśmy chyba z głodu poumierali. Jeszcze 3 razy w dalszej podróży przynieśli mąkę i on zawsze na wszystkich dzielił, tak, że ja już miałem w zapasie w torbie jakieś 8 kg mąki i wszyscy mieli mniej i drudzy nawet więcej.

Dojeżdżamy do miasta Samarkanda. Miasto bardzo ładne i duże i czyste. Stacja kolejowa bardzo duża i szeroka, chyba jakieś 30 torów a może i więcej. Pociągów stało dużo i osobowych i towarowych. Nasz pociąg wjechał prawie w środek tych pociągów i zatrzymał się, a tu ludzi z tych osobowych i z towarowych nawychodziło, wprost biegną, chcieliby coś kupić dla dzieci i dla siebie.

Kobiety - matki dopytują się czy tu w naszym pociągu może przyjechały nasze dzieci, chodzą zapłakane i dopytują się w każdym wagonie ale nie było. Ręce załamują i wołają - moje kochane dzieci, gdzie są moje kochane dzieci. Te głosy gdy się słyszało to aż za serce ścisnęło. I zaraz przychodziła mi myśl jak tam moja kochana żona daje sobie radę z moimi dziećmi, nie wiedząc, że żona moja z czworgiem dzieci też jest w Rosji a czworo pozostało w Polsce pod Niemcem.

Na czwartym torze w Samarkandzie stał wagon z mąką a dalej na tym samym torze stał odkryty wagon pełen worków dużo większych od worków z mąką. Ryk przechodził się w tę stronę i z



powrotem i tylko spoglądał na te dwa wagony. Gdy się ściemniło zaraz wziął toporek do ręki, już przy nim był Antek i trzeci współnik, pomyślili z wagonu i jeszcze za nimi poszedł i czwarty.

— Ryk kłódkę otworzył i 4-y worki mąki przynieśli do wagonu naszego. Powstawiali po kątach i znowu poszli do tego wagonu odkrytego ale tylko we trzech i przynieśli 3 wory, nie wiadomo czego. Zaraz jeden otworzyli a tu są suszone jabłka pokrojone w plasterki. Z innych wagonów też schodzili się, żeby coś zdobyć do życia, tak, że prawie połowa z wagonu mąki ubyło, jabłek też ubyło ale mniej.

Mieliśmy odjechać o godzinie 10-ej wieczorem ale już 11-ta a pociąg stoi, 12-ta stoi. My chcielibyśmy żeby już jak najprędzej z tego miasta odjechać ale wcale parowozu przyczepionego nie ma. Od przednich wagonów dał się słyszeć krzyk i płacz kobiet, godzina mogła być 3-cia w nocy. Idzie jakiś mężczyzna, prawie biegiem i puka do wagonów i woła ponowie od przodu rewizja, kto ma mąkę czy kaszę to zabierają i wszystkich mężczyzn zaraz aresztują. Jak to usłyszał nasz komendant pociągu zaraz uciekł na stację, już więcej go nie widzieliśmy, pewnie wsiadł do jakiegoś innego transportu i pojechał, bo w jego wagonie też były 2 worki mąki i jeden worek jabłek.

Jak my usłyszeli te krzyki, płacz kobiet odsunęliśmy drzwi z drugiej strony a na przeciw, na innym torze stał duży wagon osobowy, tak my te worki z mąką i jabłkami wynieśli do tego wagonu ale w torbach po parę kilo prawie każdy ma. Po kolej wszystkie wagony rewidowali i kto miał mąkę czy kaszę to zabierali i mężczyzn od razu do gromady łączyli i posterunki pilnowały ich.

Przychodzą do naszego wagonu, my mieliśmy drzwi zasunięte, jeden krzyknął otwieraj skarej. Rozsunęliśmy obydwie połowy, weszło do wagonu trzech, przegnali nas wszystkich na połowę wagonu i zaczynają rewidować, co znajdują w worku, czy w torbie nie pytają się czyja to torba jest, tylko wyrzucają drzwiami na ziemię i od razu podpychają taki kolejowy wózek i na niego układają. Była straż kolejowa i NKWD polityczni z dwoma psami wilkami.

Pytają się gdzie jest komendant tego pociągu, my mówimy, że nie wiemy, bo w naszym wagonie nie jechał i pyta się jeden jak on się nazywa, też nie wiemy a jak wyglądał - no taki w średnim wieku, nie wysoki. Kobiet w naszym wagonie nie było, krzyknął jeden starszy wychadzajcie wsie - znaczy wszyscy. Wyszliśmy podegnali nas do przodu, gdzie już wagony nie stały, tam nas zatrzymali, dwóch pilnowało nas, reszta dalej wagony rewidowała. Słyszeć było tylko płacz kobiet i dzieci i jak kobiety z płaczem mówiły, że tę mąkę jeszcze w kolchozach zarobiły, że to za robotę im dali ale to nic nie pomogło.

Gdy skończyli rewizję pociągu, nasz zaraz odszedł a nas prowadzą, obok stacji z tyłu stoi budynek, okratowane okna ale omijamy go, idziemy dalej, stoi też duży budynek ale bielszy od tego z kratami. Był to budynek kolejowy i tu zaczynają nas badać. Kto z waszego wagonu kradł mąkę i jabłka, bo przecież wszyscy nie kradli, to wydajcie, to oni będą zatrzymani a wy pojedziecie a gdzie jedziecie. Ja mówię my jedziemy do polskiej armii na gemańca, wy nas nie trzymajcie a on mówi, że nasz wagon stał niedaleko tego osobowego wagonu a w tym wagonie było 8 worków jabłek suszonych i 6 worków mąki, to na pewno wy tam odnieśli coś ukradli. My mówimy, że nikt z naszego wagonu w nocy wcale nie wychodził.

Potem badali pojedynczo i tak całe dzień zeszedł na głodnego. My zaczynamy się upominać dajcie nam jeść kiedyś nas zatrzymali ale oni mówią, że dopiero jutro, to wszystko dadzą chleb, kawę i obiad. My zaczynamy głośno wołać dajcie nam jeść, bo głodni i nie ustajemy krzyczeć. Na ten krzyk przychodzi jakiś gruby politruk czto wy tak szumicie, my dziś nie mamy zaprowiantowania, jutro to już będzie wszystko a my mówimy nam się dziś chce jeść, my już dwa dni nic nie jedli. A on się pyta a macie pieniądze a ja wiem, że Ryk ma - mówię mamy, no to ja tu przyśle jednego z wiadrami to on was zaprowadzi do stołowej i tam sobie kupicie.

Za parę minut przyszedł bojec z karabinem i z dwoma wiadrami i szuka dwóch ludzi i pajądziom do stołowej po użyn. Ja podeszłem do Ryka i mówię daj Edward forsy a my jak będziemy mieli to ci oddamy. Nic nie mówił tylko ręką sięgnął do kieszeni, wyjął pieniądze i pyta się ile dać, ja mówię daj 50 rubli. Antek już stoi przy nas chociaż go nie wołałem. Wziął jedno wiadro, ja drugie i idziemy.

Ja zaczynam z bojcem rozmawiać, że my jedziemy do armii polskiej, będziemy razem bić germańców i mówię mu, że nas niesłusznie zatrzymali, tam z wagonu kradli mąkę a my nie kradlim. Bojec był rozmowny i fajny chłop. Stołowa była dość daleko gdy przyszedliśmy do niej godzina mogła być 10 wieczorem. Bojec podał mu kartkę od tego naczelnika, ten kartkę obejrzał i wiadra od nas wziął i podał do kuchni, która była zaraz za ścianą i powiedział skolkę wejdzie. Ja podeszłem do bufetu i pytam go czy tu można pokupić lepszy i chleba - da można, puknął w okienko i powiedział dwie porcje lepszy, zaraz kucharka czy kelnerka wyniosła na dwóch talerzach makaronu pełne i tak oliwą okraszone, że na wierzchu aż było żółto.

Zjedliśmy a do tego było i 450 gram chleba, poprosiłem go żeby dał jeszcze raz taką samą porcję, powiedział charaszo i znowu puknął w okienko i powiedział, żeby podała jeszcze raz dwie porcje a sam podał chleba dwie porcje po 450 gram. Najedliśmy się doskonale, jak nigdy, bojec tylko się przyglądał jak my wcinaliśmy. Za te 4 porcje zapłaciłem 4 ruble. Podeszłem do bojca i mówię do niego

żeby się zapytał tego kierownika może by nam sprzedawał chleba dla tych co zostali, dwa dni nic nie jedliśmy, nic absolutnie. Przypomniałem mu, że my jedziemy do wojska i będziemy bić germańca. Podszedł a już dwa wiadra pełne i też aż żółto od oliwy, za dwa wiadra tego makaronu zapłaciłem 20 rubli.

Był ten stołowy bar bardzo duży. 4-y rzędy stolików i przy nich po 8 taborków przy każdym stoliku. Jak my przyszlیم to przy dwóch stolikach jeszcze byli goście, jedni grali w karty a przy drugim stole grali w warcaby. Gdy bojec podszedł do kontuaru i mówi słuchaj jak byś mógł sprzedać chleba, ich jest dużo, 2 dni już nic nie jedli a oni jadą do polskiej armii i będą bić germańców razem z naszymi żołdatami, to sprzedaj im jak możesz. A on pokazuje palcem żeby poczekać aż tarczy wyjdą, to on sprzedawa. Nam się nie spieszyło, podszedłem on się pyta skolko chcesz kupować chleba, ja jemu mówię ile możesz nam sprzedać, to za tyle zapłacę. On tylko się obejrzał na tych co grali, machnął ręką i spod kontuaru wyjął 3 duże bochenki, okrągłe jak kiedyś dawniej w każdej wsi piekli, takie same wszyscy, może po jakieś 5 kg jeden. Zapłaciłem za 3 bochenki chleba 15 rubli.

Ale tu dopiero wyszła heca, ja biorę jedno wiadro w rękę i jeden bochenek chleba, Antek to samo, bojec patrzy się i uśmiecha, bo jeden bochenek zostaje, podszedł i mówi ja wam ten bochenek zaniosę i wziął go pod pachę i wracamy.

Gdy tylko weszlim na korytarz, jak zobaczyli 2 pełne wiadra i 3 bochenki chleba to była wielka radość i zaraz komendant Paśkiewicz podzielił wszystkim tym makaronem i chlebem a bojcowi podziękowałem i pochwaliłem, że on jest dobrym człowiekiem. Gdy już wiadra opróżnili, bojec zabrał i poszedł. Tak do rana na siedząckie spalim.

Rano przyszedł jakiś oficer i pyta się czy wydamy tych co kradli mąkę i jabłka, odpowiedziliśmy, że z naszego wagonu nikt nie kradł. W ten czas przyszło 4 bojców z karabinami, kazali wychodzić wszystkim. Gdy wyszlim, jeden powiedział za mną, wszyscy idziemy, 3-ch idzie za nami.

Przyprowadzili nas przed bramę więzienną, tam przy bramie stał posterunek, otworzył bramę, znowu wchodzimy na korytarz i rozprowadzają nas po celach, po 8-miu do celi a do niektórej po więcej. Gdy nas wegnali przynoszą chleb po 600 gram i czamą kawę bez cukru, na obiad kukurydzianą kaszę, trochę oliwą zakraszoną. Zdażyłim zjeść, zaraz po 2-ch wyprowadzają na śledztwo. Śledowaciele koniecznie napierają żeby wydać tych co kradli mąkę i jabłka, to ich zatrzymają a reszta pojedzie do wojska.

Ale my się umówilim, że nie wydamy, bo przecież Ryk od głodu nas ratował, to teraz za to ich wydać, żeby ich na nowo sądzili i po 10 lat osądzili, nie tego zrobić nie możemy, niech trzymają nas wszystkich, ale Paśkiewicz i ja mówię, że nas muszą wypuścić, bo dowodu żadnego nie mają.

Wszyscy na śledztwo chodzili ale nikt inaczej nie zeznał tylko to, że my nie kradli. Na wieczór czama kawa i potem spać ale sen nie bierze, każdy myśli co będzie dalej. Ja myślę mój Boże dopiero jeden miesiąc byłem na wolności i znowu jestem więźniem. Wprzód to było za Ojczyznę, do izolatora wsadzili za mąkę Kowalewskiego, teraz znowu za Ryka ale trudno, on kradł ale ja jadłem, ja go nie wydam, nich co chce będzie.

W obocznej celi słycać śpiewy kobiet ruskich, po śpiewie bluźnią, potem znowu śpiewają. Dyżurny przyszedł ich uciszyć ale one go obrugały i z tym odszedł od ich drzwi. Nad nami siedzieli mężczyźni, kłócili się, śpiewali. Jak kobiety tak i mężczyźni tam się nie martwili, że siedzieli w więzieniu, u nich to nie nowina.

Rano wyprowadzili nas do ubikacji, tam się wszyscy umyli, gdy wróciłim przynieśli nam chleb, potem kawę i po śniadaniu znowu prowadzą na śledztwo. Kilku zaraz po zbadaniu wypuścili, resztę z powrotem do celi przyprowadzili. Siedzimy i rozmawiamy dlaczego tamtych zwolnili a nas trzymają. Nadszedł obiad, przynieśli kaszę, była trochę gęściejsza, oliwą okraszona. Zjedliśmy, otwierają drzwi i każą wychodzić wszystkim, z innych cel też wypuścili wszystkich. Ustawili nas dwójkami, w ten czas wyszedł do nas sam naczelnik i pyta się nas czy my wydamy tych co kradli mąkę, odpowiedziliśmy, że z naszego wagonu nikt nie kradł. W ten czas on mówi - ja wiem że pomiędzy wami są tacy ale kiedy nie chcecie wydać to ja was trzymać dłużej nie mogę, jesteście wszyscy wolni i jedźcie do swojej polskiej armii.

W ten czas występuje Paśkiewicz nasz komendant wagonu i mówi gdzie my teraz pojedziem, kiedy nie mamy biletów i nie wiemy gdzie nasz pociąg poszedł. Trzeba nam dać wszystkim dokumenty, żeby nas znowu gdzie nie zatrzymali i powiedzieć gdzie nasz pociąg poszedł.

On posłuchał i powiedział ładno i poszedł do kancelarii, tam napisali i telefonicznie ze stacji powiedzieli, że ten pociąg poszedł do Guzar. Dał taką przepustkę Paśkiewiczowi dla wszystkich i bramę otworzyli. Paśkiewicz mówi pójdziemy na stację, może tam będziemy mogli kupić chleba a może i lepsze. Poszlim stacja była niedaleko. Przychodzimy, jak na każdej stacji ludzi pełno, do kupienia nie ma nic. Dowiedzieliśmy się, że tu w Samarkandzie jest jakiś punkt zborny dla przejeżdżających Polaków, że tam można kupić chleba i obiad za okazaniem dokumentu.

Dopytalim się gdzie ten punkt się znajduje i go znaleźliśmy ale tak samo ludzi pełno i na razie też



nic nie ma do kupienia. Jedni zaczynają rozchodzić się po mieście, że może gdzieś coś kupią do jedzenia. A ja przypomniałem sobie swoją mąkę co mi zabrali i myślę, że trzeba iść i spróbować upomnieć się o nią. Mówię o tym Paśkiewiczowi a on oczy wytrzeszczył i mówi co pan oszalał, niech pan dziękuję Bogu, że nas wypuścili a mąka to już przepadła, jak psu z gardła nic nie wyciągniesz tak i od nich.

Ja mówię ani grosza nie mam, to co będę jadł, choćby co i znalazł do kupienia, pójdę a może oddadzą i wołam Antek choć ze mną, Antek od razu przyszedł a Paśkiewicz woła panie Ryk niech pan da parę rubli Pieńkowskiemu, bo chce iść po mąkę do więzienia to jeszcze nas wszystkich tam wsadzi.

Ryk wyjął 5 rubli i dał mi, ja schował do kieszeni, mówię dziękuję, no teraz to może i ja coś kupię do jedzenia i wołam chodź Antek, może co trafiem. Paśkiewicz wrócił do tego punktu, inni też a ja z Antkiem idę do tego budynku co przy więzieniu stoi i mówię, że przyszedłem prosić żeby mnie oddali moją mąkę co mi zabrali z wagonu. Ja nie mam co jeść i nie mam pieniędzy żeby sobie kupić a jadę do polskiej armii bić germańca a mąkę to sobie kupiłem a nie ukradłem.

A siedzieli w tej kancelarii 4-ch urzędników, jeden w ubraniu wojskowym wstał i pyta się czy ty poznasz swoją sumkę, to znaczy torbę. Mówię, że poznam, no to chodźcie. W tym samym budynku podszliśmy korytarzem, on klucz z kieszeni wyjął, drzwi otworzył, weszliśmy do środka. Stały tam przy ścianie 3 duże szafy, utworzył jedne drzwi a tam pełna szafa, było na półkach w torbach tej mąki i mówi poznawaj, która twoja sumka. Na mojej torbie była naszyta siwa łata i jak raz była na wierzchu. Pokazuję mu to moja, teraz mówi do Antka a ty poznasz swoją sumkę, on mówi poznam i leżała tam torba dużo większa od mojej, on podszedł i mówi, ta jest moja, no to bierz. On wziął i już sporo idziemy do wyjścia a on zamykał drzwi, patrzy, że my już mijamy kancelarię i krzyczy postójcie, chadzajcie do kancelarii, nada podpisać czto odebrali. Weszliśmy, on coś tam pisał na kartce i ją podpisali. Ja powiedziałem spasiba wam, to znaczy dziękuję i wyszliśmy.

Idziemy do punktu zbornego dla Polaków, uradowani wchodzimy z mąką. Ja trzymam pod pachą a Antek na ramieniu, bo on miał w torbie z 10 kilo a ja mogłem mieć 6 kilo. Ja nawet nie wiem, czy to była jego mąka alem się nie pytał.

Gdy weszliśmy prawie wszyscy byli, bo już się zbliżał wieczór, patrzą a my swoją mąkę mamy, zadowoleni jesteśmy, ja mówię udało się nam. Paśkiewicz podszedł do mnie i mówi - pan ma szczęście ale i odwagę, ja bym tam nie poszedł za nic w świecie. Ja mówię trzeba ryzykować, czasami to wychodzi na dobre a czasami na złe.

Chociaż nam zazdrościli niektórzy ale byli zadowoleni, że się nam udało. Potem dowiedziałem się, że tu jest jakaś prywatna Czajchana, tam poszliśmy do niej, weszliśmy jak wszędzie ludzi jest pełno. Tu można kupić kubek mleka albo kubek kipiaku, do jedzenia nic nie było ale siedzieć można było choćby i cały dzień. Kto miał pieniądze to kupił kubek mleka a kto nie miał to i kipiaku nie kupił.

Ja jeszcze miałem parę rubli, co mi zostało z Rykowych od kupienia chleba i łapszy w stołowej ale nie kupiłem nic i mówię pójdziem do tej stołowej co kupiłem w ten czas z bojcem chleba i dwa wiadra łapszy.

Kilku zostaje w czajhannie pilnować tłumoków a kilku idzie, kolejka była ale taka bardzo duża. Patrzymy przy drzwiach stoi kobieta i jej ci co wchodzi pokazują. Ja powiedziałem niech każdy staje co 4-ty czy 5-ty i prawą rękę trzyma w kieszeni, bo ta kobieta stała z prawej strony przy drzwiach i nic się nie zatrzymywać choćby nawet ona krzyczała, bo ona za nikim do środka nie pójdzie, bo za ten czas mogło być z 10-ciu.

I tak ja poszedłem pierwszy, trzymałem rękę w kieszeni, gdy nadchodziłem do niej, rękę przykuloną podniosłem do góry i momentalnie weszłem do środka, nawet ona nie zdążyła nic powiedzieć. Tam zaraz przy bufecie dawali kto tylko wszedł do środka łyżkę do jedzenia a potem zostawiało się na stole gdzie było wolne miejsce i szło się do bufetu zapłacić za talerz zupy i 500 gr chleba, zaraz otrzymywało się i szło się do swego stolika. Zjadło się, to czapkę zostawiało na stole i z łyżką znowu stoi się w kolejce przy bufecie, znowu się płaci, dostaje chleb i talerz zupy. Idzie to szybko jak maszyna. Wszyscy nasi weszli i każdy dostał łyżkę, kupił chleb i talerz zupy i znowu podchodził drugi raz, płacił i przynosił i jadł.

Posiedzieliśmy z godzinę i trzeci raz jeszcze obrócić, bo tam ci co obsługiwali to nie mieli czasu się przyglądać, talerz się odsuwało a z łyżką szło się do bufetu kupować chleb tylko jedną porcję się zjadło z pierwszym talerzem zupy a dwie porcje kładło się do torby, bo trzeba mieć na rano do kipiaku.

Przyszedliśmy do czajhajni, dali nam tym co tu zostali po porcji chleba i szykuję się do spania i umawiamy się jutro rano, że idziemy na stację i który pociąg będzie szedł pierwszy to do niego wsiadamy, bo musimy dognać swój pociąg.

Gdy rano wstaliśmy, była tam studnia na podwórzu, każdy się umył i wypiliśmy kipiaku, chleba każdy miał kawałek wczorajszego to go tym kipiakiem wykończyliśmy i idziemy na stację. Na tej stacji

kilka pociągów stało ale nie mozem się dopytać, który najprzód pójdzie. Gdy tak chodzimy podeszły do nas trzy panie, dwie starsze o jedna młoda panienka. Jedna pani pyta się gdzie my chcemy jechać, mówim w stronę Guzar, do wojska a one się pytają a którym pociągiem. ja mówię, że nasz pociąg już poszedł 5 dni temu a my teraz chcemy go dognać a one mówią, że my też tam jedziem, to chodźcie do naszego wagonu, to razem pojedziemy, bo my boimy się złodziei, żeby nas nie okradli, mamy swoje walizki z bielizną i inne drobne rzeczy.

Pytamy się czy w tym wagonie nie będzie za ciasno, jak my tam wejdziemy, mówią, że się pomieścimy. No to idziemy, na trzecim torze stał ten pociąg. Wagony były duże, już specjalne do przewozu ludzi, były w nich podwójne prycze, jedni mieścili się wyżej, drudzy niżej. Ciasno tam nie było, w połowie tego wagonu siedziały dwie rodziny z dziećmi, razem 8-m osób. Poza tym jechały razem dwie siostry 6 lat i 4 lata, ich ojciec w jednym mieście poszedł kupić chleba a pociąg zaraz odszedł i ojciec został, jechały z matką, gdy znowu matka wyszła na jednej stacji w innym mieście, mówiła posiedźcie może ja tu tatusia zobaczę, może on nas szuka, ja zaraz wrócę, też pociąg odszedł a matka została. Opiekowały się nimi te dwie starsze panie, były z Wilna matka z córką a pani artystka z teatru też z Wilna była wesola, nieraz śpiewała piosenki.

Gdy zaśpiewała szumią jodły na gór szczycie, miała ładny głos, sopran. Tak ta pieśń mi się podobała, że poprosiłem ją żeby mi ją napisała. Panie były z Wilna - pani Olszewska, p. Markwatowa i pani Trzeciakowa Żukowska powiedziały dobrze ale nikt w całym wagonie kawałka papieru nie miał. Ołówek to miała ta panienka co jechała z matką. Ale ta artystka paliła papierosy i na pudełku od papierosów mnie tę piosenkę przepisała, no i kilka razy ją śpiewała aż ja tej melodii się nauczyłem i do dziś ją umiem.

Potem przyszedł jeszcze jeden mężczyzna do tego wagonu i mówi, że już cały tydzień goni swój pociąg, bo został w Kaganie. O Boże co w tej podróży się działo. Rodziny porozłączały się na pojedynki, to wprost nie do uwierzenia. Ten poleciał za wodą, drugi za chlebem i nie zawsze wracali na czas a nikt nie wiedział kiedy pociąg odjedzie. Tam nie było i wstydu, kto chciał się załatwić to siadał przy pociągu, bo bał się odejść gdzieś dalej, nieraz się widziało - tu się załatwia kobieta, a obok niej mężczyzna i tak dalej, prawie każdy przy swoim wagonie, gdy pociąg się zatrzyma.

A wszystkim towarzyszył głód, dzieci proszą swoje matki - mammo nam się jeść chce, to matka łapie za gamek i chce ugotować, czy parę kartofli czy trochę kaszy, kto co ma ale nie zawsze się udaje, bo nieraz pociąg zatrzyma się tu, a za pół czy za godzinę odjeżdża dalej, bo tam idzie drugi pociąg, po tym samym torze i tu się zatrzyma. Całe szczęście, że przez całą podróż przeszło 10 tysięcy kilometrów zderzenia pociągów nie było.

Po tym wypadku z tą mąką i jabłkami to już kilka razy pociąg się zatrzymał na stacji a za pół godziny odchodzi i zatrzymuje się jakieś dwa kilometry od stacji a to dlatego, że ludzie kradli co się dało aby żyć. Czasami się to tylko udawało a czasami kończyło się tragicznie, bo kogo przyłapali to już do rodziny nie wrócił, tylko do więzienia wsadzali i na nowo sądzili za kradzież.

Piątego dnia dognalim swój pociąg i odnaleźlim swój wagon, więc przeprowadziliśmy się do swojego wagonu ale nie wszyscy byli z którymi z Koźwy wyjechalim. Komendanta Podczasieka całego pociągu nie było i trzech z naszego wagonu też nie było. Oni uciekli gdy była rewizja po kradzieży mąki i jabłek. Pewnie weszli do innego pociągu i pojechali dalej na południe aby nie wpaść za to co się stało.

W tych wagonach żadnych konduktorów nie było i nikt żadnych dokumentów nie oglądał, bo to było wcale niemożliwe, bo wszyscy do 45 lat zabrani byli do wojska na wojnę. Starsi byli analfabetami, może co 20-ty umiał czytać i pisać a kobiety tak samo.

Nareszcie dojechalim do Uzbekistanu, pierwszych mniejszych przejechalim wcale się nie zatrzymując dojechalim do miasta Buchary.

Miasto było bardzo ładne i duże a stacja też była duża i dworzec był ładny, tylko wszędzie było pełno brudu, bo naprawdę niemożliwe było żadnej czystości tu utrzymać, pociągi jedne odchodziły to drugie przychodziły.

Gdy my przyjechalim to stało pociągów na torach może z 15-cie albo i więcej. Na stacji ludzi pełno, jedni wychodzą a drudzy wchodzą i to bez przerwy. Jedni obdarci, to przeważnie z lasów inni możliwie ubrani, tylko Żydzi mieli pieniądze, to byli ubrani dobrze, bo widać po nich, że na roboty nie chodzili ale ich tak dużo nie było. Przeważnie było dużo Polaków ale znowu pogubieni, ojciec szuka, chodzi od wagonu do wagonu i pyta się czy tu nie ma mojej żony z dziećmi.

Przeszedł jeden pociąg - nie ma, idzie do drugiego ale i w drugim nie ma, idzie do trzeciego, znowu nie ma. Spotykał dzieci same bez ojca i bez matki ale to nie były jego dzieci. Takich wypadków było tysiące, zapłakanych i głodnych męczenników polskich.

A ile zmarło z głodu, bo nikt nie mógł dać drugiemu, bo sam nie miał dla siebie i dla swojej rodziny. I dlatego tak się gubił, bo chciał coś kupić a jak znalazł to kupić jeżeli miał pieniądze a jeżeli nie to choćby i natrafił to tylko popatrzył i bez niczego wrócił.



Ja z komendantem naszego wagonu Paškiewiczem poszlim do naczelnika stacji zameldować, że my dziś rano przyjechaliśmy i chcemy dostać chleb i obiad, bo my już dwa dni nic nie jedli, a każdy z nas miał udostowierzenie czyli dokument i za okazaniem jego można było dostać chleb i użyn czyli obiad.

Ja te dokumenty zebrałem i mam z sobą. Na lewo od stacji stał ładny budynek, trzeba było przejść przez ulicę do ogrodu i tam był urząd i w nim naczelnik. Gdy weszlim do kancelarii siedzieli tam trzech urzędników, pytają się nas w jakiej sprawie my przyszli. Paškiewicz mówi, że my przyszli do grażdanina naczelnika. Jeden wstał i poszedł do drugiego pokoju i wyszli we dwóch. Wyszedł i znowu się pyta w jakiej sprawie, Paškiewicz mówi, że my przyjechaliśmy pociągiem rano i meldujemy, że już dwa dni nic nie jedliśmy i chcemy dostać chleb i użyn na cały wagon. Ja mówię, że mam dokumenty tych ludzi co są w wagonie a on się pyta a ilu was jest w wagonie. Ja mówię 53-ch a jaki numer waszego wagonu 45-ć to ja mu daję dokumenty, żeby on sprawdził a on mówi nie trzeba, ja przyjdę do waszego wagonu i tam sprawdzę i ile ludzi będzie w wagonie na tyle wydam listę na chleb i na użyn.

Zapisał nasze nazwiska i nr wagonu. Jak wszędzie była kolejka duża, dopiero o godzinie 10-iej weszlim po zameldowaniu, naczelnik powiedział, że przyjdzie do naszego wagonu o godzinie 3-iej po południu.

Gdy wróciłem oznajmiłem wszystkim ażeby na godzinę 3-cią po południu wszyscy byli w wagonie, bo będzie sprawdzał naczelnik ile jest ludzi. Potem myślę sobie mam prawie 5-ć godzin czasu i pójdę do tego ogrodu obejrzyć zamek dawną własność księcia Emira Bucharskiego. A znajdował się na tej samej ulicy co ten budynek w którym urzędował naczelnik.

Pytam się kto chce iść ze mną, od razu zgłosiło się aż 5-ciu, idziemy. Od budynku tego cośmy byli z Paškiewiczem u naczelnika mamy jakieś 300 metrów odległości. Stał ten zamek istne чудо śliczny. Stał od ulicy około 300 metr. w głąb ogrodu. Naprzód szło się trochę pod górkę do ładnej bramy, która była całkowicie otwarta, za bramą jakieś 10 metr. było równo a potem po kilku schodach mozaikowych na werandę i do pałacu. Było tam sal dużo ale jedna to taka duża jak u nas w całym kościele ale w każdej sali było pełno ludzi a najwięcej było Żydów z Polski. Byli całymi rodzinami i Polacy i inni różni.

W tym ogrodzie były bardzo ładne różne drzewa jak w ogrodzie tak i w tym pałacu na ścianach były malowane różne zwierzęta a na suficie głowy jakichś wielkich dawnych władców. Kilka było zamkniętych na zamki, nikt tam do nich nie wchodził ani wychodził. Czy tam były jakieś meble, czy portrety, nie wiem a może zamknięte były aby złodzieje co nie ukradli, bo było ich wszędzie pełno.

Co noc to giną tam walizki, to inne rzeczy co by można później było sprzedać w innym mieście. I to tak się urządzali - przychodzi i siada w obranym miejscu, później tam kładzie się spać i obserwuje co właściciel wyjmie ze swoich walizek i co do nich kładzie. Niektórzy mieli po kilka walizek, przeważnie Żydzi. Tych złodziej to już były takie bandy i to prawie na każdej dużej stacji, którzy za kradzieżą tylko chodzili. Potem co im się da ukraść to sprzedają i pieniędzmi się dzielą, im tam niczego nie brakło a że inni parę dni nic nie jedli albo nieraz i z głodu umierali to oni się tym nie przejmowali byle oni mieli co jeść a nieraz i wypić.

Ja już w Bucharze byłem bez pieniędzy, pożyczyłem od Janka Jaszczuka 3 ruble na chleb. O godzinie drugiej wróciłem do wagonu, bo może naczelnik przyjdzie trochę wcześniej, to jak nas nie będzie w wagonie to nie dostaniemy chleba i obiadu. Ale na ulicy spotkałem Bronowicza Modka z Łomży. Jego ojciec miał piekarnię w Łomży na ulicy Krótkiej i ja u nich kupowałem pieczywo do swego sklepu, znaliśmy się dobrze.

Pytam go się gdzie pan Modek jedzie on mówi, że na razie nigdzie, bo on mówi, że w tym mieście we dwóch pracowałem jako ślusarze, miałem już paręset rubli i ten jego wspólnik nosił te pieniądze zawsze w kieszeni i robił zakupy do życia i temu tydzień poszedł na bazar coś kupić do jedzenia i na tym bazarze złodzieje ukradli mu wszystkie pieniądze i musimy jeszcze tu zostać i zarobić pieniądze na podróż i potem pojedziemy do wojska polskiego. Podalim sobie ręce do widzenia, ja też tam jadę to może się tam zobaczymy.

Gdy przyszłim do wagonu naczelnika jeszcze nie było, są w wagonie wszyscy, czekamy. Już godzina jest 4-ta a miał być o godzinie 3-ciej. Jeden z naszych mówi, ja widziałem, że jakiś chodził do kilku wagonów ale w naszym nie był i poszedł.

Idę drugi raz do niego sam a tu duża kolejka, może pięćdziesięciu chłopów stoi, idę i ja do kolejki, trudno porządek musi być. Za parę minut przyszła jakaś pani w żrebakowym futrze i chce iść do naczelnika, nie puszczają, bo naczelnik załatwia za kolejką. Załatwianie idzie dość sporo, wychodzą a drudzy wchodzi, za mną też już jest kolejka.

Mówię do tej pani niech przy mnie stoi, to ja ją przepuszczę przed sobą. Przystała, pytam się jej gdzie pani jedzie, ona mówi, że tu musi czekać, bo w Kaganie zdała 3 walizki na bagaż i rzekomo ten bagaż przestali do Farabu przez omyłkę i już tam telefonowali ale nic się dowiedzieć nie mogą. Ona

jest z matką staruszką i z dwiema małymi córkami. Ojciec jej zmarł na Syberii, ona jest doktorem. Mąż jej też doktor, w 1939 roku poszedł na wojnę i żadnej wiadomości od tamtego dnia nic nie wie, czy żyje, czy nie.

Powiada trzymam się w podróży ze znajomym Żydem kupcem, jego też bagaż zginął a razem na bagaż zdawali i on jutro jedzie do Farabu szukać tych bagaży i mówi broń Boże ten bagaż nie przepadnie, bo nie dam sobie rady, przyjdzie z głodu umierać.

Jak byli na Syberii w kołchozie musiała pracować, do pracy nie byłam przyzwyczajona, to zarabiałam tylko 90 kopiejek a kilo chleba kosztowało tam 1 rubel, to jeszcze musiała dopłacać 10 kopiejek do chleba za cały dzień pracy, tylko że tam to oni mieli co sprzedawać ale tu to już nie ma nic do sprzedania i pieniędzy też nie ma.

Tu w Bucharze jakiś Polak powiada do mnie idę kupić chleba jak pani chce to niech pani da pieniądze to i pani kupię, ja wiem gdzie tu można kupić. Ubrany był niezłe, wyglądał na uczciwego, ubolewał nad losem Polaków i jeszcze jej mówił, że może się co trafi więcej kupić to kupię i pani przyniosę. I powiada ja jeszcze miałam 20 rubli i jemu dałam ale już trzy dni minęło a jego nie ma i chleba nie ma. Idę prosić naczelnika o pomoc i radę, bo dziś jeszcze matka, dzieci i ja nic nie jedliśmy..

Gdy już przysłała moja kolejka, ona obok mnie stała, mówię niech pani idzie przede mną, ona tylko ustała a zaraz wyszedł jeden i ona poszła. Dłużej tam była niż inni interesanci ale co on jej poradził to nie wiem ale miała jakieś papiery w ręku, bo jak tylko ona wychodziła to ja zaraz wszedłem. Powiedziałem zdrastwujcie grażdanin naczelnik, powiedział zdrastwuj i pyta kak zwać, powiedziałem i mówię, że ja tu już dziś był i on miał to zanotowane, odszukał i pyta ilu ludzi w wagonie 53 i kładę udostowierenje na stół, on przeliczył i dał taki kwit na 53 porcje chleba i drugi kwit na 53 łapszy.

Gdy przyszedłem do wagonu zaraz z 15-tu poszło z kwitem po łapsze a ja z Antkiem z dwoma workami po chleb. Chleb był w magazynie blisko, obok stołowej, trzeba było jak zwykle poczekać, bo jest wszędzie kolejka ale dostalim i to bezpłatnie. Makaron był gęsty i tłusty, tak żeśmy się niezłe odżywili a godzina już była ósma wieczorem i chleba zostawiłem na rano do kawy.

Na drugi dzień ta sama polka, trzeba iść do naczelnika po kartki na chleb i obiad. Poszlim z komendantem wagonu Paškiewiczem, kolejka jak zwykle duża ale trudno tu już tak jest i będzie, stajem i czekamy może dwie godziny, może więcej, zegarka nikt nie ma. Ale jednak doczekalim się i weszlim, Paškiewicz powiedział zdrastwujcie grażdanin naczelnik, odpowiedział zdrastwujcie. Prosimy o kartki na chleb i na obiad, pyta się ilu ludzi jest w wagonie, zapisał i znowu mówi, że przyjdzie sprawdzić. Potem Paškiewicz mówi, że my jedziemy do polskiej armii a tu już stoimy dwa dni i prosimy go żeby jak najprędzej dowieźli nas tam, on powiedział, że to nie jest taka łatwa sprawa. Powiada widzicie co tu pociągów stoi i każdy chciałaby już jechać, musicie czekać.

Nadeszła godzina trzecia, nie przyszedł sprawdzić, zebrałem dokumenty i idę do niego, znowu czekam ale czas przyszedł, weszłem, on zaraz się pyta kak zwać, powiedziałem, pyta się czy ja już tu był, mówię z komendantem wagonu, pyta się ilu ludzi, mówię 53, odszukał w notesie i wypisał kwity na chleb i użyn na 53 ludzi. Przyszedłem do wagonu, jedni poszli za kwitem po chleb a drudzy po użyn też z kwitem.

Na drugi dzień rano lokomotywę doczepili z tyłu i jedziem ale do przodu jakieś dwa kilometry, ustalim i lokomotywę odczepili a nas w polu zostawili i stoimy 3-ci dzień. Ale teraz jest nam gorzej, musimy iść do naczelnika po kwity, potem po chleb i po obiad ale dumamy czy oni nam dadzą. Ale dali, tak samo trzeba było wszędzie czekać ale się dostało. Obiad dostalim o godzinie 9 wieczorem, zjedlim i dopiero wzięłem dwóch ludzi Antka i Łuczyńskiego z Białegostoku i idziemy znowu do stacji po chleb. Przychodzimy do magazynu a tu już stoi kilkadziesiąt chłopów w kolejce, trudno stajemy i my.

Zrazu wydawali po 800 gram chleba i to połowę 400 gram a drugie 400 gram dawali takie lepioszki. My byliśmy ostatni, dałem kwit na 53 ludzi po 800 gram, chleba już zabrakło i przed nami też kilku już dostało po 400 gram. W tym magazynie co wydawali chleb było ciepło a na dworze było zimno. My jak dostalim chleb jeden to zacząłm jeść i dwóch co brali na 29 ludzi też jedzą a tu wpada chłop i krzyczy na nich chodźcie prędko bo nasz pociąg odchodzi. Oni chleb pod pachę i biegiem polecili a my stoimy a tu podjeżdża wóz i znoszą chleb do magazynu.

Gdy już znieśli, magazynier pokwitował i oni zaraz pojechali i ja podchodzę do tego magazyniera, żeby nam oddał po 400 gram chleba a on mówi, że nie dołoży, bo on już na tym kwicie napisał po 400 gram, to on kwitu nie będzie przerabiał. Mogła być godzina 11-ta w nocy, gdy on mówił stanowczo, że nie doda, to ja mówię wy z magazynu nie wychodźcie, choćby was wyganiali a ja pójdę do naczelnika i oni zostali a ja wprost biegiem idę do naczelnika. Od magazynu do piekarni i magazynu nie było daleko. Gdy wszedłem i zapukałem we drzwi, on się odezwał kto tam, ja jemu mówię i proszę żeby dał polecenie na kartce żeby magazynier wydał mi resztę chleba. Przywieźli cały wóz. On powiada, że idzie spać a żadnej kartki nie trzeba, idź i powiedz mu, że kazałem wydać resztę chleba.



Przed tym magazynem kręcą się jacyś ludzie, nie wchodzą do środka, tylko się tak przechadzają. Przeszedłem i idę do magazyniera i mówię, że ja byłem u naczelnika i on powiedział żeby wy nam chleb wydali resztę po 400 gram a on się pyta a kartkę dał, mówię nie dał, powiedział, że nie trzeba żadnej kartki. On podumał trochę i zaczął szukać w gromadzie tej kartki od naczelnika a przy wydaniu chleba załączał swoją. Miał takie druki specjalne i do nich wpisywał ile wydał i datę też pisał. Jak on szukał to ja do Antka mówię to będzie na nasz wagon a ty, że ty chcesz na drugi wagon na 29 ludzi a że te kwity były oba na wierzchu to łatwo było znaleźć. Dodał mnie po 400 gram, Antek mówi mnie na 29 ludzi, on wziął tą drugą kartkę i wydał na 29 ludzi.

Jeden worek miałem duży, metr zboża by się w nim pomieścił, był pełen i miałem jeszcze taką torbę też była pełna. Teraz od stacji do naszego pociągu było ze dwa kilometry, idziemy a za nami idzie trzech jakichś ludzi. Już odeszliśmy jakieś 50 metrów od stacji i jeden mówi zaczekajcie, wy ten chleb pobrali na fuchę, musicie się z nami podzielić. Ja mówię nie na żadną fuchę, możecie iść za nami aż do naszego wagonu, tam ludzie głodni oczekują na ten chleb. A on mówi wy się nie tłumaczcie macie nam dać połowę tego chleba co niesiecie, ja mówię nie damy nawet jednego bochenka, możecie dostać ale nie chleba. On mówi nie bądź takim kozakiem bo my już nie takich widzieli, ja mówię - widać, że nie takich, kiedy was jeszcze nie odzwyczaili. I mówię dalej kiedyście się nam tak przedstawili to nie przysuwajcie się bliżej bo będziemy już inaczej rozmawiać.

Idziemy dalej a oni za nami. Była noc nie ciemna, ja szedłem ostatni a ten co upominał się o chleb szedł pierwszy. Coś tam rozmawiali między sobą, znowu on mówi dajcie choć po bochenku, my też jesteśmy głodni. Ja mówię - nie damy nic, tam są głodniejsi od was ale jeszcze idą a ja stale się oglądam i patrzę a oni się zatrzymali, postali trochę, wrócili i poszli do stacji.

Przyszedliśmy, jeden poszedł szukać naszego wagonu a my staliśmy przy chlebie. Gdy odnalazł, puknął we drzwi, jeden nam otworzył, wstawiliśmy do wagonu, drzwi zasunęliśmy ale już do spania się wcale nie kładlim. Po tym zdenerwowaniu spać się wcale nie chciało i tak przesiadzieliśmy do rana.

Gdy rano już wszyscy wstali, każdy patrzy na ten worek chleba, ja podzieliłem każdemu porcję jego po 800 gram chleba i pełna torba nam została. Zawołałem Antka i tego drugiego co z nami chodził i mówię ja jestem winien Jaszczukowi 7 rubli to na ten dług sprzedam tego chleba, tu jest takich kilku co nie mają i grosza, to im jeszcze po 400 gram damy a resztę podzielimy sobie, mówią dobrze rządzi pan, to byśmy tylko po pół porcji chleba dostali i tu jak nieślim to też tylko pan obronił. Po tej rozmowie dałem komu uważałem, że trzeba dać i tym paniom też dodałem dodatkowo po 400 gr.

Stoimy już trzeci dzień, niby w Bucharze ale w polu. Paśkiewicz zebrał dokumenty i poszedł do naczelnika po kwity na obiad i chleb. Ja położyłem się spać i spałem do południa. Gdy wstałem już Paśkiewicz wrócił z kwitami i od nas poszli z wiadrami i naczyniami do stołowej po obiad. Przynieśli o godzinie trzeciej, zjadłem obiad i myślę, że trzeba jeszcze raz zobaczyć ten zamek Emira Bucharskiego i poszedłem. Nie mogłem mu się napatrzeć taki był ładny.

Wszedłem jeszcze raz do środka i z tej dużej sali jak raz wyszła ta doktorowa co się z nią spotkałem przed budynkiem naczelnika. Mówię jej dzień dobry pani, odpowiedziała dzień dobry. Pytam się jej czy pani tu mieszka, mówi tak, na tej dużej sali. A chleb pani ma, ona mówi, że nie i mówi, że tylko raz na trzy dni dostała a dzieci i matka i ja jeszcze dziś nic nie jedlim. Mówię jej, że za godzinę przyniosę jej chleba choć dla dzieci, bo już porozdawałem w wagonie, prawie każdy przychodził i prosił.

A i za dług 7 rubli oddałem chlebem Jaszczukowi co od niego pożyczył. Przeszedłem prędko do wagonu wziąłem bułkę chleba 800 gr. i śpieszę z powrotem żeby jej ten chleb dać. Znalazłem je - matka starszka leżała a przy niej siedziały dwie dziewczynki, jedna mogła mieć 7 lat a druga może 5 lat, a ona wyjmując pieniądze i chce mi płacić ale ja zapłaty nie chcę, to ona mówi, to ja nie przyjmę chleba i 3 ruble mi wetknęła do ręki i powiada dziękuję bardzo, że pan przyniósł. No i w tej chwili podeszła Żydówka co oni razem trzymali w podróży w kolchozie razem byli z pustym garnkiem i powiada, że nie dostała nic, bo zabrakło i oddaje jej kwit. A tam tych stojących było kilku. Ja mówię, niech ona idzie ze mną to ja zaprowadzę i ona tam dostanie.

Nie bardzo jej się chciało iść bo już stała w kolejce ze trzy godziny i przyszła z pustymi garnkami. Ale ja jej mówię, że jak była w tej i nie dostała, to trzeba było iść do drugiej albo do trzeciej, to nie w tej to drugiej można dostać. To ona mówi, że ona nie wie, gdzie one są, ale ja wiem, niech bierze kwit i pójdziemy i kupimy, w ten czas doktorowa podała jej kwit i poszliśmy prosto do tej dalszej, ludzi tam było tylko kilkoro. Był makaron, podaliśmy kwity i wiaderko doktorowej i dostałem 4 porcje a Żydówka dwie porcje dostała w dzbanek. Pomogłem wynieść aż na tę ulicę co idzie do pałacu. Oddałem jej wiaderko a sam pospieszyłem z powrotem do pociągu.

Paśkiewicz powiedział, że dobrze, że pan przyszedł bo podobno już wieczorem pojedziemy, każdy tego pragnął żeby jak najprędzej dojechać i dostać się do wojska. Lokomotywa przyjechała ale nie z tej strony cośmy mieli jechać, tylko z tej strony od stacji i jedziemy. Ale na stacji się nie

zatrzymujemy tylko jedziemy gdzieś z powrotem. Jedni mówią, że z powrotem jedziemy do Samarkandy a drugi mówi - ja słyszałem, że mają nas wieźć do Taszkientu ale na pewno nikt nie wie gdzie jedziemy.

Ile my miast przejechaliśmy w nocy, to ja nie wiem, pociąg zatrzymał się w Kaganie, tu dostaliśmy chleb i obiad bezpłatnie. Staliśmy cały dzień. Ryk przechodził się po stacji, węszył może by coś dało się pociągnąć ale chyba nic, bo wieczorem położył się i spał. Noc drugą spalim w Kaganie, w dzień znowu dostaliśmy chleb i obiad. Na wieczór poszliśmy do ciałchandy na kipiątek a inni sobie w wagonie gotowali. Dwa dni stał pociąg w mieście. Tej nocy Ryk z Antkiem zrobili wypad, przynieśli mrożonych ryb w rogozie zawiniętych. Gotowaliśmy całą noc aż zjedliśmy wszystkie.

Pytam go gdzie ty znalazł ryby, on mówi w drugim pociągu był wagon lodówka. Ja go otworzyłem i nabrałem z Antkiem. Ja pytam się to czym ty ten wagon otworzył, on mówi toporkiem, powiada ja prawie każdą kłódkę otworzę i lodówkę też. No, mówię to z ciebie dobry spec, roześmiał się.

Nad-wieczorem jedziemy, jedni mówią, że do Taszkientu, drudzy mówią, że do Turkiestanu ale tu naprawdę to dowiedzieć się jest trudno, bo jak pytam kolejarza to on mówi nie znam, widać mieli przykazane żeby nic nie mówić.

Kradzieże się widać często trafiały bo teraz pociągi zatrzymywali albo przed miastem albo za miastem i nieraz stało się i całe dwa dni w polu. Dojechalim do Taszkientu, tu dali nam chleb na cały pociąg, tylko na dokumenty. Podchodzili komendanci z każdego wagonu po kolej i zabierali też bezpłatnie obiad i nad wieczorem już jechaliśmy dalej.

Gorzej było, gdy się pociąg zatrzymał na małej stacji to tu jak dostaliśmy chleb to musieliśmy płacić po rublu za porcję 800 gr. i jedzenia mało kiedy można było kupić, kiszki walca grały ale na to nie było rady.

Razu jednego przejeżdżamy góry Uralskie, które się ciągną prawie przez całą Rosję. Za tymi górami jechaliśmy pod górę. Z jednej strony wysoka góra, kilkanaście metrów, z drugiej strony kilka a nieraz kilkanaście metrów w dole płynie z gór rzeka, nie bardzo duża ale szum od tej wody spadającej nieraz od razu z 10-ciu metrów.

Tymi górami jechaliśmy pół dnia, pociąg się wyginał, raz w prawo a potem w lewo i w takie esy i rzeka tak samo się kręciła. Nieraz jechaliśmy, że ściana gór zwisała nad pociągiem aż strach było patrzeć a pociąg szedł powoli. Ja nieraz myślałem, że chyba na tę górę nie wciągnie ale pomału wszędzie poszedł.

W końcu listopada przejechaliśmy te góry 1941 roku i dojechalim do miasta Turkiestan, tu przejechaliśmy stację i za miastem pociąg się zatrzymał i odczepili lokomotywę. Na przeciwnym boku była jakaś fabryka dość duża. Pracowali tam jacyś ludzie, chyba też zakłuczeni, bo strzelki z karabinami chodzili po rogach ze wszystkich stron, widać tych ludzi pilnowali.

Gdy to nasi zobaczyli, stał się popłoch. Mówią nas tu przywieźli do południowych łagrów. Pojedyncze osoby, których rodziny nie zobowiązywały zaczęły się wymykać. Ilu ich poszło i gdzie tego nie wiem ale chyba kilkunastu. Kobiety zaczęły płakać, mężczyźni je pocieszali ale też każdy chodził jak zatruty i myślał co to z nami będzie dalej. Zaraz za fabryką tor się dwoił, jeden szedł prosto na południe a drugi na południowy wschód.

Paśkiewicz i ja z nimi i Antek z workiem idziemy na stację za chlebem z dokumentami. Znaleźliśmy naczelnika i chleb nam wydali a obiadu dla nas nie mieli. Powiedzieli, że na innej stacji dostaniemy na pewno. Wróciliśmy do wagonu, chleb rozdali i mówimy, że na następnej stacji mamy dostać obiad.

My co mamy dokumenty do wojska pojedziemy prosto a inni pojedą na południowy wschód, ale że tych do wojska była mała ilość, to podzielili cały transport na dwie połowy. U wszystkich były miny kwaśne. Tak się to wszystko pokręciło, jedni od nas poszli do innego wagonu a do nas przyszli znowu inni ludzie i znajomy z Kupisk Łazarski. Tak, ze znajomych to tylko był Paśkiewicz, Łazarski, Machula, Ryk, Jaszczuk i te panie z Wilna i ja. Reszta w naszym wagonie, to byli nieznajomi. Razem jechało nas 50 osób.

1 listopada dojechalim do jakiegoś niedużego miasta. Patrząc chodzi tu porucznik w zielonym mundurze i starszy sierżant obok. Drugi pociąg stoi na innym torze, ludzie się kręcą po stacji. Ja podeszłem do tego porucznika i mówię, że nas tu 50-ciu jedzie do wojska, do polskiej armii, czy to jeszcze daleko mamy jechać. A on mówi panowie musicie na razie jechać do kołchozów, bo teraz nie mamy ani umundurowania ani zaprowiantowania, gdy to otrzymamy to przyślemy zawiadomienie i do 45 lat wszystkich do wojska przyjmujemy.

Ludzi się naschodziło całą gromadą do tego porucznika, dopytują się a on wszystkim to samo mówi co i mnie powiedział. Teraz każdy idzie na stację coś kupić i mamy tu dostać obiad ale gdzie tam ani obiadu ani kupić. Poprzychodzili wszyscy do wagonów. Ja to miałem jeszcze 1/2 chleba, tom kawałek zjadł i to tak żeby nikt nie widział, bo zaraz by prosili ale wszystkich nie obdzielim a wszyscy



są głodni, a jutro też nie wiadomo czy co dostaniem.

Tu stojalim do wieczora, już wieczorem przyjechał cały długi transport furmanek zaprzęzonych bykami, krowami i osłami i dużo osłów było poprzywiązanych. Był jeden urzędnik z listą i czytał - do tego kołchozu tylu, do tego tylu i z obydwóch transportów tak odczytywał. My byli przeznaczeni do kołchozu 76 osób no i zaraz wsiadali na te furmanki, które przyszły po nas już z tego kołchozu. Ja wsiadłem na osła, kto umiał jechać na koniu to też siadał na osła, było parę furmanek na wielbłądach a jeden Kazach miał jednego osiodłanego i na nim jechał.

Było to 1-go grudnia 1941 r. Zimno było, wiatr ciął po twarzy a my wlekli się pomału, pomarzlim strasznie. A te panie z Wilna zostały na tej stacji. Widać miały pieniądze, bo mówiły, że tu wynajmą jakąś chałupę i tu będą zimować, bo w kołchozie trzeba pracować a my do pracy się nie nadajemy i zostały.

My na tych osłach jechalim dużo prędzej jak ci co furmankami ale strasznie pomarzli, zaczął drobny deszcz padać, zrobiło się błoto. Poziadaliśmy z osłów i idziemy pieszo ażeby się rozgrzać. Oglądamy się czy wozy za nami jadą ale nie widać i idziemy. Mówimy jak dojdziem do jakiegoś kołchozu to tam zaczekamy na furmanki. A teraz idziemy pod górę to zrobiło się jeszcze ciężiej ale idziemy dalej, zawsze coś spotkamy. Ale znowu z tymi Kazachami czy my się rozmówimy. Tylko umie powiedzieć dobra kołchoz i ręce przykłada do głowy i ryczy mu, mu, to znaczy, że mają krowy.

Ujechalim jakieś może 10 albo więcej kilometrów i nic nie spotkalim. Popuszczaliśmy te sznurki co się nimi osły kieruje i idziemy wprzód a te osły za nami. My rozmawiamy nie oglądając się, potem się obejrzelim a osłów ani jednego nie ma a niech cię szlak trafi co my teraz zrobimy, czy się wrócić czy iść dalej. Postalimy trochę a tu zimno o mój Boże co tu robić. Postanowilim nie wracać, one pewnie się wróciły do tamtych co idą przy furmankach.

Ledwie nogi stawiamy ale jeszcze pomału idziem. Doszlim już na szczyt góry. Patrzymy stoi jakaś chałupa, taka większa podobna do czajchany, zachodzimy do niej a tam jest z 10-ciu Kazachów. Myślelim, że może tu coś kupimy ale gdzie tam. Rozmówić się z nimi nie można, ani dogadać, pokazują, że tam, głowami kiwają, że niby tam jest kołchoz i tam można coś kupić. Idziemy, może ten kołchoz jest niedaleko, może co kupimy, może się gorącej wody napijemy aby się rozgrzać.

Potem już szlim z góry, było lżej iść. Z góry płynął strumyk i brała tam dziewczyna wodę ubrana po polsku i była Polką. Od niej dowiedzieliśmy się, że tu w kołchozach już są Polacy i nic nie dostają tylko zamieniają za ubranie na życie. Poszlim z nią do chałupy. Tam mieszkała jej matka i jeszcze troje dzieci młodszych. Ugotowali nam trochę klusek i pokazali gdzie można kupić lepiosków. Podziękowalim i poszlim do wskazanego budynku.

Tu zastalim młodego Kazacha, który umiał po rusku mówić. Mówimy, że jesteśmy głodni i żeby nam coś sprzedał do jedzenia. Zrazu mówił, że nic nie ma a potem wyjął spod worka 5 cienkich lepiosków i mówi jeden lepioszek jeden rubel. Zapłacił 5 rubli i zjedlim na sucho bo nawet wody gotowanej nie dał. Kazał nam iść dalej, bo my mamy też przydział, może przyjdą dziś lub jutro do nas, powiedział. Ale tu niedaleko jest kołchoz, to tam będzie można kupić lepiosków albo chleba. Widząc, że tu nic nie mamy do roboty, mówimy idziemy do tego kołchozu, on ma być niedaleko a nazywa się Pierwyj Maj.

Idziemy deszcz drobny pada, teren gliniasty, buty oblinają łatane i dziurawe, nogi cały dzień mokre. Już znowu przeszlim jakieś przeszło 10 km a kołchozu nie widać. Ale pomału idziemy do tego 1-go Maja, może już do niego niedaleko. Nogi boją, czujemy się ogromnie zmęczeni ale idziemy noga za nogą. Ja jeszcze miałem tłumoczek, to już niósł go Ryk, bo ja już sił nie miałem.

O godzinie może 11-ej w nocy doszliśmy do tego 1-go Maja. Dwa psy rzuciły się do nas szciekając zawzięcie, ledwie się od nich odegnali. Wyszło z chałupy 3-ch młodych Kazachów i pytają się czego my chcemy. Jeden umiał po rusku mówić. Mówimy, że chcemy jeść i przenocować. Zaprowadzili nas do większego budynku, nawet obielonego. Tam było dwóch Kazachów starszych, jeden też umiał po rusku mówić. Dali nam po lepioszce jednej i mówi tu już są wasi ludzie, chcecie to idźcie do nich i tam nocujcie, bo innych drużnych izb nie mamy. Mówim to zaprowadźcie nas do nich. Ci młodzi nas prowadzą i pokazują, że i w tym drugim też mieszkają.

Podchodzimy do drzwi i pukamy, odezwała się kobieta, kto tam, mówimy Polacy jesteśmy zmęczeni i chcielibyśmy przenocować, tylko do rana, bo musimy iść do swego kołchozu, jeszcze dalej. Słyszymy cichą rozmowę w domu a potem odpowiedź - u nas jest tak ciasno, że nie możemy panów przyjąć, poszukajcie sobie innej kwatery.

Ja mówię, że nam tu kazali, a my nie wiemy gdzie szukać innej. Wcale się nie odezwali i nie otworzyli.

Poszlim do drugiej, to samo, wcale się nie odzywają, do 3-ciej, to samo się nie odzywają. Idziemy z powrotem do tego białego domu, wyszedł jeden i mówi, że tu niedaleko jest kołchoz w którym nie ma Polaków, to tam przenocujcie. Ten kołchoz nazywa się Sztube. Już czujemy, że jakieś trzy kilometry przeszlim a kołchozu nie widać. Mówimy, że trzeba się wrócić, bo to może jeszcze z 10 km

albo i więcej do tego Sztube i wróciłem. Przychodzimy do tego białego domu.

Pukamy wyszedł jeden z tych starych, dalej ja go wziąłem rugać, że on nas oszukał i mówię dawaj nam kwatere. On mówi chodźcie i zaprowadził nas do jednej chałupy i powiada tu możecie przenocować i zabrał się i poszedł.

Otwieramy drzwi a tu jest most, jeden przy drugim leżą i śpią. Było tam miejsca może 1 metr kwadratowy i my tam tak posiadaliśmy i tak na siedząckę drzemaliśmy. Ale ci się obudzili i dalej się z nami zaczęli kłócić, że im tu i bez nas jest za ciasno. Ja mówię, że chyba do rana wytrzymacie, bo rano pójdziemy do swego kołchozu, no i ucichli ale po akcencie mowy poznaję, że to sami Żydzi. Było ich 12 i 1-n Polak. Na siedząco nogi bołą a położyć się nie mogę i rozglądam się i patrzę przy oknie jest mała przerwa, że można by się położyć i tam pomału i kładę się. Oni znowu rejwach podnoszą. Ja mówię ściśnijcie się, bo mnie nogi bołą, muszę się położyć, kłócili się ale nie ustąpiłem.

Była tam jakaś słoma, czy zielsko. Najprzód usiadłem, buty z nóg zdjąłem, buszłakiem się nakryłem, kapotę podłożyłem pod głowę i zaraz usnąłem. Rano przyszedł młody Kazach i woła nas do predowaciela. Idziemy, dał nam po lepioszce i każe nam iść do swego kołchozu.

On się nazywa Imbek i w nim jest selsowiet. Pokazał nam drogę i mówi, że do niego jest niedaleko a ile jest kilometrów do niego, mówi, że 5 albo 6 km.: No to mówimy idziemy do tego Imbeka. Gdy przeszliśmy już z 10 km ujrzelim chałupy tego kołchozu. Widzimy mężczyźni się tam kręcą, pytamy czy to jest selsowiet Imbek, głowami kiwają, że tak a gdzie jest selsowiet, pokazują taki większy budynek i głowami kiwają, że tak.

Zachodzimy prosto do selsowietu i mówimy, że my tu jesteśmy przydzieleni do tego kołchozu, nic nie odpowiedzieli. Mówimy, żeby dali nam jeść, poszedł jeden i przyniósł nam po jednej lepioszce i prowadzi nas dwóch do małej chałupki a do drugiej trzech, już niby na kwatery stałe.

Gdy wszedłem do tej lepianki a tam już było trzech Polaków, mówię dzień dobry panom, odpowiedzieli dzień dobry ale jeden tak się na mnie patrzy i mówi zdaje mi się, że to pan Pieńkowski z Drozdowa. Tak poznał pan mnie ale też i ja pana poznałem, pan Franciszek Antkiewicz z Pniewa. Przywitaliśmy się i pocałowali i przypomnieli jak nas razem z łomżyńskiego więzienia do mińskiego więzienia wieźli.

On zaraz wyjął z jamory garczek z makaronem zabielonym mlekiem, zwany w całej Rosji łapszo, dał mi i mówi niech pan je, ja wiem, że pan jest głodny. Nie dałem się prosić, zjadłem połowę a drugą połowę dałem Łazarowskiemu z Kupisk. To było już nas trzech znajomych z powiatu łomżyńskiego.

Pytam się Franka czy ty to łapsze kupił czy wam dali, on mówi już 3 dni jesteśmy i kobieta nam jeść przynosi. Franek opowiada jak jego aresztowali, oskarżył go jeden, że on kupił karabin na Wygodzie. Przyjechało 5-ciu z NKWD samochodem, zastali go w domu, zabrali i przywieźli do więzienia w Łomży. Na drugi dzień biorą go na śledztwo. Pytają się go masz karabin, on mówi mam, śledowaciel się pyta gdzie go masz, powiada zakopałem go w ziemi, to czemuś go nam nie oddał, ty jesteś partyzant. Ja nie partyzant ale ja się was bojał, jak chcecie to jedźcie ze mną, to ja wam pokażę gdzie on jest i go zabierzecie.

Po tym zeznaniu odprowadzili go do celi. Za jakieś dwie godziny wyprowadzili go na podwórze, potem przyszedli do bramy we czterech, za bramą stał już samochód i ten jakiś starszy powiada siadaj. Sam usiadł przy kierowcy, potem ja usiadłem w środku samochodu, jeden usiadł obok mnie a dwóch z tyłu za mną.

Jedziemy, nie powiedzieli ale widzę, że jedziemy w kierunku Pniewa. Przyjeżdżamy do Pniewa, kierowca się pyta gdzie teraz ma jechać, ten z przodu obraca się do mnie i gdzie mamy teraz jechać pyta się. Pokazałem i przyjechalim na moje podwórze, mogła być godzina czwarta po południu. Ten starszy powiada prowadź gdzie zakopałeś wintówkę. Więc ja idę pierwszy a trzech idzie za mną, z domu wziąłem szpadel. Przy miedzy miałem go zakopanego, odkopałem i wracamy na moje podwórko. Karabin zaraz jeden wziął ode mnie i idziemy do mieszkania. Pierwszy szedł ten starszy, dwóch za nim z tyłu. Gdy pierwszy był już za progiem w domu ja momentalnie obróciłem się i jak dałem byka temu pierwszemu, co szedł za mną i on się potoczył na tego co za nim szedł a ja bęc tego drugiego i sam dęba na podwórze i za stodołę i uciekam w pole a oni za mną wszyscy i od razu z czterech karabinów zaczęli strzelać za mną. Jeszcze powiada miałem 4 metry do rowu, później już był las ale jedna kula trafiła mnie w nogę, krew zaczęła płynąć, czuję, że nie ucieknę. Przewróciłem się a oni jeszcze strzelali. Dopadli do mnie, zaczęli mnie bić i jeden krzyczy wstawaj i chadź ale ja nie ustoję, mówię, że mnie noga boli. Ten co dostał byka głowa ode mnie złapał mnie za rękę ale ja rękę wyszarpnąłem i ja go złapałem swoją ręką za jego rękę, jak zakręcę a tu pęk, jak grubszy patyk kość pękła. Jak on krzyknie z bólu a ci trzej jak dopadną do mnie, jak kolbami wezmą mnie bić. Potem przyciągnęli mnie do samochodu, wsadzili na samochód i przywieźli do Łomży. Ja chusteczką zawinałem sobie tę ranę, do doktora mnie nie prowadzili ani doktor ani razu u mnie nie był. Z samochodu dyżurny mnie zszadził i pod pachę zaprowadził do celi. Rana się zagoiła ale co ja dostał za tę rękę co złamałem i za tę ucieczkę bili i mówili ubić bandytę. Osadzili na 15 lat w lasy archangielskie



na robotę.

Potem powiada do mnie panie Pieńkowski kiedyśmy się tu zobaczyli to się już pilnujemy razem; niech pan tu razem ze mną mieszka i jakoś będziemy żyć, ja mówię zgoda, zostanie. Ale tylko to wymówiłem drzwi się otwierają i ten Kazach co mnie tu przyprowadził i Łazarskiego razem, kiwa ręką żebyśmy wyszli, wychodzimy, patrzę a tu nadciągnęła cała nasza karawana cośmy razem od kolei jechali na furmankach z krowami, osłami i na wielbłądach i nam każą dołączyć razem. Ja mówię, że tu chcę zostać ale ten co prowadził nie chciał się zgodzić i musieliśmy dołączyć do swoich razem.

Pożegnaliśmy się z Antkiewiczem i jego dwoma kolegami i ja mówię niedaleko od siebie będziemy to do siebie przychodzić będziemy. Antkiewicz mówi, że zobaczy jak tu mu się nie podoba to przyjdzie do mnie, mówię dobrze - przychodzić będziemy razem.

Ośle i krowy trochę wypoczęły, starej suchej trawy pojadły, bo była już późna jesień. Powsiadali na nie a ja włąłem do Kazacha na wielbłąda z tyłu, Kazacha się trzymałem i jedziemy do kołchozu Imbek, jeszcze mamy do niego 15 km.

Jechałem połowę drogi na tym wielbłądzie ale sprzykrzyło mi się, zląłem z niego i idę piechota ale znowu nogi bołą. Jeden osioł był przywiązany do woza, nikt na nim nie jechał. Ja go odczepiłem, wsiadłem i jadę ale on idzie bardzo wolno tak, że ja zostaję z tyłu, coraz dalej, wreszcie położył się pode mną a ja stoję na nogach nad nim. Niech cię krew zaleje krzyczę, szarpie go i szturcham, gdzie tam nie wstaje. Krzyczę, wołam do tej całej karawany ale widać nie słyszą, oddalają się. Poszedłbym piechota ale miałem taki mały tłumoczek i on na nim leżał i wydostać go spod niego nie mogłem.

Całe szczęście, że jeden Kazach obejrzał się, była tam równina, zobaczył, że stoję, przyjechał też na ośle a miał kij, jak go weźmie tym kijem okładać, wstał każe mnie na niego siadać, wsiadłem. Jedziem, on trochę z tyłu i coraz to mu kijem dowali, tak, że dojechalim tą karawaną do kołchozu i wjechalim razem.

Z całego kołchozu zeszli się mężczyźni i kobiety z dziećmi. Zatrzymalim się na takim równym placu, patrzymy na ogniu stoją samowary już z gotowaną wodą i naznosili kubków i chleb na kocu leży całą gromadą. My posiadalim, było to 4-go grudnia 1941 roku. Kołchoz ten nazywał się Kazałtu. 4-ry kobiety zaczęły nam nalewać wodę z samowarów do kubków, nie bardzo pełne i zamiast esencji to w jednym kubku miały odtłuszczone mleko i po kilka kropel dolewały do każdego kubka z nalaną wodą i podawały każdemu z nas. Lepioszki dwie kobiety znowu podawały temu kto już dostał kubek z wodą to zaraz dostał i lepioskę. Tak wszyscy oni patrzyli na nas jak my się uwijali, bo wszyscy byliśmy bardzo głodni. Zdążyliśmy wypić i zjeść lepioskę to nalewały do kubków na nowo wodę i kilka kropel tego odtłuszczonego mleka i dawali drugą lepioskę.

Z czego oni piekli te lepioszki. Tam płynęła taka wąska struga wody. Oni ja tam wstrzymali dosyć wysoko i tam gdzie ona spadała w dół sklecili jakiś młynek, jak dawniej u nas były żarna i tam młli pszenicę ale ta mąka była jak u nas, zwana razówka. Pszenica była bardzo sucha bo młócili ją na wyrównanym placu a ziemia jest gliniasta a deszcz w lecie nie pada tylko późną jesienią i wczesną wiosną. To ta ziemia w lecie jest twarda jak skała. Na wyrównanym placu leży na środku wkopany słup dość gruby z żelaznym bolcem na wierzchu i jest założony jak u nas na kieracie długi, walnie gruby drąg, do niego po brzegach są poprzywiązane tak zwane orczyki i do nich zakładają krowy w jednym brzegu i w drugim po dwie krowy i po jednym chłopie w jednym brzegu i w drugim do poganiania tych krów. Krowy są poprzywiązane na jedną odległość żeby nie szły ani w jedną stronę za daleko ani za blisko. I tam gdzie one będą chodzić będzie położona pszenica i krowy będą ją tak młócić.

Po omłóceniu mają place wyrównane, długie około 20 metrów i tam tę pszenicę sypią w takie kopce jak u nas kartofle. Tam nie było żadnych stodół ani żadnych spichrzów.

Ale teraz wrócę się jeszcze do naszego przyjęcia, wszyscy najedliśmy się do syta. Jeden Kazach siedział na przeciw mnie i stale przyglądał się na mnie. Nie wiedziałem dlaczego. Po skończonej gościnie, on przychodzi do mnie i pokazuje, że on nie ma na przodzie jednego zęba a ja na przodzie miałem na zębie złotą koronkę. Więc palcami pokazuje na migi żebym ja ten swój ząb wyjął i dał jemu, to on sobie wsadzi a mnie za niego da lepioszków. Po rusku ani słowa nie rozumiał, to nawet nie wiedziałem ile on by mi tych lepioszków chciał dać za ten mój ząb. Ja się roześmiałem no i dałem mu znać głową, że zęba mu nie dam. Ale za to on się pomścił na mnie gdym odchodził z kołchozu. Będę pisał o tym po fakcie.

Po rosyjsku w tym kołchozie to tylko trzech umiało mówić - preśedaciel, brygadier i jeden traktorzysta nazywał się Kanałab Sadwaj. Prawie wszyscy na twarzach brązowi a ludzi białych takich jak my oni nigdy nie widzieli. Do żadnego miasta nie wolno im było jechać a nawet iść do drugiego kołchozu. Tylko jeden listonosz codziennie jeździł na ośle do selsowietu z pocztą. Domy mieli z gliny, budowali całym kołchozem i tylko na wiosnę jak ziemia odmarnie, bo już w lecie jest sucha jak skała.

Na budowę wychodzą wszyscy mężczyźni z łopatami i szpadlami a kobiety z wiadrami i kubkami. Młodsze kobiety noszą wodę a starsze będą polewać glinę. Jak mężczyzna położy na ścianę to ona

kubkiem wody poleje. Glinę biorą obok tego domu co go budują. Od razu chłopcy stają na czterech ścianach i przy każdej ścianie w odległości pół metra jest rów po wybranej glinie. Domy przeważnie 5 metrów długie a 4 szerokie. W żadnym domu drzwi ani okien, tylko goła szyba siedzi w glinie, przeważnie 50 na 50 cent. Taki dom glinianka jak wyjdą rano to już na wieczór skończą, przeważnie jedno pomieszczenie. Sufit to jednocześnie dach razem, pojedynczy. Przy tej strudze rosną krzaki, nawet dość duże to ich nakleją i gliny na nich nakładają, spad jest na wszystkie cztery strony. A zamiast drzwi to w lecie wisi jakiś materiał cienki a w zimie to jeszcze i gruby koc wełniany.

W domu żadnym nie ma żadnego stołu ani krzeselka. Wszyscy siadają na ziemi i nogi podwijają pod siebie. Podłóg też nie ma, tylko gliniane i na nie kładą grube wełniane koce bo owce tam hodują i plany oddają do Państwa - wełnę i mięso, resztę co zostanie to mają dla siebie.

Drzewo tam żadne nie rośnie, tylko krzaki przy strudze i miejscami rośnie trzcina. U niektórych to sufit jest z krzaków i razem z trzciny nawet choć nierówny jest wylepiony gliną, zakopcony dymem z piecyka i kurzu pełno. Piecyk blaszany całe lato stoi na dworze a w zimie w domu z rurą. Na nim stoi kociołek ciugowny, czarny do gotowania i pieczenia lepioszków i do wszystkiego, żadnych gańków nie znają.

Po godzinie zaczęli nas rozprowadzać po kwaterach. Mieli dużo pustych chałup. Razem do tego kołchozu przybyło 76 osób, w tym 4 rodziny. U Kazachów gdy byli bez dzieci albo tylko 2-je to razem łączyli i wszystkich umieścili. A nas 6-ciu wziął brat prezydenta do siebie. Byliśmy przemarznięci, nogi mokre, ubranie też.

Posiadaliśmy przy piecu na ziemi na rozesłanym wołoku. Przed nami położył jakąś białą szmatę ale już była trochę brudna i na niej przyniósł i położył 8 lepioszków walnie grubych, później ona przyniosła 6 kubków białych bez uchów i poszła po samowar i po wodę, którą miała już ugotowaną, jeszcze była trochę gorąca.

Ona ponalewała nam do kubków a jeszcze w jednym kubku miała mleko i zamiast esencji dolewała nam po trochu tego mleka. Gdyśmy zjedli te osiem lepioszków i po dwa kubki wypili tej zabelonej herbaty, najedliśmy się doskonale a oni tylko się przyglądali jak my z apetytem wcinaliśmy. Gdy już skończyli jedzenie ona samowar zabrała a garnek ciugonny którym nam wodę przyniosła postawiła na piecyku i poszli a my szykujemy się do spania ale jak my tu będziemy spać, wszystko jest na nas mokre a tu na gołej glinianej podłodze będzie nam zimno żeby choć trochę słomy albo siana a tu nic nie ma.

Gdy tak desperujemy żona tego Kazacha przyniosła nam duży kawał starego wołoku. Rozpościelił go i położyliśmy się spać jeden do drugiego się przytulił żeby było trochę cieplej ale sen pod mokrym przykryciem nie bierze. Jeszcze żaden z nas nie usnął a tu wchodzi do nas z dużą miską drewnianą i stawia ją przy nas, żona jego świeciła mu małą lampką i on pokazuje nam na migi żeby jeść. Był to makaron z pokruszonym serem, to się nazywa łapsza.

My już byliśmy niegłodni a zjedliśmy wszystko a Kazach był zadowolony bo się tylko uśmiechał. Widać po nim było, że chciałby z nami rozmawiać ale on po rusku nic nie umiał a my po kazachsku też nie umielim. Mówimy mu dziękuję, on też powiedział z uśmiechem dziękuję, zabrał miskę i poszedł.

Ja mówię aleśmy się dziś najedli, chyba na dwa dni, nie pamiętam kiedy się tak najadł w Rosji. I na nowo kładziemy się spać, znowu się tulimy na ścisło żeby było choć trochę cieplej i spalim do rana.

Rano przychodzi do nas żona tego Kazacha z mąką i wodą i pokazuje nam na migi, że będzie nam jeść gotować. Fajno jest, mówimy sobie. Zerwalim się wszyscy na nogi, zaczęliśmy się myć i sprzątać po sobie. Ona przyniosła takiego zielska suchego zwanego disanem do palenia w piecyku, bo drzewa tam żadnego nie było. Naiała wody do gamka i rozpałała ogień i pokazuje nam żeby kłaść na ogień to zielsko do piecyka. Sama położyła skórę baranią na tej glinianej podłodze, nasypała na nią mąki i wlała wody, uklękała i gniecie ciasto. Po ugnieceniu miała wałek i na tej skórze rozwałkował, potem nożem porznięła i na gotującą wodę kładzie te paski do garnka i po paru minutach już ich wydostaje do drewnianej dużej miski. Przyniosła w kubku mleka odciągniętego, połała po tej tak zwanej łapszy i pokazuje żeby jeść. Przyniesliśmy się do tej miski ale dwóch naszych kolegów nie miało łyżek, pokazujemy jej żeby przyniosła nam dwie łyżki. Ona ramionami wzruszyła i głową pokręciła, że nie ma. Oni łyżkami nie jedzą tylko trzema palcami nawet i zupę.

Gdy siadają do jedzenia to rękawy zaginają aż za łokieć i przy jedzeniu wcale się nie pochłapią bo gdy mu płynie zupa po ręku to on językiem złapie, nie da jej upaść. A jak bardzo rzadka zupa to nalewają do kubków.

Ten kołchoz to był duży, przeszło 80 rodzin w nim pracowało. Każda robota w polu odbywała się gromadnie, całą gromadą i to w każdym kołchozie. Najwięcej w polu sieli pszenicy, potem jęczmień, słonecznik i proso. Z warzyw sieli arbuzy, kawony i inne tamtejsze frukta, kapusty, buraków, kartofli tam nie znają, czosnek rósł tam taki mały polny przeważnie na cmentarzu, cebuli też tam nie



widziałem.

Zwierzęta tam hodowali - krowy, dużo owiec, osły, muły i wielbłądy ale mało zależy jaki kółchoz. Również chowali dużo kur ale od wszystkich zwierząt opłacali podatek, kółchoz oddzielnie i każdy kto chował w domu miał wyznaczony podatek i kontyngent mięsa, mleka, masła, jaj, prosa i tą kaszę z prosa tkli w takich stępach.

Wszystko odwozili do rejonu. Konie też chowali ale mało, najwięcej osłów i owiec duże stada kółchozowe i oddzielnie owce chowali - każdy sobie. Wszystkie zboże idzie do kupy, po omłóceniu odwożą wyznaczoną ilość do rejonu, resztę sypią w kopce, dzielą na wszystkich według wyrobionych procentów a na wiosnę po obsianiu wyznaczonych hektarów to co zostanie znowu dzielią na wszystkich procentowo.

A gdyby zabrakło na nasienie to pożyczają w rejonie ale zaraz jak tylko zaczną młócić to pierwsze zboże muszą odwieźć do rejonu i załatwić dług, a potem wyznaczony kontyngent, i resztę jak zwykle według procentów, ile kto wyrobił.

Najgorzej jest tam dorastającym kawalerom. Jak się chce żenić to musi sobie kupić pannę na żonę u jej rodziców a czym ładniejsza to jest droższa. Ci rodzice, którzy mają kilka córek to są bogaci a którzy mają kilku chłopców to liczą się do biednych bo muszą kupować dla synów panny na żony. Tylko ładnych dziewczyn to tam jest mało. Po urodzeniu nie szczepią ospy z tego powodu jest dużo ospowatych, u nas nazywali takich gradowatych. Poza tym chorych jest tam na syfilis. Jest to groźna choroba, dziecko się urodzi u takich rodziców to już ma wrzody na ciele i nieraz ma ich dużo. To przeważnie bywa z brudu.

Gdy rozmawiałem z jednym doktorem, który jeździł dużo do chorych po kółchozach to on mówił, że tam jest 85 procent takich chorych i powiedział że to jest groźna choroba bardzo zaraźliwa i trzeba się jej wystrzegać.

Jedna polska rodzina mąż, żona i syn i córka ładna dziewczyna podobała się bogatemu Kazachowi. Chodził do tej rodziny prawie co dzień i chciał ją kupić. Dawał za nią wielbłąda, 800 rubli, 3 owce i 4 metry pszenicy. Ale ani ona ani jej rodzice wcale o tym słyszeć nie chcieli a on wprost napierał to oni mu mówili że teraz jest wojna, on pójdzie na wojnę i może być zabity. To po wojnie jak on wróci to w ten czas będzie o tym mowa.

Ci Kazachy to się wcześniej żenią, kobiety się prędko starzeją, zapracowane, mężczyźni w domu nic im nie pomagają, nawet ręką nie tknie żadnej roboty. Idzie sobie kamieniem rzucać kto dalej rzuci temu w ręce klaskają. Wszyscy się zejdą z całego kółchozu, dwóch gra a reszta się przygląda. Co miał pomóc żonie w domu, chociaż wody przynieść, gdzie tam żona jest od tego, jego nic nie obchodzi.

Już z samej wiosny wszystkie kobiety biorą takie motyki do wycinania takiej dzikiej bylicy na opał. Wycinają i składają w kopy, które stoją do samej jesieni a już w jesieni muszą to wszystko ponosić i znowu ułożyć w kopy bo to tylko jest opał na zimę i musi wystarczyć, bo ona za to odpowiada.

A to zielsko to rośnie od kółchozu 5 i 6 kilometrów, to ten postronek aż się w ramię werźnie ale żaden chłop jej nie pomoże. Tam mężczyźni to się liczą jako coś wyższego od kobiety. On mówi kupiłem ją to na to żeby robiła, to niech teraz odrobi.

Ich kraj słynie od wieków z gościnności. Oni schodzą się do jednego z braci, których 25 mają i jak nie ma roboty w polu to sobie ugotują całego barana, jego wyjmą a potem w tym kotle ugotują łapsze ten makaron pokrojony w paski z pokruszonym serem. Tam jeden z nich ma dużą miednicę, to najprzód wyłożą barana i jedzą wszyscy bracia bardzo zadowoleni, opowiadają sobie i umawiają się jutro do innego brata w gościnę. I tak po kolei chodzą od brata do brata aż u ostatniego kończą.

Tak samo kobiety chodzą do sióstr od domu do domu i też się goszczą. Tylko jest różnica w tych gościnach pomiędzy kobietami i mężczyznami. U kobiet nigdy nie byłem, to nie wiem jak one to odbywały. Ale do mężczyzn byłem zaproszony to się im dobrze przyjrzałem.

Siadają, nogi podwiną pod siebie i wyjmują z kieszeni małą flaszczykę, przechylił sobie do ust takiej żujki i ją cmoka, wysysa ją, potem wypluwa. Baran się już ugotował, oni go wyjęli i łapsze włożyli. To mięso pokrajali i zaczynają jeść a mnie aż ślinka w ustach się zrobiła ale nie cisnę się do nich, do tego mięsa ale jeden się obejrzał, za nim zrobił trochę miejsca i na migi pokazuje mi żeby się przybliżyć i jadł. Przysunąłem się i sięgnąłem po kawałek mięsa i zjadłem, on znowu pokazuje żeby brał nóż, wziąłem jeszcze jeden kawałek ale widzę, że oni tak się uwijają, już tam pojadłem i tylko na boku siedzę i się przyglądam. Oni zjedli, kostki na bok wysypali i wyleli łapsze, ja przysiadłem bez żadnego naczynia. Oni się poprzysuwali bliżej, rękawy pozaginani aż po łokieć i jedzą борąc trzema palcami i im nic nie upada do tej zupy. Wołają i mnie do tej miednicy i pokazują żeby jeść, przysunąłem się i wziąłem też trzema palcami ale wszystko z palców wyleciało, odsunąłem się a oni to widzieli jak mnie z palców wszystko wyleciało, śmieją się wszyscy aż się za boki trzymają a ja się patrzę na nich po kolei, jeden wstał i poszedł gdzieś, za parę minut przychodzi i daje jakąś starą łyżkę i do miski nalał mi tej łapszy, podał i ja dopiero zacząłem jeść. Oni tylko się patrzyli jak mnie to

zgrabnie szło, bo byłem już głodny.

Razu jednego trafiłem jak dwóch jadło jakąś zupę jedną na oba boki dużą łyżką. Raz tą łyżką jeden chłupnął do ust, to ją kładł i brał ją drugi i znów zaczępnął i chłupnął i każą mi siadać na trzeciego. Odmówić nie można, bo się gniewają. U nich tego nie ma a my za dużo jeść nie mielim. Siadam na wojłoku i we trzech tą jedną warząchewką chłupam razem z nimi i w duchu myślę, że się śmieją. Jeden mi mówi po rusku, że to tak bliscy przyjaciele jedzą.

Przypomniało mi się jak kiedyś tam gdzieś we dwóch palili fajkę pokoju, tak ja tu stanę się ich przyjacielem bo jedną łyżką z nimi jadłem.

Brudny to naród, jak wstaną to się nie myją tylko do jedzenia, zawsze stoi dzbanuszek ciugonny z wodą i on weźmie w jedną rękę za ucho dzbanek i na drugą rękę polewa wodę na dłoń i tak jak kot łapą pogłaska się po twarzy i połą od kapoty obetrze się i już się umył. A do jedzenia połą na jedną rękę wody, drugi raz na drugą, zakręcił jedną o drugą i już czyste obie, obetrze jakąś szmatą albo połą i siada i je.

Młodzież u nich wychowuje się po komunistycznemu, w nic nie wierzą a starzy jeszcze utrzymują starą wiarę i wierzyli w księżyc, klękali na ziemi i kiwali głowami aż o ziemię się opierali i śpiewali przy tym jakby u nas psy wyły albo w puszczech irańskich szakale ału ału. Jeden zawsze zaczynał trochę w przód a potem znowu wszyscy. Chodziłem im wodę nosić i różne rzeczy nieraz widziałem.

Razu jednego natrafiłem jak się poród odbywał, w jaki dziki sposób na kuczajkach przy pchaniu kolanem z tyłu w krzyż przez drugą wiedźmę i zaklęcia czy modły się tam odprawia, czort ich wie A tych urodzin to już oczekuje 25 sióstr, jakby się urodziła córka a jak syn się urodzi to będzie 25 braci. W ten czas jak córka to baby będą się gniewać a jak syn to mężczyźni zrobią bimbę. Zarzną cielaka albo barana i mężczyźni nieraz dają podarunki na tę ucztę.

Nie wiem jak się odbywa uczta na pogrzebie, wiem tylko, że przez 14 dni schodzą się, dużym kołem siadają, baran albo cielak się w kotle gotuje i wszyscy płaczą, lamentują i śpiewają dopóki się mięso nie ugotuje w kociołku. Gdy już mięso podadzą płacz i śpiew ustaje, zjedzą i rozchodzą się do domów.

Nieboszczykowi kopią grób najwyżej 1 1/2 metra a ta płytkość zależy kiedy umrze. Jak na wiosnę albo w jesieni kopią do 1 1/2 metra a jak w lecie to trochę ponad metr, bo głębiej nie da się wykopać, glina jest twarda jak skała. Nieboszczyka owijają w białą szmatę i go chowają na siedząco. Potem sypią ziemię i zasklepią patykami a potem zaściełają trawą i obsypują ziemią. Tam później węże się kryją, których jest tam dużo i pewnie mają tam gniazda a może się tym nieboszczykiem żywią ale tego nie wiem.

Tylko raz tam przechodziłem to widziałem jak wąż długości może nawet więcej jak 1 1/2 metra długości schował się do dziury w takiej mogile, jak mnie zobaczył. Ale tam te węże nie są jadowite, on człowieka nie ukąsi.

Razu jednego wlaź do naszej chałupy do której my nanosilim suchego zielska na posłanie pod siebie żeby było lepiej spać. Położyłem się do spania ale coś się tam rusza pode mną, usiadłem i słucham ale się uspokoiło i spałem do rana, ale rano przegamiam to zielsko a tu leży wąż skręcony w taki kłębek, mógł mieć długości ponad 1 metr. Gdy go zobaczyłem drgnąłem i odskoczyłem a on sobie leży spokojnie, ja się bałem ale nadszedł Kazach i my go zawołaliśmy, on go wziął na ręce i wyniósł, położył na ziemię i on poczołgał się dalej.

Wracam się do cmentarza, mogiły pozapadały się niczym nie ogrodzone. Nikt tam zmarłych nie odwiedza i nikt się o cmentarz nie troszczy. Dopiero przyjdą jak ktoś drugi umrze.

Ta kobieta co nam przychodziła gotować to była wyznaczona przez preśedaciela. Dawali jej mąkę i ona nam gotowała. Tak było 3 dni ale 4-go dnia wołają nas do roboty, my nie chcemy iść ale 4-ch poszło. Gdy przyszli na wieczór do chałupy mówią, że tam dali im dobry obiad. Na drugi dzień przyszedł brygadier, który umiał po rusku mówić i powiada nam, że ci co nie chcą robić to tylko dostaną mąki po pół kilka i jak nie pójdziemy do roboty to wcale nie dostaną a tylko stare i dzieci dostaną po 200 gram na dzień.

Mówimy sobie, że musimy iść do roboty, wyszlim, on nas zaprowadził do fermy. Była tam hodowla owiec, których było przeszło 2 tysiące sztuk. Obok była druga ferma krów, było ich paręset. Tam też był ulepiony dom dużo większy od tych pojedynczych, które Kazachy mieli. W tym domu mieszkało kilka rodzin, które dozorowały i pasły, jedni krowy a drudzy owce.

Każda ferma była ogrodzona glinianym murem i mieli dwa podwórze, gdzie zaganiali do nich owce a do drugiego krowy. Tam na noc przyganiali pastuchy dobytek a rano wyganiali na pastwisko. Żadnych obór dla dobytku nie było, tylko na podwórzach zimą i latem nocowało. Z tych podwórek trzeba było wynosić odpady nosilkami, ze sto metrów do takich dużych dołów z całego podwórze, z jednego i drugiego.

Te rodziny, które tam mieszkały gotowały dla nas obiady kolejno, którym dał mąkę i nakazał preśedaciel. On się tam często dowiadywał. Dobry był człowiek, można z nim było pogadać, dawał



machorkę kto palił a na obiad to kazał tyle gotować ile damy rady zjeść. Zawsze łąpsza z odtłuszczonym mlekiem i po lepioszce dość grubej.

On tam mieszkał, miał dość ładną żonę i troje dzieci. Nieraz zaprosił nas na kipiatak z mlekiem. Ich dzieci chciały na gwałt z nami rozmawiać ale nie rozumieliśmy się.

Rano, jednego dnia wszedł do naszej chałupy Kazach i pyta się po rusku kto by mu przytaskał wody. Ja się zerwałem i mówię - ja, no to chadź somnoj. Idziemy ze 200 metrów. Miał taką lepiankę, dość duża izba i mały zachowanek. Daje mi dwa wiadra blaszane i mówi przytaskaj wody. Idę w tę samą stronę gdzie my mieszkamy i jeszcze jakieś 50 metrów dalej poszedłem, wody zaczerpnąłem i dość sporo, idę żeby go zastać, bo może gdzieś iść. Przyniosłem jest on i wyszła jego żona, młoda, mogła mieć 17 lat, może trochę więcej ale niepodobna do tutejszych kobiet. Tu są wszyscy opaleni, tacy brązowi a ona biała, trochę a i śniada, wygląda na inną rasę, ładna, delikatna. Przygląda się mnie a on wyciąga lepioskę, daje mi kubek, wody nalał, potem trochę mleka dołał i mówi kuszaj. Ja zjadłem. On mi mówi, że on jest traktorzystą i dlatego na wojnę go nie zabrali, bo trzeba orać, siać i chleb dla tych co są na wojnie im posyłać. Potem mówi jutro i zawsze rano przychodź, wiadra bierz i wodę przenoś, mówię dobrze. I tam mu codziennie noszę i on codziennie daje mi lepioskę i kipiatak z mlekiem.

Już jesteśmy dwa tygodnie, wszystko się unormowało, każdy chodził do jakiejś pracy i dzień po dniu leci. Któregoś dnia w nocy przychodzi do nas dwoje ludzi Polaków, jeden się pyta czy tu jest pan Pieńkowski, ja się odzywam - ja jestem. Był to Antkiewicz i powiada - rzuciłem tamten kołchoz i przyszedłem do pana, będziemy razem, zawsze to będzie nas dwóch znajomych, to będzie nam łąej na sercu. Mówię dobrze, pomieścimy się tu razem.

Tu płynęła taka mała struga, rosły przy niej krzaki, taka wiklina. On zaraz się wziął do roboty. Chodził po te różgi, czyścił je na białe i plótt koszyki małe i większe a umiał tak ładnie upleść, że jak zobaczyły te koszyki tutejsze kobiety, to jedna przed drugą zamawiały żeby on plótt, płaciły mu 2 kilo mąki za koszyk albo kurę gotowalim na obiad.

Ja znowu też rzuciłem robotę kołchozową i zacząłem myśleć o robocie prywatnej. Z tym Kazachem się zżyłem i mówię mu Sadwaj, on miał takie imię, ty mi przynieś szpadel albo łopatę a ja ci zrobię porządek dokoła domu. Przyniósł mi szpadel, ja zacząłem zawałać ten rów, co była wybrana glina na dom. Tego dnia zarównołem połowę od frontu ale tak równo z małym skłonem od domu żeby się nigdzie woda nie mogła zatrzymać. Na drugi dzień przyniosłem wodę, zjadłem śniadanie i równam drugą połowę, na obiad żona tego Sadwaja gotuje kurę, gniecie ciasto na skórce baraniej, później to rozwałkowała i pokroiła na wąskie paski i do tego rosółu powrzuciła, bo kura już była miękka i wyłożyła mięso na talerz drewniany a łąpsze na jakąś starą miskę. Zjadłem tę całą kurę i tej łąpszy tylko połowę, bo więcej nie mogłem. Ale to był obiad, jak kiedyś w domu, kura i rosół, bardzo to lubiłem.

Tylnią ścianę też obszykowałem, zostały jeszcze oba szczyty. Codziennie nadwieczorem przychodzili Kazachy żeby im to zrobić. Sadwaj widzi to i boi się żeby do drugiego nie poszedł a nie skończył jeszcze szczytów. Powiada do mnie Aleks ty nie idź spać tam do kolegów, śpij u mnie, będziemy razem jeść. Mówię jeść będziemy razem ale spać pójdę tam.

Spałbym u niego ale u nich wszystkich są straszne wszy, bo oni na wojłokach śpią. Gdy tylko się usiadło to już cię oblaży. I to prawie w całym kołchozie, u wszystkich Kazachów.

Widziałem jak jedna Kazachka zdjęła koszulę i ten szef od koszuli wzięła w zęby i tak tymi zębami ścisnęła, po kolei przejechała od brzegu do brzegu przegryzając w ten sposób wszystkie wszy na które natrafiła pod szwem. A nieraz wymie dużą wesz to ją wsadzi do ust i przegryzie i połknie. A drapią się niemiłosiernie i wcale się nie krępują nikogo.

Po wodę niektórzy mają daleko ale żaden Kazach wody nie przyniesie, ma od tego żonę. To one jak która idzie a za nią idą może o parę metrów z tyłu a jej się zachce nieraz za swoją potrzebą to ona stawia wiadra i odchodzi na bok jakieś trzy metry, siada i się załatwia i mogą ją mijać mężczyźni czy kobiety to ją wcale nie obchodzi. To jest naród bezwstydnny i ogromnie brudny.

Gdy skończyłem u tego Sadwaja równanie tego placu wokół domu to ten dom stał jak na klombie, w jednym miejscu zrobiłem taki płytki rowek na odprowadzenie wody gdyby grubszy deszcz padał. Nie było w tym kołchozie ani jednego Kazacha żeby nie przyszedł i nie zobaczył tej roboty, wszyscy byli. Ale zapłacił mi dobrze, dał ze sześć kg. mąki i kurę.

Jednego razu gdy przyniosłem wodę, on mówi żeby im pomóc przebrać pszenicę. Ja wiem, że to będzie nie za darmo. mówię dobrze, pomogę. On był traktorzystą i tych norm narobił traktorem ponad plan to i z mąką tak bardzo się nie liczył. 4 dni u niego robiłem, to ona gotowała tej łąpszy z odtłuszczonym mlekiem ile tylko mogłem zjeść a raz ugotowała kaszy jaglanej z arbuzem, bardzo była smaczna.

Po śniadaniu rozłożył grubszy koc na podłodze i wysypał na niego, na środek pszenicy a umiał dobrze mówić po rusku. Pokładlim się na brzuchu, na tym kocu i przegarniamy palcami tę pszenicę a

w niej były takie czarne, małe nasionka. One były bardzo gorzkie. Tak gdyby się ich nie wybrało i razem zmeł na mąkę, to jej nie można było jeść taka by była gorzka. Pszenicę przebieramy a te czarne nasionka kładziemy do kubków.

Zaczynamy rozmawiać i on jej tłumaczy, on leży obok mnie a ona naprzeciw. On wypytuje się o to i oto, ja jemu tłumaczę jak to się nazywa po polsku. Wreszcie on się mnie zapytuje jak się nazywa członek po polsku, ja mówię, że tak samo jak po rusku, to on mówi chuj, mówię tak; on tłumaczy to swojej żonie, to ona się uśmiecha. On się pyta jak się nazywa ten interes u kobiety, to mówię, że po polsku tak samo jak po rusku, to on mówi pizda, mówię tak to on znowu mówi to swojej żonie to ona znowu się uśmiecha.

Więcej nie pyta się mnie tylko rozmawiają oboje i to dłuższy czas. Wreszcie on zwraca się do mnie i mówi Aleks moja żona jebatsa choczot, ja mówię no to weś i pojebaj kak choczot a on z uśmiechem mówi ona choczot czotoby. Obejrzałem się na nią, była blada a teraz ma rumieńce na twarzy, zęby wyszczerzyła i śmieje się. Wpadłem w złość i mówię idź ty do pioruna z tą swoją żoną i więcej nic nie mówię tylko tę pszenicę przebieram i przegamiam. Potem on znowu się pyta Aleks coś powiedział idź do pioruna z tą swoją żoną. Ja mówię, że nic nie powiedziałem, tylko twoja żona jest chora bo była 2 tygodnie po urodzeniu dziecka. Nic nie mówi a potem powiada, tak moja żona jeścio balnaja.

Pszenicę przebierać już skończyli, oni pozbiali do worka. Potem on wyszedł i za chwilę wrócił i za nogi przyniósł kurę z urwanym łbem i zaczął ją skubać a ona w garnek wody nalała i zaczęła się brać do rozpalania ognia. On skubie i tak sam do siebie mówi - idź do pioruna z tą swoją żoną, czto eto jest gawaryj Aleks, ja mówię niczewo nie jest, więc już mnie nie pytał. A ja myślę czy ten drań chciał mnie tylko wypróbować czy naprawdę chciał mi tej swojej żony pożyczyć po przyjacielsku, to tego do dziś nie wiem, bo już jedną łyżką kilka razy jedlim jako dobrzy przyjaciele.

Kura się już ugotowała, wyjęła ją na drewniany talerz a na rosół miała już pokrojony makaron w grubsze paski, pokładła go do ciugonka. A my z Sadwajem zabralim się do jedzenia kury z lepioską. Kurę opchnęli całą obydwaj, potem na deser był rosółek bardzo smaczny.

Po skończonej robocie u Sadwaja namówiłem Antkiewicza i obszykowalim chałupę u predsiadaciela, tak samo zrobiłm ładnie. Dawał nam życie dobre a po skończeniu dał nam po 3 kg mąki. Od tej pory nie mogłem dać sobie rady. Wszyscy chcieli żeby u nich robić tę robotę i każdy chciałby wprzód rady, no i robiłem. Za tę robotę już miałem przeszło 20 kg mąki, to był mój kapitał. Antkiewicz za koszyki miał jeszcze więcej jak ja, byliśmy bogaczami.

Dzieci w szkolnym wieku chodziły do szkół i uczyły się po swojemu i po rusku. Starsze nawet umiały mówić niezłe. Ich litery małe i duże to takie same jak nasze. Jednego razu weszłem do takiej szkoły, uczyły się tam, zacząłem z nimi po rusku rozmawiać. Były same dziewczynki, pytają się jak ja się nazywam, powiedziałem Aleks Pieńkowski. Prosiły żeby im napisać, no bo nie mogły powtórzyć mego nazwiska. Ściany tam były bielone, dały mi gwoździa i na tej ścianie wyraźnie napisałem, one to wyraźnie przeczytały, bez błędu po kilka razy, chciały zapamiętać i zostawiłem na ścianie to swoje nazwisko i imię pisane gwoździem.

Do lutego tam było łagodnie ale już w początku lutego zaczęły się mrozy, zaczął padać śnieg i zrobiła się zima na dobre. Łopata już robić nie było można, ziemia zmarzła. Chodziłm przebierać pszenicę. Ale w dalszym ciągu byłem woziwodą u Sadwaja. Jak nieraz zaszedłem a oni jedli to zaraz i mnie do jedzenia zaprosili. Najadłem się i jeszcze dali lepioskę, najadłem się lepszy więc lepioskę przyniosłem do swojej chałupy. Na drugi dzień gdy ja poszedłem po wiadra jeden z naszej chałupy podpatrzył mnie skąd ja brałem, i na drugi dzień wstał raniej ode mnie, poszedł do Sadwaja, powiedział żeby mu dał wiadra, to on wody przyniesie. Sadwaj dał mu wiadra i on wody przyniósł. Sadwaj dał mu pół lepioszki. On po drodze zjadł i położył się spać.

Ja się ubrałem i idę po wiadra, przychodzę wiadra stoją pełne wody a Sadwaj śmieje się i mówi Aleks woda uże jest, nie bardzo mi się jakoś zrobiło, już się szykuję do odejścia ale on mnie zatrzymał i dał pół lepioszki. Był to człowiek bardzo dobry i wyrozumiały. Na drugi dzień i ja raniej wstaję i wodę przynoszę jak dawniej

A jak oni dzieci chowają, tam nikt dziecka nie kołysze, mają niby kołyskę ale bez złapaków kosz zwykły, tylko podługowaty. Dziecko czy małe czy większe dają do tego kosza i przywiązują go i musi leżeć, czy to będzie zimno, czy gorąco, wszystko jedno takie co już chodzi. W lecie dużo jest zupełnie nagich, mało co w zimie lepiej ubranych. Śnieg pada, mróz parę stopni a matka niesie na plecach na pół nagiego, trzyma go czasem za rękę a czasem za nogę z gołą głową a tu zimno, a matka czy ojciec na to nie zważa. Do Sadwaja nieraz przyjdzie mały chłopiec jego brata. To on go złapie i bierze za każdą część ciała i pyta się jak to się nazywa po polsku. Ja mu mówię to on zaraz swojej żonie tłumaczy. I tak jak zacznie to tak o całym trzeba mu gadać a on to żonie przetłumaczy a ona tylko się uśmiecha z tego.

Roboty nie mam, idę po wiadra, wody zaniosę, dają chleb i kipiátoku zabelonego mlekiem i



znowu on coś umyśli i pyta jak to nazywa się po polsku i tak dalej. Wchodzi jego matka wdowa, on jej tam coś opowiada a potem zwraca się do mnie i mówi, że to jest jego matka i ona chce ciebie wziąć za swego syna i pyta się czy ja się na to zgodzę. Chciałem powiedzieć to samo jak proponował mi żonę ale się zatrzymałem, co to mnie szkodzi, roboty nie ma a tu zima, mówię dobrze, zgadzam się. Śmieją się wszyscy ja choć z przymusu ale też się śmieję.

Byłem u nich teraz jako naprawdę swój brat Sadwaja, on mówi ty nie choć tam spać, będziesz u nas jadł i spał, będzie ci ciepło a tam zimno a ty już jesteś moim bratem, to będzie nam dobrze. Ja mówię wszystko jest dobrze, jestem twoim bratem ale u was nie będę spał.

Nad wieczorem poszedłem do swoich na nocleg. Rano wstałem, idę do brata, przyniosłem wody, zjedliśmy śniadanie i on mi mówi. Do 1930 roku to tu kolchozów nie było. Żyli tylko z hodowli owiec i krów, były i wielbłądy i osły i kozy a kur było bez liku, całe stada. Najwięcej to hodowali owiec, po paręset sztuk to miał każdy Kazach. 1931 roku rząd nazaczył duże podatki i kontyngenty, to oni chcieli tylko dawać, każdy miał po dwa i 3 budynki. Gdy nie chcieli się wywiązywać z tego co rząd nazaczył to zjechali urzędnicy i połowę wszystkiego zabrali a z drugiej połowy zrobili kolchoz i wszystko do ogółu. Kazachy zaczęli rznąć jedną sztukę po drugiej i jeść i nie odsyłać do rządu. W 1932 roku rząd wysłał armie Budiennego, Kozaków tysiące kawalerii. Oni wszystkie budynki poprzewalali i poniszczyli, po prawie całym Kazachstanie, mieli meczety, wszystko porozwalano, kułaków bili na śmierć. Wszyscy co zdążyli uciekli w góry, wszystek dobytek zabrali. 3 lata to oni nic nie mieli, tylko tam po górach bardzo dużo dzikich kur było, tam się niosły, gdały, koguty piałły. Żółwie duże były chyba po jakieś 4 kg albo i po pięć kg były, jaja żółwie to były jak u nas gęsie, to oni się tam tym żyli.

Po trzech latach poschodzili się i założyli kolchoz. Dali im na początek po dwie i po 3 owce albo po jednak kozie, to młodzi się porozchodzili a starzy to woleli wyjść z gór, bo tam poumierali by. Tak mi opowiadał Sadwaj Kanał w 1941 roku, ile jest w tym opowiadaniu prawdy to nie wiem.

10-go lutego rano przyszedł do nas Kobylański polski brygadier, który był tam ze swoją rodziną i była tam jeszcze jedna rodzina Kazimierza Kozaka. Obie rodziny były z okolic Stanisławowa. Przybyli oni przed nami 10 dni temu do kolchozu Kazału.

My jeszcze w najlepszym spalim potuleni z zimna, gdy wszedł Kobylański i krzyczy wstawajcie leniuchy, jedziemy do rejonu na komisję wojskową wszyscy 12-stu, Polacy od lat 18-stu do 45. Po zbadaniu przez komisję z nadających się może nawet od razu pójdziem do wojska polskiego. Ubierajcie się prędzej i idźcie do predsedaciela, tam każdy dostanie 3 kg mąki na drogę i w dwa wozy i pojedziemy do rejonu, zabierajcie się z rzeczami, co kto ma, bo może już tu nie wrócimy.

Do rejonu było 55 kilometrów a krowami jechać będziemy całe dwa dni i trzeba było jeszcze krowy poganiać. Zerwaliśmy się i ubrali, jedni poszli do predsedaciela po mąkę a ja wziąłem się za gotowanie śniadania. Zagniotłem kluski na wodzie i miałem trochę toju, przetopilem go i mąkę podpalilem na nim, wymieszałem i śniadanie było gotowe.

Gdy już się wszyscy zeszli rozdzieliłem kubkiem po równemu wszystkim. Antkiewicz mało jadł, był już chory ale się zebrał pomału do podróży i za pół godziny byliśmy już wszyscy gotowi. Zabraliśmy z sobą co kto miał i poszlim przed urząd predsedaciela. Ja otrzymałem swoją mąkę 3 kilo a na stole leżały poukładane lepieszki dla nas na drogę. Piekły te lepieszki co bogatsze gospodynie nam na pożegnanie. Predsedaciel i Kobylański rozdali tym co odchodzili po 3 lepieszki każdemu. Prócz tego zebrały się prawie wszystkie kobiety i dawały bliższym znajomym po jednej i po dwie lepieszki, inne dawały po trochu mąki. Ja też dostałem mąki z podpalanej kaszy jaglanej, potem tłuczonej w stępie na mąkę i to sporą torebkę z rękawa od koszuli. Była bardzo dobra aż słodkawa, gdym ją trzema palcami brał i do gęby sypał. Ale po niej później ogromnie chciało się pić, to ja znowu trzema palcami brałem śniegu zamiast wody.

Już wszystko było gotowe a furmanek jeszcze nie widać a już godzina 10-ta. Kobylański i my napieramy predsedaciela żeby dawał wozy bo już jest późno a mróz był około 30 stopni, każdy zmarzł i chciałby jak najprędzej jechać już. O godzinie 12-iej podjechały dwa wozy, do jednego wozu były zaprzężone dwa byki a do drugiego dwie krowy. Te wozy to były uszykowane, zamiast desek to krzywe drażki wyłożone suchym zielskiem. Pokładlim swoje tłumoki ostrożnie żeby nie powylały. Ja miałem jakieś 25 kg mąki, którą zarobiłem za równanie placów a Franek Antkiewicz miał ze 30 kg mąki za koszyki, które plótł z wikliny.

Gdy już mamy odjechać Antkiewicz wlaź na wóz, pomogłem mu bo był zupełnie słaby, już kilka dni stękał, że go wszystko boli ale mówił, aby dostać się do wojska to już będzie dobrze. Rodziny Kobylańskiego i Kozaka żony i dzieci zaczęły płakać a myśmy się za ręce odwitaliśmy z Kazachami i ich żonami. Oni już wiedzieli, że idziemy na komisję a później pójdziemy do wojska, na wojnę.

Tak pomału zaczęliśmy jechać noga za nogą, było równo ale podjeżdżamy pod górkę, sznurki się porwały u kleszczy na szyjach u byków, wóz stanął, Kazach zaczął je związywać, powiązał a my wszyscy zaczęlim popychać te obydwie wozy aby znowu się nie porwały te sznurki, no i wepchalim.

Zaczyna się już ściemniać a my ujechalim dopiero 15 kilometrów i dojechalim do selsowietu Imbek.

Tu też był duży kołchoz, urząd był w starym meczecie dawnym. W nim była kooperatywa a w bocznym budynku był spichlerz na zboże i mieszkanie dla stróża. Były jeszcze inne budynki, mieszkali w nich nasi Polacy. Poszlim do urzędu do prezydaciela o przeńocowanie. On nas porozdzielał po kilku Polaków.

Ja, Antkiewicz, Jaszczuk i Antek Machuba przydzieleni byliśmy do naszego felczera Wójcika na nocleg. Jego nie było, pojechał gdzieś na kołchoz, do chorych. Spać na glinianej podłodze było za zimno. Poszlim we trzech za trzciną żeby sobie podścielić a potem pożyczylimy motyki do cięcia sobie na opał do piecyka, żeby sobie ugotować kolację. Tam rosła taka krzaciasta bylica i tam się wszyscy opalali nią. My jej nacielim i przynieśliśmy, ogień rozpalilim i klusek nagotowalim, najedlim się i położylim spać.

Pani felczerowa skarży się, że jej jest ciężko opału się strać na zimę a mąż codziennie jeździ do chorych po różnych kołchozach. W niektórych okazał się tyfus plamisty, dzieci oni nie mieli.

Prezydaciel dał mu konia do jeżdżenia konno do chorych. Jak odjeżdżał rano powiedział, że dziś nie wróci, bo jedzie bardzo daleko. Wieczorem przyszła do felczerowej jakaś wysoka kobieta Polka, powiedziała dobry wieczór, my jeszcze nie spalim, odpowiedzielim dobry wieczór. Usiadła na skrzynce i zaczęła opowiadać, że jej mąż był wójtem na Wołyniu, Ukraińcy go zamordowali, ona z córką ledwie ich uprosili, prawie już od śmierci. Wszystko zabrali im konie, krowy, zboże, pościel, że nawet jeść nie mieli co. Potem ich NKWD zabrało i wywieźli do Rosji w lutym 1940 r.

Antkiewicz stękał, kręcił się, pod sobą poprawiał trzcinę i tak przenocowalim tę noc u felczera Wójcika. Rano jeszcze leżymy, już wchodzi Kobyłański i mówi musimy rano wyjechać bo już Kazach krowy zaprzęga i zaraz będziemy jechać, ja mówię za pół godziny będziemy gotowi.

Ja poprosilem panią Wójcikową żeby nam zagniotła klusek i już ogień rozpalam, bo musimy się rozgrzać na drogę a jeszcze do rejonu mamy 40 kilometrów, dziś musimy tam być, bo o ósmej już będzie komisja. Pani Wójcikowa prędko nam kluski ugniotła, podrobiła, my nawet się nie mylim, już na dwóch miskach nalane są kluski, jemy szybko żeby jak najwcześniej wyruszyć w drogę. Podziękowalim pani Wójcikowej, do widzenia wychodzimy a tu już dawno na nas czekają z niecierpliwością.

Wzięliśmy tłumoczki Antkiewicza, żeby mu było lżej, żeby z nami zdążył iść do wozów, było około 800 metrów. Pokładylimy na wozy swoje tłumoczki, Antkiewicz usiadł na wozie i jedziemy. Ja też trochę podjechałem na wozie aby odpocząć, potem zlałem i szedłem za wozem trzymając się po trochu z tyłu i co parę minut brałem z torby trzema palcami tej dobrej mąki i nieraz znowu śniegu, bo pić się chciało ogromnie.

Na sam wieczór dojechaliliśmy do rejonu zwanego Czulał Kurgan. Całą drogę teren był równy, step bezużyteczny, pokryty śniegiem 30 centymetrowym. Tam zajechaliliśmy na podwórze dużej szkoły z korytarzem w środku. Na podwórzu szkolnym była studnia na kolbę z dużym kołem. Ja mając ogromne pragnienie po tej jeźdzonej mące dopadłem do tej studni i wypilem może ze dwa litry zimnej wody.

W tej szkole nie było okien i drzwi, wicher jednym oknem wpadał a drugim uciekał, straszny był przeciąg. Położyłem się obok Antkiewicza i obydwoj drżeli od zimna. Mnie ta zimna woda zaszkodziła, dostałem temperatury, zaczęły mnie boleć boki i dreszcze mną trzęsły a w ustach sucho było i pić się chciało ogromnie ale więcej wody nie piłem.

Wstali i Antkiewicz mówi panie Pieńkowski ja jestem dużo chory, ja mówię, że też jestem chory, oba boki mnie bolą i mam temperaturę ale stanę na komisji i będę udawał zdrowego aby mnie przyjęli do wojska. On powiada to ja też stanę i będę udawał zdrowego może i mnie przyjmą.

Komisja przyjechała o godzinie ósmej rano a już trzy dni przed nami badała i wyniki dawali na rękę. Jednych odsyłali do Turkiestanu a drugich z powrotem do swoich kołchozów. Komisja składała się z czterech osób, z dwóch doktorów i dwóch pisarzy. Wszyscy byli cywilami, Rosjanie.

Ponieważ z kilkunastu kołchozów rozjeżdżali się z całego rejonu przeważnie Polacy i Żydzi z Polski, więc była duża ilość ludzi i ci którzy z kołchozów wprzód przyjechali to i wprzód ich komisja badała, tak że my mieliśmy według kolejności stawić się aż na drugi dzień. Musieliśmy jeszcze jedną noc marznąć w tej szkole. Komisja miała jedną salę w tej szkole ogrzana bo musieli się ludzie rozbierać do naga na badanie.

Drugiej nocy jeden Żyd stary leżał pomiędzy ławkami nieżywy, zaraz go zabrali, drugiej nocy spaliliśmy w ławkach na siedząckie. Z naszego kolchozu było nas 19-tu Polaków i 13 Żydów, jeden ubył. Na komisji byliśmy wszyscy przyjęci i kazali nam wszystkim wracać do swego kołchozu. Dostaliśmy wszyscy zaświadczenia jako zdrowi i nadający się do wojska. Poza tym powiedzieli nam, że przyjdzie wezwanie już od władz polskich, dostanie każdy na rękę, tam będzie nas badać komisja wojskowa. Ale kiedy was zawiadomią, to my tego nie wiemy, może już za parę dni a może i dłużej a teraz wracajcie do swoich kołchozów.



Dowiedzieliśmy się, że w tym mieście Czulał Kurgan jest polska placówka, która zaopatruje ludność polską w tym rejonie. Poszliśmy do niej, kierownikiem tej placówki był Żyd z Wilna adwokat a sekretarzem był Włodarczyk z Grodna. Zapisali z jakiego kołchozu jesteśmy i dali na cały kołchoz na 76 osób 150 rubli w gotówce, dwa szaliki wełniane, jedną koszulę zieloną, dwoje kaleson-męskich, dwie pary pończoch dziecięcych, trzy swetry, 4-y bluzki damskie, trochę cukru, mierzyli go nam małą szklaneczką, kawy prawdziwej nie palonej po jednej łyżce na osobę, dwa pudełka mleka skondensowanego i trochę czekolady w proszku.

Dali nam ten spis dokładny na to cośmy otrzymaliśmy, ja i Kobyłański podpisaliśmy pokwitowanie. To wszystko miało być rozdzielone na 76 osób według uznania przez wybrany komitet na miejscu, według uznania komu najpilniej potrzeba.

Furmanki czekały na decyzję więc wracamy do kołchozu. Opowiadamy sobie jak to komisja się odbywała. Podchodzim do lekarza, on się pyta ty zdrow, mówi się tak, no to ładno, wcale nie bada, każe pisarzowi zapisać ile lat i całe personalie i to się musiało podpisać w ich książce. Otrzymywało się na rękę zaświadczenie, że stawał na komisję i jest zdrow nadający się do wojska i był podpis doktora i pieczętka. Tylko kto się chciał wykręcić od wojska i mówił, że go to boli to inno, to badał go dokładnie ale mało takich było.

Gdy wróciłem do kołchozu to na drugi dzień odbyło się zebranie, poschodzili się wszyscy. Wybrali komitet do podziału, zostało wybranych trzech a Kobyłański był jako przewodniczący. Spisano protokół, który miał być odesłany do rejonu. Podzieliłi w ten sposób kawę, że wszyscy dostali po łyżce stołowej, cukier dano dla dzieci i chorych, mleko i czekoladę też dla dzieci, pieniądze otrzymały nie wszystkie rodziny. Ci co mieli jeszcze co zamieniać na mąkę nic nie otrzymali, osoby pojedyncze dostały po 5 rubli a tylko jeden stary człowiek, oberwany i biedny dostał 20 rubli i koszulę, resztę podzieliłi według uznania uczciwie.

W drodze powrotnej nocowaliśmy znowu w Imboku. Nas 4-ch prosto poszliśmy do państwa Wójcików i zastaliśmy też pana Wójcika. On zbadał zaraz Antkiewicza, dał mu proszki i jakieś pastylki i powiedział, że za 5 dni przyjadę do waszego kołchozu, to zobaczę jak po tych lekarstwach się pokało. On był na pensji i jeździł po kołchozach całego rejonu.

Gdy wróciłem do swego kołchozu znowu dwóch zachorowało Machula i Edward Ryk ale tak poważnie, że już nie podnosili się. Miałem trzech chorych przy sobie w jednej chałupie. Gotowałem im jedzenie, musiałem na opał nosić bylicę, która już do połowy była w śniegu i z tego powodu też cały dzień to tylko przy nich robota ale musiałem to robić. Gdy wróciłem to dali nam drugą kwatere, takie dwójki, w drugiej połowie mieszkało 4-ch Żydów i 3-ch Polaków, u nich też chorowali, jeden Żyd ze Złoczowa umarł i jeden Polak nazywał się Maciąż był policjantem, potem umarł Gurzędnik w innej lepiance.

Zaczęliśmy przypuszczać, że to może być tyfus bo słycać było, że w innych kołchozach Polacy umierają. Mróz dochodził do 30 stopni a chałupy przeważnie nie były opalane. Ubranie dobre każdy zamieniał na mąkę, zostały tylko liche, jednym słowem była bieda wszystkim Polakom.

18-go lutego przyszło zawiadomienie żeby stawili się Polacy i Kazachy do 45 lat do rejonu. Pismo było w języku kazachskim. Teraz już wszyscy myśleli, że to już będzie od razu pobór do wojska i my pojedziemy do armii polskiej.

Znowu dali nam po trzy kila mąki i na drugi dzień rano wyruszamy, furmanki już są zamówione na tłumoczki. Antkiewicz chociaż był bardzo chory ale zebrał się i powiada ja tu nie zostanę, pojedę razem do rejonu, chociaż by mnie do wojska nie przyjęli to ja tu już do kołchozu nie wrócę tylko będę szedł w stronę Polski. Mnie kilka razy namawiał żebym szli do swojej ojczyzny ale ja mu powiedziałem zobaczę, może w lecie pójdziem, będzie ciepło i jak się wojna potoczy.

On powiada ja tak czuję, że w tym roku wrócę do Polski. Ja jemu mówię, że nas przyjmą do wojska na pewno a tam już będzie opieka lekarska i pewniejsze zdrowie i życie aby tylko dostać się do niego.

Rano zrobił się rejwach w całym kołchozie, wszyscy latali biegiem i kobiety i mężczyźni i pretsedaciel krzyczał żeby prędzej wychodzić i jechać bo już późno a droga daleka. Machula i Ryk byli gorzej chorzy od Antkiewicza, wcale się nie podnieśli, jak wychodzili a mróz był tego dnia do 30 stopni Machula cały drżał od zimna. Dałem mu duży worek do odziania się nim. Kto tylko był żywy i zdrow powychodził z chałupy i Kazachy i Polacy. Polskie żony z dziećmi, które zostawały płakały, Kazachki też płakały bo odchodzili mężowie albo syny, wszystko się żegnało ze swoimi.

Ja pomogłem Antkiewiczowi wsiąść na wóz i już jedziemy a za nami idzie jak procesja, odprowadzają nas aż na górę i znowu się żegnali, nasi swoich a Kazachy swoich. W Imboku nie zatrzymywaliśmy się, tylko dołączyło do nas prawie drugie tyle Polaków i Kazachów.

Bez przerwy dwa dni i jedną noc tylko z jednym krótkim odpoczynkiem byliśmy już w rejonie Czulał Kurgan. Komisja badała tylko tych Polaków, którzy z różnych powodów wprzód się nie stawili i Kazachów a ci co wprzód byli to niepotrzebnie przyjechali.

Poszlim do naszej polskiej placówki dowiedzieć się dlaczego my przyjęci przez komisje i nas nie wzywają. Powiedzieli nam, że na więcej na razie nie mają zaprowiantowania i umundurowania i dlatego jest pobór wstrzymany ale jak otrzymają to na pewno zawiadomienie przyjdzie dla każdego na rękę. I mówią żeby wracać do swoich kołchozów. No trudno, przykro nam ale my nic nie możemy poradzić.

Przeklinaliśmy te sowieckie urzędy, że my na darmo w taki mróz tu przyszlیم. Ja miałem napieczonych na blacie z mąki placków i całą drogę jadłem te zamrożone placki i suchą mąkę. Po tym jedzeniu chciało się pić, to zamiast wody brałem śnieg zmarznięty i czułem się nie bardzo, oba boki mnie bolały. Antkiewicz mówi panie Pieńkowski pójdziem do szpitala to nas tam zbadają i może dadzą jakieś lekarstwo a może nas przyjmą do szpitala, bo ja już chyba nie dojadę do kołchozu, taki jestem słaby i wszystko mnie boli, mówię dobrze pójdziemy. Odłączyliśmy się od całej gromady, dopytaliśmy się gdzie jest ten szpital i idziemy.

Przyszlیم, pokazujemy te świadectwa, które dostalim na komisji. Jak raz był w szpitalu naczelny lekarz, nazywał się Czernow, obok niego stał stary już siwy felczer z Krakowa Olszewski zastępca Czernowa. Zaraz nas zbadali, Antkiewicz miał 39 i 8 kresek, ja miałem 37 i 5 kresek, jego od razu przyjęli do szpitala a mnie nie przyjęli bo to taka temperatura, to tylko stan podgorączkowy. Mieliśmy ze sobą swoją mąkę zarobioną, on za plecione koszyki a ja za równanie placów. Od niego zaraz zabrali mąkę i kazali się rozbierać a mnie powiedział felczer Olszewski niech pan tu się gdzieś ulokuje u Polaków, których jest tu dużo w tym mieście i będzie pan przychodził do ambulatorium, przeznaczą panu lekarstwo i w ten sposób będzie się pan leczył.

Powiedziałem dobrze. Żegnam się z Antkiewiczem i on mnie prosił żebym ja jego odwiedzał jak tu zostanę, powiedziałem dobrze będę cię odwiedzał.

Wyszedłem i idę do szkoły i myślę co ja teraz mam robić, czy wracać do kołchozu czy tu gdzieś przyłączyć się do Polaków i tak jak mi radził felczer Olszewski, on pochodził z Krakowa, miał tu żonę i mieli wychowanicę, mogła mieć jakieś 16 lat, swoich dzieci nie mieli To tu będę się mógł podleczyć a tam w kołchozie kto mi będzie nosił opał, wodę i jeść gotował i leczyć się nie będę.

Pomyślałem, nie za wszelką cenę zostanę tu, mam 26 kg mąki i 5 kg suszonej pszenicy. Ja tu znajdę kogoś co mnie przyjmie, będę płacił mąką ile zechce. Może ja tu długo nie będę, tu prędzej się dowiem o wezwaniu do wojska ale trzeba iść do szkoły, pożegnać się ze znajomymi. Pytają się gdzie jest Antkiewicz, mówię został w szpitalu i ja też tu zostanę, bo czuję się niezdrów, pewnie się zaziębiłem, do widzenia kochani, bądźcie zdrowi, może się kiedyś jeszcze zobaczymy, daj Boże w Polsce.

Zabrałem mąkę na plecy, kaszę w rękę i idę tą samą ulicą bo tu widziałem napis Stołowaja, myślę trzeba zajść do tej stołowej to może coś gorącego kupię do jedzenia. Ale jeszcze nie doszedłem do tej stołowej, idzie jakiś Polak i pyta się mnie gdzie pan idzie z tymi łomokami. Ja mówię mu, że byłem tu na komisji i jestem przyjęty do wojska ale na razie nie mają umundurowania i zaprowiantowania i każą nam wracać do kołchozu a gdy już będą mieli to nas powołają, może już za parę dni i ja chciałbym tu znaleźć jakieś mieszkanie na te parę dni dopóki nas nie powołają do wojska. Czuję się trochę niezdrów to chciałbym się trochę podleczyć, dał bym za to mąki.

W tym czasie jak my rozmawiałem że dałbym za to mąki przechodzi jakiś Żyd, przystał przy nas i mówi, że on zna tu takich ludzi co oni chcą przyjąć takiego co by dał mąkę. Ale ten Polak co mnie zaczepił powiada po co pan ma iść do Żydów, przyjdzie pan do mnie, tylko ja mieszkam z żoną i synem ale jeszcze razem mieszka druga rodzina, mają ośmioro dzieci i ich dwoje to razem z moją rodziną jest nas 13-ro. Będą oni może niezadowoleni, że ja pana przyjął ale powiem, że pan jest moim kuzynem, będziemy się nazywać po imieniu, ja nazywam się Władysław a ja nazywam się Aleksander, no to dobrze idziemy do naszej chałupy. Jest to dość daleko, niech pan da mi mąkę to ja będę niósł i wziął na plecy i idziemy.

Gdy tylko weszlim do mieszkania ja mówię dzień dobry państwu, odpowiedzieli dzień dobry, on zaraz przedstawia mnie jako swego kuzyna. Ja się przywitałem, jego żonę pocałowałem w rękę potem rozwiązuję worek z mąką i mówię bierzcie i ugotujcie dużo dla wszystkich bo ja jeszcze dziś nic nie jadłem.

Zrazu ta druga rodzina zauważyłem, że była niezadowolona że ja do nich przyszedłem na parę dni ale gdy klusków nagotowali i wszyscy się najedli, zaraz mi w kącie postanie z zielska suchego zrobili i dobrze już na mnie patrzyli i rozmawiali ze mną. Zauważyłem, że u nich jest duży mortus, narzekali, że chodzą do pracy i mało im płacą a dzieci gromada, chcą jeść, najmłodszy chłopiec miał dopiero 2 1/2 miesiąca, najstarsza córka miała 18-cie lat. Już co mieli z ubrań to pozamieniali za mąkę. Ostatnie palto już chcieli sprzedać ale chcieli za nie 3 pudy mąki a Kazachka daje tylko 2 i pół puda mąki i oddali za 3 pudy pszenicy, którą sobie gotowali.

Ja po zjedzeniu zacząłem kasłać i poczułem, że mam silną temperaturę. Ta kobieta co miała małego mówi ja mam bańki, może panu postawię, mówię dobrze, niech pani postawi, może mi co



..pomogą. Przyszykowała letnią wodę, bańki do niej włożyła i zapaliła lampę, ja się położyłem na zielsku w swoim kącie obok skrzyni co im służyła za kufer i ona mi postawiła na jednym boku 10 baniek, potem je odjęła i postawiła na drugim boku znowu te 10 baniek. Było to już nad wieczorem, nakryłem się buszakiem i marynarką, utuliłem się, że może usnąć ale nie mogłem usnąć, kaszel nie dał i temperatura była duża.

Rano ugotowali takiej mamaługi woda i mąka i placek mi upiekli, zjadłem i poszedłem do ambulatorium. Zastałem felczera Olszewskiego, on mnie dokładnie zbadał, zmierzył temperaturę, miałem 38 i 4 kreski, prosiłem żeby mnie przyjął do szpitala ale powiada nie ma miejsca. Przeznaczone lekarstwo 3 proszki dziennie i po łyżce stołowej 2 razy dziennie lekarstwo w płynie na podtrzymanie serca i od zapalenia płuc, które pan ma. Pójdzie pan do apteki i te lekarstwa jakie tu na recepcie napisałem pan wykupi. Wziąłem receptę i poszedłem do apteki, która niedaleko była. Za ladą stała kobieta w średnim wieku i młody chłopak, może miał jakieś 18-cie lat. Receptę podałem tej pani, ona obejrzała ją i podała temu chłopcu, oboje zaczęli mnie szykować te lekarstwo. Uszykowali najpierw proszki, coś ze trzech słoików sypali, potem ona się pyta czy ja mam butelkę, mówię, że nie mam, ona tam znalazła jakąś butelkę i mówi poślednia bolsze niet i uszykowali w nią te lekarstwo, to razem zapłaciłem jeden rubel i 96 kopiejek za 15 proszków i większą butelkę lekarstwa w płynie.

Potem poszedłem do polskiej placówki ale tego męża zaufania nie było, tylko sekretarz Włodarczyk. Opowiedziałem mu o swoich dolegliwościach i proszę żeby się mną zaopiekowali dopóki jestem chory.

On powiada ja sam panu nic nie mogę pomóc a przedstawiciel wyjechał na 10 dni do Kujbyszewa po nowy przydział różnych produktów i ubrań, to jak on wróci to dla pana coś przydzielą, bo cośmy już mieli to podzieliłim na kolchozy wszystko.

Mówię może pan cukier ma to poproszę choć trochę, wstał i dał mi 1/2 szklanki cukru i kilo chleba i powiada co mam to panu daję, niech pan się dowie u nas za tydzień to już kierownik wróci to i coś tam przywiezie, to panu da. Podziękowałem mu i wyszedłem, bo czułem się gorzej. Przyszedłem do swych gospodarzy i zaraz przyjąłem jeden proszek, popiłem wodą i położyłem się na swoim miejscu i czuję, że mam wysoką temperaturę.

Przed wieczorem ugotowali kolację, dali mi ale ją, zjadłem tylko trochę, poprosiłem żeby mi zagotowali wody, mam trochę cukru to może tego chleba zjem kawałek ale i ten chleb nie bardzo mi smakował, popiłem słodzoną wodą i położyłem się na dobre do spania. Ale spać tak jak zeszłej nocy nie mogłem aż usnąłem nad ranem. Spałem twardo, obudzili mnie już kawał na dzień, na śniadanie. Gdy wstałem aby umyć nogi to pode mną drżały, byłem bardzo słaby. Zjadłem trochę, oni widzą, że ze mną jest źle radzą mi żebym się starał iść do szpitala, że ja może na tyfus jestem chory. Bardzo dużo ludzi w tym czasie chorowało na tyfus i dużo zmarło.

Mówię pójdę dziś do ambulatorium i będę próbował może mnie przyjmą do szpitala. Zauważyłem, że oni się boją aby nie zarazić się ode mnie jakąś zaraźliwą chorobą a szczególnie tyfusem. Pomału poszedłem do ambulatorium, tu zastałem tego miłego starszka p. Olszewskiego. Musiałem długo czekać aż przyjdzie moja kolejka a ludzi było do badania bardzo dużo.

Gdy już przyszła moja kolejka pan Olszewski pyta się czy przyjął pan te lekarstwa co ja panu przepisałem, tak już je zażyłem, nie wszystkie a jak się pan czuje, mówię źle, prawie gorzej, proszę go żeby mnie zbadał dokładnie czy ja czasem nie jestem na tyfus chory i może by mnie pan doktor do szpitala przyjął, bo moi gospodarze się boją żeby się ode mnie nie zarazili i ja im się wcale nie dziwię bo mają małe dzieci a dotychczas są wszyscy zdrowi.

Pan Olszewski mówi niech się pan rozbiera, rozebrałem się, ostukał, opukał całego, temperaturę zmierzył i powiedział pan na tyfus ani na żadną zaraźliwą chorobę nie jest chory, tylko ma zapalenie płuc na oba boki, pan jest chory. Temperaturę miałem 38 i 5 kreszek. Do szpitala przyjąć nie mogę, bo nie ma wolnego miejsca. Dam panu takie zaświadczenie i pokaże pan je swoim gospodarzom i musi pan tam u nich leżeć. Jak pan zażyje wszystkie lekarstwo to niech pan przyjdzie do mnie. Ja uważam, że gorączka się przesili i przyjdzie pan do zdrowia.

Napisał to zaświadczenie, dał mi podziękowałem i pomału poszedłem do domu. Byli wszyscy w domu, pokazałem im to zaświadczenie, przeczytali go obydwaj mężczyźni i jeden ten co ma dużo dzieci mówi panie niech pan mi sprzeda 5 kg mąki, pieniędzy za robotę nie dają i my nie mamy już co jeść i nie mamy już co sprzedać. Myślę trzeba ratować ich, mówię dobrze i sprzedałem im 5 kg po 5 rubli. Ona wzięła szukać w tej skrzyni i zapłaciła mi. To ten drugi gospodarz mówi to niech pan i mnie sprzeda 5 kg, bo za mąkę już płacili po 12 rubli za kilogram i dostać więcej nie ma gdzie. Sprzedałem i jemu 5 kilogramów, zostało mi jeszcze z 10 kg.

Mówię do nich jeszcze u państwa parę dni pomieszkam, doktor mówił, że będę zdrow. Ta kobieta co mi bańki stawiała mówi kiedy pan ma na płuca chory, to trzeba jeszcze panu bańki postawić, to pomoże i postawiła mi po bokach na jednym boku 10 szt. a potem na drugim boku 10 szt.

Po tych bańkach zdawało mi się, że jest mi trochę lżej bo mniejszy kaszel miałem. Czwartego

dnia na nowej kwaterze myślę trzeba odwiedzić Antkiewicza w szpitalu i pomału poszedłem do szpitala i pytam się jednej siostry jak się czuje Antkiewicz a ona mówi Antkiewicz umarł wczoraj, już go w szpitalu nie ma. Ta wiadomość podziałała na mnie strasznie. Ja z nim razem do końca jedlim, żyłim jak bracia. Żałowałem go, gdybym poszedł przedwczoraj może mi co powiedział dla swej rodziny ale się wcale nie spodziewałem, że on tak nagle umrze.

Pytam się a co z mąką co on miał przeszło 20 kg; powiedziała, że mąka poszła na kuchnię dla ogółu chorych a machorka co się z nią stało, zabrali ludzie ci co go chowali. Gdy wróciłem do domu i powiedziałem o śmierci swojego przyjaciela to moi gospodarze zaczęli na mnie nalegać żebym szedł do szpitala, koniecznie bo czym prędzej to będzie lepiej dla mnie.

Mówię co ja mogę zrobić jak nie chcą przyjąć bo nie ma miejsca, to oni mówią żebym poszedł na korytarz szpitalny i nie ustępował, to muszą przyjąć bo pan jest bardzo chory. Porozumieli się ze sobą i chcieli się mnie pozbyć.

Ta niby moja kuzynka zaczęła narzekać, że ją głowa boli a ta druga mówi wie pan, że doktor Olszewski mógł się nie poznać, pan może chory być na tyfus a my mamy dużo dzieci, my się boimy.

Ja sam czuję, że mnie po tych lekarstwach nic nie jest lepiej i co dzień jestem słabszy. Pomyślałem sobie, że jeszcze dwa dni tu posiedzę, nie będzie mi lepiej tylko gorzej to nachalnie pójdę do szpitala, co będzie to będzie.

Ale zaraz drugiego dnia było mi gorzej a na trzeci dzień chcę wstać i nie mogę, próbowałem przy ścianie, obsunąłem się, wszyscy się patrzą, nareszcie podchodzą do mnie i mówią - panie my pana zaprowadzimy do szpitala, ja mówię to prowadźcie, bo już sam nie zajdę.

Do spania się nie rozbierałem tylko buszłakiem się okryłem. Oni mi buszłak włożyli i pod pachy za ręce mnie niby prowadzą ale ja nie czuję żebym nogami ziemi dotykał, oni mnie nieśli do samego szpitala. Doktorów jeszcze nie było, tylko siostra dyżurna. Ja jej mówię, że jestem ciężko chory i chcę zostać w szpitalu, ona mówi, że w szpitalu nie ma miejsca, ja jej mówię, że na podłodze się położę a ona mówi to trzeba mieć skierowanie od lekarza, ja mówię, że przyjdzie lekarz to da to skierowanie a jak nie da to wszystko jedno, że szpitala nie wyjdę, bo ja już jestem jak byłem na komisji do wojska jestem przyjęty, ona mówi, że ją to nie obchodzi.

W tej chwili nadszedł lekarz Olszewski i od razu się pyta co panu jest gorzej, mówię tak jest mi gorzej, niech się rozbierze, wziętem się rozbierać na krześle, na siedząckę, pomogła mi ta siostra trochę. Zbadał mnie dokładnie a temperaturę termometr wykazał 39 stopni, powiedział niech pan posiedzi i poszedł po salach, gdy już wrócił, mówi dziś w nocy jeden zmarł to będzie miejsce i pana przyjmę do szpitala.

Ciężarówka podjechała i nieboszczyka zabrali i pojechali chyba na cmentarz. A mnie powiada będzie pan siedział tu na krześle aż siennik i poduszka i koc wyniosą na dwór to się dobrze wywietrzy, bo innej dezynfekcji tu nie ma ale mróz prawie 30 stopni jest, to robi dobrze.

Powiedziałem dziękuję pani i siedzę, siostra przyniosła mi szklanek herbaty i kawałek chleba, pomału to spożyłem. Potem przyniosła jakiś proszek i w kieliszku wodę, ten proszek kazała wsypać do ust i wodą popić. Na obiad przyniosła na misce z kukurydzy kaszę, dobrze rozgotowaną, zjadłem i pytam się kiedy ja się położę na łóżku, ona mówi przed wieczorem aż się dobrze wszystko wymrozi i zabrała łyżkę i miskę i poszła a ja tego wieczoru nie mogę się doczekać, tak mi strasznie długo.

Przed wieczorem wnieśli siennik, poduszkę z zielska i koc, potem przyniosła dwa białe czyste prześcieradła, jednym zasłała siennik a drugie powiada to będzie pod koc do nałożenia. Na tej sali leżało i siedziało ze 20-tu samych Polaków. Olszewski tego dnia wcale się nie pokazał, chodził w mieście do chorych, bo bardzo dużo ludzi chorowało podobno na tyfus plamisty.

Położyłem się na łóżku, siennik też był napchany suchym zielskiem. Buszłak, marynarkę i portki mi zabrali. Pod tym jednym kocem było mi zimno. Byli tam tacy co chodzili, mówię do jednego żeby zawołał siostrę, przyszła i pyta się czego chcę mówię, że mnie jest zimno i proszę ją żeby przyniosła jeszcze jeden koc albo mój buszłak. Ona mówi, że buszłak jest zamknięty a koca nie ma ale mówi może znajdzie to przyniesie i za jakieś pół godziny przyniosła drugi koc, było mi dużo ciepłej.

Przespałem pierwszą noc w szpitalu, chociaż z przerwami bo mnie oba boki bolały i temperatura była duża, w głowie szumiało ale było trochę lepiej niż gdzie indziej. Sala była nie opalana, cały szpital był z gliny, w kątach zamróz na ścianach błyszczał się.

Rano przyszła siostra z zeszytem i pyta się jak się nazywam, powiedziałem, skąd jestem i czy żonaty ile dzieci no i kogo zawiadomić na wypadek śmierci, powiedziałem, że córkę Zofię. Zapisała wszystkie personalia i poszła, potem z jakiego kołchozu.

W sali stał piec, był na drzewo albo na węgiel ale nie było ani drzewa ani węgla, okna były pojedyncze a drzwi liche. Była przybudówka w której mieściła się kuchnia i magazyn. Gotowali suszonym zielskiem, taką bylica, którą trzeba karczować i jak uschnie nosić z 5 km.

Na drugim korytarzu był gabinet dla lekarza i sióstr dyżurnych. Po przyjęciu do szpitala zaraz przyszedł fryzjer i ostrzygł mi włosy.



Przed ósmą rano przynieśli chleb po 600 gram i w kubkach herbatę ale to nie była prawdziwa herbata bo inny miała zapach i trochę była posłodzona. O godzinie ósmej przyszedł doktor Czernow i Olszewski na wizytę, badali chorych, podeszli do mnie, Czernow każe mi się przewrócić do góry plecami, przewróciłem się, zaczął mnie palcami pukać po plecach, później wziął słuchawkę i obsłuchiwał mnie, gdy przestał mnie obsłuchiwać, ja głowę zwróciłem do nich, on zwił słuchawkę i spojrzął na Olszewskiego i machnął ręką i poszli do następnego. Ja to rozumiałem co to znaczy to machnięcie ręką, że to już po mnie. Stało mi wszystko przed oczami - żona, dzieci, bracia, siostry, koledzy i znajomi dobrzy i niedobrzy i całe moje życie.

Byłem na wojnie 1919 roku, biliśmy się z Ukraińcami, odniosłem kontuzję pod Złoczowem, leżałem w szpitalu we Lwowie. Potem dostałem urlop, gdy wróciłem z urlopu wstąpiłem do szkoły podoficerskiej, po jej ukończeniu w Przemyślu w stopniu kaprała z batalionem marszowym 38 p.p. Strzelców Lwowskich poszedłem na front bić się z bolszewikami za wolność Ojczyzny, wróciłem zdrów a tu w 1940 roku zostałem aresztowany za partyzantkę do której wstąpiłem w 1939 roku w październiku żeby ratować znowu kochaną Ojczyznę Polską.

Siedziałem 10 miesięcy w więzieniu w Mińsku na Białorusi. Uszedłem przed śmiercią w murach więziennych, wytrzymałem tyle bicia podczas śledztwa, dwa razy na dobę, raz w dzień a drugi raz w nocy, całą klatkę piersiową miałem siną jak wątroba, tydy miałem skopane nogami śledowaciela, pięty zbite pałką gumową, popuchnięte, zaocznym wyrokiem w Moskwie sądzony byłem na 8 lat zsyłki w archangielskie lasy, miejscowość Kierdowyj Szor.

Wszystko wytrzymałem a tu mam umrzeć i pytam się za co przecież przeciw nim nie wystąpiłem tylko przeciw Niemcom. Zacząłem się gorąco modlić do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i do wszystkich świętych i do Pana Boga we trzech osobach i tylko mnie ta modlitwa uratowała i opieka.

O Boże jak ciężko jest nawet pomyśleć o tym co za straszny los spotkał wszystkich Polaków. Tysiące ich leży w Rosji od północy do morza Kaspijskiego a Katyń a inne obozy wojskowe, jak pod zaborem niemieckim tak i bolszewickim.

Chciałem się od tych strasznych myśli oderwać ale nie mogłem, serce mi biło z podwójną szybkością jak młotem zdała od kochanej Ojczyzny i od kochanej Rodziny. W Uzbekistanie w rogorze moje ciało zawiną i zakopią, nawet nikt nie będzie wiedział gdzie, trumny tam dla nikogo nie robią, nie trzeba księdza ani śpiewów żałobnych, nic nie trzeba.

Ale jak już nieraz groziło mi jakieś nieszczęście zdawałem się na wolę Bożą i tego dnia zmęczony, wola Twoja Panie Boże, nic ja sam sobie nie poradzę i zasnąłem. Obudziłem się gdy siostra przysła badać temperaturę, cały byłem mokry, prosiłem ją żeby przyniosła mi drugą bieliznę, przyniosła w którą się przebrałem.

Powiedzieli mi Inni chorzy, że gdy spałem to przez sen wołałem kogoś, że krzychałem i rzucałem się na łóżku i że jedni chcieli mnie obudzić ale drudzy odradzali i dali spokój. Ja tylko pamiętałem trochę, że byłem w stodole ze swoim bratem Emilem, układaliśmy zboże, tak mi się śniło.

Po kolacji, której zjadłem tylko trochę utuliłem się znowu do spania, serce mi biło aż dudniło, temperatura była duża, nie mogłem usnąć. Miałem łóżko w kącie, patrzę na ten zamróz co na ścianach się świeci, przyłożyłem dłoń do tej ściany i ją dobrze naziębiłem i potem przyłożyłem do gorącego czoła i trzymałem a drugą rękę znowu przyłożyłem do ściany a tą zimną do czoła i tak kilka razy na zmianę robiłem, poczułem, że nie mam takiej wysokiej temperatury i głowa mniej mnie boli, jeszcze kilka razy to zrobiłem, ochłodziłem sobie czoło i skroń i usnąłem na dobre.

Obudziłem się rano gdy już posługaczka zamiatła salę stukając szczotką o łóżko. Za chwilę przysła siostra, zmierzyła temperaturę i potem dała mi jakiś proszek do wypicia z wodą. Przed godziną 8-mą przynieśli śniadanie jak zwykle zamiast herbaty sypali jakieś zioła, nigdy takiego napoju nie piłem a to co dzień łyżka cukru do tego i 600 gram chleba na dzień.

Przed godziną 9-tą przyszedł felczer Olszewski na wizytę, sam badał po kolei wszystkich chorych dokładnie, pomału. Gdy przyszedł do mnie, przy moim łóżku stało krzesło, usiadł na nim i pyta jak pan się czuje, mówię, że źle panie doktorze, temperatura duża, jak pan widzi, głowa mnie boli, mam szum w uszach i oba boki mnie bolą gdy kaszlę, flegmę spluwam do kubka blaszanego, który przyniosłem ze sobą. On wziął ten kubek do ręki i przygląda się i pyta czy flegma łatwo się odrywa przy kaszlu, czy nie. Mówię, że niełatwo, nieraz 10 razy kaszlę za nim się oderwie. Wziął słuchawkę, obsłuchał mnie, potem przykładął ucho do piersi, potem do pleców i powiedział przeznaczone dla pana lekarstwo proszki i w płynie, będzie pan przyjmował 3 razy dziennie. To lekarstwo spodziewam się, że panu pomoże, tylko niech się pan nie szarpie. To lekarstwo mam jeszcze z Polski w walizce, będę pana nim leczył.

Można przewracać się często z boku na bok ale pomału żeby się broń Boże nie nadwyrężyć bo pan jest poważnie chory i bardzo osłabiony. Trzeba jak najspokojniej leżeć i nie siadać bo będzie zawrót głowy a na boki będzie panu siostra stawiać bańki co drugi dzień.

On miał w starych okładkach każdego chorego listę, jak w kartotece, wszystko zapisał jakie

lekarstwo i co komu przeznaczył a starsza siostra wszystko przygotowała według przeznaczenia dla każdego chorego. O godzinie jedenastej już mi przysła stawiać bańki a że ich mieli tylko 13-cie, stawiała dwa razy na jednym boku a potem na drugim, po zdjęciu baniek okryła mnie dobrze i kazała spokojnie leżeć aż do obiada, obiad był około godziny pierwszej - kluski krojone i trochę zaskwarzone a na drugie kleik z kaszy jęczmiennej. Na kolację przynieśli nam znowu taką patataję jak klajster co u nas szewcy do butów robili bez żadnej kropli tłuszczu. Ale kto był zdrowszy to zjadł i pytał się może tam zostało to proszę mi przynieść bo jestem głodny. To czasem było, że przynieśli ale tam mało kiedy było więcej.

Najgorzej, że nie starczyło misek na zmianę, dawali chorym na różne choroby, jak tyfus, zapalenie płuc, krwawa dyzenteria a może i gruźlica, to też ludzie umierali prawie każdego dnia.

Na tej sali poznałem nowych ludzi. Leżał tam doktor Kamiński Żyd z Warszawy, potem sekretarz adwokacki Frydman też z Warszawy, leżał rolnik Dobosz z Wołynia osadnik, leżał młody chłopak z okolic Lwowa, jakiegoś dziedzica syn miał 19 lat jednak u rodziców, nazwiska jego zapomniałem, był bladej ale bardzo ładny chłopak. Potem był Nowacki z Grodna, urzędnik chory na tyfus. Czwartego dnia przywieźli jakiegoś wracza z pochodzenia Niemca.

Za cesarzowej Katarzyny dużo Niemców ona sprowadziła na osiedlenie. Dostali duże kolonie dobrej ziemi w Rosji koło rzeki Wołgi a w czasie wojny byli internowani do Kazachstanu i w inne strony ale tylko z walizkami, więcej im ze sobą wziąć nie dali.

Żona tego wracza była w ciąży, też była doktorem. On miał w tym szpitalu pracować ale zaraz zachorował, ona zamieszkała u starszej siostry szpitalnej w jej prywatnym mieszkaniu. On zachorował na tyfus, ona codziennie przychodziła, kilka razy go odwiedzać i przynosiła mu z domu jedzenie - mleko przygotowane, jaja i rosół albo jakiś kleik.

On trzy dni leżał prawie bez przytomności ale potem pomału przychodził do zdrowia, bo miał dobrą opiekę. Ona też przynosiła z apteki jakieś lekarstwa, bardzo go pilnowała. Olszewski również dbał o jego zdrowie.

Po wizycie w salach przyszedł do mnie i pyta się jak ja się czuję, mówię, że trochę jest mi lżej. Usiadł na krześle i zaczął ze mną rozmawiać. Skąd ja jestem, mówię spod Łomży od Warszawy na północ 145 kilometrów a on mówi a ja jestem z Krakowa z żoną i wychowanką mojej żony siostry córką. Teraz dali nam mieszkanie na przeciw szpitala, jedna izba i korytarz. Wprzód byliśmy w kołchozie cały rok, ja jeździłem do chorych a żona pracowała w kołchozie. Ja tu przyjechałem sam a żona z kuzynką jeszcze zostały w kołchozie ale za dużym staraniem przyjechała żona z kuzynką i mieszkamy razem.

Narzekał, że ma dużo pracy z rana w ambulatorium do godziny 10-ej, potem wizyta w szpitalu i jeszcze do chorych w mieście musi chodzić a jest ich zawsze dużo Polaków i Żydów w tym mieście, razem przeszło tysiąc osób.

Już jestem na tej posadzce dwa miesiące ale czuję, że już połowę zdrowia straciłem. Jak tylko przyjechałem to na mieszkanie przyjął mnie naczelnny doktor tego szpitala Czernow i u nich się stołowałem ale jak doktor gdzieś wyjechał to jego żona już nie gotowała obiadu i musiałem chodzić do stołówki robotniczej. Tam nie zawsze tego obiadu starczyło bo z kolejki go wypchnęli a na końcu nieraz zabrakło i po dwóch godzinach stania w kolejce wracałem głodny. Dali mi nieraz w szpitalu jak zostało tej rozgotowanej kaszy jęczmiennej czy innej bez żadnej okrasy - patataje.

Powiada chociaż już żona przyjechała to jest mi dużo lepiej ale czuję się tak jak bym był co dzień słabszy. Dużo się denerwował z powodu braku lekarstw dla chorych, ręce załamywał i powiadał w uniesieniu co ja wam panowie poradzę kiedy ja nie mam was czym leczyć. Gdy posyłam do apteki zamówienie na lekarstwa jakie komu są potrzebne to zaledwie dają część tych lekarstw, mówią, że brak.

I nieraz chorzy leżeli po kilka dni bez lekarstw, bo nie było. To też z tego powodu dużo chorych umierało bez ratunku. Najprzód zmarł ten młody chłopak z okolic Lwowa, nie chciał nic jeść, prosił go prawie błagał pan Olszewski - panie niech pan je, mówił, bo jedzenie zwalcza chorobę a jak nie będzie jadł to choroba zawałdnie panem i pan umrze.

Na te słowa doktora Olszewskiego gwizdnął, Olszewski na to nie zważał i jeszcze raz mówi zobaczy pan, że jak nie będzie jadł to umrze, to on znowu palcem pstryknął i gwizdnął, doktor odszedł od niego, tylko powiedział, że to się źle skończy. Za kilka dni umarł ten młody, ładny chłopak

Drugi zmarł doktor Kamiński z Warszawy. Nie przyjmował żadnych lekarstw, które mu siostra przynosiła i zostawiała na szafce, czekał tylko jak ona wyjdzie z sali, to zaraz wylewał na podłogę z kieliszka i wyciągał spod swego łóżka dużą walizkę w której miał różne rzeczy i lekarstwa jeszcze z Polski i sam sobie szykował i używał, też zmarł.

Po nim zmarł Dobosz rolnik z Wołynia. Ładny miał głos, śpiewał piosenki polskie i ruskie, żona z dziećmi została w Polsce, nic o nich nie wiedział do samej śmierci.

Na ich miejsce przyszli z Wilna ślusarz a drugi z Łodzi. Jeden był chory na tyfus a drugi na



wariata, obydwaj byli Żydami. Po dwóch tygodniach zmarł ten doktor Niemiec, miał dobrą opiekę, codziennie przychodziła do niego żona, też doktorka. Przynosiła mu swoje dobre jedzenie, nic nie pomogło, tyfus zrobił swoje.

Doktor naczelny do szpitala wcale nie przychodził, podobno jego żona chorowała. Chodził do nich lekarz Olszewski i ta lekarka, żona po zmarłym Niemcu ale ona już do szpitala nie przychodziła, bo miała mieć dziecko.

Raniej niż zwykle przyszedł do szpitala pan Olszewski. Ja już prawie wyleczyłem się na płuca ale dostawałem krwawej dyzenterii. Usiadł przy mnie i ja jemu mówię, że mam drugą chorobę, on mówi, że tu nie ma tego lekarstwa dla mnie ale ja jeszcze mam proszki z Polski, powinny panu pomóc na pański żołądek, po południu panu przyniosę.

O godzinie około 5-tej nad wieczorem przyszedł i przyniósł kilka proszków, zaraz kazał mi jednego z wodą wypić a drugi rano a trzeci znowu wieczorem. Siedział u nas do późnej godziny wieczorem, opowiadał nam gdzie on jeździł na wycieczki do Bułgarii i do innych krajów i na końcu mówi wiecie co panowie ja choć już jestem stary 86 lat już i słaby a jednak czuję, że jeszcze do Polski wrócę i wy, kto wyzdrowieje to też wróci do swojej kochanej Ojczyzny Polski.

Często z nami wieczorem lubił posiedzieć i rozmawiać ale tego wieczoru siedział najdłużej, wstał, powiedział dobranoc i poszedł. Na drugi dzień na wizytę nie przyszedł, przynieśli śniadanie i powiadają, że doktor Olszewski nie żyje, zmarł w nocy, mój Boże wieczorem z nami rozmawiał normalnie i powiedział, że choć jestem stary ale czuję, że do Polski wrócę.

Żona czekała na niego żeby mu dać herbatę jak co dzień. On trochę tej herbaty wypił i poszedł do ustępu, który był w podwórzu ale jakoś długo nie wracał. Poszła do ustępu a on leży w ustępie na twarzy, plecami do góry i bez ruchu, woła po imieniu, nic nie odpowiada, pobiegła po swoją przybraną córkę i przyciągnęły go do mieszkania nieżywego. Zrobiły lament, płacz, zbiegli się z sąsiednich domów, każdy go żałował, bo dobry był to człowiek dla wszystkich ludzi.

Pomodlili się za jego duszę i się rozeszli do swoich domów. Rano zeszli się z całego miasta prawie wszyscy Polacy odprowadzić go na wieczny spoczynek. Polakiem był stolarz, który zrobił trumnę, co tu mało się praktykuje. Przeważnie zawija się ciało w rogoże albo w jakieś prześcieradło i do dołu wkłada i zasypuje ziemią i basta.

Po śmierci doktora Olszewskiego przydzielili do szpitala na doktorkę Żydówkę a że to było parę dni przed Wielkanocą przydzielili na kuchnię 3 barany młode, miało to być na święta Wielkiej Nocy. Mielim dostać na każdego po 100 gram mięsa. Jednego zaraz na obiad ugotowali, jak dzielili po ugotowaniu to może dostalim po 50 gram, reszta poszła po boku.

#### Zeszyt nr 4

Z tymi baranami to była rzadka okazja a zwłaszcza przed świętami. Spory kawałek wziął lekarz naczelny Czernow, później gospodarz szpitala no i inni też co się dało otrzymali. W Wigilię przyszedł sekretarz od naszego przedstawicielstwa dla Polaków Włodarczyk z Grodna i z nim przyszła młoda Żydówka kucharka przedstawiciela.

Przynieśli kilka puszek mleka skondensowanego słodkiego i po pół szklanki smalcu, po dwie łyżki cukru i po dwie łyżki czekolady w proszku, przy podziale mleka też wyszło po dwie łyżki. Powinszowali nam wesołych świąt i szybkiego powrotu do zdrowia i poszli.

Po świętach od razu zrobiło się ciepło, słońce już grzało dobrze. Ja już pomału chodziłem po sali, podszedł do mnie Nowacki i mówi chodź pan na dwór, słońce już dobrze grzeje, to dobrze robi panu. Usłuchałem go, wyszlim obydwaj, wziłem z korytarza sobie krzesła, usiedlim i grzejem się na słońcu aż do obiadu.

Obiad przyniósł mi Nowacki, zjadłem go na dworze i siedzę dalej aż do godziny czwartej po południu ale powiał mnie zimny wiatr a byłem tylko w takim cienkim szlafroku i zrobiło mi się zimno. Wstałem i poszedłem do sali i zaraz położyłem się do łóżka. Gdy poleżałem trochę zaczęło mnie zimno tłuc aż mi zęby szczękały. Zawołali siostrę, przyszła i patrzy się na mnie, potem pyta się mnie czy ja kiedy chorowałem na malarię, mówię, że chorowałem jak miałem może lat 14-cie. To pewnie będzie malaria mówi i poszła, przyniosła jeszcze jeden koc, przyodziała mnie i poszła po lekarstwo dla mnie. Przyniosła jakiś proszek i pół szklanki wody, wsypała ten proszek do wody, zamieszała i kazała mi żebym wypił. Wypilem i utuliłem się, atak ustał po jakimś czasie.

Potem nastąpiła straszna gorączka, bielizna na mnie zrobiła się cała mokra od potu, dali mi drugą, też się zapociła. Okręciłem się w koce i rękę przyłożyłem do mokrej ściany, zimnej, naziębitem ją i potem przykładałem do rozpalonego czoła jak węgiel i kilka razy powtórzyłem tę robotę i usnąłem.

Nad ranem znowu trzęsło mnie zimno, zęby szczękały, potem ustał ten zimny atak a zaczął się gorący. Przyszła na wizytę lekarka, zmierzyła temperaturę, było 39 i 8 kresiek, pokręciła głową i poszła, przyniosła chininę, była w płynie 1/2 szklanki była zielona i strasznie gorzka. Przyjmowałem ją przez cały tydzień.

Jeszcze nie wyleczyłem się z malarii a już przyczepiła się do mnie cynga. Dostałem krost na

całym ciele a najwięcej na udach, na dziąstach, porobiły się purchle na nosie, strupy mnie obsypały i nogi zaczęły puchnąć a wzdłuż tydek sine plamy się pokazały. Była to czwarta moja choroba w tym szpitalu, jeszcze jedna się nie skończyła, druga już brała mnie w swoje objęcia.

Cyngi dostałem z braku witamin, jadło się mięczne pożywienie, nawet bez cebuli, tak samo było w archangielskich lasach, tam jadłem dziką różę zieloną a w kołchozie i róży nie było, cały czas witamin nie widziałem.

Po śmierci p. Olszewskiego już druga lekarka objęła szpital Żydówka z Ukrainy a żona po doktorze Niemcu z powodu nadejścia czasu na poród. Gdy przyszła ta chwila był u niej doktor Czernow i była ta doktorka z Ukrainy. Siedzieli przy niej pół dnia i nic nie mogli poradzić. Doktor Czernow zatelefonował do Turkiestanu ażeby przyjechał dobry akuszer, bo oni tu sami nic nie mogą zrobić. Za parę godzin przyjechała samochodem akuszerka z narzędziami. Całą dobę nad nią desperowali, w końcu kawałami z niej wydobyli dziecko a matki też uratować nie mogli, nastąpił duży krwotok i na to oni nic nie mogli poradzić i na drugi dzień zmarła.

Po tym fakcie przydzielili do szpitala nową doktorkę Tatarkę, ona objęła szpital a doktor Żydówka poszła do ambulatorium. Muszę przyznać, że była naprawdę dobrą i znaną lekarką. Mnie dokładnie zbadała i osłuchała, przeznaczyła dla mnie inne lekarstwa i wszystkim chorym po zbadaniu przeznaczała ściśle diety. Postarała się o przydział trochę tłuszczu, o kaszę manną i kartofle, wszędzie wlaźła sama po urzędach i umiała zdobyć co było konieczne.

Dla mnie były potrzebne proszki witamina C. W aptece ich nie było ale miał je u siebie w domu doktor Czernow, to ona od niego wzięła coś ze 20-cia proszków i mnie co dzień dawała dwa proszki i tak trochę lekarstwa, trochę tłuszczu i po każdym jedzeniu płukanie ust z powodu chorych dziąseł. Znalazł się apetyt do jedzenia i żeby nie bolały nogi, to czułym się już trochę lepiej.

Potem przydzielili starszą siostrę Polkę. Chociaż jej ojciec z dawna osiedlił się w Rosji ona się tam urodziła, umiała mówić czysto po polsku i znała się nawet lepiej od niektórych doktorów. Ona mnie też dużo pomagała.

Gdy już mogłem jeść chleb przynosiła mi ile zjadłem. Ona była w średnim wieku ale włosy miała białe jak gołąb. Opowiadała nam, że męża jej zabrali do łagrów, nic już od kilku lat o nim nie wie a ją przesiedlili do Kazachstanu, też już 10 lat tu mieszka, mieli ją zwolnić ale na czas wojny jeszcze będzie pracowała w szpitalu. Mieli jednego syna, który obecnie jest w wojsku i nic do niej nie pisze. A ona tu w mieście Czulał Kurgan złączyła się z fryzjerem Rusinem i nieźle jej się powodzi. Ona ma niezłą pensję, on też dobrze zarabia.

Namawiałam ją żeby jak wojna się skończy jechała z nami do Polski, to ona mówiła, że jej jest tu dobrze i do Polski nie pojedzie. Po paru dniach przyszedł do szpitala Żyd z Wilna ślusarz i mechanik, chory na zapalenie płuc. On tu w tym mieście pracował, dobrze zarabiał, miał żonę i 7 lat córkę. Leżał na naszej sali, żona go codziennie odwiedzała. Gdy był już zdrowszy to żona przynosiła mu jaja, mleko, ciastka i inne dobre żarcie.

Gdy przyszedł przedstawiciel polskiej placówki a on też był Żyd z Wilna adwokat to dostał od niego sto rubli na troje, czeladnik jego bez żadnej rodziny też dostał 50 rubli zapomogi a i tak dobrze zarabiał ale był Żydem. A jak ja jeszcze byłem w kołchozie to my dostaliśmy 150 rubli na 74 osoby i 3 pary butów. Mówił, że w tym mieście od przedstawiciela dostawali już kilka razy smalec, cukier i z ubrania prawie wszyscy dostawali, którzy tu mieszkają, ale w miastach to przeważnie Żydzi mieszkali, to Żyd Żyda ratował. Dostawali buty i grubsze zapomogi pieniężne i inne produkty i rzeczy.

Za parę dni zachorowała tego Żyda z Wilna córka, dostała jakiegoś dużego wrzodu na głowie, leżała na sali kobiecej, inna dziewczynka lat 11-cie sierota zmarła w tym czasie.

Pod koniec kwietnia przywieźli do naszego szpitala nieprzytomnego sekretarza naszej placówki Włodarczyka z Grodna. Położyli go na innej sali, był on bardzo gruby i aż czarny, nic się od niego nie można było dowiedzieć ani słówka, nic nie jadł ani pił, był bez czucia, robił pod siebie i po tygodniu męczarni zmarł.

Prawie wszystkich tam zmarłych chowali bez trumien, zawijali ciało w prześcieradło albo słyszałem tylko twarz nakrywali i tak pochowali. Włodarczykowi przedstawiciel kazał zrobić trumnę i nawet i krzyż drewniany zrobili. Na pochowanie jego dużo ludzi przyszło a nawet byli Żydzi. Nieśli go na ramionach z krzyżem na przedzie. Tamtejsi Kazachy przyglądali się jak na jakieś zjawisko, bo u nich jak kto umrze to się nad nim zapłaczą, potem zawiną w prześcieradło białe, włożą na nosze z kijów i położą na osła i przywiążą. Jakich kilku chłopów jemu bliskich przyjaciele odprowadzą go na cmentarz, dół wykopią, tam go złożą i zakopią, mogiłę trochę wyższą usypią i koniec. Potem jeszcze dwa tygodnie zbierają się i płaczą, przed wieczorem przygotowuje się w kotle barana i łapsze. Tak robią na każdym pogrzebie a jak rodzina jest biedna, to się składają wszyscy i kupują, bo taki u nich jest obrządek.

Za tydzień czasu po córce mechanika z Wilna zachorowała jego żona i 3-go dnia zmarła. Za mojej bytności w tym szpitalu zachorowały dwie młodsze siostry szpitalne, 3-szy sanitariuszki i to na tyfus,



doktorowa żona Czernowa i on sam doktor też mało mu się należało ale jakoś się wylizał.

Chorowała kuzynka pani Olszewskiej i nauczycielka co mieszkała z panią Olszewską, dwie kobiety jedna z dziećmi, dwoje dzieci jednej zmarło a prócz tego ile zmarło w kołchozach i miastach po całej Rosji, nie da się nigdy dokładnie policzyć ile tam zmarło, ile zostało zabitych i zamęczonych dobrych Polaków, nawet nic niewinnych, tylko że pragnęli mieć wolną swoją Ojczyznę kochaną.

W szpitalu już dwa tygodnie nie dawali nam cukru, piliśmy herbatę z jakiegoś suszonego zielska wcale nie słodzoną. Nadszedł 1-szy maj 1942 roku przynieśli rano spore pudełko cukierków landrynek bez papierków. Każdy otrzymał 5 sztuk do herbaty, przed wieczorem też po 5 sztuk ale po 1-szym maja dłuższy czas znowu cukru nie dawali.

Ja na żołądek już byłem zdrowy, malaria też mnie już minęła, tylko ta przeklęta cynga mi dokuczała. Działa jeszcze się nie goiły, po każdym jedzeniu musiałem je płukać raz szalwią a drugi raz jakimś zielonym płynem. Inne lekarstwa dawali mi 3 razy dziennie, przyjmowałem w płynie z proszkami. Z nóg opuchlizna mi trochę stęchła ale nogi tak strasznie bolały, że nie mogłem ich wyprostować, wprost mnie przykulały.

Doktorka kazała mi w łóżku nogami gimnastykować. Z wielkim bólem pomału ruszałem nogami z zaciśniętymi zębami z bólu. Kilka razy zemdlałem a gdy mi przyszło siadać na nocnik to już było najgorzej. Nieraz się przewracałem z tym nocnikiem. Potem siadałem na kiju położonym na dwóch łózkach nad wiadrem. Kij przyniósł mi sąsiad z bocznego łóżka i tak się załatwiałem i było dużo lepiej.

Przez cały czas leżałem w szpitalu, już prawie 3 miesiące z nogami skulonymi bo na sali było zimno, piec był ale w nim nie palił a ściany i cały szpital był z gliny, w kątach wilgoć się świeciła i dlatego nogi były skulone. Przy cyndze od razu spuchły jak nawoje pręgi na tydkach wystąpiły choć już zaczęła opuchlizna schodzić ale ból jeszcze nie ustępował.

Doktorka mówiła codziennie żeby się gimnastykować, dwa razy dziennie, bo inaczej ból nie ustąpi i mogę być przykulony na zawsze. Choć bolało ałem się gimnastykował zrazu pomału a potem coraz więcej aby nie być przykulonym. Działa też prawie były zdrowe, krosty znikły, dali mi kule i zaczynałem pomału na dwóch kulach chodzić po sali. Drugiego dnia chodziłem dość długo, nogi zaczęły boleć, położyłem się na łóżku, patrzę a moje nogi spuchły i temperaturę czuję, że jest duża. Gdy rano mi siostra zmierzyła jest 39 stopni. Przyszła doktorka i znowu mnie dokładnie bada, powiedziała, że za długo chodziłem, płuca i serce są w porządku a jak temperatura będzie trzymać dłużej to trzeba będzie robić układy.

Na drugi dzień temperatura była trochę mniejsza 38 ale na wieczór znowu 39 i dwie kreski. Trzeciego dnia przyszła doktorka ze starszą siostrą, obejrzała kartę i powiada, że przez 6 dni trzeba zrobić układy i to jeden już dzisiaj. Ja wcale nie wiedziałem co to za układ. Gdy po śniadaniu pod koniec maja było już bardzo ciepło połowa chorych wyszła na świeże powietrze weszły do sali dwie siostry, jedna starsza i druga młodszą. Starsza w rękę trzymała strzykawkę z nasadzoną igłą. Czy igła była wygotowana tego nie wiem. Wzięła mnie za rękę i kazała mi się przekręcić żeby jej było wygodniej a młodszą siostrą gumowaną białą szmatą okręciła mi rękę i wtedy starsza siostra poczęła dźgać w żyłę gdzieś koło łokcia gdy rękę zgiałem w łokciu. Ale igła była tępą i nie chciała przebić skóry aż za trzecim silniejszym pchnięciem przebiła i naciągnęła krew prawie pełną strzykawkę. Wyjęła, zasmarowała to miejsce i prędko musiałem się przewrócić na brzuch, plecami do góry. Wtedy młodszą siostrą usunęła bieliznę a starsza zaczęła mnie kłuć w pośladek i w niego wstrzyknęła mi tę krew. Ja ze strachu i bólu tylko zęby ścisnąłem, poty na mnie wystąpiły jakby mnie kto wodą oblał.

Drugiego dnia przyniosły aż 3 igły, miałem jeszcze więcej strachu. Pierwszą igłą nie mogła przebić skóry, nasadziła drugą i znowu to samo, nie przebiła aż trzecią przebiła i krwi nabrała i znowu się przekręciłem i wstrzyknęły mi w drugi pośladek. Już myślałem, że zemdleję ale jakoś wytrzymałem. I tak siedem tych układow miałem robione ale po nich temperatura mi się unormowała. Byłem zdrowszy, tylko strasznie osłabiony ale o kulach pomału chodziłem.

Jednego dnia chorzy zaczęli się upominać o fryzjera u doktorki a ja na swoje nieszczęście przygadałem, że w ruskim szpitalu to tak jak w więzieniu z zarośniętymi brodami trzeba leżeć. Ona się za to na mnie bardzo rozgniewała. Kazała mi się zaraz ubierać i uczyć chodzić bo za kilka dni wypisze mnie ze szpitala.

Sykałem z bólu i o kulach chodziłem i odpoczywałem i znowu chodziłem. Fryzjer przyszedł do szpitala, wszystkich strzygł i golił i mnie też ale 26 maja doktorka wypisała mnie ze szpitala. Przynieśli moje łachy i kazali się ubierać, ja nie chciałem i się nie ubieram. Przysłała dwóch drabów i przymusowo mnie ubrali i wyprowadzili na korytarz.

Kzeselko na korytarzu stało zawsze, usiadłem na nim i siedzę i myślę co ja teraz będę robił. W tym czasie wyszła z drugiej sali doktorka, przeprosiłem ją za to, że wczoraj ją obraziłem i mówię jej, że jeść mi się chce, jestem głodny, bo nie dali mi ani chleba ani herbaty. On powiedziała, że zaraz powie żeby mi dzisiejszy prowiant oddali ale już nocować w szpitalu nie będziecie i mówi żebym sobie znalazł kwatery gdzieś u Polaków, których w tym mieście jest bardzo dużo a ja jej mówię a co ja będę

jadł, przecież nikt mi darmo nie da i chodzić nie mogę i robić też nie mogę.

Ja wam dam zapisku do naczelnika rajspalkoma i on zażąda podwodę z tego kolchozu coście w nim pracowali i pojedziecie do swego kolchozu i tam wam dadzą 200 gram mąki na dzień jako bezrobotnemu i będziecie żyć a do tego czasu dopóki podwoda nie przyjedzie to on was zaprowiantuje i będziecie chodzić do stołowej na obiad i będziecie mogli sobie kupić 1 kg chleba na dzień.

I takie pismo napisali i mnie dali do tego naczelnika miasta i mówią żebym zaraz poszedł z tym pismem to tam mnie zapiszą i zaraz dadzą mnie już na jutro talony na chleb i do stołowej na obiady.

Wziąłem to pismo i myślę sobie, że marny los mnie czeka. Niech to szlag trafi, uszedłem śmierci z czterech chorób w szpitalu a teraz mogę z głodu wykitować, bo w kolchozie dają na dzieci i na starych co nie robią tylko po 200 gram mąki, jak to można żyć cały dzień z tych 200 gr. mąki.

Gdy wyszedłem ze szpitala na kulach pod pachami najprzód wstąpiłem do pani Olszewskiej, która mieszkała na przeciw szpitala, tylko przejść ulicę. Ona mieszkała ze swoją siostrzenicą, razem z nimi w tej samej izbie mieszkała jakaś nauczycielka. Wszedłem powiedziałem dzień dobry paniom, odpowiedziały dzień dobry. Pani Olszewska pyta się co pan nam powie, pan leży tu w szpitalu. Mówię leżałem 3 miesiące ale wczoraj już ze szpitala doktorka mnie wypisała i już szukam jakiegoś przytułku żeby gdzieś przenocować. Pani Olszewska mówi jak to chorego na kulach wypisała, to wprost niemożliwe, chyba pan się zachował jakoś niegrzecznie, czy coś zrobił niedobrego.

Opowiedziałem jej za co, że powiedziałem że w ruskim szpitalu tak jak w więzieniu chorzy są obrośnięci, nie goleni, ani strzyżeni i brudni, za to mnie wypisała. Pani Olszewska mówi źle pan powiedział ale wszystko jedno nie powinna pana wypisać ale tu wszyscy za prawdę się gniewają i karzą to ich taka metoda rządzenia.

W tym domu co pani Olszewska mieszkała był zamiast sieni długi korytarz walnie szeroki. W kącie tego korytarza leżało dużo suchego zielska na opał. Mówię proszę pani świętej pamięci pani mąż doktor Olszewski ratował mnie gdy byłem ciężko chory, przynosił mi swoje lekarstwa, które miał jeszcze z Polski a w aptece takich brakowało jakie mi były potrzebne i może tylko zawdzięczam panu Olszewskiemu i Bogu, że jeszcze żyję. Może pani mi pozwoli przenocować choćby na korytarzu na tym zielsku, zawsze to będzie cieplej niż na dworze. Ja jutro będę szukał jakiegoś mieszkania.

Mam pismo od doktorki do naczelnika rajspalkoma to może on mi gdzieś przeczny jakies przytulisko i powie co ja mam robić aby żyć. Pani Olszewska mówi nas w tym mieszkaniu mieszka 4-ry kobiety, przyjąc do mieszkania nie mogę ale jak pan chce przenocować na korytarzu to proszę może pan tam to zielsko rozłożyć sobie i spać.

Ale radzę panu najprzód rano iść do przedstawiciela, to jest taki mąż zaufania dla Polaków, którym daję zapomogi i opiekuje się tu w całym okręgu Polakami. On panu poradzi co pan ma robić i da zapomogę. Mówię dobrze, jutro pójdę do przedstawiciela. Przy tej naszej rozmowie była i nauczycielka.

Ona uczyła w tym mieście dzieci polskie, jej mąż umarł w Rosji. Na kolację dały mi wodę przegotowaną zaprawioną zamiast herbaty jakimś zielskiem, nauczycielka dała mi kawałek chleba do tej niby herbaty. Po tej kolacji poszedłem sobie szykować na korytarzu spanie, gdym rozkładał to suche zielsko była tam z boku uwiązana kura pani Olszewskiej. Złękła się jak zaczęła gdakać ale potem uspokoiła się i już nie gdakała. Pani nauczycielka przyniosła mi koc do nałodzenia, bo było zimno i mówi niech pan nie boi się bo on był dezynfekowany, niech się pan odzieje dobrze bo noce są zimne i tak nocowałem razem z kurą.

Po zjedzeniu śniadania takiego samego jak kolacji - suchy chleb i woda, poszedłem do przedstawiciela. On mieszkał na przedmieściu. Było do niego ze dwa kilometry, ciężko mi było iść, nogi bolały ale szłem, bo musiałem. Gdy przyszedłem a tu ludzi już pełno, nie tylko w sieni ale i na dworze, z różnych kolchozów a najwięcej było Żydów z Polski, ci się pchali bez kolejki, bo przedstawiciel był Żydem. Gdy umarł sekretarz Włodarczyk to na jego miejsce był sekretarzem też Żyd z Wilna adwokat. Oni swoich uwzględniali lepiej i bez kolejki a Polacy musieli się najprzód zapisać a potem według listy wchodzili do przedstawiciela po swój przydział.

Był to już koniec maja 27, 42 roku. Było już bardzo ciepło. Usiadłem i kule obok siebie położyłem i przyglądam się, że niektórzy to się nie zapisują i idą bez kolejki i wychodzą z darami i ich nikt z listy nie wyczytywał. Obok tego domu z drugiego bocznego wyszła znajoma kobieta z podróży, żona kapitana polskiego, który był zastępcą komendanta transportu Podczasieka.. Jechalim w ten czas z Koźwy do Samarkandy, tam była kradzież mąki i suszonych jabłek, w ten czas gdy rewidowali wagony komendant transportu uciekł a jej męża aresztowali za tę kradzież. Z trzech wagonów mężczyzn zabrali winien, czy nie winien do więzienia w Samarkandzie. Nas po trzech dniach wypuścili i pytam się tej pani gdzie jest pani mąż bo ja z pani mężem razem byłem aresztowany w Samarkandzie za kradzież mąki. Ona się mnie pyta co ja wiem w tej sprawie, bo mój mąż nie wrócił i nic o nim nie wiem. I pyta się czy dobrze znałem jej męża, mówię, że znałem, bo razem jechalim z



Kożwy do Samarkandy. Mąż i pani jechaliście w trzecim wagonie i mówię jej, że jej mąż nic nie był winien i jego nie zatrzymali za kradzież tylko jak w czasie rewizji wagonów komendant transportu uciekł a pani mąż był zastępcą, to za to, że dopuścił do tej kradzieży ale na pewno go wypuszczą.

I mówię, że z naszego wagonu było 23 zatrzymanych ale po trzech dniach wypuścili wszystkich to na pewno i pani męża wypuszczą. Ona zapłakała i poszła do przedstawiciela, bo rozmawialiśmy na dworze i mówi w uniesieniu panie przedstawicielu jest tu jeden człowiek, który wie, że mój mąż nic nie był winien, razem był zatrzymany tego dnia. Ja jak raz wygramoliłem się, ona mówi oto ten pan może powiedzieć wszystko jak było ale przedstawiciel powiedział ja wierzę, że pani mąż nie kradł mąki a mnie o nic się nie pytał. Było to jemu obojętne, żeby to był jaki Żyd, to może by się zainteresował ale że to był Polak i to jeszcze kapitan, to musiał być winien, kiedy go zatrzymali.

Ludzi było dużo i wchodzili za kolejką, więc wyszedłem bo było ciasno i gorąco. Ona wyszła za mną i pyta się czy pan nie jest głodny, może pan co zje. Mówię, że śniadanie jadłem ale już bym coś zjadł. Poszła do mieszkania swego i wyniosła chleba posmarowanego smalcem i drugi większy kawałek chleba nie posmarowanego i kubek herbaty. Chleb posmarowany zjadłem popijając herbatą a ten bez smalcu większy kawałek schowałem do kieszeni. Na boku leżało suche zielsko do palenia, usiadłem na nim i patrzę, że nasi ludzie Polacy pilnują kolejki ale co jakiś czas wchodzą i bez kolejki. Myślę, że to chyba Żydzi, bo tam nikt na nich nie krzyczy i wychodzą załatwieni, bo coś niosą.

Podniosłem się i idę pomału na kulach, ludzie nic nie mówią ale sekretarz mówi, że wy jeszcze jesteście nie zapisani, najprzód trzeba się zapisać a dopiero później jak przyjdzie kolejka to ja was zawołam. Ja mówię, że nogi mnie strasznie boją, stać już dłużej nie mogę ale widzę, że ludzie wchodzą bez kolejki i załatwiani są, chociaż są zdrowi. Spojrzał na mnie przedstawiciel zza stołu i mówi niech pan usiądzie na tej skrzyni, tylko załatwię tych co są w środku to zaraz potem załatwimy pana.

Była to duża izba, przepierzona kocami na połowę. Za tym przepierzeniem mieli różne artykuły dla internowanych. Był smalec w beczkach, cukier w workach, mydło duże sztaby kilowe i towary łokciowe i ubrania przeważnie dla dzieci i wydawali tylko na kołchozy. Na jedną osobę pół szklanki cukru i pół szklanki smalcu, pół kawałka mydła ale cukier i smalec to tylko dla dzieci i ludzi starych.

Leżała i gromada nowych butów ale na kołchoz po parę par, na przykład na 70 ludzi 4 pary butów i parę metrów towarów łokciowych dla dzieci.

Gdy już załatwił z tymi kołchozami co byli w środku i kilku pojedynczych ludzi, zwraca się do mnie i pyta mnie skąd ja się tu wziąłem i z jakiego kołchozu jestem. Opowiedziałem mu wszystko od początku, jak przyjechalim na komisję i się zaziębiłem i leżałem w szpitalu trzy miesiące i za co mnie doktorka wypisała ze szpitala, chociaż jeszcze chodzić nie mogę i jestem bez życia i dachu nad głową.

Przyszedłem prosić pana przedstawiciela o opiekę nad sobą i jeszcze mu mówię, że stawałem na komisję wojskową i jestem przyjęty do wojska to abym mógł chodzić to zaraz pojadę do wojska.

On wysłuchał mnie i mówi, że on się mną opiekować nie będzie, tylko muszę jechać do swego kołchozu i tam dadzą to co się należy każdemu choremu i mieszkanie. Jak już wyzdrowieję to pojedziecie do wojska. Ja mówię ja do kołchozu nie pojadę bo jestem chory a tam trzeba pracować a ja się nie nadaję do pracy i tam z głodu umrę. On mówi ja wam też dam trochę zapomogi, dam trochę pieniędzy, sztabę mydła, słupek zapalek, 1/2 szklanki smalcu i pół szklanki cukru, to za to w kołchozie można będzie dużo nabyć do życia. To ile da mi pan tych rubli, on powiada dam dwadzieścia rubli, to ja mówię, to jak pan przedstawiciel rozdziela te pieniądze. Jednym na osobę daje 50 rubli a na trzech mówił mi jeden, że dostał sto rubli. To on się pyta komu tyle dałem, ja mówię, że mi to mówił jeden, że on tyle dostał, leżał ze mną w szpitalu. Uważam, że pan daje pieniądze za pokwitowaniem to może pan sobie łatwo przypomnieć jak zechce a dla mnie chorego tylko 20 rubli, to jest za mało.

Obejrzał się na sekretarza i kazał wypisać sumę na 30 rubli, zaraz mi te pieniądze wypłacił. Potem dał mi kilową sztabę mydła, słupek zapalek, pół szklanki cukru i pół szklanki smalcu i ładną, nową koszulę. Ja widzę, że leży duża gromada butów nowych a ja mam podarte kamasze, jeszcze z łagrów. Proszę go żeby mi dał i buty, on mówi, że buty i inne materiały wydaje tylko na całe kołchozy i zależy jaki był duży ten kołchoz. Mówi, że już wydał na nasz kołchoz trzy pary butów na 74 osoby, to może oni tam ich nie wydali jeszcze to wam jedną parę dadzą i mówi wydałem parę par pończoch dzieciennych i damskich. A kołchozów mam bardzo dużo i muszę tak dzielić żeby każdy kołchoz coś dostał.

Ja pytam się jego jak ja się dostanę do swego kołchozu, do niego jest 55 kilometrów, może mógłbym zostać tu dłużej w jakim kołchozie, żeby pan mnie skierował, on mówi, że chorego do żadnego kołchozu nie przyjmą, tylko musicie jechać do swego, tam muszą was przyjąć. Pójdźcie do naczelnika rajspalkoma i on panu wyznaczy furmankę, ja więcej nic panu nie pomogę. Podziękowałem za to co dostałem i wróciłem do pani Olszewskiej, na korytarz i pokazałem co dostałem od przedstawiciela. Pani Olszewska dała mi kawałek chleba i przegotowanej wody kubek,

chleb posmarowałem smalcem, zjadłem i położyłem się żeby odpocząć po tej podróży do przedstawiciela. Nogi mnie bolały strasznie a jutro z rana pójdę do naczelnika o furmankę żeby jechać do swego kołchozu.

Rano wstałem, dały mi wody do umycia twarzy ale i umyłem sobie nogi. Patrzę - na nie po wczorajszym dniu trochę mi popuchły. W tym korytarzu były jeszcze jedne drzwi i drugie mieszkanie w którym mieszkały dwie siostry z matką starszą. Były to Żydówki z Ukrainy, jedna była doktorką i pracowała w ambulatorium. Gdy ja przyglądałem się swoim nogom podeszła do mnie, popatrzyła, potem dotknęła ręką moje opuchnięte nogi i powiada trzeba je smarować wazeliną i ona mi tej wazeliny przyniesie i bandaż. Mówię dobrze, niech pani przyniesie to ja będę smarował na noc i będę owijał bandażem i z góry dziękuję pani.

Pani Olszewska na śniadanie ugotowała czamej kawy i dała mi kubek tej kawy, chleba kawałek dała mi nauczycielka, bo one wszystkie panie kupowały w sklepie chleb na kartki po 900 gram na dzień. To było pierwsze moje śniadanie, chleb był posmarowany smalcem i czarna kawa z cukrem.

Po zjedzeniu śniadania wziąłem kule pod pachy i idę do naczelnika rajspalkoma. Pani Olszewska mi wyłumaczyła na jakiej to ulicy. Najprzód pójdzie pan prosto, potem pierwsza ulica w prawo, potem znowu w lewo i tak kilka ulicami pytając się często przechodniów. Wreszcie doszedłem kulami się podpierając aż mnie pod pachami bolało. Była już godzina koło 9-tej.

Budynek był duży i korytarz na którym stał woźny. Pytam się go czy jest naczelnik rajspalkoma, on mówi da a w jakiej sprawie wy przyszli do naczelnika. Mówię mu, że chodzi mi o podwodę. Wot tam idzi i pokazał mi drzwi.

Zapukałem i usłyszałem da, otworzyłem drzwi i wszedłem. Patrzę siedzi mały, drobny, garbaty człowieczek, mówię zdrastwujcie, odpowiedział mi zdrastwujcie. Ja pytam się jego czy jest naczelnik rajspalkoma, bo myślałem, że to jakiś pisarek. Wyglądał na lat jakieś 20-ście. On mówi, że eto ja jestem naczelnikiem a czto takoje. Ja jemu opowiedziałem, że jestem ze szpitala wypisany i nie mam co jeść i gdzie spać, żeby mi coś pomógł.

To wy jesteście polski grażdananin, mówię tak, to on mówi żebym się zgłosił do polskiego przedstawiciela niech on się wami zaopiekuje. Mówię, że już byłem u przedstawiciela. On mi trochę dał zapomogi i odesłał do pana naczelnika, żeby pan dał mi podwodę do kołchozu w którym pracowałem. Dałem mu kartkę od doktorki, która też powiedziała żebym się udał do tego naczelnika o podwodę. Przedstawiciel powiedział, że więcej nic mnie nie pomoże ale pomyślał trochę i mówi - podwoda wam się należy ale skąd ją wziąć, teraz jest robota w polu. Pochylił się na lewo do telefonu i zadzwonił do centrali żeby go połączyli z ziemozawodem.

Gdy stamtąd odezwał się głos halo tu ziemozawod przy telefonie zawiadujyszcy Zachar. W ten czas on mówi tu naczelnik rajspalkoma zdrastwuj Zachar, tamten odpowiedział zdrastwujcie towarzysz naczelnik. Potem naczelnik go się zapytuje słysz Zachar czy u was są jakieś podwody za ziarnem z selsowietu Imek, Zachar odpowiedział, że będą za dwa dni, acha powiedział naczelnik - ładno, słuchaj Zachar tu jest polski grażdananin, on musi na tych podwodach pojechać do Inbeka, tylko tego dopilnuj Zachar.

Słuchawkę położył i mówi do mnie wy macie szczęście za dwa dni będą podwody po ziarno kłapok czyli nasienie waty i wy z nimi pojedziecie do selsowietu Imbek. Ja mówię, że jestem z kołchozu Kazału, to jest jeszcze 15 kilometrów, to ja tam nie zajdę bo mnie strasznie bolą nogi, to on mówi, że da mi kartkę do przedstawiciela selsowietu Imbek, że ma was dostarczyć do kołchozu Kazału. Mówię dobrze i zaraz napisał tę kartkę i mnie dał.

To ja znowu mówię, żeby mi dał kartkę na chleb na 2 dni i do stołowej talony na obiady i herbatę. Na chleb ja zatelefonuję do rajspotszeba sojus, oni wam dadzą kartkę na chleb i talony do stołowej na obiady. Zatelefonował i powiedział nie tak daleko, obok poczty.

Podziękowałem mu i biorę kule pod pachy i już wychodzę, to jeszcze mi mówi żeby dopilnować podwody bo później będzie gorzej. Teraz idźcie prosto do tego urzędu po kartki na chleb. Po drodze dopytałem się gdzie ten urząd. Tylko weszłem do niego, było tam kilka urzędniczek i kierownik. Powiedziałem zdrastwujcie przyszedłem od naczelnika rajspalkoma, on tu telefonował żebyście mi dali kartki do łarka na chleb i do stołowej talony na obiady. Charaszo, siadajcie zaraz damy na 2 kg chleba i 2 talony do stołowej na obiady. Zaraz niedaleko na tej samej ulicy był łarok, kupiłem 2 kg chleba i dopytuję się gdzie jest stołowa. Wreszcie znalazłem ją, na pewno było już po godzinie 12-tej ale ludzi w kolejce było około stu osób. Ustałem z boku i posuwam się pomału i przyglądam się. Był to barak gliniany, poza miastem była ta stołowa, przeważnie robotnicza.

Gdy wchodziłem, talerz pokazałem, wszedłem od jednego stolika jak raz wstali i wyszli. Za ladą stał mężczyzna i odbierał talony a dwie kobiety podawały na ladę jedzenie, drugie dwie zbierały naczynia i odnosiły do kuchni, czy myły to nie wiadomo. Na obiad była tak zwana łapsza - makaron z odtłuszczonym mlekiem w blaszanych miskach, łyżki były drewniane ale tej łapszy było sporo. Podała mi ją ta co zbierała próżne naczynia. Ja wyjąłem chleb, ułamałem kawałek i najadłem się dobrze i



wyszedłem.

Słońce paliło, pot spływał po twarzy, byłem zarośnięty, włosy miałem długie i na brodzie także. Czasu do wieczora miałem jeszcze parę godzin. Myślę mam pieniądze to trzeba iść do fryzjera i dać ostrzyć sobie włosy na zerówkę i brodę zgolić. Szukałem fryzjera i znalazłem go. Był to Gryzią znany w cały miasteczku i przychodził do szpitala strzyć gdy go wezwali.

Był wysiedlony z Rosji do południowego Kazachstanu. Tu się zapoznał z polską dziewczyną, która była starszą siostrą w szpitalu i tak sobie żyli po rusku i dobrze im się powodziło. Ona miała niezłą pensję i on też dobrze zarabiał na strzyżeniu. Czekałem dość długo bo kolejka była niemąla ale się doczekałem. Ostrzygł mnie i ogolił, zapłaciłem mu 3 ruble. Miał jeszcze dwóch pomocników i cały dzień mieli co robić, jedni wychodzili to drudzy przychodzili i tak do wieczora.

On sam mnie golił, po goleniu dmuchnął mi na twarz wodą kolońską, bo poznał mnie ze szpitala. Po tej robocie dużo odmłodziłem. Gdy wróciłem wszyscy się dziwili, bez brody i bez włosów na głowie i trochę z zapachem.

Pani Olszewska podała mi kubek przegotowanej wody, ja ją trochę osłodziłem, chleba kawałek cieniutko smalcem posmarowałem i najadłem się dobrze. Zaraz położyłem się spać, bo nogi mnie bolały bardzo po całodziennym chodzeniu. Wróciłem już nad samym wieczorem do tej swojej kwatery korytarzowej razem z kurą.

Obudziłem się rano i mając prawie wszystko już załatwione postanowiłem iść do tych ludzi co przed szpitalem u nich kwaterowałem 10 dni. Może nie zużyli wszystkiej mąki mojej to mi oddadzą i pieniędzy pożyczyłem jednemu 30 rubli, może mi odda jak będzie miał, bo dziś bardzo by się przydały.

W połowie drogi do nich spotkałem żonę tego, któremu pożyczyłem 30 rubli. Poznałem ją od razu i mówię dzień dobry pani, czy poznała mnie pani, mówię jej, że byłem u państwa na kwaterze temu 3 miesiące i pani mi bańki stawiała. A to pan, mówili, że pan umarł, zaraz po miesiącu w szpitalu. Widzi pani, że nie umarłem bo stoję przed panią i szedłem do państwa bo mam pokwitowanie na 30 rubli, które pani mężowi pożyczyłem przed pójściem do szpitala, chyba pani wie o tym.

Ona mówi, że wie ale męża nie ma, on poszedł do wojska polskiego i ja otrzymuję zasiłek, to panu te pieniądze oddam zaraz. Wyjęła portmonetkę i wyliczyła 30 rubli i dała mi. Przyjąłem i podziękowałem i pytam czy mąkę zużyliście wszystko com u was zostawił. Ona mówi, że dopóki nic o panu nie wiedzieliśmy to jej nie ruszyliśmy ale gdy poszła pogłoska, że pan umarł to z połowę zużyliśmy a resztę na wszelki wypadek zostawiliśmy nie mając pewności czy pan umarł a może pan żyje, jak byśmy wyglądali gdybyśmy wszystko zjedli.

Niech pan idzie ze mną to panu oddam co zostało tej mąki. Gdy weszliśmy do mieszkania powiedziałem dzień dobry państwu, odpowiedzieli i przyglądają mi się wszyscy ze zdziwieniem bo mieli mnie za umarłego a tu przychodzi o kulach ale ogolony i ostrzyżonym dużo młodszy jak był u nas na kwaterze.

Ten pierwszy co mnie przyprowadził jako kuzyna powiada ja to przeczuwałem, że to może być omyłka, że może pan żyje, tam dużo ludzi umarło w tym szpitalu a nikogo do chorych w odwiedzinie nie wpuszczali bo tam panował tyfus i do tego był bałagan.

No dobrze, że pan żyje, trochę mąki pańskiej skonsumowałem a resztę panu oddamy i co pan teraz myśli robić z sobą kiedy pan o kulach chodzi.

Powiedziałem, że muszę wracać do swego kołchozu, tam mają mi dać jakieś życie, no i mam tam kilku znajomych dobrych Kazachów, może mi coś pomogą dopóki będę mógł chodzić i robić. Zresztą mam już prawie 60 rubli w kieszeni, 10 kilo mąki, mydło, zapalki i nową koszulę, jakoś się tam będzie żyć. Temu dwa dni myślałem sobie, że mamy widok mnie czeka, niech to szlag trafi taki los, uszedłem śmierci z chorób w szpitalu to jak mnie długo nogi będą boleć to mogę z głodu w kołchozie wykitować ale dziś już myślę inaczej, bo jestem na razie bogatym i może Pan Bóg da, że prędko wyzdrowieję i pojedę do polskiego wojska a tam już nie będę się martwił co będę jadł jutro. Dadzą mi wszystko, życie, umundurowanie i będę żołnierzem i zwalę z siebie te porwane łachmany w których wyglądam jak ostatni dziad w Polsce.

Wstąpiła we mnie nadzieja, że dam sobie radę i żyć będę. Pożegnałem się z dobrymi ludźmi, wszyscy życzyli mi zdrowia i powodzenia w dalszym moim życiu. Mąkę przywiązali mi na plecach, bo inaczej nie mógłbym jej zabrać a do mego kołchozu Kazaktu było 55 kilometrów. aby do niego się dostać.

Wróciłem do pani Olszewskiej już nad samym wieczorem. Pani Olszewska dała mi zawiadomienie, które przyniósł listonosz, że 27-go maja przyjadą podwozy po nasiona a 28-go odjadą, żeby już tam być to razem na nich pojedę do swego kołchozu Kazaktu.

Zjadłem kolację i mówię, że już ostatnią noc będę tu spał a na drugą 27 to już pójdę do tego magazynu zbożowego, tam się gdzieś prześpię i rano już pojedę do swego kołchozu. Dla nóg zrobiłem wyżej bo mnie strasznie bolały, cały dzień chodziłem aż mi trochę spuchły. Położyłem się

spać ale sen mnie nie bierze, dumam co ja już mam. 25 rubli miałem, potem mąż zaufania dał 30 rubli i 30 otrzymałem za mąkę, razem mam 85 rubli. To jest dużo, w kolchozie będzie można dużo kupić za te pieniądze. Potem do tego mam szklanekę smalcu i 1/2 szklanki w torbę cukru - taki luksus i dwa kawałki mydła do prania i 12 pudełek zapalek, do tego mam kociołek miedziany do gotowania stawy, który kupiłem sobie dosyć okazjnie za dwa ruble od jednego w izolatorze, no i jeszcze worek na te wszystkie rzeczy

Na drugi dzień wstałem rano i układałem cały swój majątek do worka, potem biorę się za śniadanie. Miałem chleb, ukroiłem wałną skibkę, posmąrowałem smalcem a pani Olszewska jak zwykle nalała mi kubek kawy, ja sobie posłodziłem i jem. Myślę, że takiego śniadania to nie jadłem już całe dwa lata i tłuste i słodkie, bardzo mi smakowało. Podjadłem dobrze no i trzeba się zabierać i iść do tego zawodzierna, bo już w nocy przyjadą furmanki po nasienie. A był to kawał drogi do tych magazynów, prawie kilometr drogi. Jak ja tam dojdę z tym workiem, kiedy w jednym ręku mam kij do podpierania a pod drugą pachą mam kulę i nogi mnie boją.

Zwracam się do pani Olszewskiej, że może mi postręczy najać jakiegoś człowieka żeby mi ten worek zaniósł do tego zawodzierna, to ja bym mu zapłacił, bo sam nie zaniosę a trzeba mi już iść bo jak furmanki przyjadą wcześniej to mogą zabrać nasienie i odjechać, to ja bym dopiero marnie wyglądał.

Na ten czas nadeszła nauczycielka i słysząc tę rozmowę o worku powiada, że ja z panną Helą zaniesiemy ten worek panu, będziemy niosły obydwie. Ja aż wykrzyknąłem a to bardzo dobrze, dziękuję paniom bardzo za to. Ona mówi niech pomału idzie wpierw a my pana dogonimy, ja wiem gdzie są te magazyny za miastem.

Dziękuję pani Olszewskiej za sublokatorstwo i za kawę co mi codziennie dawała a ona mówi my też mamy biedę na nowo, dostalim wymówienie żebyśmy się starały o drugie mieszkanie bo ten dom należy do szpitala i tu musi mieszkać doktor.

W tym mieście mieszka dużo Polaków i Żydów, już się dopytywałam ale znaleźć nie mogę, wszędzie pełno i nawet po dwie rodziny mieszkają razem, nie wiem co będzie z nami dalej. Ja jeszcze raz dziękuję za wszystko i wychodzę bo godzina już była 11-ta.

Wyszedłem i pomału sunę z kulą pod pachą a w drugiej ręce kijem się podpieram. W połowie drogi dognały mnie panie z moim workiem. Idziemy razem i ja je się radzę co ja mam teraz zrobić, kulę mi pożyczili tylko aby tu chodzić po mieście, za to poręczyła posługaczka w szpitalu Gecowa Polka z okolic Stanisławowa i ona za tę kulę odpowiada. Ja tej kuli oddać nie mogę, bo nie będę mógł wcale chodzić. To jak nie oddam to jej potrąca z pensji, bo doktorka tak jej powiedziała od razu a ona miała pensji tylko 120 rubli miesięcznie, to jej mogą za tę kulę całą pensję zabrać.

Nauczycielka mówi niech się pan nie przejmuje Gecową jak jej potrąca, to my jej zwrócimy, ja pójdę do niej i jej to powiem. Niech pan uważa na siebie, bez kuli pan ani kroku nie zrobi. Jak pan wyzdrowieje to wtedy kulę im odeśle albo sam przyniesie a teraz choćby ją chcieli zabrać to niech pan nie oddaje, bo ona panu jest potrzebna. Podziękowałem jej za dobrą radę, bo inaczej nic zrobić nie mogłem.

I tak doszliśmy do ziemozawodu. One się tym workiem aż pomęczyły bo był dość ciężki. Podziękowałem im serdecznie, one życzyły mi szybkiego powrotu do zdrowia i poszły z powrotem.

Magazyny były duże, omurowane glinianym wysokim murem z dość wysoką bramą. Przy bramie stał stróż z karabinem na ramieniu w ubraniu cywilnym stary Kazach. Na lewo od bramy stała nieduża lepianka z gliny dla stróża, za nią stała większa lepianka dla przyjeżdżających po nasienie albo po żniwach ze zbożem, tu stały kojki do spania. O jakieś 30 metrów dalej stał duży budynek w którym mieścił się urząd. Tam najprzód załatwiali interesantów, czy przywiózł zboże, czy przyjechał po nasienie. Dostał kwit i dopiero szedł do magazynu i za tym kwitem czy zdawał czy odbierał, to już magazynier go załatwił według otrzymanego kwitu w kancelarii.

Z tym stróżem nic nie mogłem się dogadać, nic nie umiał po rusku mówić. Pokazywał tylko na ten dom nic nie mówiąc. Zostawiłem worek przy jego lepiance i idę do drzwi kantoru, pukam nikt się nie odzywa, otwieram i wchodzę ale tu nie ma nikogo. Wyszedłem z powrotem i czekam może tu ktoś przyjdzie. Były w tym budynku jeszcze dwa mieszkania dla urzędników, poszedłem do jednego, był tam tylko chłopak, może miał lat piętnaście.

Pytam się jego kto tu w kantorze urzęduje, on mówi aciec a gdzie jest aciec, paszoł w gorod, pytam się czy prędko przyjdzie, tak niedługo. Napiłem się wody i wyszedłem, usiadłem i czekam aż wrócą z miasta. Już się ściemniało gdy wrócili. Był to kierownik tych magazynów ojciec tego chłopaka i sekretarz i jakaś z nimi przysłała jedna kobieta.

Byli to Rosjanie tylko wysiedleni za jakieś winy. Powiedziałem im, że mają tu przyjechać furmanki po nasienie z kolchozu Imbek i ja z nimi mam pojechać do swego kolchozu Kazaktu. Wszyscy mówili po rusku i byli dobrymi ludźmi, mogłem się z nimi dobrze rozmówić.

Pyta się mnie czy ja byłem u naczelnika rajspałkoma w mieście, mówię tak byłem bo on tu do



mnie telefonował o was, my znam. Oni przyjadą w nocy po kłapok tak się nazywało nasienie waty. To oni jak przyjadą i nabiorą nasienia to was zabiorą. Pytam się jego gdzie wy mi dacie nocleg bo ja na dwórze zmarzną, a on się pyta wy byli w bolnicy, mówię tak ale nie bójcie się ja tylko chorowałem na nogi a nie na inne choroby. Powiedział ładno, chodźcie ze mną. Poprosiłem jego żeby on mój worek wziął i przyszedł do tego drugiego od bramy domu.

Drzwi otworzył, weszliśmy. Były tam dwa mieszkania, przeszliśmy do drugiego, były tam dwie kojki zasłane kocami i na każdej była poduszka z waty. Pokazuje mi i powiada na której chcesz to się kładź i śpij. Mówię ładno, tylko dajcie mi kąpiatku bo ja jestem głodny, powiedział charaszo, przyniesiu i poszedł.

Jak on wyszedł to ja oglądałem te obie kojki do spania. Jedna była na takiej podmurówce, nie wiem dlaczego ale na nią się położyłem. Były dwa koce i na gałęziach suche siano zasłane jakąś płachtą.

Rozebrałem się z grubsza, worek położyłem sobie pod głowę z boku a żeby mi go kto w nocy nie ukradł. Pacierz zmówiłem, utuliłem się i śpię, kąpiatku nie mogłem się doczekać, tylko kawałek chleba posmarowałem smalcem i zjadłem i zaraz usnąłem.

Jak długo spałem tego nie wiem, gdy się obudziłem kierownik stał przy mnie z miską, jego syn trzymał jakąś lampę w ręku, może to on mnie obudził, tego nie wiem. Daje mi miskę i mówi kuszaj bo kąpiatku nie ma. Wstałem a raczej usiadłem, wziąłem miskę od niego, była i łyżka drewniana i pełna miska łapszy czyli makaronu z mlekiem. Miska była dość duża bo najadłem się dobrze. Smakował mi ten makaron bo był na czystym mleku, nie odciągany.

Gdy zjadłem poczułem się jak bym był zdrowy, podziękowałem mu spasiba wam wkusne byli, tapier spijcie, ja was rano obudzę i poszli. Ja też pomału wstałem, wyszedłem za swoją potrzebą a potem znowu położyłem się do spania. Na koce położyłem jeszcze swój buszłak, żeby było mi cieplej i spałem do rana, do godziny 9-tej.

Gdy się obudziłem poczułem, że nogi mnie nie tak bolą jak po dniu. Położyłem z drugiego łóżka poduszkę żeby leżały wyżej bo tak mi zalecała doktorka. Wyszedłem na podwórze, słońce już było wysoko na niebie ale furmanek jeszcze nie było. Przechodził sekretarz i pytam się jego czy na pewno przyjadą furmanki z Imboku. On mówi, że na pewno, bądźcie spokojni, pojedziecie.

Widzę, że on też niezły człowiek, mówię mu o kąpiatku na śniadanie, powiedział ładno ale poszedł do magazynów. Wróciłem do swojej chaty i siedzę już ze dwie godziny a kąpiatku nie przyniósł. Furmanki zaczęły przyjeżdżać i osłów naprowadzali ale z innych kołchozów bliższych z Imboku jeszcze nie ma nikogo. Wyjąłem prawie resztkę chleba, posmarowałem smalcem i zjadłem. Wyszedłem znowu na podwórze, stał tam duży słup i do niego był przywiązany głośnik radiowy. Jak raz nadawali, że Niemcy Kercz. Patrzę idzie sekretarz, pytam go jak tam mój kąpiatku a ja zbyt, to znaczy, że zapomniał i poszedł do swego mieszkania, po chwili wyniósł mi całą lepioskę a kąpiatku już nie ma - znaczy nie ma. Jak mi dał to zaraz poszedł, bo furmanek było co raz więcej.

Z Imboku przyszły dwie, jedna zaprzęgnięta była w dwie krowy a druga w jednego byka. Gdy przyszła na nich kolejka, podjechali pod magazyn w którym był kłapok - nasienie waty. Na wóz zaprzęgnięty w krowy włożyli 6 worków, a na wóz byka 5 worków. Gdy wyjechali już za bramę przyszedł kierownik i pokazuje im mnie i mówi, że mają zabrać mnie ze sobą do kołchozu.

Pomogli mi się wgramolić na wóz zaprzęgnięty w krowy i podali worek. Wyjechalim i już było parę godzin po południu. Jechalim do samego wieczora i dopiero przejechalim połowę drogi. Kazach stary trzymał lejce i kiwał się na wozie śpiący a krowy często skręcały z drogi na step głodne aby trochę się trawą pożywić. W ten czas Kazach się budził i bił kijem biedne, głodne krowy.

Ja też poczułem głód. Jeszcze miałem chleb, ułamałem spory kawał i jem posmarowany smalcem. Zobaczył to Kazach i pokazuje mi na migi palcami żeby mu dać chleba. Drugi, co jechał w byka też przyszedł i pokazuje palcami na usta i wyciąga rękę żeby mu dać a ja już sam mało go mam a dać obydwóm, to już będzie po chlebie. Lepiej, nie dam, pokazuję im swoje nogi i kręcę głową, że nie dam. Po rusku nie umieli mówić ani słowa ale zrozumieli, że im nie dam. Ten co jechał bykiem poszedł do swego wozu a ja gdy już się dobrze ściemniło wyjąłem kawałek chleba i dałem swemu furmanowi. On zjadł i pokazuje na migi, że jak przyjedziem do kołchozu to on mi odda. Myślę może mnie do siebie zaprosi w gościnę, bo dużo głową kiwał.

Dojechalim do jakiegoś innego kołchozu, z za chmur pokazał się księżyc, zrobiło się dość widno. Całe moje szczęście, że nasienie to było jakieś miękkie, przekręcałem się pomału z jednego boku na drugi. Kazach mój furman, tak samo i ten drugi zatrzymali się i puszczali krowy i byka na trawę, żeby się nażarły. Mój furman miał jakąś w rodzaju kołdrę, rozłożył ją pod wozem, potem miał kawałek wołoku, który podłożył pod głowę i kładzie się do spania. A ja siedzę i na to się patrzę, co on robi.

Podszedł do mnie, patrzy, że ja nie śpię, coś tam po swojemu mówi i pokazuje palcem presedaciel. Zrozumiałem, że tu gdzieś presedaciel i on mi pokazuje żeby iść do niego. Zaczęło się rozwidniać, pokazały się zorze na niebie takie pomarańczowe.

O jakieś 10 metrów od nas stał trochę większy od innych kołoj, leżały beczki chyba z ropą. Koło

tej chałupy kręciła się jakaś kobieta, potem wyjechały dwa traktory, jeden pojechał gdzieś dalej a jeden podjechał blisko tej chałupy z beczkami, reflektory świeciły, bo to dopiero zaczęło świtać. Przy tej chałupie spało pięciu chłopów.

Ta kobieta co się już tu dawno kręciła wzięła budzić tych chłopów, zaczęli z jednej beczki nalewać ropę i nosić do traktora. Potem traktor odjechał gdzieś niedaleko orali pole do tego kłapoku. Już raz zasięli ale był przymrozek, to teraz mieli go siać drugi raz. Dzień i noc orali a ci co ropę brali i do traktora wlewali kłócili się na całe gardło, jeden drugiemu przyganiał.

Było jeszcze dobrze rano a ja już usnąć nie mogłem a bałem się próbować zejść z wozu, nogi mnie boją, że i ruszyć się boję. Ale przecież muszę zejść a tu na wozie coraz jest zimniej. Zsuwam się pomalutku z wozu, oj co za ból poczułem w nogach, ustałem przy wozie, mam kulę pod pachą i kij w rękę i na miejscu nie uważam na ból, przestępuję z nogi na nogę pomału ażeby się choć trochę rozruszać. Ta kobieta coraz wchodzi do chałupy i wychodzi.

Mój furman śpi aż chrapie, ten drugi też śpi, pić mi się chce. Wypuściłem się do tej kobiety, pokazuję jej chociaż na migi, że chcę się napić wody, zrozumiała bo poszła do chałupy i wyniosła kubek wody, wypilem i pytam gdzie mieszka predsedaciel. Ona się na mnie patrzy i nic nie mówi, ja jej drugi raz mówię predsedaciel, chyba zrozumiała bo pokazuje ręką - tam.

Stała tam trochę większa chałupa z gliny, przysunąłem swój worek do brzegu a miałem go z dawna przyszykowany do noszenia na plecach. Przywiązałem dwa sznurki do rogów worka i na wierzchu tymi sznurkami worek się wiązało a potem tylko się przesadziło ręce i worek był już na plecach.

Do tego predsedaciela było walenie daleko, a nie mogłem tego swego majątku zostawić bo mógł by mi go ktoś ukraść. Jakoś z biedą założyłem go sobie na plecy i idę jak to mówią jeź z drożdżami. Szedłem pomału i jeszcze się zatrzymałem ażeby odpocząć i znowu szedłem dalej. Na prawo od drogi stała mała chałupa a przy niej stały dwie kobiety Kazachki, coś tam tak rano rozmawiały sobie. Gdy się zbliżałem to jak mnie zobaczyły to się przelewały, jedna aż krzyknęła i uciekły do domu i zamknęły drzwi za sobą.

Idę dalej, na lewo przy drodze stały jakieś mury z rozwalonego meczetu starego. Jeden szczyt trzymał się jeszcze z kawałkiem kopuły sklepionej, reszta to były tylko gruzy. Ale za nim obok był wybudowany nowy meczet ale nikt tam nie chodził się modlić. Młode pokolenie śmiało się z tych co się modlili ale starzy Kazachy jak go tam coś zabolalo to wołał aj kajajaj po ichnemu. Bóg tu nazywał się kajaj.

Jedni modlili się do księżycy, inni do kajaja ale też już mało. Więc w tym nowym meczecie była kooperatywa ale w niej nic nie było, tylko sól i rzadko przywozili inne towary pierwszej potrzeby. Ten kołchoz to był Imbek, był tam selsowiet i predsedaciel ale mieszkał jeszcze dalej i tam był urząd i magazyny zbożowe obok.

Było w tym kołchozie kilka rodzin polskich a że to było jeszcze dobrze rano myślę sobie pójdę do jakiejś sieni i się położę i prześpię bom się zmęczył. Jak już wszyscy powstają to może spotkam się z jakąś rodziną polską a może nawet będą jacyś znajomi i nie namyślając się zachodzę do jednej sieni. Leży tam w niej dużo disanu suchego co nim tylko opalają ludzie. Zdejmuję z siebie worek, kładę go pod głowę, dla nóg też zrobiłem wyżej, położyłem się i zaraz zasnąłem.

Nie wiem jak długo spałem, gdy się obudziłem usłyszałem polską mowę. Ta sień należała do trzech polskich rodzin. Jedną była kobieta z dziećmi i matką staruszką, mąż jej umarł w kołchozie na północy a matka staruszka jeszcze ledwie chodziła, miała syna lat 16 i córkę lat 18, pracowali w kołchozie i nieźle zarabiali i tak razem żyli. Chłopak jeszcze rąbał Kazachom disan na opał, to za to dawali mu mleko odtłuszczone ale dobre i takie aby tylko było.

Po drugiej stronie mieszkały dwie kobiety mężatki, jednią była bezdzietna, druga miała przy sobie syna lat 14, mąż jej z drugim synem lat 18 poszedł do wojska polskiego ale listu od nich jeszcze nie miała i nic o nich nie wie.

Ta bezdzietna była szwaczką, jej nieźle się powodziło, bo zawsze tam coś szyła albo predsedacielowi, Kazachom, mąż jej też był w wojsku polskim.

Poszedłem do nich, mówię dzień dobry paniom, odpowiedziały dzień dobry panu. Pytam się ich czy nie poznajecie mnie panie, razem z mężami pań szedłem na komisję a wy nas odprowadzałyście aż na górkę. Ja w ten czas zaziębiłem się i leżałem w szpitalu 3 miesiące i 4 dni. Dopiero sobie przypomniały, dały mi śniadanie ale się wprzód umyłem i jem śniadanie. Na ten czas przyszła już jakaś stara kobieta, też Polka, miała już 84 lata, mieszkała z doktorami w Polsce, jeszcze ciężko chorowała, mówiła, że była na operacji i miała jakąś blachę wstawioną do brzucha.

Ale tu powiada jeszcze pracuję, robią disan na opał dla doktorów i dla szwaczki i dla Kazachów, całe dnie robię. Wszyscy tę pracowitą staruszkę uważali i dobrze ją wynagradzali. Miała co jeść i jeszcze dała.

Posłuchała jak ja opowiadałem com przeżył przez te 3 miesiące w szpitalu i teraz ledwie o kulach



chodzę. Posłuchała co ja opowiadam o swoim nieszczęściu, zabrała się i poszła. Za jakąś godzinę przyniosła mi pełną miskę klusek z maślanką. Nie byłem bardzo głodny bo już jadłem trochę śniadania, krawcowa mi dała ale maślanka to była nowość dla mnie, zjadłem i będę syty do wieczora.

Po podwójnym śniadaniu poszedłem do prezydenta z kartką od naczelnika rajspalkoma ale w urzędzie było jakieś zebranie od samego rana. Było tam z 15 mężczyzn i jedna kobieta z piórem w ręku, pewnie sekretarka. Ona wstała i podeszła do mnie i pyta się mnie do kogo ja tu przyszedłem, mówię do prezydenta. Ona mówi teraz nie można jak się skończy zebranie. Teraz wyjdźcie na podwórze a potem przyjdziecie.

Wyszedłem na podwórze, usiadłem w chłodzie i czekam aż się skończy zebranie. Gdy już zaczęli wychodzić wstałem i podeszłem do wejścia żeby móc złapać tego prezydenta, jak raz wychodził i on.

Podeszłem do niego i daję mu kartkę od naczelnika. Przeczytał i w tym czasie nadjechał z mojego kołchozu prezydent, przywitani się i rozmawiają, zauważyłem, że o mnie. Zwrócili się do mnie i ja swojemu powiedziałem zdrastujcie grażdananin, on odpowiadał zdrastuj, więcej on po rusku nie umiał. Ten z kołchozu Imbek powiada mi, że podwozy nie ma, wszyscy pracują w polu, sieją. Potem rozmawiali znowu, domyślałem się, że ten z Imbeka namawiał mojego żeby on mnie zabrał. Obrócili się do mnie i ten mój mówi jutro tu przyjedzie z Kazaktu po pocztę, to on mnie zabierze i razem pojedziemy, kiwnąłem głową i powiedziałem charaszto.

Rano z kołchozu Kazaktu przyszło trzech młodych Żydów na jakąś robotę w Imbeku i jak raz się spotkaliśmy i im powiedziałem, że ja mam jechać do Kazaktu, to oni mówią, że nad wieczorem tu przyjedzie z Kazaktu furmanka po nasienie i jakieś narzędzia to pan się razem zabierze i pojedzie. Pomyślałem, że dobrze mi się składa i jeszcze dziś będę w Kazaktu. Czekam z niecierpliwością ale wóz nie przyjechał.

Żydzi wrócili z roboty, przyszli do mnie i mówią, że im kazano mnie powiedzieć, że jutro mnie zabiorą na konia i pojedę konno do Kazaktu. Ale my panu nie radzimy, bo jak pan wsiądzie na konia to będzie już po panu. Pytam się dlaczego, bo ktoś z nich tego konia przyprowadzi ale ich konie to takie szalone jak i te Kazachy. Oni konno nie jadą wolno, tylko co wyskoczy, mijają się całą drogę i choćby pan chciał swego konia zatrzymać to nie da pan rady, gdyż one chodzą stadami i jeden od drugiego nie da się zatrzymać.

My tylko jeden raz przyjechalim konno tu na robotę i z 10 dni goźlim tylko, nawet usiąść nie można było. Teraz wolimy chodzić te 15 kilometrów niż jechać konno. Radzimy aby pan na konia nie siadał.

Już nad samym wieczorem przyjechał Kazach młody konno i drugiego przyprowadził ale powiedziałem, że konno nie pojedę, zawrócił zaraz i co tylko koń wyskoczy pognał z powrotem. Żydzi też nie poszli do Kazaktu, dali mi chałupę do spania i ja razem z nimi spałem. Byli to młode chłopaki zdrowe, służyli w wojsku radzieckim jako ochotnicy ale gdy już po amnestii dla Polaków ogłoszonej w gazetach, zwolnili się z wojska ruskiego jako Polacy, obywatele polscy i chcieli wstąpić do wojska polskiego. Już stawali na komisję polską ale w tym czasie Żydów do wojska polskiego nie przyjmowano, chyba że to był jakiś fachowiec, to go przyjęli.

Kolację mi przyniosła znowu ta staruszka, klusek z maślanką zjadłem i położyłem się spać. Rano przyniosła mi śniadanie ta kobieta co mieszkała z krawcową i zaraz po śniadaniu poszedłem do prezydenta żeby mnie jakoś dostarczył do Kazaktu. On powiedział, że tu na pocztę codziennie przyjeżdża listonosz to ja jemu powiem i on was zabierze z sobą.

Okolo godziny dziesiątej przyjechał listonosz, stary Kazach w jednego osła, nawet znajomy, miał lat może z 60-siąt. Czekałem już koło poczty, że on mnie zabierze. Podeszedłem do niego, poznał mnie, tylko on po rusku nie umiał mówić. Ja jego proszę żeby on jutro wzięł drugiego osła to z nim pojedę do Kazaktu. Nie mogliśmy się obydwaj dogadać aż podeszła kierowniczka poczty i jemu przetłumaczyła czego ja chcę od niego. Wysłuchał i powiedział dobrze jutro przyprowadzi drugiego osła i razem pojedziemy.

Już na poczcie załatwił i poszedł do znajomego stróża przy bramie a u nich jak ktoś przyjdzie - dobry znajomy to zaraz goszczą. Wyszli na podwórze rozłożyli duży wełniany dywan na ziemi, naschodziło się więcej Kazachów, usiedli w koło i piją czaj i zakąszają lepioskami.

Podeszedłem do nich, każą mi siadać razem, odłożyłem kulę na bok i siadam w krąg ich. Najprzód stróż podał mi lepioskę całą potem poszedł do domu i zaraz wyszedł i usiadł na swoim miejscu. Rozmawiają coraz głośniejsze i popijają czaj, tak zwany u nich kipiatak. Za parę minut wyszła z domu żona tego stróża z miską pełną takiej zabelonej zupy. Wyglądała ta zupa jak u nas z chleba żur. Zjadłem z lepioską wszystko z tej miski aż mnie brzuch zabolął trochę.

Potem zaraz wszyscy rozeszli się w swoją stronę, listonosz też. Ja jeszcze na migi mu pokazywałem żeby przyprowadził mi osła, kiwał głową, że tak. Już prawie wierzyłem, że jutro będę w kołchozie Kazaktu.

Już szykowałem się do spania a tu przychodzi ta staruszka i przynosi mi maślankę. Ja jej chcę zapłacić za tę maślankę. Mówię jej, że mam pieniądze i darmo nie mogę brać, bo to wstyd. A ona mówi pieniądze mi nie potrzeba, ja tu nic nie kupuję, tylko zarabiam i żyję. Panu pieniądze się przydadzą bo pan nieprędko będzie mógł pracować a tu jest wszystko drogie a pan jest chory.

I mówi ja też mam syna jedynaka, był on starszym sierżantem zawodowym ale o nim nic nie wiem, aresztowali go bolszewicy i wywieźli, od tej pory ślad po nim zaginął. Może też jest gdzieś chory, może też ktoś mu pomaga a może już nie żyje, nic o nim nie wiem.

Na drugi dzień listonosz wcale nie przyjechał. A mnie tak tam karmili po kolei. Przyniosła mi 6 pierożków z twarogiem ta kobieta co była z dziećmi i ze starą matką i tak swego chleba, którego miałem kawałek wcale nie ruszyłem.

Trzeciego dnia przyjechał listonosz ale drugiego osła nie przyprowadził a ja go przed pocztą pilnowałem. Poszedłem do niego i pytam gdzie drugi iszak, on kiwnął głową, że niby jest ale ja dobrze widziałem, że przyjechał tylko na jednym. Poszedł na pocztę a ja czekałem co to będzie i pilnuję go żeby jak wyjdzie to go złapię. Tylko wyszedł już byłem przy nim i proszę go po swojemu żeby mnie dziś zabrał ze sobą do Kazaktu. On kiwnął głową i pokazuje mi dwa domki i każe iść a on tam podjedzie i mnie zabierze.

Poszedłem się zbierać do odjazdu, wszystko już miałem w worku ale wyjąłem 4 pudełka zapalek i dałem po jednym pudełku tym ludziom co mi jeść przynosili a tej kobiecie co miała dwoje dzieci i starą matką dałem sztabkę mydła. Te zapalki i mydło miałem od męża zaufania. One dziękowały i ja im dziękowałem i powiedziałem, że jak wyzdrowieję to ich odwiedzę. Dzieci tej kobiety już były spore i gdy wspomniałem, kto by mój worek doniósł do tych dwóch domków, one się zaraz zerwały i mówią my panu zaniemiemy.

Gdy już miałem wszystko w worku jeszcze raz dziękowałem wszystkim a najbardziej tej staruszce bo ona przez 4 dni zawsze mi przynosiła jak nie 2 razy to raz, każdego dnia jedzenie. Gdy już doszliśmy do 2-ich domków, przed jednym pokazałem gdzie mają położyć worek i poszli do swoich chałup. Usiadłem, czekam i wyglądam tego listonosza ale go nie widać i myślę może nie mógł znaleźć drugiego osła. Czekam może jeszcze z godzinę a może i więcej, już się niecierpliwie, wstałem, wyszedłem na środek drogi. Widzę, że jedzie ale drugiego osła nie prowadzi dla mnie. Przygotowałem się, że jakby mnie chciał ominąć to jakoś go zatrzymam.

Przyjechał i skręcił osła do tego drugiego domu, zsiadł z osła, zaczepił go o krzak i sam poszedł do środka a ja za nim. Były tam dwie kobiety, gotowały obiad. On usiadł na dywanie a ja stoję, ona pokazuje żebym i ja usiadłem. Pomału usiadłem. Podała nam po misce klusek z mlekiem, zjedliśmy i on z nią zaczyna rozmawiać, pokazuje palcem na mnie i tak z pół godziny rozmawiają, miarkują, że o mnie. Podczas rozmowy ona dała mi jeszcze pół lepieszki i sama wyszła z domu a ta kobieta druga poszła do tego drugiego domu. Ona poszła na pastwisko, osła przygnała, on już czekał, złapał go. Ona podała kawał wołoku na siodło, osiodłali go i były tam dwa sznurki do kierowania.

Potem on pomału wsadził mnie na tego osła, ona go trzymała. On najprzód założył mój worek z tyłu, założył mi sznurki na ramiona, podał mi kulę i laskę, którą się podpierałem. Gdy już miałem wszystko na końcu daje mi drut grubości palca u ręki. Na jednym brzegu on był sklepany prawie na grubość tej siekiery. Jak już on swego osła odwiązywał, z tego drugiego domu Kazachka dała mi całą lepieszkę. On wsiadł na swego osła i jedziemy.

On nie patrzy tej dróżki co jego osioł już wydeptał tylko jedzie świeżym miejscem i przez rowy i po górach, on jedzie wprzód a ja za nim. Ja najgorzej się boję, żeby w worku nie przekręcił się mój kubek ze smalcem, bo jak się przekręci to się wszystko wyleje. Ale zapomniałem powiedzieć, że jak dał ten drut to pokazuje na szyi tego osła taką ranę jak 10 zł dawniejszej wielkości, żywe mięso różowe i pokazuje mi ten drut, machnął ręką żeby tego osła kluc tym drutem to on będzie prędzej szedł. Odchodząc do swego klapnął i pokazał tę ranę na szyi tego osła i patrzy na mnie, ja kiwnąłem głową, że zrozumiałem i będę go kluc.

Swoją kulę trzymam pod pachą i przyciskam do boku żeby mi broń Boże nie wypadła. Ale mój osioł szedł wolniej od jego osła, prawda, że on go nogami po bokach okładał. Zacząłem od niego się oddalać, on to zobaczył, zatrzymał się, jechaliśmy razem, on troszkę z tyłu i zaczął mego osła kijem okładać aż dudniło ale i to nie pomogło bo naprawdę to było za ciężko dla niego.

Spojrzałem na ten jego kark, trochę podgojony, nie miałem sumienia żeby go kluc drutem. On wziął drut ode mnie, podjechał bliżej i zaczął go kluc drutem, po tym kłębie. Osioł przeraźliwie beczał, nogi zbierał prawie biegiem jechaliśmy, wyszła na niego piana. A tam much i gzów więcej jak u nas bywało w lecie, temperatura mogła być 35 stopni Celsjusza.

Mój osioł zaczął parskać i nosem o ziemię trzeć, Kazach to zobaczył, oddał mi drut i zaczął na nowo kijem go okładać ale to nic nie pomogło, szedł coraz wolniej a Kazachowi widać się sprzykrzyło bo minął mnie i pojechał.

Godzina mogła być około 4-ej po południu. Mój osioł już nie bity ani kłuty drutem zaczął silnie



parskać i nosem trzeć o ziemię, potem hop na ziemię i tylko parska i nosem trze o ziemię a ja nad nim stoję na nogach ale boję się przełożyć nogi żebym miał obie razem z jednej strony bo dla mnie to ciężka sprawa. Jak zacznę przekładać nogę przez niego a on zechce wstać to mnie przewróci i narobi mi bólu, więc myślę lepiej będę stać tak nad nim. Może ten listonosz usłyszy gdy będę go wołać i wołam ile tylko mam siły ale listonosza nie widać ani widu ani slychu. Całe moje szczęście że dotrzymał kulę to mogłem stać. Worek mój leżał na boku, widać przez niego było tłuste plamy, to mojego smalcu resztki się wylało.

Myślę sobie jak on nie przyjedzie po mnie to tu w tym stepie są takie duże węże, że jak się kręcą w krąg to jak u nas były takie pół balijki do prania, tylko, że jak się je nie drażni to człowieka nie ukąszą ale ja tego nie wiedziałem. Były duże żółwie tak jakby duży beret ktoś rzucił i to w kratę. Spotkałem raz takiego żółwia w trawie. Ucieszyłem się, skręciłem, myślę, że to jest beret. Ja do niego dwa chody dałem i jak z tego beretu ze 4 centymetry wysunął łepkę i syknął na mnie to ja zadrzałem i chodu od niego w nogi i nawet nie wiedziałem czy on się ruszył z miejsca ale strach ma wielkie oczy.

Były tam najgorsze skorpiony na długość palca, żółtawe w paski, ten jak ukąsił w pierwszych miesiącach wiosny to człowiek musiał umrzeć, nie było żadnego ratunku. Podobno w połowie lata to tylko strasznie bolało ale się wyleczył.

Wracam teraz znowu do tyłu do swego nieszczęścia. Ten mój osioł wcale nie ruszył się z miejsca, już nie wiem ile razy krzyczałem i jestem zwrócony w stronę gdzie listonosz odjechał. Aż mnie z radości zatknęło, jęczę, no to już mnie tu w tym stepie robaki nie zjedzą.

Przyjechał i od razu ręką macha i pokazuje na grzbiet osła i mówi dlaczego ja go nie kłutem drutem. Ja już byłem na boku osła i worek odsunąłem od niego bo bojał nie bojał nogę przez osła przełożyłem i stoję i patrzę co on będzie robił a on się przysunął do mojego osła, jak go weźmie kijem okładać, wymierzył chyba ze 6 -śc kijów z całej siły. Osioł podniósł się na kolana i wstał na nogi zmęczony i zbity stoi. Kazach poprawił na nim wojtok do siedzenia potem wziął mnie pod pachy, podniósł do góry i posadził na tym wojtoku, z tyłu założył mój worek, sznurkami przywiązał go do mnie, podał mi kulę i znowu przyłożył mu kija i jedziem ale ja jadę pierwszy a on jedzie z tyłu i nie coraz to mego osła pogania i krzyczy ażeby go drutem w kłęb kłuć. A że on mi tyle strachu narobił, dziobałem go dwa razy, chociaż nie bardzo mocno.

Jedziemy prawie biegiem i dojeżdżamy nie do kołchozu tylko do namiotów z prześcieradeł. Gdy już zaczynają się sianokosy i całe żniwa to oni wszyscy, kto może robić z całym dobytkiem co kto ma wyjeżdżają w pole i pracują przy sianie i w żniwa przy zbożu.

Zabierają ze sobą samowary i kociołki, tam sobie gotują i jedzą i pracują a w nocy śpią. Gdy chłopci są dobrani idą kosić trawę to kobiety rąbią sobie na opał tak zwany disan. To jest taka pudlasta bylica, one ją rąbią i stawiają w takie wysokie kopy, przez całe lato te kopy stoją i wyschną a w jesieni kobiety powrózkami noszą na korytarze w sieni bo tam chlewów ani szop nie ma. Mężczyźni tej roboty nie robią i nawet wody ze studni nie przyniosą, bo od tego są kobiety.

Gdy dojechalim do tego osiedla listonosz wziął mnie do swego namiotu. On był dość gruby a żonę miał jeszcze grubszą co u Kazachów mało się zdarza żeby kobieta była gruba, chyba w ciąży. Przeważnie są chude, niektóre na twarzy mają plamy i dużo jest ospowatych, u nas nazywali takich gradowate no i kose oczy przeważnie.

A mężczyźni przeważnie są wysocy i dosyć przystojni. Żona nazywa się tam marzia. Poznała mnie bo jej wodę nosiłem i plac koło domu im obszykowałem, że zamieszkali jak na klombie. Dała mi zaraz lepioskę i maślankę, potem czaju z małą łyżeczką mleka, najadłem się dobrze.

Pytam się gdzie mieszka predsetatel, muszę iść do niego żeby mi przydzielił mąkę bo co będę jadł. Po drodze wstąpiłem do jednego brygadzysty ale go nie zastałem, poszedł do wojska. Z całego kołchozu do 45 lat zabrali wszystkich zdrowych do wojska. Zostali tylko starzy i nie nadający się do wojska.

Marzia była żoną tego brygadiera, zaczęła płakać, 5-cio dzieci mieli ale do roboty tylko 2-ch chodziło a mnie powiada bo jest bujec paw, paw, że jej mąż jest na wojnie.

Pośrodku podłogi leżał dywan, pokazuje mi żebym usiadł na nim, usiadłem podała mi gotowanej pszenicy, podała ją maślanką, potem jeszcze dała mi 1/2 lepioszki. Był już wieczór, zaczęło się ściemniać. Patrzę koło jej namiotu leżała duża kupa disanu na opał. Uszykowałem sobie legowisko do spania. Poszedłem do listonosza, zabrałem swój worek i spałem tu 3 noce i co dzień chodziłem do znajomych u których przed komisją równałem plac i tak co dzień u innego, chętnie dawali mi jeść, co kto mógł - lepioszki, maślankę i łapsze a nawet wołali mnie do siebie nawet tacy co u nich nie robiłem.

Wszyscy do Polaków odnosili się dobrze i pomagali co mogli. Miałem jeszcze pieniądze, chciałem płacić ale nie chcieli ode mnie.

Czwartego dnia przyszedł do mnie predsedaciel z buchalterem i powiedzieli mi żebym poszedł na kwaterę dwa kilometry stąd w stronę kołchozu Kazaktu. Tam były magazyny zbożowe i kilka chałup. W tych chałupach mieszkał stróż Izmael się nazywał a zaraz w drugiej chałupie mieszkali Polacy i tam

mam razem z nimi mieszkać. Przedsedaciel powiedział, że mąkę będą mi dawać tylko na razie nie mają.

Te kilka dni było mi dobrze, chleba swego nie ruszyłem, jeść dawali ale co było robić, nakazali trzeba iść. Domów tych do których miałem iść widać nie było ale według kierunku co mi pokazali, zebrałem swoje manatki i na wprost się puściłem. Te dwa kilometry szedłem może więcej niż 3 godziny.

Prowadziła tam dróżka ale ja o niej nie wiedziałem, lałem na wprost, trawa była duża i trudno było ale doszedłem. Ten stróż Izmael umiał trochę po rusku, stał przy swojej chałupie, pokazał gdzie ja mam mieszkać.

Gdy tam wszedłem zastałem tam starą, chorą kobietę, po tyfusie z dwoma synami. Jeden miał lat 14, drugi 12, starszy nazywał się Stasiek a młodszy Jerzyk, nazwisko Ramzowie. Ojciec ich był stolarzem, zmarł w Rosji na północy a oni przyjechali i wysprzedawali się po trochu i tak żyli. Ci chłopcy byli lękliwi, bojący się odejść 50 metrów od domu. Żaden z nich nie poszedł nawet uciąć tego disanu, opału nie chcieli. Klócili się ze sobą i z matką, że trudno było przesłuchać. Ona już chodziła ale wiatr nią słał. Chodziła do Kazachów po prośbie, tych chłopaków prosiła żeby poszli do jakiejś roboty ale ani słuchać nie chcieli.

W tym domu jeszcze mieszkała, nazywała się Marżowa, też chorowała na tyfus ale już chodziła do roboty, cięła disan dla Kazachów i dzieci bawiła Izlaelce i u nich prawie żyła, dawali jej całodzienne życie. W sieni mieszkał jej brat nazywał się Wojtek, poszedł na komisję ale go do wojska nie przyjęli. Gdy szedł z powrotem mówił, że go po drodze przestąpili, pobili i okradli ale siostra od razu mówiła, że to nie jest prawda. On sam sprzedał a mówi że wszystko mu zabrali, miała to być brzytwa, portfel i inne drobne rzeczy.

Marżowej mąż już był w wojsku ale żadnego listu od niego nie miała. Jak odchodził był bardzo słaby, po tyfusie. Ona mówiła, że pewnie zmarł a brat jej znowu mówił, że jak stawali na komisję to on był przyjęty do wojska a mnie nie przyjęli i wróciłem tutaj.

Kłócili się stale Ramżowa z Marżową, że ona jej tego 14 letniego syna bałamuci, bo on z nią chodził rąbąc disan na opał i nieraz chodził z nią do innych robót. Ona znowu umyślnie jej przygadywała, że tak i co wy mnie zrobicie.

A tej matce znowu brakowało 5-tej klepki, bo to była nieprawda żeby 14 letni chłopak miał z 36 letnią kobietą jakieś stosunki. Że on był gałgan to swoją drogą, jak one się kłóciły to on umyślnie matce dogadywał, że się z Marżową ożeni, to ta aż się trzęsła ze złości i wtedy istne piekło tam było.. Tak z tą wyborową piątką ja zamieszkałem.

Wojtek brat Marżowej był wesołym chłopakiem, chociaż nic zupełnie swego nie miał, tylko to co na sobie. Opowiadał mi że on jest już wdowcem, bo żona jeszcze w Polsce go rzuciła. Mieli jedną dziewczynkę ale matka ją zabrała. On tym rozwodem wcale się nie przejmował, był zawsze wesoły i mieszkaliśmy obydwaj w sieni, on w jednym rogu a ja w drugim.

O 50 metrów od naszego mieszkania była łąka. Kazachy przyszli ją kosić, był z nimi brygadier, nazywał się Benadiob, mój znajomy i dobry człowiek. Już po paru dniach czułem się znacznie lepiej. Przywitałem się z brygadierem i wszystkimi co mieli kosić trawę. Kosy mieli krótsze od naszych 9-tek, mogły to być 7-ki. Wziąłem od jednego kosę i osetkę, kosa była źle wyklepana. Ja umiałem kosić dobrze i wyklepać kosę też umiałem.

Oni już zaczęli kosić, trawa była duża ale od spodu był tak zwany kożuch. Oni koszą nad kożuchem i tylko wyżej kożucha dwie trzecie trawy zetną a jedna trzecia się ugięła i stoi ale na to nie zważają tylko koszą co da się ściąć.

Ja przekosiłem ze 20 m ale przy samej ziemi, niżej kożucha, mój pokost jest 3 razy grubszy niż ich. Oni przekosili do brzegu, wrócili i przyglądają się na mój pokost i na swoje. Podobało im się moje koszenie. Ja tę kosę obsadziłem po swojemu, żeby nie była za odnadna ani żeby nie była za przysadną, poklepałem po swojemu. Babki do klepania kos mieli kwadratowe, trudno było na takiej babce dobrze kosę wyklepać ale pomału było można,

Oni posiadali do jedzenia, mieli w żołądkach cielecych pszenicę gotowaną na czystym mleku, tylko dostawali takie jedzenie do ciężkiej pracy do koszenia trawy i w żniwa. Każdy kolchoz musiał zdać dla Państwa zboże, mleko i mięso a nawet kaszę, która tłukli w drażonych stępach i pewną ilość jaj. Taki naznaczony był kontyngent, co roku muszą dostarczyć do powiatowego miasta.

Gdy już wszyscy usiedli w gromadkę brygadier rozdał żołądki z pszenicą na pięciu jeden, woła i mnie, siadaj i kuszaj. Zacerpnęli pełen kubek tej pszenicy, dali i mnie i całą lepioskę, której tylko połowę zjadłem a pszenicę zjadłem wszystką. Potem jeszcze do kubka brygadier nalał mi pełen kubek mleka. Podjadłem dobrze i jeszcze jedną kosę im poklepałem, próbowali wszyscy i obstąpili żeby im kosy klepać. Kosy z kosisków się nie zdejmowało tylko trzeba było jedną ręką trzymać za kosisko a drugą ręką klepać kosę młotkiem.

Było strasznie źle i ciężko a szczególnie dla mnie bo nogi mnie bolały. Gdy wszyscy się z kosami



do mnie pchają, pokazują im swoje nogi i krzywią usta, że mnie nogi bolą i usiadłem i nic nie robię, poszli wszyscy kosić a brygadier resztki z żołądków pozlewał do jednego, zawiązał i zakopał do ziemi zimnej, jak już tam dobrze było się ochłodzić.

Ja już się zabieram do odejścia a brygadier powiada ja jutro przyniosę kosę i dla ciebie, będziesz razem z nami kosić, kiwnąłem głową, że się zgadzam i przyszedłem z połową lepioszki, której nie zjadłem do swego mieszkania.

Idę i myślę co ja ci nakoszę kiedy ja nie mam siły a w dodatku nogi bolą. Na kolację wyjąłem z worka kubek, który był po smalcu rozmazany na dnie, ułamałem kawałek lepioszki i wytarłem nią o dno kubka i o boki i tym posmarowałem całą połowę lepioszki i zjadłem.

Murżowa miała gotowaną wodę, poprosiłem ją żeby mi dała tej wody w kubek po smalcu, nalała mi pełen, wypilem i już był wieczór poszedłem i przyniosłem sobie siana dwa razy i posłałem sobie legowisko, gdzie miałem się położyć spać. Gdy się położyłem i pacierz zmówiłem usnąć nie mogłem pod sianem coś szurgotało ale nie wiem czy to były myszy a może wąż tam wlaź i też szykuje się do spania pode mną, ale już widziałem, że wąż człowieka nie ukąsi gdy się go nie rozdrażni.

Przepływała tam mała struga, to w niej były żmije po dwa metry długości i grube jak ręka poza dłonią, podobno człowieka mogły ugryźć. Rano gdy wstałem poszedłem do tej strugi, nabrałem kubek wody i się umyłem i ugotowałem sobie wody, osłodziłem cukrem i miałem jeszcze w worku dwa kawałki chleba, wyjąłem i jem a obok mnie leży Wojtek i się patrzy, że ja zajadam a on nie miał nic na śniadanie. Ja jeden kawałek chleba zjadłem a drugi już zaczął kwitnąć, oddałem go Wojtkowi.

Pytam się co dziś będziesz robił, przecież musisz zarobić na życie a on mówi, że dziś idzie ciąć disan dla młynarza to on mi jeść da a może i jutro też mu będę rąbał. On jest dobry Karach, ja u niego często robię.

A ja pójdę do kośników, widziałem, że oni już dawno koszą, może u nich zarobię na obiad. Gdy tylko do nich przyszedłem zaraz jeden podszedł żeby mu kosę poklepać i wyszykować po swojemu, żeby była dobra. Wziąłem kosę i jemu każę trzymać równo na babce, to ja ją poklepię, pomału poklepałem i po swojemu poprawiłem odległość i zacząłem kosić, podkosiłem ze trzy metry i oddałem jemu żeby on kosił. Wziął kosę i kosi a reszta do brzegu dokosili i siadają do jedzenia i zaraz wołają i mnie. Usiadłem przy nich, dali mi najprzód gotowanej pszenicy z mlekiem a potem całą lepioszkę i kubek maślanki. Najadłem się dobrze. Oni znów z kosami obstąpili mnie żeby im kosy klepać i szykować na odległość, żeby dobrze kosili.

Naprzód im pokazałem jak kosę poklepać i jak obsadzić żeby nie była za przysatna ani za odsedna. Oni zaczęli sobie kosy klepać i obsadzać na odległość. Pokazałem nogi, że bolą i poszedłem do swego gniazda, do sieni i oglądam ściany gdzie śpię. Było dużo dziur w ścianach, pożyczyłem motykę do rąbania disanu i narąbałem sobie gliny, rozrobiłem i wszystkie dziury zalepiłem i myślę sobie, że teraz będę spokojnie spał.

Późnym wieczorem wrócił z kołchozu Wojtek Kubowicz i powiada, że w kołchozie o mnie wiedzą, mówił im przedstawiciel wczoraj w rejonie i mają dla mnie smalec, powiedzieli żeby pan tam do nich przyszedł z gamuszkim.

Dowiedziałem się, że teraz w kołchozie jest mężem zaufania młody Jagęłło z przykuloną nogą. Był on z ojcem i matką chorą, pochodzili z Białejrusi. Było tam kilka rodzin polskich a między nimi była już stara Jacynowa z dorosłą córką a jedna starsza córka z dziećmi została na północy Miała trzech synów, dwóch synów było już w polskim wojsku w Rosji a o trzecim nic nie wiedziała.

Gdy rano wstałem, umyłem się w strudze i zaraz poszedłem do kołchozu, było tam ze trzy kilometry, ciężko mi było iść ale musiałem bo nie ma co jeść a grunt smalec. Po drodze mieszkali nasi ludzie co z nimi tu przyjechałem do kołchozu Kazałtu.

Byli Kozakowie z córką Kobylańską, z córką i starą matką, później była żona policjanta, męża jej zabili Ukraińcy w 1939 roku, była z 16 letnim synem ale już dorosłym, był taki duży jak ja. Mężowie Kozakowej i Kobylańskiej byli już w wojsku polskim w Rosji. Kozakowa mieszkała oddzielnie a reszta razem znowu oddzielnie.

Ale te trzy rodziny miały się jeszcze dobrze, bo miały co wymieniać za mąkę. Do żadnej roboty nie chodzili, tylko chodził syn policjantowej i to nie zawsze. Matka jego była krawcową i szyła dla Kazachów różne sukienki na maszynie i sobie zarabiała trochę na życie. Do tych znajomych zaszedłem i mówię dzień dobry paniom, wszyscy odpowiedzieli dzień dobry i zdziwieni pytają się co to pan nie w wojsku. Zachorowałem i leżałem w szpitalu dotychczas ale jak wyzdrowieję to do wojska pojedę, bo na komisji razem z pań mężami byłem przyjęty, tylko choroba mnie zatrzymała. Poprosiłem może która z pań da mi się czegoś napić aby nie surowej wody. Pani Kobylańska powiada ja mam czarną kawę, zaraz panu dam to jest bardzo zdrowe.

Wszystkie te trzy panie należały do komitetu i zawsze chodziły na zebranie do podziału gdy przyniosły coś od przedstawiciela z Rejonu. Po południu my idziemy na zebranie to może i dla pana coś tam będzie. A ja właśnie też tam idę, bo wczoraj Jagęłło orędownał żeby tam przyszedł i

Kubowicz mnie to powiedział.

Miałem jeszcze w worku mąkę, poprosiłem żeby mnie ugotowały klusek, wyjąłem i pani Kobyłańska mi ugotowała, podjadłem i podziękowałem, teraz ja pomału pójdę, bo to jeszcze będzie przeszło kilometr drogi.

Pomału doszedłem ale młodego Jagełły nie zastałem, poszedł z innymi na ryby, tylko byli starzy rodzice, on się golił brzytwą, ona leżała w łóżku. Powiedziałem dzień dobry państwu, odpowiedzieli dzień dobry panu. Powiedziałem kto jestem i za czym przyszedłem. Mówię, że wczoraj pan przedstawiciel orędownął przez Kubowicza, żebym ja dziś przyszedł, przyszedłem. Stara powiada ja wiem, że jest dla pana smalec ale czy coś więcej to nie wiem. Ona wstała i smalec przełożyła do mojego kubka i mówi niech pan zaczeka aż syn wróci to może jeszcze co panu przydzielą a ja się pytam co jest więcej do rozdzielenia. Ona mówi są dwie koszule nowe, trzy pary kalesson, kilka bluzek damskich, 12 sukien trochę już noszonych, dwie spódnice, trochę bielizny damskiej i parę swetrów. Pytam się czy mają buty - nie bo u przedstawiciela nie było ale powiedział, że za jakieś 10 dni będą.

Dziwna rzecz mówię, byłem u niego tydzień temu to leżało na gromadzie jakieś może ze 60 par butów i dawał tylko na kolchozy po 3 pary i już rozdał a resztę mógł rozdać ale Żydom a oni zaraz zamieniali na mąkę albo na inne produkty. Mało było spotkać Żyda w dziurawych butach. Oni z Polski mieli dużo ubrań bo ich tak nie zabierali jak nas, w nocy nikt się tego nie spodziewał, co kto miał na sobie to w tym go zabrali. Żydzi w Rosji mówili, że te dary to wysyłają dla nich Żydzi z Palestyny.

Stary Jagełło ogolił się i mówi przedstawiciel dba tylko o Żydów, bo i on jest Żydem a Polaków czymkolwiek zbywa. Wielu Polaków narzekało na niego. Mówili przedstawiciel Żyd, sekretarz Żyd, gospodynini też Żydówka to co my tu możemy zrobić, kiedy oni wszystko mają w ręku.

Tak przy tym narzekaniu czas zleciał i nadszedł młody Jagełło, przywitalim się i on mówi niech pan posiedzi, tylko ryby rozdzielim to zaraz przyjdę to pogadamy, młodą kaczkę też złapał i przyniósł. Za kilka minut wrócił z rybami, nawet sporo przyniósł. Usiadł i powiada my jutro będziemy rozdawać rzeczy, które nam przydzielono w rejonie. Ale ja chcę się dowiedzieć od pana co panu jest więcej potrzebne czy kalessony czy koszula, bo tu Żydzi mnie atakują o koszule, bo więcej nie mogą panu przydzielić jak jedną sztukę. Koszulę miałem jeszcze z łagrów lnianą ale dobrą, kalessony miałem aż dwie pary ale liche, łatane. Długo się nie namyślałem tu trzeba myśleć o życiu a nie o ubiorze. Pomyślałem niech pan mi da koszulę za nią więcej mąki dostanę niż za kalessony. Wyjął obie koszule i mówi którą pan chce, niech tę bierze. Jedna była kremowa bardzo ładna z wykładanym kołnierzykiem, zupełnie nowa. Druga była biała ale lichsza, wziąłem kremową. Jagełło mówi mnie jest wszystko jedno, resztę bielizny muszę rozdzielić Żydom bo już na mnie skargę pisali że ja im nic nie przydzielam.

Pytam się kiedy pan drugi raz będzie w rejonie po przydział darów u przedstawiciela. Kazał nam przyjść za 10 dni. Jak pan będzie niech mu pan powie, że obiecał dać mi buty, to niech przydzielą na kolchoz bo on tylko przydziela na kolchozy. Dobrze powiedział Jagełło, niech by tylko dał to panu je damy. Na odchodnym pani Jagełłowa dała mi spory kawał chleba i wracam do swego legowiska na korytarzu.

Przy drodze Kazachki okopywały słonecznik, jak zobaczyły że ja pod pachą coś niosę przyleciały wszystkie, otoczyły mnie dokoła i dalej ją oglądać, podobała im się wszystkim od razu. Z pięć pyta się ile ja chcę mąki za tę koszulę, mówię, że jutro sprzedam dziś nie. Jedna mówi ja dam 8 kilo mąki, druga mówi ja dam 10 kilo. Podeszedł chłopak lat może 17 i mówi ja dam pół puda mąki, ja już mówiłem przyjdź jutro to się zgodzimy.

Gdy przyszedłem już do swojej sieni to najpierw wziąłem się za jedzenie. Chleb posmarowałem smalcem i wyrównałem się nieźle. Wody przegotowanej popiłem i położyłem się spać. Rano przyszedł do mnie Izmael ze swoją marzią, czyli z żoną. Ktoś mu powiedział, że ja mam koszulę do sprzedania. Tylko wstałem i chciałem iść się umyć a on stoi przy korytarzu i od razu mnie pyta czy prawda, że ty masz koszulę do sprzedania. Mówię mam, no to pokaż ją, pokazałem mu, podobała im się, pyta ile chcesz za nią, mówię 2 pudy mąki pszennej, poszli z nią do siostry, która tu blisko mieszkała. Ja za ten czas się umyłem, on też zaraz przyszedł ale bez koszuli i mówi dam półtora puda mąki. Ja chcę jak najwięcej, mówię półtora puda i 6 kg kaszy z przypalonego jęczmienia i 10 litrów maślanki, co dzień po jeden litr będą do was przychodził nad wieczorem i 3 kg twarogu, mówię rnu inaczej nie sprzedam.

Kręcił głową ale ja nie chciałem opuścić i zgodził się i powiada mąki dziś nie mam ale przywiezę jutro tylko pszenicę przebiorę i pojedę do młynka zemleć i jutro nad wieczorem już będziesz miał, zgodziłem się. On zaraz poszedł do Murżowej żeby z chłopakami przysła pszenicę przebrać. Oni zaraz z nim poszli.

Na drugi dzień przed wieczorem mąkę Izmael przywiózł i twarogu z kilogram. Resztę będzie spłacał codziennie według umowy. No myślę sobie tej mąki starczy mi na cały miesiąc. Potem może już będę mógł chodzić i zarobię sobie na życie albo pójdę do wojska, zobaczą jak mi się będzie



szukować.

Przedstawiciel u naczelnika rajspalka zakupił mąkę dla Polaków, którzy byli w kolchozach. Na nasz kolchoz zakupiono 200 kg ale 90 kg było już wybranych, resztę miał komitet rozdzielić według uznania, przeważnie chorym, starym i tym co robić nie mogą i resztę tym co już nie mają nic do zamiany na mąkę a takich razem było dużo.

Listę wypisali prezydent, buchalter, brygadier i nasz przedstawiciel Jagełło i według jego uznania komu ile dać tak buchalter pisał. Ogłosili żeby się zeszli starzy, chorzy i ci najbiedniejsi koło młyna. Byłem na liście i ja zapisany. Z naszej chałupy poszło od razu 4 - ja, Wojtek, Murżowa i Stasiek Ramzowy. Już rano przed godziną 8-mą zeszli się wszyscy i zdrowi i chorzy i Żydzi.

Czekaliśmy parę godzin, dopiero koło południa przyjechał prezydent z kobietą brygadierem, oboje na koniach osiodłanych i on powiada tu zaraz przyjedzie magazynier i wyda mąkę według spisanej listy i według uznania komitetu i Jagełły ile komu się należy. Zbiórka koło młyna.

Nareszcie przyjechał magazynier, wyjął listę i przeczytał komu ile przydzielono tej mąki. To się większości nie podobało, zaczęli krzyżeć, że mąka powinna być rozdzielona po równemu a nie jednemu mniej a drugiemu więcej. Pogadali między sobą i powiedzieli, że mąka jest niesprawiedliwie podzielona i my się nie zgadzamy na taki podział i poszli do swoich chałup. Magazynier zobaczył, że większość poszła do domu a my mówimy żeby nam wydał, my się zgadzamy swoją zabrać mąkę ale on wsiadł na konia i pojechał do prezydenta.

Czekaliśmy jeszcze godzinę że może jeszcze przyjedzie i wyda nam ale nie przyjechał, poszlim i my do domu. Nad wieczorem mąkę zabrali i zawieźli do prezydenta, do urzędu. Na drugi dzień rano my idziemy do prezydenta żeby nam wydał mąkę, ja miałem przydzielone 10 kg, miałem torbę i zważyli mi, potem Wojtkowi 6 kg, Ramzesowej i Murżowej tylko 5 kg. Przyniósł mi tę mąkę Stasiek syn Ramzowej, dałem mu za to z kilo mąki i przyszedłem do domu.

Reszta jak się dowiedziała że my mąkę przynieśli, poszli i zabrali ile komu było zapisane na liście. Tylko jedna pani Kozakowa uragała, że ja za koszulę dostałem dużo mąki i teraz dostałem 10 kg, powiedziały mi o tym dwie kobiety co razem z nią mieszkały.

Poszedłem do nich, powiedziałem dzień dobry paniom, odpowiedziały dzień dobry. Ja od razu mówię doszły do mnie wieści, że pani Kozakowa za dużo zaczęła się mną interesować, że ja za koszulę dostałem tak dużo mąki i jeszcze mi przydzielono całe 10 kg mąki. A dlaczego się pani nie zainteresowała jak ja przyjechałem tu ze szpitala czy ja mam co jeść czy nie mam. Tylko, że ja koszulę zamieniłem na mąkę i to tak dużo. Zamieniłem bo musiałem, dla mnie jest miłsze zdrowie i życie, co to by mi było co kosztuli jak ja nie miałbym co jeść. A ona dopiero mówi ja nie tylko o panu mówiłam, tylko ogólnie że lista była źle spisana. Ja jej mówię dobrze pani mówić o kimś jak pani ma 2 worki mąki i tyle pieniędzy, że starczy pani na masło i ser i smalec i może pani nic nie zamieniać przy tych zapasach a innemu pani zazdrości i chciałaby pani otrzymywać po równemu, to wstyd tak postępować, do widzenia niech się pani więcej mną nie interesuje i wyszedłem.

Czerwiec był bardzo gorący. Ja całe dni leżałem w sieni, tu był chłód ale rano wstawałem prawie jak słońce wschodziło i chodziłem mniej więcej do godziny 10-ej, potem gotowałem sobie kuski, podjadłem dobrze i kładłem się spać, spałem do godziny drugiej a czasem do 3-ciej po południu. O jedzenie się już nie martwiłem. Izmael codziennie przynosił maślanekę i lepioskę, po tym spacerze dobrze się jadło i co dzień czułem się zdrowszy i nogi już tak nie bolały mnie, widać maślanka szła mi na zdrowie.

Kupiłem sobie parę kilo jęczmienia, trochę upaliłem na kawę, resztę chłopaki Ramzowej utłukli mi w stepie na kaszę, na kolację to już piłem kawę i piekłem sobie lepioszki bo mąki miałem dużo.

Od przedstawiciela znowu przynieśli dary - 12 koców, do odzienia sporo sukienek i bluzek damskich i to miało starczyć dla każdego. Wszyscy się zeszli pod chałupę Jagełły. Najprzód miał komitet zebranie. Potem każdego z listy wzywali i zaraz dzielili, butów i teraz nie przynieśli. Dostałem koc, był już używany, miał dwie małe dziurki ale dobrze, że i taki dostałem, będę się miał czym przyodziewać. Były to koce niby wełniane, była w nich wełna różna tylko z owcy nie było.

Kto otrzymał koc to był napastowany przez Kazachów po kilkanaście razy dziennie żeby im sprzedać za mąkę czy za masło czy mleko albo jaja. Tak samo inne rzeczy chcieli nabywać. Kobiety mało która miała dwie sukienki, biedne ich życie tam było. Mężczyzna może co 10-ty miał jakieś palto, buty tak samo, to też co zobaczyli to chcieli kupić ale tylko za produkty, pieniędzy ja u nich nie widziałem.

Sukienki tam innej nie zobaczyłem jak z cienkiego perkalu albo z cienkiego płótna i to lichego. Nieraz mnie się listonosz pyta, słysz, skażysz prawda to jest gorszy german czy komunista. Ja jemu mówię, że dla nas Polaków to obydwaj są dranie, którzy naszą ojczyznę rozerwali i podzielili po połowie. Jednocześnie biją nas, rozstrzelają Polaków bez miłosierdzia, tylko za to, że nie chcą, że tęsknią do swojej wolnej Ojczyzny. Pełne są więzienia jak u Niemców tak i u waszych komunistów.

W Mińsku w więzieniu siedzi Polaków około 13-cie tysięcy i po całej Rosji siedzą setki tysięcy

Polaków, którzy chcieliby z Rosją żyć w zgodzie a oni wszystkie więzienia zapelnili Polakami. Jednych sądzą do przymusowej pracy w lasach, w kolchozach i w innych zawodach. Ale ilu osadzili na śmierć to tego nikt nie zliczy, jak Niemiec tak i wasz komunistyczny rząd.

W ten czas on zawołał dwóch innych Kazachów i pyta się a jak tam ludzie u germańca żyją czy lepiej jak u nas. Ja mówię, że lepiej, u nich kolchozów nie ma, każdy rolnik pracuje na swoim i dla siebie. Mają swoje domy i elektryczność w domu i we wszystkich budynkach gospodarczych. Co chcą mogą sobie kupić, co im potrzeba.

To oni kręcili głowami i tylko się oglądali czy jakiś młody się nie zbliża. Nawet swoich synów się bojali a mnie prosili żebym nikomu nie mówił, że my o tym rozmawiali. Widać, że oni chcieliby jakiejś innej zmiany rządu.

Izmael dowiedział się, że ja dostałem koc to trzy razy dziennie przychodził i chciał go kupić i prosił żeby nikomu nie sprzedać bo on chciałby go kupić. Zapraszał mnie do siebie na obiad i na maślankę i nie dał mi spokoju. Ja nie myślałem go sprzedać bo na razie miałem co jeść, około 25 kg maki, pół kubka smalcu, parę kilo kaszy jęczmiennej to nie było mi pilno sprzedawać. Inni Kazachy też przychodzili i chcieli go kupić i jeden drugiego w cenę gonił. Ale co to była za sprzedaż, za parę czy za kilkanaście kilo mąki nabywali nieraz dobre rzeczy od Polaków.

Ja codziennie czułem się zdrowszy. Już nieraz gdzie miałem bliżej iść to szedłem tylko kijem się podpierałem a kulę zostawiałem. I tak myślałem, może Bóg da, że za miesiąc będę już bez kuli chodził, to pójdę do pracy, to sobie zarobię na życie i tak wzdycham czy ja jeszcze będę tak chodził jak dawniej a nawet choćby tak jak przed chorobą, to byłoby już dobrze. Co dzień chodziłem dłużej żeby nogi przyzwyczajając do późnego chodzenia. A może pójdę do wojska polskiego, to byłoby najlepiej.

Jednego razu poszedłem dużo dalej niż zawsze, też tylko o kiju a z przeciwnej strony nadszedł stary Kazach, który też podpierał się kijem. Zatrzymał się i zaczynamy rozmawiać ale on do mnie mówi po swojemu a ja jemu mówię po polsku, nic nie możemy się dogadać. To ja jemu mówię po rusku, on trochę umiał ale mało. Pyta się co mnie boli, pokazuję mu, że nogi mnie bolą. On spojrzał na moje nogi i krzyknął i buch mnie swoim kijem po nogach i zaraz drugi raz uderzył. Za drugim razem opadł z mojej nogi żółtawy robak, nazywał się skorpion. Ja zrazu myślałem, że on dla żartu uderzył ale drugi raz to było silniejsze uderzenie i jak ten robak upadł to on jeszcze kilka razy go uderzył aż go zabił.

Pytam się jego czy kąsa, on usta skrzywił, ręce podniósł do góry i powiedział a jaj a jaj i na palcach naliczył 14 dni by bolało mnie to ukąszenie, całe szczęście, że mnie ten robak nie ukąsił, bo on mi pokazał, że i usnąć nie można tak strasznie boli. Był wielkości jak palec wskazujący, żółtawe pręgi miał po sobie.

Podziękowałem Panu Bogu że uniknąłem ukąszenia bo tylko mnie tego brakowało. Nie wiadomo jakby to na mnie się skończyło. Na drugi dzień gdy leżałem w sieni patrzę a po ścianie taki sam lezie tylko trochę grubszy, widać było że to kotna samica, też ją zabiłem.

Ramziuki nie przynieśli sobie opatu więc biorą spod siebie na którym spali. Jak ręką zajął od spodu, jak krzyknie, jednocześnie bryknął, wąż tam jest a wszyscy tam spali na takim zielsku. Pozrywali się wszyscy na nogi, strach ogarnął wszystkich a on mówi jak ja go dotknąłem to jak on syknął to po mnie ciarki przeszły. Wszystkich strach ogarnął. Murżowa wzięła dwa kije, jednym podnosi zielsko a drugi trzyma już w górze żeby go uderzyć ale już go tam nie było, skrył się tak, że prawie wszystkie zielsko wynieśli zanim go zabili. Był jeszcze nie taki duży, pewnie młody.

Ja raz poszedłem na cmentarz gdzie chowali nieboszczyków. Tam oni chowają nieboszczyka na siedząckę. Tam jedna mogiła się zapadła, to w tym dole był jeden wąż długości jak dwa metry a gruby był jak kielbasa. Chodziłem już bez kuli, chociaż mnie nogi bolą a najgorzej jak nastąpiłem na coś nierównego, to tylko syknąłem z bólu ale chodziłem.

Wojtek mówi niech pan idzie, teraz jest tak gorąco to się wykapiemy i wymyjemy dobrze w tej rzeczce. Poszlim ja rozebrałem się i wszedłem do wody, tylko trochę za kolana i myję się a on zaczął chodzić po całym tym dołku. Po drugiej stronie rosły krzaki i trzcina, on poszedł w te krzaki i zaczął tymi krzakami ruszać. Tam z tych krzaków wypłynęły dwie żmije, ja oglądałem się - jedna długa z półtora metra płynie do mnie, już była blisko, jak ja bryknę z wody jakby mnie wcale nogi nie bolą, ze strachu. Zacząłem Wojtka sztorcować a on się śmieje i mówi prędzej panu z nóg ból ustąpi jak pan tak będzie brykał. Żmija, jak ja krzyknąłem skręciła w bok i schowała się w trawę. Ja jeszcze wlałem do wody, umyłem się, on też i wróciłem do domu.

W tym czasie rozeszła się pogłoska, żeby wszyscy Polacy szli do fotografii i mieli wyrabiać paszporty zagraniczne, w trzech językach będą wypisane - w polskim, ruskim i angielskim. Słychać było, że wszyscy Polacy wyjadą z Rosji. Wybierali się i od nas. Murżowa z Wojtkiem i Ramzowa ze Stańkiem mają iść za parę dni do rejonu.

Druga wieść znowu przyszła, że przyjechał syn do naszego kolchozu z wojska polskiego po swoją



matkę i siostrę Jacynów i że on może zabrać 15 osób do wojska polskiego. Ma na to zezwolenie. Ja gdy się o tym dowiedziałem, że to było ze dwa kilometry od nas zaraz się wybieram tam iść i dowiedzieć czy to jest prawda co ludzie mówią: 3 kilometry - wziąłem kij i kulę bo to tak daleko bez kuli będzie mi trudno dojść, mogą mnie nogi zabołeć.

Gdy tylko doszedłem do kołchozu już się dowiedziałem od ludzi, że to prawda i ten syn Jacynowej nazywa się Stanisław. On jak tylko została ogłoszona amnestia dla Polaków od razu pojechał i był przyjęty do wojska. Dostał urlop na 2 tygodnie aby zabrać matkę i siostrę. Siostra będzie sanitariuszką albo kierowcą samochodu, tam do tego szkołą a matka pójdzie do obozu cywilnego i tam dostanie wszystko i życie przy wojsku. Już tam jest taki obóz i jest dużo Polaków.

Gdy weszłem do nich, mówię dzień dobry państwu, odpowiedzieli dzień dobry. Jego w domu nie było, poszedł gdzieś spać. Pytają się mnie do kogo ja przyszedłem. Mówię, że chcę się widzieć z pani synem Stanisławem, matka zaraz, powiedziała i zawołała Staśka, ona poszła i zaraz przyszli oboje. Ja siedziałem na kufrze, wstałem i mówię dzień dobry panu, on podszedł i podał mi rękę, przywitalim się. Ja się pytam czy prawdą jest, że pan może zabrać do wojska 15 osób, on powiada prawda - mężczyźni i kobiety a dziewczyny tylko młode. Do 45 roku życia mogę zabrać a ja mówię niech pan mnie zabierze, ja stawałem na komisję i jestem przyjęty tylko zachorowałem i zamiast do wojska to poszedłem do szpitala i trzy miesiące leżałem w szpitalu. A on patrzy na kulę i kij i on powiada do kolei jest 110 kilometrów, pan nie zajdzie. Pytam go czy panu furmanki nie dadzą. On mówi dadzą ale my mamy sporo swoich rzeczy i tylko może wsiąść na wóz matka a ja już z siostrą nie możemy na wozie jechać a pan do stacji nie zajdzie. Ja się pytam a kiedy pan będzie odjeżdżał a on mówi mam urlop na 14 dni, wczoraj przyjechałem to mam jeszcze 13 dni. Ja mówię to ja za 13 dni nauczę się chodzić dobrze i zajdę do stacji kolejowej. On powiada dobrze, jak pan zajdzie to ja pana zabiorę.

Pani Jacynowa ugotowała obiad i mnie zaprosiła do obiadu. Najadłem się dobrze, były kluski na czystym mleku. Posiedziałem tam u nich z godzinę, rozmawiałem, potem Jacyna chwalił, że w wojsku dobre życie dają. Cywilów jest paręset osób i dzieci z ochronek też jest dużo. Podziękowałem za obiad i mówię panie Stanisławie proszę mnie zapisać, ja na pewno pójdę, powiedział dobrze.

Na drugi dzień wybierała się Murżowa iść do rejonu, dowiedzieć się co słychać z tymi fotografiami i dokumentami i o wyjeździe z Rosji. Ja jej dałem kulę żeby ona oddała ją w szpitalu sanitariuszce Gecowej bo ona gwarantowała, że ona odpowiada za nią gdyby kula zginęła. Niech pani jej odda i ode mnie jej podziękuję, powiedziała dobrze i szedł razem do rejonu jej brat Wojtek. Szedł Staszek Ramzowej i oni zabrali tę kulę i oddali Gecowej, która im mówiła, że już myślała, że kula przepadła i ona musi płacić za nią. Dziękowała im za przyniesienie.

Na odchodnym Stanisław jeszcze powiedział abym zaszedł do stacji kolejowej to za przejazd nie płacić nie będziemy, mam na to dokumenty. Stacja nazywała się Siergo.

Gdy szedłem do domu zatrzymywali mnie i pytają co ja się dowiedziałem od tego żołnierza, bo policjantowa chciałaby też jechać ale się boi. Powiedziałem im, że ja jadę z nim do wojska, mężczyźni są przyjmowani do 45 lat i dziewczyny młode od 16 lat do 25. Jacyna mówił żeby na wszelki wypadek uszykować sobie na drogę na cztery dni życia.

Policjantowa prosi mnie żeby jej poradził czy jechać czy nie razem bo Jagełło jej mówił, że syna to przyjmą a jej nie przyjmą i ja nie wiem jak się zdecydować. Jak mnie nie przyjmą to co wtedy robić, wracać z powrotem do tego kołchozu.

Mówię jej niech pani ryzykuje, syn pójdzie do junaków a ja idę do wojska, niech pani mówi, że jestem pani bratem, to co miała pani zostać sama w kołchozie. Ona mówi okazja jest dobra, druga taka może się nie trafić ale jeszcze pomyślę - powiedziałem jak pani chce to jest rzecz pani. Do widzenia idę do swojej budy z nadzieją, że może uda mi się wstąpić do wojska i wydostać się z tej rajskiej opieki nad Polakami. W wojsku to już nie będę się martwił o jedzenie, bo tam dadzą a ja przecież jako już stary żołnierz wstąpiłem do Polskiej Organizacji Podziemnej żeby walczyć za wolność Ojczyzny. To jest obowiązek każdego Polaka i mam nadzieję, że do tego dojdę.

Teraz już chodziłem prawie całymi dniami aby przyzwyczaić się do chodzenia, żeby móc dojść do tej stacji kolejowej Siergo - 94 kilometrów. Na tydzień przed wyjazdem Jacyna poszedł do przedstawiciela w rejonie i powiedział mu żeby on ogłosił po kołchozach żeby na dzień 13 czerwca stawili się mężczyźni do 45 lat i dziewczyny od 16 do 25 lat w rejonie u przedstawiciela, to on ich zabierze do wojska.

Ale przedstawiciel nie ogłosił a jeszcze odradzał i mówił przyjdzie czas to wszyscy pojedziemy. Jeszcze przed wyjazdem pomyślałem, że trzeba sobie kupić na drogę sera albo choć twarogu. Mówię do Wojtka idź na fermę może tam kupisz sera albo twarogu. Ja dam ci pieniądze i jak kupisz to i tobie dam. Powiedział dobrze, dałem mu 15 rubli i on poszedł ale sera nie mógł kupić to tylko kupił 6-ść kilo twarogu. Dałem jemu 2 kg twarogu. Zostało mi 4 kg i zaraz sobie ugotowałem klusek z twarogiem, najadłem się dobrze i myślę trzeba iść gdzieś na inną fermę, może tam da się kupić gałek z sera suszonych.

Pytam się kto pójdzie za mną na drugą fermę, może tam kupim sera czy gałek z sera suszonych. Murżowa mówi ja pójdę to też sobie kupię i starszy chłopak Ramzowej i ja pójdę. Umówiliśmy się, że jutro rano po śniadaniu pójdziemy. Tu droga wyjeżdżona była w lewo od naszego i Izmael mówił, że ona prowadzi do dużego kołchozu i tam będzie można kupić sera i twarogu.

Murżowa pożyczyła od Izmaela wiadra a ja wziąłem szalik jedwabny, który kupiłem za papierosy jeszcze w więzieniu. Nie był on mi teraz potrzebny, bo było gorąco i bez szalika i jedne kalessy. Dobrze rano, przed wschodem słońca po śniadaniu wyszliśmy, miało być do tego kołchozu 9-ć kilometrów. Idziem i idziem ale tego kołchozu jakoś nie widać, teraz idziemy trochę pod górę. Mówimy sobie jak wejdziem na górę to chyba zobaczymy ten kołchoz.

Weszliśmy na górę ale nie widać kołchozu tylko dalej drugie góry i wciąż idziemy stepem, trawa duża do kolan. Pod tamtymi górami z prawej strony drogi pasie się duże stado bydła, to już mówimy sobie że za tymi górami to już musi być ten kołchoz.

Gdy weszliśmy już na tę drugą górę, tam już są ślady więcej udeptane i ogromne stado owiec a za nimi siedział na koniu chłop ale kołchozu nie widać.

Teraz idziemy tym pastwiskiem, prosto do tego pastucha, co jest przy owcach. Przyszliśmy do niego i pytamy gdzie jest kołchoz, on nic nie odpowiedział tylko zmiarkował o co nam chodzi, pokazał na prawo ręką i coś powiedział ale nie wiedzieliśmy co, bo to po kazachsku.

W pokazanym kierunku idziemy już na trzecią górę, gdy już weszliśmy widać było duży kołchoz i kobiety już było widać jak się kręciły. Przyszliśmy do nich, ja do nich zagadałem po rusku, nic nie powiedziały i poszły do namiotu. Z niego wyszedł Kazach duży i walnie gruby i kiwa żeby za nim pójść do namiotu, weszliśmy. Ja do niego mówię po rusku, on nie rozumie, on znowu do mnie mówi, ja znów nie wiem co on mówi.

Ale ja widzę na boku leży twaróg na szmacie, pokazuję mu ten twaróg i wyjąłem pieniądze i pokazuję na twaróg. On domyślił się o co chodzi. Na posadce leżał dywan, on usiadł i nam pokazuje żeby usiąść, posiadaliśmy, nogi mnie zaczęły boleć, tyle drogi zrobiliśmy.

Ona wyszła z namiotu, tam coś gotowała, on ją zawołał i powiedział, że my chcemy kupić twarogu, pogadali i do chłopca coś powiedziała i on wyszedł. i przyszedł z drugą Kazachką, pogadali ale wchodzi, ta chyba była jego żoną, coś tam powiedziała tak prędko i ten swój twaróg nakryła i odsunęła w kąt. A tu zaraz wszedł drugi Kazach. On go zaraz zaprosił żeby usiadł, no i on usiadł. Rozmawiają a ta gospodyni wnosi miskę makaronu zwanego łapszą, postawiła przed tym co wszedł i drugą miskę przyniosła i postawiła przed nami. Potem przyniosła maślanki w dużym dzbanie i kubki. Ponalewała każdemu kubek. Mężczyźni najprzód napili się maślanki i zaczęli jeść palcami ten makaron. To były takie grube paski i im to jedzenie jakoś szło zgrabnie a my się patrzemy. Oni nas zachęcają ale jak tu palcami jeść. Ja jemu pokazuje żeby dali łyżki i ten Kazach lepiej zmiarkował o co chodzi i powiedział swojej żonie i ona przyniosła jedną łyżkę drewnianą..

Ja najprzód mniej więcej swoją trzecią część zjadłem, później zjadła Murżowa a na końcu Stasiak. Potem znowu po kubku maślanki wypili. Ja się położyłem bo mnie nogi strasznie bolały a Stasiak z Murżową poszli do innych namiotów i prawie w każdym namiocie ich częstowali maślanką, albo dawali kawałek lepioszki albo jak mieli łapsze to dawali. Wrócili obżarci jak baki.

Ten Kazach obcy zaraz poszedł a ja zacząłem na migi kupować od nich twaróg. Ona przyniosła od tej młodej gamek i pokazuje, że pełen będzie kosztował 1-go rubla. Ja mówiłem kiwnięciem głowy, że się zgadzam i w tym czasie ta z drugiego namiotu przyniosła w worku może z 15 kg twarogu. Ja go wszystek kupiłem, był już tak walnie obsuszony. Przełożyłem go do mojego wiadra a raczej do wiadra Murżowej. Mówiłem, że my się w domu pogodzimy i ona się zgodziła.

Ale gdy my ten twaróg przekładaliśmy to chłopak przed namiotem pilnował czy ktoś nie idzie, tak się bali sprzedawać swoją pracę. Ja dałem szalik i kalessy Staškowi żeby tam gdzieś zamienił na mąkę czy na ser ale nie zamienili bo oni w szalikach nie chodzą a kalessy były stare i liche i przyniósł je z powrotem. Kazachy dali jeszcze soli sporo i gałek suszonych, twardych jak kamień.

Wziąłem jedną gałkę od Murżowej i pokazuję tej Kazachce czy ona ma takie. Ona kiwnęła głową, że ma, wychodzi i kiwa na mnie żebym ja z nią szedł. Jej namiot był z 5-ć metrów od tego namiotu. Poszłem, też tam leżał na ziemi stary brudny dywan, na boku w torbie wisały gałki z serem, zdjęła je, policzyła było ich 20 sztuk, zapłaciłem jej za twaróg 20 rubli i za gałki 10 rubli.

Z boku na tym dywanie siedziało dwoje dzieci, brudnych, wyglądały jakby nigdy nie były myte. Jedno wyglądało na jakieś 3 latka a drugie może z półtora roku. Ubrane były w jakieś gałganki, ni to sukienki, ni to spodnie.

Ona usiadła na tym dywanie i pokazuje ręką żebym i ja usiadł, usiadłem, ona wstała wzięła kubek i naląła do niego maślanki, podała mi, ja wypilem ona zaraz naląła drugi kubek. Usiadła naprzeciw mnie i patrzy się na mnie. Ja z drugiego kubka tylko trochę łyknąłem i przyglądam się jej. Była młoda, wyglądała na jakieś 23 albo 24 lata, była nawet przystojna ale ubrana Boże zachowaj. Sukienka na niej była licha i łatana już, majtki miała czerwone, dłuższe od tej sukienki z 15 centymetrów. Z



odpoczynkiem wypilem ten drugi kubek tej maślanki, ona chce nalać 3-ci ale nie chciałem. Ona wstała i pokazuje mi i mówi paw, paw, pokazuje rękoma tak jakby trzymała karabin i znowu mówi paw, paw. Zrozumiałem, że jej mąż jest w wojsku, może na wojnie, to paw, paw znaczy, że on strzela. Ja jej pokazuje, że też pójde paw, paw strzelać.

Już wstałem, zabieram się do odejścia, ona mnie za rękę przytrzymała i jeszcze gdzieś miała 4 gałki tego suchego sera i dała mi je. Ja wyjąłem pieniądze i chcę jej zapłacić ale ona głową kręci i nie chciała wziąć. Kiwnąłem jej głową i wyszedłem bo czas było już iść z powrotem do swojej chałupy a droga do niej była daleka.

Murżowa i Stasiak już z wiadrem byli na dworze i czekali na mnie. Gdy odchodziłem rękami do nich machałem i oni nam machali, wszyscy, ile ich tam się naschodziło. Ja w tym pierwszym namiocie dobrze wypocząłem, długo leżałem, potem siedziałem i jak szli to mało mnie nogi bolały. Szli dość sporo.

Gdy przyszedłem do swojej chałupy, jak raz słońce zachodziło. Na drugi dzień bolały mnie nogi po wczorajszej podróży ale wstałem. Murżowej dałem mąki żeby ugotowała klusek z twarogiem. Najadłem się i zaraz wyszedłem na przechadzkę żeby pomału rozdeptać nogi, bo dzień za dniem schodził i czas się zbliżał do wyjazdu Jacynów a ja przy nich muszę iść około 100 kilometrów do stacji Siergo.

Chodziłem pomału do południa, obiad zjadłem kluski z mlekiem bo mleka przyniosła Murżowa od Izmaela. Ona u nich pomagała co trzeba było robić a oni jej dawali mleko, mąkę, twaróg. To tak zawsze było bo żona Izmaela miała małe dzieci.

Po obiedzie podarłem swoje kałasony co ich Kazachy nie chcieli za mąkę zamienić i zacząłem kombinować jak uszyć sobie z nich beret, bo już lipiec bardzo był gorący, mogło być 50 stopni a ja miałem czapkę watawaną jeszcze z łagrów. Już niemożliwe było w niej chodzić a tu z gołą głową też niedobrze, bo wprost pali. Pomogła mi Murżowa i uszyli.

Miałem też kamasze jeszcze z archangielskich lasów, były dziurawe, sznurowane, kombinuję uszyć sobie buki na nogi. Miałem rękawice brezentowe w których ścinałem i układałem drzewo przy 38 stopniach mrozu. Były duże, poprułem i uszyłem sobie z nich buki na nogi, będą lekkie i będzie mnie lżej w nich iść.

10 lipca Stanisław Jacyna poszedł do prezydenta żeby mu dał furmankę na noc z 10 lipca na 11, miał już takie papiery. Przed wieczorem Kazach na krowach podjechał pod dom w którym mieszkali Jacynowie. Ja już byłem u nich. Oni wynieśli duży kufer, postawili go na wozie, zamknięty był na kłódkę.

Teraz powiem co zrobiłem z twarogiem. Dałem Staśkowi Ramzukowi za to, że niósł całą drogę to wiadro z Murżową, ja wcale do niesienia się nie brałem. Oni oboje przejmowali z rąk do rąk co jakiś czas i przynieśli do samego domu. Za to Staśkowi dałem jedną trzecią część twarogu z wiadra. Resztą podzieliłem się z Murżową i poprosiłem ją żeby mi z mojej połowy upiekła lepioszek a resztę z wiadrem zabrała sobie i nic od nich nie wziąłem tylko Stasiak przyniósł opału do pieczenia lepioszek i na tym koniec.

Jeszcze powiem jak te lepioszki u nich się piekło. Naprzód napaliło się kupę żaru, potem mieli takie jak u nas patelnię z rantem, nałożyli na tą patelnię ciasta to potem przykrywali drugą patelnią, która też była z rantem, tak że jak się ich złożyło i później wsadzało się w ten żar to tam do środka nic się nie dostało ani żaru ani popiołu tak były szczelnie dopasowane te oba ranty. Potem pogrzbacz się wsuwało i wyciągało te patelnie z chlebem.

Gdy tylko kufer ustawili na wóz, patrzymy a obręcze na kołach są luźne, nie podobno jechać tyle kilometrów na tym wozie. Poszedł Jacyna żeby dali inny wóz lepszy ale prezydent pokazał mu parę wozów i wszystkie takie same były. Dał gwoździ i młotek żeby tymi gwoździami poprzybijać obręcze i pomału pojechać.

Był tam Pawłowski, który też razem miał jechać do wojska. Zaczęli te koła reperować, klinowali i gwoździami przybijali no i mówią drogą boczną nie po bruku to może dojedziem. Oni zostali a ja poszedłem po swój worek i pożegnać się z tymi co zostają. Wojtek powiada ja już byłem na komisji ale mnie nie przyjęli do wojska to teraz to samo będzie, nie pójde.

Ja zdjąłem swoje kamasze, wylokłem z nich surowe sznurówki i mówię do Wojtka ty masz kamasze gorsze od moich to daję ci swoje, fufajkę też i czapkę zimową ale pod warunkiem że jak mnie do wojska nie przyjmą i ja tu wrócę to ty mnie to oddasz, dobrze. Ja już mam papiery te com na komisję stawał i byłem zdrow i przyjęty do wojska, to myślę, że mnie przyjmą. Wojtek mówi dobrze ale da Bóg, że pana przyjmą.

Pożegnałem się ze wszystkimi, już mam wychodzić a tu wchodzi zdyszany Izmael i mówi żeby mu ten koc sprzedać. Myślę sobie, bo czuję, że do wojska mnie przyjmą to koc nie będzie mi potrzebny. Mówię sprzedam ale jak dasz trzysta rubli i 1/2 kilo masła. On mówi, że tyle to on nie ma, daje 200 rubli i 1/2 kg masła. Ja miałem pieniędzy jeszcze około 50 rubli i mówię, że za mało i nie sprzedam.

Jeszcze tylko krótkie kałesonki miałem i je zamieniłem za 20 jajek.

Gdy już byłem gotów do odejścia to mówię do Wojtka zanieś mi mój worek do Jacynów, odpowiada dobrze i poszlim, przychodzimy Jacyny już wszystko włożyli, mieli prawie pełen wóz, tylko na przedzie wozu było uszykowane miejsce do siedzenia dla starej Jacynowej i dla furmana. Ja jeszcze dałem za przyniesienie worka Wojtkowi 2 jajka i lepioskę. On mi podziękował a ja jemu.

Ludzi się naschodziło na odjazd i Polacy i Kazachy, chcieli jeszcze co kupić na odjezdnym. Ja wyjąłem koc i myślę jak kto da 300 rubli to go sprzedam. Kazachy oglądają go, mierzą i mówią, że z niego będzie dobra szuba. Jeden wyjął pieniądze i pyta ile ja chcę za niego, mówię 300 rubli, podumał i zapłacił całe 300 rubli. Izmael tylko się popatrzył.

Nadszedł jeszcze ten Kazach co mu wodę nosiłem i pszenicę razem przebierałem. Oddałem mu kawałek mydła i 2 pudełka zapalek, bardzo za to mi podziękował i poszedł uradowany.

Policjantowa z synem wynajęła duży wózek u jednej ruskiej rodziny, która tam była na wysiedleniu. Miała go zaciągnąć do stacji Siergo ze swoim synem. Policjantowa dała jej za to ładną marynarkę, jedną koszulę i jeszcze tam coś z innych rzeczy. Poszli już na dwa dni wcześniej od nas. A nas wyjechało na piechotę 7 osób - ja, Jacyna, troje Pawłowskich, Murżowa i jedna dziewczyna 18 lat Gurzędnikowna. Ojciec jej zmarł w Rosji, ona była z matką i z bratem 12 lat. Chciał ją od matki kupić jeden Kazach za żonę ale matka i ona nie chciała go - razem 7 osób.

Mielim tu jeszcze przenocować i dobrze rano wyjechać. Wszyscy się już rozeszli, Jacynowa z córką włożyły na wóz i utuliły się do spania, ja i Pawłowski spalim pod wozem, Stanisław Jacyna gdzieś miejsce sobie zrobił na wozie, prawie nikt tam nie spał, każdy myślał jak to będzie dalej. Ja zacząłem sobie ściszone głosem śpiewać pioseneczki i pobożne i ludowe i tanga brazylijskie i inne a umiałem ich bardzo dużo ażeby sobie skrócić tę noc żeby już można było jechać aby do kolei a koleją jak najprędzej dostać się do wojska. Tylko raz zapytałem się pani Jacynowej czy jej nie przeszkadza w spaniu, ona mówi nie, sen mnie wcale nie bierze. Ja lubię słuchać, jak pan chce to niech pan śpiewa, córka też się odezwała niech pan śpiewa, pan umie takie ładne piosenki.

Więc śpiewałem jeszcze długo ale wszystkich jeszcze nie wyśpiewałem, zaczęło się rozwidniać. Kazach przyprowadził dwie krowy i zaczął je zaprzęgać w jakieś drewniane ramy, sznurkiem je wiązać. My zaraz się pozbierali, ja swój worek złożyłem na wozie. O jedzeniu nikt nie myślał bo jest za rano. Kazach z batem w rękę ogląda koła oklinowane, głową pokręcił, nic nie mówi. Ja na niego się patrzę a to ten sam co on ode mnie chciał ząb kupić na którym miałem złotą koronkę a on nie miał ani jednego zęba na przodzie. Chciał żeby ja jemu swój ząb dał, ten ze złotą koroną to on go sobie wsadzi. Ja z głupiego wariata uśmiełem się i na tym się skończyło.

Ciężka to była dla mnie ta podróż, podszedłem parę kilometrów i nogi mnie zaczęły boleć. Jechałem teraz z górki i ja z tyłu usiadłem na wozie. On poganiał sporo ale potem jedziem pod małą górkę, on ustał i przychodzi do mnie i ręką z batem pokazuje żeby ja zszedł z wozu, zszedłem, poszedł i włożył na wóz. Jedziem, wjechalim na tę górkę, teraz jest równina to ja znowu włożyłem na wóz, to on batem mi grozi i pokazuje żeby ja zszedł i jeszcze krzyczy.

Nogi mnie bolą strasznie, słońce paliło niemiłosiernie. Pomyślałem zejść z wozu, nie zejdem, chyba mnie siła nie będzie ściągał. A on wyłożył krowy i puścił w trawę a sam się położył i leży ale to dość długo, stoimy, on nie wstaje. Poszedł do niego Jacyna, mówi do niego i pokazuje żeby on jechał a on się przeciągnął, podniósł głowę patrzy, że siedzę na wozie, pokazuje, że siedzę na wozie, głową pokręcił, że nie pojedzie aż ja zejdem z wozu to dopiero pojedzie.

Przychodzi do mnie Jacyna i mówi żeby ja zszedł z wozu, ja mówię nogi mnie bolą, to co chce pan mnie zostawić w tym stepie, ja iść dalej nie mogę. Jacyna mówi ja pana nie zostawię ale co ja będę robić. Niech pan zejdzie i idzie pomału, jak nadgonimy to pan znowu wsiadzie na wóz.

Ja zszedłem z wozu i pomału idę, on krowy założył i jadą, dognali mnie, ja ustąpiłem z drogi i on mnie minął. Ja złapałem się drążka na wozie i idę, on się obejrzał, krzyknął i znowu grozi mi batem ale ja nie zwracam co on krzyczy, trzymam się wozu. Było to już nad wieczorem, widać było jakiś kołchoz.

Przed tym kołchozem zatrzymaliśmy się na noc. Ja miałem lepioszki i trochę smalcu, posmarowałem chleb i najadłem się dobrze. Przez noc wypocząłem, podszedł do mnie Jacyna i mówi niech pan pomału idzie, ja mówię, że pójdę do tego Kazacha i z nim na migi pogadam. On już wstał a ja miałem od kamaszy surowcowe sznurowadła, podszedłem do niego i daję mu je. On wziął jedno i chce go rozerwać ale nie może, okręcił sobie na ręce brzegami i teraz ciągnie ale nie zerwał to położył i bierze drugie, od razu okręca go na ręce, chce koniecznie rozerwać ale nie zerwał. Wziął oba, zwinął, uśmiechnął się i schował do kieszeni, pokazuje mi wóz i głową kiwa żeby iść i siadać na wóz.

Przyszedłem do wozu, rozwiązałem worek, wyjąłem lepioskę, zjadłem i wszyscy co kto miał to jadł i zaraz po śniadaniu ruszyliśmy w drogę. Nad samym wieczorem już byliśmy na stacji Siergo. Po wzięciu ode mnie sznurówek całą drogę jechałem na wozie. Za sznurówki co u nas w Polsce



kosztowały 15 groszy a tu 50 kilometrów się jechało na wozie.

Przed stacją już nas wyglądali policjantowa z synem i jedna z dwoma córkami i jeszcze jedna pani jechała na ryzyko bez pieniędzy i bez żadnych rzeczy. Powiada wszystko mi jedno, czy tu zostać w kolchozie czy tam jakby nawet mnie nie przyjęli, co będzie to będzie.

Był to 19 lipiec, kolej tu była wąskotorowa. mieliśmy jechać do Turkiestanu, tu już był tor szeroki. Gdy przyjechalim do tego Turkiestanu kolejka na bocznym torze zatrzymała się i my wysiedlim, zabralim swoje rzeczy, Jacyna musiał je zdać na bagaż.

Tu miałem czekać dość długo aż przyjdzie pociąg tu Krym i pojedziemy do Taszkientu. Czekałim w pięknym ogrodzie, naprzeciw stacji. W tym ogrodzie podszedł do mnie, gdym siedział na ławce gruby jakiś mężczyzna. W tym ogrodzie było bardzo dużo ludzi czekających na nadejście pociągu. Mężczyzna usiadł obok mnie na ławce i pyta się mnie czysto po polsku czy pan jesteś Polakiem - mówię, że tak. A ci ludzie to wszyscy Polacy co są w tym ogrodzie - mówię nas 11-tu jest w jednej grupie, jedziemy do wojska polskiego a reszta to jest dużo Polaków i Żydów, dokąd jadą to ja nie wiem. Przyglądam się mu uważnie żeby co złego nie wygadać.

Na czapce ma gwiazdkę bolszewicką i pyta mnie skąd pan jest, mówię od Łomży a on na to ach Łomża, Czerwony Bór, Zambrów, zaczyna nazywać dobrze mi znane miejscowości. Pytam się czy pan tam był kiedy, zna pan te miejscowości, mówi byłem dwa razy. Przed wojną światową mieszkalem w Warszawie, w Łomży byłem i w Zambrowie i w ogóle w tamtych stronach w roku 1920. Pytam się co pan tam robił. Cha co ja robiłem, tam robiłem, to nie potrzebuję mówić. Ja tylko chcę się pana zapytać jak u was w Polsce po wojnie było dobrze czy źle przez te 19 lat.

Mówię dobrze i zacząłem mu opowiadać ile zarobił za jeden dzień pracy robotnik i co mógł za to kupić, 3 złote zarobił, mógł kupić: 1/2 kilo słoniny - 70 gr., 1/2 kg mięsa - 70 gr., 1/2 kg mąki - 60 gr., 1 kg chleba - 25 gr., 1 paczkę machorki - 50 gr., 10 papierosów - 25 gr. - razem 3 złote. Pyta się czy ja prawdę mówię. Co ja mam naprawdę kłamać, niech się pan tu zapyta innych Polaków, to powiedzą to samo co ja mówiłem. A to u was można było zawsze kupić, mówię, że zawsze ile kto chciał. Pokręcił głową i mówi to bardzo dobrze, jeżeli to jest prawda. Mówię prawda, u nas zawsze były pełne sklepy mięsa, chleba, masła, jajek i aż prosili żeby kupować.

On mówi dlatego się pana pytam bo tu u nas mówili co innego, że w Polsce jest bieda i że jest dużo ludzi bezrobotnych i że wasze dziedzice mało płacą robotnikom i tak dalej. Ja jemu mówię, że u nas kto był bezrobotny to tylko ten co robić nie chciał i to mu dawali zapomogę a on się pyta a kto mu dawał, mówię w mieście dawał Magistrat a na wsi gmina. On powiada to nas tu okłamywali.

Ja go się pytam czy pan jest Polakiem, on przeciągle powiedział tak, jakby z musu. Pytam go czy panu jest tu dobrze. On powiada ja pracuję w fabryce, jestem brygadierem ale nie mówił, że jest mu dobrze. Jeździ co dzień do tej fabryki, która jest 40 kilometrów od Turkiestanu. Ja pytam czy pan żonaty, tak żona pracuje w kolchozie, to co pan nie może na żonę zarobić, oboje pracujemy i jest za mało.

Wyjął zegarek z kieszeni i już na mnie czas, do widzenia i czym prędzej poszedł na stację. My też przybliżyliśmy się bliżej toru, jak pociąg przyjdzie żeby można się jak najprędzej do wagonu dostać.

Jacynowie mieli dużo różnych ubrań, poduszek, pierzynę, kufer z bielizną i inne jeszcze drobne rzeczy. Więc on poszedł zdawać swoje na bagaż a ja swój worek miałem zawsze przy sobie. Jeszcze miałem w nim 25 kg mąki, jeszcze kilka lepioszek i gałki sera twardego jak kamienie, trzeba było je kamieniami rozbijać, bo tak się nie ugryzło. Jacyna musiał swój dokument ostemplować i przyszedł do nas i mówi, że tu musimy za bilet zapłacić po 85 rubli za jedną osobę, bo tu będziemy jechać pociągiem osobowym i mąki nie wolno przewozić. Musielim dać łapówkę i w szmaty zawinąć żeby widać nie było.

Jacyna zdał na bagaż, ja swoją w worku wzięłem ze sobą. Jacynowie mieli 60 kg i jedna pani 50 kg mąki. Pociąg przyjechał, Jacyna bilety załatwił i swój bagaż też i jedziemy do stacji Jakobagu. Tu się wygruzilim i na stacji był posterunek żandarmerii polskiej, mieli telefon i Jacyna tam zatelefonował do 19 pułku pp., który stacjonował w Czerakczy żeby przysłali furmanki. Za jakieś dwie godziny przyjechały trzy ruskie podwozy zaprzężone po dwa konie a na nich polscy żołnierze za furmanów. Już na noc byliśmy w Czerakczy, w namiotach pod opieką 19 p. saperów.

Rano 14 lipca zaraz nas zarejestrowali w biurze opieki. Po opisanu wszystkich pytają się mnie jak ja się czuję, mówię nieźle, ja chciałbym wstąpić do wojska, powiedział dobrze, będzie pan wraz z innymi odesłany na komisję. W namiotach mężczyźni byli oddzielnie i kobiety oddzielnie.

Przy rejestracji pytali skąd pochodzę, kiedy byłem aresztowany, powiedziałem w maju 1940 roku. W więzieniu siedziałem w Łomży 10 dni a potem przewieźli około stu ludzi do Rosji, do więzienia na Białorusi w Mińsku. Zostałem osądzony zaocznym wyrokiem w Moskwie na 8 lat w archangielskie lasy, do obozu pracy. Tam byłem do amnestii dla Polaków. W pięć tygodni po amnestii zostałem zwolniony i wraz z innymi przewieźli nas statkiem parowym rzeką Peczora do Koźwy. Tam wydali nam dokumenty gdzie kto chciał jechać. Przy otrzymaniu dokumentu byłem ostrzeżony że nie wolno

mi być bliżej frontu o dwieście kilometrów. Ja poprosiłem żeby mi dali dokument do armii polskiej i taki mi wydali.

Rańo przy Opiece była pobudka, wstawać i umyć się i iść do kuchni po śniadanie - do kuchni ogólnej dla cywilów w Opiece przy 19 p. saperów.. W kuchni tak samo dawali jak żołnierzom na śniadanie kawę i chleb, na obiad jakąś zupę, mięso albo konserwy mięsne i tak dalej. Potem każdego oglądali jak był ubrany, to mieli tam różne łachy ale lepsze niż te co w nich chodzili, bo każdy co miał przez dwa lata to podał albo zniszczył, to takim tam dawali.

Gdy ja poszłem w buśkach z rękawic uszytych i w ogóle nędznie ubrany dali mi zaraz buty z długimi cholewami, płaszcz wojskowy, koc i mundur wojskowy, lichy ale cały. Mówię żeby mi dali jeszcze spodnie, powiedział mi ten co wydawał, że spodni nie mają ale jak ja chcę to mogę dostać długi płaszcz to sobie gdzieś tam da pan i uszyje spodnie z niego. Wziąłem i długi płaszcz, były to płaszcze żołnierzy estońskich.

Była przy 19 pułku saperów ochronka dla dzieci, które nie miały rodziców - sieroty, one też były na utrzymaniu tej Opieki. Po trzech dniach pobytu w obozie cywilnym poszedłem do tych dzieci, popytałem się czy tu nie będzie ktoś z naszych stron. Była tam przełożona pani już poletni ale bardzo przyjemna. Pytam się jej czy tu nie ma kogoś z Łomży. Mówi, że jest jeden chłopiec ma 6 lat. Zawołali go. Był to z Łomży Jawoszczak, rodzice mieli sklep, matka jego została gdzieś chora, o ojcu nic nie wiedział. On mówił to jak ich wywozili z Łomży to Polacy przy wagonach bili bolszewików, więcej nic nie mówił.

Tego wieczora ogłosili, że do 45 lat mają być gotowi i pojedą do miasta Guzar na komisję wojskową, kolejną pojedą 18-go rano. Godzina 7 rano już po śniadaniu, przyszedł starszy sierżant na plac z zeszytem w rękę. Wszystkich zapisał, potem się odmieniło, pojedziem nie kolejną tylko autobusem wojskowym. Podeszłem do tego sierżanta, co mam robić z kocem, pytam się, on mówi a co pan chce, mnie to nic nie obchodzi.

Zaniósłem koc, płaszcz i resztę mąki z workiem do Jacynów i mówię, że chcę to zostawić u pań na razie bo nie wiem jak mi tam pójdzie na komisji, mówią dobrze, niech pan zostawi. Gdy wróciłem już autobus podjechał. Było to dość daleko do tego Guzar, zajechaliśmy przed wieczorem. Była tam rzeczka, poszedłem do niej i się umyłem dobrze cały.

W Guzarze przenocowałem na dworze, prawda, że było ciepło. Przed odjazdem przyszedł major i powiedział jeżeli ktoś nie będzie przyjęty do wojska to niech wraca z powrotem do Czerakczy, będzie przyjęty do opieki.

Na tę komisję najechało się mężczyźni około tysiąca ze wszystkich stron, w tym bardzo dużo Żydów. Jakoś dobrze się złożyło, że o godzinie 8-mej rano komisja już badała, ja byłem przyjęty do wojska z kategorią C i od razu pierwszych 54 przyjętych było skierowanych do 21 p. piechoty w Guzarze. Był to pułk zapasowy. Ale jeszcze się wrócę do komisji. Żydzi tam trzymali się kupy i pchali się jeden przez drugiego aż ich sierżant obsztorcował. Do 21 pułku zapasowego prowadził nas sierżant z listą. Ja już szedłem w butach z długimi cholewami. Do tego pułku było dość daleko, szliśmy jakoś bocznymi ulicami. Domy były duże i małe. Patrę wisi szyld z butem a ja już kombinowałem żeby je zamienić na byle jakie liche aby zdobyć trochę pieniędzy.

Mówię panie sierżancie, żeby pan trochę się zatrzymał bo mnie jakiś gwóźdź prze w nogę to bym wpadł do tego szewca to on by tam coś poprawił, dobrze niech pan wejdzie do niego. Ja weszłem i pytam go czy on ma jakieś stare kamasze choćby były dziurawe. On miał różnych chodaków kilka par, przyniósł dwie pary, jedna była dobra na moje nogi. Ja mówię daj 50 rubli a ja ci dam te z cholewami a to były dobre buty. On obejrzał i powiada, że da mi 40 rubli, zgodziłem się, dobrze i to tam w wojsku dostanę nowe. On wyjął pieniądze liczy a ja obuwam kamasze lichote, pieniążki przeliczyłem i czym prędzej wychodzę bo już sierżant wołał prędzej wychodź. Wyszedłem w kamaszach a sierżant się pyta a gdzie masz buty, mówię, że zamieniłem bo one nie były dobre. Krzyknął zbiórka w prawo zwrot i marsz. Poprowadził przed kancelarię. Wyszedł z niej też sierżant, nasz oddał mu listę a obok rzędami stały namioty. Kilku żołnierzy wyszło i patrzą się na nas. Sierżant zaczął wyczytywać, każdy się odezwał i od razu przydzielają nas po kilku do namiotu. Zaczęło się ściemniać a w namiotach to już było ciemno, bo tam żadnych lamp ani świec nie było.

Gdy my sobie zaczęliśmy robić gniazda, uchylił jeden żołnierz namiotu i pyta się czy tu jest pan Pieńkowski, odzywam się - jest. On podszedł ja do niego też, czy pan jest z Drozdowa, mówię tak, miał pan sklep swój, tak a czy pan wie coś o swojej rodzinie, wiem tylko tyle, że została w Polsce, więcej nic.

A on powiada panie pańska rodzina też jest w Rosji, razem z Polski nas wywieźli 20 czerwca 1941 r. i w jednym kolchozie w Rosji mieszkaliśmy i w jednym domu. Jest żona pana i czworo dzieci - Marysia, Zbyszek, Danusia i mały Sobek przy piersi a czworo zostało w Polsce, uciekli przez balkon jak żonę zabierali.

Gdy to usłyszał to aż mi w głowie zaczęło szumieć, w oczach łzy mi wypłynęły po twarzy, jedna za drugą, słabo mi się zrobiło, usiadłem na ziemi żeby nie zemdleć i runąć na podłogę. Pytam się



gdzie oni są - w obłasci Ałtiubińskiej, rejon Hobda, kołchoz Dzeren-Kupom. Złapałem się bić za głowę, żebym ja wiedział przód o tym, byłbym szukał dotąd aż bym ich odnalazł. Miałem przecież tyle czasu.

Pytam się jego jak się pan nazywa Hojnowski Jan ze Szczepankowa i mówi nie martw się pan, są zdrowi. Zbyszek wyrósł, chłop taki duży jak pan. Robił ze mną w kuźni, duży młotem bił jak stary chłop. Umyślnie go wziąłem do kuźni żeby zrobił na miesiąc 180 rubli, za te pieniądze mógł kupić jeden metr kartofli i 1/2 metra żyta. Kołchoz ten jest niezły, można dostać mleka i kartofli ale na zamianę, za bieliznę, czy ubranie i za inne rzeczy.

Najgorzej tam jest z opałem bo lasów zupełnie nie ma, pali się trzcina i innym zielskiem. Zimno nie można się nigdzie ruszyć bo są ogromne śniegi. Jak zacznie padać, kręcić zawieja, tak że światła nie widać i to pada przez parę dni bez przerwy. Napada równo z domami i stodołami, po wodę chodzi się tunelami, pod śniegiem.

Powiada, razu jednego w zimę nie mieli czym palić i czym jeść ugotować. Poprosili koni z saniami i pojechali za trzcina - on Chojnowski, Zbyszek i Marysia. Ostrzegali ich tamtejsi Kazachy, że zanoszą się na burzę śnieżną, żeby lepiej nie jechali ale oni nie posłuchali, bo jechać było musowo.

Jak tylko wyjechali zaczął śnieg padać i to coraz grubsze płaty a później całymi wiechciami kręcił. Oni na to nie zważali, chcieli jak najwięcej tej trzciny uciąć a do kołchozu było 8 kilometrów. Już zaczęło się ściemniać i to tak od razu. Wyruszyli z powrotem ale za kilkanaście minut zrobiło się tak ciemno zupełnie. Ja, mówię konie puśćcie luzem niech idą, one może prędzej wiedzą gdzie jechać bo ja już straciłem orientację zupełnie. Nareszcie konie się pomęczyły i stoją. Mówię do Zbyszka a ty może trafisz na kołchoz, to może kto wyjdzie z Kazachów i nam pomoże dojechać. Tylko każę mu coraz się odzywać, to ja będę uważał czy on dobrze idzie i słuchaj mi coraz co ja do ciebie będę mówił. Poszedł ale za parę minut skręcił w lewo, ja krzyczę żeby skręcił w prawo, skręcił ale znowu za dużo, krzyczę żeby się wrócił do nas. Posyłam go drugi raz, to samo wyszło, znowu go zawróciłem. I mówię wy zostańcie a ja pójdę szukać kołchozu.

Zostawiłem ich na saniach i sam poszedłem. Szedłem z godzinę czasu ale doszedłem, całe szczęście, że natrafiłem i kazałem jednemu Kazachowi wleźć na dach z latarką żeby trafić z powrotem. Sam wracam do nich, już chodzę z godzinę i nie mogę do nich trafić. Krzyczę co tylko mam sił, nareszcie mnie usłyszeli i znowu oni zaczęli się odzywać i doszedłem do nich.

Oni się już popłakali, myśleli, że ja do nich nie trafię i oni zamrzną na śmierć. Konie odpoczęły, jedziemy i tak pomału ledwieśmy dojechali. I powiada gdy sobie przypomnę tę zawieję śnieżną to aż mnie ciarki po plecach przejdą jeszcze dziś. Przecież mogliśmy tam zamrznąć w tym śniegu na śmierć.

Żona pana narzeka na nogi, boją ją i słabo chodzi ale mówiła, że w Polsce też ją bolały. Ale dzieci chowają się zdrowo. Ja ich opuściłem w kwietniu 1942 r. List miałem w czerwcu, jest tam wszystko jak było, bez zmian.

Po tej rozmowie on poszedł do swego namiotu, ja też położyłem się spać ale oka nie zmrzyłem przez całą noc. Tylko myślałem nad losem mojej rodziny. Żona z czworgiem dzieci jest w Rosji, męczy się, najmłodszy synek Sebastian miał dopiero jeden rok i córka 4 lata Danusia. A czworo dzieci zostało w Polsce pod Niemcami bez żywności, jak oni tam żyją.

Bez przerwy myślałem do rana, co mi wypada teraz robić. Urlopu nie dostanę bo dopiero wstąpiłem do wojska. Ale jutro rano poradzę się porucznika dowódcy kompanii. Wstałem rano, umyłem się i po śniadaniu czekam aż przyjdzie dowódca kompanii.

Gdy szedł do kancelarii przeprosiłem go i opowiedziałem mu czego ja się dowiedziałem wczoraj o swojej rodzinie i pytam się czy jest możliwe żebym ja mógł jechać po swoją rodzinę i ją tu sprowadzić. On powiada nie dlatego, że my już niedługo z Rosji wyjeżdżamy, czekamy tylko na rozkaz, który może przyjść lada dzień. Z tego powodu urlopy są wstrzymane.

Ale jak chcecie to ja mogę was zwolnić z wojska i pojedziecie do swojej rodziny. Tylko to mogę zrobić ale wtenczas zostanieie w Rosji. Namyślcie się co dla was lepsze, bo musicie się zdecydować czy wojsko czy rodzina, jedno z dwóch.. Poszedł do kancelarii a ja wróciłem do namiotu i zastanawiam się na nowo co mi wypada robić.

Rodzinę kocham z całej duszy i Ojczyznę tak samo. To samo przyszło mi na myśl co w roku 1940 przed wstąpieniem do Polskiej Organizacji Podziemnej, że wprzód byłem Polakiem niż mężem i ojcem. Trzeba ratować Ojczyznę a Bogu polecam rodzinę swoją w opiekę, będzie ona na pewno skuteczniejsza od mojej.

Ja raz się poświęciłem i przysięgałem, że łamać przysięgi nie wolno, za to mógłby mnie Pan Bóg ukarać a Ojczyzna nie darować. Zresztą czuję się jeszcze na dobre niezdrów, gdybym pojechał do rodziny to byłbym jej ciężarem a nie pomocą, to jest raz, po drugie jaką mogłem mieć pewność, że ja będę z rodziną, może pobyłbym jakiś czas a później znowu by mnie aresztowali i tylko nowe zmartwienie byłoby dla rodziny, bo w Rosji o to nie trudno, kto powie jedno słowo nawet może

zmyślone oszczerstwo to zaraz go aresztuje NKWD i nie ma żadnego tłumaczenia. Najprzód więzień, a potem sąd i łagry. A jeszcze ja, co mnie już sądzili na 8 lat za należenie do podpólnej organizacji, to więcej nic nie trzeba.

Postanowiłem pozostać w wojsku. Napisałem tego dnia list do rodziny ażeby dać znać że żyję, bo jak mówił Chojnowski, że moja rodzina już miała małą nadzieję, że ja żyję. Adres dokładny dał mi Chojnowski Jan. Oni mieszkali razem w jednym domu. Za parę dni wyrobiłem w RKU zaświadczenie, że jestem w wojsku żeby tym zaświadczeniem moja rodzina mogła udowodnić na placówce u przedstawiciela żeby ją zaliczyć jako rodzinę wojskową i wypłacać im zasiłek jaki należał się żonie 150 rubli a na dzieci do lat 14 po 50 rubli miesięcznie.. Czy oni to zaświadczenie dostali tego nie wiem, bo żadnej wiadomości od nich nie otrzymałem.

Naszą 5 kompanie umundurowali w nowe mundury zielone i podzielili ją na 4-y grupy i odesłali do innych kompanii. Nasza grupa była odkomenderowana do kompanii wartowniczej.

Tu spotkałem dwóch znajomych - dowódcę kompanii pana kapitana Tubielewicza z którym siedziałem w więzieniu w Mińsku, obok siebie spaliłem w jednej celi parę miesięcy i szefa kompanii sierżanta Koniecznego Piotra z którym byłem razem w archangielskich łagrach, w jednym baraku aż do zwolnienia po amnestii.

Powitaliśmy się bardzo serdecznie i dali mi funkcję prowiantowego kompanii. Po trzech dniach mówię do szefa Koniecznego żeby mi dali przepustkę aby jechać po swoje rzeczy do Czerakczy, to bym tam je sprzedał, to by było na gaz i na wino. Szef mówi dobrze dostaniesz, kiedy chcesz jechać - jutro? Szef zaraz zameldował to kapitanowi, on zaraz powiedział w kancelarii żeby wypisali przepustkę a szefowi powiedział niech on tu przyjdzie, ja podpiszę i niech sobie jedzie.

27 lipca poszedłem do kancelarii i przepustkę miałem napisaną ale nie podpisaną przez pana kapitana. Ja mówię proszę mi dać, ja pójdę do namiotu i pan kapitan mi podpisze, dali mi i poszedłem do namiotu p. kapitana. Tylko odchyliłem namiot kapitan zobaczył mnie i mówi co Pieńkowski chcesz jechać, tak panie kapitanie, proszę o podpis przepustki i podałem - podpisał i mówi z tą przepustką musisz iść do kancelarii pułkowej, tam ci podpisze dowódca pułku albo adiutant pułku i wtedy możesz jechać.

Przepustkę już mam w ręku, wróciłem się do namiotu swojego, wziąłem chlebak i tomister żeby miał gdzie te rzeczy włożyć. W kancelarii pułkowej podpisał mi przepustkę adiutant i poszedłem na stację kolejową do której było 5 kilometrów ale na przelaj przez pola było dużo bliżej.

Na stacji był posterunek naszej żandamerii, tam zameldowałem, że jadę do Czerakczy po swoje rzeczy. O godzinie 10-ej pociąg przyjechał i wsiadłem do niego i zajechałem do Jakobagu. Stamtąd 12 kilometrów miałem iść piechotą. Uszedłem może 3 kilometry, nadjechali Kazachy i z nimi podjechałem niedaleko Czerakczy, o godzinie 4-ej już byłem na miejscu w Czerakczy. Miałem z sobą list, który mi dał Fruziński do swojej żony, z nim razem wstąpiłem do wojska i byliśmy w tej samej kompanii.

Ona z dziećmi została w Czerakczy, pracowała w Opiece jako szwaczka. Dopytałem się w którym ona namiocie mieszka, pokazali mnie ten namiot. Poszedłem jej nie ma, jej stara matka mówi, że ona jest w szwalni, tam pracuje ze swoją siostrą. Poszedłem to tej szwalni. One obie szyły koszulki i ubranka dla dzieci, które były w ochronce. W tej szwalni było tych szwaczek aż 8. Powiedziałem dzień dobry paniom, odpowiedziały dzień dobry. Mówię, że ja do pani Fruzińskiej, list od męża przywożem. Ona zaraz się podniosła a za nią jej siostra policjantowa z którą razem była w kołchozie Kazaku.

Przywitałem się z nimi, policjantowa wcale mnie nie poznała i mówi ale się zmienił. Chodziłem w szmacianych buśkach i w podartym busztku a dziś koszulka angola, mundurek i spodnie chociaż drelichowe ale całe i nowe buty, też nowe kamasze aż się błyszczą, czapka trochę na bakier.

Mówię wszystko się zmieniło, chodziłem w łachmanach podartych jak oferma a dziś jestem żołnierzem to chyba jest różnica - o tak powiedziała. Pani Trzcińska mówi za pół godziny kończymy robotę, niech pan zaczeka w naszym namiocie, to porozmawiamy. Ja mówię, że teraz pójdę do państwa Jacynów a wieczorem przyjdę do pań, dobrze niech pan przyjdzie, będziemy czekać z kolacją. Jeszcze się zapytałem czy p. Jacyny mieszkają w tym samym miejscu, co mieszkali w namiocie, tak w tym samym, to do widzenia.

Ze szwalni idę prosto do namiotu Jacynów, zastałem obydwie, te mnie poznały od razu. Dobrze, że pan przyjechał bo nie wiedziałyśmy co z pańskimi rzeczami robić. Ja mówię, że 4-go dnia gdy wstąpiłem do wojska to pisałem list do pań, czy go otrzymałyście, nie żadnego listu od pana nie otrzymaliśmy. Mówię to dziwne 3 godziny jazdy koleją i dwie godziny pieszo, razem 5 godzin a list za 4 dni jeszcze nie doszedł. Funkcjonowanie poczty w sowietach to chyba na całym świecie drugiej takiej nie ma. Kolejnictwu nie można zarzucić, funkcjonuje nieźle. A te głoszone w gazetach wyrabotki stachanowskie 200 i 300% to jest kłamstwo, to tylko oszukiwanie samych siebie, bo tam tego nikt nie wyrabia a jak nieraz wyrobią do 200% to ta robota u nas absolutnie by była prawie nic niewarta, tylko zepsucie materiału ale niech gra rola i ilość a nie jakość.



U Jacynów mieszkała pani co z nimi razem przyjechała ale zachorowała i leży w szpitalu. Córka jej poszła do ochotniczek a syn poszedł do junaków, tylko po nich rzeczy pozostały. Potem ta pani co jechała na ryzyko i mówiła, że nie ma nic do stracenia to u nas dwa dni mieszkała ale już sobie wytrasnęła jakiegoś plutonowego, który pracuje w magazynie żywnościowym i wyprowadziła się do prywatnego mieszkania.

Ja zapytałem się gdzie służy Stanisław, był niedaleko, poszedłem do niego, odwiedzić go. Przywitalim się, on zaraz zwolnił się i poszliśmy do namiotu, ugadaliśmy się do woli i u nich kolację razem zjadłem. On poszedł do swego namiotu a ja do Fruzińskich. One też już miały kolację i tylko na mnie czekały.

Byłem niegłodny ale trochę zjadłem, winogronami zakąsałem, pogadaliśmy sobie o naszym dawnym kolchozie. Ja opowiedziałem o swojej rodzinie, że też jest w Rosji, tylko bardzo daleko w Kazachstanie, a my jesteśmy w Uzbekistanie 800 kilometrów stąd.

Pytam się pani Fruzińskiej czy napisała list do męża, ona mówi, że nie ale jutro napisze to pan mu doręczy, mówię dobrze, niedaleko od siebie mieszkamy i oddam mu pieniądze bo mnie one niepotrzebne. Pytam się czy tu z naszych ludzi kupiłby mąkę. Ona mówi w bocznym namiocie może by tam która kupiła bo ich tam dużo mieszka. Poszedłem do tego drugiego namiotu, mieszkały trzy rodziny razem, pytam się czy może kto chce kupić mąkę ode mnie, ja bym tak sprzedawał jak płacą na rynku, mnie w wojskowym ubraniu nie pasuje iść na rynek i sprzedawać mąkę. Z tego namiotu syn z jednej rodziny poszedł ze mną do wojska tego samego dnia. Ojciec tego syna mówi, że u nas mąki nikt nie kupi chyba może ta pani co tu z nami mieszka.

Ale ja panu sprzedam tę mąkę na rynku, cena jest 20 rubli za kilogram. Ja mówię niechby trochę taniej aby sprzedać. On mówi ja od pana zarobić nie chcę, po ile sprzedam to po tyle oddam panu. Umówiliśmy się że jutro rano przyniosę, mówi dobrze niech pan przyniesie. Na razie dobrze, pójdę do państwa Jacynów i u nich przenocuję.

Na drugi dzień rano przyniosłem tę mąkę, była ładna pszenna. Sobie on odważył 5 kg i z resztą poszedł na rynek. Za jakieś pół godziny już wrócił i wypłacił mi 290 rubli, tyle utargowałem i tyle panu oddaję. Chciał jeszcze kupić płaszcz i koc ale mało mi dawał i nie sprzedałem tylko podziękowałem za sprzedaż mąki a płaszcz i koc zapakowałem do tomistra.

Rano przyszedł Stanisław Jacyna chciałem kupić wina ale on powiedział że nie pije ani wódki ani wina. Na śniadanie jedliśmy racuszki z herbatą. Po śniadaniu podziękowałem Stanisławowi za pomoc w wydostaniu się z kolchozu a matce i córce za opiekowanie się moimi rzeczami - dziękuję paniom bardzo, do widzenia i jeszcze raz dziękuję za wszystko.

Idę do p. Fruzińskiej po list i pieniądze, wyliczyłem 2.500 rubli. Ona powiada mnie te pieniądze nie są potrzebne bo ja tu sobie zarobię na życie w szwalni, może mężowi potrzeba co kupić to niech sobie kupi. Miała jeszcze lejca surowcowego na paski, to będzie miał, mówiła. Chciały mnie poczęstować obiadem ale autobus wojskowy zajechał na przystanek, pożegnałem się i wyszedłem aby zdążyć wsiąść.

Przy autobusie stał nasz porucznik i on jednych wpuszczał do autobusu, drugich nie wpuszczał bo było już ciasno. Ja zameldowałem się, że jechać muszę z przepustki do Guzar. Kazał wsiadać, wszedłem i jeszcze usiadłem. Wpuścił jeszcze kilku ale tylko tych co jechali w sprawach służbowych.

Dojechałem do Jakobugu, autobus się zatrzymał, kto miał tu wsiąść to wysiadł. W Jakobugu na stacji zameldowałem się na posterunku żandamerii, że wracam z przepustki do swego oddziału. Drugi pociąg do Guzar miałem dopiero za 6 godzin. Poszedłem do miasta, idę ulicą, na domu wisi szyld, na nim napis "kipiatok". Zaszedłem i poprosiłem o kipiatak. Uzbek tam stał za ladą, podał mi, wypitem i zapłaciłem i siedzę. Ten Uzbek umiał mówić słabo po rusku. Przyszedł do mnie bo miał czas, tylko jeszcze przy 2-ch stolikach siedzieli ludzie ale tylko rozmawiali.

Zaczęliśmy rozmawiać obaj. Pyta się gdzie ja jadę, powiedziałem, że do Guzar, tam jest mój oddział. Potem mówię kup u mnie płaszcz i koc. Wyjąłem i pokazuje, on obejrzał i powiada dobrze tylko żeby trochę poczekać, mówię dobrze. Czym prędzej wyskoczył i za jakieś 5 minut wrócił a z nim jeszcze przyszło dwóch. Obejrzeni, jeden z nich przymierzył go, dobry był na niego, pyta się ile ja za niego chcę, mówię 500 rubli, pokręcił głową, że za dużo. Mówię daj 450 rubli, oni pomiędzy sobą poświergotali i zapłacił mi 450 rubli. Ja zaraz dałem pieniądze temu właścicielowi tej czajni żeby mi kupił dwie butelki dobrego wina, dałem mu 150 rubli. Przyniósł, jedną odłożyłem, pół szklanki wypitem, resztę zakorkowałem, wsadziłem do plecaka i pytam się ich gdzie tutaj jest bazar żeby można kupić winogron i pomidorów, powiedział że niedaleko, tam można kupić wszystko.

Poszedłem w kierunku jak pokazali mi i kupiłem dwie torby po kilo winogron, były bardzo ładne, jedną torbę dla siebie, drugą dla kapitana i tańsze o połowę jak w Guzarze i kupiłem kilo pomidorów na zakąskę, bo trzeba będzie wino wypić z szefem Koniecznym. Byłem tego dnia bogaty w Rosji, jak nigdy. Teraz będę się odżywiać pomidorami, cebulą, arbużami i pomarańczami - wszystko to witaminy, dwa lata tego nie jadłem. Prawda, że w lasach archangielskich jadłem dziką, zieloną różę a w

kolchozie dziki, mały jak leszczynowe orzechy czosnek i to ze cmentarza, to tylko te dwa cwoce jadłem. Za to teraz sobie pozwolę, bo mam pieniądze i jestem bogaty.

Gdy przyszedłem na stację, spotkałem tam żołnierza, który jechał z przepustką od żony, też do Guzar. Wyjąłem tę butelkę wina napoczętą i wypilił resztę do dna. Przyjechalim na stację w Guzar ale teraz trzeba dalej piechotą iść do kompanii ale tak na przełaj, to dużo bliżej. On poszedł prosto a ja trochę w lewo, do widzenia odwitaliśmy się. On poszedł do swojej jednostki a ja do swojej. Ciemno już było gdy przyszedłem do swojej kompanii. Zaraz poszedłem się zameldować do szefa kompanii sierżanta Koniecznego. Poszedłem z tą drugą butelką wina i z pomidorami na zakąskę.

Po zameldowaniu się wyjmuję butelkę wina i pomidory na zagrychę i zaczynamy pić ale tylko ja wypilem 1/2 szklaneczki bo jeszcze mi tamte co wypilem w głowie szumiało. Szef też tylko dwa razy po trochu gołnął i ja resztę zabrałem wina bo trzeba było i z Chojnowskim wypić po kielichu.

Na drugi dzień poszedłem do Chojnowskiego. Wypilił resztę i mówię mu jak dobrze trafiłem do tej 5-ej kompanii wartowniczej. Dowódca jest znajomy, razem siedzieliśmy w więzieniu w Mińsku, szef kompanii też znajomy, byliśmy razem w archangielskich lasach w sowchozie Kazaku.

Już jeździłem na przepustkę po swoje rzeczy i jak dłużej tu pobędziemy to na pewno dostanę na jakieś 10 dni urlopu i pojedę po swoją rodzinę aby ja wyrwać z kolchozu i ściągnąć tu do Opieki przy pułku. Umówiliśmy się, że jak ja bym pojechał to zabiorę i jego żonę i córkę. Mówię dobrze, jak pojedę to razem ich przywiozę.

Może by i przyszło do tego ale w końcu lipca zarządzono ostre pogotowie i zaraz wieczorem maszerowaliśmy na stację kolejową w Guzarze.. Na kilka dni przed wyjazdem z Guzaru zachorowałem na malarię, nic jeść nie mogłem tylko wodę piłem, może 10 litrów na dzień. Zdążyłem pół litra wypić to już za 10 minut język był suchy i nie można było nim ruszyć, taki był suchy prawie cały dzień, wprost nie do wytrzymania.

W słońcu w południe temperatura była 70 stopni, po południu temperatura była 60 stopni. Malaria to taka choroba z gorączką, że trudno wytrzymać. Cały jesteś spocony, nakryty kocami a trzęsiesz się aż cię na łóżku rzuca, potem się trochę uspokoi i potem znowu rzuca i tak cały dzień i całą noc. Do stacji kolejowej w Guzar ledwie doszedł. Wszystkim żołnierzom wydali suchy prowiant - mięso, konserwy w puszkach i konserwy w puszkach jarzynowe z mięsem, śledzie, suchary, chleb, kawę, herbatę i cukier. Był to suchy prowiant na kilka dni.

Nocowaliśmy przed stacją na ziemi, przydał mi się ten koc com go nie sprzedał i na nim leżałem. Rano przyszedł pociąg bardzo długi. Po raz ostatni Uzbegy chodzili i krzyczeli - dobra pomidory, dobra arbuz i z żalem spoglądali na odjeżdżające wojsko polskie.

Pierwsze wagony były dla żołnierzy, od tyłu siadali cywile, całe rodziny, które były blisko wojska i z ochronek dzieci wojsko zabierało i co nadjechalim na większą stację to już czekali cywile aby razem jechać i wydostać się z bolszewickiego raję, którego się nigdy nie zapomni.

Jechaliśmy 3 dni do portu Krasnowock przy morzu Kaspijskim. Miasto jest ładne i wino dobre, piła wiara ile się dało za resztę rubli. Ogłosili nam, że przy wsiadaniu na okręt będą rewidować żeby nikt nie miał pieniędzy ani żadnych zapisek, notatek bo takich będzie NKWD zatrzymywało i aresztowało. Mówili nam oddajcie pieniądze i te pieniądze zabrane od was będą oddane do naszej ambasady w Kujbyszewie i tam je oddadzą naszym rodzinom, które zostają w Rosji. Więc oddawaliśmy, ja oddałem wszystkie pieniądze.

Zbierali je młody mężczyzna - miał lat 25 z opaską na rękę i ze skautką i z jakąś panną czy młodą mężatką też z opaską na rękę. Ja oddając przeszło 300 rubli mówię im, że moja rodzina jest w Rosji, proszę zapisać adres i przesłać mojej rodzinie. Mężczyzna mówi dobrze - zapisz ten adres, ona zapisała ale moja rodzina nic nie otrzymała.

Od cywilnej ludności naszej zabierali wszystko przymusowo - pierzyny, poduszki, kożuchy, futra, palta i inne ubranie, prócz tego co mieli na sobie i to wszystko spalili przed morzem Kaspijskim żeby nie zawieźć jakiejś zarazy z Rosji do Persji do której mielim płynąć okrętem.

W początku sierpnia wsiedliśmy na okręty, było ich 5 czy 6, przewożyły żołnierzy i cywilów. Ale do lądu te duże okręty nie mogły dopłynąć bo morze było płytkie a na okręcie było 3 tysiące ludzi. Okręt był dużo zagłębiony, więc z dużych okrętów przesiadaliśmy się na mniejsze statki, które nas dowoziły do lądu, do portu Pahlawi w Iranie.

Całą drogę stałem na boku i trzymałem się burty żeby się nie przewrócić a najgorzej jak tylko wszedłem na okręt, złapał mnie atak malarii, zaczęło mnie trząść i dwie godziny trzęsło. Bojałem się żeby mnie nie wysadzili i nie zostawili w Rosji, byłby to już koniec ze mną ale tak się nie stało.

W nieszczęściu miałem i dużo szczęścia i tylko wodę piłem i kilka sucharków zjadłem. W Pahlawi zabrali mnie z kompanii i skierowali do obozu malaryków, których tam było przeszło tysiąc a cywilów drugie tyle. Mieściliśmy się w dużych namiotach płóciennych a temperatura w dzień była przeszło 50 stopni. Przyszli doktorzy polscy, angielscy i perscy, badali i leczyli chininą i innymi lekami. Po kilku dniach znalazłem apetyt do jedzenia a było tam co jeść. Na śniadanie kakao bardzo słodkie i do



niego bułka z masłem, na obiad zupa pomidorowa gotowana na delikatnym mięsie z jakichś kurczaków czy innych ptaków i z ryżem, była bardzo smaczna a mięsa więcej niż zupy. Dawali nam na przemian chleb-zawsze biały, margarynę, jaja, daktyle, marmoladę, ser kakao a nawet niektórym i koniak.

Obok niedaleko od naszych namiotów przychodzili Arabowie i nosili na sprzedanie jajka gotowane i surowe, ryby na poczekaniu smażone, kiełbasę, ciastka różne, winogrona, daktyle i pomarańcze, arbuzy i ogórki, co kto chciał i nie bardzo drogo.

Pierwszy żołd wypłacili nam tumanami, bo takie pieniądze były tam w obiegu. Ale nas ostrzegali żeby dużo nie jeść bo prawie każdy miał żołądek skurczony, dużo było z tego powodu wypadków śmiertelnych.

Przeważnie umierały dzieci zabrane z ochronek. Były tak zamrożone, że tylko skóra i kości. Fotografowali je Anglicy, Amerykanie, Persowie i Polacy również. Zmarło ich 2/3, żołądki im popękały jak dużo się najadły.

Po dwóch tygodniach kuracji skierowany zostałem z powrotem do 21 pułku zapasowego bo nasza 5-ta kompania była przydzielana do innych oddziałów. Ja byłem już zdrów zupełnie dobrze. Po paru tygodniach pobytu w Iranie wyjechaliśmy perskimi autobusami i samochodami ciężarowymi przez całą Persję, przez wysokie góry w dół, po ostrych zakrętach aż strach było patrzeć z góry w dół.

Na dole widziało się samochody, wyglądały jak pudełka zapalek. Naszym kierowcom nie pozwolili jechać samochodem w dół bo przez takie góry nigdy nie jeździli i to po ostrych zakrętach a góry miały podobno 3 tysiące metrów, jechaliśmy 4 dni.

Po przyjeździe do Iraku zaczęliśmy chodzić na ćwiczenia bojowe, prawie cały rok, od godziny 7-jej rano do 10-jej, potem była przerwa aż do godziny 4-jej i po 4-jej ćwiczyliśmy do godziny 7-jej po południu. Beczkowozy zawsze przywoziły na plac ćwiczeń wodę chlorowaną żeby żołnierze od zwykłej wody z rzeki prawie cieplej nie pochorowali się bo temperatura była bardzo wysoka w południe, nawet przeszło 70 stopni. Nieraz chodziliśmy do innej roboty, na zmianę.

Razu jednego byłem wyznaczony na robotę do kuchni, kartofle obierać. Idę a tam siedział z książką pod pachą, pod ścianą w chłodzie Sokalski Józef i krzyknął głośno Pieńkowski to i wy tutaj, mówię tak we własnej osobie. Ucałowaliśmy się, pogadali trochę, resztę zostawiając na później, bo ja nie miałem czasu i Sokalski także. Potem po dawnemu ja u niego zakrapiałem robaka a on u mnie. Opowiadaliśmy sobie co kto przeszedł i kogo widział ze znajomych.

25-go września 42 roku zostałem odkomenderowany do szpitala wojennego nr 2, był on w Kanaksinie. Tam przy spisywaniu ewidencji kapitan mnie się pyta jaki zawód macie z cywila - odpowiedziałem kupiec, miałem swój własny sklep, z jakim towarami? mówię spożywczo-kolonialny i sprzedaż wódki i piwa i drobnej galanterii. Kapitan powiada takiego nam potrzeba. Idźcie do sklepu, tam jest kapral to się u niego zameldujcie i będziecie handlowali.. On nazywał się Alojzy Raksimowicz, on jeździł i kupował towary a ja sprzedawałem ale przeważnie pomarańcze i cytryny i trochę galanterii.

Po dwóch miesiącach on zachorował i poszedł do innego szpitala się leczyć a ja zostałem kierownikiem sklepu i zacząłem go zaopatrywać po swojemu. Miałem do dyspozycji szpitalną ciężarówkę i jeździłem do miasta po zakup towaru. Anglicy byli na posterunkach i pilnowali żeby nikt z Polaków nie wyszedł ani wyjechał bez przepustki, na każdej drodze.

Ja za przepustką mogłem wyjechać samochodem po towar, przeważnie pomarańcze, cytryny u kupca, który miał koncesję od Anglików ale on nie zawsze miał takie towary jakie ja chciałem. Więc kupowałem u prywatnych kupców nie tylko pomarańcze i cytryny ale i galanterię, perfumerię - różne kremy, olejki do włosów i inne drobne chusteczki. Dla chorych potrzebne było masło, kupowałem je skrzynkami. Z boku miasta była fabryka pod ziemią, szło się do niej ze 200 metrów. Agent, czy może wspólnik tej fabryki zawsze był przed wejściem. Jak ja przyjechałem samochodem to zanim weszłem do tej fabryki to za nami szło 6 a czasami 8-miu tragarzy Arabów, żeby wynieść to masło. Ja idę jeden a ich idzie 7 Arabów a pieniędzy zawsze mam przeszło tysiąc dinarów. Dinar miał wartość tyle co funt angielski a funt angielski w przeliczeniu miał wartość 4 dolarów, więc ja nosiłem w górnej kieszeni munduru najmniej 4000 dolarów. Nieraz idę i myślę żeby oni mnie tu nie zabili, świadków by nie było, jeden tylko kierowca, który siedział w samochodzie i nie widziałby, że nie wyszedłem. Kieszonka moja aż znać było, że jest pełna dinarów.

Gdy ja zapłaciłem za masło to oni jak wilki każdy za swoją skrzynię i niosą do samochodu. Jak im dam dinara to znaczy 4-ry dolary to nim się później dzielili a świergotali jak Żydzi, uradowani byli bo za robotę w ciągu pół godziny tyle forsy.. Tam Anglicy to im za cały dzień pracy grosze płacili.

Na noszach przeważnie smołę leli, równali szabier, potem tylko wał ugniatą. Oni w czasie pracy mieli 1/2 godziny czasu aby obiad zjeść i zaraz pracowali. Im długiej przerwy Anglicy nie dali. Anglicy to tylko przyjeżdżali na wieczór obejrzeć a cały dzień przy robocie byli Hindusi, ze szpicrutą w rękę krzyczeli i gnali Arabów bez przerwy do roboty.

Przydzielili mi do pomocy dwie sklepowe - jedna to panna a druga wdowa i ja jako kierownik prowadzący sklep. Razu jednego gdy jechalim do miasta po towar zatrzymał nas Arab, z daleka machał rękami, ustalim a on trzyma 20 dolarów papierosowych, i na migi pokazuje żeby od niego kupić. Nie możemy się dowiedzieć ceny, ile on chce. On na kartce napisał 1 dinar - 3 dolary, na migi pokazuje mu, że nie mam pieniędzy, to on daje te dolary i po angielsku, co znaczy, że jutro mu zapłacę. Myślę sobie co tam jutro, wyjąłem 7 dinarów i wziąłem te 20 dolarów i on mi dodał jeszcze 1 dolara.

Kupiłem pomarańcze, cytryny i potem pojechałem po masło i na ostatku kupiłem różną galanterię. Przyjechałem, żołnierzy chorych ze szpitala czekało już 50-ciu. We troje sprzedawalim, to załatwilim na poczekaniu wszystkich. Przyszło potem znowu kilku i mówię może który chce kupić 20 dolarów, zaraz jeden się pyta a po ile, mówię 7 i pół dinara, wyjął pieniądze i zapłacił, drugi się pyta a ma kapral jeszcze to ja bym też kupił. Mówię dziś nie ale jutro przywiozę, to niech kapral przywiezie, trzeci też - dla mnie tylko 10 dolarów - dobrze.

Na drugi dzień pojechalim Arab już przed miastem czekał, kupiłem dwa razy po 20 i dwa po 10 dolarów, razem 60 za 20 dinarów. Kupiłem znowu to co mi było potrzebne i przyjechalim. Ci co zamówili już czekali, zapłacili i poszli. Na spacerze pokazywali te dolary drugim, to tamci się pytają gdzie oni kupili, ci mówią u tego kaprala co sklep prowadzi. I znowu amatorzy się znaleźli i te drugie 40 kupili. Ja już nie chciałem się tym trudnić ale już jak który prosił i nalegał to mu przywoziłem.

Ale poszła wieść po szpitalu i dowiedział się o tym major komendant szpitala. Przychodzi do sklepu i od razu mówi ty handlujesz dolarami, ja mówię, że ja nie handluję ale jak mnie któryś prosi to mu kupię a ty wiesz co by ci za to było gdyby żandarmeria angielska cię przyłapała. Ja mówię panie majorze albo ja głupi przy Anglikach kupować.

Major mówi - pamiętaj że jak cię złapią i tu przyjdzie do mnie takie pismo to ja cię ukarze i to mocno, a ja mówię panie majorze ja oto się nie boję, bo ja się złapać nie dam. I jeszcze mówię, że na każdej ulicy pilnują żeby czasami bez przepustki jakiś żołnierz do miasta ani pieszo ani samochodem nie przejechał. No dobrze a jak jedziesz po zakupy to cię nie zatrzymują, panie majorze bo ja przed miastem wysiadam z kabiny i leżę na samochód i kładę się a mnie kierowca mówi z której strony stoi żandarm to ja się przekuluję do tego boku i on mnie nie zobaczy bo mnie kryje ściana i tak zawsze jeżdżę. Mówię, że mnie i towaru u prywatnych kupców nie wolno kupować a ja kupuje, bo chorym jest potrzebny.

Major - no to pamiętaj żeby cię nie złapali bo ci jeszcze raz mówię, że jak przyjdzie raport to cię ukarze, ja się nie boję oto. I major pyta czy ty możesz kupić i grubsze dolary - mogę, a złoty funt angielski też możesz kupić, mówię mogę ale złoty funt kosztuje 5-6 dinarów, no to kup mi jednego funta złotego i 50 dolarów to ja ci zapłacę ale pamiętaj żebyś się nie dał złapać, mówię panie majorze ja pijany nie jeżdżę po towar i złapać się nie dam.

Major poszedł a ja poszedłem po samochód. Zabralim kosze na pomarańcze i cytryny i pojechalim jak zwykle do miasta po zakupy. Przed miastem już czekał Arab z dolarami. Napisałem 1 blankiet 50 dolarów, 5 po 20 dol. i 10 po 10 dol i 1 złotego angielskiego funta. On dolary mi wyliczył, za 250 dolarów zapłaciłem mu 83 dinary a funta złotego nie miał, powiedział, że tumoro-co znaczy jutro.

Wjechał do miasta, ja kupiłem tylko 500 pomarańczy i 200 cytryn bo jeszcze wczorajszych nie sprzedalim, galanterii też nie kupiłem bo to nie tak prędko rozkupują. Po zdjęciu tych owoców poszedłem szukać majora, znalazłem, dałem mu 50 dol. a on mi dał 17 dinarów, resztę się policzmy jak mu przywiozę funta. 3-go dnia przywiozłem 1 funta zł. Dał mi 5 dinarów i 100 filców.

Podczas pobytu w sklepie dużo do mnie przychodziło znajomych - Kędziorek Stefan, Głowacki Piotr, Jarosiński Józef, wszyscy z Drozdowa.

1-go marca 43 r. zostałem powołany jako piekarz do piekarni polowej nr 101. Ja gdy w Rosji wstępowałem do wojska a będąc w Rosji zawsze głodny przy spisywaniu pierwszej ewidencji podałem z zawodu piekarz. Myślałem, że jak będę w piekarni to głodny nie będę. I teraz zabrakło piekarzy i mnie ze spisanej pierwszej ewidencji odnaleźli i rozkazem dowódcy 2 korpusu przysłali pismo żeby odesłać mnie do piekarni nr 101.

Komendant szpitala nr 2 robił starania żebym ja pozostał w sklepie, gdzie byłem jeszcze do połowy marca ale 16 marca przyszło ponaglenie i zdałem sklep. Major mówił po co ja się podałem piekarzem, skąd ja wezmę takiego drugiego jak ty.

17 marca odjechałem do piekarni nr 101. Tu spotkałem się z Piotrem Osieckim, on w tej piekarni pracował już jak tylko przyjechalim do Iraku. Jak on był kawalerem to mnie piekł chleb i bułki, pieczywo było bardzo dobre. I tu spotkałem się i cieszyłem się, że znowu mam choć jednego dobrego znajomego, on również był bardzo zadowolony bo w piekarni chociaż pracowało kilkadziesiąciu żołnierzy Polaków, znajomego nie miał.

Piekarnia była pod wielkimi namiotami, czynna była bez przerwy na dwie zmiany, jedna zmiana to



polscy żołnierze a na drugą zmianę byli Hindusi i tak stale.

Mnie Piotr Osiecki dał do podawania ciasta w bankach a potem do odbierania chleba i na wózku odwoziło się go i układało na półki z desek. Piekarnia była opalana ropą. Na odchodnym ze sklepu major powiedział jak kiedy zachorujesz i trafisz do szpitala nr 2 to będziesz na stanie chorych do końca wojny, ja już cię ze szpitala nie puszcze.

Piekarnia stała za miastem, które nazywało się Kizyrabat. Po miesiącu pracy w piekarni znowu zachorowałem na malarię i zostałem skierowany do szpitala wojennego nr 3, który mieścił się w Kizyrabacie. Tam była starszą siostrą w stopniu starszego sierżanta pani Kaliszowa z Łomży, moja znajoma współniczka browaru w Drozdowie. Ją wywieźli a mąż pozostał w Polsce. Bardzo się ucieszyła ze spotkania ze mną. Przyniosła mi gruby zeszyt do pisania pamiętnika i książeczkę do nabożeństwa i powiada to podarunek na pamiątkę naszego spotkania. Kiedy miała dyżur przychodziła do mnie i trochę porozmawiałim.

Na drugi dzień przyszedł do mnie Piotr Osiecki, piekarnia nie była daleko. Przychodził do mnie często. Sokalski Józef i jeden raz przyszedł do mnie zięć Gąsiorowski Pokropowicz z Krzewa. Przy szpitalnym kościele niedużym byłem u spowiedzi i przystępowałem do komunii św.. Już po 2-tygodniach wróciłem z powrotem zdrów do piekarni.

Na spacerze zobaczyłem Wacka Godlewskiego mojego siostrzanka z Rakowa. Sowieci wzięli go do wojska w Rosji, on od nich uciekł i wstąpił do wojska polskiego. Po jakimś czasie przyjechała i dołączyła druga piekarnia z Mosulu, z nią przyjechał starszy sierżant z Łomży, z nim siedziałem w więzieniu w jednej celi w Mińsku. Odwiedził mnie również p. major Fiedowicz ze szpitala. Potem został przydzielony Bronowicz Modest też piekarz, mój dobry znajomy. Miał swoją piekarnię w Jedwabnem

Zapotrzebowali 8-miu żołnierzy z piekarni do postawienia namiotów dla 36 składnicy materiałów kancelaryjnych 2-go korpusu. Poszedł razem z nimi Bronowicz Modest i tam zobaczył podporucznika Marczewskiego z Łomży. On miał księgarnię na ulicy Długiej w Łomży. Ja przed wojną prenumerowałem gazetę 2 grosze i Wyzwolenie - gazeta ludowa u popod. Marczewskiego. Borowicz jemu powiedział, że ja też jestem w piekarni. Ale w tej składnicy potrzeba było więcej ludzi. Komendantem składnicy był kapitan Stanisław Karasiński. Wysłali zapotrzebowanie na 8-miu ludzi z piekarni do tej składnicy. Pan Marczewski był zastępcą kapitana i on wypisał mnie i Bronowicza i od 1-go czerwca 1943 roku już byłem w tej składnicy materiałów. kancelaryjnych 2-go korpusu.

W składnicy założyli sklep i ja go prowadziłem do dnia wyjazdu do Palestyny. 13 sierpnia wyjechaliśmy z Iraku, 7 dni jechaliśmy samochodami przez Bagdad, Habanję i Transjordanję, 19-go przyjechaliśmy do Palestyny. Zatrzymaliśmy się między miastem Gazą a miastem Berdzirdzia przy ogrodzie pomarańczowym.

Tu znowu zachorowałem na malarię i pojechałem do szpitala wojennego nr 4 niedaleko granicy egipskiej. W nim leżałem aż 17 dni. Już po trzech dniach codziennie chodziłem do kina wieczorem a w dzień czytałem książkę "Ogniem i mieczem", potem czytałem "Potop". 5-go września już byłem zdrów i wróciłem do składnicy. 6 września stanąłem do raportu o urlop, dostałem 10 dni urlopu. Po szpitalnych kurach, które miałem na każdy obiad, baranina mi nie smakowała, więc urlop wziąłem do obozu żołnierskiego wypoczynkowego w Bacium, 10 kilometrów od Telawiwu nad morzem Śródziemnym. Tam życie dawali dobre i co dzień siedziałem godzinę w morzu. Piątego dnia wyjechałem do Jerozolimy. Jechałem autobusem arabskim, ze 120 milów jechaliśmy dwie godziny.

Po przyjeździe zameldowałem w Komendzie placu swój przyjazd do Jerozolimy. W samochodzie było nas 45 żołnierzy z wycieczką. W Jerozolimie zwiedziliśmy Grób Jezusa Chrystusa. Ołtarzy w tej Bazylice było bardzo dużo, również i z Polski. W samym środku największy i najładniejszy i najbogatszy jest ołtarz prawosławny rosyjski. Światło z nadworza tam nie dochodziło, tylko było elektryczne. Na środku ołtarza był obraz Matki Boskiej z Panem Jezusem. Matka Boska tak obwieszona brylantowymi koralami, które przy świetle elektrycznym tak błyszczały że trzeba było oczy mrużyć a różnych wot niezliczona ilość była.

U dołu tego ołtarza jest taka płyta, trochę zagłębiona, jak u nas były przed wojną kopańki do wygniatacia ciasta na placki. W tej płycie jest szpara nierówno idzie wzdłuż tej płyty, to zwiastuje, że jak Żydzi ukrzyżowali Chrystusa to ziemia się trzęsa i tak popękała. Na to pęknięcie kładło się dla uświęcenia złote pierścienie i medaliki z łańcuszkami.

Ale najprzód jak się szło z ulicy do Bazyliki to po kilku schodach, potem jest wyłożony płytami równy plac, z boku na nim jest wybudowana jakby wartownia, przy niej stoi 2-ch Turków w białych, długich płaszczach przepasanych pasami, wyglądały jak pizamy, w czerwonych, wysokich czapkach. To na pamiątkę, że straż zaraz po ukrzyżowaniu Chrystusa i złożenia do grobu, którego pilnowała straż. Jak się szło to oni wyciągali ręce i jak żołnierze szli do Bazyliki to każdy dał przeważnie 50 filów, oni uklonem głowy dziękowali.

W środku Bazyliki znowu w papierkach sprzedawali szczyptę białego proszku, też miał być

uświęcony i to też po 50 filarów.. Gdy się weszło do Bazyliki naprzeciw wisiał duży żyrandol z trzynastoma wiecznymi lampami elektrycznymi, 12 lamp wiecznie się paliło a trzynasta się nie paliła. Ta trzynasta nie paląca się oznaczała 13-go apostoła Judasza a te wiecznie palące zwiastowały 12 apostołów.

Do grobu Chrystusa Pana szło się w lewo, potem po schodkach do takiej małej sali gdzie na filarach stał sarkofag, jak trumna z ciałem Chrystusa Pana. Tam w dół nie można było schodzić, pisało na desce, że jest remont.

Po drugiej stronie od żyrandola na wyższym poziomie leży marmurowa płyta. Na tej płycie trzy niewiasty Pana Jezusa maściły już z krzyża zdjętego. Potem tylko po bokach były ołtarze prawie wszystkich krajów katolickich i innych.

Do zarządu Bazyliki było 3-ch kapłanów, w tej trójce był Polak, nazywał się Aureliusz Borkowski. Z jego własnoręcznym podpisem kupiłem obraz z ośmioma najważniejszymi miejscami, na przykład Betlejem, rzeką Jordan i innymi miejscami. Przewodnikami naszymi i jednocześnie tłumaczami byli przeważnie księża, których tam było dużo z każdego kraju. Każda wycieczka stawiała się na umówionym miejscu, tam już czekał ksiądz i z nim chodziło się do ważnego miejsca czy klasztoru, czy do Betlejem to już jeździłem swoim wojskowym samochodem i zawsze ten ksiądz umówiony chodził i jeździł z nami.

Po przyjeździe z wycieczką do Jerozolimy to najprzód grupami szukaliśmy miejsca gdzie się zakwaterować. Nas pięciu poszło pod adres, który mi dał Antoni Tamawski z Jedwabnego z którym siedziałem w jednej celi w więzieniu w Mińsku. On miał w Jerozolimie wujka. On był łącznikiem przy sztabie, jeździł motocyklem po wszystkich jednostkach wojskowych z rozkazami dowódcy korpusu generała Andersa.

To on już kilka razy jeszcze w Iraku jeździł do tego swojego wujka motocyklem. I jak się dowiedział, że ja jadę do Jerozolimy przyjechał do mnie motocyklem, przywitaliśmy się jak zwykle bo on jak tylko czas pozwolił to przyjeżdżał do mnie żeby choć trochę porozmawiać. Więc pierwsze jego było pytanie - Olek czy prawdą jest, że ty jedziesz do Jerozolimy, mówię prawda a on się pyta czy sam czy wycieczka. Mówię jedzie nas pięciu oto jak raz dobrze bo u mojego wujka jest 5 łóżek, to co masz płacić Żydowi za hotel czy Arabowi to lepiej idźcie do mojego wujka. Będziecie mieli czystą pościel i każdy swoje łóżko i u swojego.

Mówię dobrze, dawaj adres i nas pięciu od razu poszliśmy pod tym adresem. On nazywał się Jan Dopierała, 52 już mieszkał w Jerozolimie. Odnaleźliśmy jego, było to przed wieczorem. Wchodzimy, ja pierwszy mówię dzień dobry państwu, odpowiedzieli dzień dobry. Ja mówię przysłał nas tu Antek a na dwóch łóżkach siedzi dwóch żołnierzy naszych. Dopierała patrzy się na nas i mówi to panów jest 5-ciu, tak mówię, on mówi ja mam 5-6 łóżek ale ci dwaj panowie to jeszcze jedną noc będą u mnie nocować, to jak będziecie chcieli to jedną noc prześpicie się na trzech łóżkach po dwóch i już na drugą noc będzie miał każdy swoje łóżko. Wszyscy znaleźliśmy się dobrze, wszyscy byliśmy zdrowi więc ja mówię dobrze tę jedną noc przenocujemy po 2-ch. Dopierała aż się ucieszył na to dobrze.

Po zwiedzeniu Bazyliki potem zwiedziliśmy kilka miejsc i drogę krzyżową. Byliśmy przy Ogrójcu przy Ogrodzie Oliwnym i w innych miejscach. Było tam w Jerozolimie 8-m ruskich niedużych ale ładnych cerkwi. Były w nich zakonnice. Ja umiałem po rusku mówić więc rozmawiałem z nimi, bardzo chętnie rozmawiały ze mną i były zadowolone jak tam nasi żołnierze do cerkwi przyszedli obejrzeć te ładne ikony.

Była tam na najwyższym miejscu Jerozolimy ruska wieża drewniana wysoka 40 metrów. Ja weszłem tylko na 20 metrów po schodach, to mi się w głowie kręciło i wyżej już nie weszłem. Widziałem z niej Dolinę Józefata, chcieli go podobnie utopić w tej studni. Drugiego dnia jeździliśmy do Betlejem, tam też Bazylika była duża i ładna. W niej jak się weszło to na stolikach leżały złote łańcuszki z krzyżykami i zakonnice je sprzedawały żołnierzom.

Potem 3-go dnia jeździliśmy do Morza Martwego, w nim choćbyś się chciał utopić to byś się nie utopił tylko leżał na wierzchu, taka była gęsta i żadnej bełwy na niej nie było. Potem zwiedzaliśmy ścianę placzu. Ściana była układana z dużych kamieni ciosanych, półtora metra długich a 1 metr grubych czyli wysokich. W tej ścianie układanej były szpary i tam codziennie przychodzili Żydzi się modlić, po modleniu płakali i w te szpary w ścianie wsadzali zwijane albo składane papierki na których oni pisali do Pana Boga prośby żeby im się stało o co oni proszą.

Przy tej ścianie placzu szła ulica asfaltowa szerokości około 10-ciu metrów. Na tej ulicy długości około 100 m. było pełno Żydów klęczących i kiwających się na modlitwach i słychać było tate adonaj, bo oni uznawali jednego Boga i tylko się do niego modlili.

Teraz tą ulicą przechodzili i Arabi i Żydzi. Jerozolima to się dzieli na dwie - Jerozolima stara to jest arabska i są domy przeważnie z kamieni porośniętych mchem i ulice bardzo brudne. A druga połowa Jerozolimy to jest żydowska, nazywa się nowa. Tam kamienice są 3 piętrowe i nawet i 4 piętrowe, otynkowane ładnie, każda z balkonami. Przy domach są ładne ogródki z różnymi ładnymi kwiatami



ogrodzone żelaznymi płotkami malowanymi olejną farbą i to tak wszystkie ulice aż się chciało pospacerować - zapach kwiatów i czystość na ulicy.

5-go dnia wcześniej zakończyliśmy zwiedzanie po mieście, co ważniejsze i ciekawsze, tylko jeszcze jeździliśmy do kaplicy gdzie ukamienowali świętego Szczepana, leżały tam jeszcze kamienie dokoła tej kaplicy a nawet były kamienie w środku kaplicy.

Po przyjeździe trzeba księdza wynagrodzić, 5 dni z nami chodził i jeździł i tłumaczył dokładnie. Pytamy się ile mamy wynagrodzić księdza za jego pracę. Pieniądzy od was nie chcę ale jak macie co do zjedzenia to dajcie. Ale wiedzieli już o tym już od innych żołnierzy co oni dawali księżom czy innym cywilnym, którzy też oprowadzali żołnierzy po tych samych świętych miejscach.

Przeważnie angielski biew, to mięso w pudełkach blaszanych bardzo dobre i na zimno i na gorąco można było jeść. Ksiądz też wiedział że my to mamy i damy. Prowadził całą naszą grupę, która przyjechała tym samochodem a było nas 42-ch, to jak każdy dał jedno pudełko to było 42 pudełka, to ksiądz miał taki pół worek, to prawie pełen. Uradowany dziękował nam a my jemu podziękowaliśmy i nasz kierowca samochodem mu odwiózł bo nie dałby rady zanieść.

Teraz wróć do ściany placzu. Tą ulicą Arabowie na osłach przewozili fructa do rynku na sprzedaż, bo z tej strony miasta innej drogi nie było, Żydzi tam się modlili też niecałe dni tylko z godzinę się pomodlił i paperek z prośbą do Boga wsadził w szparę między kamieniami i poszedł. Ale jedni odchodzili to drudzy przychodzili i tak cały dzień. To jak Arab prowadził osła to uważał gdzie jest luźniej ale to była trudna sprawa, więc nieraz osioł nadepnął Żyda to Żyd krzyknął na cały głos ajwaj, ajwaj i wszyscy Żydzi się zrywali z modlitwy i bili tego Araba i by go mogli zabić ale że w tym miejscu przy ścianie placzu była żandarmeria angielska i żydowska i arabska i ledwie mogli tych bijących Żydów uspokoić a to by ta bójka trwała cały dzień bo Arabów też przybywało i to co dzień to samo. Angielska żandarmeria całe dni tam była, tak samo żydowska i arabska.

Jak się ściana placzu kończyła to od niej zaczynał się tunel długości może z 60 albo 70 metrów. Za tą wysoką ścianą placzu był meczet arabski największy na świecie i podobnie najładniejszy. Ja w nim nie byłem ale inni żołnierze byli, za wstęp do tego meczetu Arabowie brali po 2 dolary. Zaraz przed wejściem zdejmowali buty i nakładali miękkie bułki ażeby nie uszkodzić mozaikowej posadzki. Opowiadali nasi żołnierze, którzy byli w tym meczecie że to było istne чудо. Powiadali że żyrandole to chyba były złote, błyszcząły aż trzeba było oczy mrużyć, tak samo świeczniki i lichtarze i pół księżyc do którego oni się modlą.

W Jeruzolimie było tam polskich sióstr dosyć dużo. Duży budynek własny ale lichy, my ale nie tylko, wszyscy polscy żołnierze tam się stołowali. Były tam do pomocy polskie kobiety i panny. Zaprowiantowanie mieli z naszego korpusu. Generał Anders z żołdu każdej dekady od wszystkich żołnierzy po pół funta angielskiego odtrącał na nowy budynek dla tych zakonnice. Wybudowały straszny gmach 3 piętrową kamienicę w której później nasi żołnierze się stołowali i kwaterowali.

Ja jeszcze ostatniego dnia byłem w Bazylice u spowiedzi i u komunii św.. Gdy przyszedłem do swojej kwatery u pana Dopierały, on siedział na ławce przed swoim domem, usiadłem obok niego i zaczynamy rozmawiać. Ja mówię do niego, że chyba pan jeden w Jeruzolimie jest stałym mieszkańcem Polakiem. On mówi o nie, nas tu mieszka dużo około stu stałych mieszkańców Polaków. Między nami jest książę Czartoryski, ma tu własny duży dom w którym mamy świetlicę, co niedziela po nabożeństwie wszyscy Polacy idziemy do tej świetlicy. Mamy w niej dużą bibliotekę, różne polskie książki, mamy polskie gazety z Polski i polskie gazety z Ameryki. Jak kto chce wypożycza książki do domu. Nasz książę jest bardzo dobrym człowiekiem i dobrym Polakiem. Zna kilka języków - angielski, francuski i niemiecki i on prenumeruje te gazety nasze i te inne. Jak co ciekawszego wyczyta z tych gazet innych krajów to nam opowiada.

On z Polski uciekł jeszcze za cara, za politykę groziło mu wysiedlenie do Rosji. Naprzód przyjechał tu sam, potem przyjechała jego żona. Oboje nauczyli się mówić po arabsku i dobrze im tu i dobrze nam z nim, każdy się coś ciekawego dowie i nic za to nie płaci.

Każdej niedzieli przychodzi do nas, posiedzi, porozmawia i tak całe lata. Ale jednej niedzieli gdy my po nabożeństwie przyszedłem do świetlicy książę wszedł bardzo blady, powiedział dzień dobry, wszyscy odpowiedzieli dzień dobry, on usiadł i nic nie mówi, nie tak jak zawsze, więc niektórzy podchodzą do niego i pytają czy książę jest chory, on odpowiada, że nie ale w dalszym ciągu nic nie mówi.

To znowu ktoś podchodzi i pyta, że chyba książę jest chory. I tak się pytało już kilku więc on widzi, że tak co chwila ktoś będzie podchodził i pytał, więc wstał i mówi. Ja tu w Palestynie zapoznałem się z takim bogatym Arabem, który mieszka od Jeruzolimy 30 kilometrów. Ma wielkie posiadłości i ma 14 żon. My tak zżyliśmy się ze sobą i jeździmy do siebie na obiady. Jak on przyjedzie dziś na przykład do mnie na obiad to ja jutro jadę do niego na obiad i tak już długie lata. On dał mi konia i jeźdźcę do niego konno, żarcie dla konia przywozi mi jego służący, nic mnie to nie kosztuje.

Jak ja tam do niego przyjadę to zaraz służący zabiera konia, poprowadzi do stajni i da mu żreć,

drugi lokaj bierze ode mnie płaszcz i kapelusz, wtedy ja wchodzę, Arab już czeka, witamy się i siadamy na fotele plecione z białych różeg.

Na posadzce siedzi z podwiniętymi nogami jego jedna żona w czarnej woalce na twarzy i tylko się patrzy na męża co on rozkaże. On tylko kiwnął głową już ona się zerwała i poszła do innego apartamentu i przynosi dzban starego i dobrego wina, potem przynosi jakieś mięso i chleb i duży pleciony talerz jak półmisek na pomarańcze, figi, daktyle i inne przysmaki.

A ona znowu siedzi z podwiniętymi nogami i patrzy się na nich jak oni jedzą. Gdy już się najedzą i napiją to zaraz wychodzą, konie już są wyprowadzone, osiodłane, podprowadzają bliżej i oni wsiadają na konie. Zaraz podają dubeltówki Arabowi i Polakowi, wypuszczają z 10 psów i jadą na polowanie. Ale po obu bokach po 5-ciu, którzy klepią w deszczulki i straszą zające czy sarny, są tam kuropatwy i bażanty, co im podleci to zabijają i wracają i znowu wino i zagrycha, potem Polak wraca do domu.

Na drugi dzień Arab przyjeżdża na obiad do Czartoryskich, po przywitaniu siadają do stołu, Polak razem z żoną i Arab. Mniej więcej takie samo jadło jak i u Araba tylko ta różnica, że żona polska nie siedzi z podwiniętymi nogami na posadzce, tylko obok męża przy stole i bez czarnej woalki.

A do stołu podaje jakaś czysta kobieta ładnie ubrana i bez zasłony na twarzy. Gdy wszyscy podjedzą, to rozmawiają bo pani Czartoryska też mówić umiała po arabsku. Po rozmowie ustawiają szachy Arab i żona Polaka tylko mąż jej pomaga. Jak sprzykrzą się im szachy to grają w karty a wina dzban stoi na boku, Polak dolewa jemu i sobie, żona piła trochę, więcej nie chciała i nie piła. Tak zeszło im parę godzin. Tak było co dzień długie lata.

Polak zaczął kombinować bo Arab miał tych żon 14 i co dzień jedna i co dzień to była inna, bo tylko jedna zawsze ich obsługiwała. Więc one go znały a on ich nie znał bo zawsze były w woalkach bo taki był ich zakon.

Żony sobie kupowali ale tylko do 14-tu. Rodzice, którzy mieli córki to potem mieli za nie pieniądze a gorzej się mieli rodzice jak im się urodziło kilku synów, bo trzeba było kupić synowi żonę, chociaż jedną. Ale jak pieniędzy nie mieli to aż sam zarobił i potem sobie kupił A jak nie zarobił to został kawalerem do śmierci.

Wracam teraz do księcia Czartoryskiego. Udumał on sobie Araba upić i namówić go żeby mu pokazał wszystkie swoje żony bez woalki. Była kolejka na niego. We wtorek pojechał do Araba i jak zwykle podjedli, winem popili, potem polowanie. W środę przyjechał Arab i księżę przyszykował bardzo stare wino z myślą że jak Araba spoi to on po pijanemu zgodzi się pokazać swoje żony bez woalki.

Arab przyjechał, książe był bardzo wesoły i po jedzeniu wino nalewał i sobie też i tak parę godzin zeszło i znowu wino. Ale Arab był odporny i nie pijany a książe się upił i dość głośnym głosem mówi - jeździmy do siebie tyle ty jak przyjedziesz do mnie to moją żonę zawsze widzisz i rozmawiamy, razem się bawimy a ja ani nie widziałem ani jednej twojej żony bez woalki. Jeżeli ty chcesz żebyśmy tak dalej do siebie jeździli to musisz mi pokazać swoje wszystkie żony bez woalki.

Arab zbystrzał i powiada nie pokażę, to książe mówi no to koniec z naszą przyjaźnią, jutro do ciebie nie przyjadę na obiad, przyjedź - nie słowo daję nie przyjadę. Arab poszedł, sam konia wziął i pojechał. Na drugi dzień Polak nie jedzie do Araba na obiad, drugiego dnia tak samo nie jedzie. Trzeciego dnia Arab przyjeżdża do Polaka i mówi dlaczego ty nie przyjeżdżasz do mnie na obiad, ja bez ciebie obydwaj dni obiadu nie jadłem, to dziś jedź ze mną. A Polak ty wiesz dlaczego ja do ciebie nie przyjechałem i dziś nie pojedę jak mi nie przyrzekniesz, że swoje żony mi pokażesz bez woalki na twarzy. Arab mówi co chcesz to ci dam ale nie żądaj bo to u nas taki zakon a ja zakonu nie chcę łamać, ja go muszę szanować, nie żądaj ode mnie tego, proszę cię bardzo a Polak mówi ja ci mówiłem i powiedziałem słowo honoru, że więcej do ciebie na obiad nie przyjadę.

Arab powiada bierz konia i pojedziem a Polak pokażesz mi swoje żony bez woalki na twarzy. Arab mówi kiedyś się tak uparł to pokażę. Polak mówi no to jedź, ja się przebiorę i zaraz za tobą przyjadę. Arab z miejsca ruszył galopem i pojechał. Polak ubrał się ładniej niż zawsze, wyprowadził konia i pojechał za Arabem.

Podjeżdża pod ganek a na ganku stoi aż trzech, jeden złapał konia, poprowadził, drugi aż Polak zdejmie płaszcz zaraz go wziął i kapelusz a ten trzeci to był ten Arab, złapał Polaka pod pachę. Idą a Arab do Polaka mówi słuchaj może nie zechcesz żeby moje żony wszystkie wyszły i woalkę z twarzy zdjęły. A Polak mówi właśnie dziś przyjechałem żeby zobaczyć je bez woalki.

Obiad był gotowy na stole, jedna żona już siedziała jak zwykle. Obiad jedli, winem popijali i Arab mówi posiedź trochę zaraz moje żony wyjdą, tej co siedziała przy stole też kazał odejść i poszedł za nią i każe się wszystkim ubrać jak najładniej, bransolety nałożyć i na ręce i na nogi, no i mówić wychodzić wszystkie za mną, czego nigdy nie było. Wyszli Polak siedzi, one go znały bo on co drugi dzień przyjeżdżał na obiad. Arab zdenerowany każe im ustać w rząd, obok jedna drugiej i mówi im zasłony zdjąć. Ale ani jedna nie sięgnęła po woalkę. One już przeczuwały, że będzie jakieś nieszczęście, A Polak siedzi i patrzy co to będzie.



Arab zdenerwowany jak nogą tupnął o posadzkę i krzyknął rozkazującym głosem zasłony zdjąć, to Polak widział jak im ręce drżały, gdy sięgały po zasłony. Jak już zasłony zdjęły Arab podszedł do Polaka i mówi no chodź obejrzysz moje żony. Polak wstał Arab go wziął lewą ręką pod pachę i idą z bieżęgu. Wszystkie były obrócone twarzą w jedną stronę. Przeszli w jedną stronę do brzegu, szli powoli, Polak chciał się dobrze przyjrzeć. Arab się pyta no która moja żona najlepiej ci się podoba, więc Polak pokazuje mu jedną palcem i mówi, że jemu się podoba ta.

Gdy tylko Polak wymówił to Arab z tyłu w prawej ręce trzymał sztylet i błyskawicznie tym sztyletem zadał cios tej wskazanej swojej żonie. Ona od razu padła na posadzkę, krew chlusnęła z niej i te wszystkie żony jak krzykną i złapały tę przebitą i ponieśli skąd wyszły.

Arab krzyknął i zakrwawiony sztylet podniósł do góry nad głową Polaka i mówi patrz do czegoś mnie doprowadził. Krew ze sztyletu jeszcze kapłała na głowę Polaka a on jak błyskawica uciekł zostawiając płaszcz i kapelusz. Sam pobiegł do stajni, złapał swojego konia bez siodła i co tylko galopem przyjechał do Jerozolimy. Konia zaprowadził do stajenki i zaraz się położył i zasnął.

Tej niedzieli nikt nie czytał ani gadał, wszyscy słuchali co książę opowiedział i powiada ja dziś dlatego tak wyglądam bom się strasznie przeraził, myślałem że on mnie tym sztyletem przebiję i uciekłem zostawiając płaszcz, kapelusz, z gołą głową przyjechałem do domu. teraz nie wiem kiedy ja przyjdę do siebie.

To opowiedział mi Jan Dopierała gdym siedzieli obaj na ławce przed jego mieszkaniem. Ja mówię było to bardzo ciekawe co mnie pan powiedział. Ale teraz niech mi pan powie jak pan tu do Jerozolimy przyszedł czy przyjechał bo to też będzie dla mnie ciekawe. Skąd pan jest z Polski? On powiada ja jestem ze wsi, która nazywa się Pawelki, powiat Łomża i powiada nas w domu było 3-ch braci. Ja ciężko zachorowałem, dwa lata leżałem w łóżku. Raz jeden przywieźli bracia do mnie doktora, który mnie dokładnie zbadał i przepisał lekarstwo. Kilka razy mi je przywozili ale nic nie pomagało, już myślałem że umrę.

Ale razu jednego westchnąłem do Boga i mówię że mi Pan Bóg przywrócił zdrowie to pieszo bym poszedł do Jerozolimy, do grobu Chrystusa Pana. Po jakimś czasie poczułem się zdrowszy i coraz było mi lepiej i lepiej i wyzdrowiałem na dobre. Pomyślałem, że Pan Bóg dał mi, to ja muszę wykonać co obiecałem. Było nas trzech braci a ziemi wszystkiego 6 morgów mielim. Ja do nich mówię wy-mnie spłaćcie i ja od was pójdę i więcej do was nie wrócę bo tu nie ma do czego. Ja pójdę w świat za pracą.

Oni mówią dobrze ale my nie mamy pieniędzy a ile ty byś chciał? On mówi sprzedamy krowę i świnie i pożyczcie jeszcze ze sto rubli u kogoś i was pokwituję przy świadkach. Oni mówią dobrze. Sprzedali krowę i świnie i pożyczili sto rubli i spisali umowę przy świadkach i poszedłem tam co wyrzekłem do Jerozolimy.

Szedłem pieszo najprzód do Bułgarii potem do Turcji i tylko gdzieś promem jechał a potem znowu pieszo ale czym bliżej byli Palestyny to zebrała się duża pielgrzymka tak że było nas kilkadziesiąt.

Gdy już przyszli przed Bazylikę Grobu Chrystusa Pana wyszło z Bazyliki kilkunastu księży z różnych krajów i pytają kto jest z jakiego kraju. Ja słucham, jeden ksiądz pyta czy jest kto z Polski, więc ja się wysunąłem do przodu i mówię ja jestem z Polski, to ten ksiądz mówi chodź ze mną. Przyjął mnie, dał jeść i pyta co cię skłoniło do tej pielgrzymki. Opowiedziałem mu wszystko.

To co ty teraz myślisz robić, to ja mówię gdybym tu dostał jakąś pracę to bym tu został bo do domu nie mam po co wracać. To ten ksiądz mówi ja ci się o pracę postaram. Ucieszyłem się, ucałowałem go w obydwie ręce i mówię praca jaka by nie była, wszystko będę robił. Już drugiego dnia przyprowadził mnie tu na posadę przy zakonie Franciszka św.

Na górze stał duży klasztor to ja w nim świece zapalam i gaszę po nabożeństwie i cały klasztor codziennie zamiatam i utrzymuję w czystości. Ja tu przy bramie jeszcze przed nocą pozamykam i w nocy czuwam żeby jacyś złodzieje nie dostali się do klasztoru i nie ukradli wotów i innych kosztowności.

Ten domek co w nim mieszkam to też należy do klasztoru - adres Jerozolima ul. Mamilu 8. No a skąd ma pan żonę a on mówi w 15-cie lat po mnie przyszła do Jerozolimy z pielgrzymką i ja ją zapoznałem i ożeniłem się, nazywała się Makowska, spod Łodzi. Mamy już córkę zamężną, już wnuczka ma 8 lat a mąż jej jest Szkotem z Anglii. Jeden jest przewodnikiem też prowadzi polskich żołnierzy po wszystkich świętych miejscach. Drugi syn pojechał do Polski i skończył tam szkołę podchorążych i był lotnikiem. Po wrześniu był jeszcze we Francji, pisał list ale był ten list ostatni, brał udział w wojnie i zginął bez wieści, od tego czasu nic o nim nie wiemy.

Raz jeden przyszła ich córka z 8 letnią córką, była ładna i matka. Obydwie widne blondynki, po polsku czysto mówiły a za godzinę przyszedł po nich jej mąż, był policjantem. On był brunet, włosy miał czarne kruk, też po polsku umiał mówić i lubił spacerować ze swoją córką, on czarny a ona była blondynką, to się oglądali przechodnie skąd on mógł taką ładną dziewczynkę wziąć, czy kupić czy gdzieś ukraść.

Ja miałem napisany list do żony do Rosji. Poszedłem na pocztę żydowską, położyłem list na kontuarze, urzędnik w średnim wieku wziął list, spojrział na adres i znaczki nalepił i pyta po polsku skąd pan, ja mówię od Łomży a on aż wykrzyknął od Łomży a ja jestem z Piątnicy a Piątnica od Łomży to tylko kilometr drogi. Ja miałem znajomego kupca, który przed wojną wyjechał do Palestyny, nazywał się Abram Malinowicz. Chciałem go odszukać i odwiedzić i mówię kiedy pan z Piątnicy to może pan wie gdzie jest Malinowicz z Łomży to by mi dał adres do niego. Ja bym chciał jego odwiedzić. On mówi ja nie wiem ale słyszałem, że on mieszka w Telawiwie, to niech pan jedzie i pójdzie do magistratu i tam poprosi to oni go znajdą i dadzą panu adres.

Zapłaciłem za znaczki i podziękowałem za poinformowanie i wróciłem na ostatnią noc do Jana Dopierały. Moi koledzy siedzieli na łózkach i sobie rozmawiali. Zapłaciłem za zakwaterowanie no i położyłem się spać bo jutro rano o godzinie 5-ej wyjedziemy.

Nasza składnica namioty wystawiła obok miasta Rechowo. Ja zaraz chciałem jechać do Telawiwu i szukać Malinowiczów. Idę do kapitana Karasińskiego i proszę żeby jutro pozwolił jechać do Telawiwu a kapitan mówi za miesiąc bo jest zarządzony przez generała Andersa areszt na cały tu nasz rejon i nie wolno oddalać się od namiotów.

Odsalutowałem i odszedłem. Dopytuję co się stało. Otóż jechał nasz żołnierz motocyklem ulicą a przechodził przez ulicę stary, pewnie głuchy Żyd, żołnierz trzknął ale nie słyszał no i został potrącony motocyklem. Przewrócił się, żołnierz zaraz zatrzymał motocykl, podniósł tego Żyda, wyjął chusteczkę z kieszeni i ociera go. Jak Żydzi zobaczyli zakrwawionego Żyda to co który miał pod ręką młotek czy odważnik czy jakąś sztabkę żelazną wyskakiwali ze sklepów i bili tego żołnierza i może by go zabilili ale tam dużo naszych żołnierzy spacerowało tylko nie wolno było mieć żadnej broni, tylko musiał mieć buty dobrze wyczyszczone, dobrze mundur zapięty i krawat zawiązany na szyi. Więc nasi żołnierze nie mieli co do ręki, to pozdejmowali pasy a one miały duże żółte sprzączki to bili tymi pasami. Żołnierze bili pasami a Żydzi młotkami albo sztabami czy odważnikami.

Namioty mieliśmy poza miastem. Dużo żołnierzy przybiegło do namiotów pokrwawionych i mówią Żydzi naszych biją, idźcie na pomoc. Wszystkie namioty były palowane kółkami bambusowymi. Na tych kółkach bambusowych to była co pół metra narośl taka duża jak pomarańcz. Każdy żołnierz złapał za bambus i do miasta. Dokoła tego miasta to wszystkie namioty leżały bo kółki półtorametrowe były powyrywane.

Żołnierze wpadli jak wilki, nie pomogły ani młotki ani sztabki całe miasto po wszystkich ulicach gdzie tylko napotkali Żyda to go bambusem. Byłoby może za nabicie Żydów nic ale że parę szyb wystawowych było wybitych więc generał Anders zarządził areszt na cały miesiąc.

Ale gdzie tylko wojsko stało to Żydzi w sklepach targowali dobrze, żołnierze kupowali zegarki, pierścionki i łańcuszki a nawet krzyżyki złote. Na pierścionkach też były krzyżyki i na nich było wyryte Jeruzalem. Żydzi nawet jechali za wojskiem jak u nas jadą z towarami na odpust.

Zeszło dwa tygodnie, Żydzi nic nie targują, więc wysyłają delegację do Ankony do generała Andersa. Jedzie rabin, jedzie prezydent miasta i jeszcze trzech ważnych radnych. Gdy już przyjechali ustali przed kwaterą generała. Pierwszy zabrał głos rabin panie generale co było to było, pretensji nie wnosim, niech pan generał pozwoli żołnierzom do miasta przychodzić tylko niech przykaże żeby nie bili.

Generał Anders powiada wasi zaczęli bić żołnierzy, dużo okaleczyli to potem żołnierze oddali z procentem ale panie generale kilka szyb wystawowych wybili to na pewno i ukradli dużo. To wszystko przez to, że wasi ludzie zaczęli i byłiby jednego żołnierza zabili. Ale kiedy chcecie to od jutra wycofam areszt, możecie jechać z powrotem do Rechowodu. Dziękujemy p. generałowi.

Po odwołaniu aresztu poprosiłem p. kapitana o przepustkę, dostałem i zaraz poszedłem na przystanek, nadszedł autobus arabski, wsiałem, dałem sto filarów bo tyle kosztował bilet. Konduktor swoją ręką odsuwa moją z pieniędzmi i głową kręci, że nie weźmie pieniędzy i mówi żołnierz gut polis, judy buł, buł i pokazuje że żołnierze nabili Żydów to zaraz o tym w gazetach pisało i arabskich i angielskich i w polskich i w żydowskich też pisało.

Zajechałem do Telawiwu 5-go grudnia 1943 r., za dwie godziny no i według informacji tego z poczty urzędnika dopytałem się gdzie mieści się magistrat i zaraz do niego weszłem i od razu powiedziałem dzień dobry panowie. Jeden zaraz się zerwał i spieszy do mnie, podaje mi rękę i mówi dzień dobry panu. Przywitaliśmy się i on pyta co pan sobie życzy, ja mówię tu w Telawiwie mieszka mój znajomy z Polski, proszę o adres do niego. A on się pyta jak on się nazywa, mówię Malinowicz Abram to on pyta kiedy on tu przyjechał, mówię 1936 albo 1937.

Poszedł do takiej dużej szafy, wziął z niej dwie grube księgi i szuka. Przejrzał jedną książkę, nie było w spisie, wziął drugą, przejrzał spis, potem nic nie mówiąc szukał w książce, nareszcie zatrzymał się i pyta Malinowicz Abram, mówię tak, no jest, to proszę mnie napisać dokładnie na jakiej ulicy i nr domu. On poszedł do swojego biurka wziął kawałek papieru i na nim napisał.

Przychodzi do mnie i mówi jak wyjdzie na ulicę w lewo będzie przystanek tramwajowy to niech



siada nr 15. On jedzie w kierunku morza, tramwaj zawróci to niech pan wysiądzie i Malinowicz na tej samej ulicy tylko jeszcze dalej, jakieś 80 metrów nr domu 86.

Do kąd dochodził tramwaj to po bokach były trotuary a dalej było błoto. Gdy tramwaj podjechał nr 15 wsiadłem i dojechałem do zakrętu, potem wysiadłem i idę pieszo i patrzę na numery, jest 86. Płotek był drewniany i furtka. Od furtki jakieś 6 metrów był domek parterowy murowany, może miał 6 na 6 metrów. Podchodzę do otwartych drzwi a Malinowiczowa siedzi na niskim stołku i skrobie ryby. Ja mówię dzień dobry pani Malinowiczowa, ona głowę podniosła i mówi oj pan Pieńkowski, dzień dobry panu co pan tu robi. Ja mówię, ja na razie nic nie robię, przyszłem was odwiedzić. Ona wstała i mówi proszę niech pan wejdzie do pokoju ale pan gość u rias, Abram się ucieszy jak pana zobaczy.

Weszliśmy do pokoju, na środku stał stół i otomana i kilka krzesłek. Usiadłem i pytam gdzie jest pani mąż. Ona mówi że on pracuje w kooperatywie to jest taki sklep. Ja pytam to macie państwo swój sklep ale gdzie tam, to rządowy tylko mąż tam pracuje. My tu nic nie mamy tylko ten domek we dwóch. My tu na dole mieszkamy a nad nami mieszka drugi współnik i mamy kawałek ogrodu. Mamy w nim 4 pomarańcze i dwie cytryny, więcej nic nie mamy.

A może pan jest zmęczony to niech pan się położy na kanapie to pan odpocznie. Ale jak pan dobrze trafił że mamy ryby to zaraz będę smażyć. To ja mówię do morza macie około sto metrów a ona mówi panie Żydzi to nie są rybaki i tu o ryby jest trudno. Ale na szczęście mamy ryby to będziemy mieli czym pana ugościć.

Ja jej mówię, że zmęczony nie jestem bo do Telawiwu przyjechałem autobusem i tu przyjechałem tramwajem a kiedy mąż pani przyjdzie, niedługo na godzinę 12-tą na obiad. A jak pan do nas trafił, mówię poszedłem do Magistratu i dali mi adres. A jak państwa córki, chyba już powychodziły za mąż. A tak jedna wyszła za urzędnika a druga za doktora. Ja mówię chyba tej doktorowej to jest lepiej jak tej za urzędnikiem.

O nie, w Polsce najlichszy szewc to więcej zarobi jak tu najlepszy doktor, to dlaczego pytam się. Panie tu w Palestynie jest klimat zdrowy, bogaty się nie przeziębi, uważa na siebie i nie choruje. A biedny jak zachoruje to się nie leczy bo nie ma pieniędzy i dlatego doktorzy nie mają dochodu. Tu nie tak jest jak było w Polsce.

Była godzina jedenasta Żyd z Kibucu przywiózł na ośle mleko, dwie bańki jedna na jednym boku, druga na drugim boku. Jak Malinowiczowa zobaczyła złapała pół litrowy gamuszek i idzie po mleko a mnie naszła chęć napicia się świeżego mleka i mówię jej niech pani weźmie jeszcze jeden kubek to ja się napiję. Trzy lata już nie piłem mleka. A ona panie, pan myśli że to dla nas to mleko, to tylko dla mojej wnuczki małej a dla nas nie ma mleka. U nas wszystko na przydział.

Mleko 1/2 litra dla małej wnuczki, 1/2 cukru na osobę na miesiąc, 60 deka mięsa na tydzień, 1/2 litra oleju na tydzień. To ja się pytam to dlaczego tu jest tak, ona mówi, że to wojna. Ja jej mówię przecież wy nie macie żadnej wojny, a ona mówi no nie mamy ale rząd przygotowuje się do wojny i dlatego z nas wszystkich ciągnie.

Malinowiczowie w Polsce mieszkali w 3 pokojach z kuchnią a tu jeden pokój i mała kuchnia. W pokoju stał stary kredens, stół i otomana i 4 krzesła - to cały majątek i kawałek ogrodu w którym rosły 4 pomarańcze i dwie cytryny.

W Polsce mieli sklep w którym troje sprzedawało, za jeden dzień utargu mogli cały tydzień żyć i starczyło na mięso, mleko i inne produkty a ryb ile tylko chcieli i jeszcze wszystkich pieniędzy nie wydali.

Ja jej się pytam czy pani pamięta jak mieliście w Polsce, ona mówi ja pamiętam i nigdy tego nie zapomnę ale tu nie Polska. Furtka dała znać, że Abram idzie na obiad, ona wyskoczyła i krzyczy Abram, Abram co u nas za gość. Abram wpada jak bomba, przywitaliśmy się. Ona ryby przyniosła, chleb kroi a on poszedł do kredensu i przyniósł kwadratową butelkę i mówi to jest spirytus już 4 lata stoi od wesela naszej córki, to dziś spróbujemy czy się nie zepsuł.

Ona podała 3 kieliszki jak napastrki a on mnie nalał pełen, sobie pół a jej tylko troszkę na dno. Ja wziąłem do ręki i chcę się trącić z nimi i pytam się dlaczego nie pełne kieliszki sobie naleliście. Ona mówi, że jest chora i nie może pić alkoholu, on też tak samo mówi. No to wypijemy za zdrowie i ja pomału swój kieliszek przechyliłem a ona do nosa przytknęła i postawiła, on umoczył usta i też postawił.

On chce mi nalać drugi kieliszek, ja go powstrzymałem i pytam czy wy chcecie ze mną wypić, ja też jeszcze jednego wypiję a jak wy nie chcecie to i ja nie chcę. To on mówi że wypije razem ze mną. To ja się pytam czy macie trochę większe kieliszki, ona mówi, że mamy to ja mówię proszę podać. Ona poszła do kredensu i przyniosła, postawiła przede mną. Ja wziąłem butelkę do ręki i najprzód jemu dopełniłem, potem trochę jej i sobie pełen kieliszek nalałem, wziąłem do ręki i mówię powiedzieliście że ze mną wypijecie, no to na zdrowie i przysunąłem się do niego z kieliszkiem. On na mnie się patrzy i kieliszka swojego nie bierze, ja mówię bierz pan, trącimy się kieliszkami i pomału wypijemy, bo jak wy nie wypijecie to ja też nie wypiję i postawiłem swój kieliszek na stole.

Wziąłem jeszcze jedną rybę i jem. Oni mówią, że im alkohol szkodzi a pan jak może to prosimy, niech pan pije, mówię jak razem to wypiję. To on rada nie rada wziął swój kieliszek do ręki i za to pańskie zdrowie, co będzie to będzie, trąciliśmy się kieliszkami. Ona też tak samo wzięła kieliszek do ręki, to za pańskie zdrowie żeby pan szczęśliwie do Polski wrócił i kieliszkami trąciliśmy się.

Ja obracam się do Abrama, on z tym kieliszkiem stoi, ja mówię no pomału ale do dna, wypił połowę i postawił resztę to ja też to samo, połowę wypilem i resztę postawiłem.

Porozmawialiśmy trochę i ja biorę za swój kieliszek, odwracam się do Abrama i mówię, no kończymy, ruszył ramionami i wziął swój kieliszek i pije aż z odpoczynkiem ale wypił. Ja też pomału swój wypróżniłem a on mi przysuwa butelkę i mówi jak pan może to prosimy niech pan jeszcze wypije. Ja wziąłem butelkę do ręki, korek leżał na stole, zakorkowałem i mówię dziękuję, napiłem się dobrze, niech pani schowa może znowu jakiś znajomy się zjawi to się przyda. A ona mówi znajomy to się nie zjawi ale niedługo córka nasza coś urodzi to będzie na urodziny.

Obejrzałem się że oni w tej ziemi obiecanej bardzo skromnie żyją. Godzina dochodziła 2-ga po południu, mówię do widzenia, jak będę miał czas to jeszcze którego dnia do was przyjadę a teraz już muszę wracać, do widzenia. Ona mówi prosimy bardzo.

Gdy wróciłem miałem w zapasie ze 2 kilogramy cukru, w sklepie kupiłem dwie paczki herbatników i czekoladę, poszedłem do kuchni i pytam czy możecie mi dać herbaty, mam tu znajomego to bym mu zawiózł. A oni mówią a ma pan w co, ja już przyszykowałem sobie torbę i mówię mam, no to niech pan idzie do tej skrzynki i sobie nabierze ile zechce.

Skrzynia była z dykty 50 kilową, nakładłem z kilo, powiedziałem dziękuję i trzeciego dnia pojechałem do nich. Dzień dobry, ona odpowiedziała dzień dobry. Ja wyłożyłem na stół co przyniosłem. A ona mówi po co pan to przywiózł albo to panu się przyda. Ja mówię mnie w wojsku dają tyle, że mi wystarcza, to niech pani zanieś córce ciastka i czekoladę a wam też cukier i herbata się przyda. A ona mówi cukier się przyda ale herbata to tu nie jest droga, bo cukru na przydział jest mało to i herbata niepotrzebna, mnie też niepotrzebna, do widzenia i wyszłem.

Z jednym Żydem spotkał się Teofil Gałązka z Rogonic, który przyjechał do Palestyny na 7 lat przed wojną i pyta Gałązka jak ci się powodzi w Palestynie. Panie ja najprzód powiem panu co ja miałem w Polsce. Ja byłem kowalem w Rutkach, to miałem wszystko - chleb, mięso mleko, na szabas była kaczka albo gęś gugel, jaja, masło, co ja chciałem to miałem.

A tu niech pan mi wierzy, że przez całe 7 lat to tylko jadłem ryż i ryż bo tu jest najtańszy. Gałązka mówi dobry jest i ryż jak z mlekiem albo z tłuszczem no i kawałek mięsa do tego. Panie ja dopiero mięsa spróbowałem jak polskie wojsko przyjechało. Ja dla wojska urąbię drzewa, wykopię dół na ustęp, trzcina go ogrodzę i mi dadzą kawałek mięsa i chleba i tak co dzień robię co mi każą.

No to chyba po wojnie pojedziesz do Polski, panie jak będzie wolno to ja pierwszym okrętem pojedę. Gałązka się pyta czy jesteś żonaty, nu na co mi jest żona kiedy ja na siebie nie mogę zarobić, na lepsze życie a gdybym miał jeszcze żonę to by był koniec ze mną i z żoną z głodu byśmy umarli.

W Palestynie bylim 3 miesiące i wyjechalim do Egiptu, z którego w porcie Aleksandria wyjechaliśmy okrętami do Włoch na wojnę.

#### Polacy wywiezieni na Wschód

Głowacki z rodziną, Tatarowski z rodziną, Sokalski J. z Drozdowa z rodziną, Malinowski Franciszek z Drozdowa, Śiderski, Bielicki, Marszałek, Cybuski, Nowacki, Baczewski z Suchych Baczów, Mickiewicz Ludwik wieś Bieniakoń k/Wilna, Marchewka z Białegostogu, Zakościelny Stefan z Berezki Kart., Michałowski Kostek z Baranowicz, Piekarski Wł. Rakowo, Grządzielski Juliusz Lwów, Łupiński Fr., Koziół L. nauczyciel pow. Łomża Rzędziany, bracia stryjeczni Mściwojewski, Ciborowski Zbyszek marynarz, Czerniewski, Batowski uczeń z Grodna, Polkowski z Grajewa, Cybulkin Żyd dzierżawca browaru w Dojlidach, Sienkiewicz aptekarz, Zalewski Zygmunt z Broniek k. Jedwabnego, Zalewski Władysław, Buzek Jedwabne, Tamacki Antoni Jedwabne, Orłowski Żyd Łomża, Jaśmian Mieczysław ze Słonimia, Nasacki Henryk siostrzeniec Antora, Janicki J. Łomża, Szymanowski poseł, Chrzanowski z Białegostogu, Tubielewicz kpt. rezerwy, Kowalski, Słubiński, Olszewski Białystok, Małachowski brat kapucyn, Nowacki Stanisław Rakowo Boginie, Iwanowski J., Kucharski, Michałowski Franciszek, Iwanowski Józef, Fryc Franciszek Augustów, Kowalewski z Warszawy, Chodnicki Piotr Jedwabne, Jórkowska Jadwiga, Bosowski Jan podchorąży Łomża, Dębski inż. leśnik, Witkowski podporucznik, Radecki z Wilna, Konieczny sierżant, Fidelis prezes Polaków na Łotwie, Kancewicz Antek, Chodnicki Piotr Jedwabne, Bosowski Jan Łomża, Podczasiak inż., Sokołowski Wołyń, Dębski ? Stanisław, Eustachewicz adiutant Rydza Śmigłego, Zonenszajm, Szacht inż, Pankiewicz Wilno, Podczasiak porucznik, Ryk Edward Łódź, Antek Jedwabne, Modest Bronowicz Łomża, Olszewska Wilno, Markwałowa Wilno, Trzeciakowa Wilno, Żukowska Wilno, Jaszczuk Janek, Łuczyński Białystok, Łazarski, Paszkiewicz, Machula. Antkiewicz Franciszek Pniewo, Kobyłański, Kozak Kazimierz z rodziną, Wójcik felczer, Włodarczyk Grodno, Maciaż, Gurzędnik, Olszewski felczer z Krakowa, Frydman Warszawa, Dobosz Wołyń, Nowacki Grodno, Gecowa Stanisławów,



Stasiek, Jerzyk Ramzowie Kazachstan, Rodzina Murzów, Kubowicz Wojtek, Jagiełło, Jacynowa z córką, Kobyłańska z córką i matką, Kubowicz, Jacyna Stanisław z matką i siostrą, Gurzełnikówna, Pawłowski, Jaworski 6 lat Łomża, Chojnowski Jan ze Szczepankowa, Tubilewicz kapitan WP, Konieczny Piotr, Fruziński, Kaliszowa z Łomży, Prokopowicz z Krzewa, Marczewski podporucznik Łomża, Karasiński St., kpt., Bysping hrabia wł. browaru Dojlidy k. Białegostoku